



ZATRUTY KIELICH

OSOBLIWA ZBRODNIA.
GENIALNA ŚLEDCZA.
ZAGADKA NA EPICKĄ SKALĘ.

ROBERT JACKSON BENNETT

ZATRUTY KIELICH

Robert Jackson Bennett

Przełożyła Dominika Schimscheiner

Wydawnictwo Mag
Warszawa 2025

Spis treści

Dedykacja

Stopnie wojskowe

Mapa

Część pierwsza. Człowiek w drzewie

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Część druga. Wyłom

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Część trzecia. Trzy klucze i dziesięcioro martwych inżynierów

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Część czwarta. Ziemiaństwo i lewiataństwo

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Część piąta. Cień lewiatana

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Rozdział trzydziesty siódmy

Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Podziękowania

Tytuł oryginału: *The Tainted Cup*

Copyright © 2024 by Robert Jackson Bennett

Copyright for the Polish translation © 2025 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Dorota Pacyńska

Korekta: Alicja Laskowska, Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Tom Roberts

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Mapa: David Lindroth Inc

ISBN 978-83-68591-57-6 Numer: wydanie II/D0

Producent/wydawca: MAG Jacek Rodek

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

www.mag.com.pl handel@mag.com.pl

Dystrybucja

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Dla Mamy i Babci,
które wprowadziły mnie
w świat kryminalów*

STOPNIE WOJSKOWE ŚWIĘTEGO IMPERIUM KHANUM

KONSUL

⋮

PRETOR

⋮

LEGAT

⋮

PREFEKT

⋮

IMMUNIS

⋮

KAPITAN

⋮

SIGNUM

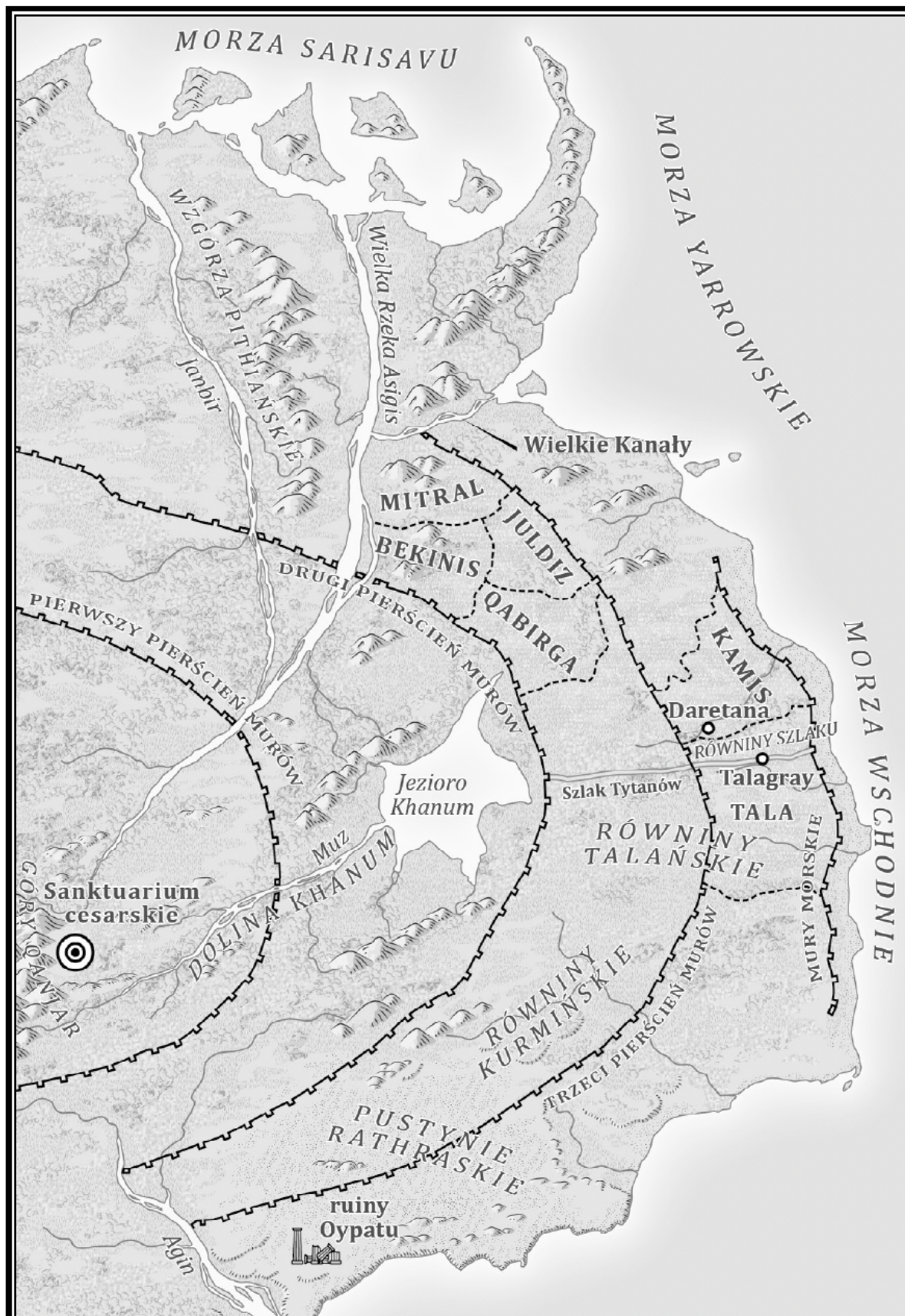
⋮

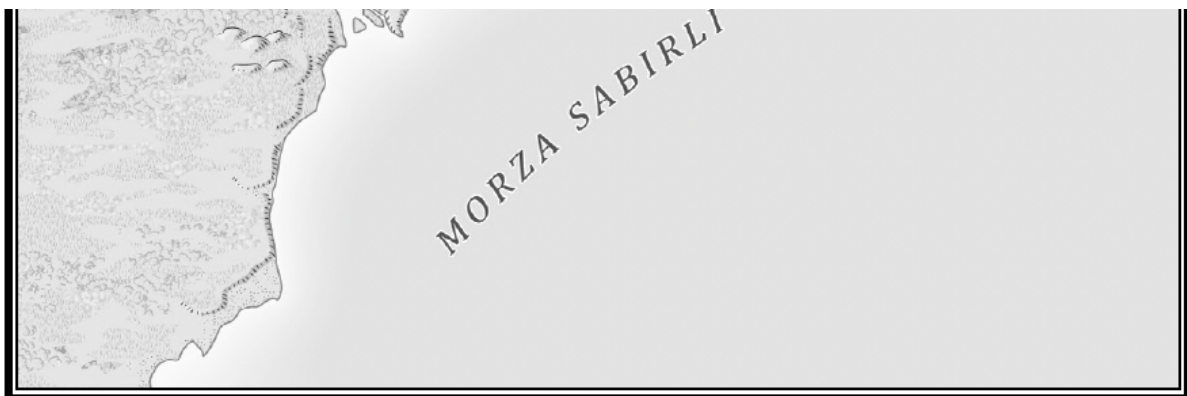
PRINCEPS

PRINCIPES

...

MILITIS





CZĘŚĆ PIERWSZA

Człowiek w drzewie

Rozdział pierwszy

Z porannej mgły wyłoniło się przede mną ogrodzenie posiadłości, długie, ciemne, obłe niczym bok jakiegoś morskiego stworzenia wyrzuconego na brzeg. Szedłem wzdłuż niego, usiłując zignorować łomot serca i spływające po karku strużki potu. Z przodu, gdzieś we mgle, migotało błękitne światło, które z każdym krokiem nabierało kształtu, aż stało się latarnią mai umieszczoną nad przejściem dla służby. Obok, oparty o ścianę, tkwił umundurowany mężczyzna w lśniąącym stalowym hełmie. Czekał na mnie.

Princeps obserwował, jak nadchodzę, a im bliżej byłem, tym wyżej unosił brwi.

Gdy się przed nim zatrzymałem, niemalże wpełzły mu we włosy. Chrząknąłem ze stosownym autorytetem, jak miałem nadzieję.

– Signum Dinios Kol, asystent śledczego. Przyszedłem w sprawie zwłok.

Princeps zamrugnął i zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, co zajęło mu chwilę, bo byłem od niego wyższy niemal o głowę.

– Rozumiem, panie. – Ukłonił się oszczędnie, była to może ćwierć regularnego ukłonu, nie ruszył się jednak z miejsca.

– Bo są tu zwłoki, tak? – upewniłem się.

– Owszem, panie, są – zgodził się nieśpiesznie i spojrzał ponad moim ramieniem w głąb zasnutej mgłą alejki.

– Zatem w czym problem?

– No cóż... hm... – Znów zerknął w uliczkę za mną. – Proszę wybaczyć, ale gdzie ta druga osoba?

– Słucham? – spytałem. – Jaka druga?

– No ta śledcza? Kiedy się zjawi?

Stłumiłem ukłucie niepokoju. Nieraz już odpowiadałem na to pytanie, gdy zajmowałem się innymi sprawami dla mojej zwierzchniczki, teraz jednak, ponieważ sytuacja dotyczyła martwego człowieka, sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

– Śledcza nie może przybyć – powiedziałem. – Mam obejrzeć miejsce zdarzenia, przesłuchać personel, ewentualnych świadków i zdać jej raport.

– Śledcza zamierza prowadzić dochodzenie... nie biorąc w nim osobistego udziału? Czy mogę zapytać dlaczego?

Zlustrowałem rozmówcę. Krótka kolczuga lśniła w słabym świetle, każde kółeczko połyskiwało od skroplonej wilgoci. Bardzo elegancko. Nad klamrą ozdobnego pasa wisiał wydatny, miękki brzuch – konsekwencja wczesnego wieku średniego. Efektem tego samego były pasma siwizny w brodzie. Czarne buty lśniły, a ich cholewki wykończono skórą barwioną wodorostami. Do standardowego wyposażenia należały jedynie długi miecz w pochwie oraz ciemnoczerwony płaszcz, oznaka korpusu – był apotekarzem, funkcjonariuszem odpowiedzialnym za zarządzanie istotnymi modyfikacjami imperialnymi. Resztę ekwipunku musiał kupić sobie sam, prawdopodobnie za iście bajońską sumę.

Wszystko to wskazywało, że chociaż jako signum przewyższałem go rangą, stojący przede mną człowiek górował nade mną nie tylko wiekiem i bogactwem, ale prawdopodobnie i widział podczas swojej kariery więcej, niż potrafiłem sobie wyobrazić. Nic dziwnego, że ktoś taki wyraził zdziwienie faktem, że śledcza wysłała na miejsce zdarzenia dwudziestoletniego chłopaka w dziurawych butach.

– Śledcza zazwyczaj nie bierze osobiście udziału w dochodzeniu, princepsie – wyjaśniłem. – Wysłała mnie, bym ocenił sytuację, i na podstawie mojego raportu wyciąga stosowne wnioski.

– Stosowne wnioski – powtórzył princeps.

– Właśnie – potwierdziłem.

Czekałem, aż pozwoli mi wejść do środka. Ale on nadal stał w miejscu. Zacząłem się obawiać, że będę musiał wydać mu rozkaz. Nigdy wcześniej nie wydawałem bezpośredniego rozkazu urzędnikowi innych instytucji cesarstwa. Na szczęście nie musiałem tego robić i tym razem.

– Tak jest – powiedział ku mojej uldze i wyjął z kieszeni mały, brązowy krążek z osadzoną pośrodku szklaną fiolką, z której sączył się czarny płyn. – Musisz się, panie, trzymać blisko mnie. Ta brama jest stara. Bywa kapryśna.

Odwrócił się w stronę wejścia dla służby, zaokrąglonego otworu w gładkiej, czarnej powierzchni ogrodzenia. Drugą stronę przejścia przesłaniała kurtyna porośniętych włoskami zielonkawo-żółtych pnączy. Gdy princeps się zbliżył, zadrżały dziwnie, niepokojąco, a potem rozsunęły się, umożliwiając nam przejście.

Trzymałem się blisko, pochylając się, by głową nie szorować o sklepienie bramy. Pnącza łaskotały mnie w kark, wydzielając słodkawy, mdlący zapach. Prawdopodobnie zostały zmienione, by łaknąć mięsa i gdyby nie

miął przy sobie swojego „klucza”, czyli fiolki z reagentem, roślina sparaliżowała nas, albo nawet gorzej.

Wyszliśmy na wewnętrzny dziedziniec, gdzie półmrok świtu rozpraszało migotliwe światło dziesiątek lampionów zawieszonych na stromym dachu wielkiego domu posadowionego na wzgórzu. Budowlę, opasywała weranda, a pajęczyna porośniętych ozdobnym mchem sznurów osłaniała okna przed porannym słońcem. Szerokie, drewniane posadzki lśniły gładkością, a na wschodnim krańcu znajdowała się wydzielona część wyposażona w miękkie poduchy, coś w rodzaju miniaturowego pawilonu herbacianego, tyle że za stolik służyła masywna czaszka zwierzęcia, przycięta tak, by jej szczyt tworzył równy blat. Dość upiorna ozdoba dla tak pięknego miejsca – a było to piękne miejsce, z pewnością najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałem.

Zauważywszy moje zdumienie, princeps uśmiechnął się pod nosem. Poprawiłem za mały w ramionach płaszcz Jurysu. Nagle poczułem się głupio, wciśnięty w to błękitne, niewygodne okrycie, niedopasowane do mojej sylwetki, ponieważ nie znaleźli odpowiedniego dla mnie rozmiaru.

– Jak się nazywasz, princepsie? – zapytałem.

– Przepraszam, panie, zapomniałem się przedstawić. Otirios.

– Czy zidentyfikowano ostatecznie ciało zmarłego, Otiriosie? Bo zrozumiałem, że był z tym pewien problem?

– Tak sądzimy, panie. Przypuszczamy, że to Taqtasa Blas, z Inżynierii.

– Sądzicie? – powtórzyłem. – Przypuszczacie? A zatem nie jesteście pewni?

– Myślałem, że zostaliście poinformowani, że śmierć nastąpiła w wyniku modyfikacji? – Mówiąc to, mój rozmówca uciekł wzrokiem w bok.

– Owszem.

– No cóż, modyfikacje mogą utrudnić rozpoznanie ciała. – Ruszyliśmy przez mostek przerzucony nad strumykiem. – A nawet – dodał – stwierdzenie, czy to jedno ciało. Właśnie po to jesteśmy tu my, apotekarze.

Wskazał na rozciągającą się przed nami mgłę, z której wyłuskałem wzrokiem postaci wędrujące po ogrodach. Odziane w ciemnoczerwone płaszcze i peleryny, nosiły w rękach coś na kształt klatek na ptaki, ale zamiast ptaków umieszczono w nich delikatne paprocie.

– Sprawdzamy, czy nie doszło do skażenia – wyjaśnił Otirios. – Ale jak dotąd nie znaleźliśmy nic niepokojącego. Żadna z roślin nie zbrązowiła ani nie uschła. Na terenie posiadłości brak śladów skażenia.

Apotekarz zaprowadził mnie do drzwi z papieru paprociowego. Kiedy się zbliżyliśmy, wydało mi się, że z głębi rezydencji dobiegł mnie przeciągły dźwięk. Krzyk, pojąłem.

– Co to? – zdziwiłem się.

– Prawdopodobnie służące. Znalazły ciało i wciąż są dość poruszone, jak łatwo się domyślić.

– Czyż to nie stało się już dobre parę godzin temu?

– Tak, ale nadal są wzburzone. Zrozumiesz, panie, dlaczego, kiedy pokażę ciało.

Wysłuchując się w oszalałe, histeryczne zawodzenia, starałem się zachować kamienną twarz.

Nakazałem sobie panowanie nad emocjami. Jako funkcjonariusz Jurysu, imperialnego korpusu zarządzającego trybunałami, odpowiedzialnego za wymierzanie sprawiedliwości w całym cesarstwie, miałem obowiązek wejść do tego pięknego domu, nawet jeśli wypełniały go niepokojące odgłosy.

Otirios otworzył drzwi. Krzyki stały się głośniejsze.

Pomyślałem, że godność mojego urzędu wymaga, by moje siki pozostały w ciele, jednak obawiałem się, że jeśli ten raban nie ustanie, może się to okazać niemożliwe.

Princeps wprowadził mnie do środka.

* * *

Pierwsze, co uderzyło mnie w tym miejscu, to panująca wszędzie czystość. Nie chodziło o sam brak brudu, smug czy zacieków, ale o sterylność wszystkiego, na czym spoczął mój wzrok. Eleganckie sofy były zbyt gładkie i nieskalane, jakby nieużywane, a tkane z jedwabiu kwadratowe maty na podłodze wyglądały na nietknięte stopą. Całe wnętrze domu robiło wrażenie tak przytulne i wygodne jak skalpel chirurga.

Nie znaczy to, że nie panował w nim przepych. Z sufitu zwisały miniaturowe drzewka mai, których korony pełniły rolę żyrandoli. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Owoce wypełnione robaczkami mai jarzyły się błękitnym światłem, zalewając pomieszczenia migotliwym blaskiem. Przemknęło mi przez głowę, że chyba nawet powietrze w tym domu jest kosztowne i zaraz przekonałem się, że trafiłem w sedno – w rogu każdego

pomieszczenia wbudowano wielkie kirkisy, czarne grzyby filtrujące. Ich grzybnie zasysały, a potem wydalały oczyszczone i schłodzone powietrze.

W głębi domu znów rozległy się wrzaski. Zadrżałem lekko i wiedziałem, że nie ma to nic wspólnego z temperaturą panującą w rezydencji.

– Zgodnie z poleceniem śledczej zatrzymaliśmy w domu cały personel oraz świadków – powiedział Otirios. – Przyjmuję, że będzie pan chciał ich przesłuchać.

– Dziękuję, princepsie. Ilu ich jest?

– Łącznie siedmioro. Cztery służące, kucharka, ogrodnik i gospodyni.

– Kto jest właścicielem posiadłości? Zakładam, że nie prefekt Blas?

– Nie, panie. Ten dom należy do klanu Haza. Nie zauważyłeś insygnium? – Wskazał na mały symbol nad drzwiami wejściowymi, pióro pomiędzy dwoma drzewami.

Dało mi to do myślenia. Hazowie, jeden z najbogatszych rodów Imperium, posiadali rozległe terytoria w Wewnętrznych Pierścieniach. Oszalałymi luksus tego miejsca nabrał sensu, jednak reszta stała się jeszcze bardziej niezrozumiała.

– Hazowie i posiadłość w Daretanie? – zapytałem, szczerze zdezorientowany.

– Nie wiem, panie. – Otirios wzruszył ramionami. – Może gdzie indziej zabrakło im już domów do kupienia.

– Czy przebywa tu obecnie któryś z członków klanu?

– Jeśli tak, to cholernie dobrze się ukrywa. Gospodyni powinna wiedzieć coś więcej.

Podążaliśmy długim korytarzem aż do czarnych drzwi z kamiennego drewna. W ich pobliżu unosił się słaby zapach słodkawej stęchlizny, doprawionej nutą zjełczenia.

Poczułem szarpnięcie w żołądku i musiałem napomnieć się w duchu, że mam trzymać wysoko głowę i zachować stoicki wyraz twarzy, jak prawdziwy asystent śledczego. A potem znów zgałębiałem się w myślach, bo przecież, do cholery, byłem prawdziwym asystentem śledczego.

– Nad wieloma sprawami dotyczącymi śmierci pracowałeś, panie? – zapytał Otirios.

– A co?

– Nic, po prostu jestem ciekaw, biorąc pod uwagę naturę tej sprawy.

– Nie, dotychczas zajmowaliśmy się ze śledczą głównie oszustwami płatniczymi wśród funkcjonariuszy w Daretanie.

– To nie wy zajmowaliście się tym morderstwem w zeszłym roku? Pijany wartownik, zaatakował kogoś na rogatkach?

Poczułem, jak napina mi się skóra na policzku.

– Urząd śledczego Jurysu został utworzony zaledwie cztery miesiące temu.

– Ach, tak. A w poprzednim miejscu pracowaliście ze śledczą nad sprawami śmierci?

Mięsień na moim policzku naprężył się jeszcze mocniej.

– Po przybyciu śledczej zostałem wybrany spośród tutejszych funkcjonariuszy na stanowisko jej asystenta. A więc nie.

Krok Otiriosa na mgnienie zmienił rytm.

– Ach tak? A więc pracuje pan dla Jurysu dopiero od czterech miesięcy?

– O co wam chodzi, princepsie? – zirytowałem się.

I znów ujrzałem igrający na wargach Otiriosa uśmieszek.

– No cóż, panie, ja osobiście nie chciałbym, żeby właśnie ten przypadek śmierci był moim pierwszym – oświadczył i otworzył drzwi.

* * *

Sypialnia dorównywała przestronnością i wspaniałością reszcie pomieszczeń w rezydencji. Królowało w niej szerokie łóż z miękkiego mchu, zaś za przepierzeniem z paprociowego papieru wydzielono, jak się domyślałem, przestrzeń łazienką. Nigdy nie widziałem niszy kąpielowej wewnątrz budynku, ale słyszałem o nich. W dwóch rogach pokoju po przekątnej stały lampion mai oraz kirpis filtrujący. Obok dostrzegłem dwa kufry oraz skórzaną torbę mieszczące zapewne dobytek prefekta Blasa.

Jednakże to kępa ulistnionych drzew pośrodku stanowiła najniezwykleszy element w tym pomieszczeniu. Najniezwykleszy, ponieważ wyrastała z człowieka. A raczej przerastała przez jego ciało.

Zwłoki tkwiły zawieszone pośrodku komnaty, przeszyte smukłymi pniami, ale zgodnie z zapowiedzią Otiriosa, początkowo trudno było dostrzec w nich ludzkie ciało. Widoczne w gęstwinie fragment tułowia oraz lewa noga zdawały się należeć do mężczyzny w średnim wieku, ubranego w purpurowe barwy Imperialnego Jaletu Inżynieryjnego. Prawego ramienia brakowało, zaś nogę pochłonęło kłębowisko korzeni wgryzających się w posadzkę z kamiennego drewna.

Po chwili wpatrywania się w skołtunioną masę wydawało mi się, że dostrzegam w niej różowawy guzek kości udowej.

Na podłodze wokół drzewa rozlała się ogromna kałuża krwi, gładka i połyskliwa jak lustro z czarnego szkła.

Poczułem podrygi w żołądku, zupełnie jakby ożył w nim węgorz, który usiłował się wydostać na zewnątrz.

Nakazałem sobie skupienie. Powściągliwość i opanowanie. Zacząłem oddychać. To teraz była moja praca, zapewniająca mi utrzymanie.

– Można bezpiecznie podejść, panie – zachęcił mnie Otirios, trochę nazbyt radośnie. – Sprawdziliśmy całe pomieszczenie. Bez obaw.

Podszedłem do zarośli, które z bliska okazały się nie skupiskiem cienkich drzewek, a kępą trawy o długich, elastycznych łodygach, podobnych do pustych zdrewniałych pędów rośliny, z których robiono rury i rusztowania. Wyglądało na to, że łodygi wyłaniały się spomiędzy barku i szyi Blasa. Dostrzegłszy zaplątane w nie kręgi, musiałem stłumić kolejną falę mdłości.

Najbardziej niezwykła była twarz Blasa. Zdawało się, że pędy, przebiwszy tors, rozgałęziły się i jedna z odrośli przebiła czaszkę, przekrzywiając głowę pod upiornym kątem; a następnie owinęła się powyżej górnej szczęki, pożerając, nos, czoło i uszy. Z głowy Blasa pozostała tylko żuchwa, obwisła w niemym krzyku, a ponad nią, z pofałdowanej kory wyłaniał się łuk zębów i podniebienia.

Przypatrzyłem się podbródkowi. Cień szarawego zarostu i ledwie widoczna blizna po jakimś wypadku lub bójce. Spojrzałem na pozostałe części ciała. Lewą rękę porastały jasnobrązowe włoski, skóra na palcach pokryta odciskami i spękana od ciężkiej pracy. Spodnie tak mocno przesiąkły krwią, że zebrała się ona w bucie, wypełniając go niczym opiwino kielich.

Poczuwszy kroplę cieczy, która spadła mi we włosy, zadarłem głowę. Pędy przebiły dach domu, a mgła wpływała do środka, zmieniając się w rosę.

– Łodygi wystają jakieś dziesięć spanów ponad dach, jeśli chciałbyś wiedzieć, panie – poinformował mnie Otirios. – Przebiły się przez czterospanowe pokrycie jak przez rybi tłuszcz. Niezła siła wzrostu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Jak długo to trwało? – zapytałem ochryple.

– Niecałe pięć minut. Tak twierdzi służba. Dom tak się trząsł, że myśleli, że to trzęsienie ziemi.

– Czy apotekarze dysponują czymś, co mogłoby spowodować coś takiego?

– Nie, panie. Owszem, Jalet Apotekarski posiada wszczepy i nasycenia modyfikujące wzrost roślin, które mogą na przykład skrócić dojrzewanie zboża do jednej czwartej cyklu rozwojowego, bądź wpłynąć na plony, zwiększając trzy lub czterokrotnie gabaryty owoców. Nigdy jednak nie stworzyliśmy substancji, która umożliwiłaby osiągnięcie pełnej dojrzałości rośliny w kilka minut. Nie mówiąc o takiej, która pobudziłaby jej wzrost we wnętrzu człowieka.

– Czy mamy powód przypuszczać, że śmierć Blasa jest wynikiem celowego działania?

– Trudno powiedzieć, panie. Ale jako inżynier dużo podróżował, może więc przypadkowo coś połknął albo uległ skażeniu. Nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić.

– Czy odwiedzał jeszcze kogoś? Albo zetknął się z innym zainfekowanym urzędnikiem lub funkcjonariuszem cesarskim?

– Nic na to nie wskazuje. Z tego, co wiemy, przybył tu prosto z innego kantonu, nie spotykając się z nikim po drodze.

– Czy kiedykolwiek odnotowano przypadek takiej skazy?

Otarios wydał pogardliwie wargi.

– Cóż, skazy występują w całym cesarstwie. Dziczące wszczepy, wypaczone nasycenia, samoistne modyfikacje... Każdy przypadek jest inny. Musiałbym to sprawdzić.

– Jednak jeśli to skaza, powinna się rozprzestrzeniać, czyż nie?

– Taka jest natura skażeń, panie.

– A więc jak to możliwe, że dotknęło tylko jednego człowieka i nikogo więcej?

– Trudno w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie, panie – przyznał Otarios. – Obecnie sprawdzamy poczynania Blasa. Wiemy, że przeprowadzał lustrację zewnętrznych kantonów, w tym murów morskich, dokonując oględzin konstrukcji. – Princeps zawahał się i urwał. – Niedługo pora deszczowa, panie.

Skinąłem z kamienną twarzą. Nadciągająca pora deszczowa ciążyła nad zewnętrznymi kantonami tak nieuchronnie, że usiłowanie zignorowania tego byłoby równie skuteczne, jak próba zapomnienia o istnieniu słońca.

– I nikt nie przebywał w tym pomieszczeniu, zanim nie wszedł do niego Blas? – zapytałem. – Nikt niczego nie dotykał?

– Naturalnie wchodziła tu służba. Musimy polegać na ich zeznaniach.
– Żadnych oznak wskazujących na próbę włamania do posiadłości?
– Nie, panie. To miejsce posiada więcej zabezpieczeń niż samo Cesar-
skie Sanktuarium. Nawet żeby się tu zbliżyć trzeba posiadać klucze reagen-
towe.

Zastanowiłem się nad tym, przypominając sobie liczbę okien i drzwi
w domu.

– Byłoby dobrze, panie, gdyby udało ci się to wyjaśnić – odezwał się
Otirios.

– Słucham?

– Doskonała sprawa, żeby wypłynąć. – Kolejny jego uśmiezek miał
odcień okrucieństwa. – Bo przecież tego pragniesz, panie? Awansu. To
chyba cel każdego funkcjonariusza?

– Moim celem jest należyte wypełnianie obowiązków – odparłem.

– Ależ oczywiście, panie.

Popatrzyłem na niego przeciągle.

– Zostaw mnie na chwilę samego, princepsie – poprosiłem. – Muszę
wyrzucić to miejsce w pamięci.

* * *

Otirios zostawił mnie przy zmasakrowanych przez drzewo zwłokach
i zamknął za sobą drzwi. Otworzyłem torbę mnemorytownika, którą zawsze
nosiłem przy sobie. Wewnątrz znajdowały się rzędy zakorkowanych butele-
czek zawierających po kilka kropel różnorodnych płynów, niektóre bladopo-
marańczowe, inne jasnozielone. Wydobyłem jedną, odkorkowałem i przyło-
żywszy do nosa, zaciągnąłem się mocno.

Ostry zapach łągu wycisnął mi łzy z oczu. Wetchnąłem woń jeszcze raz,
by pozostała wyraźna w mojej głowie. Potem zamknąłem oczy i zaczerpną-
łem tchu.

Poczułem za oczami trzepot czy łaskotanie, jakby moją czaszkę wypeł-
niała woda, w której skaczą małe rybki. I przywołałem wspomnienie.
W uszach zaszemrał mi głos zwierchniczki: Dokładnie obejrzyj miejsce
zdarzenia, Din. Przypatrzyć się wszystkiemu, czego mógł dotyczyć niebosz-
czyk. Myśl o zakamarkach, łatwych do przeoczenia, do pominięcia, o któ-
rych czyszczeniu służba mogła nie pomyśleć.

Otworzyłem oczy, potoczyłem spojrzeniem po pomieszczeniu i skoncentrowałem się pilnie, a woń ługu nadal kłębiła mi się w czaszce.

Studiowałem ściany, podłogę, ustawienie każdego mebla, układ każdego przedmiotu, linię każdego cienia, fałdę każdego koca – a dzięki skupieniu uwagi, wszystkie te obrazy wryły mi się w pamięć.

Niebiańskie Cesarstwo Khanum dawno temu udoskonalilo sztukę kształtowania życia, formowania korzenia i gałęzi, ciała i kości. I tak jak grzyb kirpis został zmodyfikowany, by oczyszczać i chłodzić powietrze, tak ja, jako cesarski mnemorytownik, zostałem ukształtowany, by pamiętać wszystko, czego doświadczałem w każdej chwili i na zawsze.

Patrzyłem i patrzyłem, od czasu do czasu wachając trzymaną w dłoni fiolkę. Rytownicy zapamiętywali wszystko, ale późniejsze przywoływanie tych wspomnień stanowiło zupełnie inną kwestię. Zapach wykorzystywano w tym przypadku jako wskazówkę: podobnie jak zwyczajni ludzie, rytownicy kojarzyli wspomnienia z wonią, więc później, kiedy siedłem z raportem do zwierzchniczki, otwierałem tę samą fiolkę, wypełniałem czaszkę tymi samymi oparami i używałem zapachu jako bramy wiodącej do zbioru przeżyć. Z tego powodu niektórzy nazywali rytowników „wachaczami szkła”.

Kiedy skończyłem z pokojem, podszedłem do kępy i mrużąc oczy, przyglądałem się pędom, obchodząc roślinę dookoła. Zauważyłem na jednej z łodyg kwiat, samotny, delikatny, ale jednak kwiat.

Zbliżyłem się doń, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę krwi, i przyjrzałem się mu uważnie. Wydzielał mdły zapach, który kojarzył mi się z wymiocinami po nadużyciu opiwina. Na wewnętrznych, jasnofioletowych płatkach żółciły się plamki, a ciemne pręciki były skręcone. Mały, paskudny kwiatek.

Następnie wydobyłem z bagaży wszystkie rzeczy Blasa i ułożyłem je przed sobą. Sakiewkę z talintowymi monetami, mały nóż, kilka koszul, kaftanów, spodni i pas. Do tego pochwę z imperialnym mieczem o ozdobnym jelcu, lekką kolczugę, prawdopodobnie na wypadek jakiejś nieprzewidzianej sytuacji – zbroję bojową trudno byłoby dźwigać w bagażu – a na koniec mały słoiczek z olejem.

Powąchałem. Aromat przebijał panujący w tym miejscu smród. Przyprawy korzenne, liście oranżu, może kadzidło. Przymknąłem powieki, szukając w pamięci podobnego zapachu – i odnalazłem podobny.

Nieco ponad rok wcześniej: Leonie, moja przyjaciółka, podsunęła mi pod nos mały słoiczek.

– Olejki terapeutyczne. Do masażu i innych rzeczy. Żadna taniocha! – powiedziała.

Jednak naczynie Blasa było o wiele bardziej wyszukane. Obróciłem je w dłoń, a potem wsunąłem z powrotem do torby. Robiąc to, zauważyłem coś, co wcześniej przeoczyłem: mały notes. Serce mi zamarło. Wyjąłem książeczkę i przewertowałem kilka stron. Pokrywało je drobne pismo, które byłoby ledwo czytelne dla większości ludzi, ale przed moimi oczyma drobne literki tańczyły i podrygiwały i wiedziałem, że będę miał ogromne trudności z ich odczytaniem.

Spojrzałam przez ramię na zamknięte drzwi. Słyszałam głos Otiriosa w korytarzu. Skrzywiłem się, chowając notes do kieszeni. Zabieranie dowodów z miejsca zdarzenia to poważne naruszenie zasad, ale miałem własny sposób na czytanie. Nie mogłem go wykorzystać tutaj.

Zajmę się tym później, powiedziałem sobie. A potem odłożymy notes na miejsce.

Następnie sprawdziłem pomieszczenie łazienne. Znajdowała się w nim balia z kamiennego drewna oraz jedno, wysoko umieszczone okienko, zbyt małe, aby ktokolwiek mógł przez nie wejść. Mimo to zanotowałem w duchu, żeby później zbadać trawę pod nim. Spojrzałem na lustro z polewanego brązu wiszące na ścianie i postukałem w nie, upewniając się, że przylega do ściany. Przyjrzałem się rurom z łodyg strzelisłomki, po czym odsunąłem się i powiodłem wzrokiem po ścianach i suficie, zastanawiając się, w jaki sposób rury doprowadzają gorącą wodę z odległego zbiornika. Uznałem, że to prawdziwy cud, epokowy wynalazek.

Zerknąłem przelotnie przez ramię, a potem odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy dobrze widzę. Wzdłuż górnej krawędzi papierowego przepierzenia tu i ówdzie ciemniły się małe plamki – wykwyty pleśni.

Nigdy nie widziałem, żeby na ściankach z paprociowego papieru pojawiła się pleśń. A już na pewno nie spodziewałem się znaleźć jej tutaj, na tych tak czystych, białych ścianach. Mieszkańcy obrzeży cesarstwa powszechnie stosowali ten papier jako budulec, właśnie ze względu na jego odporność na pleśń, a także lekkość, bowiem gdy podczas częstych w tamtych rejonach trzęsień ziemi waliły się budynki, lepiej było, żeby ich ściany były z papieru niż z kamienia.

Przyjrzałem się uważnie pleśni i ponownie powąchałem fiolkę z ługiem, by łatwo przypomnieć sobie ten widok. Jeszcze raz spojrzałem na półtrupa, zastygłego w agonialnym krzyku. Kapiąca z góry kropla spadła na krawędź buta Blasa, wzbudzając maleńką fontannę, i po cholewce spłynęła czerwona strużka, zasilając jezioro krwi na posadzce. Kałuża powiększyła się o milispanspan.

Żołądek znów boleśnie dał o sobie znać. Obróciłem głowę, spoglądając w brązowe zwierciadło, i zamarłem. Z gładkiej tafli wpatrywało się we mnie oblicze.

Twarz z odbicia należała do bardzo młodego mężczyzny. Spod gęstej, czarnej czupryny wyglądały ciemne, zatroskane oczy okolone skórą o lekko szarawym odcieniu, typowym dla osoby poddanej znaczącym modyfikacjom. Delikatnie zarysowany podbródek, długi nos – regularne rysy, ani męskie, ani surowe, ani przystojne, tylko ładne, co wyglądało nieco dziwnie u osoby moich słusznych gabarytów.

Twarz ta nie pasowała do asystenta śledczego Jurysu. Nie pasowała do kogoś, kto miał prawo stać w tym miejscu. Co najwyżej do chłopca bawiącego się w przebieranki, besztającego przedstawiciela władzy, którego nigdy nawet mu się nie śniło rozstawiać po kątach.

A co, gdyby ktoś odkrył, w jaki sposób dostałem obecne stanowisko?

Mój żołądek skręcał się, podskakiwał, tańczył. Podbiegłem do okienka w pomieszczeniu łazienym, wychyliłem się i zwymiotowałem.

– Niech to szlag! – usłyszałem i sapiąc po wysiłku, spojrzałem w dół. Dwóch funkcjonariuszy Apoteki stało w ogrodzie, gapiąc się na mnie z nieskrywanym oburzeniem.

– Niech to... – stęknął jeden z nich.

– Zaraza – warknąłem. Cofnąłem się do środka i zatrzasnąłem okno.

* * *

Z braku chusteczki otarłem usta podszewką płaszcza. Potem powąchałem plamę i przełknąłem, trzy... cztery... pięć razy, usiłując zatrzymać w sobie kwaśny posmak i zapach. Omijając ostrożnie kałużę krwi, podszedłem do drzwi i otworzyłem, chcąc wyjść. Przystanąłem jednak w progu.

Dobiegł mnie głos Otiriosa rozmawiającego z innym funkcjonariuszem Apoteki:

– ...mikry, nadęty kutas, ledwie co mleko pod nosem stracił – mówił princeps. – To chyba o nim słyszałem od innych Sublimów. Ponoć najgłupszy z nich, już ze sto razy omal nie wyleciał. Nie mogę uwierzyć, że pracuje dla śled...

Ruszyłem w stronę głosów.

– Princepsie.

Gdy wyłoniłem się zza zakrętu, Otirios niezgrabnie stanął na baczność.

– Tak, panie?

– Zanim porozmawiam ze świadkami, zamierzam obejrzeć dom i teren – oznajmiłem. – W tym czasie proszę umieścić świadków w osobnych pomieszczeniach i pilnować ich tak, żeby nie mogli się porozumiewać. Niech wasi funkcjonariusze pilnują również wszystkich wyjść, na wypadek gdyby ktoś jednak posiadał dodatkowy klucz reagentowy i usiłował dostać się lub opuścić posiadłość.

Otirios zbladł, wyraźnie niezadowolony z perspektywy zarządzania tak liczną grupą przez tak długi czas. Otworzył usta, by zaprotestować, po czym zamknął je niechętnie.

– I jeszcze jedno, princepsie. – Uśmiechnąłem się do niego szeroko. – Niezmiernie doceniam pańskie wsparcie.

Odchodząc, nie przestawałem się uśmiechać. Nigdy dotąd nie wydałem podobnego rozkazu i bardzo mi się to spodobało. Nie mogłem co prawda zganić Otiriosa, gdyż należał do innego jaletu, innej jednostki administracyjnej, ale mogłem przydzielić mu główniane zadanie, przy którym utknie na dłuższy czas.

Wędrowałem po rezydencji, od czasu do czasu wachając fiolet, sprawdzałem każdy korytarz, każde pomieszczenie, a przy każdych drzwiach natykałem się na insygnia rodu Haza – pióro pomiędzy drzewami.

Hazów z pewnością stać było na kirpisy w każdym większym pomieszczeniu, jednak ten w zachodnim końcu budynku, przy kuchni, zasychał i zamierał. Zanotowałem sobie ów fakt, po czym ruszyłem dalej, starannie sprawdzając wszystkie okna i drzwi. Zauważyłem, że większość z nich wykonano z paprociowego papieru. Wszystkie śnieżnobiałe i prawdopodobnie warte więcej niż moja miesięczna pensja.

Przeszedłem przez kuchnię i wtedy zauważyłem coś pod piecem: plamkę krwi. Dotknąłem jej delikatnie. Wciąż była wilgotna i ciemna. Oczywiście krew w kuchni to nic niezwykłego, ale wyryłem sobie ten obrazek w pamięci. Następnie wyszedłem na zewnątrz.

Ogrody urządzono z pietyzmem i ze smakiem. Nad malowniczymi strumykami przerzucono urokliwe mostki. Widoki jak z bajek o duchach dla dzieci, mimo to, wędrując ścieżkami i kłaniając się apotekarzom, wciąż szukającym skażenia, nie znalazłem nic ciekawego.

W końcu dotarłem do miejsca, gdzie zwymiotowałem przez okno i sprawdziłem, czy w trawienie kryją się ślady drabiny lub czegoś podobnego. Również i tu niczego nie znalazłem.

Na koniec zostawiłem sobie domek dozorczy. Uroczy, jak wszystko wokół, został zbudowany z papierowych połaci. Na licznych półkach zieleńły się maleńkie roślinki, które dozorca najwyraźniej rozmnażał. Do tego kolorowe kwiatki, niektóre świeże, inne już więdnące. W chatce znajdował się całkiem spory gliniany piec. Zajrzałem do środka i na dnie zauważyłem popiół, a gdy dotknąłem cegły, odkryłem, że jest jeszcze lekko ciepła, jakby węgle tliły się przez noc.

Ponownie obszedłem ogrody, aby sprawdzić, czy zobaczyłem wszystko, co było do zobaczenia. Następnie rozejrzałem się i upewniwszy, że jestem sam, wyciągnąłem z kieszeni notes Blasa. Otworzyłem go, przymrużyłem oczy, wpatrując się w roztańczone słowa, i zacząłem czytać na głos.

– Segment muru... 3C – mamrotałem. – Data inspekcji: czwarty egina... dwie tony piasku, dwie tony gliny...

Czytałem mozolnie, zacinając się na drobnych literkach i słuchając własnego głosu. Miałem duże problemy z czytaniem i zapamiętywaniem tekstu, ale jeśli odczytywałem go na głos i słuchałem słów, mogłem je zapisać w pamięci, podobnie jak wszystko inne, co słyszałem.

Czytałem tak szybko, jak zdołałem. Był to głównie zapis z inspekcji prefekta z wpisami takimi jak: „ck. 6 do 8 egin, mosty Paytasiz w północnej części kantonu Tala – wszystkie przejezdne” itd. Najwyraźniej w miesiącu egin, ponad cztery tygodnie temu, prefekt był bardzo zajęty. Nie miałem pojęcia, czy w zapiskach znajdowało się coś istotnego, ale jako mnemotownik miałem obowiązek wszystko wyryć w pamięci.

Skończywszy zapamiętywać notes, ruszyłem w stronę domu, po drodze pokonując kolejne mostki. Nigdy wcześniej nie przesłuchiwałem świadków, a już na pewno nie pracowników szlacheckiego rodu. Zastanawiałem się, jak zacząć.

W jednym ze strumieni wychwyciłem swoje odbicie, poszarpane i rozmyte przez nurt. Przystanąłem na mostku. Nie spieprzmy tego, dobra? – przykazałem swojej falującej twarzy.

Pokonawszy ostatnią kładkę, wróciłem do domu.

* * *

Jako pierwsze przycisnąłem dziewczki służebne, jako że to one miały dostęp do pokoju Blasa. Zacząłem od tej rozhisteryzowanej, drobnej chudzinki o wąskich ramionkach i cienkich nadgarstkach. Trudno mi było sobie wyobrazić, jak ktoś o tak nikłej posturze nosił góry naczyń po tych długich korytarzach. To ona przybiegła, słysząc krzyki Blasa. Jego wołania o pomoc rozległy się o ósmej rano, jak mi powiedziała, tuż przed śniadaniem.

– Wołał o pomoc? – upewniłem się.

Skinęła, a łza, która spłynęła jej po policzku, zawisała niepewnie w zagłębieniu przy skrzydełku nosa.

– Mówił, że... że boli go za mostkiem. Że ciężko mu złapać oddech. Schodził na śniadanie, ale zawrócił z drogi do pokoju. Weszłam tam i chciałam, żeby się położył na podłodze, a wtedy... wtedy...

Pochyliła głowę, a niezdecydowana łza spłynęła jej po wardze. Potem rozplakała się na dobre.

– Prze...przepraszam – łkała, starając się bezskutecznie opanować. – Za...apomniałam zapyta...ać. Napije się pan, hhe...rbaty?

– Ach, nie, bardzo dziękuję.

Nie wiem dlaczego, ale moja odmowa wywołała w niej kolejną falę szlochów. Odczekałem, aż się uspokoi, a ponieważ nie przestawała płakać, pozwoliłem jej odejść.

Zawołałem następną dziewczynę, starszą służącą. Ephinas usiadła powoli. Poruszała się ostrożnie, z namysłem, jak ktoś nawykły do tego, że stale jest obserwowany. Potwierdziła wersję pierwszej służącej. Blas przybył późnym wieczorem, wziął kąpiel i poszedł spać. Wszystko wydawało się zupełnie normalne aż do rana, kiedy zaczął wołać o pomoc. To nie Ephinas do niego poszła, więc nie wiedziała nic więcej. Ożywiła się jednak, gdy zapytałem, czy Blas zatrzymywał się tu wcześniej.

– Tak. – Pokiwała głową. – Państwo często pozwalali mu tu nocować. Dobrze się znali.

– Czym ten pobyt różnił się od poprzednich? – zapytałem. – O ile się różnił.

– No tak – przytaknęła po chwili wahania.

– W jaki sposób?

Znów wahanie.

– Tym razem zostawił nas w spokoju – wyznała cicho. – Może po prostu nie zdążył nic zrobić.

Kaslnąłem i zaciągnąłem się wonią z fiolki, licząc, że nie zauważy, jak się rumienię.

– Powiedz mi, proszę, o tym coś więcej.

Powiedziała. Z jej słów wynikało, że Blas był wstrętnym sukinsynem, który dobierał się do służących, gdy tylko udało mu się je zdybać na osobności. Ephinas nie wiedziała na pewno, czy któraś z dziewcząt odwzajemniła jego zainteresowanie, ale w to wątpiła, choć wszystkie traktował tak samo.

– Co było powodem jego wizyty tutaj? – zapytałem.

Spuściła oczy.

– Jest przyjacielem państwa Hazów.

– Przyjacielem... I to wszystko? To jedyny powód, dla którego tu przyjechał?

– Tak.

– Czy to nie dziwne, że gość nocuje w domu podczas nieobecności gospodarzy?

Zerknęła na mnie lekceważąco, a potem zmierzyła mnie wzrokiem, zatrzymując się dłużej na tanich butach i przyciasnym płaszczu.

– Wśród arystokracji to nic niezwykłego.

Najwyraźniej nawet służący uważali się za bardziej światowych ode mnie. No cóż, pewnie mieli rację.

Zadałem jej jeszcze kilka pytań, ale im dłużej ją wypytywałem, tym oszczędniejszych udzielała odpowiedzi, coraz bardziej zamykając się w sobie. Zanotowałem to w myślach i kontynuowałem przesłuchania następnych służących.

Zapytałem pozostałe dziewczęta o zachowanie Blasa. Wszystkie potwierdziły, że je napastował, ale wszystkie twierdziły także, że jedyny kontakt miały z nim podczas tych nieprzyjemnych chwil. Żadna nie miała do dodania nic więcej.

– Nie widziałam nic szczególnego przed jego śmiercią – stwierdziła ostatnia kategorycznie. Była odważniejsza, głośniejsza i bardziej gniewna od pozostałych. Zdecydowanie mniej skora znosić w cichości przykrości, jakie bywają udziałem służby. – Na pewno nie w nocy.

– Jesteś pewna?
– Na pewno – potwierdziła. – Prawie nie spałam tej nocy.
– O? Dlaczego?
– Było mi gorąco. Strasznie gorąco.
Zastanowiło mnie to.
– Śpisz w pobliżu kuchni?
– Tak, a co?
– Ponieważ tamtejszy kirpis więdnie. Może dlatego było tak gorąco?
– Kolejny zamiera? – Zdawała się zaskoczona.
– A to nie pierwszy?
– Są bardzo wrażliwe na nadmiar wody. Jak mają zbyt mokro, więdną i zdychają.

– Mokro? W jakim sensie?
– W każdym. Za dużo deszczu, za duża wilgoć... Wystarczy zostawić w pobliżu grzyba otwarte okno czy drzwi i od razu zaczynają chorować. Szczególnie teraz, gdy zbliża się pora deszczowa. Są kapryśne jak cholera.

Odchyliłem się na oparcie i skupiłem mocno. Poczułem trzepotanie na obrzeżach świadomości i przywołałem obrazy z przeszukania domu. Każde pomieszczenie pojawiała się w mojej pamięci jasno i wyraźnie niczym mucha uwięziona w kropli miodu. Nie widziałem żadnych otwartych okien ani drzwi. Więc jak mogły paść te kirpisy?

– Czy ty, albo ktoś inny, zamykał jakieś okno lub drzwi po śmierci Blasa?

Spojrzała na mnie niepewnie.

– Po tym, co zobaczyliśmy, panie, ledwie mogliśmy ustać na nogach, o pracy nie wspominając.

Uznałem to za zaprzeczenie, czyli że nie, nie zamykali żadnych drzwi ani okien, a potem kontynuowałem przepytывanie.

* * *

Gdy skończyłem ze służącymi, zabrałem się ostro za przesłuchanie kucharki. Pytanie o ślady krwi w kuchni nie wywarło na niej żadnego wrażenia.

– A jak myślisz, panie, skąd mogła się wziąć krew w kuchni? – zripostowała.

– Zraniłaś się?

– Nie, oczywiście, że nie. Jestem na to za stara i zbyt doświadczona. I zbyt dobra. Jeśli była tam jakaś krew, to pewnie z tego lardacza, co mu go na śniadanie robiłam. Tego, co go nie zjadł. – Ryba? Na śniadanie? – Skrzywiłem się z niesmakiem.

– Lubiał lardacze – odparła. – Podobno trudno o nie tam, gdzie pracował, przy murach. – Nachyliła się bliżej. – Jak dla mnie to ten cały Blas przywłókł coś stamtąd, spod murów morskich. Jakiegoś pasożyta albo inne świństwo. Jak sobie pomyślę, co za tałatajstwo tam żyje... No przecież po coś te mury postawili. Sanktuarium jedno wie, jakie dziwactwa mogą stamtąd przywlec!

– Nic się tu nie przedostanie. Od tego są właśnie te mury.

– Tak? Ale kilka lat temu zrobił się wyłom – powiedziała zachwycona, że może podzielić się taką okropnością. – Jeden z tych potworów się przedostał i zdążył zniszczyć miasto na południe stąd, zanim Legion go zabił. Teraz drzewa, które tam rosną zaczęły kwitnąć, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiły. Bo te drzewa po prostu nie kwitną.

– Jeśli można, chciałbym wrócić do wydarzeń z zeszłej nocy...

– Wydarzeń! – prychnęła drwiąco. – Gość złapał skazę i tyle. O czym tu więcej mówić?

Przycisnąłem ją mocniej, ale nie powiedziała mi już nic ciekawego, więc pozwoliłem jej odejść.

* * *

Potem wziąłem w krzyżowy ogień pytań ogrodnika Uxosa. Okazało się, że nie tylko dozoruje posiadłość, ale wykonuje też różne dziwne prace przy domu, naprawia ściany i drzwi z papieru paprociowego. Bardzo zahukany i chyba za stary na dozorcę. Wydawał się przerażony na samą myśl o naprawach zniszczeń dokonanych przez roślinę w sypialni.

– Nie wiem nawet, co to za drzewo – poskarżył się. – W życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Zakwitło – powiedziałem. – Wypuściło mały, biały kwiatek. – Opisałem wewnętrzne, fioletowe, nakrapiane żółto płatki i słodkawy, mdlący zapach. Pokręcił głową.

– Nie, nie kojarzę takiego kwiatka. Ani drzewa. Nic o nim nie wiem.

Zapytałem go o kirpis, powtórzył to, co mówiła służąca, że giną od nadmiaru wody. Nie wiedział, w jaki dokładnie sposób stało się to w tym

wypadku.

– Może ktoś go przelał? – zasugerował. – Albo wylał do niego napitek? To kosztowne grzyby, ale czasem się tak zdarza. Są bardzo wymagające w pielęgnacji. Chłodzenie powietrza to skomplikowany proces. Do tego na korzeniach rosną im takie czarne owoce, które trzeba wybierać...

W końcu zadałem mu też pytanie o piec w chatce i popiół na ruszcie.

– Oczyszczam ogniem narzędzia – wyjaśnił. – Niektóre rośliny są bardzo delikatne i łatwo zarażają się grzybami jeden od drugiego. Dlatego wkładam narzędzia w ogień, żeby je oczyścić.

– Nie ma do tego specjalnych płynów? Jakiegoś mydła czy czegoś innego do oczyszczania narzędzi?

– To kosztowne. Ogień jest tani.

– Hazowie chyba nie dbają za bardzo o wydatki?

– Patrzą na pieniądze, oj patrzą. Jak człowiek dużo kosztuje, to go zwalniają. A ja się bardzo staram być tani. Nie chcę odchodzić.

Zauważyłem troskę w jego oczach. Wiedział, że jest już stary, za stary na dozorcę. Przycisnąłem go jeszcze, ale nie miał już nic więcej do powiedzenia, więc go puściłem.

* * *

Na koniec zostawiłem sobie ochmistrzynię, panią Gennadios, zarządzającą rezydencją pod nieobecność właścicieli. Starsza kobieta, o pomarszczonej, mocno wymalowanej twarzy miała na sobie kosztowną, zieloną szatę z miękkiej, lśniącej tkaniny – jedwabiu sazi, który wyrabiano w wewnętrznych pierścieniach cesarstwa. Po wejściu zatrzymała się tuż za progiem i otaksowała mnie chłodnym, przenikliwym okiem. Dopiero potem usiadła wysztywniona, kolana złączone, nogi pod kątem, dłonie na podołku, ramiona ścignięte, wzrok wbity w kąt pomieszczenia.

– Coś nie tak, pani? – zapytałem.

– Chłopiec – wypuściła słowo tonem suchym i napiętym niczym cięciwa. – Przysłali nam chłopca.

– Nie bardzo rozumiem?

Znowu oszacowała mnie kątem oka.

– I ktoś taki uwięził nas we własnym domu, w domu naszych państwa, i nie pozwolił ruszyć tego przekłętego trupa. Wielki, przerośnięty dzieciak.

Zamilkła na długą, lodowatą chwilę.

– Ktoś w tym domu zginął, pani. Potencjalnie z powodu skażenia. Czegoś, co mogło zabić również i was. Nie chce pani, byśmy to zbadali?

– To gdzie wobec tego śledczy, który powinien tę sprawę badać?

– Śledcza nie mogła przybyć osobiście. Przysłała mnie, abym zebrał informację i złożył jej szczegółowy raport z wizji miejsca zdarzenia.

Spojrzenie, którym mnie obdarzyła, przypominało to, którym węgorz kontempluje rybę przepływającą przed jego jaskinią.

– No to zadawaj mi te swoje pytania, panie – ponagliła mnie. – Mam dużo pracy, muszę załatać tę przekłętą dziurę w dachu. No, dalej.

Zaciągnąłem się zapachem z fiolki i zapytałem o charakter pobytu Blasa. Zareagowała wzruszeniem ramion, najdrobniejszym i najbardziej nieszczerym, jakie w życiu widziałem.

– Jest przyjacielem państwa Hazów.

– Jedna ze służących powiedziała to samo – zauważyłem.

– Bo to prawda.

– Tymi samymi słowami.

– Bo to prawda.

– A państwo często zezwalają przyjaciołom nocować w swoich domach?

– Państwo Hazowie mają wielu przyjaciół i wiele domów. Czasami ich przyjaciele się tu zatrzymują.

– I nikt z rodziny nie zamierzał się tu nim spotkać?

– Moi państwo – rzekła z wyższością – wolą przebywać w bardziej cywilizowanych okolicach niż ten kanton.

Odpuściłem, przechodząc do kolejnych pytań, tym razem o to, gdzie są przechowywane klucze reagentowe.

– Wszystkie zamykamy na noc. Jedynie ja i Uxos posiadamy przy sobie komplet, na wypadek nieprzewidzianych okoliczności.

Wypytałem ją o klucze zapasowe, o ich ewentualne dorabianie i tak dalej, ale odrzuciła moje sugestie jako coś niemożliwego.

– A modyfikacje? Czy ktoś ze służby posiada wszczepy imperialne?

– Oczywiście. Poprawiające odporność i przeciwpasożytnicze. Ostatecznie mieszkamy na Obrzeżach.

– Nic bardziej zaawansowanego?

Pokręciła głową. Zrobiło mi się nieprzyjemnie gorąco. Nie podobała mi się jej usztywniona pozycja i te oszczędne ruchy. Głowę przekrzywiała tylko tyle, żeby zerknąć na mnie przelotnie kątem oka, jak jakieś cholerne ptaszysko.

– To może mi powiesz, pani, jakie relacje łączą prefekta z rodziną Hazów?

– Przyjaźnili się – powtórzyła dobitnie.

– Od jak dawna?

– Nie znam charakteru każdej znajomości moich państwa, nie mnie to osądzać.

– A wielu mają przyjaciół w Daretanie?

– Owszem. W różnych jaletach, jeśli o to chodzi. – Łypnęła na mnie złowrogo. – Wiele na stanowiskach. Wysokich.

Uśmiechnąłem się uprzejmie, choć groźba w jej głosie wybrzmiała wyraźnie. Ponieważ nic więcej nie zdołałem z niej wydobyć, zakończyłem przesłuchanie.

* * *

I to by było na tyle – świadkowie przesłuchani, ruchy służby prześledzone, godziny wejść i wyjść ustalone. Jedynym, który przybył do posiadłości w ciągu minionego dnia, był sam prefekt Taqtasa Blas, który zawitał w progi tego domu tuż po jedenastej w nocy, dwudziestego dziewiątego dnia miesiąca skalasi. Zaraz po przyjeździe wziął kąpiel i położył się spać. Obudził się nazajutrz, trzydziestego skalasięgo, wyszedł z pokoju, aby udać się na śniadanie, ale zawrócił i umarł w niewyobrażalnie koszmarny sposób.

Chociaż uważałem, że wykonałem całkiem niezłą robotę – może poza rozmową z ochmistrzynią – nie potrafiłem wyciągnąć żadnych wniosków na temat tego, co tu zaszło, czy Blas zastał zamordowany, a nawet czy w ogóle okoliczności jego śmierci były podejrzane.

Skażenia się przytrafiały, szczególnie tym, którzy pracowali przy murach morskich.

W drodze do wyjścia zatrzymałem się jeszcze w sypialni. Chciałem jeszcze raz rzucić okiem na zwłoki, ale przede wszystkim, by odłożyć notes Blasa na miejsce. Czułem się dziwnie, wsuwając dziennik z powrotem do torby, jakby zastygła w krzyku twarz za moimi plecami śledziła moje poczynania. Mimo strasznego stanu zwłok ten wyraz bólu był tak wyraźny, jakby nieboszczyk nadal czuł pędy rośliny, które wiją się wewnątrz niego i rozrywają mu ciało.

Na zewnątrz podziękowałem czekającemu na mnie Otiriosowi, który miał odprowadzić mnie do bramy dla służby.

– Czy możemy już zabrać ciało do zbadania, panie? – zapytał.

– Raczej tak, ale niech wszyscy świadkowie pozostaną jeszcze na terenie posiadłości. Po wysłuchaniu raportu śledcza prawdopodobnie będzie chciała wezwać niektórych, żeby przesłuchać ich osobiście.

– Świetnie ci poszło, panie.

– Słucham?

– Jeśli mogę zauważyć, to świetnie sobie poradziłeś, z tym dochodzeniem, panie. – Uśmiechnął się do mnie promiennie, jak dumny starszy brat. Taką familiarność widywałem dopiero po czwartym dzbanie opiwina. – Choć jeśli mogę ci coś doradzić, panie, to sugeruję następnym razem nieco większą życzliwość w obejściu. Widywałem grabarzy przystępniejszych od ciebie, panie.

Aż przystanąłem i spojrzałem na niego. Po chwili wznowiłem wędrówkę malowniczymi ścieżynkami aż do bluszczobramy.

– Ciągle jednak zachodzę w głowę, panie... – odezwał się Otirios już po drugiej stronie muru.

– Tak, princepsie? Jaką to kolejną świątłą radę dla mnie macie?

– Czy nie byłoby łatwiej, gdyby śledcza przybyła tu osobiście?

– Nie – odrzekłem bez wahania. – Zapewniam cię, princepsie, nie byłoby łatwiej, gdyby śledcza przybyła tu osobiście. I mówię to z pełnym przekonaniem.

– Uwierz mi na słowo, absolutnie nie byłoby łatwiej – dodałem już do siebie, ruszając w drogę powrotną do miasta.

Rozdział drugi

W Daretanie nie było miasta jako takiego, raczej skupisko zabudowań imperialnych jaletów mieszczące się przy skrzyżowaniu głównych traktów. Obejmowało liczne parcele, magazyny, stodoły, w których trzymano materiały oraz żywiec, nieustannie transportowane pod morskie mury. Tego popołudnia panował tu zwykły kocioł, pełen błota, ludzi i natłoku końskiego cielska. Meandrowałem skrajem miasta na południe, przystając, żeby przepuścić wozy i furmanki, aż ujrzałem znajomy widok – konie o brzuchach umazanych czerwono-brązowym błotem, roje brzęczących much, przepoceni legioniści, inżynierowie i funkcjonariusze innych jaletów wykrzykujący nazwiska oraz rozkazy, nie przejmując się, czy ktokolwiek ich słyszy i czy ich wrzaski przykuwają czyjąkolwiek uwagę. Kłaniałem się, kiwałem głową, znów kłaniałem, znów kiwałem głową, aż w końcu wydostałem się z tej kotłowaniny i zanurzyłem w gęstwinie dżungli.

W lesie było ciemno, a powietrze falowało od gorąca. Słońce minęło już zenit, a bladoświatliste włócznie przebijały się przez zielony baldachim listowia. Odnalazłem wąską ścieżkę prowadzącą do domu mej zwierzchniczki i podążyłem nią, witany świergotem żab i chrząszczy. W pewnej chwili skąpane w parze listowie rozstało się i ujrzałem ocienioną kwaterę mieszkalną z formobluszczu.

Zacząłem iść pomiędzy pniakami. Gdy parę miesięcy temu moja pani przybyła do kantonu objąć stanowisko tutejszego śledczego Jurysu, inżynierowie wycięli drzewa, a potem stworzyli dla niej dom z formobluszczu, zmodyfikowanego pnącza, które apotekarze potrafili zmusić do wyrastania w konkretnym kształcie. Pokonywałem tę drogę tyle razy, że szedłem po własnych śladach. Moja zwierzchniczka nie wyszła z domu ani razu, odkąd w nim zamieszkała.

Wspiąłem się na schodki frontowe i zobaczyłem leżącą przed wejściem stertę książek obwiązanych sznurkiem. Domyśliłem się, że to przesyłka z poczty daretkańskiej. Pochyliłem się i odczytałem kilka tytułów. Jak zwykle litery tańczyły mi przed oczami, utrudniając złożenie ich w słowa, a falujące światło w lesie nie ułatwiało sprawy, jednak udało mi się odczytać „Zestawienie transferu dóbr ziemskich, Kanton Qabirga w latach 1100–

1120” oraz „Teorie związane ze wzrostem masy czmychokraba wschodniego od roku osiemsetnego”.

– Ki lewiatan? – mruknąłem, a potem zamilkłem, nasłuchując.

Dobiegł mnie rechot ciskożaby, a potem niski zaśpiew skowronka, ale naraz uświadomiłem sobie, że słyszę jeszcze inny dźwięk, męski pomruk, którego źródło znajdowało się w domu. Przycisnąłem ucho do drzwi i usłyszałem wyraźniej, najpierw głos mojej zwierzchniczki, ale potem i drugi, męski. Ten ostatni zdradzał zaniepokojenie, wręcz zdenerwowanie.

– Niech to szlag – zakląłem. – Wyszła i złapała kolejnego...

Otworzyłem i wpadłem do środka.

* * *

To, co jako pierwsze rzuciło się w oczy we wnętrzu formobluszczowego domku, to książki. Cała masa książek – na półkach, w stertach, istne góry tomów na wszelkiego rodzaju enigmatyczne tematy. Moja zwierzchniczka dosłownie żyła na książkach, często używając ich jako biurka czy nocnego stolika. Musiała sobie nawet wydrążyć w nich grotę, żeby postawić łóżko.

Rozejrzałem się poprzez przełęcz tomów i przedarłem na tyły domku, do gabinetu. Już z daleka widziałem stopy kogoś siedzącego tam na krześle, stopy obute w czarne, lśniące oficerki. Przyglądziłem włosy i wszedłem do środka.

Pomieszczenie wyglądało jeszcze gorzej niż dnia poprzedniego. Spowiadała je platanina pędów roślin doniczkowych, wielu egzotycznych i równie wielu na wpół uschniętych. Do tego wszędzie walały się instrumenty strunowe w różnych stadiach rozkładu. Tego dnia na niewielkim wyściełanym stołku siedział jakiś kapitan inżynierów, chudy, w średnim wieku i śmiertelnie przerażony.

Powód jego lęku był oczywisty, albowiem większość ludzi ogarnia owo uczucie w obecności mojej zwierzchniczki. Immunisa Anagosa Dolabra, śledcza Jurysu kantonu Daretana, siedziała na podłodze tyłem do kapitana, pracując nad jednym ze swoich projektów. Urządzenie składało się z płataniny drutów i struny dla mnie pozbawionej sensu. Najprawdopodobniej remontowała jedną ze swoich harf situr – była zapaloną, choć niedbałą muzyczką – i konstruowała z niej coś w rodzaju krosna.

– Mówiłam ci, Din, i to nie raz – odezwała się. – Zawsze pukaj.

Wyprężyłem się na baczność, z rękami splecionymi za plecami, ściągniętymi ramionami, prostymi kolanami.

– Wydawało mi się, że słyszę głosy, pani. Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Och, nie ma się czym martwić. – Spojrzała przez ramię, uśmiechając się, a pasmo jej śnieżnobiałych włosów opadło na policzek niczym pióropusz egzotycznego ptaka. Stałem wyprostowany, choć mnie nie widziała przez szkarłatną przepaskę na oczach. – Prowadzimy z kapitanem niezwykle zajmującą konwersację – stwierdziła.

Kapitan łypnął na mnie ze zgrozą.

– Ach tak? – skwitowałem.

– Tak! – potwierdziła i znów zajęła się swoją pracą. – Drogi kapitan nadzoruje prace nad siecią rowów nawadniających w Daretanie. Jego ekipa podczas robót odkryła ruiny sprzed wieków, pozostałości po konstrukcjach zbudowanych przez ludzi zamieszkujących te tereny przed przyłączeniem ich do Imperium, czy nie tak, kapitanie Tische?

Biedak wbił we mnie przełknięte oczy i poruszył bezgłośnie ustami: „Pomocy!”.

– Co ciekawe – ciągnęła Ana – najwyraźniej część budynków wzniesiono, układając cegły w jodełkę, która to technika wymaga znacznie mniej zaprawy! Czyż to nie fascynujące?

Kapitan rozpaczliwie gestykulował, wskazując na wyjście.

– Niezwykle fascynujące, pani – przytaknałem.

– Szczególnie że – podjęła – dawno już ukułam teorię, że większość Kurminów, zamieszkujących obecnie trzeci pierścień cesarstwa, migrowało właśnie stąd, zanim te ziemie włączono do Imperium. To znalezisko potwierdza moje przypuszczenia, zważywszy, jak powszechna jest w kantonie Kurmin technika układania cegieł w jodełkę! Wędrówka ludów do wewnątrz – machnęła ręką w kierunku wschodnim – jest zrozumiała... No bo, przecież tylko w ten sposób można było postąpić, chcąc przetrwać.

Kapitan przestał wymachiwać rękoma, ponieważ jego wzrok padł na leżącą przy stołku tacę okrytą kawałkiem płótna. Zanim zdążyłem go powstrzymać, uniósł tkaninę i zagapił się ze zgrozą na to, co znajdowało się pod spodem: szklany słoik z zakonserwowanym wróblem jipti, którego Ana złapała kilka tygodni wcześniej, a następnie zabiła i przeprowadziła jego autopsję. Kapitan wypuścił płótno z drżącej ręki.

Zacząłem gorączkowo zmyślać historijkę.

– Właściwie to – odchrząknąłem – idąc tu, natknąłem się na paru inżynierów.

– Doprawdy?

– Tak, pani. Mówili, że szukają kapitana Tischa, ponoć jest pilnie potrzebny.

Ana przerwała na moment pracę nad ustrojstwem i przekrzywiła głowę na bok.

– Hm. Nieprawda. To kłamstwo, Din. Jesteś fatalnym kłamcą, słysząc to w twoim głosie. Ale! Muszę przyznać, że poza informacją o technice jodełkowej, kapitan Tische nie ma zbyt wiele do powiedzenia i zaczyna mnie nudzić. – Odwróciła ku niemu twarz, strojną w przepaskę oraz szeroki uśmiech. – Może pan iść, kapitanie. Dziękuję za dotrzymanie towarzystwa.

Kapitan Tische zerwał się na równe nogi, mimo jawnego zbulwersowania skłonił się i wydusił „Pani”, po czym czmychnął w stronę wyjścia.

Pobiegłem za nim, przemyśliwując, w jaki sposób tym razem naprawić wyrządzone szkody.

– Proszę wybaczyć, panie – zacząłem. – Nie istnieje usprawiedliwienie dla...

– Usprawiedliwienie! – zaskrzeczał tuż za progiem. – Nic nie jest w stanie usprawiedliwić czegoś takiego! Wysłała mi list, żebym pojawił się tu z mapami, a gdy to uczyniłem, uwięziła mnie i przez trzy godziny przesłuchiwała, wypytując o każdy najmniejszy szczegół z życia! Pytała nawet o kształt moich stóp!

– Naprawdę mi przykro. – Ukłoniłem się, podniosłem głowę i na widok jego naindyczonej miny pogłębiłem ukłon, nieomal dotykając nosem czubka znoszonego buta. – Przerwałbym to, gdybym był na miejscu, naprawdę bym...

– A na końcu... na końcu miała czelność nazwać mnie nudnym! – gulgotał. – I pomyśleć, że ta szalona kobieta jest śledczą Jurysu! To... – Nie dokończył, rzucił się biegiem ścieżką w stronę miasta.

– Szlag by to – wymamrotałem, odprowadzając go wzrokiem, i wróciłem do domku.

Ana pochylała się nad swoim ustrojstwem, w zadumie przebiegając palcami nad strunami.

– Wiesz, pani... – przerwałem, żeby przemyśleć to, co chciałem powiedzieć.

– No dalej, Din – zachęciła mnie, zdejmując przepaskę. – Miałam wrażenie, że zamierzasz mnie zbesztać. To dopiero byłoby uciészne.

– Cóż, sama wiesz, pani, że... tak nie można.

– Zwykle nie można – przyznała. – Ale zwykle jesteś tu i mnie powstrzymujesz, Din.

– To prawda, pani, dokładnie to robię, ponieważ nie można zaganiać tych biedaków w kozi róg, a potem wyciskać z nich informacji jak sok z jakiejś aptioty!

– Po prostu robię, co mogę, żeby odnaleźć w tym zapadłym kantonie choć okruch czegoś ciekawego – rzuciła beztrosko i naprężyła strunę w swoim ustroju. – A wymaga to ciężkiej harówki.

– Pani...

– Na przykład, czy wiedziałeś, Din, że wysunięta najdalej na południe studnia w Daretanie jest prawie na pewno zakażona irydą?

– To fascynujące, pani.

– Zaiste. Nikt o tym nie wiedział. A ja wywnioskowałam to po rozmowach z sześćdziesięcioma dwiema osobami, które przeprowadziłam w minionych miesiącach. Dwanaścioro z tych, którzy nieświadomi skutków piją regularnie tamtejszą wodę, skarżyło się na lekkie bóle, bezsenność oraz niezwykley zapach moczu, co wykazuje na objawy powszechnie łączone z tą chorobą. Poinformowałam o tym kapitana, zalecając oczyszczenie. – Znów szarpnęła druty. – Właśnie to zyskuję z tych wszystkich rozmów, Din. Potrzebuję po prostu odpowiedniej ilości informacji, by odgadnąć naturę wzorca.

– I to chęć rozgryzienia wzorca skłoniła cię do pytania kapitana Legionu o zapach jego sików, pani?

– Och nie, nie. W tym wypadku kierowała mną czysta ciekawość.

Pozwoliłem sobie na nią zerknąć. Była wysoką, szczupłą kobietą dobiegającą pięćdziesiątki albo sześćdziesiątki – trudno to czasem określić w wypadku zmodyfikowanych ludzi – a choć jej skóra miała podobny odcień do mojej, była zdecydowanie jaśniejsza. Głównie dlatego, że Anagosa Dolabra nie wychodziła wcale na zewnątrz, a w mniejszej części z powodu jej rasy. Sazi, mieszkający w wewnętrznych pierścieniach Imperium, posiadali jaśniejszą cerę, bardziej kanciaste rysy i węższą twarz niż Talowie, tacy, jak ja. Z tymi śnieżnobiałymi włosami, szerokim uśmiechem i żółtymi oczami często przypominała kota, a raczej obłąkaną kotkę, która

ugania się po domu za tą jedyną właściwą plamką słońca, choć przy okazji nie przepuści żadnej przypadkowej myszy.

Ana Dolabra miała na sobie czarną, długą suknię oraz długi, ciemnoniebieski płaszcz Jaletu Jurystycznego, z nieregularnie przypiętymi dystynkcjami, tego dnia pogrupowanymi w doskonale symetryczne konstelacje wedle koloru, inaczej niż poprzedniego – według rozmiaru.

– O! Książki! – wykrzyknęła.

– Słucham, pani?

– Moje książki. Przyszły już?

– A, tak, pani. Są na ganku. Zabrałbym je, ale zdekoncentrowała mnie wizja torturowanego kapitana.

– A w odwecie ty torturujesz mnie swoim nieudacznym poczuciem humoru – prychnęła. – Jednak gdybyś był tak miły...

Skłoniłem się, podeszedłem do drzwi, ale chwyciwszy za klamkę, spojrzałem przez ramię.

– Nie patrzę! – zawołała. Miała twarz zwróconą w stronę kąta pokoju. – Oczy odwrócone!

Upewniwszy się, że nie wyjrzy na zewnątrz, otworzyłem, chwyciłem książki, wciągnąłem je do domu i zatrzasnąłem drzwi. W mgnieniu znalazła się przy mnie i natychmiast wsunęła palec pod węzeł, żeby rozerwać sznurki.

– Całe wieki to trwało – skarżyła się. – Uwierzysz? Dwa tygodnie! Dwa jebaniutki tygodnie zajęło im dostarczenie ich do mnie!

– Pewnie ciężko ci było wytrzymać, pani, bez porządnej pozycji o krabach.

– Nawet sobie nie wyobrażasz! – Rzuciła się otwierać jedną za drugą. Przemykała przy tym oczy i gładziła stronicę. Choć większość skóry miała szarą, opuszki były różowe, dzięki wszczepowi, który, jak sądziłem, miał je uwrażliwić, umożliwiając odczytywanie dotykiem druku, a czasem nawet pisma odręcznego. Co też czyniła przez większość dnia, z zawiązanymi oczyma przesuwając palcami po kartkach. „Lepiej ograniczać bodźce”, powiedziała mi raz. „I nie wychodzić. Nadmierna stymulacja prowadzi do utraty zmysłów”.

Obserwując, jak przegląda każdą książkę, nie po raz pierwszy zastanawiałem się, jak miałbym stwierdzić utratę zmysłów w jej przypadku. Zakładałem, że jej dolegliwości są związane z modyfikacjami, choć nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób wzmocniono jej umysł.

– Oooch. – Pieściła książkę o krabach w sposób wręcz erotyczny. – Tę wydrukowano w kantonie Rathas, czuję to po rodzaju wypukłości. Ich prasy drukarskie zostały skonstruowane tak, by drukować święte księgi w ich ojczystym języku, więc niektóre litery pochylają się lekko w lewo... Dziękuję ci, Din, że mi je przyniosłeś. Powinnam mieć dzięki nim zajęcie przez dzień czy dwa.

– Dzień, pani? – wyrwało mi się.

– Och, sądzisz, że nie starczy na cały? – zmartwiła się.

– Trudno rzec, pani.

– Może trzeba było kupić więcej, co, Din?

– Trudno rzec, pani.

Chwila pełnego napięcia milczenia.

– Czy to możliwe, Din, że potrafiłbyś złożyć zdanie z więcej niż dziesięciu słów?

Zaryzykowałem zerknięcie w tej jej jasnożółte oczy i stłumiłem uśmiešek.

– Niewykluczone, pani.

– Ach, jakże podziwiam twoją umiejętność zawarcia takiej dozy nonszalanckiej bęczałowatości w zaledwie paru sylabach. Cóż za talent! – Podniosła się z westchnieniem i chwiejnie powędrowała z powrotem do gabinetu, gdzie klapnęła na fotel.

Podążyłem za nią, ale stanąłem na baczność w progu. Potoczyła wzrokiem po walających się wokół, niedokończonych projektach, a na jej twarz zwolna wpłynął wyraz przygnębienia.

– Jak się tak zastanowię, Din, to całkiem możliwe, że już zaczynam tracić te w czuba solone zdrowe zmysły.

– Przykro mi to słyszeć, pani.

Wzięła małą harfę situr i zaczęła machinalnie trącać jej struny.

– Głównie dlatego – podjęła – że w tym nudnym kantoniku zupełnie nic się nie dzieje. A książki tu przypływają, a nie przychodzą.

Znałem te jej nastroje. Najpierw podniecenie nowym pomysłem, nowym zagadnieniem, nową zabawką, a potem, po rozpracowaniu, miazdząca melancholia. Jedyne, co pomagało, to podsuniecie jej czegoś nowego.

– A co do nudy, pani, dzisiaj rano...

– Niechętnie to przyznaję – przerwała mi – ale gdy jesteś w pobliżu, wszystko staje się znośniejsze. Jesteś taki ponury, taki poważny, taki nudny, Din, że ściągasz mnie skutecznie na ziemię.

– Spróbuję potraktować to jako komplement, pani. Ale dlatego właśnie chciałem powie...

– A twoje stanowisko wobec mojej prośby jest nadal niezmiennie?

Spojrzałem na nią surowo.

– A konkretniej, pani?

– Cholernie dobrze wiesz, o co mi chodzi. – Pochyliła się naprzód i wyszczerzyła w uśmiechu zęby. – Czy w końcu kupisz mi te przekłete nastrojniki? Przestałabym dręczyć ludzi, gdybym je miała!

– Funkcjonariuszom imperialnych jaletów surowo zabrania się kupowania i stosowania wszczepów modyfikujących nastrój – wyrecytowałem beznamietnie. – A ja nie łamię prawa, pani, albowiem pragnę zachować stanowisko.

– Tylko parę, tych psychodelicznych – przekonywała. – Choć jeden dzień bez tej strasznej nudy.

– A czy prawo imperialne dotyczy również wszczepów z rodzaju psychodelików? Bo jeśli tak, to znasz moją odpowiedź, pani.

Popatrzyła na mnie, mrużąc oczy, i szarpnęła strunę, wydobywając z situry przenikliwy dźwięk.

Oho, pomyślałem, no to zaraz się zacznie.

– Gdy wykonywałam obowiązki w wewnętrznych pierścieniach cesarstwa...

No i się zaczęło.

– ...moi asystenci zdobywali dla mnie wszelkiego rodzaju materiały oraz substancje! – dokończyła. – Bez szemrania!

– Jeśli masz ochotę wybrać się do któregoś z handlarzy wszczepami, możesz to uczynić, pani. Nie powstrzymam cię.

Łypnęła na mnie twardo.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

– Rozumiem, pani. Zbyt wiele bodźców.

– Właśnie – syknęła przez zęby. – Na zarazę Tytańską! Czemu ze wszystkich Sublimów dostał mi się ten z kijem w dupie?!

– Hm, w zasadzie sama mnie pani wybrała z całej listy chętnych.

– A więc cię odwybiorę i wezmę nowego!

– To mało prawdopodobne, pani. Biorąc pod uwagę, że przesłuchałaś, pani, sześćdziesięciu dwóch funkcjonariuszy w Daretanie, pewnie już cały kanton uważa cię za szaloną, a co za tym idzie znalezienie nowego Sublima mogłoby być trudne.

Odrzuciła siturę na bok. Instrument gruchnął o podłogę z głuchym brzdękiem.

– Ja pierniczę! Ja pierniczę! Jak ja bym chciała być znów w jakimś cywilizowanym miejscu!

I w tym momencie wypływała kwestia budząca moje wątpliwości. Ana twierdziła, że dotychczas pełniła obowiązki śledczej w najbogatszych, najbardziej wewnętrznych pierścieniach Imperium Khanum, a każda z jej placówek była bardziej szalona i zdeprawowana od poprzedniej. Zdumiewała się wielce za każdym razem, gdy okazywało się, że jakiś nielegalny towar czy barbarzyńska aktywność nie były w Daretanie na wyciągnięcie ręki, i uważała, że skoro nie da się zdobyć ich w ciągu godziny, to jest to najzwyklejsza dziura na świecie.

Co nasuwało oczywiście pytanie, z jakiego powodu immunisa Ana Dolarbra została przydzielona akurat tutaj, do placówki na Obrzeżach Imperium?

Jedyna rozsądna odpowiedź, jaką znajdowałem, brzmiała, że to wygnanie. Stanowisko śledczej Jurysu kantonu Daretana jeszcze pięć miesięcy temu w ogóle nie istniało. Musieli je wymyślić w ramach kary dla niej, zapewne dlatego, że łatwiej ją było przenieść, niż zwolnić.

Wydawało się to logiczne, bo choć dla Any pracowałem cztery miesiące, wystarczyła minuta w jej towarzystwie, aby zorientować się, że moja zwierzchniczka posiada wybitny talent do siania zgorszenia. Z łatwością potrafiłem sobie wyobrazić jakiegoś wysoko postawionego imperialistę, który zmęczony jej wyskokami wykopał ją do obrzeżowego kantonu, gdzie przydzielono jej wakat dla jednego asystenta, którego mogła wybrać spośród miejscowych Sublimów.

A to ja byłem owym Sublimem. Posada asystenta śledczej była jedyną, jaką udało mi się zdobyć i zamierzałem pełnić służbę pod zwierzchnictwem Any i brać uposażenie, dopóki tylko się da. No chyba że Ana zmusi mnie do zrobienia czegoś tak niezgodnego z prawem, że zostanę z miejsca zwolniony.

– Napijesz się herbaty, pani? – zaproponowałem.

– Nie, Din – wymamrotała spod ramienia, którym zakryła oczy. – Aromatyczna czy nie, nie chcę żadnej jebaniutkiej herbatki.

– Może wobec tego chciałabyś porozmawiać o sprawie, nad którą pracujemy?

Opuściła ramię i przez moment wpatrywała się we mnie skonsternowana. A potem rozpromieniła się, zachwycona.

– Ach! Ten pieprzony trup! Właśnie!
– Właśnie – westchnąłem.
– Gdy dostałam wiadomość od immunisa Irtosa, myślałam, że ten kretyń nałykał się jakiegoś trefnego wszczepu czy coś. To by pasowało do tego zadupia. Ale po twojej minie, Din, poznaję, że jednak nie?
– Nie, pani, jednak nie.
– A więc co w tym takiego ciekawego?
– Kępa traw wyrosła ze zmarłego, rozdzierając go od środka. – Aż się wzdrygnąłem. – W życiu... W życiu nie widziałem czegoś tak koszmarnego, pani.

Ana zamarła i po raz pierwszy tego dnia płomień szaleństwa w jej oczach zgasł.

– Na niebiosy, Din – mruknęła. – Słyszałeś to?
– Co takiego, pani?
– Tę emocję.
– Nie rozumiem?
– To była najsilniejsza emocja, jaką dotychczas słyszałam w twoim głosie! To dopiero musi być kapitalna śmierć, skoro przełamała twoją drętą postawę i wywołała w tobie taką dziką pasję!

Zawiązała oczy i uśmiechnęła się niepokojąco drapieżnie, ukazując zbyt wiele, zbyt białych zębów.

– Opowiadaj. Opowiedz mi wszystko, co wryłeś w tę swoją małą, śliczną czaszeczkę! No, Diniosie Kolu, dawaj!

Wyciągnąłem z torby buteleczkę z ługiem, odkorkowałem ją i zaciągnąłem się zapachem. Potem poczułem łaskotanie za oczami i zacząłem mówić.

Rozdział trzeci

Jeśli chodzi o ciało ludzkie, imperialni apotekarze preferowali dwie metody modyfikacji – za pomocą wszczepów, które wywoływały pojedyncze wzmocnienia, zapewniając obiektowi krótkotrwałe wzmożenie, na przykład zwiększenie wytrzymałości, większą odporność, lepsze widzenie czy mocniejsze kości, oraz za pomocą nasycania, sposobu bardziej inwazyjnego, jednak co ważniejsze, wywołującego trwałe zmiany, nieodwracalne i dziedziczne, o ile dane nasycenie nie pozbawiało zdolności prokreacyjnych, a większość z nich pozbawiała.

Oznaczało to oczywiście, że Imperium posiadało lepszych żołnierzy niż siły wroga. Ale serce Imperium stanowili Sublimowie, kasta ulepszonych ludzi o wzmocnionych umysłach, dzięki którym planowali, zarządzali i koordynowali działania licznych jaletów cesarstwa.

Istniały różne rodzaje Sublimów: aksjomowie, których umysły zmodyfikowano do wykonywania obliczeń z nieosiągalną dla zwykłych ludzi biegłością; lingwowie, nasyceni tak, by mogli przyswoić niezliczone języki w mowie i piśmie; toposowie, bezbłędni w pojmowaniu przestrzeni, co czyniło ich fenomenalnymi rysownikami i kartografami; oraz parę innych, bardziej nietypowych i rzadziej spotykanych.

Nasycenia to nic przyjemnego. Wiele z nich skracало życie o całe lata, jeśli nie dziesięciolecia i niemal zawsze szły w parze z bezpłodnością. Mimo to Sublimowie byli niezastąpieni. Przetrwanie tego, co każdej pory deszczowej nadchodziło z mórz na wschodzie, wymagało niewiarygodnej zmyślności i starannego planowania.

Najbardziej potrzebni Sublimowie, mnemorytownicy, tacy jak ja, nasyceni by pamiętać wszystko, co zobaczą, służyli za żywe zbiory informacji. To właśnie ulepszenie wykorzystywałem, przekazując Anie informacje zdobyte na miejscu zdarzenia. Relacjonowałem wszystko, co widziałem, powtarzałem każde słowo dokładnie takim tonem, jakim zostało wypowiedziane. Przez blisko cztery godziny przekazywałem wszystko, co zarejestrowałem podczas mojego pobytu w rezydencji Hazów.

Skończyłem po zachodzie słońca. Umieszczony w rogu lampion mai zaczął się jarzyć, gdy przebudzone robaczki w jego wnętrzu rozpoczęły żerowanie na rozsypanych na dnie granulkach, co powodowało ich reakcję

świetlną. W ciszy rozległo się odległe zawodzenie jakiegoś samotnego ptaka.

Ana zaczerpnęła gwałtownie powietrza, jakby przebudziła się z głębokiego snu.

– Dobrze – powiedziała. – Bardzo dobrze. Mam kilka pytań, Din...

Zacząła mnie wypytywać o dziwne rzeczy. Ile kroków wykonałem, przechodząc od końca do końca budynku? Czy Gennadios była prawo czy leworęczna? Czy Uxos miał jakieś wyraźne blizny na dłoniach? Czy zauważyłem gdzieś pod ogrodzeniem posiadłości świeżo wzruszoną ziemię? A może wilgotny ślad na ściółce poderwanej czyjąś podeszwą?

Przy każdym pytaniu czułem woń ługu, ten specyficzny trzepot za oczami, a odpowiedzi spływały z mego języka z intonacją drewnianego bełkotu: Osiemdziesiąt dziewięć kroków; Gennadios trzymała na kolanach zaplecione dłonie, prawą na lewej, co wskazuje na praworęczność; Uxos miał dwie cienkie, jasne blizny na knykciu prawego kciuka, a choć pozostałe knykcie miał poranione, tamte ślady powstały w wyniku pęknięcia zrogowaceń; i nie, nie widziałem wzruszonej ściółki, poza skrawkiem podziobanym przez drozda.

Po tym Ana milczała przez chwilę.

– Dziękuję ci, Din – rzekła wreszcie, mnąc w zadumie fałdy sukni. – Ten ród Hazów, wiesz coś o nich?

– Wiem, że są bogaci, pani. Posiadają wiele włości w wewnętrznych pierścieniach cesarstwa. Ale nic poza tym.

– Uhm. Ziemianie. To oznacza, że są posiadaczami tego, co w Imperium najcenniejsze. – Ręka Any wystrzeliła naprzód, palce zgarnęły z mego buta grudkę ziemi, którą moja zwierzchniczka roztarła opuszkami na pył. – Ziemię. Hodowla roślin, zwierząt oraz produkcja reagentów niezbędnych do imperialnych modyfikacji wymaga wiele ziemi. To niewyobrażalna wręcz praca rolna, która odbywa się w drugim i trzecim pasie. Oznacza to, że uszy cesarstwa są bardziej wyczulone na głosy ziemiaństwa, a to sprawia, że z kolei obszarnicy niekoniecznie czują się zobowiązani do przestrzegania wszystkich naszych praw. To znów może być problematyczne, gdy są uwikłani w takie podejrzone gówny, jak to.

– Czyżbym nie spełnił twoich oczekiwań w tej sprawie, pani? – zaniepokoiłem się nie na żarty.

– Och nie, nie, spisałeś się doskonale, Din. Wiesz, gdybym ja była na twoim miejscu, to bym tej jebaniutkiej ochmistrzyni kazała się wypchać tłu-

czonym szkłem. Ale jak na pierwsze śledztwo w sprawie morderstwa poradziłeś sobie fenomenalnie. Nie każdy poradziłby sobie tak dobrze z przeszukaniem posiadłości takich Hazów i przesłuchaniem każdego świadka z osobna.

– Dziękuję, pani – powiedziałem uradowany.

– Powiem więcej, Din, posiadasz właściwy zapał do nudnej, drobiazgowej harówki, co czyni z ciebie świetnego asystenta śledczego.

– Dziękuję, pani – mruknąłem ze znacznie już mniejszą dozą radości.

– I nie obwiniaj się za to, że nie potrafisz ustalić, co tak naprawdę się wydarzyło. Apotekarze w tym kantonie są najwyraźniej tak głupi, że parę spodni uznają za fascynującą zagadkę. – Zsunęła opaskę z oczu, które poruszały się tak szybko, że źrenice się rozmywały. – Białofioletowy kwiat, nakrapiany na żółto, o słodkawym, mdłym zapachu, który wyrasta z trupa... Powiedz mi, Din, wiesz coś o kantonie Oypat?

Przywołałem w myślach mapę Imperium, gigantyczne koło w obrębie drugiego, większego, na którego skraju mury Imperium pełniły rolę obręczy, zaś promieniście rozchodzące się drogi szprych. Choć wyryłem w pamięci wszystkie kantony, o Oypacie nie słyszałem.

– Nie, pani.

– Nie dziwi mnie to. Kanton ten jakieś jedenaście lat temu padł ofiarą skażenia. Jakiś sprytny tamtejszy apotekarz, próbując stworzyć tani pergamin, nasycił pewien rodzaj trawy, by bardzo, ale to bardzo przyspieszyć jej wzrost. Nazwano ją plamiszklanką. Była pospolitym chwastem, podobnym do strzelisłomki. Rozsiewała się poprzez małe nasionka podobne do spor i kwitła na biało, z fioletowo-żółtym wnętrzem. I śmierdziała. Ale plamiszklanka rosła zbyt szybko, stała się rośliną inwazyjną, wyparła inne gatunki, a gdy porosła każdy spłachetek gleby, znalazła sposób, by zagnieźdzać się w drewnianych elementach konstrukcyjnych budowli, a nawet na pniach drzew. Jednak najgorsze stało się, kiedy ludzie kąpali się w strugach przepływających przez porośnięte nią łąki.

– Zaczęła rosnać w... W ludziach? – zapytałem.

– Dokładnie tak, Din. Doskonale! Większość wrosła dało się usunąć chirurgicznie, ale nie wszystkie. Zarodnikonasiona usiłowały kiełkować nawet w papierze paprociowym, z których zrobiono ściany i drzwi, a jak słusznie zauważyłeś, materiał ten jest wyjątkowo odporny na takie rzeczy. I rzeczywiście, pokrywał się czarną pleśnią, która uniemożliwiała zakorzenienie się spor. Wystarczyło, by zarodniki plamiszklanki znalazły się w pobliżu

panelu, by w ciągu kilku godzin na papierze paprociowym pojawiły się czarne plamki. Ale... – Ana wstała i zaczęła krążyć po małym domku. – Nigdy nie słyszałam, żeby plamiszklanka rosła w tak morderczym tempie. Ani żeby była w stanie niszczyć sufity i ściany. To coś innego... znacznie groźniejszego.

– Widziałaś już tę roślinę, pani?

– Czy ją widziałam? Absolutnie nie. Czytałam o niej. – Wskazała na wszechobecne książki. – Jednak jestem, pewna, że to ona.

– A więc, jakie są twoje wnioski, pani? W jaki sposób prefekt Blas naraził się na kontakt z tą plamiszklanką?

– Och, z pewnością doszło do tego w wyniku celowego działania.

Na moment oniemiałam.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Chcę powiedzieć, że jestem pewna, w około osiemdziesięciu procentach, że prefekt Taqtasa Blas został zamordowany. Sprawcą nie była przypuszczalnie osoba należąca do domostwa, ale uczyniono to z pomocą tejże osoby.

– Naprawdę? I wydedukowałaś to, pani, z informacji, które ci przekazałam?

– Oczywiście. Powiedziałaś mi więcej niż trzeba. Właściwie to tak oczywiste, aż się obawiam, że cała sprawa może się okazać trochę nudna... Naprawdę tego nie widzisz? Czerniejący paprociowy papier, gnijący kirpis i ten nieznośny upał?

– Obawiam się, że nie widzę, pani.

– Masz wszystkie dane – machnęła lekceważąco ręką. – Musisz tylko spojrzeć na to pod właściwym kątem. A oto nasze następne posunięcia, Din. – Znalazła karteczkę i zaczęła ją zapisywać. – Zaniesiesz to rano do posiadłości Hazów. To oficjalne wezwanie. Wykorzystaj je, by sprowadzić tu najstarszą służącą, gospodynię i ogrodnika, ponieważ chcę porozmawiać z nimi osobiście. Powiedz, że to rutynowe postępowanie. I miej uszy i oczy otwarte. Jesteś moim mnemorytownikiem. Pamiętasz, co to oznacza, Din? Jesteś żywym ucieleśnieniem prawnym naszego śledztwa, a to, co znajduje się w twojej głowie, stanowi niepodważalny dowód dla Jurysu. A więc słuchaj pilnie. I przynieś swoje okowy rytownicze.

Zaskoczyła mnie. Okowy rytownika Jurysu były sprytnie skonstruowanym zestawem kajdanek wyposażonym w zamek o dwudziestu maleńkich bębenkach szyfrowych, które dało się ustawić w dowolną sekwencję. Sto-

pień skomplikowania sekwencji sprawiał, że jedynie osoba z ulepszoną pamięcią mogła je zapamiętać, więc kiedy kajdany zamknęły się na czyichś nadgarstkach, mógł je zdjąć tylko mnemorytownik, który ustawił szyfr. Jak dotąd nie miałem okazji użyć moich.

– Chciałbym o coś zapytać, pani.

– Tak, Din?

– Hm, nasze dotychczasowe sprawy to głównie oszustwa finansowe.

– Tak?

– Czy wobec tego w tym wypadku mam spodziewać się czegoś innego niż przy poprzednich sprawach?

Ana wzruszyła ramionami.

– Ogólnie rzecz biorąc, główną różnicą w przypadku spraw morderstwa jest ich hałaśliwość. Sam słyszałeś te wrzaski i zawrodożenia. Ale pamiętaj, bądź czujny, bowiem jedna z osób, które jutro tu sprowadzisz, brała udział w zbrodni. A ludzie pod wpływem stresu robią różne głupie rzeczy. Z pewnością przyda się broń, więc przynieś swój miecz.

– Obawiam się, że nie posiadam miecza, pani.

– Naprawdę? A czemuż to?

– Wciąż jestem twoim praktykantem, pani.

– Praktykantem? – powtórzyła oszołomiona.

– No tak. Pracuję dla ciebie dopiero od czterech miesięcy, pani, a nie otrzymam ekwipunku imperialnego, dopóki nie ukończę terminu.

– Cóż, do licha, no to skombinuj jakoś jakiś kij czy coś! Na jaja lewianta, czy ja muszę o wszystkim myśleć sama?

– Mogę przynieść mój miecz ćwiczebny – zaproponowałem. – Nie istnieją regulacje zabraniające mi go nosić, a jestem dobrze obznajomiony z...

– Tak, tak – przerwała mi zniecierpliwiona. – Najlepszy szermierz w grupie, paplałeś o tym przez cały czas podczas naszej rozmowy wstępnej. Dobrze, przynieś go. I musisz ich przeszukać, zanim tu wejdą.

– Tak jest, pani.

– Dobrze. – Ana podjęła grzebanie w swoim strunowym ustroju. – A więc dobrej nocy, Din.

Nie ruszyłem się z miejsca, nadal stałem w drzwiach na baczność.

– Przecież życzyłam ci dobrej nocy. Dlaczego nadal tu jesteś?

– Dziś trzynasty skalasi – przypomniałem. – Koniec miesiąca.

– No tak. – Wstała z westchnieniem. – Oczywiście. Twoje uposażenie. Gdzie ja mam ten formularz... – Wyszarpnęła szufladę, wyjęła z niej kartkę

i szybko coś napisała. – Masz. Odnotowano kolejny miesiąc dobrej pracy. A teraz śmigaj do banku po swoją wypłatę.

– Dziękuję, pani. – Wziąłem od niej papier.

Wróciła do swojego projektu.

– Kiedy, do cholery, będę mogła przestać zawracać sobie głowę tymi formularzami?!

– Kiedy zakończę termin i zostanę oficjalnie twoim asystentem, pani.

– A, no tak – zaśmiała się niewesoło. – Kiedy ukończysz naukę. Jakby wspinaczka po szczeblach daretańskiej biurokracji była czymś wartym zachodu.

Znów się wyprężyłem, wbijając wzrok przed siebie. Chyba wyczuła zmianę w mej postawie, bo podniosła głowę i westchnęła.

– Och, a teraz co znów takiego powiedziałam?

– Dla mnie jest warta zachodu, pani. – Popatrzyłem na nią. – Podobnie jak dla większości z nas, mieszkańców tego kantonu, którzy wstąpili w szeregi jaletów w nadziei na lepsze życie. Przyjrzała mi się, choć raz z pełną powagą.

– Ach. No tak. Szlag by to. W takim razie, Din... – Mięśnie na jej szczękach zafalowały, jakby ćwiczyła wypowiedzenie słowa, zanim je wyartykułuje. Kiedy skończyła, wypchnęła je z takim oporem, jakby wyrывała sobie ząb. – Przepraszam cię. – Rozumiem, pani. Jeśli to coś znaczy, to doceniam, że jest pani gotowa...

– Milcz! – warknęła.

– Słucham?

– Zamilcz wreszcie, Din!

– Ale ja...

– Cicho! Przestań paplać!

Uniosła palec, otworzyła szeroko oczy i przekrzywiła głowę.

Wtedy to usłyszałem – ciche, upiorne dzwonienie.

– Słyszysz to, Din? – wyszeptała. – Czy naprawdę popadam w obłęd?

– Słyszę, pani. – Zdziwiony, rozejrzałem się w poszukiwaniu źródła dźwięku, ale Ana obróciła się gwałtownie w stronę swojego ustroju.

– To działa? To działa! – zaśmiała się triumfalnie. – Czytałam o takich instrumentach, ale nie do końca wierzyłam, że uda mi się coś takiego odtworzyć w tak prymitywnych warunkach...

Spojrzałem ponad jej ramieniem na urządzenie. Była to pudełkowa rama z drutów, z okrągłym obciążnikiem zwisającym dokładnie pośrodku. Mała

metalowa końcówka obciążnika opierała się o strunę situry rozciągniętą wzdłuż dolnej części ramy. Dostrzegłem, że obciążnik poruszał się ledwie dostrzegalnie, drżał pod wpływem jakiejś niewidzialnej siły, a jego końcówka, trącając strunę, wydobywała z niej ciche dzwonienie.

– Co to takiego, pani?

– Instrument do wykrywania wstrząsów, dzieło Inżynierii – odpowiedziała. – Gdy ziemia pod nami się porusza, choćby odrobinę, obciążnik stara się pozostać w miejscu i trąca strunę. Bardzo trudno go wyregulować, ale jeśli się uda, może być niezwykle czuły. Na przykład teraz, pewnie nie odczuwasz, Din, jak ziemia pod nami się trzęsie?

– Trzęsie się? – zdumiałem się. – Naprawdę?

– Pewnie przywykłeś do tego, mieszkając tu od dawna, ale owszem, ziemia drży, dokładnie w tej chwili.

Patrzyłem, jak mały ciężarek podskakuje i uderza o strunę, a po moim karku spłynął lodowaty dreszcz.

– Drży... – wydukałem. – Drży, ponieważ...

– Tak – powiedziała cicho. – Jesteśmy świadkami podwodnych wstrząsów, które mają miejsce jakieś dwieście staj stąd, gdzie lewiatan powoli toruje sobie drogę po dnie, podążając ku brzegowi.

Wpatrywałem się w rozbujane wahadełko. Atonalne podzwanianie nagle przybrało na sile.

– Musi być wielki – powiedziała Ana z uśmiechem. – Cóż, miejmy nadzieję, że mur morski wytrzyma, co?

Rozdział czwarty

Na pocztę znajdującą się na obrzeżach miasta dotarłem późno. Hak Rybaka migoczący wysoko nad szarymi wierzchołkami drzew, ochylał się lekko na wschód, sygnalizując koniec miesiąca skalasi i początek kyuz. Choć urząd pocztowy świecił pustkami, nie licząc kilku uwiązanych z tyłu zmęczonych mułów, poczmistrz Stephinos nadal trwał na posterunku. Okryty czarnym płaszczem legionisty, który zlewał się z ciemnością, stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami, opierając się o kontuar, a z jego maleńkiej fajki unosiła się smużka dymu. Kiedy poczmistrz kiwał mi głową na powitanie, żar w główce tańczył w półmroku.

– Dobry wieczór, Kol – powiedział Stephinos. – Tak myślałem, że przyjdiesz.

– Dobry wieczór. Chciałbym nadać list.

– No tak, koniec miesiąca. Dlatego na ciebie czekałem.

– Naprawdę?

Wskazał na siebie teatralnym gestem.

– No przecież jestem.

– No tak. Bardzo ci jestem wdzięczny, Steph.

Obserwował uważnie, lecz bez zniecierpliwienia, jak grzebię w kieszeni. W takim miejscu jak Daretana posada poczmistrza dorównywała prawie pozycji boga, gdyż to przez jego ręce przechodziły wszystkie najważniejsze dla mieszkańców sprawy. Mieliśmy szczęście, że naczelnikiem był ktoś tak życzliwy jak Stephinos.

Wręczyłem mu pergamin od Any, a on odłożył go i podał mi inny dokument, kwit uposażeniowy, który mogłem spieniężyć w każdym cesarskim banku.

– Tym razem sobie użyję – powiedziałem, odbierając papier.

– Naprawdę?

– Tak. Potrzymam go całe dziesięć sekund, zanim ci go oddam, a nie jak zwykle pięć. Czy to nie będzie bal?

Wyszczrzył się w uśmiechu. Studiowałem uważnie kwit uposażeniowy, starając się czerpać z tego jak najwięcej satysfakcji. Jak w przypadku każdego pisma i tym razem literki drżały i tańczyły mi przed oczami, ale cyfry widziałem. Niestety, kwota była smętnie niska.

– Miło byłoby побыć bogaczem przez parę minut – westchnąłem, odkładając kwit na kontuar. – Albo choć mniejszym biedakiem.

Stephinos spojrział na mnie współczująco.

– Potrzebujesz kopertę? – spytał nie wyjmując cybucha z ust.

– Nie, nie, mam swoją. – Wyciągnąłem z kieszeni kopertę i podałem mu ją. Poprzedniego dnia przez kilka minut pracowicie kreśliłem adres. Najpierw na przodzie delikatnie zaznaczyłem równoległe linie, a potem pilnie gryzmołem znaki, tak, by każdy stykał się z dolną i górną. Z trudem przychodziło mi napisanie czegoś czytelnie, ale dzięki cierpliwości i uważności udało mi się dokonać tej sztuki.

Stephinos przyjrzał się wynikom mojej pracy, jakbym kopiował święty tekst, a nie pisał adres.

– Hej, świetnie ci poszło! – pochwalił. – Duże lepiej niż te poprzednie.

– Nie musisz zasypywać mnie komplementami, Steph. Ale doceniam.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował dobrego słowa. Znów cię przegania... Zajeżdża cię?

– Skoro żyję, to tak, sam widzisz. – Usiłowałem uśmiechnąć się, ale podzwanianie urzędnika Any nadal brzmiało mi w uszach. Spojrzałem w zamyśleniu na wschód. – Steph... Jesteś legionistą, więc wiesz więcej niż inni tutaj, jak sprawy się mają. Mogę cię o coś zapytać?

– Większa wiedza to niekoniecznie wielka wiedza. Ale pytaj, śmiało.

– Słyszałeś coś o tym, jaka może być pora deszczowa w tym roku? Jest szansa na lepszą?

Łypnął złowrogo na wschód.

– Nie ma czegoś takiego, jak dobra pora deszczowa, Kolu. A co do tego, czy ta będzie gorsza, to... – Machnął ręką na magazyny i pola za nimi. – Przyjrzyj się błotu, chłopcze. Zobacz, jak jest ubite. Policz, ile koni, ile kamieni i skrzyń z bombardami zmierza na wschód. A jak skończysz, to sam mi powiedz, co myślisz.

– Wobec tego wyślij moje pieniądze tak szybko, jak zdołasz. Sanktuarium wie, czy uda mi się wysłać następne.

Wsunął kwit do koperty i umieścił na stercie poczty do wysłania.

– Dobry z ciebie syn, Kol.

Wahałem się, czy odpowiedzieć. Moja rodzina nie uważała mnie ani za pięknego, ani bystrego, więc uposażenie wysłałem do domu raczej z synowskiego obowiązku niż z miłości czy sentymentu.

– Czemu tak uważasz? Pewnie połowa Sublimów wysyła rodzinie pieniądze.

– Nawet więcej, niż połowa. Ale wiesz, że zdradzam sekrety tylko tym dobrym.

– Tak? A jakie to sekrety?

Przygiął palec, a ja się pochyliłem w jego stronę.

– Wracaj dzisiaj do swoich kwater okrężną drogą. Taką, jaką niektórzy nie chadzają.

– Rozumiem... Możesz mi powiedzieć coś więcej?

– Wpadł tu kapitan Thalamis, z Apoteki. Szukał cię. Pytał o coś, co dzisiaj zrobiłeś. Nie podobała mi się jego mina. Osobiście bym go unikał.

– Thalamis? A on czego ode mnie chce? Skończyłem już szkolenie Sublimów, nie jest już moim zwierzchnikiem.

– Nie wiem, czy to zarejestrował. Chyba mu się wydaje, że wszystkim może rozkazywać. – Żar w główce fajki pojaśniał, poczmistrz wypuścił nosem kłęb dymu. – Radzę ci, wróć do domu opłotkami. I pilnuj się.

Podziękowałem i wymknąłem się na zewnątrz.

* * *

Zgodnie z jego radą wróciłem do domu opłotkami. Po drodze w uszach pobrzmiwało mi echo dzwonienia aparatury Any i słowa poczmistrza: „Przyjrzyj się błotu, chłopcze”.

To dziwne. Śmierć prefekta Blasa była bez wątpienia największym wydarzeniem w mojej dotychczasowej karierze, a jednak ten dźwięk i te cztery słowa sprawiły, że wydała się nieistotna wobec tego, z czym zmagala się reszta Imperium.

Podczas każdej pory deszczowej z odmętów mórz na wschodzie wynurzały się wielkie lewiatany, a potem cicho lecz nieuchronnie zbliżały się do wybrzeży. I podczas każdej pory zatrzymywały je potężne mury Inżynierii oraz bombardy i balisty Legionów. Z tego właśnie powodu mieszkańcy kantonów tolerowali podatki, pobór i rozkazy Imperium Khanum, bowiem jedynie ono posiadało zasoby i siły, by utrzymać bariery i odeprzeć lewiatany. Mimo to u kresu każdej pory deszczowej lud Imperium zamiast czuć ulgę, zadawał sobie pytanie: A co następnym razem? Co będzie?

Taka była dola poddanych Imperium Khanum, szczególnie tych mieszkających na Obrzeżach. Żyliśmy w ciągłym niepokoju, w nieustannym

pogotowiu.

Utrudniało to trochę życie dniem powszednim. No bo jaki jest sens iść po jedzenie, naprawiać dom czy troszczyć się o rodzinę, skoro tytan w każdej chwili mógł przebić się przez mury i w kilka godzin zgładzić ciebie i tysiące innych? Jaki ma sens podejmowanie w ogóle jakichkolwiek działań?

A jednak Imperium trwało, bo cesarz powtarzał, że nie wolno tak myśleć. Pod każdym jego wizerunkiem widniał napis „Sen sez imperiya”. I choć sentencję zapisano w khanum, dawnym, prawie całkiem zapomnianym języku, każdy wiedział, że znaczy „Imperium to ty”.

A co ważniejsze, każdy rozumiał jego wymowę. Żyjemy tylko dzięki temu, że każdy robi, co do niego należy.

Czasami pamiętanie o tym nieco ułatwiało codzienność. Nawet jeśli polegała ona chwilami na rozwiązywaniu wyjątkowo makabrycznego morderstwa. Ale ja mimo wszystko zostałem Sublimem i podjąłem pracę asystenta nie tylko po to, by służyć Imperium, ale żeby zarobić dość pieniędzy na spłatę niezliczonych długów ojca, zakup ziemi w trzecim pierścieniu i przeniesienie rodziny z Obrzeży, znajdujących się zbyt blisko morza i murów na wschodzie, gdzieś, gdzie między moimi bliskimi a tytanami byłoby więcej murów. Gdzieś, gdzie byliby bezpieczni.

O ile w dzisiejszych czasach w Imperium dało się w ogóle mówić o bezpieczeństwie.

* * *

Do kwatery dotarłem wykończony. Szedłem najbardziej błotnistymi, najniepozorniejszymi ścieżynami, oglądając się ciągle za siebie i bacznie patrząc przed siebie, upewniając się, że jestem sam. Z ulgą ujrzałem przed sobą budynek, gdzie mieszkali praktykanci.

– Kol! – Chlasnęło jak z bicia.

Stałem jak wryty. Z ciemnego wejścia do mojej kwatery, w wirze czerwonych fałdów płaszcza Apoteki wyłonił się kapitan Alixos Thalamis.

Sukinsyn, pomyślałem. Zasadził się na mnie!

– Stój, chłopcze! – ryknął. – Nawet nie waż się drgnąć!

Wyprężyłem się na baczność. Podeszedł do mnie miękkim krokiem drapieżnika. Ręce założył do tyłu, a rękojeść imperialnego miecza przytroczonego do pasa mrugała niczym odległą, zimną gwiazdą. Usiłowałem na

niego nie patrzeć, ale zbliżył do mojej swoją gładką, przystojną twarz i wbił we mnie spojrzenie kamiennych oczu.

– Słyszałem, że zabrałeś się do prawdziwej roboty, Kol.

Ponieważ nie było to pytanie, milczałem.

– Odpowiadaj, do cholery! Mam rację?!

– Zostałem dzisiaj wysłany na miejsce zdarzenia.

– Taak? I jak sobie poradziłeś?

– Zrobiłem wszystko zgodnie ze wskazówkami zwierchniczki, panie.

– To czemu otrzymałem dzisiaj kilka oficjalnych skarg od szanowanych osób, skarg, które wskazują, że wcale sobie nie poradziłeś? Bo wychodzi na to, że jak zwykle spieprzyłeś wszystko ponad ludzkie pojęcie!

Przypomniałem sobie oblicze pani Gennadios i jej słowa o przyjaciółach w jaletach. Teraz pojąłem, o kim mówiła.

– Przetrzymywanie wbrew woli służących Hazów w miejscu ich pracy?

– wyrzucił z siebie Thalamis. – Przesłuchiwanie ich jak pierwszych lepszych zbirów? Czy masz w ogóle pojęcie, co wyprawiasz?

– W rezydencji ktoś umarł, panie. A jego śmierć może być wynikiem skażenia.

– Skażenia, którego my, apotekarze, nie potwierdziliśmy. A może zapomniałeś, signumie, że jak na razie jesteś tylko praktykantem śledczego? Uczniem, Kol! Choć wyjątkowo starym, jak na ucznia. Czy zapomniałeś, że ostateczny przydział musi zostać zaaprobowany przez Apotekę, której funkcjonariuszem i ja jestem? To my zarządzamy modyfikacjami organizmów w cesarstwie. A twoja przyszłość jako jednego z tych organizmów spoczywa w moich rękach. – Zbliżył się tak, że czułem na policzku jego oddech, woń pieprzu i zapaszek skruszałej jagnięciny. – Czy rozumiesz, signumie, co oznaczałoby dla ciebie wpis takiej skargi ze strony Hazów do oficjalnych akt?

Milczałem, tylko trochę nienawidząc się za to, jak szybko zabiło mi serce. Minęły miesiące, odkąd zacząłem jako Sublim ćwiczyć pod okiem Thalamisa, ale nadal pamiętałem łomot, jaki mi spuszczał. Stał tak blisko mnie, że poczułem na plecach pręgi od jego kija.

– Opowiedz mi dokładnie przebieg wydarzeń w posiadłości. Ale już!

– Omawianie trwającego śledztwa z innym funkcjonariuszem jest niezgodne z regulaminem, panie – wyrecytowałem.

– Mam to w dupie! – syknął. – Natychmiast gadaj, co się tam działo i co planuje śledcza!

Pozwoliłem sobie na niego zerknąć. Zwykle widywałem w jego oczach złośliwość, teraz ujrzałem chciwość. Facet miał w tym interes, i to nie własny. Ciekawe.

– Będiesz mógł, panie, zapoznać się z całym raportem, jak tylko przedstawię go w Jurysie. Jednak regulamin Jurysu zabrania dzielenia się takimi informacjami przed jego złożeniem.

– Co powiedziałaś, signumie? – warknął.

– To kwestia przepisów, panie. Nie mogę udzielać takich informacji. Mógłbym narazić śledztwo.

– Ty mały sukinsynku. Skoro ci każę opowiadać, co robiłeś, to masz to, do kurwy nędzy, zrobić!

– Ale nie jesteś moim zwierzchnikiem, panie – odrzekłem ze stoickim spokojem. – Już nie. Byłem pod rozkazami apotekarzy jako Sublim po modyfikacji, ale to uległo zmianie, kiedy zostałem przydzielony do pomocy immunisie Dolabrze z Jaletu Jurystycznego. Według prawa mogę omawiać przebieg śledztwa wyłącznie z nią.

Oczy Talamisa złodowaciały.

– Wydaje ci się, marna gnido, że skoro dostałeś posadę przy tej... przy tej świrusce, to mi się wymkniesz. Ale coś ci powiem, Kol.

Zaczął krążyć wokół mnie niczym wilk wokół pnia, czekając, aż wieiórka, która mu umknęła, spadnie z drzewa.

– Pewien smarkacz przybył do Daretany, by zostać Sublimem. A mimo to, choć zapłacił za nasycenie i został mu poddany, pozostał tak nieprawdopodobnie głupi, jak przed nim. Ledwie czyta. Prawie nie pisze. Aplikował do wszystkich możliwych jaletów; do Legionu, Inżynierii, Apoteki, Skarbca, ale za każdym razem oblewał egzaminy. Zupełnie jakby odpowiedzi pisało za niego dziecko. Szybko stało się jasne, że jest on najgłupszym tępym baranem w całym kantonie.

To podniosło mi puls. Myślałem tylko o tym, jak cudownie byłoby zatopić nóż w jednym z tych wrednych, świńskich oczu Talamisa.

– Ale Senat niespodziewanie mianuje na stanowisko w Daretanie śledczą Jurysu. Ona zaś żąda na asystenta mnemorytownika. Stanowisko wyspecjalizowane, wymagające wyjątkowo utalentowanego Sublima. I nagle okazuje się, że nasz młody, tępą Sublim zdobywa najwyższą punktację na teście Jurysu. Wyniki są tak fenomenalne, że każą mu powtórzyć test, by je zweryfikować. Ale on znowu uzyskuje najwyższą notę. W efekcie śledcza wybiera jego kandydaturę. Powiedziałbym, że to niezwykle... lecz to nie-

właściwe określenie, nieprawdaż? Znam lepsze: niewiarygodne. Albo nawet: niemożliwe.

Skoncentrowałem się na oddechu. Na utrzymaniu pozycji. Byle nie widzieć tej twarzy.

– Dowiem się, jak to zrobiłeś, Kol – oświadczył Thalamis. – Dowiem się, a wtedy twoje dni tutaj będą tak policzone, jak te tucznika w rzeźni. A wszystkie pieniądze, które zarobisz, wszystkie ziemie, które kupisz czy otrzymasz w nagrodę za służbę, zostaną ci odebrane. Ale zanim stąd wylecisz, obiję cię kijami. Po raz kolejny. Za to, że zmarnowałeś mój czas. Rozumiesz, signumie?!

Milczałem.

– Zapytałem, czy rozumiesz?!

– Rozumiem, panie – powiedziałem niechętnie.

– Może jednak nie będę musiał czekać tak długo – rzekł, odsuwając się. – Może wkurzysz Hazów tak bardzo, że sami znajdą sposób, by zakończyć twoją karierę już na etapie praktykanta.

Odszedł, a ja nadal stałem na baczność w ciemnej uliczce. Krew huczała mi w uszach, nozdrza paliły od gorącego oddechu. Odprowadzałem wzrokiem Thalamisa, żałując szczerze, że to Blasa, a nie jego rozsadziło to drzewo.

Zaraz jednak przypomniałem sobie ten chciwy błysk w jego oczach i te zaskakująco konkretne pytania.

Nagle przyszło mi do głowy, że kapitan Thalamis pracuje dla Hazów. Wydawało się, że to cenna wskazówka.

Z drugiej strony, ilu innych funkcjonariuszy pracowało dla Hazów? I w jaką kabałę wpakowałem się tego ranka? I co wiedziała Ana?

Postanowiłem dowiedzieć się tego jutro.

Wślizgnąłem się do kwatery i padłem na łóżko.

Rozdział piąty

Nazajutrz rano zabrałem moich opornych świadków do domku Any. U mego pasa kołysał się z lewej strony miecz ćwiczebny, a z prawej pobrzękiwały okowy rytownika. Z mieczem było mi wyjątkowo niewygodnie ze względu na jego ciężar. Takie ostrza robiono z drewna i ołowiu, by przydać im ciężaru większego w porównaniu do zwykłych, dzięki czemu ćwiczyło się siłę ciosu. Gennadios, z wysoko zadartym, grubo pokrytym farbą do twarzy nosem wlokła się najwolniej z całej trójki. Możliwe, że na znak protestu założyła drewniane sandały na platformie noszone przez służące bogatych ziemian, więc z trudem brnęła przez błotniste ulice. Za nią podążała Ephinas, najstarsza dziewczka służebna, a na końcu Uxos, dozorca, oboje śmiertelnie przerażeni. Po, jak mi się zdawało, całym dniu mozolnej wędrówki doczłapaliśmy na ganek domku Any.

– Muszę sprawdzić, czy żadne z was nie ma przy sobie broni – oznajmiłem.

Guzikowate oczy Gennadios zaokrągliły się z oburzenia.

– Nie odważysz się mnie tknąć palcem! – fuknęła. – Ani mnie, ani moich ludzi.

– Obszukam cię tylko przez szaty, pani – zapewniłem ją.

– Mowy nie ma!

– Muszę. To mój obowiązek. – Miałem ochotę dodać, że nie sprawi mi wcale przyjemności, ale uznałem, że to mało dyplomatyczne posunięcie w tej sytuacji.

Przez chwilę sapała gniewnie, ale w końcu powiedziała:

– Ja i Ephinas mocno okręcimy się szatami, żebyś mógł zobaczyć, że nie mamy przy sobie żadnego ostrza. A Uxos niech robi, jak mu tam pasuje.

Obie kobiety obciągnęły ubrania tak, że tkanina mocno przylegała do ich ciał, a ja obejrzałem je dokładnie. Czerwieniłem się przy tym okropnie, bo wydawało mi się to bardziej krępujące niż zwykłe przeszukanie. Odchrząknąłem, speszony, po czym oklepałem talię i nogawki spodni Uxosa, nie znajdując niczego.

– Zadowolony? – prychnęła Gennadios z przekąsem.

Zignorowałem jej złośliwość i zapukałem do drzwi, które otworzyłem, usłyszawszy zaproszenie Any.

W środku okazało się, że Ana przemeblowała gabinet. Z pomieszczenia zniknęła część książek oraz projekty, za to pojawiło się niewielkie biurko. Ana, z przepaską na oczach, siedziała na swoim wyściełanym stołku po drugiej stronie biurka.

Powitała nas uśmiechem.

– Dzień dobry. Ana Dolabra, śledcza Jurysu. Spocznijcie, proszę. – Wskazała na dwa krzesła i stertę książek służącą za trzecie siedzisko.

Służący gapili się na nią zaskoczeni. Zająłem miejsce za plecami Any i wymownie wsparłem dłoń na rękojeści ćwiczebnego miecza. Wątpiłem, by któreś z tej zdenerwowanej trójki cokolwiek próbowało, ale Ana kazała mi zachować czujność, więc tak uczyniłem.

– Zaraz. – Gennadios odzyskała głos. – Ale jak to? Śledcza jest ślepa?

– Tylko czasami, pani Gennadios – odparła Anna. – Odkryłam, że ograniczenie jednego zmysłu umożliwia lepsze przyswajanie informacji. Oraz usprawnia myślenie. Siadajcie, proszę. Tak też zrobili, kobiety na stołkach, Uxos zaś przycupnął na książkach.

– Dziękuję, że zechcieliście się tu pojawić – zaczęła Ana. – Wiem, że to nietypowe, ale i okoliczności są nietypowe. Nie żyje człowiek i został zabity w wyjątkowo nietypowy sposób. Mam do każdego z was kilka pytań i uznałam, że najlepiej będzie zadać je wam osobiście.

Gennadios przyjęła taką samą postawę jak podczas przesłuchania w posiadłości – wyprostowana, ściśnięte kolana, ciało lekko zwrócone bokiem, jakby Ana nie była godna jej uwagi. Zdziwiłem się, że w ten sposób traktowała funkcjonariuszkę jaletu, ale przypomniałem sobie, co moja zwierzchniczka mówiła o obszarnikach, że „niekoniecznie czują się zobowiązani do przestrzegania wszystkich naszych praw”.

– Prościej byłoby, gdybyś sama przyszła do posiadłości, pani – stwierdziła Gennadios.

– Z pewnością – zgodziła się Ana. – Na początek, pani Gennadios, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o prefekcie Blasie. Przede wszystkim, interesuje mnie powód jego wizyty w posiadłości.

– Jest przyjacielem państwa Hazów – wyrecytowała ochmistrzyni. – Z pewnością chłopak to pani przekazał.

– Owszem. Powtórzył pani słowa, że przyjaciele czasem nocują jeden u drugiego. Ale, jak zrozumiałam, Hazów nie było w posiadłości podczas jego pobytu?

– To chyba również wiadomo?

- A czy zamierzali przyjechać?
- Nie zawsze mnie uprzedzają o swoich planach.
- W domu w tym czasie nie gościli inni pracownicy jaletów ani funkcjonariusze cesarscy?
- Nie – odparła chłodno ochmistrzyni.
- I Blas nie odwiedzał innych osób pracujących dla jaletów lub funkcjonariuszy cesarskich w Daretanie.
- Skoro pani tak twierdzi.
- Z tego by wynikało, że Blas przybył sam do domu, w którym przebywała jedynie służba, i żaden z jego współpracowników, tu, w Daretanie, o tym nie wiedział.

Na policzku ochmistrzyni drgnął mięsień.

– To wytworna rezydencja – stwierdziła. – Dzień w dzień ciężko pracujemy, by taką pozostała. Z pewnością wielu byłoby skłonnych odbyć podróż przez kantony, by spędzić tu noc.

– Całkiem możliwe. – Ana uśmiechnęła się, przekrzywiając głowę. – A jednak dziwi mnie, że Blas, prefekt Jaletu Inżynieryjnego, mający dostęp do kwater wyższych stopniem funkcjonariuszy, które w Dretanie są bardzo wygodne, nie zatrzymał się w nich, ani nawet do nich nie zajrzał.

– Nawet najelegantsze koszary jaletu nie dorównają rezydencji rodu Hazów – oznajmiła ochmistrzyni.

– Nie przeczę. Jednak należy wziąć pod uwagę fakt, że prefekt Blas służył w Jalecie Inżynieryjnym, na murach morskich. A pora deszczowa coraz bliżej. Zakładam, że w tych okolicznościach dowódca porzuciłby swoje obowiązki tylko w sytuacji, gdyby musiał oddalić się w pilnej sprawie oficjalnej, związanej z jaletem. W takim wypadku logiczne byłoby, że zatrzymałby się w kwaterach wyższych funkcjonariuszy, by omówić owe pilne kwestie zawodowe z innymi funkcjonariuszami jaletu. Czyż nie?

Ochmistrzyni milczała, a mina złośliwej satysfakcji spelzła jej z twarzy. Ja byłem jednak tak ciekaw, dokąd zmierzają pytania Any, że nawet nie cieszyłem się tym tak bardzo.

– Czy w posiadłości miał się pojawić również inny gość? – zapytała Ana. – Ktoś, kto miał się tam spotkać z prefektem?

– Nie wtykam nosa w sprawy moich państwa – stwierdziła Gennadios. – I... I nie muszę mówić nic więcej.

– Och, ależ owszem, musi pani. Albowiem przybyłaś tu, pani, wezwana oficjalnym pismem Jurysu. Ale ponieważ nie jestem zbyt cierpliwa,

pozwól, pani, że przejdę do sedna. Zaryzykuję stwierdzenie, że na spotkanie z prefektem miała przybyć kobieta. Może więcej niż jedna. Może nawet cała świta. Wygląda na to, że dowódca bardzo lubił kobiety. Tak bardzo, że nie mógł się powstrzymać od obmacywania służących.

Gennadios odwróciła się gwałtownie i spiorunowała wzrokiem Ephinas, która z uporem wpatrywała się w podłogę.

– Co im naopowiadałaś? – syknęła ochmistrzyni.

– Och, wszystkie dziewczęta powiedziały Dinowi to samo, nie tylko ona. Może każda z nich na równi nie znosiła prefekta. Pozwolisz, pani, że przedstawię własne podejrzenia co do natury relacji prefekta Blasa z Hazami. Ród Hazów zapewniał dowódcy rozrywkę i dostarczał mu dziewczyny nawet w tak krytycznym czasie, jak początek pory deszczowej. Zastanawia mnie tylko... co bogaci ziemianie mieli z tego układu?

Uxos zaczął się nerwowo kołysać na swojej stercie książek.

– Ja nie... Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia! – warknęła Gennadios. Zauważyłem, że w masce z farb na jej twarzy pojawiły się ubytki. Najwyraźniej nieczęsto robiła aż tak ekspresyjne miny.

– Och, nie musi pani nic mówić – machnęła ręką Ana. – Din jest mnemorytownikiem i jest tu obecny w celu zapisania tego spotkania. Jego relacja jest świętym, niepodważalnym dowodem. A powiedziałaś przy nim już aż nadto, pani.

– Nikt nie popełnił żadnego przestępstwa! – uniosła się ochmistrzyni. – Aranżowanie układów o charakterze romantycznym nie jest niezgodne z prawem cesarskim.

– A jednak i tego rodzaju układy mogą pociągać za sobą polityczne konsekwencje – rzekła Ana. – Fakt, kto z kim się zadaje, obojętne, czy w łóżku, czy poza nim, może zrujnować niejedną karierę.

– Nawet jeśli, to... Jaki miałabym powód, by pozbawić życia prefekta? – zapytała Gennadios. – Ja czy ktokolwiek z nas. Zresztą niby jak mielibyśmy go zabić? Nawet apotekarze nie rozumieją, jak to się stało.

– Nie sugeruję, że to zrobiłaś, pani. Nie sędzę, by ktoś ze służących był zabójcą. – Ana odchyliła się na oparcie, a przez jej twarz w połowie okrytą opaską przemknął cień. – Ale moja praca, szanowna Gennadios, polega właśnie na tym, by odkryć motyw zbrodni. A muszę przyznać, że fakt posiadania przez tak bogaty ród posiadłości w tym zapomnianym zakątku Obrzeży, budzi moją wielką ciekawość. Posiadłości, do której nawet nie zagląдают. Ale jeszcze ciekawsza jestem, jak zareagują Hazowie, dowie-

dziawszy się, że ich ochmistrzyni nie tylko dopuściła do zamordowania prefekta w ich domu, ale potem omawiała szczegóły tej sprawy z przedstawicielem Jurysu.

Gennadios pozieleniała.

– Ale... Przecież mnie zmusiłaś, pani! Zostałam oficjalnie wezwana do przyjścia! Prawo nakłada na mnie...

– Każdy, kto choć raz był za trzecim pierścieniem murów dobrze wie, że Hazowie nie są szczególnie przywiązani do zasad prawnych.

Na twarzach trojga siedzących przed Aną służących odbiło się zdumienie i przerażenie. Uxos z wrażenia przestał się kiwać i tkwił jak posąg na swojej stercie ksiązek.

– Za co Hazowie rewanżowali się prefektowi Blasowi? – zapytała Ana, akcentując każde słowo, jakby waliła młotem o kowadło.

– Nie wiem – wyszemrała Gennadios.

– Za jakieś działania? Informacje?

– Nie wiem! – wydusiła ochmistrzyni autentycznie spanikowana. – Nie wiem! Naprawdę!

– Rozumiem. Wobec tego, pani Gennadios, proszę opowiedzieć mi o wszystkim, co wiesz o prefekcie Blasie. I o wszystkich jego wcześniejszych wizytach w posiadłości. Podejrzewam, że doskonale wiesz, co, kiedy i z kim robił. Przydatne byłoby posiadanie zapisów na temat spotkań tak wpływowego mężczyzny z prostytutkami, nawet jeśli nie jest to nielegalne. Jeśli tego nie dostanę, poinformuję Hazów, że zdradziłaś mi o wiele gorsze rzeczy. Oczywiście będzie to kłamstwo, ale ubiorę je tak, by mi uwierzyli.

– N-nie posunęłabyś się do tego, p-pani – wyjąkała Gennadios roztrzęsiona.

– Ależ oczywiście, że tak – zapewniła ją Ana z drapieżnym uśmiechem. – Nie posiadam tak sztywnego kręgosłupa moralnego jak drogi Din. Jeśli dasz mi to, czego chcę, zachowam to dla siebie.

– Ale... Ale już samo to, że tu przyszliśmy... – wyszeptała ochmistrzyni. – Już samo to wystarczy, żebyśmy straciła posadę.

– Och, myślę, że Hazowie szybko o tym zapomną – pocieszyła ją Ana. – W obliczu informacji, jak został zabity Blas.

– Wiesz, pani, jak zginął? – zapytała ochmistrzyni, odzyskawszy mowę.

– Ależ naturalnie. Został zamordowany w wyniku skrytobójczego zamachu. – Ana zwróciła zasłonięte oczy na dozorcę. – W którym pomogłeś ty, Uxosie.

* * *

– Co?! – oburzyła się Gennadios. – Sugerujesz, pani, że... że Uxos... Nasz Uxos...

Dozorca pokręcił głową, muskając kołnierzyk brodą jak pędzlem.

– N-nie. Ja nie...

– Prefekta zabiła plamiszklanka – przerwała mu Ana. – To bardzo poważna skaza. W końcu zdołała zniszczyć cały kanton. Poza właściwościami śmiercionośnymi i wyjątkową zakaźnością znana jest z tego, że wywołuje dziwną reakcję papieru paprociowego. Powoduje pojawianie się na jego powierzchni wykwitów pleśni. Jest to godne uwagi, albowiem papier paprociowy znany jest ze swej odporności na pleśnienie. To właśnie dostrzegł Din w pomieszczeniu łazienym, wykwity spowodowane obecnością plamiszklanki, widoczne na przepierzeniu z papieru paprociowego, umiejscowione głównie w górnej części. To wiele znaczące, ponieważ skaza dostała się do organizmu Blasa właśnie podczas kąpieli. Podejrzewam, że niewielki fragment trawy został umieszczony w rurach ze strzeliśłomki. Blas po przybyciu do posiadłości zażył kąpieli i wciągnął zarodniki do płuc wraz z parą wodną. Część z nich jednakże uniosła się i osiadła na krawędzi przepierzenia.

Uxos zaczął się wyraźnie pocić.

– Ale ja... Ja nic nie robiłem z rurami...

– Nie – zgodziła się Ana. – Ale zajmujesz się panelami papierowymi, szczególnie tymi na drzwiach i oknach. Do twoich obowiązków należy ich wymiana w razie uszkodzeń. Za pomocą swojego klucza reagentowego wpuściłeś do posiadłości skrytobójcę, przypuszczalnie noc przed spodziewanym przyjazdem Blasa, umożliwiając mu manipulowanie przy rurach. Sprawca, wchodząc i wychodząc z domu, być może wnosząc plamiszklankę, a być może dlatego, że sam był pokryty jej nasionami, pozostawił na drzwiach zarodniki, a papierowe panele w kontakcie z nimi pokryły się plamami.

– Ale na żadnych drzwiach nie było plam – zaprotestowała Gennadios.

– A-ha! – zakrzyknęła Ana. – To dlatego, że Uxos, jako ogrodnik domyślił się, że plamy są efektem manipulacji skrytobójcy, więc wymienił panele po tym, jak Blas przybył do rezydencji, a następnie spalił uszkodzone panele w swoim piecu.

Na koszuli Uxosa pojawiły się plamy od potu.

– Jedna ze służących – ciągnęła Ana – skarżyła się, że tamtej nocy panował wyjątkowy upał. I rzeczywiście temperatura była wyższa, ponieważ kirpis kuchenny obumarł, więc nie mógł chłodzić powietrza. Ale jak to się stało? Cóż, te grzyby są wyjątkowo wrażliwe na nadmiar wilgoci. Jeśli ktoś pozostawi drzwi otwarte zbyt długo przy panującej na zewnątrz wilgoci...

– Wtedy kirpis zwiędnie – dokończyła cicho Ephinas.

– Dokładnie! – potwierdziła Ana. – I właśnie to stało się, gdy Uxos, trzeba mu przyznać, że bardzo cicho i niezauważalnie, zdjął panel z szyn i założył nowy. Robił to nie raz. I pewnie wymieniłby także przepierzenie w sypialni, gdyby Blas już tam nie spał.

Zapadła cisza, a oczy wszystkich zwróciły się na Uxosa. Dozorca siedział jak sparaliżowany, z wytrzeszczonymi oczyma, do których po czole spływał pot.

– Podejrzewam, że dobrze ci zapłacono za starania – rzekła Ana. –

I muszę cię rozczarować, jeśli myślisz, że nie mamy dowodu na twój udział w tej zbrodni. Zarodniki płamiszklanki są bardzo odporne, nawet na działanie zwykłego ognia. Ostatecznie to skażenie. W zwykłym ogniu nasiona unoszą się w dymie, choć same płomienie opóźniają ich kiełkowanie. Ale twój domek został zbudowany z papieru paprociowego, czyż nie, Uxosie? – Uśmiechnęła się krzywo. – A więc, ciekawe, co zastaną żołnierze Jurysu, jeśli poślę ich do twojej chaty, w której spaliłeś skażone panele... Jak będą wyglądały jej ściany...

Uxos zerwał się i z wrzaskiem rzucił się na Anę.

* * *

Pilnowałem się, powtarzałem sobie, żeby zachować czujność, a mimo to nie byłem przygotowany na coś takiego. Uxos, ten nieśmiały staruszek, w jednej chwili zmienił się w warczącą, oszalałą bestię.

Na moich oczach schylił się, sięgając za cholewkę i w następnym momencie w jego dłoni coś błysnęło srebrzyście.

Nóż. Tam nie szukałem broni.

Wtedy dopiero ruszyłem naprzód.

Wcale nie miałem takiego zamiaru. Nie było w tym żadnej świadomej decyzji. Stało się tak, jakby mięśnie moich ramion i nóg posiadały własną świadomość i wszystkie ożywiły się naraz, pociągając mnie za sobą. Zanim w pełni zdałem sobie z tego sprawę, sięgałem już po miecz ćwiczebny.

Dobyłem wielkiego, tępego ostrza z ołowiu i drewna, moja noga zrobiła krok, ręka się zamachnęła i miecz zatoczył poziomy łuk, trącając Uxosa w ramię z nożem i grzmocąc dozorcę w podbródek i rozcinając wargę.

Ten z rozpędu zatoczył się do przodu i z impetem wpadł na mnie.

Obaj poleciliśmy w tył, wywracając się tuż przy nogach Any. Udało mi się chwycić sztych drugą ręką i zasłonić ostrzem, tworząc drewniano-ołowianą barierę pomiędzy mną a oszołomionym, choć wciąż rozwścieczonym Uxosem, który wylądował na mnie. Dozorca krzyknął i uniósł nóż, prawdopodobnie z zamiarem zatopienia mi go w gardle, na szczęście jednak odtrąciłem go trzymanym oburącz mieczem jak kijem, a następnie gwałtownie wypchnąłem do góry ręką, znów uderzając przeciwnika w twarz, tym razem jeszcze mocniej.

Stoczył się ze mnie, ogłuszony, upuszczając nóż. Gabinet utonął we wrzasku: krzychałem ja, krzychała Gennadios i krzychała Ephinas. Przetończyłem się na Uxosa, złapałem go za włosy i zacząłem grzmocić go raz po raz pięścią w twarz.

– Din! – krzyknęła Ana.

Nie przestawałem walić dozorcę po twarzy.

– Din!

Skóra na łuku brwiowym Uxosa pękła. Chrupnął łamany nos. Z ust buchnęła krew. Czułem pulsujący ból w knykciach, ale nie mogłem przestać.

Wtedy coś uderzyło mnie w skroń, nie na tyle mocno, by pozbawić mnie przytomności, ale wystarczająco, żeby mnie otrzeźwić. Zamrugałem oszołomiony i popatrzyłem tępo na egzemplarz „Zestawienia transferu dóbr ziemskich, Kanton Qabirga w latach 1100–1120”, który z hukiem wylądował na ziemi obok mnie.

To Ana cisnęła książką w moją głowę, choć jak trafiła z zawiązanymi oczami – nie wiedziałem. Spojrzałem na nią oburzony.

– Co, do cholery?! – wyrwało mi się.

– Nie mam nic przeciwko twoim brutalnym skłonnościom, Din – zaczęła spokojnie – ale wolalabym, żebyś nie zatłukł na śmierć człowieka, który wie coś na temat zabójstwa Blasa! A już szczególnie nie w moim pieprzonym domu! – To ostatnie wyrzeszczała.

Popatrzyłem w dół. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, zrobiłem z twarzy Uxosa krwawą miazgę. Leżał na podłodze zakrwawiony i pojękiwał.

Oprzytomniałem do reszty. Powoli zaczęły do mnie docierać histeryczne łkania Ephinas i Gennadios.

– Wy dwie – zwróciła się do nich Ana. – Wynocha stąd. Ale już! Ale zaczekajcie na zewnątrz. Nawet się nie ważcie uciekać, bo inaczej poślę za wami Dina, który przefasonuje wam facjaty, tak jak Uxosowi. – Opadła z powrotem na fotel. – Din, pozbieraj z podłogi swój miecz i tego dozorcę. Musimy porozmawiać.

* * *

Uxos, szlochając i pociągając nosem, wyłożył nam wszystko.

Jakieś dwa miesiące wcześniej, podczas wyprawy do miasta po szczepy ogrodnicze, ktoś go zagadnął. Ten ktoś powiedział, że prefekt Blas jest zdrajcą Imperium i że podjęto decyzję o jego zgładzeniu i Uxos albo udzieli zabójcy pomocy, albo jemu również zostaną postawione zarzuty. Oburzony Uxos chciał odejść, ale powstrzymała go informacja, że za pomoc jest przewidziana nagroda. Jeśli weźmie udział w zabójstwie, stanie się bogatym człowiekiem.

– Kim była ta osoba? – zapytała Ana. – Podała jakieś nazwisko?

– Nie – chlipnął dozorca.

– A może wspomniała, dla jakiego jaletu pracuje? Pokazała dokumenty? Udowodniła, że działa z ramienia władz?

Uxos potrząsnął przecząco głową.

– A jak wyglądała?

– Chyba na coś chorował. Miał kosztowny strój, ale tak opuchniętą twarz, że ledwie rozumiałem, co mówi.

– Ale jesteś pewien, że to mężczyzna?

– Chy... chyba tak. Ale miał wysoki głos. Możliwe, że to była kobieta.

– Na jaja lewiatana! – warknęła Ana. – A może chociaż jesteś w stanie powiedzieć, jakiej rasy była ta osoba?

– Chyba była... Talem? – pisnął Uxos wystraszony i wskazał na mnie. – Jak on?

– A gdzie mieszkała? Powiedziała, w jaki sposób można się z nią skontaktować?

– Nie.

Dozorca wiedział tylko, że połowę nagrody otrzyma z góry, jeśli zgodzi się pomóc zabójcy, a potem każdego ranka miał sprawdzać, czy na pół-

nocno-zachodnim krańcu posiadłości nie znajdzie żółtej, drewnianej kuli. Jej obecność miała oznaczać, że Blas zginie tej nocy i że o północy Uxos ma się stawić w tym miejscu, by pomóc zabójcy przejść przez bramę.

– Czy ten zabójca był tą samą osobą, która się z tobą skontaktowała?

– Nie wiem... Ten, co przyszedł pod bramę, był ubrany na czarno i miał na twarzy maskę, taką dziwną... Z takim nosem.

– Hełm ochronny – powiedziała Ana w zamyśleniu. – Apotekarze używają takich, żeby nie wdychać skażenia.

– Nie odzywał się do mnie – ciągnął Uxos. – Nie miał miecza ani nic poza małym drewnianym pudełkiem. Wszedł, niedługo potem wyszedł. Dopiero później zobaczyłem te plamy na papierze paprociowym, tam, gdzie dotknął drzwi, i wtedy się wystraszyłem i... – Rozpłakał się. – Żałuję, że się dałem namówić. Źle zrobiłem, że wziąłem te pieniądze. Ale jestem już taki stary! Nie będę mnie tu trzymać przez wieczność. A ja poza tą pracą nie mam nic. – Zwiesił głowę i zapłakał, zrozpaczony.

– Din – zwróciła się do mnie Ana. – To odpowiedni moment, żebyś po raz pierwszy użył swych okowów.

Odwiązałem supeł przy pasie, uklęknąłem przed Uxosem i zamknąłem obręcz na jego nadgarstkach. Nie przestawał szlochać, jakby w ogóle nie zauważył, co robię.

Za stary na to, żeby być dozorcą, tak pomyślałem o nim przy pierwszym spotkaniu. Może już wtedy powinienem się domyślić prawdy.

* * *

Po tym, jak oddałem Uxosa w ręce arbitrów w siedzibie Jurysu, wziąłem coś do jedzenia i wróciłem do Any. Zrobiliśmy sobie przerwę na lunch, jedliśmy ciastka z prażonej fasoli, zapijając je naparem z aplilotu.

– Na sanktuarium, Din, następnym razem kup jakieś mięso. Potrzebuję krwi i organów, żeby funkcjonować, a im mniej przetworzone, tym lepiej. Podroby. Kaszanka. Cokolwiek, byle nie te korzonki i strączki.

– Zapamiętam, pani – powiedziałem, marszcząc z obrzydzeniem nos. – Ale jak to zrobiłaś, pani?

– Co?

– Jak to wszystko tak szybko poskładałaś?

– Och, jeszcze nie poskładałam wszystkiego. – Do jedzenia zdjęła opakę i mimo przyćmionego światła zamrugała żółtymi oczami. – Nadal nie

wiem, kto i dlaczego zabił Blasa. Na rozwikłanie tej zagadki trzeba czasu. Nadal nie wiem, co dawał Hazom. Szaleństwa ludzi nie da się przewidzieć. Próby odgadywania motywów to daremny wysiłek. Ale sposób, to co innego, to kwestia materii, ruchu obiektów w przestrzeni rzeczywistej. Odpowiedź na zagadnienie, jak nóż wykuty w jednym miejscu przebył ogromną odległość, by zostać wbity w gardło jakiegoś biednego drania, wymaga ustalenia wielu namacalnych, konkretnych faktów. Ty, Din – wskazała na mnie – zbierasz dla mnie fakty. Ja robię resztę.

Przeżułem moje ciastko fasolowe.

– Tak, ale w jaki sposób to robisz, pani? Jakie masz...

– Nasycenie? Jakie mam wzmocnienie? O to ci chodzi?

– Jestem po prostu ciekaw, pani.

– Ciekaw, co czyni mnie mną. Dlaczego nie wychodzę, mam świra na punkcie zasłaniania oczu i moich książek. To problem całego cesarstwa w tych czasach. Wszyscy ci zadowoleni z siebie dranie myślą, że jedyne, co się liczy, to jaki mały stwór pluska się w twojej krwi, modyfikując mózg, zmieniając twój sposób widzenia, czucia i myślenia. Ale równie ważny jest człowiek poddany ulepszeniu. A mamy duży wpływ na to, kim jesteśmy, Din. Nie robią nas od sztancy. Zmieniamy się przez całe życie, kształtujemy się sami.

Nie miałem bladego pojęcia, co to znaczy, ale wyczułem, że więcej się na ten temat teraz nie dowiem.

– W jaki sposób wyśledzimy tę tajemniczą osobę, która zwróciła się do Uxosa?

– Cóż, przede wszystkim Blas z pewnością miał asystenta. Kogoś, kto zarządzał jego codziennymi sprawami. Musimy go czy ją namierzyć i sprowadzić tutaj, gdzie rozłożę go na części. – Wyrwała kartkę i zaczęła pisać. – To pewnie trochę potrwa, zakładam, że asystent stacjonuje w innym kantonie, a ponieważ zbliża się pora deszczowa, u inżynierów panuje totalna rozpierducha, ale musimy to zrobić. – Wcisnęła mi pismo, żebym zaniósł je na pocztę. – Potem skontaktuj się z apotekarzami. Niech sprawdzą rury łaziebne. Plamiszklanka mogła zostać spłukana do kanalizacji. Jeśli to potwierdzą, niech robią badania.

– Rozumiem, pani.

– Wydobądź też te zapiski od Gennadios. Daty wszystkich wizyt Blasa. Sprawca wiedział dokładnie, kiedy przyjedzie, więc z pewnością obserwował od jakiego czasu jego nawyki. Gorzej, że, jak obstawiam, Blas wiele

czasu spędzał w sąsiednim kantonie, w Tali. To gwarny ośrodek, mają tam swoją jednostkę Jurysu i własnego śledczego. Nie możemy ot tak się tam zwalić i zacząć grzebać, musimy mieć do tego mocne podstawy.

– Mocne podstawy?

– Tak, solidne przesłanki wskazujące, że ta chryja z Blasem zahacza o Talę. Ale podejrzewam, że tak właśnie jest. Blas był uwikłany w układ z Hazami, a Hazowie z całą pewnością mają przyczółek w stolicy Tali, Talagray. Jeśli pójdziemy tym tropem, właśnie tam może nas zaprowadzić. Nie wiem tylko, kiedy się tam znajdziemy.

Obserwowałem jej twarz, teraz pełną pasji, niepokojąco zaciętą.

– Czy ma pani jakieś osobiste porachunki z Hazami? – odważyłem się zapytać.

– Wszystkie osoby traktuję zdecydowanie nieosobiście – odrzekła. – To ułatwiała mi wysłanie ich na szafot. Ale akurat Hazowie to wyjątkowo zepsute sukinsyny. Nie miałabym nic przeciwko, żeby zobaczyć, jak ten ich cały parszywy pomiot gnije w ziemi jak zdechłe psy.

– Ach... – kaszlnąłem. – Ach, tak. Bo zastanawiałem się, czy może właśnie dlatego kazała mi pani sprowadzić tu Gennadios.

– Po części. Tak naprawdę nie potrzebowałam potwierdzenia moich wniosków. Ale pomyślałam, że miło będzie spieprzyć jej dzień. Wyglądała mi na wyjątkową kupę łajna.

– To po co wezwałaś również tę służącą, pani?

– Sama nie wiem. Chyba chciałam, żeby Uxos czuł się pewniej. No i troje brzmi lepiej niż dwoje, nie?

– A co tymi żołnierzami Jurysu, których miałaś wysłać do chatki Uxosa, pani? Nie mówiłaś, żebym to organizował.

– Ach, bo wcale nie zamierzałam tego robić. Chciałam go tylko podpuścić. I udało mi się! – Uśmiechnęła się triumfalnie. – Ach, uwielbiam, kiedy wszystko wychodzi na moje.

* * *

Po lunchu miałem złożyć oficjalny raport w magistracie Jurysu. Zauważyłem, że Ana jest znacznie spokojniejsza, jakby uszło z niej to obsesyjne napięcie, w którym żyła przez parę ostatnich tygodni. Zapytałam ją o to.

– Oczywiście, że czuję się lepiej – potwierdziła, nasuwając opaskę na oczy, żeby mnie odprowadzić do drzwi. – Znacznie lepiej. Nareszcie coś się

zadziało, coś ciekawego, bo to morderstwo na takie wygląda. A ja uwielbiam, jak dzieje się coś ciekawego.

– Myślałem, że naszym zadaniem jest szukanie prawdy i pilnowanie, by sprawiedliwości stało się zadość – powiedziałem, stojąc na ganku. – Legion broni żywych. Jurys broni martwych i źle traktowanych.

– Ale z ciebie moralizator, Din, to takie nudne. A sprawiedliwość to złożona materia. Sam pomyśl, taki Blas... Wydaje się wredną świnią, prawda?

– Nie aż tak, żeby zasługiwał na śmierć, pani. A już szczególnie taką.

– Jeszcze nie, ale zobaczymy, jak dowiemy się o nim więcej.

Zatrzymałem się jeszcze raz.

– Mam jeszcze jedno pytanie, pani...

– Tak, Din? – westchnęła cierpiętniczo.

– Co się stało z kantonem Oypat? Tym od inwazji plamiszklanki?

– Hm, cóż, z tego, co pamiętam, apotekarze i inżynierowie starali się znaleźć sposób na ocalenie tych ziem, ale zbyt długo się wahali i zwlekali. Kiedy wreszcie ustalili wspólny plan działania, było za późno. Apotekarze zastosowali wypalanie, nie zwykłym ogniem, ale palmem, tym samym olejem, którego używa się przy niszczeniu truchła lewiatana. Kanton został odcięty kordonem przez inżynierów, a mieszkańcy musieli opuścić swoje domy. Mieszkają tu i tam w niewielkich klanach i enklawach. I jak przypuszczam, w ich głowach krąży wiele trudnych pytań.

– To znaczy, pani?

– To znaczy, że Imperium wydaje ogromne kwoty i rzuca tysiące ludzi do obrony kontynentu przed wielkimi jak góry bestiami morskimi, ale nie może ocalić kantonu przed jedną przekłętą roślinką? – Przekrzywiła głowę, kiedy rozległo się za nią cichutkie podzwanianie jej instrumentu wstrząsowego. – Z drugiej strony, jak dotąd tylko Imperium jest w stanie nas bronić. A pora deszczowa nadchodzi nieuchronnie, Din.

Cofnęła się do wnętrza domu i zatrzasnęła drzwi.

Rozdział szósty

Jeszcze raz wróciłem do posiadłości Hazów, aby zabrać materiały od Genadios. Zaprosiła mnie do swojego pokoju i wręczyła, potajemnie, wstydliwie, swoje notatki.

Zapiski znajdowały się w małym notesie o czerwonej, skórzanej okładce. Otworzyłem i mocno skupiłem się na literach, które jak zwykle chwiały się i drgały, jednak byłem prawie pewien, że wpisy zrobiono skrótami, CV.–4.1127, i tym podobne.

– To jakiś kod? – zapytałem.

– To daty! – odwarknęła. – Jeśli ty jest za głupi, żeby je odcyfrować, daj to swojej śledczej! Pytała mnie o notatki, oto one.

Wyprosiła mnie, więc wziąłem notes i wyszedłem do ogrodu, gdzie za domem cała grupa apotekarzy opróżniała bojler i przeszukiwała odpływ. Wszyscy mieli na sobie skórzane hełmy ochronne i kombinezony, ekwipunek opracowany przez ich Jalet jako środki bezpieczeństwa dla funkcjonariuszy.

Jeden z apotekarzy zauważył mnie i pomachał. Przytoczył się do mnie i zdjął hełm. Ujrzałem zaczerwienioną, spoconą twarz princepsa Otiriosa.

– Mamy to, panie! – Wskazał głową na rury. – Znaleźliśmy cienkie ździebełko trawy. Było w odpływie, dokładnie tak, jak przewidziała wasza śledcza.

– Jak duży jest ten fragment?

Rozłożył dłonie na odległość jakichś ośmiu minispanów.

– Malutki. Aż dziw, że coś tak małego mogło zabić człowieka w tak potworny sposób. Ale to musi być jakaś inna odmiana, albo może jakaś zmodyfikowana czy z wszczepem. Normalnie plamiszklanka jest nie do zatrzymania, roznosi się wszędzie, ale nawet jak dostanie się do organizmu człowieka, to rośnie w niewielkie guzy.

– Co sugerujesz?

– Na razie nie mogę wyciągać wniosków, panie, ale jeśli miałbym ryzykować jakieś założenia, to powiedziałbym, że ta roślina została zmodyfikowana tak, żeby uwolnić nasiona w kontakcie z gorącą wodą, a do tego mogły one zakiełkować jedynie w żywej tkance, obojętne, człowieka czy czegoś innego. Co więcej, roślina, która wykiełkowała z tej tkanki, nie

wytwarza nasion. Inaczej cały dom zostałby skażony, wszyscy przebywający w nim zginęliby, a każdy papier paprociowy szcerniał. Ta roślina wydaje się zaprojektowana w bardzo konkretny sposób.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś zmienił skażenie w broń?

– Na to wygląda. Miała zabić szybko, jednorazowo. Nie byłby to pierwszy taki przypadek w Imperium. Ale więcej mogę powiedzieć dopiero, jak zbadamy to źdźbło. – Nasunął hełm na twarz. – A tymczasem, panie, doradzałbym przekazać każdemu, żeby dokładnie obejrzał pomieszczenie łazienne przed kąpielą. Tym, na których panu zależy.

Skierowałem się do bocznego wyjścia. Po drodze mijałem chatkę dozorczy, więc skręciłem, żeby przyjrzeć się panelom papierowym, z których była zbudowana. Wszystkie poczerniały, pokrywały je ciemne, kosmate plamy, które zdawały się rozprzestrzeniać na moich oczach. Wyryłem dokładnie ten obraz w pamięci, zachowując jako jedno z wielu nieprzyjemnych wspomnień w głowie. Potem ruszyłem do wyjścia.

CZĘŚĆ DRUGA

Wyłom

Rozdział siódmy

Myślałem, że przypadek prefekta Blasa zmieni moje życie w Daretanie, szybko jednak okazało się, że się myliłem. Przez kolejnych trzynaście dni trwałem w straszliwym odrętwieniu.

Jak na porę deszczową przystało, nadeszły deszcze, a wraz z nimi nie-
znośna wilgoć. Nie dało się od niej w żaden sposób uciec, o ile nie posia-
dało się bogactw umożliwiających zakup kirpisa i postawienie go w jakimś
zamkniętym miejscu, które dało się utrzymać w suchości. Jedną interesu-
jącą chwilą podczas tych dwóch tygodni było otrzymanie odpowiedzi od
asystentki prefekta Blasa.

– Nazywa się Rona Aristan – mówiłem, stojąc w gabinecie Any. Udawa-
łem, że odczytuję list po raz pierwszy, choć tak naprawdę tuż po tym, jak
odebrałem go z poczty Stephinosa, spędziłem dwadzieścia minut, odcyfro-
wując mozolnie litery i zapamiętując każde słowo. – Píše, że wstrząsnęła
nią wieść o morderstwie zwierchnika, że wiedziała o jego wizycie w Dare-
tanie, ale twierdzi, że nie miała pojęcia o jej celu.

– Jasne – prychnęła Ana drwiąco. – Co jeszcze?

– Píše, że jest gotowa przybyć tu i złożyć pełne zeznania w kwestii roz-
kładu prac Blasa, ale ponieważ zaczęła się pora deszczowa...

– Wszyscy funkcjonariusze Jaletu Inżynieryjnego zobowiązani są pozo-
stać na swoich stanowiskach – dokończyła Ana. – Tak to ujęła?

– Dokładnie tak, pani.

– Oczywiście. Gdy lewiatany się zbliżają, na drogach w Tali robią się
takie zatory, że nie chcą, żeby niepotrzebnie kręcił się po nich ktoś, kto nie
musi.

– Przysłała jednak grafik zajęć prefekta. – Wyjąłem kartkę z koperty. –
Przepisała wszystkie jego wpisy z czterech ostatnich miesięcy.

Ana wyrwała mi kartkę z ręki i przebiegła po niej wzrokiem, a potem
przygryzła wargę.

– Cholera – zaklęła.

– Myślałem, że to pomoże, pa...

– Pomogło. Jeszcze bardziej skomplikować tę sprawę! – Podniosła czer-
wony notes Gennadios. – Bo jeśli to, co jest zapisane tutaj, to prawda, to

jestem prawie całkiem pewna, że zabójca przebywa w Talagray albo gdzieś w okolicy.

– Jak to?

Rzuciła na blat notes i podniosła kopię grafiku od asystentki, jakby świadek zawierał jakieś straszne oskarżenie.

– Tak, jak myślałam. Ostatnie trzy miesiące przed śmiercią Blas spędził w Talagray. Co oczywiście ma sens, ponieważ prefekt inżynierów powinien spędzać cholernie dużo czasu, zwłaszcza przed porą deszczową, w mieście, które obsługuje morskie mury. – Dźgnęła palcem w otwarty notes Gennadios. – Jednak wizyty Blasa w posiadłości Hazów były bardzo nieregularne. Ostatnia miała miejsce między trzynastym a piętnastym egina. Założę się, że po prostu wymykał się, by pobawić się z eleganckimi panienkami szczególnego autoramentu. A to oznacza, że tylko ktoś blisko niego mógł wiedzieć, kiedy tu przyjedzie. Czyli zabójca obserwował prefekta na miejscu, w dużym mieście, kawał drogi na południe stąd, drogi, po której prawdopodobnie nie pozwolą nam podróżować. Nawet jeśli chcą naszego śledztwa. A to wcale nie takie oczywiste. Drań jest sprytny, trzeba mu to przyznać. Specjalnie zrobił to tuż przed porą deszczową, żeby zdążyć jeszcze przed ograniczeniem podróży.

– Co w takim razie zrobimy, pani?

Przez chwilę wpatrywała się ponuro w przestrzeń.

– Cóż, chyba napiszę kilka jebaniutkich listów. – Przysunęła sobie pergamin i ujęła pióro.

– Do kogo?

– Do magistratu Jurysu w Tali. Poinformuję ich o tym, co ustaliliśmy, i zawnioskuję o udzielenie zgody na przyjazd i osobiste przesłuchanie świadków. Hm, może pominę to, że Blas zabawiał się z prostytutkami. To byłoby bardziej niż nietaktowne. Jestem gotowa nawet wydać fortunę, żeby wysłać to przez jastrzębia skrybnego. Wtedy nie będą mogli tego zignorować.

– Chcesz mnie wysłać do Talagray, pani? – zdumiałem się.

– Oczywiście, że nie. W sprawie tej wagi pojedę z tobą. Choć wątpię, żebyśmy dostali odpowiedź wcześniej niż za parę miesięcy. Kto będzie się przejmował morderstwem, nawet jeśli to prefekt inżynierów zabity przez skazę, skoro na mury napiera stado lewiatanów. – Dostrzegła moje rozczarowanie. – A tobie co, chłopcze?

– Myślałem, pani, że skoro rozwiążemy morderstwo, to przynajmniej będzie się coś działo.

– A czego się spodziewałeś? Podwyżki? Awansu? A może listu pochwalnego od samego cesarza i gromadki przyjemnicznic, które pokręcą biodrami na twoich klejnotach?

– Gromadki... czego, pani?

– Przyjemnicznic. To takie tancerki dworskie, z wzmocnionym wydzielaniem feromonowym, których samo towarzystwo podnieca do szaleństwa. Na Sanktuarium! Ten kanton to straszne zadupie! Ale do rzeczy, Din, nie rozwiązaaliśmy sprawy morderstwa, jesteśmy w trakcie rozwiązywania jej. A z pewnością nam się to nie uda, jeśli nie wyślesz tego cholernego listu!

Wręczyła mi list, a ja wysłałem go, pewien, że to wszystko na dłuższy czas.

Rozdział ósmy

Leżałem na pryczy, wsłuchując się w chrapanie śpiących Sublimów. Nie znałem żadnego z moich kilku współlokatorów. Byłem za stary na ucznia, a co za tym idzie na mieszkanie w koszarach Sublimów, więc nie zadawałem się z nimi za bardzo. Ale przywykłem do sypiania w jednej izbie z nieznajomymi. Właściwie te odgłosy mnie uspokajały.

Wsłuchiwałem się również w szum deszczu uderzającego o dach z formobluszczu, a potem odległy odgłos grzmotu.

Grzmot przeciągał się, trwał i trwał, a potem przeszedł w dziwne trzeszczenie i łoskot. A potem rozległy się kolejne łaskoty.

Usiadłem na pryczy, uświadamiając sobie, że to wcale nie grzmot. Zerwałem się z łóżka.

– Wstawać! Wstawać! Ale już! – wrzasnąłem.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – wymamrotał jeden z chłopców. – Co ci odbiło?

– To ostrzał z bombard, do cholery! – wydzierałem się, biegnąc do drzwi. – Wychodzić! Szybko!

Wyskoczyłem na zewnątrz, na deszcz; jak się okazało, nie ja jeden. Błoto na ulicy chlupotało pod stopami ludzi wypadających z kwater i biegnących ku wałom ziemnym po wschodniej stronie umocnień miejskich. Wspinaliśmy się po śliskim stoku, czepiając się traw, by dostać się wyżej, na szczyty fortyfikacji, skąd rozciągał się widok na południe.

Zmrużyłem oczy, wyteżając wzrok, bo w migotliwej od deszczu ciemności trudno było cokolwiek dostrzec, ale po chwili wydało mi się, że widzę na horyzoncie białozółte błyski. Ogień bombard, jasny, intensywny.

– To niemożliwe – powiedział ktoś nieopodal. – Jesteśmy zbyt daleko, żeby widzieć czy słyszeć ostrzał.

– Chyba że to wielkie działa – rzucił ktoś inny. – Wtedy kto wie?

– No chyba że strzelają z murów, ale do wewnątrz – rzekł ktoś cicho. – Ale to oznaczałoby, że...

Deszcz zalewał nas, mocząc włosy i zbierając się w kałuże u stóp.

– Jeśli doszło do wyłomu, daliby sygnały ogniowe. – Poczułem trzepotanie za oczami, przypominając sobie obraz widzianej niegdyś mapy tego

rejonu, po czym wskazałem na ciemną plamę horyzontu. – Byłoby go widać o tam.

Znów w oddali ciemność rozbłyskiwała i dochodził nas huk bombard. Staliśmy na wale, słuchając, jak budzi się cała Daretana. Krzyki, rozkazy, rżenie koni, trzaskanie drzwiami mieszały się i narastały.

A potem na horyzoncie, w miejscu, które wskazywałem, pojawił się pojedynczy, żółty płomień.

– Sygnał ogniowy – wychrypiałem. – Tytan przedarł się przez mury...

– Wyłom! Wyłom! Wyłom! – rozległy się zewsząd wrzaski.

A potem świat pogrążył się w chaosie. Jazgot dzwonów alarmowych dzwonił mi w czasce. Ludzie usiłowali zapalać pochodnie albo pobudzić do świecenia lampiony mai. Sublimowie mnemorytownicy okazali się wyjątkowo przydatni – pamiętaliśmy dokładnie procedury alarmowe, wiedzieliśmy, dokąd się udać, co robić i wkrótce wszyscy Sublimowie, żołnierze i cała reszta zbierali się na polach na północ od Daretany, czekając w ulewnym deszczu.

Czekanie zdawało się nie mieć końca. Przez szum deszczu słyszałem szepty, a nawet łkania. Zerknąłem na jednego z Sublimów obok mnie. Stał wyprężony jak struna, w doskonałej pozycji, ale z całej siły zaciskał powieki, a wargę przygryzł tak mocno, że po podbródku pociekła mu krew rozwodniona deszczem.

W końcu przybył dowódca Legionu. Jego hełm z wysokim grzebieniem lśnił w blasku pochodni. Starsi funkcjonariusze zaczęli wydawać rozkazy. Wszystkim inżynierom i legionistom kazali się natychmiast spakować, a następnie wyruszyć na południe, do Talagray. Pozostali żołnierze mieli im pomóc w pakowaniu, a potem zostać na miejscu i przygotować Daretanę do natychmiastowej ewakuacji, jeśli zajdzie taka potrzeba.

I znów rozpętał się chaos, szaleńczy, błotnisty, zalewany strugami deszczu. Tabor towarowy wtoczył się do miasta, a my wszyscy wylegliśmy na ulice, dźwigając kufry, ładując sakwy, piętrząc skrzynie, przenosząc ekwipunek inżynierów i legionistów, podczas gdy oni sami w pośpiechu pakowali rzeczy osobiste. Dziwnie było patrzeć na taką przemianę ludzi, którzy w skupieniu pomagali przygotować towarzyszy, przyjaciół, kochanków, wrogów i obcych do wyjazdu w ciemność, gdzie czekał ich nieznany los. Wypatrywałem znajomych z początków mojego szkolenia na Sublima, ale deszcz, półmrok i zamęt uniemożliwiały rozpoznanie twarzy.

A potem wszystko dobiegło końca. Wydawało się, że jeszcze tyle musimy zrobić, ale ktoś kazał nam przestać. Zeszliśmy na bok i w milczeniu patrzyliśmy, jak w mrugającym blasku pochodni mijają nas inżynierowie i legionieści, jak płynie obok nas niekończąca się rzeka koni, bagaży i przemokniętych ludzi, których hełmy i pancerze migotały w krótkich błyskach piorunów.

Ktoś wykrzyczał jakiś rozkaz, ale ja nadal tkwiłem przy drodze. Zdruzgotała mnie świadomość, że cały porządek naszego życia w przeciągu kilku szalonych chwil może rozpaść się na kawałki z powodu grzmotów na wschodzie.

Poczułem, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu, a palce wbijają mi się boleśnie w skórę i mięśnie. Obróciłem się gwałtownie, stając na wprost mokrej, wykrzywionej w grymasie wściekłości twarzy kapitana Thalamisa.

– Nie słyszałeś, co do ciebie mówię, półgłówku?! – ryknął. – Pędź do swojej zwierzchniczki na wypadek, gdybyśmy musieli się stąd ewakuować! – Pchnął mnie tak mocno, że poślizgnąłem się na błocku. – W twoim wypadku oznacza to tę śledczą sukę bez piątej klepki! No już cię tu nie ma!

Krew we mnie zawrzała, a on, najwyraźniej widząc moją wściekłość, tylko poklepał rękojeść swego miecza.

– Tylko spróbuj, głupcze. Przynajmniej oszczędzisz mi zachodu z wywalaniem cię stąd.

Patrzyłem na niego przez chwilę, a potem obróciłem się i pobiegłem przez ścianę deszczu.

– Tak myślałem! – zawołał za mną.

* * *

Kiedy dotarłem do domu Any, ulewa zmieniła się w deszcz. Nie zwracałem sobie głowy pukaniem, obojętny na to, w jakim stanie może się znajdować – wpadłem do środka zdyszany, parujący i ociekający wodą.

– Cześć, Din! – zawołała z gabinetu.

Zacząłem brnąć w tamtą stronę. Ana klęczała na podłodze przed swoim urządzeniem do drgań, które dzwoniło jak oszalałe. Ponieważ w gabinecie było ciemno, znalazłem lampion i potrząsałem nim, dopóki robaczki w środku nie obudziły się i nie zaczęły świecić. Błękitne światło z wolna wypełniło pokój.

– Doszło do wyłomu, pani – powiedziałem głucho. – Musimy przygotować się do ewakuacji.

– Dziękuję, Din. Domyślałam się tego. Ale ewakuacja nie będzie konieczna.

– Jak to?

– Obserwuję wstrząsy odkąd się rozpoczęły. – Kiwnęła głową na urządzenie. – Już od godziny cichną, a to oznacza, że lewiatan się wycofuje. Prawdopodobnie na południe w stronę murów. – Podniosła ku mnie przepasane tkaniną oczy. – Dokonał tego, do czego został wyszkolony.

– Kto?

– Legion. Żołnierze dysponują uzbrojeniem zdolnym do wywabiania lewiatanów, odciągania ich od miast i miasteczek z powrotem pod mury, gdzie czekają bombardy. Prawdopodobnie tam go zastrzelą. – Zdjęła opaskę i spojrzała na mnie. Musiała dostrzec strach i gniew wymalowane na mojej twarzy, bo spróbowała się uśmiechnąć. – Może zaparzyłbyś mi herbaty, Din?

– Słucham? – odpowiedziałem słabo. – Herbaty?

– Tak. Parzysz doskonałą herbatę, Din. Zrób cały dzbanek, przyda nam się teraz.

Wykonywałem mechanicznie kolejne czynności: rozpałem mały ogień w piecyku, postawiłem na nim czajnik, by woda się zagotowała. Wyjąłem po kilka szczypt suszonych liści z bawełnianych worków wiszących nad blatem, zwilżyłem je kilkoma kroplami wody, a potem starannie powolnymi, kolistymi ruchami rozcierałem je w moździerz. Gdy z czajnika zaczęła się unosić para, wziąłem kilka listków mięty, rozgniotłem je i dodałem do mieszanki, po czym włożyłem wszystko do zaparzacza, który wsuwałem w dzióbek czajnika. Kiedy nalałem herbaty do dwóch filiżanek, powietrze wypełniło się intensywnym, złożonym aromatem.

– Co za zapach! – Ana pociągnęła nosem i upiła łyczek. – Smakuje wyśmienicie.

Skinąłem głową w podziękowaniu, bo nadal nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Zauważyłam – ciągnęła – że zawsze udaje ci się uzyskać ten sam efekt. Bierzesz tyle samo szczypt listków. Rozcierasz dokładnie tymi samymi ruchami. Doskonała powtarzalność.

– Przyjaciel mnie nauczył – wydukałem drewnianym głosem. Siedzieliśmy w niebieskawym świetle lampionu, ściskając w dłoniach filiżanki

i wsłuchiwalismy się w szum deszczu i odległy dźwięk dzwonu alarmowego.

– Czy któryś z twoich przyjaciół wyruszył dzisiaj na południe? – zapytała.

– Kilku. Z Inżynierii. Ostatnio straciłem z nimi kontakt, bo dawno już dostali przydziały, a ja mój dopiero teraz, ale... – urwałem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – Nie widziałem ich podczas wymarszu. Nie miałem okazji się pożegnać.

– Jeśli są z Jaletu Inżynieryjnego, będą bezpieczniejsi – pocieszyła mnie Ana. – Oczywiście nie całkiem bezpieczni, ale zawsze to coś. Nie posyłają konstruktorów do pracy, zanim nie unieszkodliwią lewiatana. Dopiero potem kontyngent inżynierów ocenia sytuację i naprawia mury tak szybko, jak to możliwe. No ale wtedy właśnie sprawy się komplikują. Grupują bombardy w miejscu wyłomu, ale przez to inne odcinki są słabiej bronione.

– A więc moi przyjaciele będą w miarę bezpieczni teraz, ale potem już nie?

– I tak i nie. Wyłom to katastrofa, Din. Od teraz aż do końca pory deszczowej już wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo.

– To co będziemy robić, pani?

– Będziemy czekać. – Wzruszyła ramionami. – I obserwować sytuację.

* * *

Zostałem z Aną aż do rana, wsłuchując się w podzwanianie jej urzędnika i jej nieustanną paplaninę. Trajkocząc, miotała się po gabinecie, otwierała książki, gładziła ich strony, pochylając nad nimi głowę, czasami odczytywała fragmenty na głos albo wygłaszała dziwaczne teorie czy przytaczała fakty.

– W trzecim pasie używają kipów morskich do przeciągania barek przez kanały – rzekła w pewnym momencie. – To takie niewielkie stworzenia przypominające spuchnięte delfiny o psich pyskach. Ale najwyraźniej pojawił się jakiś problem z nasyceniem. Apotekarze wyhodowali nowy gatunek ostryg, które mogą rosnąć do ogromnych rozmiarów, ale przy okazji są nosicielkami zarazki, który przenika do wody, a tak się składa, że ten drobnowstrój sprawia, że kipy morskie są nieustannie pobudzone. Podobno zarujują się na śmierć.

– To niesamowite, pani – powiedziałem, wykończony.

– Tak. Wielu flisaków postanowiło wykastrować swoje kipy, ale to wcale nie takie proste, gdyż właściwy narząd nie jest szczególnie łatwo dostępny. Ba, w ogóle trudno go zidentyfikować. Trzeba do tego wprawnego oka i pewnej ręki. To tak, przy okazji, gdybyś kiedyś szukał innej pracy.

Uśmiechnąłem się półgębkiem na myśl o tak makabrycznym pomysle. Wiedziałem, że Ana próbuje odwrócić moją uwagę od tego całego koszmaru i zdenerwowania, i doceniałem jej starania.

Czas płynął wolno. W pewnej chwili już miałem zapaść w drzemkę, ale nagle coś sobie uświadomiłem i wyprostowałem się gwałtownie.

– Przestało! Przestało podzwaniać! Twoje urządzenie, pani.

– To prawda – przyznała i uklękła przy milczącym ustrojstwie. Huk bombard też ucichł. – Wygląda na to, że już po wszystkim.

– Myślisz, że naprawdę go zabili, pani?

– Najpewniej tak. Mam taką nadzieję. Już świta. Dzisiaj czy jutro dowiemy się wszystkiego.

* * *

Pobiegłem do Daretany, gdzie natknąłem się na tłum żołnierzy i Sublimów zgromadzonych pod pocztą. Stephinos siedział ostentacyjnie na ziemi przed drzwiami do placówki i odpowiadał niezmiennie na zadawane mu pytania:

– Gdybym wiedział coś więcej, to bym wam powiedział.

Godzinami wałęsaliśmy się bez celu pod pocztą. Zadzieraliśmy głowy za każdym razem, gdy w ciężkim, dusznym powietrzu szybował jakiś jastrząb skrybny, jeden z tych hodowanych przez apotekarzy ptaków szkolonych do przenoszenia poczty na ogromne odległości, ale żaden nie wylądował u nas. Pewnie dlatego, że Daretana znajdowała się tak blisko Talagray. Nikt nie wydawał nam żadnych poleceń, nikt nie ganił za bezczynność. Wszyscy wiedzieliśmy, że dzień się odmieni, gdy tylko dotrą do nas wieści.

I w końcu pod wieczór nadjechało dwóch jeźdźców w czarnych strojach legionistów na koniach stajowych, potężnych rumakach zmodyfikowanych tak, by przemierzać ogromne dystanse w krótkim czasie. Jeden z nich, jak się okazało, kobieta, zatrzymał się przed pocztą, a drugi pognął dalej, prawdopodobnie zanieść wieści do dalszych miast.

Wszyscy pośpieszyli, by napoić zdżozonego konia i przynieść posłańcy, czego zażąda, ale poprosiła jedynie o skrzynkę, na której mogłaby stanąć. Wdrapała się na nią i gromkim głosem zwróciła do zgromadzonych.

– Lewiatan został pokonany – ogłosiła, jednak jej twarz była tak surowa, że nikt nie ośmielił się wiwatować. – Został powalony na południu, nieco na wschód od miasta Sapfir. Uczynił jednak cielskiem wyrwę w murze, szeroką na ponad staję.

Rozległ się chóralny świst gwałtownie wciąganego powietrza. Sapfir znajdowało się niedaleko Talagray, co oznaczało, że lewiatan był bliski zniszczenia największego miasta na Obrzeżach. Jeszcze gorsza była wieść o wyłomie. Do tak ogromnego uszkodzenia murów nie doszło od wielu, wielu lat.

– W związku z tym – zagrzmiała posłańczyni – wszyscy legionieści i inżynierowie z dziesięciu sąsiednich kantonów zostaną w trybie natychmiastowym przekierowani do Talagray. Daretana musi maksymalnie przyspieszyć ich przemarsz. Przygotujcie się na wielki napływ imperialnych wojsk.

Przez tłum przebiegły fale pomruków.

Potem posłańczyni wyciągnęła z kieszeni pergamin i zerknęła na napis na nim.

– I na koniec, czy ktoś tu zna śledczego Jurysu, immunis... umm, Anagose Dolabrę?

Szepty ucichły i oczy wszystkich zwróciły się na mnie.

– Eghm... Ja, pani – zgłosiłem się, podnosząc rękę.

– Wobec tego przekaż jej, panie, żeby pozostała na miejscu i oczekiwała przybycia legatki Desmi Vashty z Legionu Imperialnego. Legatka dotrze tu jutro przed wieczorem. To wszystko!

Posłańczyni wsiadła na konia i pogalopowała do następnego kantonu.

* * *

– Cóż, to dopiero wielka niespodzianka, prawda? – skwitowała Ana z szerokim uśmiechem pod opasanymi oczyma.

– Proszę wybaczyć, pani, ale ciężko mi się uśmiechać w takiej chwili – usprawiedliwiłem się.

– Och, odrobinę uśmiechu nigdy nie zaszkodzi, Din. Nawet w najpotworniej kijowych chwilach. – Przekrzywiła głowę. – Legatka! Niesamowite. To nie byle jaka ranga. I przyjedzie tu do mnie osobiście, i to podczas kryzysu. Coś tu jest na rzeczy.

– To samo pomyślałem, pani. Ale co? To już nie wiem.

– Hm. – Rozsiadła się w swoim niskościełanym fotelu.
– Din, czy mi się wydaje, czy posiadasz tylko jeden płaszcz Jurysu?
– Um... tak, pani.
– I te twoje buty. Trochę są gówniane, nie sądzisz? Nie mówię tego, żeby cię obrazić, ale...
– Nie są tak porządne jak niektóre – zgodziłem się uprzejmie. – Ale tylko na takie mnie stać.
– Taaak. No to czekają cię zakupy, Din. Musisz mieć jakieś porządne okrycia i, co ważniejsze, buty. – Wstała, podeszła do sekretarzyka i otworzyła jedną z szuflad. – Masz. – Podała mi małą sakiewkę talintów. – To prezent, premia za doskonałą pracę przy sprawie morderstwa Blasa. Postaraj się uwinąć przed zmrokiem, Din. A potem spakuj się i bądź gotów.
– Dziękuję... Ale na co, pani?
– Na bardzo poważną rozmowę. O poważnych, ponurych sprawach. Oraz na wyjazd, który, jak sądzę, po niej nastąpi. Choć jeszcze nie wiem, dokąd.

* * *

Czekałem na poczcie, odziany w nowiutki, błękitny płaszcz oraz czarne, lśniące buty. Nowe rzeczy jeszcze się nie dopasowały, więc płaszcz pił mnie pod pachami, a buty uwierały w palce, tak że chodziłem wte i wewte, z rękami zaplecionymi za plecami.

W końcu usłyszałem tętent kopyt i wyrząłem w mrok. Z wilgotnej ciemności wyłonili się dwaj jeźdźcy spowici w czarne płaszcze, w czarnych hełmach na głowach. Zwolnili i przystanęli pod placówką, gdzie zsiadli z siodła. Stephinos zajął się ich wierzchowcami i wymieniwszy z nimi parę słów, wskazał na mnie.

Stałem prosto, z rękami z tyłu i chłodnym obliczem. Nigdy nie rozmawiałem z żadnym funkcjonariuszem wyższym rangą od prefekta – poza Aną, ale to się nie liczyło. A już na pewno nie miałem nigdy do czynienia z żadnym prominentnym dowódcą Legionu, najbardziej wymagającego i zaszczytnego jaletu. Wypiąłem pierś, by wyraźnie zobaczyli moje dysfunkcje, kwiat i belkę oznaczające asystenta śledczego oraz oko w ramce wskazujące, że jestem również mnemorytownikiem.

Jako pierwsza podeszła do mnie legatka. Nie musiałem widzieć insygniów na jej smolistym płaszczu, żeby zorientować się, że to właśnie ona.

Wystarczyło spojrzeć na jej szarą cerę, wynik wielu modyfikacji, oraz w ciemne, poważne oczy, które sugerowały, że ich właścicielka widziała w życiu niejedno okropieństwo. Wysoka, o szerokich barkach i wyraźnie zarysowanej szczęce, utykała ledwie dostrzegalnie, co mogło być wynikiem chronicznego bólu w plecach. Na misternie zdobionym hełmie wyryto słowa w starokhańskim, cesarski dekret sprzed wieków ustanawiający Legion. Istne dzieło sztuki. Zastanawiałem się, czy nosiła go w takich kluczowych momentach, by wzbudzać jak największy respekt.

Za nią podążał kapitan, wysoki, młodszy od niej mężczyzna o jasnej, przystojnej twarzy i jasnych oczach. Również posiadał czarny, świetnej jakości hełm, jednak nie tak zdobny jak ten zwierzchniczki. Mimo przyćmionego zmęczeniem spojrzenia i szarego cienia zarostu na policzkach krok miał sprężysty, a ruchy potężnego, atletycznego ciała zdradzały energię. Przypuszczałem, że fizyczne modyfikacje pozwalały legionistom zachować siły nawet po tak wyczerpującej walce jak ta przy wyłomie.

Skłoniłem się im nisko.

– Witamy w Daretanie. Signum Dinios Kol, asystent śledczej immunisy Any Dolabry – przedstawiłem się.

Odkłonili mi się lekko.

– Dziękuję, że wyszedłeś nam na spotkanie – rzekła legatka. W nieco zachrypniętym głosie pobrzmiwało śmiertelne znużenie. – Zaprowadź nas, proszę, prosto do śledczej.

Poprowadziłem ich przez Daretanę na obrzeża miasta, a potem w dżunglę. Nie odzywali się w drodze. Spodziewałem się z ich strony zaskoczenia miejscem zamieszkania Any, ale żadne z nich nie uczyniło żadnego komentarza. Może wiedzieli, jak mieszka, a może po prostu byli zbyt zmęczeni na rozmowę.

Planowałem wejść na ganek, zapukać i zaprezentować legatkę Anie, ale chyba istniała na taką sytuację jakaś procedura legionowa, bowiem prefekt zatrzymał mnie, zaś legatka szła dalej sama.

– Chciałbym zapytać – zaczął – czy ktokolwiek wypytywał was, Signumie, o nasze dzisiejsze spotkanie?

– Wypytywał? Nie.

– Nikt nie zagadywał o cel naszej wizyty?

– Nie, panie.

– A może ktoś kręcił się ostatnio w pobliżu domu immunisy? Obserwował to miejsce, bywał tu bez powodu?

Rozejrzał się uważnie po otaczającej nas gęstwinie.

Spojrzałem w dół, na rękę spoczywającą na głowicy miecza.

Zaczerpnąłem tchu i zamrugałem, przywołując wybrane wspomnienia.

– Widywałem tu dziewiętnaście osób, kapitanie. Niektóre z nich pojawiały się tu kilkukrotnie, co daje łącznie dwadzieścia siedem takich zdarzeń. Nie wydaje mi się, żeby któraś z nich miała złe zamiary czy w jakiś sposób budziła niepokój.

Kapitan spojrzał na mnie zaskoczony. A potem roześmiał się, gromko, wesoło.

– No tak! Rytownik! Całkiem zapomniałem. Wobec tego dobrze. Dziękuję.

Ruszyliśmy znów w stronę domu. Na ganku kapitan zdjął hełm, spod którego wysypała się burza lśniących, brązowych kędziorów. Gdy zobaczyłem dokładniej twarz kapitana, okazało się, że nie może być wiele ode mnie starszy.

Uśmiechnął się beztrąsko.

– Wybacz te niezdarne machinacje, signumie. Nie mam do tego predyspozycji. Może ty, z racji swego stanowiska, posiadasz lepsze umiejętności.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, więc tylko się skłoniłem.

– Chodźmy więc – powiedział i uśmiech zszedł mu z warg, ale zdawał się typem osoby, któremu wesołość nigdy nie znika z twarzy. – Dołączmy do nich.

* * *

Wszedłszy do domku, odkryłem, że Ana przemeblowała wnętrze tak samo jak przed przesłuchaniem służby Hazów, tyle że tym razem obok dwóch krzeseł brakowało siedziska z książek. Sama Ana stała za biurkiem, z zawiązanymi jak zwykle oczyma, i kończyła właśnie zdanie:

– ...nadzieję, że podróż była znośna.

– O tyle, o ile mogła być w tej sytuacji. – Legatka zdawała się nieporuszona widokiem opaski na oczach mojej zwierzchniczki. – Dziękuję, że mogliśmy się spotkać. Żałuję jedynie, że w takich okolicznościach. Usiądźmy, proszę.

Ana zajęła fotel, a ja stanąłem za nią.

– To signum Dinios Kol, mój rytownik – powiedziała Ana, usłyszawszy, że zająłem już swój posterunek za jej plecami. – Din, to legatka Desmi

Vashta z kohorty Talaskiej.

Pokłoniłem się ponownie, a Vashta kiwnęła głową, usiadła i zdjęła hełm, który skrywał krótkie, czarne, gęste włosy.

– To prefekt Kepheus Strovi, mój zastępca. – Wskazała na młodego, pogodnego funkcjonariusza, który uklonił się Anie.

– W normalnych okolicznościach wypytałabym cię, pani, jak ci się tutaj wiedzie, ale obawiam się, że etykieta jako pierwsza pada ofiarą kryzysu, przejdę więc do rzeczy – rzekła legatka.

– To zrozumiałe, pani – przytaknęła Ana.

– Niedawno napisałaś, pani, list do Jurysu kantonu Tala, w którym zawarłaś informację o morderstwie, jakie miało tu miejsce.

– Tak, jego ofiarą padł prefekt Taqtasa Blas.

– Wspomniałaś w liście o naturze tej zbrodni, liczę jednak, że mogłabyś zdradzić mi więcej szczegółów, zanim przejdziemy dalej.

– Jak najbardziej. Din uczyni zadość twemu życzeniu.

Zamrugalem zaskoczony, a kiedy popatrzyłem na Anę, uśmiechnęła się pod nosem.

– Ostatecznie jesteś moim rytownikiem – zwróciła się do mnie.

– Och tak, oczywiście, pani.

Postąpiłem krok naprzód i wyjąłem z torby fiolkę z ługiem, którego to zapach wykorzystałem, zapamiętując scenę zbrodni. Zaciągnąłem się wonią, skoncentrowałem i pozwoliłem, by znajome łaskotanie rozlało się w mojej głowie. Potem zacząłem mówić.

Streszczałem wypadki i obserwacje, wymieniałem daty, miejsca, nazwiska zaangażowanych oraz charakter sprawy. Następnie bardziej szczegółowo zreferowałem śledztwo Any, jej wnioski oraz podjęte przez nas czynności w celu zebrania informacji o Blasie i wykrycia motywu jego zabójstwa. Zdawałem sobie sprawę, że robiąc to, naśladowuję intonację Any, ale rytownik nie mógł pominąć tego przy zapisywaniu w pamięci czyjejś mowy. Podczas przekazywania zapamiętanych wypowiedzi odwzorowywało się sposób mówienia danej osoby.

Mówiłem tak przez trzy kwadranse, a gdy skończyłem, legionieści siedzieli w milczeniu z ponurymi, nieodgadnionymi minami.

– Zakładam, że wiecie o wyłomie, pani – odezwała się w końcu legatka.

– Wiem, że lewiatan przedarł się przez mury, niszcząc ich fragment, ale nic ponad to.

Vashta dumiała przez moment, jakby rozważała, jak najlepiej sformułować następne pytanie.

– Zastanawiałam się, czy śmierć prefekta Blasa nie osłabiła w jakiś sposób naszej obrony – powiedziała Ana. – Albo czy może ktoś inny nie został zaatakowany w podobny sposób. Czy moje spekulacje są trafne?

Vashta przez dłuższy czas wpatrywała się w dal.

– To, co zamierzam ci powiedzieć, Immunis – zaczęła wreszcie powoli – jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Zagadką, którą sami dopiero staramy się zgłębić.

– Rozumiem, pani.

– Ani tobie, pani, ani twojemu rytownikowi nie wolno tego nikomu powtarzać. Rozpowszechnienie tych informacji mogłoby z łatwością wywołać panikę. A panika to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy.

– To oczywiste, pani – potaknęła Ana.

Vashta zerknęła przelotnie na Stroviego, po czym podjęła.

– Lewiatan nie uczynił wyrwy samodzielnie. W rzeczywistości mury zostały wcześniej osłabione, rozsądzone od wewnątrz. To poważnie naruszyło ich fundamenty, prowadząc do niewielkiego zawalenia w jednym miejscu. Stało się to na długo przed pojawianiem się lewiatana. Jednak to właśnie to uszkodzenie wykorzystał, atakując osłabioną sekcję konstrukcji.

– Sądzimy, że wyczuł to w wodzie, gdy drgania rozprzestrzeniły się poprzez dno – dodał Strovi. – Usłyszał, że doszło do zawalenia, i wiedział, gdzie uderzyć.

– Musieliśmy usunąć bombardy z tamtej sekcji, w obawie, że runie większa część muru – ciągnęła Vashta. – W wyniku tego fortyfikacja była osłabiona nie tylko konstrukcyjnie, ale również obronnie. Doskonała okazja na zrobienie wyłomu.

Ana gwałtownie pochyliła się do przodu niczym atakująca żmija błotna.

– Rozsądzone! No to wszystko jasne!

– A co dokładnie jest jasne, pani? – zapytała skonsternowana Vashta.

– Śmiem zgadywać, że nie tylko Bals padł ofiarą skażenia – odpowiedziała Ana. – Zginęło co najmniej kilka osób, o ile nie więcej.

Nie miałem pojęcia, co miała na myśli, ale Vashta i Strovi wymienili mocno zaniepokojone spojrzenia.

– Co masz na myśli, pani? – zapytała Vashta.

Ana przebierała palcami po blacie.

– Pozwól, że przedstawię ci pewną hipotezę, legatko – rzekła.

– Proszę bardzo.

– Czy do pierwotnego, niewielkiego uszkodzenia murów doszło może w wyniku... hm, jak to ująć oględnie... spontanicznego wykiełkowania drzew z ciał osób wewnątrz umocnień, które to rośliny doprowadziły do rzeczonych zniszczeń?

Vashta wpatrywała się w nią oszołomiona.

– Właśnie tak – potwierdziła cicho. – Dokładnie tak się stało.

– Rozumiem – stwierdziła Ana z nieukrywaną satysfakcją. Odchyliła się na oparcie, pociągnęła nosem i rzuciła. – Ha. No to chujnia.

Rozdział dziewiąty

– Spodziewałaś się tego, pani? – nie mogła się nadziwić Vashta. – Przewidziałaś to?

– Nie, absolutnie nie – zaprzeczyła Ana. – Gdybym przewidziała coś takiego, natychmiast bym was o tym poinformowała, uprzedziła.

– A więc w jaki sposób do tego doszłaś?

– Cóż, przyjęłam, że wasz przyjazd do mnie wiąże się ze śmiercią Blasa. A ponieważ podejrzewam, że zabójca prefekta przybył z Talagray, mógł również i tam posłużyć się tą metodą, zakażając kogoś plamiszklanką. Stąd założenie, że tak się właśnie stało. Potem powiedziałaś, pani, o wyłomie, że coś rozsadziło mur. A skoro tak, doszłam do wniosku, właściwego, jak się okazuje, że nie jedna osoba zginęła w wyniku tego skażenia, a więcej. Na tyle dużo, że w efekcie zostały uszkodzone mury. – Ana znów pochyliła się naprzód. Widziałem, że wiele ją kosztuje powściąganie szalonego uśmiechu. – Opowiedz mi, pani, dokładnie, co się tam wydarzyło.

– N-no cóż – zająknęła się poruszona legatka. – Nadal zbieramy dane i raporty. Nie mamy wielu świadków, ale wydaje się, że bezpośrednio do pierwotnego zawalenia przyczyniło się dwóch inżynierów pracujących w krytycznej części fortyfikacji.

– Dokładnie przy podporze – dorzucił Strovi. – Belce, na której spoczywał ogromny ciężar konstrukcji, ponieważ kilka innych zostało nadwyrężonych z powodu drgań.

– I gdy podczas tych prac – podjęła wątek Ana – inżynierowie ci... powiedzmy, wykiełkowali, drzewa uszkodziły belkę nośną i to spowodowało zawał.

Vashta potwierdziła skinieniem głowy.

– Czy tylko ci dwaj zginęli w ten nietypowy sposób? – zapytała Ana, a goście znów spojrzeli po sobie.

– Nie, było ich więcej.

– Ośmioro innych ludzi w kantonie uległo podobnej transformacji, niemal w tym samym czasie – doprecyzował Strovi.

– Razem dziesięciu! – zawołałem, bo szok pozbawił mnie panowania nad sobą. – Na Sanktuarium, dziesięciu inżynierów zostało skażonych?

Legioniści popatrzyli na mnie, Strovi uśmiechnął się współczująco.

– Tak. – Legatka pokiwała głową. – To chyba najpoważniejszy przypadek masowego skażenia w całej historii cesarstwa.

– Czterech zginęło na murach morskich, w tym tych dwóch, którzy stali się bezpośrednią przyczyną zniszczeń – dodał Strovi. – Reszta przebywała w Talagray podczas wypadków. Jeden nawet siedział w siodle, kiedy to się stało.

– Och? – zaciekawiała się Ana. – A co z koniem?

Strovi odchrząknął.

– Hmm, zginął, pani.

– Ach. Hm. – Ana zdawała się rozczarowana, jakby spodziewała się czegoś bardziej widowiskowego. – Czy ofiary coś łączyło? Korzystali z tej samej łaźni, na przykład? A może bywali w innych miejscach, w których znajduje się dużo pary wodnej?

– Nie. Analizowaliśmy wszystkie przypadki pod kątem skażenia i prześledziliśmy miejsca, w których ofiary mogły mu ulec, ale jak dotąd nie zidentyfikowaliśmy żadnego, w którym na przestrzeni minionego miesiąca przebywali w tym samym czasie – przyznała Vashta. – Nie wspominając o wdychaniu tej samej pary.

– Jedyne, co łączyło tych wszystkich ludzi, to służba w Jalecie Inżynierijnym – dodał Strovi.

– Inżynierijnym – powtórzyła Ana pod nosem.

– Tak – kontynuowała Vashta. – Obawiamy się, że ktoś wziął na cel inżynierów. Być może to sabotaż. Tego nie wiemy jeszcze na pewno.

– Ale żeby robić coś takiego podczas pory deszczowej... – Strovi pokręcił głową.

– Uważacie, że ktoś może chcieć wpuścić tytany do całego Khanum? – zapytała Ana.

– Trudno mi sobie to nawet wyobrazić – powiedziała legatka. – To byłoby istne szaleństwo. Ale po prawdzie ostatnie dni były istnym szaleństwem.

Ana pochyliła głowę w zadumie.

– Musimy dowiedzieć się, co się dzieje, immuniso Dolabro – rzekła Vashta. – Odkryć sprawcę i schwytać go, zanim doprowadzi do kolejnej katastrofy. Już teraz mamy setki, jeśli nie tysiące zabitych i rannych. Kantonowi, ba, całemu cesarstwu może grozić niebezpieczeństwo. Dopóki nie wyeliminujemy zagrożenia, nie mamy pewności, czy naprawa wyrwy wystarczy ani czy walka z tytanami przyniesie skutek. Ty, immuniso Dola-

bro, jesteś jedyną osobą, o jakiej nam wiadomo, która już zetknęła się z tym zjawiskiem i z tego, co rozumiem, w ciągu jednego dnia zidentyfikowała je właściwie i zareagowała. Obecnie potrzebujemy każdej pomocy, ale uważam, że twoja jest nam szczególnie niezbędna.

Ana zabębniła palcami w dzikim, frenetycznym rytmie.

– Stąd nie będę w stanie wam pomóc, pani. Ponadto w swoich śledztwach w dużej mierze polegam na Dinie, a cóż, dojazdy stąd do Talagray byłyby raczej problematyczne.

– Oczywiście, przewidzieliśmy to. Przed wyruszeniem wysłałam tu powóz, z góry zakładając, że zgodzisz się, pani, nam pomóc. Powinien przybyć o świcie.

– Istnieją jednak jeszcze pewne przeszkody formalne i proceduralne, nieprawdaż? Nie jestem śledczą Jurysu kantonu Tala, a Dinowi, jako praktykantowi, nie wolno opuszczać Daretany, dopóki nie otrzyma ostatecznego, oficjalnego przydziału.

– Na całym terenie Obrzeży ogłoszono stan wyjątkowy. Wszelkie zwykłe procedury są zawieszane. Możemy zawiesić także każdy przepis, który uniemożliwiałby twoją podróż, pani, a śledczy Jurysu w Talagray z radością przyjmie każdą pomoc. Teraz jedyne, na czym wszystkim zależy, to przetrwanie pory deszczowej.

– I jakie są na to perspektywy? – zapytała Ana.

– Perspektywy są zmienne. – Vashta uśmiechnęła się posepnie. – I w dużej mierze będą zależeć od twojej pracy w Talagray.

– Jak wobec tego miałabym odmówić, prawda, Din?

Nie odpowiedziałem. Bo co sensownego może odpowiedzieć człowiek zepchnięty w otchłań koszmarów.

Rozdział dziesiąty

Kiedys wydawało mi się, że podróżowanie powozem to przywilej książąt i arystokratów, jednak po sześciu godzinach na wąskiej ławeczce, w małej skrzyni, której ściany trzęsły się i trzeszczały, uznałem, że to najgorsza kara, jaką mógłbym sobie wyobrazić.

W środku panował gorąc i zaduch. Przez małe okienka niewiele było widać poza ciemną, gęstą, parną dżunglą, w gąszczu sporadycznie błyskał skowronek mika. Choć podróżowaliśmy traktami cesarskimi, dobrze utrzymanymi, wybrukowanymi drogami, powóz trząsł się i podskakiwał na wybojach, uniemożliwiając nie tylko sen, ale nawet myślenie. Towarzystwo Any nie polepszało sytuacji. Moja zwierzchniczka, z nieodłączną opaską na oczach, nie przestawała trąkotać.

– O, poczułeś? Tę nierówność? – powiedziała podekscytowana. – O, znów! Jak jedziemy po południowej stronie drogi, pojawia się co siedemnaście sekund, a po północnej co dziewiętnaście. To oznacza, że to nie wada naszego koła, a jakaś osobliwość konstrukcji nawierzchni, jakby składała się z segmentów! A może... może to wpływ ukształtowania terenu? Albo wpływ wilgotności na kamień?

Jeszcze bardziej ożywiła się, kiedy mijaliśmy grupę inżynierów odpowiedzialnych za naprawy dróg. Zażądała, żebym wychylił się przez okno i dokładnie przyjrzał się wozom z materiałem budowlanym oraz sposobowi, w jaki ubłoceni robotnicy wyciągali z nawierzchni uszkodzone kamienie i zastępowali je nowymi.

– To prawdziwa sól imperialnej ziemi, Din – powiedziała, szczerząc zęby w uśmiechu. – Ci chłopcy i te dziewczęta, którzy naprawiają trakty.

– Ośmielam się nie zgodzić, pani. W porównaniu do murów morskich, ku którym właśnie zmierzamy...

– Och, tak, wiem, lud kocha legionistów z tymi ich mieczami, fortyfikacjami i bombardami. Ale to inżynierowie, choć nie tak czczeni, sprawiają, że Imperium działa jak naoliwiona machina. Ktoś przecież musi wykonywać tę niewdzięczną pracę, by wielkie konstrukcje, cuda technologiczne naszej ery, nie obróciły się w gruzy.

Pokręciłem głową i pochyliłem się nad mapami, które Ana kazała mi wyryć w pamięci – plany miasta Talagray, kantonu Tala, murów morskich

i tak dalej. Zrobiła też spisy wszystkich inżynierów na wysokich stanowiskach pracujących w Talagray i kazała mi je zapamiętać. A były to setki, tysiące nazwisk, które najpierw, zacinając się, musiałem odczytać na głos.

Wreszcie droga ostro skręciła. Wyjrzałem i wciągnąłem powietrze, smakując je językiem. Poczułem odrobinę soli, piekącą, ostrą nutę. Na wschodzie dojrzałem wzgórze, którego sylwetka rysowała się wyraźnie. Miało charakterystyczny kształt, jedno zbocze tworzyło pionowe urwisko. Poczułem trzepotanie, przywołując z pamięci mapę kantonu i odszukując na niej ten zakręt i wzgórze, żeby zorientować się, gdzie jesteśmy.

– Chyba już niedaleko do murów, pani.

– Tak szybko?

– Tak, pani. Niedługo będzie je widać na wschodzie z jednego z okienek.

– Jak tylko się pojawią, dokładnie mi opisz widok. Chcę go sobie poskładać w wyobraźni.

Powóz chybotął się dalej. Dżungla ustąpiła, zostając w tyle niczym ciemna kurtyna, a przed nami rozpostarła się zielona równina spowita mgłą, a za nią w oddali brzeg morza.

Przyłożyłem do oka lunetę i spojrzałem na wschód.

Pod rozpalonym czerwonymi smugami niebem, na kształt ramy obrazu, ciągnął się masywny, szary pas. Mokry kamień lśnił, gdzieś tam pokryty zielonymi plamami roślinności, a w jedynym szerokim pęknięciu w tej masie dojrzałem jakiś ruch, jakby owad wspinał się powoli, mozolnie, z dołu na szczyt. Wyteżyłem wzrok i zdałem sobie sprawę, że to nie owad, a mała drewniana deseczka wciągana na linach. Gdy wzniosła się na pewną wysokość, zatrzymała się, a obok pojawiły się drobne punkciki postaci.

Konie. Cztery konie wywlekły z deski połyskującą bombardę.

Zamrugalem, wpatrzony w lunetę. To nie była mała deseczka, a platforma do windowania na szczyt oddziałów i artylerii.

Opuściłem lunetę i w oszołomieniu wbiłem wzrok w odległą, szarą pręgę.

– No? I jak wyglądają? – niecierpliwiła się Ana. – Widać je już?

– Mur jest bardzo... wielki, pani.

Opisałem jej to, co widziałem, najdokładniej, jak potrafiłem. Jako że nie byłem poetą, szybko wyczerpał mi się zapas synonimów określenia „wielki”, którymi usiłowałem opisać gigantyczny kręgosłup z ziemi i kamieni ciągnący się wzdłuż brzegów. Zlustrowałem jego szczyt i naliczy-

łem przynajmniej dwa tuziny kolosalnych bombard wycelowanych w morze, ale niektóre z nich były również skierowane w stronę lądu. Domyśliłem się, że to na wypadek, gdyby jakiś tytan się przedarł.

– Niektóre z bombard można przeciągać końmi na platformach zaopatrzonych w koła – wyjaśniła Ana. – Ale do przesuwania tych największych układa się specjalne tory, które ułatwiają koniom przeciąganie.

– Jak duże są te największe, pani?

– Pięć, sześć razy wyższe od ciebie, Din. Zrobienie ich jest bardzo trudne. Jak wiele innych osiągnąć Imperium, to cud konstrukcyjny. Wyobraź sobie, ile trzeba, żeby stworzyć tak niezwykłą rzecz, cały system, koordynacja, zarządzanie konieczne do zgromadzenia wiedzy i zasobów zbudowania infrastruktury, a potem produkować ją całymi setkami, a następnie każdej pory deszczowej transportować i rozmieszczać na murach.

– A lewiatany jak pani mówiła, że są duże?

– Niektóre wielkie jak wysokie mury, a większość nawet je przerasta.

Usiłowałem sobie wyobrazić takiego olbrzyma i umieścić go w krajobrazie za oknem, ale na samą myśl zakręciło mi się w głowie.

– Widziałeś kiedyś lewiatana, Din? Albo choć jakiś fragment? Kość czy segment chityny?

Pokręciłem przecząco głową.

– Din, jakbyś, kurna, zapomniał, mam zawiązane oczy – stwierdziła obcesowo – więc jeśli ruszasz głową, to tego nie widzę.

– Nie, pani, nie widziałem.

– No to ci powiem, że to niezapomniane przeżycie... Kieł długi na wysokość dwóch mężczyzn. Szpon wielkości trzech powozów. W Ashradel czaszka lewiatana z dawnych czasów jest częścią fortyfikacji miejskich. Ponoć sam czerep jest wielki jak barbakan. Co to musi być za widok. To niesamowite, że lewiatany z każdą kolejną porą rosną coraz większe.

– Myślałem, że to tylko pogłoski?

– Nie obmierzają ich. Liczby mogłyby wzbudzić jeszcze większy strach. Zapatrzyłem się w okno, wstrząśnięty.

– A widziałeś jakiegoś, pani?

– Żałuję, ale nie. Tylko szczątki. Kiedy Legion ubije takiego i truchło opadnie na dno, wysyłają statki, żeby przyholowały go do portu, do badań. Kroją je i obierają warstwa po warstwie, jak cebulę. Niebezpieczna robota, zważywszy na ich trującą krew, ale wiele wszczepów i nasycień bazuje na

ich unikalnych właściwościach. Miałam okazję badać kilka fragmentów. –

Uśmiechnęła się na wspomnienie. – Pytałam apotekarzy, czy mogłabym zjeść kawałek mięsa, ale zabronili. Nadal nie mogę im tego wybaczyć...

Im bliżej Talagray, tym bardziej okolice tętniły życiem. Pola zaroily się od koni, legionistów i inżynierów, którzy w pośpiechu przemieszczali materiały lub wznosili ziemne umocnienia na nasiąkniętych wodą równinach. Widziałem nawet słonienie, gigantyczne zmodyfikowane leniwce wykorzystywane do transportu ogromnych ładunków. W Daretanie ich nie było. Wielu żołnierzy posiadało nieznane mi wzmocnienia. Niektórzy mieli wielkie, czarne oczy i przerośnięte, szpiczaste uszy albo byli potężnie zbudowani, wysocy na osiem czy dziewięć spanów, a ciężkie głązy nosili jak snopki siana. Zagadnąłem o tych ostatnich Anę, opisując jej ich.

– Trzaskacze – powiedziała. – Trzaskoludy. Ludzie z tyloma wszczepami na masę, że przerośnięte mięśnie wymagają dodatkowych kości, żeby szkielet mógł unieść ten ciężar. Jak chodzą, wydają takie trzaskające dźwięki, stąd ich nazwa.

– Brzmi jak coś potwornego.

– Nie bardziej niż chłopak, w którego mózgu roją się maleńkie stworzonka, dzięki którym może wszystko zapamiętać. Trzaskaczom nie jest łatwo, mało który dożywa pięćdziesiątki, ale Imperium ich potrzebuje, więc są otaczani estymą i sowicie wynagradzani. Tak to już jest w Khanum, nie? Ochrona i pieniądze w zamian za wydziwaczenie. Wielu gotowych jest iść na taki układ.

* * *

Powóz kolebał się dalej, wspinając na wzniesienie, aż wreszcie z mgły wyłoniło się przed nami Talagray. Ujrzałem długi rząd niskich kopców, cylindrycznych struktur zwężających się ku górze, oddzielonych od siebie sporymi przestrzeniami, potem jednak okazało się, że to nie kopce, a wieże z formobluszczu, o szerokich podstawach i strzelistych zwieńczeniach, dziesiątki wież przypominających wielkie, nowo zbudowane gliniane piece, które pozostawiono do wyschnięcia. Jako że zrobiono je z formobluszczu, pokrywały je gdzieś tam pomarańczowe kępki kwiecia i jasnej zieleni. Wszystkie przystrojono wokół lampionami mai, tworzącymi błękitne, migotliwe kręgi światła, przez co miasto przypominało niesamowite nocne niebo.

Potem dojrzałem fortyfikacje. Postawiono je tylko od wschodu, zachodnią część pozostawiono otwartą, za to wszystkie szance i wały zaopatrzone w bombardy skierowane na zewnątrz. Zrozumiałem, dokąd zmierzali ci wszyscy żołnierze, których widziałem po drodze szli umacniać budowle obronne postawione między miastem a równiną na wschodzie.

Opisałem te cuda Anie.

– To miasto utylitarne – wyjaśniła. – Zarządza nim Legion, a postawiono je, by utrzymywało mury morskie. Samo miasto zbudowano wzdłuż pasa umocnień, w cieniu fortyfikacji i artylerii. Te bombardy, które na nich widzisz, Din, nie zabijają lewiatana. Mają go tylko spowolnić, by mieszkańcy mogli się ewakuować za trzeci pierścień murów.

– A czemu jest tak dziwnie rozproszone, pani?

– Z powodu drgań. Rozumiem, że nie ma tu wielu konstrukcji wyższych niż pięcio- czy sześciokondygnacyjne i że powszechnym materiałem budowlanym są tu papier paprociowy i formobluszcz. Gdy lewiatany wynurzają się z głębin, całe miasto drga, jakby stało na napiętej skórze bębna. –

Ana wystawiła głowę za okno i uśmiechnęła się, gdy powiew targał śnieżnobiałe pasma jej włosów. – Pewien poeta opisał kiedyś miłosne uniesienia w Talagray, gdzie ziemia drży w posadach. To musiało być coś wyjątkowego.

Zbliżaliśmy się do miasta, a mur wznosił się po naszej lewej, wielki i najeżony bombardami. Wszędzie kręcili się żołnierze w pełnym rynsztunku, doświadczeni weterani, którym nigdy nie zdołałbym dorównać. A wszyscy oni i całe miasto byli tu tylko w jednym celu: wyrządzić lewiatanowi jak najwięcej szkód, zanim dotrze do trzeciego pierścienia murów.

– Jesteśmy prawie na miejscu, pani – wychrypiałem zdenerwowany.

– Wydajesz się nieco przejęty, Din – zauważyła.

– Musiałbym być nienormalny, żeby to wszystko nie budziło we mnie emocji. Pociesza mnie tylko myśl, że ty, pani, nawykłaś do tego wszystkiego.

– Nawykłam? – Zmarszczyła brwi. – Ależ Din, nie mam bladego pojęcia, co robię.

– Ale... Ale myślałem, pani, że pracując w Jurysie, bywałaś w całym Imperium.

– No tak, ale wyłomy w murach morskich? Martwe lewiatany? To dla mnie kompletnie nowe buty, jak mawia stara służąca. – Przyłożyła dłoń do ścianki pudła i uśmiechnęła się, czując drgania powozu. – Musimy to prze-

analizować jako to, czym naprawdę jest: całkiem nowym zjawiskiem z jego osobliwościami i aberracjami, które wszystkie stanowią część szerszej całości. I to twoje zadanie, Din. Wszędzie pójść i wszystko zobaczyć. Czy to nie ekscytujące?

Rozdział jedenasty

Na moich mapach widziałem, że cel naszej podróży znajduje się w centrum. Tryfektura, siedziba trzech jaletów, Inżynieryjnego, Jurystycznego oraz Legionu, stanowiła trzon, wokół którego niczym konstelacje stały inne urzędy. Nasz woźnica, legionista, manewrował zręcznie na zatłoczonej ulicy ciągnącej się wzdłuż przysadzistych wież z formobluszczu. Z powozu trudno było dokładnie zobaczyć miasto, ale zdawało się, że ma dość prowizoryczny charakter, niedbale wykonane domy, których papierowe panele łopotały na wietrze jak skrzydła delikatnych ciem, drogowskazy na przekrzywionych palach, z tabliczkami z papieru wskazującymi umiejscowienie kuźni, zajazdów i opijni. Jedynymi trwałymi konstrukcjami były trakty i fundamenty zbudowane z kamienia i cegły. Wszystko inne zdawało się tymczasowe i nietrwałe. Przypominało cywilizację pośpiesznie naszkicowaną czy wręcz nagryzmołoną na nabrzeżnej skale.

W końcu naszym oczom ukazała się Tryfektura, trzy wysokie, stożkowe wieże pokryte mchogliną i ozdobione barwami mieszczących się w nich jaletów – czarną, niebieską i czerwoną.

– Miej oczy otwarte – napominała mnie Ana. Już się nie uśmiechała.

– Staram się rozglądać na wszystkie strony, pani.

– Patrz mniej na budynki, a więcej na ludzi. Wkrótce będziesz miał do czynienia z wieloma funkcjonariuszami ze szczytów. Nie każą ci wiele mówić, ale musisz ich bacznie obserwować. Jak wyglądają, jak się zachowują, a potem wszystko to przekazywać mnie. Chcę wiedzieć, z kim przyszło nam współpracować.

– Czy mam fiolkować, pani? – zapytałem, chwytając swoją torbę rytownika.

– Oczywiście! Łap za butelkę i szybko wsadzaj w nią ten swój kinol!

Wtoczyliśmy się na dziedziniec Tryfektury. Przed budynkiem Jurysu czekała na nas grupka ludzi, składająca się z apotekarzy, inżynierów oraz dwóch jurystów w błękitnych płaszczach.

Najpilniej przyglądałem się tym ostatnim. Jeden z nich, wysoki, chudy mężczyzna, o szarej cerze, nosił na piersi dwie belki oznaczające, że jest śledczym, a obok tej dystynkcji znak oka w ramie, wskazujący, że jest, tak jak ja, mnemorytownikiem. Jego towarzysz, krzepki, przysadzisty, o nie-

zmiernie szerokich barkach, wysoki na sześć spanów i równie szeroki, wpatrywał się, mrużąc oczy, w nasz zatrzymujący się powóz. Wyraźnie został poddany modyfikacjom zwiększającym siłę, i to tylu, że najpewniej potrafiłby rozłupać człowieka wpół jednym ciosem. Na jego piersi dostrzegłem połyskującą odznakę asystenta śledczego, belkę i kwiat.

Gapilem się na niego zaciekawiony. Ten poorany bliznami, mocarny, toporny instrument w ludzkiej postaci był moim tutejszym odpowiednikiem. W życiu nie czułem się tak mały i młody, jak teraz, choć musiałem być od niego wyższy o span. Otworzywszy drzwi powozu, wytoczyłem się na dziedziniec, a potem pomogłem wyjść Anie. Pomimo że witająca nas świta nie była liczna, czułem na sobie każde spojrzenie ciężkie jak ołów.

Tyczkowaty śledczy Talagray podszedł do nas i się uklonił.

– Ano – zwrócił się do mojej zwierzchniczki. – Miło cię znowu spotkać.

– Tuwey Uhad! – ucieszyła się Ana i wyszczerzyła jak rekin. – Na Sanktuarium, lata cię nie widziałam! A może nawet dekady?

– Lata, lata. Nie postarzajmy się niepotrzebnie. – Na jego wymizеровanej twarzy kładły się głębokie cienie. Zapewne nie spał od wielu dni. Mimo to zdobył się na nikły uśmiech.

Tyczkowaty, posepny, wyglądał bardziej na adwokata przedstawiającego sprawę przed magistratem Jurysu niż na żołnierza. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie tak właśnie wygląda większość śledczych.

Powieki Uhada zatrzepotały, gdy spoglądał na Anę, źrenice lekko zadrgały, a policzek zafalował od kurczących się pod skórą mięśni. Widać, że to rytownik.

– Legat Vashta prosi o wybaczenie – powiedział. – Chciała was powitać w Talagray, ale została mianowana seneszalem kantonu. Przykra procedura, no ale konieczna.

Słyszałem o tym. W wypadku wyłomu w Talagray wyznaczano jednego z wyższych funkcjonariuszy Legionu na stanowisko seneszała, w zasadzie dyktatora, skupiającego władzę nad wszystkim, co działo się w kantonie. Piastował on to stanowisko do czasu zakończenia kwestii związanych z wyłomem. Oznaczało to, że wysoka, zmęczona kobieta, którą poznałem u Any w Daretanie, była obecnie sędzią, ławą i katem kantonu, a my podlegaliśmy jej władzy. Pomyślałem, że jeśli ją jeszcze zobaczymy, to będzie to oznaczało, że coś poszło albo bardzo dobrze, albo bardzo źle.

– Niech cię nie zraża liczebność naszej świty powitalnej, Ano – ciągnął Uhad. – Przy mniejszej grupie osób łatwiej zachować dyskrecję.

– Nie mam bladego pojęcia, czy to mała, czy duża grupa, ale doceniam, że ktoś wyszedł nam na spotkanie. – Ana błysnęła zębami poniżej opaski.

Uhad wskazał zamasyście na swego przysadzistego, siwego towarzysza.

– To mój asystent, kapitan Tazi Miljin.

Krępy atleta skłonił się nam nisko, a gdy się prostował, jego oczy spoczęły na mnie. Wyglądał jak stuprocentowy żołnierz. Szarą, ogorzałą od słońca twarz znaczyły jasne wypukłości blizn, szeroki nos był krzywy i garbaty od złamań, gęsta, siwa czupryna opadała w nieładzie poniżej uszu, a broda skrywała grymas ust, tak że nie widziałem, czy się teraz krzywi, czy nie. Sądząc po wyrazie oczu, owszem.

Największe moje zainteresowanie wzbudził wiszący mu u pasa miecz. Choć miał prostą rękojeść, został połączony z pochwą w przemyślny sposób za pomocą jakiegoś skomplikowanego, mechanizmu z brązu, który przypominał wnętrze zegara umieszczonego na daretkańskiej siedzibie Jaletu Legionowego. Czarna skóra, z której zrobiono pochwę, nosiła ślady zużycia, ale była czysta i wyglancowana. Wydawało się, że kapitan darzy tę broń, choć tak dziwaczną, szczerym przywiązaniem.

Podniosłem wzrok. Nadal się we mnie wpatrywał oczyma zimnymi jak spodnia strona kamienia rzecznego. Jego źrenice nawet nie drgnęły. Zachodziłem w głowę, jakie posiadał wzmocnienia.

– Ale przybyli tu z nami dzisiaj funkcjonariusze z Jaletów Apotekarskiego oraz Inżynieryjnego – mówił Uhad. – To immunisa Vasiliki Kalista...

Z szeregu wystąpiła niska kobieta w inżynieryjnym fiolecie. Była Talką, tak jak ja. Krępa, wytworna, o bystrych, ciemnych oczach i czarnych, lśniących włosach, upiętych w misterny kok. Oczy miała podkreślone migotliwym pyłem ostrygowym, z węzła na głowie sterczały błyszczące szpile z ceramiki i brązu. Wydało mi się, że to osoba, która najpierw chce być widziana, a dopiero potem sama zauważa.

– To zaszczyt móc służyć u twego boku – powiedziała do Any.

– Oraz immunisa Itonia Nuis. – Uhad wskazał drugą kobietę. – Apotekarka.

Drobna, zadbana Kurminka, o krótkich, czarnych lokach, zrobiła krok, zamasyście odrzuciła połę ciemnoczerwonego płaszcza i złożyła zawa-diacki ukłon.

– To zaszczyt, pani – rzekła i wyprostowała się energicznie, wesoło się uśmiechając.

Wydawała się w każdym kawałku taka dopracowana i wyprasowana, cała prościutka i precyzyjna jak patchwork zszyty z pietyzmem z kwadratów doskonałych. Cerę miała ciemnoszarą, a powieki lekko fioletowe, co było oznaką znaczących wszczepów. Nic dziwnego w przypadku aptekarzy. Byli mistrzami kształtowania ciała i wielu z nich dokonywało ulepszeń własnych. Całkiem prawdopodobne, że ta kobieta widziała w ciemności lepiej niż puma dżunglowa.

Ogarnąłem spojrzeniem trójkę immunisów, dumnych, strojnych w barwy i insygnia swych jaletów, i nagle skojarzyli mi się z ptakami – Uhad, jak błękitny bocian, wysoki, czujny, nieruchomy; Kalista, purpurowa synogarllica kameliowa o metalicznie lśniącem, bogatym upierzeniu; a Nuis jako mały, czerwony dzięciodrozd, świergotliwy, skaczący w gałęziach drzew. Jakże ostentacyjni w porównaniu do Any – przygarbionej, o przepasanych oczach, a jednak czujnej, przyczajonej jak drapieżnik gotów w każdej chwili zaatakować.

Ana postukała mnie knykciem w pierś.

– To Din. Mój asystent.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie, a potem zmierzyły mnie od stóp do głów, oceniając wysokość.

– Jest nowy i wysoki, i podejrzewam, że stracił poczucie humoru w jakimś tragicznym wypadku. Ale sprawnie pomógł mi rozwiązać sprawę morderstwa Blasa. Jest dobry – dorzuciła lapidarnie.

Ukloniłem się, świadom, że choć ostatni opis był krótki, był również największym komplementem, jakim dotychczas uraczyła mnie zwierzchniczka.

– W zwyczajnych okolicznościach, Ano – rzekł nasz gospodarz – dałbym wam czas na odświeżenie się i odpoczynek, ale okoliczności są nadzwyczajne i powinniśmy od razu przystąpić do pracy.

– Naturalnie – zgodziła się Ana i mocno chwyciła mnie za ramię. – Prowadź więc.

* * *

Celem naszej krótkiej wędrówki okazała się stara sala magistratu Jurysu, w której zwykle odbywały się arbitraże, a która została zagrabiona przez

Uhada do prac śledczych. Najbardziej uderzał panujący w tym miejscu bałagan i brud. Na dużym, okrągłym stole wały się sterty papierów, a z glinianych garnuszków wysypywał się popiół fajkowy. Każdy kawałek tkaniny przesiąkł smrodem dymu, potu i klarbaty. Nie ulegało wątpliwości, że ludzie tkwili w tym pokoju całymi dniami, może nawet nocami, macerując się w trudzie i znoju.

Uhad podszedł do stołu, zamrugał powiekami i urękawiczoną dłonią wyciągnął ze sterty plik papierów – dar rytownika do zapamiętywania, gdzie się coś położyło. Podczas gdy usadzałem Anę w mniej zabałaganionym miejscu, wyrównał plik, a potem położył go przed nią. Rzuciła się na papiery jak wygłodniały kot górski na mysz.

– Nie muszę chyba zaznaczać, że wszystko, co wam pokażemy i o czym będziemy rozmawiać, jest najwyższą tajemnicą – rzekł Uhad. – Każdy, kto podzieli się zdobytymi tu informacjami lub wyniesie stąd dokumenty, podlega karze jako sprawca wrogiego nieposłuszeństwa. – Wskazał ręką na pozostałych, którzy również zajęli miejsca przy stole. – Reszta naszej grupy roboczej również została co do tego uprzedzona...

Na blacie przed Uhadem nie było żadnych dokumentów ani notatek, bo oczywiście wszystko miał w głowie. Przedstawicielki Apoteki i Inżynierii bardziej różnić się od siebie nie mogły. Nuis, siedząca po jego lewej stronie, energicznie przytakiwała nad swoimi poukładanymi plikami papierów, podczas gdy Kalista, po prawej, rozparła się, paląc fajkę i grzebiąc w porozrzucanych pergaminach niczym rozespana arystokratka szukająca w pościeli zagubionej biżuterii. Ja, zgodnie ze swoją pozycją, usiadłem za Aną. Miljin natomiast zajął miejsce obok Uhada. Zsunął się na swoim krześle, tak że koniec długiej pochwy zaszorował o podłogę. Robił wrażenie bardziej przybocznej ochrony bogacza niż śledczego, kogoś, kogo wkład polegał raczej na sile fizycznej niż na intelekcie. Skrzyżował ramiona i potoczył po gromadce kwaśnym spojrzeniem.

– Zacznę od śmierci funkcjonariuszy, dobrze? – zapytał Anę.

– Oczywiście. – Pochyliła głowę, przygotowując się do pilnego słuchania.

Wyciągnąłem nową fiolkę, tym razem z zapachem trawy, i zaciągnąłem się zapachem, żeby zapamiętać wszystko, co się wydarzy.

Żrenice Uhada zadrgały tak szybko, że straciły kontury. Potem Śledczy zaczął przemawiać niskim, poważnym głosem.

– Princeps Atha Lapfir. Signuma Misik Jilki. Princeps Keste Pisak. Kapitan Atos Koris. Kapitan Kilem Terez. Princeps Donelek Sandik. Princepsa Kise Sira. Princeps Alaus Vanduo. Signum Suo Akmuo. I ostatnia, signuma Ginklas Loveh. – Jego gałki oczne przestały się poruszać i już normalnie popatrzył na Anę. – To dziesięcioro funkcjonariuszy, co do których potwierdzono, że ich śmierć nastąpiła w wyniku skażenia plamiszklanką. W dokumentach zawarte są również wszystkie informacje dotyczące ich kwater oraz tego, gdzie przebywali oraz co robili w ciągu dwóch dni przed incydem. To wszystko, co udało nam się zebrać do tej pory.

Ana zakołysała się na krześle, muskając palcami dokumenty.

– Powiedziałaś „potwierdzono”, że ich śmierć jest wynikiem skażenia plamiszklanką – odezwała się po chwili. – Czy to oznacza, że może być więcej ofiar?

– To niewykluczone – zgodził się Uhad. – Istnieje możliwość, że jeszcze ktoś przeszedł takie skażenie, lecz nie zauważyliśmy tego, ponieważ zginął podczas zawalu.

– Zakwit – podsunęła Nuis wesolutko. – Właściwe określenie w tym przypadku to zakwit, nie skażenie.

Uhad wskazał na nią.

– A więc zakwit. Nuis jest ekspertką w tej kwestii. Zjadła zęby w Oypacie, pomagając apotekarzom opanować tamtejsze skażenie.

– Naprawdę? – zaciekawiła się Ana. – Och, to musiało być takie intrygujące, być świadkiem śmierci całego kantonu, prawda?

Zapadło niezręczne milczenie.

Nuis wzdrygnęła się lekko.

– Hm, można również i tak to ująć.

Kalista odchrząknęła.

– Osobiście nie sędzę, by było więcej ofiar zakwitu – wycodziła, przeciągając ostatnią sylabę, z którą wypuściła chmurkę dymu. – Właśnie z tego powodu inżynierowie nie pracują nigdy w pojedynkę. Żeby ktoś mógł pomóc, gdyby zostali ranni. Prowadzimy ścisłe rejestry naszych rannych i zabitych. Moim zdaniem tylko ci zginęli w ten sposób.

– Czterej z nich zginęli wewnątrz konstrukcji – podjął Uhad. – Konkretnie w miejscu zwanym Szczytem Khanum. To najszerza i najmocniej ufortyfikowana sekcja w całym ciągu muru morskiego, ponieważ znajduje się w pobliżu Szlaku Tytanów, prowadzącego w głąb lądu.

– A pozostali? – zapytała Ana.

– Dwóch zginęło w drodze z murów do miasta – odparł Uhad, a jego oczy znów zaczęły się szybko poruszać, gdy przywoływał zapamiętane fakty. Okropny widok. Zastanawiałem się, czy w moim wypadku wygląda to tak samo paskudnie. – Jeden we własnym łóżku, odsypiał długą zmianę. Następny podczas posiłku w namiocie kantynnym. Jedna podczas oczekiwania na powóz, którym miała jechać na zachód, za trzeci pierścień. Ostatnia ofiara zmarła w siodle, podczas konnej inspekcji umocnień. Wszyscy w ten sam sposób. Śmiertelny zakwit plamiszklanki, rozsądzenie klatki piersiowej przez pędy, które w ciągu pięciu minut osiągały osiemnaście do dwudziestu spanów wysokości, zakorzeniając się w tym, co znajdowało się pod ofiarą. Makabryczna śmierć.

– Ale... – Ana przestała przesuwając palcami po tekście, jakby zauważyła jakąś ciekawostkę, jakby opuszkami natrafiła na supełek na nici. – Te objawy różnią się odrobinę od tego, jak wyglądało to w przypadku Blasa.

– Pędy zawsze wyrastały z korpusu, ale owszem, zauważyliśmy, że w wypadku tutejszych ofiar z niższych partii pleców, nie z okolic obojczyka, jak u Blasa. Nie wiemy jednak, skąd ta różnica. Nuis pracuje nad wyjaśnieniem.

Wspomniana Nuis przytaknęła wesolutko, jakby szukanie przyczyny, dlaczego jedne rośliny wyrastały z pleców ludzi, a inne z okolic szyi, było najbardziej ekscytującą rzeczą na świecie.

– Nie zmarli również dokładnie w tym samym czasie – podkreślił Uhad. – Pracujemy jeszcze nad relacjami świadków, ale wydaje się, że pomiędzy pierwszą a ostatnią śmiercią mogło upłynąć dziewięć, dziesięć godzin.

– A to sugerowałoby – włączyła się Nuis – że również do skażenia zarodnikami plamiszklanki doszło w pewnych odstępach czasu.

– Co wiemy o tym, co robili na dzień przed śmiercią? – zapytała Ana.

– Wystarczająco dużo, by stwierdzić z pewnością, że nie przebywali w tym samym miejscu – rzekła Kalista leniwie. – Nie pokrywają się ani ich dyżury, ani patrole, nie pracowali przy tych samych projektach. Przez to tak trudno ustalić dokładny moment zarażenia.

Ana przewróciła stronę i zaczęła dotykaniem czytać kolejną.

– Czy mamy listę ich znajomych?

– Jeszcze nie – powiedziała powoli Kalista.

– Przesłuchaliśmy ich przyjaciół albo współpracowników?

– Jeszcze nie – powtórzyła Kalista. – W ogóle nikogo nie przesłuchiwa-
liśmy. Dotychczas skupialiśmy się na próbach przewidywania i zapobiega-

nia ewentualnym kolejnym atakom.

– Kolejnym atakom? – Ana zmarszczyła brwi.

– To nasza robocza teoria – wyjaśnił Uhad. – Zakładaliśmy, że wzięto na cel pracowników Jaletu Inżynieryjnego. Może w nadziei, że zakwit uszkodzi umocnienia, powodując kolejny wyłom. Jednak po przeanalizowaniu danych uważamy, że to mało prawdopodobne.

– Albowiem, jak zakładam – Ana zwróciła się w stronę Nuis – zaplanowanie momentu zakwitu plamiszklanki jest kurewsko trudne.

Radosny uśmiech spelzł z twarzy Nuis, która zerknęła pytająco na Uhada. Ten odpowiedział leciutkim skinieniem mówiącym „Zignoruj formę”.

– Eghm, tak – odpadła Nuis. – Nie da się przewidzieć ani zaplanować momentu zakwitu. Jest uzależniony od organizmu ludzkiego, diety, aktywności, nie wspominając o ilości wchłoniętych zarodników. To wszystko czynniki wpływające na dojrzewanie i wzrost plamiszklanki.

– Do tego nie wszyscy inżynierowie pracowali przy murach – westchnął Uhad. – A więc zakładanie, że ktoś skaził przypadkowych funkcjonariuszy w nadziei, że któryś z nich będzie pracował we właściwym czasie, przy tej konkretnej belce nośnej, jest nieco... niedorzeczne.

– Ale faktem jest, że wszyscy byli z Inżynierii – powiedziała Kalista – oraz że wszyscy byli funkcjonariuszami niższego stopnia, princepsami, signumami i kapitanami. A to oni właśnie najczęściej pracują przy murach.

– I żadnych prefektów, poza Blasem – zauważyła Ana.

– Tak – potwierdził Uhad. – Wydaje nam się jednak, że z jakiegoś powodu wybrano właśnie ich, choć nie odkryliśmy jeszcze wzorca. Nie potrafimy wychwycić w tym sensu. Blas był wybitnie nieprzypadkową ofiarą, powinniśmy więc założyć, że reszta też.

Ana kołysała się na krześle bardzo szybko, wodząc po stronach palcami i przekładając kartki, aż doszła do ostatniej. Na jej ściągniętej twarzy nie odbijały się żadne emocje. Przypominała teraz sternika barki manewrującego po bardzo wąskim kanale.

– Chciałabym otrzymać listę wszystkich świadków śmierci każdej z ofiar.

– Załatwimy to – obiecał Uhad.

– Oraz listę wszystkich kwater ofiar z całego roku – kontynuowała Ana.
– A także wszystkich, którzy w tym samym czasie z nimi w nich przebywali.

Kalista zerknęła na Uhada.

– To ogrom informacji – zauważyła.

– Ale wy, inżynierowie, takowe posiadacie, czyż nie? – powiedziała Ana. – Cesarstwo uwielbia odnotowywać każdą dupersztancę, więc zakładam, że istnieją dokładne spisy zakwaterowania funkcjonariuszy jaletów w Talagray.

– Oczywiście, mogę je zdobyć – przyznała Kalista niechętnie. – Ale to obszerne listy. A chyba rozumiesz, że obecnie nasz jalet jest przeciążony pracą. Mogę zapytać, po co ich potrzebujesz?

– Żeby oszczędzić nam wszystkim jebaniutkiego czasu. – Ana się uśmiechnęła. – Chcemy porozmawiać z każdym, kto może posiadać jakieś informacje, tak? Wydaje się zasadne, żeby na pierwszy ogień wziąć tych, którzy przebywali w towarzystwie ofiar na przestrzeni ostatnich paru tygodni czy miesięcy. Podobnie jak tych, z którymi się pieprzyli – dorzuciła mimochodem. – A informacje kwaterunkowe zwykle ułatwiają wyśledzenie tego rodzaju związków. Kto za każdym razem za kim się przenosił. Wkradanie się do czyjegoś pokoju oknem jest niewygodne. Dogodniej mieszkać w tym samym budynku. A kochankowe są oczywiście najcenniejszym źródłem informacji.

Oszołomiona Kalista aż wyjęła fajkę z ust, na których pozostało niewielkie wgłębienie po ustniku. Uśmiech Nuis był teraz zdecydowanie wymuszony. Ja utkwilem wzrok w oparciu krzesła Any.

– Dostarczymy ci te listy, Ano – obiecał Uhad ponuro. – Przed wieczorem... Prawda, immuniso? – zwrócił się do Kalisty. – Ależ oczywiście – zapewniła go, przyglądając się Anie przez dymną zasłonę. – Aczkolwiek... odniosłam wrażenie, że nasza współpraca ma być... obustronna, czyż nie, immuniso Dolabro? My również chcielibyśmy uzyskać od ciebie informacje o incydencie, który miał miejsce w Daretanie.

– Ależ naturalnie, udzielę wam ich z chęcią. Ale wcześniej mam do was jedno pytanie. Czy ktoś z was znał prefekta Blasa? Osobiście?

Wszyscy obecni, poza kapitanem Miljinem, który tylko zjechał na krzesła jeszcze niżej, wymienili znaczące spojrzenia.

– Wszyscy go znaliśmy – powiedział Uhad. – Był jednym z najwybitniejszych inżynierów Imperium. Projektantem niektórych z naszych największych systemów obronnych. Chociaż ja, przyznaję, znałem go chyba najmniej, i to tylko powierzchownie...

– Ja co prawda nigdy nie służyłam pod jego rozkazami – odezwała się Kalista – ale również go znałam. Często się spotykaliśmy. Choć nic w tym nadzwyczajnego. Nie był typem, który tkwiłby bez przerwy nad deską kreślarską. Był towarzyski i wielu go znało.

– Ja poznałam go dzięki temu, że działał w Komitetach Ochrony Środowiska – rzekła Nuis.

Ana obróciła ku niej twarz.

– Powiedz mi o tym coś więcej, proszę.

– Hm, cóż... Współpracował przy wielu ocenach środowiskowych dla różnych kantonów – zaczęła Nuis z pewnym wahaniem. – Badał, czy nowe nasycenia, wzmocnienia albo nowe budowle będą miały wpływ na środowisko naturalne sąsiednich kantonów.

– Czyli? – docisnęła ją Ana.

– N-no, powiedzmy, że chcemy wdrożyć nowe nasycenie wodorostów. –

Cała wesołość uleciała z Nuis. Była teraz spięta, a na jej czole perlił się pot. – Aby ograniczyć ich rozrost w rzece. Ale okazuje się, że modyfikacja ta intensyfikuje jednocześnie rozrost pleśni, a następnie owa pleśń staje się silnie kwasowa i gdy osiadzie na tamie poniżej, z wolna osłabia jej konstrukcję, narażając na niebezpieczeństwo zalania położonego poniżej miasta. Tego rodzaju rzeczy. Każda modyfikacja musi zostać dokładnie przebadana i przemyślana. Nawet najdrobniejsza zmiana może mieć bowiem ogromne konsekwencje. Tego rodzaju oceny przeprowadzają najczęściej ekipy złożone z inżynierów i apotekarzy, a Blas brał dużo takich zleceń.

– Ale jak dokładnie wyglądały jego zadania? – zapytała Ana poirytowana ogólnikami.

– Hm, cóż... Analizował konstrukcje, infrastrukturę i struktury, które mogłyby być podatne na wpływ lub umożliwiać wydostanie się skażenia z Talagray – wyrecytowała apotekarka. – To nie jakaś tam szczególna praca, jeśli mam być szczerą...

– Ach, rozumiem – mruknęła Ana, nie kryjąc znudzenia. – A ty, kapitanie Miljin? Znałeś Blasa?

Miljin pokręcił głową.

– Widywałem go z daleka, pani – wychrypiał, jakby gardło miał pokryte przepalonym olejem. – Na tyle daleka, że nie mogłem go usłyszeć.

– No dobrze. – Ana przyjęła jego wyjaśnienia. – A czy wobec tego ci z was, którzy go znali, mogliby mi powiedzieć coś więcej o tym, jaki był? Jak dotąd niewiele się o nim dowiedziałam.

– Był wcieleniem profesjonalizmu. – Uhad wzruszył ramionami. – Uprzejmy. Sumienny.

– Bardzo szanowany – dodała Kalista. – Szczególnie w moim jalecie. – Nie sędzę, żeby miał z kimś jakieś zatargi. Nic o tym nie wiem.

– Był mądry. Wszyscy słuchali, co ma do powiedzenia – dorzuciła Nuis.

– Ach tak... Dziękuję. – Ana machnęła na mnie ręką. – Din, zrób to, co tam zwykle robisz.

Do tej chwili starałem się pozostać niezauważony i wcale mi się nie uśmiechało, że znalazłem się pod ostrzałem spojrzeń tyłu starszych stopniem funkcjonariuszy. Wstałem jednak, ukloniłem się i zawahałem.

– Ale... o czym konkretnie mam im powiedzieć, pani?

– Mów wszystko, chłopcze. – Ana znów ponagliła mnie gestem ręki. – No, dawaj, pełny rzyg panoramiczny!

– No dobrze... Cóż, no to siadajcie wygodnie. – I znów wyciągnąłem z torby fiolkę z ługiem, zaciągnąłem się zapachem, przywołując wspomnienia, a potem zacząłem mówić.

* * *

Powtórzyłem słowo w słowo ten sam opis wydarzeń, którym uraczyłem legatkę Vashtë. Niczego nie pominąłem. Gdy skończyłem, zapadła długa cisza. Usiadłem z powrotem, włożyłem fiolkę na miejsce, wyjąłem tę z zapachem trawy i znów powąchałem, żeby zapamiętać dokładnie resztę spotkania.

– A więc – zaczął Uhad powoli – dozorca spotkał zabójcę. Ale twarz sprawcy była opuchnięta.

– Tak brzmiało jego zeznanie – potwierdziła Ana. – Z pewnością istnieje wiele wszczepów zniekształcających o różnej długości działania.

Kapitan Miljin zbudził się do życia, odchrząknął przeciągle i powiedział:

– Są takie wszczepy. Najpowszechniejszy to pastaderma. Powoduje opuchnięcie fragmentów, na które się je nałoży, co daje taki efekt, że nawet własna matka cię nie pozna. Z odcieniem cery jest trudniej, no ale... na to też są sposoby.

– Zakładam, że gdyby któreś z was widziało jakiegoś podejrzanego opuchniętego typu, który z plamiszklanką w ręku kręci się w pobliżu Blasa, powiedzielibyście mi o tym? – podsunęła Ana.

– Oczywiście – obruszył się Uhad. – Ale Blas był niezwykle aktywny. Ciągle gdzieś biegał. Znała go cała masa ludzi.

– Jakie kroki w sprawie jego śmierci podjęliście tutaj, na miejscu?

– Niestety, ze względu na zbliżającą się porę deszczową, nie mogliśmy zrobić wiele. Apotekarze przeszukali gabinet oraz kwaterę mieszkalną Blasa. Nie znaleźli tam nic godnego uwagi.

– Ach tak. – Ana zamilkła, jakby na coś czekała. Potem obróciła twarz, jakby toczyła zawiązanymi oczyma po siedzących przy stole. – To wszystko? I nikt nie ma już nic do dodania w tej kwestii?

W krępującej ciszy, która zapadła po tym pytaniu, Kalista przypatrywała się Anie spod półprzymkniętych powiek, Nuis wbiła wzrok w podłogę, jakby Ana popełniła właśnie jakąś niestosowność, a Uhad nie patrzył na nikogo, za to jego źrenice drgały od przepływu przywoływanego wspomnień. Miljin natomiast, ku memu zdziwieniu, gapił się na mnie z nadramion splecionych na piersi z nieprzeniknioną miną.

– Niestety, nic nie przychodzi mi do głowy – wycedziła Kalista, przełamując przeciągającą się ciszę.

– Rozumiem. No cóż. Najistotniejszym wnioskiem jest to, że sprawca musiał działać tutaj, w Talagray, przez całe tygodnie, jeśli nie miesiące. Tylko w ten sposób mógł obserwować Blasa.

– To nie zawęża kręgu podejrzanych, w okresie poprzedzającym porę deszczową mamy tu spory przepływ ludzi – zauważył Uhad.

– Jasne, a jednak jest pewien szczególny objaw, który wiąże się z obecnością plamiszklanki. Coś, co nawet obecny tu Din zauważył na miejscu zbrodni, mimo iż wcześniej nie znał jego znaczenia.

Spojrzeli na mnie.

– Papier paprociowy – powiedziałem. – Robią się na nim plamy.

– Dokładnie – potwierdziła Ana. – A w tym mieście jest bardzo dużo papieru. W końcu to miejsce narażone na wstrząsy. Czy znaleziono nietypowe plamy na panelach? Bo to doprowadziłoby nas bezpośrednio do mordercy. Bądź miejsca, gdzie doszło do skażenia.

– Jeśli możesz, Miljin – westchnął Uhad, wskazując na kapitana.

Masywny asystent śledczego pochylił się do przodu przy akompaniowaniu trzeszczącego mebla, na którym siedział.

– Czytaliśmy twój list, pani – zwrócił się do Any. – I szukaliśmy paneli papierowych pokrytych plamami. Rozmawiałem z kilkoma legionistami, prosiłem, żeby dyskretnie się rozejrzeli po mieście i wypytali o poczerniały

papier. Nikt nic o czymś takim nie słyszał, nie zauważyli też takich śladów na drzwiach ani oknach, ani ścianach. Wydaje mi się, pani, że albo sprawca znalazł sposób, żeby przechowywać zarodniki tak, by się nie roznosiły, co wydaje się mało prawdopodobne, zważywszy na ich rozprzestrzenianie się, albo skażenie nie miało miejsca w Talagray. A jeśli tak, to znów jesteśmy w punkcie wyjścia. Nie przeszukamy przecież całego kantonu.

Jego wypowiedź wydawała mi się demobilizująca, ale Ana tylko kiwała głową z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Tak, tak, tak. Ale musimy poszerzyć ramy czasowe. Jak dowiedzieć się, czy jakieś panele zostały skażone przed wyłomem? Bo najwyraźniej jednak jakiś pieprzony szalencie biegł po mieście z niebezpiecznymi nasionami w kieszeni i mógł zostawić za sobą jakieś ślady!

– Chyba nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić! – zaśmiała się Kalista, jakby z nutką wzgardy.

– Muszę przyznać, że skłaniam się ku... – zaczął Uhad.

Ana zatarła ręce, przesuwając różowymi opuszkami po knykciach.

– Kapitanie Miljin, ile jest w mieście papierni?

– Dziesiątki. To najpowszechniejszy materiał budowlany, biorąc pod uwagę siłę tutejszych wstrząsów.

– Czy możemy rozpytać dostawców papieru, czy wymieniali jakieś panele w ciągu, powiedzmy, czterech tygodni przed zawałem? A jeszcze lepiej, czy moglibyśmy zdobyć spis wszystkich zamówień z tego okresu?

– Możemy spróbować, pani. Mogę poprosić o pomoc kapitana Stroviego, z Legionu, adiutanta legatki Vashty... Został oddelegowany nam do pomocy, w razie potrzeby.

– Dobrze, zrobimy tak – zdecydowała Ana. – Jeśli znajdziemy zastanawiająco duże zamówienie, może ono wskazać miejsce skażenia, przechowywania lub przygotowywania zarodników. – Zwróciła twarz ku Uhadowi. – Oczywiście, to nie moja decyzja... – Miło, że zwróciłaś na to uwagę. –

Uhad uśmiechnął się ze znużeniem. – Ale tak, Miljin, zajmij się tym. A tymczasem, Ano, kiedy wytypujesz osoby do przesłuchania?

– Jeśli tylko dostanę listy od inżynierów jeszcze dzisiaj, na rano ustalę, kto miał intymne relacje z ofiarami. Czy to Miljin będzie prowadził przesłuchania? Jeśli tak, to czy Din może w nich uczestniczyć? Jest moimi oczami i uszami.

Kapitan zmierzył mnie wzrokiem, jakby oceniał ciężar pakunku, który miał załadować na grzbiet swego zwierzęcia jucznego.

- No... oczywiście, pani.
- Dobrze. Mogłabym wprawdzie później przesłuchać ciebie, Miljinie, ale wątpię, by starczyło ci na to cierpliwości. A tym bardziej czasu.
- Ocaliłbym mego asystenta przed taką kaźnią – rzekł Uhad z cieniem uśmiechu, a potem spojrzał na immunisę Nuis. – Choć jeśli nasz młody signum ma towarzyszyć Miljinowi również i poza miasto, należy mu zapewnić dodatkowe wszczepy chroniące przed skażeniem...
- Och, tak! Naturalnie! – Nuis wyraźnie ucieszyła ta perspektywa. Zwróciła się do mnie: – Przybyłeś z Daretany, czyż nie? Posiadasz więc wzmocnienia typowe dla Obrzeży?
- Tak, pani.
- A więc dodamy do nich tylko te talańskie – westchnęła. – Na wio-
gnilce, szyjwije, kościwije, szczelinowije, na które możesz się tam natknąć.
I oczywiście szynkowije.
- Oszołomiony, starałem się przyswoić fakt istnienia tak wielu rodzajów robaków czyhających w dziczy, by mnie pożreć.
- Żeby nie było, nie mówi o tych, które zjadają wędlinę – wyjaśnił Mil-
jin z sadystycznym uśmieszkiem.
- Jak mam zdobyć te wszczepy, pani? – zapytałem.
- Normalnie musiałbyś się umówić do medyka – odpowiedziała Nuis.
– Ale nie mamy na to czasu, więc jak już się rozlokujecie, wstąp do mojego
gabinetu w wieży Apoteki. Załatwię ci wszystkie z miejsca.
- No dobrze. Zbliża się wieczór, a podczas stanu wyjątkowego tylko
funkcjonariusze Legionu mogą się poruszać po mieście po zmroku – przy-
pomniał Uhad. – A przy okazji, pewnie nie znacie tutejszego systemu
ostrzegawczego, co?
- Ja czytałam o nim – powiedziała Ana. – Ale Din pewnie nie. – Znasz
sygnalizację flarową, signumie? – Miljin zmrużył oczy.
- Nie, panie.
- Kapitan wskazał kciukiem na wschód.
- Jak zobaczysz na niebie z tamtej strony zielone błyski, to oznacza, że
dostrzeżono lewiatana i trzeba obserwować horyzont. Jeśli potem rozbły-
śnie czerwona, to znaczy, że jest na brzegu i zbliża się do murów, więc
gotuj się na ewakuację, jeśli dojdzie do najgorszego. Jeśli następna będzie
żółta, bierz nogi za pas, bo to znaczy, że przedarł się przez mury.
- Przez chwilę milczeniem podkreślał powagę tego, co powiedział.

– Niebieskie oznaczają, że oddalił się albo został zabity. – Kapitan uśmiechnął się niewesoło. – Ale takich nie widuje się zbyt często.

– Tak. A więc. – Uhad wstał i zachwiał się lekko, a ja pomyślałem, że to może efekt braku snu. – Powinienem cię zaprowadzić do twoich kwater, Ano. Z tego, co pamiętam, potrzebujesz czasu, żeby się zaaklimatyzować w nowym miejscu.

– Problem rytowników polega na tym, Uhadzie, że nie mogą przekonująco wciskać tych kurtuazyjnych wtętołów typu „z tego, co pamiętam”, bo nikt im nie uwierzy. W końcu macie pamięć doskonałą. – Ana podniosła się i dodała z uśmiechem: – Dobra, to zabieraj mnie tam. Din weźmie moje kufry.

* * *

Wieża Jurysu była okrągłą konstrukcją, szeleszczącą i trzeszczącą, gdy wiatr poruszał formobluszczowymi ścianami. Miejsca wzdłuż stropów i balkonów porastały kruche listki, a czasem pojawiał się nawet jakiś dziwny kwiatek. Mimo materiału budowla była stabilna i zapewniała bezpieczeństwo, a ja wolałem być w środku niż na zewnątrz, w mieście.

Uhad umieścił Anę w małym gabinecie po wschodniej stronie, na trzecim piętrze, podczas gdy ja miałem mieszkać na piątym. Założyłem, że im wyższa ranga, tym mniej schodów trzeba pokonać, uciekając przed lewiatanem. Oboje śledczy siedzieli sobie w jej izbie i rozprawiali wesoło, podczas gdy ja taszczyłem po schodach jeden po drugim kufry mojej zwierzchniczki. Kiedy uporałem się z ostatnim – Ana prawdopodobnie pomimo moich zaklinań zabrała parę regałów książek – rozmawiali już jak starzy druhowie.

– ...nigdy nie mogłem pojąć, jakim cudem wytrzymałaś tak długo w wewnętrznych pierścieniach – mówił do niej Uhad, gdy wciągałem do środka ostatni kufer. Opierał się o ścianę i próbował się uśmiechnąć, choć robił wrażenie osoby posępnej do szpiku kości, a taki wysiłek groził mu trwałym kalectwem. – Wydawało się, że to istne gniazdo żmij.

– Talagray nie wydaje się wcale lepsze – powiedziała Ana. – Zastanawiam się, ile potworności utrwaliłaś sobie w głowie, Tuwey.

– Pewnie więcej, niż to dopuszczalne – przyznał. – I choć moje ataki nie są częste, to miewam je od czasu do czasu... Muszę chodzić do Nuis po nowe wszczepy na bóle głowy.

Jego słowa sprawiły, że przerwałem pracę. Słyszałem, że mnemorytownicy miewali załamania nerwowe po zapisaniu w głowach znacznej ilości informacji. Cierpieli na depresję, napady amoku, dezorientację. Zacząłem się zastanawiać, czy taka właśnie przyszłość mnie czeka.

– Osobiście nie miałbym nic przeciwko jakiemuś spokojnemu posterunkowi w trzecim pierścieniu Imperium – westchnął Uhad. – W jakimś kantonie, gdzie największym przestępstwem jest kradzież bydła. A jednak... czasu na to mamy coraz mniej, prawda?

– Może to będzie twoja ostatnia batalia, Tuwey – powiedziała Ana. – Ocalisz Imperium, a wtedy może odeślą cię na zieleńsze pastwiska.

Przesunąłem kufer do kąta, a potem usiadłem na nim, spocony i zdyszany.

– Może. Ale ty dalej będziesz rozłupywać ten świat jak kilof trzaskacza, prawda?

– Dopóki mi na to pozwolą.

Otarłem pot z czoła, łypiąc na śmiejącą się parkę, aż immunis Uhad wreszcie się pożegnał i wyszedł. Ukłoniłem mu się w progu i nareszcie zamknąłem za nim drzwi.

Uśmiech natychmiast spelzł z warg Any.

– Dziwne. To dziwne, Din. O co w tym, do cholery, chodzi?!

– Yyy... słucham, pani?

– No sam powiedz, co zauważyłeś nietypowego. Twoim zdaniem coś w tym obrazku nie pasuje czy może to ja zwariowałam?

Przywołałem do pamięci jej przyjacielską rozmowę z Uhadem.

– Czy... czy oczekiwałaś, pani, że wasza rozmowa skończy się... um, inną aktywnością?

– Co? Nie! Nie o to mi chodzi! Mówię o tym całym pieprzonym zebraniu, tam na dole! Zauważyłeś coś dziwnego, Din?

– Poza tym, że twoje soczyste wypowiedzi budziły ich konsternację?

Spiorunowała mnie wzrokiem zza przepaski.

– No, Din, pomyśl. Czy to całe spotkanie nie wydało ci się dziwne?

Rozważyłem jej słowa.

– No, w sumie to tak.

– Uff. A teraz powiedz mi, tylko szczerze, co cię uderzyło, co wydało ci się nie takie, jak trzeba. To bardzo ważne.

Przywołałem poszczególne wspomnienia z narady: ulotne gesty, spojrzenia, ruchy głów i zmiany pozycji ciała.

– Chyba byli jacyś... nerwowi – powiedziałem w końcu. – Zdenerwowani wyłomem, to pewne, ale nie tylko. Jakby niepokoiło ich coś jeszcze.

– Mów dalej – zachęciła mnie Ana.

– Chodziło o to, jak zareagowali, gdy spytałaś ich, czy znali Blasa. Nagle zamilkli. Nusi spuściła wzrok, Kalista wlepiła w ciebie oczy. Tak jakby udawali, że wszystko jest w porządku, ale tak nie było. Uhad grzebał we własnej głowie. Przeglądał wspomnienia, jakby sam chciał wysnuć jakieś wnioski. A Miljin... hm. Gapił się głównie na mnie, pani. Nie wiem w sumie czemu. Ale utkwiał we mnie spojrzenie i go ze mnie nie spuszczał.

– Świetnie. Dostrzegłeś to wszystko i odczytałeś. Ale nie zauważyłeś, czego brakowało. Przed tym, zanim wyrzygałeś zapis śledztwa, wszyscy tamci zarzekali się, jakim to Blas był prawym, godnym podziwu, pracowitym funkcjonariuszem jaletu imperialnego. Byстрыm, podziwianym i tak dalej. – Ana gwałtownie uniosła palec. – Ale potem ty, drogi Din, opowiedziałeś, jak został zamordowany podczas wypadu do gniazdka miłosnego w rezydencji Hazów, podczas którego miał nurzać ptaka w płatnych szparach! I co na to wszystko powiedzieli?

– Hm. Nic, pani?

– Nic! – powtórzyła triumfalnie. – Dokładnie, nic! Żadne z nich nie wydawało się zaskoczone, wstrząśnięte czy nawet zaciekawione! Nie skomentowali tego choćby jednym słowem, mimo że ich do tego wręcz zachęcałam! Przeszli nad tym do porządku dziennego, w tej sytuacji, do dalszego omawiania sprawy. Czy to cię nie zastanawia?

– No tak. – Przypomniałem sobie ostatnie nasze poczynania w sprawie śledztwa. – A ty, pani, nie zawarłaś tych informacji w liście, który wysłałaś tu wcześniej, nie mogli więc o tym wiedzieć.

– Jeszcze nie zgłupiałam na tyle, żeby oskarżać kogoś pisemnie o dziwkarstwo. A więc to powinno ich zaskoczyć.

– Czyli nie sądzisz, pani, że szczerze starali się skupić na wyłomie?

– Wiesz, jak słyszy się taką pikantną historię, to raczej się ją komentuje, choćby jednym słowem. Ale oni w ogóle nie zareagowali.

– I co to oznacza, pani?

– Hm... Jeszcze nie wiem – przyznała Ana. – Ale nic dobrego. Muszę się nad tym zastanowić.

Wiatr igrał z jej białymi włosami, a ona zwróciła twarz ku oknu.

– Okno jest otwarte, Din. Zamknij je, bo nigdy nie zdołam się tu zaaklimatyzować.

Podszedłem do okna, ale przystanąłem zapatrzone, jak lampiony mai w mieście gasną jedna po drugiej. Talagray pochłaniała ciemność, jakby światła gasiła jakaś fala przyboju. Wkrótce widziałem już tylko zarys wież i mieniące się lśnieniem połącze dżungli na północy i zachodzie. Spojrzałem na wschód, w stronę morskich murów, ale przez mgłę nie dostrzegłem niczego. Zamknąłem okiennice i zasunąłem rygiel.

– Musimy dorwać tę asystentkę Blasa – powiedziała Ana za mną. – Kobieta, która zarządzała jego życiem, tę Ronę Aristan. Pamiętasz jej adres, prawda, Din?

Pamiętałem. Przeczytałem go na głos, kiedy dostałem od niej list, a każde słowo wciąż dźwięczało mi w uszach.

– Kobieta, która twierdziła, że nic nie wie o podróży Blasa do Daretany – przypomniałem.

– Tak, tę kłamliwą sukę. – Ana zerwała opaskę i rozmasowała oczy. – Chcę ją wycisnąć jak pieprzony owoc rymny. Dzieje się tu coś, o czym nikt nie chce mówić, i myślę, że ona ma z tym coś wspólnego.

Obserwowałem, jak Ana wbija ponure spojrzenie w podłogę, a jej twarz wykrzywia się, jakby połknęła łyżkę skisłej owsianki.

– Mówisz, pani, tak, jakbyś knuła jakąś intrygę.

– O tak, bo nie podzielimy się tym z Uhadem i resztą.

– Dlaczego?

– Ponieważ sami powinni ją już dawno wezwać i przesłuchać. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy wydają się jakoś niechętni grzebać w morderstwie Blasa. A ja chcę się dowiedzieć dlaczego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem. W progu stał młody inżynier, którego kolana uginały się od ciężaru dźwiganego w rękach pudła ze zwojami.

– Doku... dokumenty dla pani śledczej – wysapał.

Podziękowałem mu i przejąłem brzemień.

– To chyba listy, które chciałaś od Kalisty, pani.

– Fantastycznie! – Ana usiadła na podłodze i zanurzyła ręce w skrzyni. – Liczę, że uda mi się ustalić jakiś wzorzec łączący ofiary i wytypować, z kim musisz porozmawiać jutro. Trzeba zlokalizować wszystkie miejsca, jakie ci nieżyjący inżynierowie odwiedzili w ciągu paru dni przed wyłomem. Bo mimo wszystkiego, czego nam tu brakuje, Din, to najbardziej potrzebujemy ustalić miejsce, w którym doszło do morderstwa. Ci ludzie gdzieś w końcu zostali skażeni. Możliwe, że w różnych miejscach, choć

w to wątplię. Drogi wszystkich skrzyżowały się w jednym punkcie, jednym jebaniutkim punkcie, a gdy go opuścili, byli już chodzącymi trupami. Tylko o tym nie wiedzieli. I właśnie tego ty i Miljin musicie się dowiedzieć, co to za punkt.

– Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o kapitan Miljinie, pani? Jeśli mam z nim jutro kogoś przesłuchiwać, przydałaby mi się każda informacja na jego temat.

– Wiem, że jest bohaterem wojennym. Tłumił bunty. Wydaje się, że sam jest jak odprysk Imperium. Słynie z odwagi, a jego wytrzymałość jest legendarna. I jest stary. Może nazbyt, jak na te czasy. – Błysnęła uśmiechem. – Krążą plotki, że kiedyś był niesamowicie przystojny. Powiedz, nadal ma takie silne przedramiona? Grube nadgarstki i wielkie, kwadratowe dłonie?

– A czemu to miałoby być istotne, pani?

– To, że rezygnuję z patrzenia, nie znaczy, że rezygnuję z przyjemności. A teraz idź, Din, idź po te wszczepy do Nuis, żebyś zdążył przed ciszą nocną. Jutro dowiedz się czegoś podczas tego przepytывania, a potem, znów tak, żeby zdążyć przed nocą, znajdź tę asystentkę Blasa i daj jej to. –

Pośpiesznie naskrobała wezwanie, podobne jak to do Gennadios i reszty sług Hazów. – Ma tu przyjść i sypać jak z rękawa informacjami o zwierzchniku, bo zaczynam mieć złe przeczucia co do tego całego śledztwa.

– Poza tymi, o których rozmawialiśmy, pani?

– Tak. – Ana wyciągnęła ze skrzyni jeden z pergaminów i zaczęła go czytać. – Kalista twierdziła, że inżynierowie zawsze chadzają dwójkami. To dlatego tak dokładnie wiemy, kto zginął podczas zawału.

– A więc...?

– A więc morderca od jakiegoś czasu przebywa w Talagray. – Ana przewróciła stronę i przeszła do kolejnej. – A co, jeśli zamordował kogoś poza inżynierami, tyle że nikt tego nie zauważył?

Rozdział dwunasty

– Z glistami problem polega na tym – mówiła Nuis wesoło, przegrzebując rzeczy na półkach – że są niezwykle zaradne. Zaradne i odporne.

Rozejrzałem się po jej apotecznym gabinecie. Miejsce to bardziej przypominało laboratorium – na niemal każdej powierzchni stały szklane butelki, pojemniki i słoje. W niektórych rosły kosmate pleśnie, inne zawierały bulwiaste grzyby, a w jeszcze innych umieszczono przekroje kości, może nawet ludzkich. Pośrodku pomieszczenia królował stół operacyjny z mosiądzu. Choć powierzchnia lśniła czystością, na podłodze wokół niego widać było jasne przebarwienia i zacieki. Zastanawiałem się, czy właściciele owych płynów żyli, czy może już nie, gdy ze stołu skapywały plamiące ciecze.

– Glisty potrafią przeżyć w każdej części ciała i każdą pożreć – dzieliła się swoją wiedzą Nuis, przeszukując półki. – To godne podziwu. Kiedyś leczyłam kapitana, w którego nogach załęgło się ich tyle, że słyszało się chlupotanie, gdy siadał. Miałeś kiedyś pasozyty, Kol?

Zerknąłem na szklany cylinder wypełniony ciemnożółtym płynem. Coś długiego, cienkiego i śliskiego leżało na dnie, wyciągając przednią część ciała i dotykając szklanej ścianki, jakby mnie wyczuwało.

– Uh... Nie, pani. Z tego, co wiem, to nie.

– Hm, szkoda. Po czymś takim nabiera się do nich respektu. Och, wygląda na to, że skończyły mi się normalne wszczepy. Będę musiała użyć tych z własnych zapasów. Chwileczkę.

Czerwony płaszcz zafalował, gdy pomknęła ku wielkiemu stalowemu sejfowi za biurkiem. Nietypowy mebel miał na przedniej ściance kilkanaście małych metalowych drzwiczek. Przyklękła przed nim, wyciągnęła z szuflady klucz i zaczęła otwierać klapki, część zaraz zamykać, w pozornie losowej kolejności: górna lewa, potem środkowa, prawa dolna, potem górna prawa, dolna środkowa i tak dalej.

– Czy wszyscy starsi funkcjonariusze, pani, posiadają sejfy w swoich gabinetach? – zapytałem.

– Nie. I ja też zwykle nie stosuję takich zabezpieczeń. Ale zaawansowane wszczepy odpornościowe są ulubionym celem złodziei, bogaci ludzie

chętnie płacą za bezpieczeństwo i zdrowie. To oznacza, że muszę otwierać zamki we właściwej kolejności za każdym razem, jak chcę coś wyciągnąć.

Obserwowałem, jak zręcznie operowała kluczem, wykonując oszałamiająco skomplikowaną kombinację ruchów. Naraz zdałem sobie sprawę, że mimowolnie zapamiętuję sekwencję.

– Może wyjdę, pani? – zaproponowałem.

– Wyjdiesz?

– Jestem mnemorytownikiem. Raczej wolałabyś, żebym nie zapamiętał kombinacji.

– Ach, rzeczywiście! Masz rację, ciągle o tym zapominam. Jeśli możesz, po prostu odwróć wzrok.

Obróciłem się twarzą do ściany i wsłuchałem w klikanie mechanizmów i zgrzytanie obracających się bębenków.

– Gotowe! – obwieściła. – Jeszcze moment... Dobrze, mam już wszystko, czego potrzebujesz.

Znow się odwróciłem. Wyjęła z sejfów cztery małe granulki różniące się kolorem. Jedna była niebieska, jedna biała, jedna żółta i jedna brązowa. Każda mniej więcej rozmiaru knykia.

– Rozkruszę je i wymieszam z mlekiem – wyjaśniła, krzątając się po gabinecie. – Białka i tłuszcze pomogą je przyswoić. Przez godzinę po spożyciu przeglądaj się w lustrze. Sprawdzaj białka oczu, czy nie żółkną i czy nie cofają się dziąsła. To oznaczałoby reakcję niepożądaną. W takim przypadku natychmiast skontaktuj się z medykerami.

Roztarła granulki z mlekiem, aż płyn w mózdzierzu zgęstniał i przybrał barwę jasnego brązu.

– Czy mogę się spodziewać innych efektów? Na przykład psychologicznych?

Ruchy tłuczka zwolniły.

– Psychologiczne... Ach, no tak. Pewnie ostatnim wzmocnieniem, jakie przyjąłeś, było nasycenie mnemorytownicze? Żeby zostać Sublimem?

Przytaknąłem.

– Czy wybrałeś modyfikację z uśpieniem?

– Nie, pani.

– Byłeś przytomny? Podczas całego procesu transmutacji?

– Tak, pani.

– To fascynujące. Ja poprosiłam o uśpienie, kiedy dokonywano mojej przemiany na aksjoma. Ale nie, po przyjęciu tych wszczepów nie będzie

żadnych efektów psychologicznych. Ale muszę powiedzieć, że twardy z ciebie ptaszek, Kol, skoro zniosłeś takie cierpienia. – Podała mi moździerz, mrużąc fioletowe powieki w uśmiechu. – Miejmy w każdym razie nadzieję, że tak jest. – Nadzieję, pani?

– Większość mnemorytowników nie żyje długo w Talagray. Zbyt wiele złych wspomnień. A już szczególnie ci, którzy bywają na Równinach Szlaku. Ale ty jesteś młody. Powinieneś przetrwać.

Wpatrywałem się przez chwilę w mleczno-brązową miksturę, wspominając zmęczoną, pooraną zmarszczkami twarz Uhada. Potem wlałem zawartość naczynia do gardła i przełknąłem.

* * *

Po przyjęciu wszczepów powlokłem się z powrotem do wieży Jurysu i wdrapałem po schodach do mego pokoju. Na miejscu rozpakowałem swój skromny dobytek: płaszcz, koszulę, spodnie i bieliznę. Plus standardowa brzytwa i drewniany miecz treningowy. Ułożyłem to wszystko na szafce i czekałem, aż przywyknę do pokoju. Nic z tego.

Potarłem podbródek, czując szorstkość zarostu. Spojrzałem na lustro z polerowanego brązu, wiszące na ścianie naprzeciwko. Rozebrałem się do pasa, chwyciłem brzytwę i stanąłem przed lustrem, chcąc się ogolić.

Porywy wiatru smagały wieżę, wprowadzając formobluszcz w drżenie i kołysanie, ale moja dłoń pewnie przesuwiała ostrze, które dokładnie czyściło skórę z włosków. Czułem się cudownie, robiąc w tym tak niezwykłym miejscu coś tak przyziemnego, zwyczajnego. Gdy skończyłem się golić, sprawdziłem, czy nie pojawiły się jakieś oznaki reakcji, przed którymi ostrzegała mnie Nuis. Ale nie, moja twarz wciąż była moja.

Wbiłem wzrok w oczy odbicia, sięgając do wspomnień.

Mieszanie nasyceń, które dla mnie robiono. Chrzęst i stukanie tłuczka, gdy medykerzy ucierali je w moździerz. Plusk wlewanego mleka. A potem kredowy posmak w tyle gardła, gdy łykałem i łykałem miksturę.

A potem ich szept, że mógłbym przyjąć wywar na sen i przespać to, co miało nadejść, choć to wydłużyłoby przemianę i nie wyeliminowałoby snów. Ja jednak uparłem się, że chcę pozostać przytomny. Chciałem pojąć, co się ze mną dzieje, zobaczyć to, poznać i zapamiętać.

A potem nastąpiły dni pełne bólu, halucynacji. Nie mogłem spać, głowa mi pękała, miałem wrażenie, że błąkam się w otchłani ciemności, w której

czas rozciąga się wokół mnie jak czarne równiny bezkresnej pustyni. Mój umysł formował się na nowo, a gdy przechodził przemianę, zmieniało się też moje pojmowanie czasu.

A gdy wynurzyłem się z tej bezcielesnej czerni, byłem inny. Oczywiście zewnętrznie też, poszarzała mi skóra, ale mój mózg nie tworzył już normalnych wspomnień. Bo wspomnienie to jedynie szkic, jaki umysł kreśli na podstawie przeżyć, jest on niedoskonały i interpretacyjny, a to, co odtąd tworzył mój umysł, było doskonałe, wieczne, absolutne.

Stałem w formobluszczowej wieży Jurysu, czując, jak konstrukcja porusza się na wietrze. Patrzyłem na swoją twarz, a moje powieki drgały, gdy wyszukiwałem drobne blizny i niedoskonałości. Pochodzenie każdej rany zapisało się w mojej pamięci w najmniejszym szczególe.

Odwróciłem się, by obejrzeć plecy, i dostrzegłem na nich kilka lekkich, jaśniejszych rys. Kapitan Thalamis trzykrotnie wybatożył mnie podczas szkolenia, ale najsroźsze razy zawsze zostawiał na koniec. Trzask i świst trzcinki wciąż odbijały się echem w mojej głowie.

– Wychodziłeś cało z gorszych rzeczy – powiedziałem do swego odbicia, a w jego oczach ujrzałem staranie, by w to uwierzyć.

Nagle poczułem pod stopami wstrząs, delikatne drganie. Podeszedłem do okna, uchyliłem je i wyjrzałem. Miasto leżało pogrążone w ciszy, nikt nie krzyczał, nikt nie biegał. Wstrząs był najwyraźniej niewart uwagi.

Zatrzymałem się wzrokiem na ciemnym horyzoncie na wschodzie. Żadnych flar, ani zielonych, ani innych. Pomyślałem, że jeśli zawiodę i zginą kolejni inżynierowie, to wkrótce na niebie mogą wykwitnąć świetliste pióropusze, a odległe mury runąć.

A wtedy miałbym o wiele więcej powodów do niepokoju niż troskę o wysyłanie uposażenia do domu.

CZĘŚĆ TRZECIA

Trzy klucze i dziesięcioro martwych inżynierów

Rozdział trzynasty

Życie w Talagray wybuchło o świcie. Ulice, alejki i korytarze zaroily się od pieszych, śpieszących w różne strony jak mrówki w zniszczonym mrowisku. Fale ludzkie mieniły się barwami jaletów – tłum podążających do swych obowiązków funkcjonariuszy tworzył błotniście czerwono-fioletowo-czarną tęczę. Wielka machina Imperium zaczynała budzić się do działania.

Przez tę oszalałą kipieli ludzką kroczył kapitan Miljin. Stapał równo, ciężko, a długa pochwa kołysała się mu u boku. Podążałem za nim, grzechocząc przyborami zapakowanymi do wielkiego plecaka. W ruchach tej ciżby nie dostrzegałem żadnego ładu, rytmu czy kierunku, a jednak masy tłumy rozstępowały się przed Miljinem. Rzeki ludzi zatrzymywały się, tu i ówdzie czyjeś ramię tamowało nurt, a potem szliśmy szpalerem salutujących funkcjonariuszy, unoszących dłonie do mostka w pełnym szacunku pozdrowieniu. Nawet olbrzymi trzaskacze przystawali, kłaniając się tak nisko, że podbródkami prawie dotykali czapek tych, którzy stali przed nimi.

Miljin jednak szedł naprzód, jakby tego nie zauważał, mówiąc o czekających nas zadaniach i ziewając od czasu do czasu, obojętny na spojrzenia i saluty wokół.

– Prawie wszyscy ci biedacy, których twoja zwierzchniczka kazała nam dziś przesłuchać, są w Kwaterach Inżynierii Frontowej – powiedział. – Bliżej murów. Tam przez cały rok przygotowują budulec i rusztowania. Mają stamtąd bliżej na brzeg.

– A jak bardzo blisko muru, panie?

– Nie bój się, nie aż tak. To cholerna dziura, paskudna. – Znów ziewnął.

– Większość naszych przesłuchiwanym jest ranna. Oberwali podczas zawału. Ale dzięki temu łatwo ich zdybać. Nie uciekną, a jeśli, to niedaleko. Dostałeś swoje wszczepty? – Tak, panie. Zapakowałem też wodę, komplet noży, krzesiwo, zestaw do gotowania, parę wszczepów leczniczo-opatrunkowych i kilka antytoksynowych na uządlenia i ukąszenia owadów i innego draństwa, na które można wpaść po drodze.

Miljin przystanął i spojrzał na mój wielki plecak.

– Ach tak...

– Tak, panie. To chyba standardowe wyposażenie osoby udającej się na Równiny Szlaku.

– Całkiem możliwe. Ale my będziemy się trzymać traktu. A ten nie roi się w tych czasach od dzikich, zjadliwych niebezpieczeństw. Jeździsz konno, chłopcze?

– Siedziałem w siodle, panie.

– No, to już coś – mruknął. – Musimy jechać tam konno, jeśli mamy zdążyć ze wszystkim. – Wskazał podbródkiem na gęściejszy tłumek żołnierzy przed nami. – Tam są stajnie. Trochę to potrwa.

Dotarliśmy na wschodni skraj miasta, gdzie domy z paprociowego papieru porastały niskie pagórki niczym dzikie kwiaty. Ale mimo że również i je postawiono z powszechnego tu budulca, różnił się on jakością. Panele, z początku tanie, na co wskazywała brązowawa barwa trzciny, jaśniały, a tu były wręcz śnieżnobiałe. W budynkach widziałem też więcej ozdób – tu klamka z brązu, tam misternie rzeźbione drzwi frontowe, zaś w wilgotnym powietrzu unosił się dym, para i aromat olejków, co oznaczało, że w pobliżu znajduje się łaźnia. Oraz że jesteśmy w bogatej dzielnicy.

Jednak najbardziej o zamożności tego miejsca świadczyli ludzie spoglądający na nas z balkonów. Wszyscy nasyceni, wysocy, smukli, posągowi, o szarej skórze, dużych, ciemnych oczach i delikatnych, rzeźbionych rysach. Oczach obsypanych ostrygowym pyłem. Ustach pomalowanych purpurową szminką, policzkach podkreślonych błękitem. Wielu kryło twarze za falującymi woalkami utkanymi ze srebrzystej tkaniny, jakby bali się, że ich piękno może zostać skalane wzrokiem kogoś takiego jak ja.

Szlachetnie urodzeni, pomyślałem. Nigdy wcześniej nie miałem okazji widzieć żadnego arystokraty, zapytałem więc o to Miljina.

– Ach, ci. – Wykrzywił się w złośliwym uśmiešku. – Ci piękni i bogaci przybyli tu zawrzeć przyjaźnie – zaakcentował ostatnie słowo.

– Przyjaźnie, panie? – zaciekawilem się.

– Tak. Taka polityka. Starożytne zasady i ceremoniały. Aby zdobyć miejsce w Senacie Sanktuarium, należy odsłużyć przynajmniej dwie tury na murach morskich. Nie można zarządzać cesarstwem, jeśli nie stało się w obliczu tego, co leży u podstaw jego powstania. – Machnął ręką, wskazując pstrokaty tłumek żołnierzy. – Gdzieś między tymi żalosnymi bałwanami są przyszli gubernatorowie, senatorowie i Sanktuarium wie kto jeszcze. Asesorzy podatkowi. I cała reszta tej bandy.

– A ci arystokraci...

– Chcą się wkręcić zawczasu. Wyświadczają przysługi, proponują patronaty, obserwują wschodzące gwiazdy polityki i częstują je smakołykami. Lepszymi kwaterami, pancerzami, końmi, wykwintniejszym jedzeniem. Czasem nietypowym nasyceniem. Ta część miasta nie jest wcale najelegantsza. Najbogatsi swoje posiadłości mają na zachód od miasta. Tam to dopiero stoją piękne budynki, własność Mishatów, Kurafsów, Hazów...

Zwolniłem na dźwięk ostatniego nazwiska.

Miljin łypnął wrogo na jednego z balkonujących szlachciców.

– To jak wyścigi konne, chłopcze. Są tu, żeby robić zakłady. A jeśli obstawia właściwie, mogą wygrać fortunę na resztę życia. Może się to wydawać niesprawiedliwe, ale w sumie to co ja tam wiem. – Charknął i splunął. – Może mieszkanie przez jakiś czas w cieniu murów morskich to jedyna okazja, żeby ci bogacze poznali, co to strach.

* * *

Jechaliśmy na wschód, obaj w słomianych stożkowych kapeluszach, mających chronić przed wspinającym się na niebo słońcem oraz przed deszczem. Droga dudniła od toczących się kół wozów i furmanek oraz tupiących stóp kohort żołnierzy zmierzających na stanowiska przy umocnieniach. Potoczyłem spojrzeniem po legendarnej Równinie Szlaku Tytanów, którą przemierzaliśmy, miejsca świętego, a zarazem przekłętego, gdzie niezliczone pokolenia legionistów walczyły, wykrwawiały się i ginęły, by powstrzymać tytanów, począwszy od pierwszej imperialnej rasy, błogosławionych Khanum, którzy wyginęli doszczętnie.

Błotnisty trakt przed nami tonął we mgle, ale ja wpatrywałem się we wschodni horyzont, zastanawiając się, co tam zobaczę albo czy nagle tamtejsze niebo nie rozbłyśnie żółtą lub czerwoną flarą, ostrzegającą o nadejściu tytana. Przeszkodził mi w tym Miljin, klepiąc mnie w ramię ze śmiechem.

– Niczego tam nie dojrzysz, chłopcze.

– Niczego, czyli czego, panie?

– Niczego. Ani murów, ani truchła lewiatana. Mgła opadnie dopiero bliżej południa. To przez mury. Słońce musi się wspiąć wysoko, żeby ją wypalić. Najgroźniejsze, na co możemy się tu natknąć, to to, co czyha na pobo-
czach.

Z satysfakcją obserwował, jak głowie się nad jego słowami, aż wreszcie się zlitował.

– Buntownicy. Dezerterzy. Funkcjonariusze, których przeraziło uszkodzenie murów i chcą uciec. Dla kogoś takiego młody chłopak na silnym, zdrowym koniu... cóż. Nie bez powodu nosimy to. – Poklepał rękojeść swojego mechanicznego miecza. – Miecz gównu pomoże przeciwko tytanowi. Ale na tych, którzy utrudniają walkę z lewiatanami, ostrza można użyć na wiele sposobów.

Po tych słowach kłusowaliśmy w milczeniu, a mój miecz zdawał się ciążyć mi jeszcze bardziej, głównie dlatego, że nie chciałem mówić kapitanowi, że moja klinga jest z drewna i ołowiu.

* * *

Na koniach dotarliśmy do Kwater Inżynierii Frontowej w dwie godziny. Rzeczywiście, miejsce to okazało się najpaskudniejszym, jakie widziałem od wyjazdu z Daretany, pełne platform dźwigowych, lin, placów budowy i odlewni wyrzucających w niebo słupy dymu.

Miljin skrzywił się, wciągając do nozdrzy smrodliwe opary.

– Ja piernicę, aż dziw, że te lewiatany mają jeszcze ochotę wychodzić tu na brzeg – mruknął, a potem wskazał na budynek. – Tam znajduje się skrzydło szpitalne. Ilu mamy tu przesłuchać?

Mówiłem mu to już, ale uznałem, że rozsądniej mu tego nie wytykać.

– Jedenastu, panie.

– Jedenastu... I wszyscy byli w intymnych relacjach z ofiarami?

– Większość ostatnio bądź wcześniej. Tak sądzi moja śledcza.

– A my mamy wycisnąć z nich wszystkie historie i spróbować je poukładać, tak by dowiedzieć się, gdzie naszych dziesięciu martwych inżynierów napakowano ziarnkami plamiszklanki.

– Mniej więcej tak, panie.

– W takim razie najlepiej podzielić się robotą. Ja wezmę pięcioro od końca, a ty sześcioro od góry. Potem wymienimy się informacjami.

Zostawiliśmy konie w stajni i już w skrzydle medykerów podałem Miljinowi jego pięć osób do przesłuchania. Mrużąc oczy w świetle latarni przy drzwiach, zapisał nazwiska na kawałku pergaminu fragmentem popiołorysika. Kazał mi kilkukrotnie je powtórzyć, a potem dodać, z którym zmarłym byli powiązani. Nigdy wcześniej nie pracowałem z nikim przy śledz-

twie, a choć Miljin cieszył się świetną reputacją, obserwując, jak mamroce i wertuje swoje notatki, poczułem narastający niepokój.

– Na pewno chcesz podzielić się przesłuchaniami, panie? Bo może lepiej, gdybyśmy pracowali we dwójkę?

– Wiem, co robię – ofuknął mnie, ale przy okazji upuścił jeden z karteluszków i schylił się, by go podnieść. – A może sugerujesz, że nie wiem, co?

– Ależ skąd, panie – zapewniłem go, patrząc, jak ściera błoto z odzyskanego kawałka pergaminu.

– No to chodźmy, zrobmy to i miejmy z głowy.

* * *

Jako pierwszą przesłuchiwałem princepsę Anath Topirak, medykerkę z Jaletu Apotekarskiego. Wcześniej zatrzymałem jakiegoś pielęgniarza i zapytałem o rozległość i umiejscowienie jej ran, a także stan ogólny.

– Doznała urazów podczas zawału, panie – odpowiedział. – Dość poważnych. Dochodzi do siebie w sali na końcu korytarza, ostatniej po prawej.

Zapukałem do wskazanych drzwi, a po chwili, gdy nikt nie odpowiadał, nacisnąłem klamkę, wszedłem i... zatrzymałem się w pół kroku.

Nigdy wcześniej nie byłem w prawdziwym skrzydle medyków. Nic nie przygotowało mnie więc na to, co tam zastałem.

W sali o ścianach z formobluszczu, nad stojącym pośrodku dużym metalowym kotłem kąpielowym migotał pojedynczy lampion mai. W kotle wypełnionym osobliwą, białawą cieczą, cuchnącą skisłym mlekiem, leżała wysoka Kurminka. Miała głowę opartą o krawędź kotła, oczy zamknięte, a twarz bladą i spoconą. Choć nie mogłem dostrzec zbyt wiele przez mleczną substancję, z pewnością nie miała na sobie odzienia.

Już to wprawiło mnie w konfuzję, a jeszcze bardziej zdumiał mnie widok konstrukcji lin i drutów zwieszających się nad kotłem i podtrzymujących nad cieczą jej rękę – rękę pozbawioną dłoni. Tam, gdzie być powinna, różowił się kikut, zaś rojące się na nim małe ślimaczki, uczipione pokiereszowanej skóry niczym pąkle burty okrętu, żarłocznie przysysały się do żywej tkanki.

Zagapiłem się na ślimaki ze zgrozą. A potem poczułem trzepot za oczami i przypomniałem sobie coś, co powiedział kiedyś żartem nauczyciel

fechtunku, Trof: Jeśli któreś z was przypadkiem straci ramię albo ucho, nie martwcie się, dzieci, medykerzy nałożą wam sangrimaki na ranę, dopóki nie odrośnie wam nowa część ciała.

Cóż, pomyślałem, pewnie właśnie tak to wygląda. Kolejny widok, którego już nigdy miałem nie wymazać ze wspomnień. Napomniałem się, żeby zachować opanowanie i nie zdradzać emocji.

Otworzyłem torbę i wyjąłem z przybornika fiolkę, po czym wciągnąłem nosem woń dymu i popiołu. Nie udało mi się powstrzymać skrzywienia odrazy. Wziąłem się w garść, podszedłem do balii i odchrząknąłem.

Topirak nie drgnęła.

– Princepso?

Na jej czole pojawiła się ledwie dostrzegalna zmarszczka. Miała przyjemną, ładną twarz o regularnych rysach. Siniaki na jednym z policzków przybrały już barwę starej herbaty. Jej skóra, podobnie jak moja, była szara, lecz to nos bez wątpienia stanowił centrum modyfikacji: fioletowawy, odrobinę powiększony, pokryty siateczką żyłek. Powszechny wszczep wśród apotekarzy wzmacniający węch. Zdolność do rozróżniania zapachu mikstur czy ran i określania po woni ich stanu była kluczowa w ich jalecie.

– Princepso? – powiedziałem głośniej.

Topirak chrapnęła, jęknęła i uniosła opuchnięte powieki, ukazując przekrwione białka.

– Ss...so? – Na mój widok otworzyła oczy szerzej. – Coś ty za jeden, do cholery?!

– Ja? – Zaskoczony, obejrzałem się za siebie, czy ktoś jeszcze nie stoi w pokoju. – Jestem signum Dinios Kol z Jurysu. Coś się stało, princepso?

Wpatrywała się we mnie przez moment, a potem odetchnęła z ulgą.

– Och, dzięki Sanktuarium... Bo gdy tak zobaczyłam cię, panie, całego w czerni, spoglądającego na mnie z góry... – Zaśmiała się słabo. – Myślałam, że sama śmierć po mnie przysła.

Zamurowało mnie. Podczas mojej niedługiej kariery w Jalecie różnie mnie nazywano, ale nikt dotąd nie wziął mnie za Żniwiarza.

– To przez te kąpiele, panie – wyjaśniła. – Przez te wyziewy w głowie się miesza. – Pociągnęła nosem. – To głównie muralgi, ich produkty przemiany materii mają właściwości lecznicze. I zabarwiają wodę na białe. –

Znów wciągnęła opar kąpielowy. – Również ceterofiny, reagenty nasenne. I olejki głębinowca. Na zaparcie. Żebym się tu nie obsrała.

– Imponujące umiejętności – skomentowałem.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Mówi się, że błogosławiona Atir z Khanum zmodyfikowała się tak, że wystarczyło, że po przebudzeniu powąchała powietrze, i wiedziała, gdzie w promieniu mili znajduje się jaki kwiat, ptak i inny zwierz. Choć wątpię, żeby kiedykolwiek musiała zażywać takiej kąpieli. Tyle śpię, że nawet nie wiem, jaki dziś dzień.

– Osiemnasty kyuzu – podsunąłem. – A ja nie jestem Żniwiarzem, tylko jurystą. Chciałem zadać ci kilka pytań na temat wyłomu, pani.

– Dlaczego Jurys bada sprawę uszkodzenia murów? – wychrypiała.

Pominałem to pytanie, wziąłem sobie krzesło z kąta i usiadłem przy kadzi.

– Potrzebuję kilka informacji o signumie Misik Jilki.

Przez jej twarz przemknął cień.

– Misik... Ona nie żyje, panie – wyszeptała.

– Tak, princepsie, wiem o tym. Dobrze ją znałaś, pani?

Poruszyła się niespokojnie w mlecznej cieczy, a jej oblicze ściągnęło się w ból. Biała fala chlupnęła, cofając się, i odsłoniła krągłość piersi pociemniałej od obłoków wylewów podskórnych. – Tak.

– Jak dobrze?

Spiorunowała mnie wzrokiem, całkiem już przytomna.

– Byłyśmy kochankami, panie. Ale to nie jest wbrew przepisom, skoro pełniłyśmy służbę w różnych jaletach, prawda?

– Ach tak. – Ciągle uczyłem się, że nie powinienem być zaskoczony, gdy przeczucia Any się sprawdzają. – Jak długo byliście z w związku?

Mrugnęła powoli, jakby obliczała w myślach.

– Na Boga... trzy lata.

– Jest mi niezmiernie przykro z powodu twojej straty, pani... – Powstrzymałem się, żeby nie spojrzeć na jej kikut. – Oraz z powodu wypadku. Próbuję się dowiedzieć czegoś na temat śmierci Jilki.

– Po co?

– Czy widzieliście się w dniu poprzedzającym jej śmierć? – zapytałem, znów ignorując jej pytanie.

Topirak pokręciła głową.

– A więc nie?

– Nie, panie. Jilki pracowała przy murach. Była tam przez całą noc.

– I cały dzień?

– Tak, panie. I dwa poprzednie dni.

– I nie opuszczała murów?
– Nic o tym nie wiem, panie.
– Może była gdzieś, gdzie mogła mieć kontakt z wodą, parą albo czymś podobnym?

– Nie bardzo wiem, o co pytasz, panie. Czy coś się stało?
Zastanowiłem się, co mogę jej powiedzieć. Jeden ze ślimaków powędrował na jej przegub, zostawiając za sobą pasek różowej tkanki.

– Kiedy po raz ostatni widziałaś się z Jilki, pani?
– Cztery dni przed tym, zanim zginęła.
– I co wtedy robiła?
– Rano poszła na mury, a potem wróciła.
– A dzień wcześniej?
– Tak samo.
– A więc – zmarszczyłem brwi, zbierając w całość to, co usłyszałem – powtórzę dla pewności. Przez sześć dni przed śmiercią bywała tylko tutaj, w kwaterach, oraz na murach?

– Tak, panie.
Nie pasowało mi to. Z raportu Uhada wynikało, że dwóch z martwych inżynierów stacjonowało w mieście i nie odwiedzało ani murów, ani Kwater Inżynierii Frontowej. Teraz dowiedziałem się, że Jilki nie była nigdzie poza tymi dwoma miejscami, co oznaczałoby, że drogi ofiar mogły się nigdzie nie skrzyżować, a to jeszcze bardziej utrudniłoby znalezienie miejsca, gdzie zostali skażeni.

– Pytasz, panie, o skażenie, tak?
– Czemu tak uważasz? – spytałem, być może nieco za ostro.
– Jestem medykerką, panie. Potrafię rozpoznać wywiad. Chcecie ustalić, czy ofiary gdzieś się spotkały, czy mogły się dotknąć, gdzie mogły ulec skażeniu. Tak, panie?

– Coś w tym stylu.
– Myślałam, że Misik zginęła w zawale, pod gruzami. Skąd wywiad skażeniowy? I czemu to Jurys miałby prowadzić śledztwo w sprawie skażenia, a nie apotekarze?

– Staramy się tylko zebrać więcej informacji, zrozumieć przyczyny wypadku. Czy wobec tego jest coś, co przychodzi ci do głowy, princeps?
– N...nie. Misik, jeśli nie pełniła obowiązków, była zawsze ze mną. – Znów słaby uśmiech. – Lubiłam z nią spędzać czas.

Popatrzyła na mnie, oczekując współczucia, ale mnie dręczyło przecucie, że coś tu nie gra, więc nie miałem do tego głowy.

Topirak zmieniła pozycję, ochlapując mnie kroplą płynu. Podniosła wzrok na sufit, zaniepokojona, wystraszona. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Czekałem cierpliwie, aż się zdecyduje.

– Czy... Czy Misik zrobiła coś złego, panie? – zapytała.

Doczekałem się.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – A ty, pani, myślisz, że Jilki zrobiła coś złego?

– Nie – odpowiedziała bez wahania, znów wznosząc wzrok ku sufitowi.

– Ale ósmej nocy przed powstaniem wyłomu...

– Tak? Coś się wtedy wydarzyło?

Przełknęła głośno ślinę, a po policzkach spłynęły jej łzy, kapiąc do mlecznej kąpieli.

– Była... Pojechała do Talagray. Została tam na noc.

– Po co?

– Pracowała nad jakiś projektem... Czymś związanym ze wstrząsami. Podobno konstrukcja murów się zdestabilizowała. Miała jakieś spotkanie w mieście na ten temat. Ale nie mogła mi powiedzieć, o co chodziło. Mówiła, że jej nie wolno.

– Dlaczego?

– Wspominała, że to mogłoby wywołać panikę. Mówiła, że nie chcą, by ludzie wiedzieli, że coś jest nie tak z murami. Że to tak poważna sytuacja. Ale była bardzo tajemnicza, kiedy o tym mówiła.

– Rozumiem. – Pozwoliłem, by cisza wybrzmiała odpowiednio długo, zanim dodałem. – Uwierzyłaś jej, pani?

– A czemu miałabym nie wierzyć?

Przyjrzałem się jej bacznie. Szeroko otwarte oczy, złknięte, drżąca żuchwa.

– Przyszedłem tu, by zapobiec podobnym wypadkom, pani. By nikogo nie spotkało coś takiego. – Wskazałem na nią. – Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym wykorzystać, muszę to wiedzieć. – To... to tylko przecucie – wyszeptała. – Gdy jeździła do Talagray na te spotkania, po powrocie była dziwnie milcząca. I było coś, co powiedziała i za pierwszym, i za drugim razem. – Twarz Topirak wykrzywiła się w grymasie żalu. – „To inżynierowie tworzą ten świat. Wszyscy inni tylko go zamieszkują”.

– A więc te osiem dni przed wyłomem nie po raz pierwszy jechała do miasta na spotkanie?

– Nie, wcześniej była na jednym dwa miesiące temu.

– Tylko te dwa razy czy więcej?

Na twarzy Topirak odmalowało się skupienie, ale po chwili kobieta pokręciła głową.

– A to pierwsze spotkanie, kiedy się odbyło? Dokładnie?

– Chyba siódmego egina.

– A to wrażenie, które odniosłaś, princepso, gdy wracała. Możesz mi powiedzieć o nim coś więcej?

Wpatrzyła się w mleczną ciecz przed sobą.

– Bałam się, że kogoś poznała – wyznała w końcu. – Za każdym razem, gdy wracała, czułam od niej taki dziwny zapach. Myślałam wcześniej, to też czułam, ale trudno przede mną ukryć zapach. Jakby liście oranżu i goryczka. Jak w tych opiwinach, które robią w zimnych krainach. Taki nietypowy. Na tyle, że pomyślałam, czy nie spotyka się z kimś innym. Ale nie byłam pewna, więc nie zapytałam o to. Nie chciałam jej stracić.

– Rozumiem.

Popatrzyła na mnie prosząco.

– Poznała kogoś? Wiesz coś o tym, panie? Wiesz, czy się z kimś spotykała?

– Nie, nie wiem. Ale na pewno to sprawdzę. Czy chcesz, pani, żebym podzielił się z tobą tym, co odkryję?

Wbiła spojrzenie w kąpiel, zastanawiając się nad tym, ale zaraz podniosła głowę i potrząsnęła nią zdecydowanie.

– Nie. Wystarczająco dużo już straciłam. Chcę zachować w pamięci te ostatnie dni, które spędziłyśmy razem. Chcę myśleć, że była moja. – Zaśmiała się żałośnie. – Przynajmniej tyle mi się należy, prawda?

Rozdział czternasty

Po przesłuchaniu Topirak przeprowadziłem jeszcze cztery wywiady. Wszyscy wypytywani przeze mnie ludzie byli pokiereszowani, wyczerpani i pogrążeni w żałobie. Jeden z mężczyzn miał wstrząśnienie mózgu, jedna kobieta straciła stopę, inna miała całą głowę, włącznie z twarzą, owiniętą bandażami. Żadne z nich nie chciało ze mną rozmawiać. Mimo to uparcie krążyłem między rannymi, obandażowanymi, moczącymi się w kadziach, wąchałem moją fiolkę z zapachem popiołu i wyciągałem wspomnienia z ich znękanych umysłów, i w końcu z ich słów zaczął się wyłaniać wzorzec łączący zmarłych inżynierów.

Princeps Donelek Sandik odwiedził Talagray osiem nocy przed zawaleniem się muru, aby sprawdzić stan rannego towarzysza. Było to dokładnie tej samej nocy, kiedy do miasta pojechała Jilki, szóstego kyuz.

Kapitan Atos Koris musiał zorganizować w mieście transport materiałów, również akurat szóstego kyuz.

Tej samej nocy do Talagray wybrali się signum Suo Akmo oraz princepsa Kise Sira, oboje określili powody wyjazdu jako „tajne sprawy Imperium”. Po paru kolejnych pytaniach okazało się, że nie była to jedyna tego typu wizyta Siry w mieście. Poprzednia, zbiegiem okoliczności, odbywała się tego samego dnia co wyjazd Jilki, dwa miesiące wcześniej, siódmego egina. Wszystko zaczynało się z wolna układać w pewien obraz.

Jedynym odstępstwem od tego wzoru był princeps Atha Lapfir. Udałem się do jego sali balneologicznej, ale zastałem jego kadz pustą, a jedynym śladem po jego bytności był słomiany kapelusz porzucony w kącie.

– Zmarł zeszłej nocy – powiedziała zagadnięta przeze mnie medykerka.
– Nie mogliśmy nic więcej dla niego zrobić.

Przystanąłem w korytarzu skrzydła medyków, zastanawiając się nad zebranymi informacjami. Pięcioro ze zmarłych inżynierów z tajemniczych lub niejasnych powodów odwiedziło miasto na osiem nocy przed powstaniem wyłomu.

Każde z ich wyjaśnień brzmiało dla mnie jak mało wiarygodna wymówka. Jilki wcale nie pracowała przy żadnym tajnym projekcie dotyczącym murów, bo Kalista wspomniałaby o tym. Podejrzewałem, że gdybym popytał, okazałoby się, że Koris nie załatwiał transportu materiałów,

a Sandik nie miał w mieście rannego znajomka. Wszyscy udali się w jakieś miejsce w Talagray, okłamując co do powodu wizyty swoich przyjaciół i ukochanych.

Aczkolwiek jedynie princepsa Sira i signum Jilki przyjechały do miasta również dwa miesiące wcześniej, siódmego egina.

Wyglądało to na spotkanie, interesująco sekretne. Na tyle sekretne, że nie wyjawiali o nim prawdy bliskim. I ostatecznie na tym tajnym spotkaniu inżynierów pojawił się też ktoś, kto sprowadził na wszystkich śmierć.

* * *

Kapitan Miljin, z którym spotkałem się potem, nie był nawet w połowie tak zmęczony ani podekscytowany jak ja.

– Na Sanktuarium, co za koszmarna robota! – wysapał, podchodząc. – Ci biedacy... Rozmawiałem z jednym, który stracił obie nogi! Martwił się, czy nowe, które wyhodują mu medykerowie, będą w odpowiednim rozmiarze.

– To rzeczywiście ubolewania godne, panie.

– Mało powiedziane! – Skrzywił się na widok pielęgniarza popychającego na wózku pacjenta z całą obandażowaną twarzą. – Trzeba nie mieć serca, żeby męczyć dziesiątkami pytań ludzi w tym stanie.

Nie skomentowałem tego.

– Znalazłem wszystkich. – Wyjął pergamin i zmrużył oczy, odczytując notatki. – Jediną godną zapisania rzeczą było to, że kapitan Kilem Terez miał obawy, czy ktoś go nie śledził przez parę dni przed zawaleniem. I to kto? Trzaskacz! Uwierzysz, chłopcze? – Śledził go trzaskacz? – zdziwiłem się.

– No właśnie – prychnął kapitan. – To jakieś brednie. Trzaskacz! Ile oni mają, po dziesięć spanów? Jak taki olbrzym może za kimś łązić niezauważony? Mówił, że ten trzaskacz miał żółte włosy. To dziwne. Pomyślałem, że gość musiał porządnie oberwać w łeb. A ty co masz, chłopcze?

Opowiedziałem mu, czego się dowiedziałem, a gdy słuchał, jego oczy robiły się coraz większe ze zdumienia.

– I aż tyle z nich wycisnąłeś? Naprawdę? Musisz być zdecydowanie lepszym spowiednikiem ode mnie.

– Nie wiem, panie. Ale wiemy już, że pięcioro z dziesięciorga inżynierów było w mieście na osiem nocy przed śmiercią. Co o tym sądzisz, panie?

– Cóż. – Miljin zmierzwił knykciem brodę. – To rzeczywiście prawie się zgadza.

– Prawie?

– Uhm. – Zerknął na swoje notatki, marszcząc brwi, gdy przerzucał zaplamione karteluszki. – Bo mam jednego, który od wielu tygodni nie był w Talagray. Wyłamuje się z twojego wzorca, co?

Poczułem, jak serce ucieka mi z piersi prosto do butów.

– Kto, panie?

– Signuma Ginklas Loveh. – Zmarszczył nos, odczytując nazwisko. – Jej... cholera, chyba kochanek, ten signum Sirgdela Vartas, co był na naszej liście, to legionista. Twierdzi, że nie była w Talagray od prawie miesiąca. A skoro nie była w mieście, to nie mogła tam zostać skażona, prawda?

– A wcześniej, wtedy, gdy odbyło się to pierwsze spotkanie? Siódmego egina?

Miljin sprawdził w notatkach.

– Nie, wtedy też nie.

– A gdzie była? Tu, w bazie?

– Nie... Vartas wspomniał, że nasza nieżyjąca signuma Loveh była na patrolu z prefektem Blasem we własnej osobie. Tyle mi powiedział.

Oblał mnie zimny pot.

– Zaraz. Kiedy? Kiedy dokładnie? Którego egina?

Miljin znów zerknął w zapiski.

– Umm... siódmego i ósmego.

Rozważyłem to, a potem sięgnąłem po fiolkę z ługiem i powąchałem.

Zadrżały mi gałki oczne, w czaszce zakotłowało się od skaczącej niby-rybki, a na powierzchnię umysłu wypłynęły wszystkie szczegóły morderstwa w Daretanie.

– I sam ci to powiedział, panie, bez pytania?

– Tak, a co? To niedobrze?

– Hm, myślę, że signum Vartas cię okłamał, panie. A nawet lepiej, wiem, że cię okłamał.

Twarz Miljina stężała.

– Czyżby?

– Tak. Jednak nie wiem dlaczego. I chciałbym się tego dowiedzieć. Czy może tak być, panie?

Przez chwilę poruszał szczęką, jakby coś przeżuwał, a potem zwinął dłoń w pięść i zacisnął ją tak mocno, że aż mu knykcie strzeliły.

– Tak. To doskonały pomysł.

* * *

W przeciwieństwie do innych, których przesłuchiwałem, signum Vartas nie leżał w kadzi leczniczej, a na łóżku. Na tacy obok stała herbata oraz popielniczka, a w palcach trzymał dymiący cygarnik ze strzelisłomki. Miał na sobie nową szatę jedwabną, a choć jego rany nie były lekkie – miał nałożoną na szyję i bark pastę haal – wydawało się, że dochodzi do siebie szybciej niż inni, których odwiedziłem. Jego sala, w przeciwieństwie do pozostałych, miała nawet okno.

Uniósł brew na widok wchodzącego Miljina, za którym podążałem. Urażył nas chłodnym, wyniosłym spojrzeniem i odłożył cygarnik. Był wysokim, szczupłym Rathasem o wysokim czole i głęboko osadzonych oczach.

– Cóż znowu? – powiedział. – Wydawało mi się, że odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania, kapitanie.

Usiadłem naprzeciwko niego, celowo pomijając ukłon czy salut.

– Mam jeszcze kilka własnych, signumie Vartasie.

– A kim jesteś? – Spojrzał na mnie z góry, jak na sługę, któremu jeszcze nie ufa.

– Signum Kol, Jurys, zestawiam pewne wydarzenia na osi czasu.

– Podąłem wszelkie znane mi daty obecnemu tu kapitanowi Miljinowi.

– Chciałem tylko coś sprawdzić. Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć o tym, co robiła signuma Loveh na kilka dni przed śmiercią.

– Mogę potwierdzić wszystko, co przekazałem kapitanowi Miljinowi – rzekł, jeżąc się nieco. – A może wątpisz w jego słowa? Albo... moje?

– Powiedziałeś, panie, że Loveh nie wyjeżdżała do Talagray.

– Owszem. Nie była w mieście przez kilka ostatnich tygodni.

– A kiedy była w nim ostatnim razem?

– Nie pamiętam. Może to było kilka tygodni, a może nawet kilka miesięcy temu. A co?

– Ale byliście z signumą Loveh w zażyłych stosunkach, czyż nie?

Przyjrzał mi się bardzo uważnie. Wziął do ręki cygarnik, pociągnął i wypuścił dym.

– To drżenie oczu... – powiedział cicho. – Jesteś Sublimem, jak ja. Sam wiesz, że nasze związki to rzecz... skomplikowana.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Niech ci będzie. Owszem, nasze stosunki były zażyłe.

– A więc wiedziałbyś, gdyby wybrała się do Talagray.

– Tak, wiedziałbym, i stąd wiem, że tam nie była! – Z jego nosa wysnuły się smużki dymu. – O co chodzi?

– A jej jedyny ostatni wyjazd to ten z prefektem Blasem, tak?

– Tak!

– Gdzie pojechali?

– Na inspekcję murów! Miljin z pewnością ci to przekazał!

Miljin jednak nie potwierdził, wpatrywał się w Vartasa ponurym spojrzeniem.

– Kiedy to było, dokładnie?

– Siódmego i ósmego egina. Ponad dwa miesiące temu.

Obserwowałem go bacznie i wreszcie dostrzegłem w tych jego zimnych oczach błysk i leciutkie drżenie.

– To nieprawda. A ty doskonale o tym wiesz.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

Poczułem znajome trzepotanie i pojawiło się wspomnienie, jak śpieszę do ogrodów posiadłości Hazów w Daretanie, a potem odczytuję na głos zapis inspekcji Blasa, żeby zachować je w pamięci. Obecnie wyróżniał się jeden rekord: mosty Paytasız w północnej części kantonu Tala – 6–8 egin – wszystkie przejezdne.

– A to, że prefekt Blas nie przeprowadzał wtedy inspekcji murów.

– Co?! – Vartas zamarł.

– Prefekt Taqtasa Blas znajdował się w północnej części kantonu i przeprowadzał inspekcję mostów. Dokładnie między szóstym a ósmym eginem. Widziałem jego notes. A więc to, co powiedziałaś, Vartas, jest nieprawdą.

Patrząc nieruchomo w przestrzeń, uniósł cygarnik i po chwili wypuścił kłęb dymu.

– A więc widocznie się pomyliłem. Loveh musiała być z nim innego dnia.

– Którego?

– Czternastego i piętnastego egina. Zwykła omyłka.

– To również niemożliwe. – Pokręciłem głową.

– Było tak, jak mówię!

– Nie. W tym czasie Blas przebywał w Daretanie. Dokładnie pomiędzy trzynastym a piętnastym eginem. To też wiem na pewno. Wiem dokładnie, gdzie był i co robił w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Vartas zamrugał, a żar na końcu cygarnika zadrgał wraz z trzymającą strzelisłomkę dłonią. Miljin dźwignął się z wolna, podszedł i stanął za mną.

– Istnieją dwie możliwości – powiedziałem. – Albo nie masz pojęcia, gdzie signuma Loveh bywała w tym czasie, albo okłamałeś kapitana i przebywała w Talagray osiem dni przed uszkodzeniem muru. A ponieważ nie chciałeś, żeby Miljin się o tym dowiedział, milczałeś, bo on sam o to nie zapytał. Podejrzewam jednak, że się denerwowałeś. Chciałeś zapewnić jej alibi na inny dzień, kiedy była w Talagray, na noc siódmego egina. Wtedy na spotkaniu, w którym uczestniczyła, było dwoje innych zmarłych inżynierów. Chciałeś to zrobić na wszelki wypadek. Ale popełniłeś błąd. Wybrałeś niewłaściwą osobę na jej alibi. Zwyczajny pech. Gdybyś po prostu milczał, nigdy byśmy się nie dowiedzieli. Ale teraz znamy prawdę.

– Prawdę? Jaką prawdę? – mruknął Vartas niechętnie.

– Że wiesz, dlaczego pojechała do Talagray. Nikt z pozostałych nie znał powodu wyjazdów swoich bliskich, więc nie musieli kłamać. Ale ty, owszem.

Uniósł cygarnik do ust. Teraz ręka trzęsła mu się bardzo wyraźnie.

– Nie wiem, o czym mówisz – zaczął cicho. – Nie mam pojęcia.

Wtedy Miljin przeszedł do działania.

Nie widziałem go, więc nie byłem gotów na to, co zrobił. Usłyszałem tylko kliknięcie, jakby otwieranego zamka, a potem ujrzałem miecz w jego dłoni, który zawirował niczym leciutkie źdźbło, i sztych wbijający się w materac na łóżku, dokładnie między nogi Vartasa. Klinga przeszła przez materac, zatrzymując się na jelcu tuż przy kroczu leżącego.

Vartas wrzasnął, wypuszczając cygarnik spomiędzy warg, poderwał się, chcąc usiąść, ale ciężka dłoń Miljina przycisnęła go do pościeli.

– Okłamałeś mnie, signumie? – ryknął Miljin. – Śmiałeś mnie, ty gnoju, okłamać?

Gapilem się na miecz, który nie był zrobiony z normalnego metalu. Klinga połyskiwała bladym seledynem.

Vartas zaczął skrzeczeć piskliwie i oklepywać bok szaty. Z tkaniny nad biodrem unosiła się smużka aromatycznego dymu. Błyskawicznie sięgnąłem w tę stronę i wymacałem cygarnik, a potem wyplątałem go i szybko upuściłem do kubka z herbatą. Żar zgasł z cichym syknięciem.

* * *

Roztrzęsiony, rozdygotany Vartas powiedział nam wszystko. Niuchnąłem fiolkę z zapachem popiołu i słuchałem.

– Nie wiem, o co chodziło. – Pociągnął nosem. – Nie wiem, po co Gink pojechała do Talagray. Wiedziałem tylko, że to ma coś wspólnego z jej pracą. Z karierą. Przyszłą karierą.

Milij stał nade mną, pofukując jak odynec, co wybitnie mnie rozpraszało.

– Skąd to wiesz? – zapytałem, usiłując skupić uwagę na rozmowie.

– Po tym, jak pojechała za pierwszym razem, wszystko nagle zaczęło się układać. Dostawała świetne projekty, szybko awansowała, lepiej zarabiała. Dużo, dużo lepiej. Odkąd zaczęła pracować pod bezpośrednim zwierzchnictwem Blasa.

Stężałem.

– Prefekta Blasa? Pracowała z nim?

Potaknął skinieniem głowy.

– A co dla niego robiła?

– Pewnie to, co tam robią inżynierowie. Jakies wykresy czy plany, mosty i takie tam. Wiem tylko, że co kilka miesięcy jeździła do Talagray, a potem spływały pieniądze. Kazała mi milczeć, o nic nie wypytywać. No to nie pytałem. Nie żeby mi za to podziękowała.

Popatrzyłem na jego strój, tacę z herbatą, przypomniałem sobie aromat jego cygarnika i nagle jego sytuacja w tym szpitalu przestała mnie dziwić.

– Ile razy była na tych spotkaniach?

– Nie wiem dokładnie. Dziesięć. Może więcej.

To było godne uwagi. Najwyraźniej signuma Loveh uczestniczyła w tych tajemniczych spotkaniach częściej niż pozostali nieżyjący już inżynierowie.

– Prosiłem, żeby i mnie dopuściła do tej tajemnicy – poskarżył się Vartas. – Żeby i ja mógł jechać, ale powiedziała, że nie wolno jej nikogo przyprowadzać. Że, żeby w tym uczestniczyć, należy zostać wybranym. Ale nie wiem, jakie warunki trzeba było do tego spełnić. No wiecie, jak patrzyłem na resztę tej jej bandy, to nie mogłem pojąć, co takiego ich wyróżnia.

Wymieniliśmy z Miljinem spojrzenia. Nasze zainteresowanie wzrosło.

– Bandy? – zapytałem. – Co to za banda?

– Nie wiem – burknął Vartas. – Nic poza tym, że nazywała ich bandą. Pewnie... pewnie paru znajomych i tyle. Przyjaciół. Ale wszyscy oni jakby otrzymali błogosławieństwo z góry.

– Nazwiska – warknął Miljin. – Daj nam nazwiska.

– Niech was szlag – wyjąkał chory. – Jestem toposem, nie rytownikiem! Nie przechowuję informacji za oczami! – Postękiwał przez chwilę. – Gink przyjaźniła się z trojgiem z nich. Może było ich więcej, ale ona trzymała się z tą trójką. – W zamyśleniu pomacał palcem oparzony fragment skóry. – Vanduo. To chyba jeden z nich.

Potaknałem sobie. Rzeczywiście, princeps Alaus Vanduo znajdował się na liście ofiar.

– I chyba... jakiś Lapa czy Lapir...

– Lapfir? – podsunąłem.

– Może. Chyba tak. Tak.

Princeps Atha Lapfir, kolejny z dziesięciorga martwych.

– A ta ostatnia to... – Zmarszczył brwi. – Tak jakoś... Jolgalgan. Tak. Jolgalgan.

Zaskoczył mnie. Popatrzyliśmy na siebie z Miljinem. Tego nazwiska wcześniej nie słyszałem.

– Um. Kto?

– Jolgalgan – powtórzył Vartas. – Kapitan Kiz Jolgalgan. Zapamiętałem, bo tylko ona była apotekarką, jedyna z nich.

Poczułem trzepotanie, kiedy przypominałem sobie wszystkie nazwiska, z jakimi zetknąłem się w ciągu kilku ostatnich dni. Byłem całkowicie pewien, że żadna kapitan Kiza Jolgalgan nie znajdowała się na liście ofiar.

– Jesteś tego całkowicie pewien? – zapytałem. – Jesteś pewien, że ta Jolgalgan należała do tej grupy razem z Loveh i innymi inżynierami?

– Tak, jestem. – Vartas odzyskał rezon i znów zadzierał nosa. – Mówiłem przecież, że ją najlepiej zapamiętałem, i mówiłem, z jakiego powodu. Może zacznij słuchać.

Obracałem tę informację w głowie, a moje myśli wirowały wokół niej. Podchwyciłem spojrzenie Miljina i ujrzałem na jego twarzy to samo skupienie. Wiedziałem, że jego myśli biegną tym samym torem.

Mamy żywego świadka! Jedenastego członka grupy. Kogoś, kto uczestniczył w tych tajemniczych spotkaniach. I wyszedł z tego cało.

– W takim razie ją opisz – zażądał Miljin. – Jak ta babka wygląda.

– Wysoka. Szeroka. Poważna, wręcz surowa. Zawsze wygląda tak, jakbyssała pestki cytryny.

– Rasa? – dopytywał kapitan. – Talka? Rathraska? Kurminka? – A wiecie, że... w sumie nie wiem – przyznał Vartas. – Imię miała kurmińskie, ale nie wyglądała na przedstawicielkę tej rasy. Zdecydowanie zbyt wysoka i miała jasne włosy, poskręcane jak sprężynki. Nigdy nie widziałem takich włosów u Kurmina.

– Jaki miała przydział? W której jednostce apotekarzy służyła? – pytał Miljin.

– Nie wiem, nigdy z nią nie rozmawiałem. Nie byłem zaproszony do udziału w imprezie – dodał Vartas z goryczą.

Usiłowaliśmy jeszcze coś z niego wyciągnąć na temat tej Jolgalgan, ale już chyba nic więcej nie wiedział. W końcu się poddałem i postanowiłem spróbować z innej strony.

– Czy signuma Loveh przynosiła z tych spotkań coś do domu?

– Nie.

– A może zabierała coś na te spotkania? Jakies papiery? Pieniądze?

– Nie, ale... – Vartas zmarszczył czoło w namyśle. – Ale czasami zabierała na te wyjazdy coś ze swoich kwater. Krążek, jakby małą monetę. Raz widziałem, jak wsuwa ją do kieszeni. Kiedy ją o to zapytałem, stwierdziła, że nie może mi powiedzieć, więc...

– Więc pomyślałeś, że to coś związanego z tymi spotkaniami – dokończyłem za niego.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Ale to wszystko, co wiem. Naprawdę. Tylko o tych spotkaniach, o pieniądzach i o tej monecie... I żebym się tym nie interesował. Jak przyszlście i zaczęliście o nią wypytywać, to pomyślałem, że może była zamieszana w jakąś aferę korupcyjną. Uznałem, że ma prawo spoczywać w spokoju, że nie trzeba kłać jej imienia po śmierci i że może prefekt Blas pomoże jej zapewnić alibi...

Obserwowałem go, ale nie widziałem żadnych oznak kłamstwa. Najwyraźniej nie wiedział.

– Prefekt Blas nie żyje – poinformowałem go.

– C...co?! – Vartas był autentycznie zszokowany.

– Blas nie żyje – powtórzyłem. – Podobnie jak wszyscy ci inżynierowie, którzy chodzili na te sekretne zebrania. Prawdopodobnie nie żyją właśnie

z powodu tych spotkań. Więc jeśli wiesz jeszcze coś, jakkolwiek drobnostkę, lepiej nam powiedz.

– Nie wiem! Już nic więcej nie wiem! – zarzekał się Vartas.

– Jesteś pewien, chłopcze? – Miljin wbił w niego podejrzliwe spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– Przysięgam, że nie wiem! – powtórzył Vartas, a potem na jego twarzy odbiła się zgroza. – A czemu tak o to wypytujecie? Czy to ma coś wspólnego z wyłomem?

Nie odpowiedzieliśmy. Po chwili milczenia Miljin wziął jedną z niezapałonych fajek ze strzelisłomki i powąchał ją teatralnie.

– Ty pilnuj tego swojego łóżka, signumie – powiedział. – Pilnuj tej swojej pieprzonej kasy. I pilnuj, żeby trzymać głowę na kłódkę. Bo inaczej wrócę tu, a to – wskazał na dziurę w materacu między nogami leżącego – powtórzę, tylko nieco wyżej. A potem znowu wyżej. I wyżej. Czy to jasne, signumie?

Pot zrosił czoło Vartasa.

– Jak słońce, panie!

– No i dobrze. – Miljin wsunął do kieszeni strzelisłomkową fajkę i położył mi swoją wielką łapę na ramieniu. – Zbierajmy się stąd, chłopcze.

* * *

Na korytarzu staliśmy przez chwilę pogrążeni każdy w swoich myślach, pozwalając opływać nas rzece pielęgniarzy.

– A więc – odezwał się w końcu Miljin.

– A więc, panie.

– Mamy jakieś tajne spotkania inżynierów, na których robili Sanktuarium wie co. I wiemy, że był w to zamieszany Blas.

– Dokładnie tak, panie.

– Mamy też apotecarkę, która mogła brać w tym udział. Tyle że jej nazwiska nie ma na liście nieżyjących.

– Tak, panie.

– Trzeba ją szybko zdybać i przycisnąć, żeby powiedziała, co się, do cholery, działo podczas tych przeklętych spotkań. Każę chłopakom z Legionu jej szukać. Ale możliwe, że i ona nie żyje. Może tkwi rozdarta przez drzewo na jakimś zapomnianym przez cesarstwo poletku i dlatego

jeszcze jej nie znaleziono. – Westchnął i potarł potylicę. – A po Daretanie biegają okutani w czarne szmaty skrytobójcy.

– Ano tak, panie.

– A do tego ludziom wyrastają z brzuchów cholerne drzewa.

– Tak, panie.

Charknął i splunął.

– Na tytana pieruńskiego, co za bajzel. – Zagryzł wargę, namysławiając się nad czymś. – Wiesz co, chłopcze? Gdybym ja miał jakąś magiczną monetę, która dawałaby mi wstęp na jakieś tajne spotkanie...

– Nie zabierałbyś jej ze sobą do roboty na murach, panie? – zasugerowałem.

– No pewno, że nie. Trzymałbym ją w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Zgadzam się.

Znów zamilkliśmy, kontemplując nasze wnioski. Nagle w korytarzu pojawiło się dwóch pielęgniarzy pchających drewniany wózek, którego jedno z kół skrzypiało niemiłosiernie. Na wózku stał szklany zbiornik, przypominający akwarium, ale gdy nas mijał, zobaczyłem, że nie znajdowały się w nim żadne rybki. Dna zbiornika trzymała się wielka, falująca, fioletowawa rozgwiazda, z której grzbietu wyrastała ludzka ręka. Jej palce zginały się i poruszały powoli, jakby dłoń rozkoszowała się przepływem wody pomiędzy nimi. Ręka, o owalnych paznokciach i smukłych kostkach, wyglądała na kobiecą.

Obaj odprowadzaliśmy ją wzrokiem, krzywiąc się lekko przy każdym skrzypnięciu koła.

– Chyba Topirak dostanie swoją nową dłoń – skomentował Miljin.

– Tak, na to wygląda, panie – wychrypiałem i odchrząknąłem.

Miljin odczekał, aż skrzypienie ucichnie, i dopiero wtedy się odezwał.

– Chodźmy do kwater Loveh poszukać tej pierniczonej monety, zanim przejedzie koło nas kolejny wózek z kutasem rosnącym na grzbiecie rozgwiazdy, bo wtedy padnę, rozwalę sobie łeb i sam wyląduję w jakiejś balii z gównem.

* * *

Pokój Loveh znajdował się w zachodniej części budynku. Niewielki, mieścił pojedynczą prycę, skrzynię, szafę i regał na książki, mimo to, jeśli miało się do tego oko, wszędzie można było dojrzeć dowody bogactwa.

Kosztowna jedwabna pościel, słój wysokiej jakości pyłu mydlanego na parapecie, tego z rodzaju pniących się i pachnących, a w szafie ubrania stanowczo wykraczające poza jaletowy przydział.

– Taka mała moneta może być wszędzie – zauważyłem, krążąc i rozglądając się po pomieszczeniu.

Nagle usłyszałem kliknięcie i mój towarzysz z mieczem w dłoni zabrał się za przeszukanie w stylu Miljina.

Ostrze przebijało materac, cięło szaty, ściany, przegryzając się przez formobluszczy, deski, siekając wszystko, na co natrafiło.

– Co robisz, panie! – wykrzyknąłem zdjęty grozą.

– Przeszukuję – odburknął, rozłupał mieczem zamek kufra i zanurkował w skrzyni. – A niby co?

– Nie możemy niszczyć własności innego funkcjonariusza – pouczyłem go. – Nie bez uzasadnionej przyczyny, nie bez...

– Ona nie żyje – warknął. – A w murach jest wyłom! I jakoś nie pamiętam, żebyś narzekał, jak prawie odciąłem Vartasowi jajca. Na Żniwiarza, smarku, wyciągnij łeb z regulaminu i rozejrzyj się na prawdziwy świat wokół siebie!

Naraz pochylił się nad szramą, którą wyrył w podłodze, a potem jednym ruchem miecza powiększył ją do sporej dziury. Kucnął, wsadził rękę w otwór i wyjął skrzyneczkę z brązu.

– Mamy to! – wymamrotał. – Mamy, co my tu mamy? – Oglądał znalezisko. – Żadnego zamka, żadnych wszczepów samoniszczących...

– Wszczepów samoniszczących? – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Grzyby lub inne świństwa, które rosną w złączeniu, tak że gdy się otworzy na siłę wieko, wypuszczają toksyny i... – Ostukał skrzynkę. – Nie, zwykłe pudełko. A w środku mamy...

Otworzył. Na poduszce z mchu leżało dziwaczne ustrojstwo.

Mała, okrągła, misternie rzeźbiona płytką z brązu, z osadzonymi pięcioma małutkimi szklanymi fiolkami, zawierającymi różnokolorowe płyny. Miljin zmarszczył brwi, powąchał ją.

– A niech mnie cholera.

– Co to, panie?

– Klucz reagentowy.

Trzepotanie i na wierzch wspomnień wypłynął moment, gdy widziałem podobny przedmiot. Princeps Otirios w Daretanie wyjął taką maleńką fla-

szeczkę wbudowaną w płytkę i chlusnął czarną cieczą, upominając mnie: Musisz się, panie, trzymać blisko mnie. Ta brama jest stara. Bywa kapryśna.

– Używa się ich do bluszczobram i tym podobnych?

– Uhm, ale taki widzę pierwszy raz w życiu. Pięć różnych reagentów? Przejście, które otwiera ten klucz, musi być najbardziej strzeżonym miejscem na świecie. – Wstał, krzywiąc się. – Sprawdźmy inne kwatery.

Znaleźliśmy pokój zajmowany przez signumę Jilki, ukochaną Topirak. I znów to samo, błysk zielonkawego ostrza i kolejna skrzynka – tym razem ukryta w ścianie. A w środku drugi klucz reagentowy, identyczny jak ten Loveh.

– Następny – mruknął Miljin. – Następny! – Spojrzał przez ramię, mrużąc oczy, jakby mógł zobaczyć za sobą mury Talagray. – Co, na jajca lewiatana, wyprawia się w moim mieście? – powiedział powoli.

Czekałem, obserwując, jak marszczy brew, a potem zaciska pięść z trzaskiem knykcii.

– Ty trzymaj jeden, ja drugi – warknął. – Rozumiesz? I zbierajmy się stąd.

Wyszedł, ale ja zwlekałem, wspominając zeznanie Topirak. Podeszedłem do szafy i zacząłem grzebać w ubraniach inżynierki, obwąchując je i zastanawiając się, o jakim zapachu mogła mówić jej kochanka.

I nagle to poczułem, leciutki zapach na szalu, liście oranżu i jakaś przyprawa korzenna.

Zamrugalem i rybka w czaszce zachlupotała, wyciągając na wierzch wspomnienie z Daretany. Stałem w komnacie z rozerwanym przez drzewo trupem Blasa i wąchałem olej w glinianym słoiczku – korzenne przyprawy, liście oranżu, macerat winny, być może kadzidło.

Tak. Szal Jilki pachniał tak jak olej znaleziony w rzeczach Blasa. Dokładnie tak samo.

– Kol – Miljin pojawił się za moimi plecami jak duch – czy ty obwąchujesz ubrania nieżyjącej babki?

Odłożyłem szal.

– Już idę, panie.

Rozdział piętnasty

Wracaliśmy do Talagray w milczeniu. Zawadiacka zuchwałość Miljina gdzieś zniknęła. Kapitan siedział w siodle przygarbiony, wpatrzony ponuro przed siebie. Odezwał się, dopiero kiedy przed nami zamajaczyły umocnienia obstawione bombardami – wycelowanymi prosto w nas.

– Dawniej to było nie do pomyślenia.

– Nie rozumiem, panie?

– Te intrygi, konspiracje i knowania. Kiedyś porządek utrzymywało się za pomocą tego. – Poklepał swój miecz. – I nikt nie wychylał się z szeregu. W końcu to wojskowe miasto. Ale potem Imperium nauczyło się trzepać pieniądze i zaczęło ich szukać wszędzie, nawet tutaj. Wszystko zrobiło się wielkie i skomplikowane. I nagle potrzebujemy takich smarkaczy jak ty, z mózgami rojącymi się od... cholera wie czego, nawet nie wiem, co ty tam masz w tej czaszce.

– A więc ty, panie... nie jesteś...?

– Nie jestem Sublimem – dokończył. – Mam wszczepy, mam nasycenia i takie tam, na siłę, na refleks i szybkie odzyskiwanie sił. Jak mówią niektórzy, to samo gówno, co ładują w konie. Ale nie mam nic, co poszłoby mi w głowę. Czasem mam wrażenie, że trzymają mnie jeszcze tylko z jakiegoś pieprzonego poczucia obowiązku.

– Ana mówiła, że jesteś bohaterem wojennym, panie.

Roześmiał się gromko, z goryczą.

– Cały wic z wojną polega na tym, chłopcze, że w trakcie nie masz pojęcia, co się wokół ciebie dzieje, a jak się skończy, to wszyscy wokół ci mówią, czego dokonałeś. – Wskazał wieże Talagray w oddali. – Tutaj nie trzeba już bohaterów wojennych. Potrzebujemy konspiratorów. Jak twoja Ana. Nawet jeśli po drodze wkurzyli wiele ważniaków.

– A wkurzyła, panie?

– O tak. Problem z rozkminianiem tego całego gówna jest taki, że kiedyś w końcu nadeptnie się na odcisk takiemu, co to by wolał, żeby jego gówno pozostało w ukryciu. Jesteś obeznany z mieczem, chłopcze?

– Byłem najlepszy na zajęciach z fechtunku, panie. Jedyne, z czego byłem dobry na szkoleniu Sublimów.

– E, nie wydaje mi się. Tam, podczas przesłuchań, wycinałeś odpowiedzi z ich mózgów jak skalpel medyka. Bystryś jak górski strumień. Choć tak samo ciepły i zachęcający. Uhad wspominał, że jesteś stworzony do Jurysu.

– Tak? – zdumiałem się szczerze.

– Uhm. Mówił, że zawałiłeś wszystkie testy do innych jaletów, a ten do Jurysu zdałeś śpiewająco.

Zerknąłem spod oka na towarzysza. Zdawał się mówić szczerze i nie dojrzałem na jego obliczu cienia podejrzliwości. Wobec tego spróbowałem się rozluźnić.

– Ale egzaminy to nie służba – ciągnął. – Tak jak śledztwo, nie może się kierować tylko cholernymi zakazami i nakazami. Biłeś się kiedyś, chłopcze? Walczyłeś w prawdziwej bitce?

– Nie, panie.

– Hm. Lepiej dla ciebie, żebyś to zmienił.

Znów na niego zerknąłem. Wydawał się bardzo poważny.

– Dlaczego, panie?

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego Dolabrę przeniesiono do tego twojego zapyziałego kantonu? Ale bez asystenta?

Aż zamrugąłem. Rzeczywiście, nigdy się nad tym głęboko nie zastanawiałem. Przyjąłem, że jej poprzedni współpracownicy zostali na miejscu jej ostatniego przydziału.

– Krążą plotki, że ostatni asystent Dolabry wpadł na niewłaściwy koniec miecza. Na twoim miejscu uczyłbym się walczyć jak lewiatan i zaczął sobie hodować oczy naokoło głowy. – Splunął i spojrzał w niebo. – Chcesz, to teraz możesz je zobaczyć.

– C...co proszę? Panie? – wyjąkałem zagubiony, bo w głowie tłoczyło mi się to, co przed chwilą usłyszałem.

– Rano wytrzeszczałeś gały na wschód, nie? Ale mgła była zbyt gęsta. No, słońce już ją wypaliło. Możesz zapuszczać tego swojego ciekawskiego żurawia.

Obejrzałem się przez ramię, a potem ściągnąłem wodze, zatrzymując konia.

Za mną jak okiem sięgnąć rozciągały się równiny talańskie, żyzne, rozbuchane, a jednak nie całkiem płaskie. Tu i ówdzie wznosiły się niewielkie pagórki, rozległe, przysadziste i wyższe, niektóre podobne do fałd, inne wyniesione, a co najdziwniejsze, każdy pokryty był licznymi pniakami ogromnych prastarych drzew jak ryby łuskami. Najwyższe wzniesienie,

prawie góra, poprzecinane było podługowatymi skalnymi formacjami, które połyskiwały bladą zielenią. Na jego powierzchni nie było pniaków, porastały go młode drzewka, pnące się dopiero ku niebu, o pniach w wielu dziwnych barwach, liliowe, błękitne i żółtawe.

Wpatrując się w to wzgórze, zorientowałem się, że coś wystaje ze zbocza, jakby wyrostek podobny do odnóża żuka... Gigantycznego żuka, bo sam wyrostek miał z ćwierć staj, pokrywała go szarawa chityna i kończył się dziwnym szponem. Ciekaw byłem, co zakopano pod tym kopcem.

I nagle dotarło do mnie, że zielonkawe skały wcale nie były skałami.

Tylko kośćmi. Żebrami.

Truchło lewiatana nie leżało pogrzebane pod wzgórzem. To martwy lewiatan był tym wzgórzem.

Nie spuszczać oczu z wzniesienia mieniącego się różnobarwnymi drzewkami, ująłem wodze trzęsącymi się rękami.

– Ich krew przemienia wszystko wokół – powiedział Miljin cicho.

Aż podskoczyłem, nie spodziewając się go tak blisko. Nawet nie zauważyłem, kiedy podjechał.

– P...proszę?

– Ich krew – powtórzył. – Gdy wniknie w glebę, trawa zaczyna rosnąć jak szalona. Wszędzie wybijają różne rośliny. Niektóre owocują, a te owoce, jak się je zje, mogą różnie działać, nawet zmieniać. Apotekarze zwykle palą truchła, ale teraz nie mogą. Teraz najważniejszy jest wyłom. Za dużo oparów, za dużo ludzi się tu kręci.

Oderwałem spojrzenie od porośniętego roślinami truchła i popatrzyłem w dal, na wijący się czarny pas morskiego muru. W jednym miejscu, dokładnie na wschodzie, dostrzegłem maleńką przerwę w czerni, jakby pęknięcie w kamiennej wstędze. Wyłom. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, jak daleko udało się dotrzeć tytanowi, jaki kawał lądu przemierzył, jak blisko było zniszczenia całego Talagray, które nagle wydało mi się niewiele większe niż leżące przede mną cielsko.

Dziwnie się czułem, patrząc na swego stwórcę, albowiem wszystkie cuda Imperium, począwszy od takich jak ja, Sublimów, poprzez trzaskaczy, formobluszcze i mięśnie Miljina, pochodziły z krwi tych istot.

Kapitan zawrócił konia.

– Ruszajmy, chłopcze. Słońce już nisko. Musimy zdążyć przed ciszą nocną.

Jeszcze przez chwilę patrzyłem na chitynową kończynę sterczącą ze wzgórza. Studiowałem barwę pancerza, szarą, bladawą, i uświadomiłem sobie, że odcień ten nie różni się wiele od koloru mojej cery. Wtedy również zawróciłem konia i ruszyłem traktem.

* * *

Pod Tryfekturą mieliśmy się z Miljinem rozejść w dwie różne strony, ale stary wiarus zatrzymał mnie jeszcze na moment.

– Masz. – Wyjął z kieszeni strzelisłomkowy cygarnik, przełamał go na pół i jedną część wręczył mnie. – Zasłużyłeś sobie za dzisiaj. Znajdź gdzieś kawałek rozżarzonego żelaza, przypał i rozkoszuj się dymem.

Przyjąłem podarek i powąchałem koniuszek słomki. Mocny, korzenny aromat.

– Dziękuję, panie.

– Złóż raport Uhadowi. Skombinuj sobie coś do żarcia i idź do swojej zwierzchniczki. Pewnie nie może się doczekać, żeby dorwać się do twojego łba i go przegrzebać. – Zerknął na ciemniejące niebo. – Zmierzcha, niedługo cisza nocna, więc nie wychodź.

– Tak jest, panie.

Oddalił się, idąc przez dziedziniec, ale nagle przystanął w pół kroku, kiedy z nieba spadły pierwsze krople deszczu.

– Gówniane zakończenie gównianego dnia – rzucił przez ramię, na wpół burkliwie, na wpół żartobliwie, i odszedł.

Uśmiechnąłem się, odprowadzając go wzrokiem i licząc upływające sekundy. Odliczywszy dwie pełne minuty, ruszyłem przed siebie, minąłem wejście do wieży Jurysu i wślizgnąłem się w boczną uliczkę.

Miasto wokół mnie zamykało się niczym kwiat. W gęstym powietrzu unosiły się wonie tłuszczu i przypraw, ale kramy z jedzeniem i karczmy rozbrzmiewały już pokrzykiwaniami pośpieszającymi ostatnich klientów. Patrole legionistów przemierzające ulice przyświecały sobie latarniami i zaczynały wyciągać dzwonki ogłaszające nadejście nocnej ciszy. Wkrótce chodzenie po mieście mogło skończyć się poważną karą, ale ja musiałem zakończyć jeszcze jedną sprawę.

Przypomniałem sobie mapę Talagray i zagłębiłem się w miasto. Princepsa Rona Aristan z Jaletu Inżynieryjnego pełniła stanowisko asystentki prefekta Blasa od dwunastu lat. Jej adres tkwił wyryty w mej pamięci jak

odlany w ołowiu. Mieszkała w zachodniej części miasta, niedaleko od Tryfektury, więc wystarczyło się pośpieszyć, żeby obrócić tam i z powrotem przed ogłoszeniem ciszy.

Rozdział szesnasty

Deszcz ustał, akurat gdy dotarłem w okolice mieszkania Aristan. Mokry bruk lśnił od ostatnich promieni zachodzącego słońca. Dzielnica nie była tak wytworna jak ta, którą widziałem rano, ale budynki z formobluszczu i połaci białego papieru paprociowego prezentowały się ładnie. Dom Aristan znajdował się na tyłach. Zapukałem do drzwi.

Odpowiedziała mi cisza. Ponowne pukanie przyniosło ten sam efekt, podobnie gdy zastukałem po raz trzeci.

Odsunąłem się i przyjrzałem się budynkowi. Cichy, ciemny, w środku nie paliło się żadne światło, choćby jeden lampion mai. Przyjrzałem się błotu wokół. Żadnych śladów stóp. Nikt poza mną nie chodził tu tego dnia.

W mieście rozległy się pierwsze dzwonki uprzedzające o ciszy nocnej. Rozejrzałem się wokół i wybrałem zacienione miejsce z dobrym widokiem na ulicę. Stałem tam, podniosłem kołnierz płaszcza i uzbroiłem się w cierpliwość. Zamierzałem poczekać na Aristan wracającą przed ciszą i dopaść ją wtedy.

Przeczekałem drugie dzwonki, a potem trzecie. Wpatrywałem się w przechodniów, zapamiętywałem ich twarze, postury, stroje. Żadnego z nich nie rozpoznałem, żaden nie zbliżył się do drzwi Aristan.

Rozdzwoniła się czwarta tura dzwonków. Znów przyjrzałem się z namysłem domowi. Wyglądało na to, że gdziekolwiek znajdowała się obecnie asystentka Blasa, żeby nie pogwałcić ciszy będzie musiała tam zostać aż do rana. Ja również utknąłem.

O ile w ogóle była poza domem. Bo może po prostu nie chciała albo nie mogła otworzyć.

Gdy studiowałem drzwi frontowe, przyszło mi do głowy coś... niedozwolonego. Niestety przekleństwem rytownika było to, że zapamiętywało się każdy przepis i każdą zasadę, włącznie z karami grożącymi za ich złamanie. Teraz trawił mnie niepokój, musiałem wejść do środka i sprawdzić, jak sprawy się mają.

Obszedłem dom, uklęknąłem przy tylnych drzwiach i sięgnąłem do rękawa płaszcza. W podszewkę wszyte miałem trzy cienkie pręciki, które wygiąłem w różne kształty. Nie używałem ich od miesiący, ale teraz wydobylem ze schowka i przyjrzałem się zamkowi.

Tak naprawdę nie potrafiłem się włamywać, polegało to raczej na tym, że zapamiętałem poszczególne ruchy konieczne do otwarcia trzech rodzajów zamków, na których ćwiczyłem podczas szkolenia Sublimów. To zupełnie coś innego niż posiadanie wiedzy, jak działają zamki i jak je otwierać, ale liczyłem, że tym razem mi się uda. Że może ten zamek będzie podobny do któregoś, który znałem.

Wsunąłem ostrożnie wytrych, szpilkę, ustawiłem je odpowiednio i poczułem trzepotanie za oczami, kiedy wróciły wspomnienia. Potem powtarzałem palcami zapamiętane ruchy.

Przekręciłem szpilkę, delikatnie poruszałem wytryskiem w dół i w górę. Kliknęło, zaskoczyło i przekręciłem wytrych. Rozejrzawszy się, czy nikt mnie nie widzi, wszedłem do środka.

Smród rozkładu uderzył we mnie gęstą falą. Cofnąłem się, kaszląc, a potem nabrałem powietrza w płuca i zajrzałem do środka.

Dom wywrócono do góry nogami. Powyciągane szuflady, ich zawartość wyrzucona na podłogę, krzesła i stoły powywracane, poduszki pocięte na kawałki, a mchowe wypełnienie porozwlekane. Wszędzie wały się sterty papierów, dokumentów, powyrywanych z książek stron. Jedyne, co ocalało, to niewielka luneta na stojaku w rogu pokoju, dość cenny przedmiot jak na tak skromny dom.

Najwyraźniej ktoś tu czegoś szukał. Ciekaw byłem, czy znalazł.

Jeszcze raz upewniłem się, czy nikt mnie nie widzi, wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

* * *

Poruszałem się bardzo ostrożnie, przyglądając się zaścielającym posadzkę szczątkom, rozbitym fiolkom z reagentami, miseczkom po miksturach, poszarpanym książkom, aż wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie smród rozkładu był tak intensywny, że niemal mnie zemdliło. Wyciągnięte z szaf ubrania podarto na strzępy. Cały pokój przypominał cuchnące gniazdo szczurów.

Spojrzałem na stojące w rogu łóżko mchowe. Spod okrywających go prześcieradeł wystawały przykurczone stopy o pobielających palcach. Zawałałem się, ale po chwili podszedłem i przyjrzałem się ciału.

Kobieta, raczej starsza, musiała leżeć tu od kilku dni, ponieważ jej skóra ciemniała się od plam w miejscach, gdzie zebrały się zastoje krwi. Rozkład

był już tak posunięty, że trudno było określić jej rasę, ale była raczej szczupła, wątła i miała gęste, siwe włosy. Obok jej głowy na podłodze, mimo że nie widziałem żadnej rany, czerniła się plama zaschniętej krwi.

Uchyliłem okiennicę, wpuszczając odrobinę wieczornego światła, które rozproszyło mrok. Kiedy zdołałem uspokoić wzburzony żołądek, nachyliłem się, by dokładniej przyjrzeć się jej głowie. U podstawy czaszki, ukryta wśród siwych kosmyków włosów, widniała ciemna, idealnie okrągła dziura, mniej więcej o połowę węższa od mojego małego palca. Ciągnęła się od niej strużka zakrzepłej krwi. Pierwszy raz widziałem taką ranę i nie miałem pojęcia, co mogło ją zadać.

Wyprostowałem się i popatrzyłem na ciało, jak sądziłem, Rony Aristan. Ktoś przyszedł do niej, szukając czegoś, wypytywał ją, ale albo nie chciała, albo nie mogła zdradzić, gdzie jest ta rzecz.

Rozejrzałem się po sypialni, wsłuchując się w echo dzwonków obwieszczających ciszę. W pewnej chwili mój wzrok padł na obraz, nie zniszczony, ale przekrzywiony. Na malowidle pokrytym grubo farbami widniała twarz mężczyzny, nieco znajoma. Nieco, gdyż ostatnio widziałem jedynie jej fragment, przebitą pędami plamiskłanki.

Podszedłem do portretu prefekta Taqtasa Blasa. Pierwszy raz widziałem go w całości. Szare, lecz ciepłe oczy, wyraźnie zarysowany nos z małym garbkiem, widać złamany w dzieciństwie. Ciemna karnacja kurmińska podbarwiona znajomą szarością. Przystojny, choć wyniosły.

Nachyliłem się i dojrzałem ślad na drewnianej ramie, w rogu. A potem kolejne, jeden na górze i kilka niżej. Jakby ten obraz często ruszano, zdejmowano i przypadkiem obijano i obcierano. Po zastanowieniu zdjęłem obraz i odwróciłem. Z tyłu został wyklejony pergaminem, którego kawałek oderwano w górnym rogu.

Potrząsnąłem. Coś zagrzechotało. Obróciłem obraz do góry nogami i z dziury na podstawioną dłoń wypadł mały klucz.

Uniosłem go do nikłego wieczornego światła. Zwykły klucz z różowego brązu. Zwykły klucz do zwykłego zamka. Obróciłem go w palcach.

Po co ukrywać klucz w takim miejscu? Czy tego właśnie szukano?

Spojrzałem jeszcze raz na trupa kobiety, a potem na zasłonięte okno.

W głowie zaczęła mi się zwolna układać pewna myśl.

Wróciłem do pomieszczenia, w którym byłem poprzednio. Luneta stała wycelowana w okno. Sprawdziwszy, czy pod domem nikogo nie ma, odsunąłem zasłonę i przyłożyłem oko do szkła.

Lunetę wycelowano w grupę niewielkich domków stojących na wzgórzu. Kilka niczym niewyróżniających się, zbudowanych prawie w całości z papieru paprociowego budynków, raczej budek, wszystkie ze szczelnie pozamykanymi okiennicami.

Jedna z okiennic, ta dokładnie pośrodku widoku z lunety, różniła się od reszty, jasnoniebieski materiał utknął między ramami i zwisał w dół ściany. Żaden z innych domów nie posiadał takiej ozdoby.

Odsunąłem się od lunety i popatrzyłem na domki, w tym na ten z niebieską plamą tkaniny.

Czyżby jakiś sygnał? Rona Aristan obserwowała go ze swojego okna?

Spojrzałem na kluczyk w dłoni, a potem jeszcze raz przez lunetę, tym razem skupiając się na drzwiach. Dojrzałem plamkę w kolorze różowawego brązu. Mógł to być ten sam metal co materiał, z którego zrobiono klucz.

* * *

Wymknąłem się ostrożnie na mżawkę i ściskając klucz w dłoni, przy wtórze dzwonów w oddali, powoli ruszyłem w stronę interesujących mnie zabudowań, bacznie przy tym obserwując uliczki i okna mijanych domów.

Nie zauważyłem żadnego poruszenia. Okolica wydawała się wyludniona.

Po dotarciu do celu okazało się, że rzeczywiście klamka drzwi domu z niebieską szmatą jest z tego samego metalu co klucz. Przyłożyłem ucho do panelu, a ponieważ wewnątrz panowała całkowita cisza, wsunąłem klucz do zamka. Dał się łatwo przekręcić, a drzwi ustąpiły, kiedy je pchnąłem.

Wnętrze prezentowało się surowo, wręcz żałośnie. Podłoga, sufit, szafa, stół i parę krzeseł. Zamknąłem za sobą i powoli ruszyłem w głąb, rozglądając się w poszukiwaniu ewentualnego intruza.

Nic ciekawego nie zauważyłem, poza kilkoma kawałkami kolorowych tkanin wiszących na haku obok zamkniętego okna – były wśród nich czerwone, niebieskie, zielone. Moje przeczucie się potwierdziło: różne kolory, różne sygnały dla kogoś, kto obserwował okno. Coś na wzór rac używanych na murach morskich.

Rozejrzałem się po prawie pustym wnętrzu. Brakowało łóżka, więc raczej nikt tu nie mieszkał. Coś się tu działo, coś na tyle ważnego, żeby kogoś o tym zawiadamiać. Ale co?

Obszedłem pomieszczenie, postukując w deski butem, szukając nietypowego skrzypnięcia czy pustego odgłosu. Nic. Otworzyłem szafę.

Na dnie stała niewielka skrzynka z jasnego drewna z metalowym wiekiem. Była zamknięta. Znów wyjąłem z rękawa mój zestaw wytrychów, w nadziei, że drugi raz tej nocy dopisze mi szczęście.

Dopiero za trzecią próbą usłyszałem kliknięcie zapadek. Powoli uniosłem wieko i zajrzałem do środka.

Gapiałem się przez mgnienie na zawartość, a potem zatrzasnąłem pokrywę.

Rozejrzałem się, upewniłem, że na pewno jestem sam, i jeszcze raz otworzyłem skrzynkę. Długo nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem.

W środku leżała niewielka skórzana sakiewka, a obok stosik srebrnych, lśniących, podłużnych płytek, wielkości mniej więcej mojej dłoni, z wygrawerowanym herbem Jaletu Skarbowego.

Wziąłem jedną z nich do ręki i podniosłem do oczu, by w słabym świetle odczytać maleńkie literki. TYSIĄC TALINTÓW ŚWIĘTEGO IMPERIUM KHANUM.

Odłożyłem płytkę, czując, że kręci mi się w głowie. Dotychczas jedynie słyszałem o monetach tysiąctalintowych, w życiu takiej nie widziałem, a nigdy nie śniło mi się, że będę miał okazję taką dotknąć.

Jeszcze raz wziąłem płytkę i obróciłem ją w rękach. Potem wyjąłem nóż i zadrapałem jej powierzchnię. Ostrze zostawiło rysę tej samej barwy, co powierzchnia. A więc prawdziwe talinty. Wyciągnąłem wszystkie płytki i ułożyłem je w stosik. Siedem. Leżało przede mną siedem tysięcy talintów. Więcej pieniędzy, niż miałem szansę w życiu zarobić.

Zmiękły mi kolana, więc klapnąłem na podłogę. Serce trzepotało mi w piersi. Co to za dziwny domek? Co tu, na lewiatana, się dzieło?

Sięgnąłem do skrzynki po sakiewkę. Rozwiązałem ją ostrożnie, bojąc się, co niesamowitego może się w niej kryć. Może kawałek kości tytana? Albo klucz do samego cesarskiego Sanktuarium?

Jednakże pierwszy przedmiot, który z niej wypadł, był dość zwyczajny – oficjalna przepustka, oprawiona w skórę książeczka z symbolem umożliwiającym jej posiadaczowi przekraczanie trzeciego pierścienia murów i swobodne podróżowanie po całych Obrzeżach. W środku, na wewnętrznej stronie okładki, widniało wypisane niebieskim atramentem nazwisko Rony Aristan. Przekartkowałem strony z wbitymi pieczęciami różnych kantonów trzeciego pierścienia, w którym władze znacznie bardziej rygorystycznie

niż na Obrzeżach pilnowały przepływu podróżujących z obawy przed skażeniem.

Rona Aristan najwyraźniej często odwiedzała cztery kantony: Qabirgę, Juldiz, Bekinis i Mitral. W ciągu ostatnich dziewięciu lat była w każdym przynajmniej raz do roku.

Moje pełne zaskoczenia „hm” poniosło się po domku, gdy przypomniałem sobie mapę Imperium. Wszystkie te cztery kantony znajdowały się na równinnych terenach, na których, w bezpiecznym pasie za trzecim pierścieniem murów, hodowano zboże oraz składniki reagentów. Nie mogłem pojąć, dlaczego asystentka z Talagray miałaby podróżować po takich rejonach. Z drugiej strony równie tajemnicza była dla mnie jej śmierć oraz pusty domek ze skrzynką pełną talintów, znajdujący się kilka ulic od jej miejsca zamieszkania.

Odłożyłem przepustkę i wyciągnąłem z sakiewki drugi przedmiot. Aż mnie zatchnęło na jego widok. Coś takiego widziałem nie po raz pierwszy.

Uniosłem go do oczu – niewielki krążek z brązu z osadzoną w nim fiolką zawierającą czarną ciecz.

Klucz reagentowy. Kolejny, już trzeci, na jaki się dzisiaj natknąłem. Ten był zdecydowanie mniej ozdobny od poprzednich, tylko z jedną fiolką, co sugerowało, że umożliwiał przedostanie się przez znacznie mniej istotne przejście.

Wpatrywałem się w trzy cenne przedmioty, leżące przede mną na podłodze – klucz reagentowy, przepustkę i siedem tysięcy talintów.

Tym razem moje „hm” było wyrazem zadumy.

Nie bardzo wiedząc, co robić, otworzyłem moją torbę rytownika i schowałem wszystko do środka, wcześniej owijając talinty chustką, żeby nie podzwaniały. Zapiąłem porządnie torbę, wyszedłem i zamknąłem drzwi na klucz. Potem, przy dźwięku ostatecznego wezwania dzwonków, pobiegłem przez mżawkę do Tryfektury.

Rozdział siedemnasty

Gdy skończyłem składać raport, obserwowałem z niejaką satysfakcją minę oszołomionej Any siedzącej na skraju łóżka. Po dłuższej chwili, gdy wydawało się, że odzyskała mowę, otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Potem znów je otworzyła. I zamknęła. Jakby na usta cisnęło się jej tyle pytań, że żadne nie mogło się przez nie przepchnąć.

– Pokaż no mi te talinty – wydusiła w końcu.

Wyjąłem wielką srebrną płytkę i jej podałem. Obróciła monetę w rękach.

– Chcesz powiedzieć, Din, że właśnie przemaszerowałeś przez całe miasto z siedmioma tysiącami talintów w torbie? – powiedziała wolno. – Niosłeś je jak kapustę na zupkę?

– Ummm... Tak, pani?

– Na Sanktuarium! A ludzie mówią, że to ja jestem szalona! I nie scho-
wałeś sobie jednego w bucie czy coś?

– Nie, pani. Wydawało mi się, że to proszenie się o kłopoty, a i tak mam ich wiele.

– Miło widzieć takie dowody mądrości z twojej strony. Ale... No, muszę powiedzieć, że istna lawina rewelacji w tych twoich czaszkowych rzygowinach. Tajne spotkania! Zaginiony żywy świadek! Zamordowane sekretarki podróżujące po Imperium! I torba pełna nie tylko prawdziwej fortuny, ale i kluczy reagentowych! I to wszystko odkrycia z jednego dnia. – Stała przez chwilę, podekscytowana. – No dobrze... No dobrze! Potrzebuję porządnej głębokiej immersji, żeby wyciągnąć z tego wszystkiego jakieś wnioski.

– Głębokiej czego, pani?

– Dawno już nie musiałam uciekać się do takich metod – mruknęła, podchodząc do jednego z kufrów z książkami. Schyliła się i zaczęła wyrzucać je po kilka naraz. – Ale sytuacja tego wymaga. – Podniosła głowę i łypnęła na mnie gniewnie. – No co tak stoisz?! Pomóż mi!

Pomogłem jej wygarniać książki, dopóki nie opróżniliśmy kufra. Była to jedna z nielicznych rzeczy należących do Any, masywna, stara, poobijana skrzynia, którą uparła się zabrać do Talagray. Ze zdziwieniem ujrzałem, że dno nie jest drewniane, ale wyמושzone poduszkami, jak dla jakiegoś zwierzęcia.

– To zajmie chwilę – powiedziała, zsuwając na oczy opaskę. – Muszę pomedytować trochę, zanim zdecyduję, co robimy dalej. Odcięcie się od wszystkiego pomaga mi się skupić. – Włazła do kufra i usiadła na miękkim dnie. – Możesz tu poczekać, tylko nie dotykaj zbyt wielu moich rzeczy. Będę wiedziała, które ruszyłeś!

– Ale, pani, co zamierzasz...?

Zatrzasnęła wieko, zamykając się w skrzyni. Wpatrywałem się w pudło, zdębiały. Potem usłyszałem skrobanie, kiedy się mościła, a następnie zaległa cisza.

Rozejrzałem się, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Cisza się przeciągała.

Natknąłem się wzrokiem na worek talintów u moich stóp i pomyślałem, że gdybym chciał, teraz naprawdę mógłbym z nimi uciec. Doszedłem jednak do wniosku, że młody, samotny kryminalista z ogromną fortuną w kieszeni ma marne szanse na przejście przez pilnie strzeżoną drogę, często nękaną przez morderczych dezterów; są raczej żadne. Albo jeszcze mniej. Dlatego zamiast porywać się na rabunek, poprzestałem na zaparzeniu herbaty.

Otworzyłem okno i usiadłem w nim, sącząc herbatę i spoglądając na nocny krajobraz Talagray. Po wszystkich odkryciach tego dnia miasto nie wydawało mi się już miejscem bezpieczniejszym od dróg z mojej złodziejskiej fantazji. To miejsce miało być kluczowym filarem cesarstwa, a okazało się, że jest do cna przegnite.

Nagle wieko odskoczyło z trzaskiem i Ana usiadła, wynurzając się z kufra jak potępieniec z grobu. Zamarła, poczuwszy przeciąg.

– Zamknij to cholerne okno! – zaskrzeczała. – Co ty wyprawiasz, chłopcze?! Przecież ja usiłuję tu myśleć!

Zerwałem się, przy okazji oblewając płaszczyzn herbatą, i rzuciłem zamykać okno, jakby szalała za nim burza, a nie rozciągał się całkiem przyjemny widok.

– Wybacz, pani, nie chciałem...

– Do skupienia potrzeba izolacji! – ofuknęła mnie. – A jak chcesz nic nie osiągnąć, to załatw sobie gabinet z pięknym widoczkiem. Ale jeśli chcesz rozwiązywać swoje problemy, to... Kurwa! – Poślizgnęła się na stercie pergaminów i w ostatniej chwili złapała się krawędzi kufra, żeby nie runąć. Potem, pomrukując i sapiąc pod nosem, dokończyła wyłazenie ze skrzyni. – No. O, zrobiłeś herbatę, Din?

– Tak, pani.

– To nalej mi, proszę.

Usiadła na skraju łóżka, a ja zająłem się nalewaniem herbaty.

– Na początek mam pytanie. – Obrzuciła mnie budzącym lęk spojrzeniem. – Chcę, żebyś powiedział mi o czymś, co ty masz za uszami.

– Hm. Tak, pani? Zrobiłem coś złego?

– Tak! I to bardzo złego! Dlaczego, na kości lewiatana, nie powiedziałeś mi, że potrafisz się włamywać?!

– Och – stropiłem się. – No bo tak naprawdę nie potrafię. Po prostu wyryłem w pamięci właściwe ruchy konieczne do otwarcia trzech podstawowych rodzajów zamków.

Wpatrywała się we mnie, nie kryjąc oburzenia.

– To... To cholernie dobra definicja „umiejętności włamywania”! Co za absurd! Co jeszcze potrafisz, gadaj!

– Wydaje mi się, że wykształciłem w sobie talent do tolerowania przemocy werbalnej oraz szalonych pytań, pani – odpowiedziałem, wręczając jej filiżankę.

Łypnęła na mnie koso.

– Chcę wiedzieć więcej o twoich talentach do otwierania zamków, Din, ale na razie zajmijmy się analizą tego wszystkiego, poczynając od tej kapitan Kiz Jolgalgan. Bo wielce mnie jej osoba interesuje.

– Bo może być naszym jedynym żyjącym świadkiem skażenia?

Ana siorbnęła przeciągle.

– Nie, bo podoba mi się na obsadzenie w roli naszego mordercy. – Osuszyła usta krawem płaszcza.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia.

– Ale że co, pani?

– No bo kto wie najwięcej o skażeniach? Apotekarze. A ty mi mówisz, że jedna z nich uczestniczyła w tych tajnych spotkaniach z inżynierami. I jest najprawdopodobniej jedyną wtajemniczoną, która przeżyła.

– Więc sądzisz, pani, że... że to Jolgalgan jest naszą trucicielką?

– To możliwe! Oczywiście nie znam jeszcze wszystkich odpowiedzi. Nie wiem, z jakiego powodu chciałaby zabić wszystkich swych towarzyszy ani dlaczego wybrała tak kompletnie szalony sposób, żeby tego dokonać. Ani czy planowała rozwalić mur morski i narazić na niebezpieczeństwo całe Imperium! Ale to się klei! Mimo że to strzępy informacji, to jednak się kleją. Trochę. Kapitan Miljin z pewnością kazał już legionistom wypatry-

wać tej Jolgalgan. Ale jutro idź do Nuis i zobacz, czy może apotekarzom nie udałoby się wygrzebać czegoś o tej kobiecie. Muszą mieć akta jej modyfikacji. Chcę wiedzieć, co Kiz Jolgalgan potrafi, gdzie była, na jakich stanowiskach służyła, i chcę mieć nazwiska wszystkich, którzy służyli razem z nią. Sprawdzimy, czy moje przeczucie się potwierdzi.

– Tak jest, pani.

– Świetnie. A teraz te klucze reagentowe. No pokaż mi je!

Wyciągnąłem oba, ten znaleziony wspólnie z Miljinem w kwaterach Jilki i ten, który był ukryty w domku niedaleko miejsca zamieszkania Aristan. Podałem je Anie.

– Co za dziwny przypadek, znaleźć trzy klucze jednego dnia... – mamrotała, unosząc klucz Jilki do oczu. – Ale Miljin się nie mylił, to klucz do wysoko zabezpieczonego przejścia. Z tego, co wiem, jedynie klucze banków Imperialnego Skarbowego posiadają pięć lub więcej reagentów. Ale ten drugi... – zrobiła z nim to samo, spojrzała przez niego jak przez szkło powiększające – ...jest całkiem inny. Taki prosty, zwykły... Sanktuarium jedno wie, jakie przejście otwiera. – Przygryzła wargę, a po chwili namysłu uniosła ten bardziej skomplikowany. – Ale sądzę, że chyba wiem, do czego jest ten... Z pewnością daje dostęp do miejsca, gdzie zostali skażeni wszyscy nasi inżynierowie.

– Czyli otwiera budynek albo pokój, gdzie odbywały się te tajne spotkania. – Pokiwałem głową.

– Dokładnie. To niezłe znalezisko! Dobra robota, Din. Jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, kapitan Strovi powinien już wyjechać z Talagray i zbiera teraz wszystkie listy zamówień z papierni z ostatnich czterech tygodni. Jeśli znajdziemy miejsce, gdzie niedawno trzeba było wymienić wszystkie papierowe panele... Jeśli okaże się, że znajduje się w tym miejscu przejście wymagające użycia klucza reagentowego... I jeśli okaże się, że ten klucz je otwiera...

Krew zaszumiała mi w uszach.

– To musi to być miejsce, gdzie skażono inżynierów – dokończyłem.

– Właśnie! Mało tego, przy okazji ustaliłeś czas zdarzenia, drogi Din. Do skażenia doszło osiem nocy przed uszkodzeniem muru, czyli szóstego bieżącego miesiąca. Jeśli tak, to możemy sprawdzić, czy Jolgalgan była w tym czasie na miejscu zdarzenia, co tam robiła oraz gdzie udała się później. A także, czy jest zamieszana w morderstwo prefekta Blasa, do którego doszło ponad dwa tygodnie temu.

Powędrowałem wzrokiem ku torbie kryjącej talinty.

– Pewnie te talinty też się jakoś łączą z tą sprawą, pani?

– To zdaje się oczywiste, choć... nie jestem pewna – westchnęła. – Twoje odkrycia co do osoby Blasa są tak doniosłe, że nie do końca mieszczą mi się w głowie... Bo nagle okazuje się, że nie tylko był skorumpowany, na co wskazuje hojność Hazów w użyczeniu mu swych nieruchomości na sprośne schadzki, ale jest może najbardziej skorumpowanym funkcjonariuszem cesarstwa, jakiego ta ziemia nosiła. Martwi mnie jedno, co, jeśli korupcja nie kończy się na Blasie? – Obróciła przepasane oczy ku oknu. – Co, jeśli inni funkcjonariusze są równie umoczeni?

Zamilkła, a ja po chwili tej pełnej napięcia ciszy pojałem, co ma na myśli, i poczułem, jak ciarki spływają mi po kręgosłupie.

– Masz na myśli grupę śledczą, pani? Obawiasz się, że mogą w tym siedzieć twoi tutejsi współpracownicy?

– Tak – przyznała cicho. – Całe to śledztwo było do tej pory prowadzone nieudolnie. Powinni przecież szukać Blasa. Ciało Aristan również powinno zostać do tej pory odkryte. Wolę jednak zrzucić to na karb niekompetencji niż złej woli... Hm. Pokaż mi tę przepustkę.

Wręczyłem jej książeczkę. Szybko ją przekartkowała, przebieając palcami po stronach.

– Śmierdzi mi to wszystko jakimiś brudnymi interesami. Takimi, w wyniku których Blas, zamiast trzymać pieniądze na przykład w skrytce banku Imperialnego Skarbowego, musiał ukrywać je w miejscu mniej oficjalnym, żeby nikt nie zdziwił się sumami, jakimi dysponuje funkcjonariusz. A jeśli pani Aristan podróżowała tak często pomiędzy Talagray, a tymi czterema odległymi kantonami, Qabirgą, Juldiz, Bekinisem, i Mitralem, to cóż. – Zamknęła z trzaskiem przepustkę. – Wobec tego była pewnie bagażówką.

– Baga... czym, pani?

– Kurierką, osobą przewożącą pieniądze. Blas pewnie wysyłał ją do trzeciego pasa, żeby odbierała tam od kogoś pieniądze, bądź je komuś przekazywała. Lepszego kuriera trudno sobie wyobrazić, bo kto podejrzewałby o cokolwiek podstarzałą asystentkę z jaletu? Pytanie brzmi, za co płacił Blas bądź za co jemu płacono? Co ten sukinsyn robił? Tego nie wiemy. I to mnie zżera. – Kołysała się przez chwilę z przekrzywioną na bok głową, ale ja czekałem w milczeniu, pozwalając jej myśleć. – No, Din, mam do ciebie kolejne pytanie.

– T...tak, pani?

Uniosła opaskę, tak by spojrzeć na mnie jednym żółtym okiem.

– Jak myślisz, jaka jest szansa, że prefekta Blasa i Ronę Aristan zabiła ta sama osoba?

Rozważyłem tę kwestię, przywołując wszystkie wspomnienia związane ze sprawą. Nie śpieszyłem się.

– Myślę, że... bardzo nikłe, pani?

Skinęła głową, usatysfakcjonowana.

– A dlaczegoż to?

– Jedno z tych morderstw popełniono bardzo... sprawnie. I typowym sposobem. Sprawca się włamał i... coś jej zrobił w głowę. Może coś wbił? I nikt niczego nie zauważył. A to drugie było bardziej skomplikowane, wymagało więcej zachodu, planowania z wyprzedzeniem. A samego aktu pozbawienia życia dokonano w sposób niesłychany. Obie te zbrodnie wydają się zbyt różne, jak na jednego sprawcę.

– To fakt, rozprucie od wewnątrz przez nagły wyrost rośliny jest zaiste zajebitnie niesłychane – stwierdziła kwaśno Ana. – Ale masz rację. Teraz mamy już dwa morderstwa, Din. Dwa morderstwa, dwie różne metody i dwa zestawy podejrzanych. Najbardziej prawdopodobną hipotezą co do tego nowego jest to, że popełniono je w ramach sprzątania. Blas nie żyje, ale jego powiązania z aferą korupcyjną zostały. A więc tego drugiego zabójstwa dokonano, by zatrzeć ślady, wyeliminować tropy, mogące łączyć Blasa z czymś większym, tropy oraz niedogodnie żywych ludzi.

– Ale my nie mamy pojęcia, kim może być ten nowy sprawca, tak, pani?

Ana zamarła z opuszczoną głową.

– Jak to mówiłeś? Dziura w głowie, tak? Powiedz, jakiej wielkości była? Bardzo mała? – Rozsunęła palce na ćwierć minispana.

– Tak, pani, mniej więcej taka.

– I na ciele nie było poza tym żadnych ran, żadnych zasinień?

– Żadnych nie widziałem, pani.

– Osobliwe... Bardzo osobliwe – wyszeptała do siebie. – Czy wiesz, Din, jak trudno przebić ludzką czaszkę?

– No... w sumie nigdy nie próbowałem, pani.

– A więc uwierz mi na słowo. Trudno. Taki cios trzeba zadać z ogromną siłą i szybkością. Szczególnie to ostatnie jest ważne. Odpowiednia prędkość, właściwe narzędzie... To zdumiewające, muszę powiedzieć.

Urwała, jakby popadła w zadumę.

– Widziałaś, pani, już kiedyś podobną śmierć? – spytałem. – A raczej mord.

Przez chwilę nie odpowiadała, a kiedy się odezwała, mówiła bardzo cicho.

– Oto co musimy zrobić. Po pierwsze, zaniesiesz to do Nuis. – Podniosła klucz reagentowy, który znalazłem w kryjówce Aristan.

– I co miałyby z nim zrobić? – zapytałem, biorąc od Any klucz.

– Cóż, podczas gdy mogę domyślać się, co otwiera tamten klucz z pięcioma reagentami, co do tego nie mam żadnego pomysłu. A apotekarze posiadają umiejętności odtwarzania wielu reagentów. Nie dowiemy się, co prawda, które przejście otwiera ten klucz, ale Nuis będzie w stanie określić rodzaj otwieranego przez niego przejścia. Z czego jest zrobione, z jakiego gatunku, a to pozwoli nam zawęzić poszukiwania.

– Dobrze. A co z pieniędzmi, pani?

– Pieniądze i przepustkę... wykorzystamy – rzekła powoli. – Wykorzystamy do ustalenia, czy nasi tutejsi współpracownicy są wiernymi sługami cesarstwa. Albowiem nieustannie dręczy mnie to, dlaczego nie przykładali się do dochodzenia w sprawie śmierci Blasa. Dlaczego nie szukali Aristan? To przecież podstawowe procedury śledcze! Czy ktoś z naszej grupy roboczej wiedział, że Aristan nie żyje? Czy wiedział o korupcji Blasa? – Przekrzywiła swoim zwyczajem głowę. – Czy Kalista może być tym fałszywym ogniwem? Wydaje się mieć słabość do kosztownych, pięknych rzeczy. A może to Nuis? Pracowała przecież z Blasem w Komitetach Ochrony Środowiska. Albo Uhad, stary, osłabiony, dał się skusić wizją wygody na stare lata? A może Miljin? A może żadne z nich nie dało się przekupić, a to tylko zwykła nieudolność? Sama nie wiem.

Znów pogłężyła się w zamyśleniu, a ja poczułem narastające poczucie grozy.

– A... w jaki sposób użyjemy tych pieniędzy, żeby odpowiedzieć na któreś z tych pytań?

– Och, cóż, Din – uśmiechnęła się ze znużeniem – po prostu weźmiesz te pieniądze i przepustkę i umieścisz je przy ciele Aristan. Gdzieś, gdzie łatwo będzie je znaleźć. Potem poproszę Uhada o przeprowadzenie śledztwa i zobaczymy, ile z tych pieniędzy wypłynie.

Zamurowało mnie z przerażenia.

– Najpierw każesz mi prowadzić odrębne śledztwo, a teraz chcesz, żebym fabrykował dowody na miejscu zdarzenia?!

– Oj tam, zaraz fabrykował. – Machnęła lekceważąco ręką. – Przecież nie każe ci nikogo zabić ani nic w tym stylu. Potraktuj to jako nietypowy sposób prezentowania dowodów śledztwa.

– Ale... przecież jesteśmy tu dopiero jeden dzień, a ty, pani, już prowadzisz śledztwo w sprawie śledczych? – zaprotestowałam.

– No tak się składa – odwarknęła. – Bo, jakbyś zapomniał, Din, jesteśmy pieprzonym Jurysem! To my pilnujemy Imperium w imieniu Imperium! A tu coś wybitnie śmierdzi! I może to kwestia wyłomu, może kwestia niekompetencji a może... czegoś innego. A jeśli mamy z tym chłamek ruszyć do przodu, to muszę wiedzieć, o co tu chodzi!

– A jaką rolę ja mam odegrać w tym przedstawieniu, pani? Mam towarzyszyć Miljinowi do domu Aristan i udawać zaskoczonego tym, co tam zastaniemy?

Zastanowiła się nad tym.

– Hm, masz rację, Din. Gówniany kłamca z ciebie. Zrobimy tak: powiem, że posłałam cię do Nusic, i każe im wysłać Miljina do domu Aristan, a ja będę siedziała na tyłku z Uhadem i resztą i zobaczę, co się będzie działo. Owszem, będzie to dla mnie bardzo wyczerpujące zadanie, te wszystkie pogaduszki, konwersacyjki, ale sprawa jest dość ważna...

– A jeśli ktoś przyłapie mnie na manipulowaniu dowodami na miejscu zbrodni? Jeśli mnie zakują, pozbawią rangi i stanowiska? – denerwowałam się.

– Wtedy porozmawiam z Vashtą i przedstawię jej moje wnioski.

Spojrzałam na nią niedowierzająco, ale zdawała się mówić serio.

– Znaczy się co? Wparujesz do seneszałki i uświadomisz jej, pani, co wyrabia się pod jej nosem i co o tym sądzisz?

Stropiła się nieco, przez chwilę obracała moje słowa w głowie, jakby się do nich przymierzała, a potem wyszczerzyła się w okropnym uśmiechu i pochyliła ku mnie z takim niepokojącym błyskiem w oku, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widziałem i jakiego wolałbym nigdy nie zobaczyć, a co dopiero sprzeciwić się jej w tym stanie.

– Ależ tak! – oświadczyła radośnie. – Powiedziałabym jej, co wiem, a ona zgodziłaby się z naszymi metodami, bo kto by się nie zgodził, Din? Jesteśmy tu, by przyjrzeć się fundamentom obronności naszego Imperium, a to oznacza testowanie determinacji jego najważniejszych funkcjonariuszy. A teraz idź, prześpij się, chłopcze. Jeśli zdołasz.

Rozdział osiemnasty

Nazajutrz wstałem przed świtem, ubrałem się, zabrałem torbę z talintami i przepustką, torbę, która tym razem ciążyła mi jak kamień młyński, i wyszedłem na ulicę.

I znów, tak jak wczoraj, Talagray tętniło życiem, a niezliczeni szanowani, doświadczeni funkcjonariusze rozpoczynali swój dzień pracy. Czułem się okropnie nieswojo, idąc pośród nich, nieustannie myśląc o swoim kroku, o postawie, o sposobie poruszania. Ciągle zastanawiałem się, czy nie idę za szybko, czy ktoś przypadkiem nie dosłyszał tego cichego brzęknięcia w mojej torbie. Wyglądało jednak na to, że nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Wszyscy mieli na głowie ważniejsze sprawy.

Podczas ostatniej wizyty nie zamknąłem wytrychem tylnych drzwi do domu Aristan, teraz więc miałem ułatwione zadanie. Po raz drugi w ciągu doby stanąłem pośród pobojuwiska, w smrodzie rozkładu. Przemknąłem do sypialni, jak jakiś włamywacz, i znalazłem właścicielkę leżącą tak samo jak wcześniej na łóżku, z bladymi, podkurczonymi palcami stóp, wystającymi spod pościeli.

Przez chwilę patrzyłem na ciało z bijącym mocno sercem, a potem rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca, gdzie Miljin i Uhad z łatwością znaleźliby pieniądze i dokumenty. Zaraz przypomniałem sobie, że przecież widziałem, jak kapitan robi przeszukanie, znałem więc jego metody.

Okrążyłem łóżko, przykucnąłem i z pomocą noża podważyłem deskę podłogową. Nie było tam dużo miejsca, ale wystarczyło. Ostrożnie umieściłem pod podłogą siedem dużych monet wraz z przepustką, a następnie włożyłem deskę z powrotem na miejsce. Zanim wyszedłem z domu, upewniłem się, czy na uliczce za nim jest pusto. W końcu z łomocącym sercem opuściłem miejsce zbrodni.

Do wieży Jurysu dotarłem, jeszcze zanim upłynął ranek. Wspiąłem się po schodach i pięć razy zastukałem w drzwi Any – taki sygnał ustaliliśmy, że zadanie zostało wykonane. Kiedy tylko odpowiedziało mi niegłośnie „dziękuję”, zbiegłem na dół, nagle wystraszony, że strażnicy na dole mogą mnie zatrzymać.

Nikt mnie nie zatrzymał. Otarłem pot z czoła i ruszyłem wykonywać kolejne zadanie.

Czułem się bardzo dziwnie – przez prawie całą karierę byłem wzorcowym funkcjonariuszem, a gdy wstąpiłem w szeregi Jurysu, stałem się prawdziwym przestępcą.

* * *

– Dobrze się czujesz, signumie? – zatroskała się Nuis. – Wyglądasz na nieco podenerwowanego?

– T...tak, pani? – zająknąłem się, otarłem pot z czoła i rozejrzałem się po gabinecie, jakbym martwił się, czy jeszcze ktoś to zauważył. – Och, wybacz, pani.

– Nic się nie dzieje, chłopcze. Po prostu niepokoiłam się, że być może czujesz jakieś niepożądane efekty nowych wszczepów. Albo że złapałeś coś na Równinach Szlaku. – Pochyliła się ku mnie z zainteresowaniem. – A może zaobserwowałeś na przykład jakieś nietypowe mrowienie podczas defekacji?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Yyy, to chyba tylko stres związany z pracą, pani – wybrnąłem.

– Ach tak. Cóż, daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował jakichś uspokajaczy bądź pobudzaczy. Mam ich tu duży wybór i większość bez poważnych skutków ubocznych. Ale mówiłeś, że masz dla mnie jakiś klucz reagentowy?

Wręczyłem jej prosty dysk z brązu znaleziony w domku-kryjówce Rony Aristan.

– Tak, pani, znalazłem to wczoraj w rzeczach osoby związanej z naszym śledztwem. Liczyłem, że może uda ci się czegoś o nim dowiedzieć. – Spościłem się lekko, choć nic z tego, co powiedziałem, nie było kłamstwem.

Nuis przyjrzała się uważnie kluczowi. Już nie przypominała radosnego dzieciędrozda, z jakim kojarzyła mi się na początku. Poruszała się teraz znacznie wolniej i wyglądała, jakby od jakiegoś czasu nie spała. Przyczyna tego stanu rzeczy rzucała się w oczy – sterty papierów piętrzące się na jej biurku były tak wielkie, że mogłyby prawie konkurować z papierzyskami, w których tonęła Ana. Czekałem całymi godzinami na rozmowę z nią. Najwyraźniej to, nad czym tak pilnie pracowała, było ważniejsze niż spotkanie z kimś z Jurysu.

– Hmm. Jest nieco byle jaki. Zwykły brąz, cynowe ząbki i prymitywny mostek. Wygląda na amatorszczyznę. Nie wydaje się wydzielać żadnych

oparów... choć te mogą maskować moje okazy. – Potoczyła ręką, wskazując na słoje i zbiorniki porozstawiane w laboratorio-gabiniecie. Zerknąłem na jednego z robaków, z zainteresowaniem badającego uszczelkę swego więzienia. Nuis powąchała fiolkę. – Niestety, nie rozpoznaję żadnej z woni. Ale też nie posiadam wzmocnienia węchowego, tylko wzroczne. Mogę jednak przeprowadzić standardowe testy, wystawię na działanie klucza specyficzne rośliny i grzyby, które reagują na różne feromony. Czy to ci odpowiada?

– Będę wdzięczny za każdą pomoc, pani.

– No dobrze, a teraz ta druga sprawa – westchnęła. – Kapitan Kiz Jolgalgan, tak?

– Tak, pani. – Wskazałem podbródkiem papiery. – Mam nadzieję, że to wszystko to nie jej akta?

– To? Och nie. To formularze Komitetu Ochrony Środowiska do zatwierdzenia. Po wyłomie Legion przygotowuje nowe uzbrojenie do walki z tytami. Trzeba sprawdzić w związku z tym wiele wszczepów i wzmocnień, głównie materiały wybuchowe. – Wskazała ścianę, pod którą stały rzędem szklane słoje z ciemnym proszkiem. – Robią jakiś rodzaj bombardy. Mam przejrzeć i przygotować dokumentację potwierdzającą, że żadna z tych modyfikacji nie wydostanie się poza kanton, żeby siać spustoszenie poza jego granicami. – Obrzuciła znużonym spojrzeniem pozostałe pergaminy. – Ale przywykłam już do tej papierkowej roboty. Takie to czasy, częściej zajmuję się papierami niż reagentami. Ale powiedz, dlaczego interesuje cię ta Jolgalgan? Streściłem jej wczorajsze przesłuchania oraz informacje, które zdobyliśmy z Miljinem.

Nuis tak bardzo spoważniała, że aż zapomniałem o własnych niepokojach.

– Ach tak... No cóż, Niestety, z przykrością muszę cię poinformować, że wszyscy, którzy znali kapitan Jolgalgan, nie żyją.

– Nie żyją?! Ale jak to, pani?

– No tak. Kapitan należała do Dwunastej Kohorty Apoteki, a cała ta jednostka zginęła w Sapfirze podczas zawału murów. Nie jesteśmy nawet w stanie wyciągnąć ich ciał. To potworna tragedia. Obawiam się, że nie ma już nikogo, z kim mógłbyś o niej porozmawiać.

– Ale Jolgalgan... Czy ona nie była również...

– Ach, jej status to coś całkiem innego. – Nuis odwróciła się w stronę swego sejfu, ale zawahała się. – Czy mógłbyś odwrócić wzrok, proszę?

Nie patrzyłem, kiedy powtarzała znów ten żmudny proces otwierania. Wreszcie wyciągnęła jakiś zwój, a do sejfu włożyła klucz reagentowy, który jej przyniosłem.

– Na razie niech leży tutaj. To dowód w sprawie, prawda? A wracając, zanim przyszedłeś, zdobyłam akta modyfikacji Jolgalgan. Jest Sublimką, podobnie jak my. Aksjomką. Została poddana modyfikacji sześć lat temu w kantonie Kurmin. Doskonałe wyniki testów. To chyba macie ze sobą wspólne.

Kaszniałem i przytaknąłem.

– Ale Jolgalgan przejawiała zawsze... Jak by to ująć... pewne niepożądane cechy psychiczne.

– Niepożądane?

– Łatwo wpadała w gniew. Miewała ataki szału. Lęki. Paranoję. Pracowała ciężko, ale... była też osobą, z którą ciężko się pracowało. Miała akta pełne skarg i nagan.

Otworzyłem moją torbę.

– Mógłbym...?

– Proszę bardzo.

Odszukałem fiolkę z popiołem i powąchałem, zakotwiczając rozmowę we wspomnieniach.

– Co było z nią nie tak? To jakiś efekt modyfikacji?

– Nie. Nie to było przyczyną.

Obserwowałem ją. Nieruchomy wzrok utkwiony w przestrzeń, lekki grymas. Była myślami gdzieś bardzo daleko. Czekałem.

– Jak wiesz, signumie, zostałam przydzielona do sprawy nad tym śledztwem ze względu na wcześniejszą moją służbę w Oypat.

– Pamiętam, pani.

– A co wiesz na temat tego, co wydarzyło się w Oypat?

– Nie słyszałam o tym aż do sprawy Blasa. Dowiedziałem się, że był to kanton, który został skażony plamiszklanką, tą samą rośliną, której tu użyto jako broni. Nic ponad to.

– Cóż... A więc powiem ci, Kol, że przez to, co zdarzyło się w Oypat, wielu ludzi zaczęło się bać modyfikacji równie mocno, co tytanów. I nie bez powodu. Byłam wtedy młodszym funkcjonariuszem, ledwie po szkoleniu Sublimów. W specjalności aksjoma. – Postukała się w głowę. – Liczby i matematyka.

– Tak, pani, pamiętam.

– Jakże by inaczej. Pracowałam wtedy w zespole monitorującym środowisko w Oypat, pilnowałam, by skażenie plamiszklanką nie wydostało się poza granice kantonu. Codziennie obserwowałam przez lunetę, jak odległe wzgórza pochłania to trawsko. A popołudniami, pełniąc dyżur na oddziałach medykerskich, widywałam ludzi, którym wycinano guzy z tej trawy, kłęby w nerkach, płucach, macicach. Oczywiście wielu wtedy zginęło. Szczególnie po tym, jak odcięliśmy cały teren. Nie wydostali się stamtąd. –

Poruszyła się niespokojnie. – Ci, którzy przeżyli, zostali przesiedleni przez Jurys. A niektórzy... Niektórzy Oypaci twierdzą, że to nie plamiszklanka zniszczyła ich dom. Mówią, że zabiła ich opieszałość funkcjonariuszy imperialnych. Ale to nieprawda. Robiliśmy, co w naszej mocy. Problem okazał się po prostu zbyt złożony. Ten wielki, cudowny świat czasami po prostu okazuje się zbyt skomplikowany.

– Rozumiem, pani, ale co to ma wspólnego z Jolgalgan?

– Musiałeś słyszeć, że Jolgalgan była dziwna z wyglądu. Że miała żółte, kręcone włosy. Tak?

– Tak, pani, słyszałam o tym.

– To dlatego, że choć kapitan posiada kurmińskie nazwisko, nie urodziła się w kurmińskiej rodzinie. Była adoptowana. Jej prawdziwe nazwisko po biologicznych rodzicach brzmiało Prarasta. Rzadko spotykane, głównie dlatego, że ci, którzy je nosili, rozproszyli się po cesarstwie bądź zginęli. –

Popatrzyła na mnie smutno. – Jolgalgan była Oypatką. Uciekła z umierającego kantonu jako dziecko. Straciła rodziców. I została przesiedlona. Tyle tragedii... Cóż, nic dziwnego, że ujawniły się u niej zaburzenia psychiczne.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Zauważyłam, pani, że nie powiedziałaś, czy Jolgalgan zginęła ze swoją kohortą.

– Nie, nie powiedziałam. A to dlatego, że kapitan Jolgalgan zaginęła kilka tygodni temu. – Nuis podał mi pergamin. – Tak się składa, że przepadła kilka dni przed morderstwem prefekta Blasa. I tuż przed tym, jak inżynierowie zaczęli ginąć z powodu skażenia tą samą rośliną, która zniszczyła jej kanton. Interesujące, nieprawdaż?

Rozdział dziewiętnasty

Późnym popołudniem gnałem przez hol Jurysu, z pergaminem od Nuis szeleszczącym w kieszeni. Czułem się głupio, ale dostrzegłem kapitana Miljina również pędzącego przez hol, choć on wybiegał, podczas gdy ja dopiero co wbiegłem do wieży.

Zatrzymał się przy mnie raptownie.

– Kol! – wydyszał. – Gdzieś ty, na lewia...

– Coś się stało? – zapytałem, starając się opanować emocje i nie pozwolić im przeniknąć do głosu, bo od razu domyśliłem się, że znalazł trupa Aristan.

– Właśnie znaleźliśmy coś absolutnie popierniczonego, najbardziej popapraną rzecz na... – Miljin zerknął na drzwi. – Ale muszę lecieć, mam coś do załatwienia. Zapytaj swoją immunisę. Wszystko ci powie! – krzyknął już w biegu, a biegł zaskakująco szybko jak na mężczyznę jego postury i wieku.

Patrząc za nim, zastanawiałem się, jakie efekty wywołał eksperyment Any.

Z głową pełną rozszalałych myśli pognałem po schodach na górę, już drugi raz tego dnia. Jednak przed drzwiami Any zatrzymałem się gwałtownie.

Usłyszałem dobiegającą ze środka rozmowę, cichą, spokojną. Na razie.

Zapukałem i wszedłem, usłyszawszy znajome, śpiewne „proszę!”.

Otworzyłem drzwi. Na krześle pośrodku pokoju siedział kapitan Kepheus Strovi. Ubrany w czerń Legionu, rozpierał się swobodnie, założywszy nogę na nogę, zupełnie jakby był u siebie. Obejrzał się i na mój widok otworzył szerzej oczy.

Ja stanąłem jak wryty, zaskoczony jego obecnością, ale szybko przypomniałem sobie, że przecież Ana prosiła o informacje dotyczące zamówień z tutejszych papierni.

Rozejrzałem się wokół, ale nigdzie nie widziałem Any. Potem naraz uderzył mnie w nozdrza silny zapach ryb i usłyszałem jej głos.

– Masz doskonałe wyczucie czasu, Din. Strovi przyniósł mi właśnie listę zamówień papieru paprociowego, o którą prosiłam.

Spojrzałem w stronę, skąd dochodził głos, na podłogę. Ana, jak zwykle w opasce na oczach, leżała u stóp Strowiego, na wpół zagrzebana pod papierami. Obok niej po prawej stronie stała taca z resztkami ryby, hojnie obsypanymi ziołami, o mięsie tak różowym, że chyba nigdy nietkniętym ogniem.

– Co robisz, pani...?

– Na podłodze? – dokończyła. – Tu lepiej czuję drgania wieży, Din. Za pośrednictwem pleców mogę w ten sposób dowiedzieć się, jaki jest wiatr i ogólnie pogoda. To niesamowite! Powinieneś sam kiedyś spróbować.

Strovi przyglądał mi się z półuśmiechem, rozbawiony tym całym szaleństwem. Nie był tak wymęczony i wymięty jak tamtej nocy, po podróży ze swoją zwierchniczką do Daretany. Teraz miał gładko ogoloną twarz, burzę ciemnych loków wykwintnie uczesaną, na czarnym płaszczu nie było żadnej zmarszczki, a wyglancowane buty lśniły wręcz oślepiająco. Dzięki swej słusznej postawie i energii zdawał się wypełniać sobą cały pokój, nawet rozparty na krześle, z rozciągniętą u stóp Aną.

Na kolanach trzymał filiżankę, a na stole obok stał imbryk. Zdjąłem swój słomiany, stożkowy kapelusz, ukloniłem się mu i wszedłem do środka. Potem zajrzałem do czajniczka – był w połowie pusty – i dotknąłem pękatego boku – chłodny.

– I właśnie wpadł z informacjami, tak? – zapytałem. – Bo sądząc z tego, co widzę, siedzi tu już jakiś czas. Przesłuchiwałaś go, pani, prawda?

– Ja... Um. – Strovi odchrząknął. – Właściwie to trochę czasu minęło, pani. Godzina albo dwie... Eghm. A nawet trzy.

Ana machnęła ręką, zupełnie niestropiona.

– No, może. Nieczęsto mam okazję porozmawiać z funkcjonariuszem Legionu z Talagray. Wszystko jest w porządku.

– Jest, dopóki funkcjonariusz ten siedzi tu z własnej woli – zaznaczyłem. – A ty, pani, traktujesz go uprzejmie.

– Jestem najuprzejmiejszą wersją siebie, Din. Ani razu nie spytałam naszego gościa o zapach jego sików, prawda, kapitanie?

Uśmiech Strowiego zgasł jak zdmuchnięta świeca.

– Idąc tu, spotkałem kapitana Miljina, pani – powiedziałem znacząco. – Wspomniał o jakimś odkryciu...?

I znów machnęła lekceważąco ręką.

– Tak, tak, mam ci do powiedzenia jakieś tam drobiazgi, wiem. Ale porozmawiamy o tym później.

Drobiazgi? Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, czy wykluczyła już z kręgu podejrzeń naszych współpracowników.

– Ale słuchaj, Din, Strovi właśnie mi mówił, że Legion przekopuje się przez stare księgi historyczne, by znaleźć sposób na wyciągnięcie nas z tej przeklętej kabały. Prawie sześćdziesiąt lat temu w murach doszło do straszego wyłomu i jedyne, co mogli zrobić, to czekać, aż nadciągnie kolejny lewiatan, żeby zabić go i jego truchłem zatkać wyrwę. Czy to nie fantastyczne, Din?

– O tyle, o ile truchło lewiatana można określić mianem czegoś fantastycznego, pani.

– Tym razem chcą to zrobić nieco inaczej – mówiła. Palcem wygrzebała nieco mięsa z ryby i upuściła je do otwartych ust. – Zamiast angażować tysiące żołnierzy do strzelania z setek balist, konstruują jedną, wielką, która może powalić bestię jednym strzałem. Zabójcę tytanów.

– Ach, Nuis wspominała coś o tym. – Zwróciłem się do Stroviego: – Ponoć bombard ta wymaga skomplikowanych wszczepów?

– Tak, musimy zmodyfikować materiał wybuchowy – wyjaśnił kapitan. – Trzeba stworzyć nowy wariant, dużo potężniejszy. Tak, żeby móc przebić bestię. Ale choć z przyjemnością bym nadal objaśniał i odpowiadał na twoje, hm... szczegółowe pytania na temat bombard, pani, nie po to legatka Vashta mnie tu przysłała. Jestem tu raczej, by pomóc, w miarę możliwości, przy toczącym się śledztwie.

– To fascynujące. – Wciąż leżąc płasko, Ana wydłubała kawałek rybiego mięsa i wyciągnęła rękę w moją stronę. – Może spróbujesz tartuny, Din? Strovi odmówił, ale to świeżo złowiona ryba.

Spojrzałem na włóknistą grudę różowego mięsa zwisającą z jej palców.

– Obawiam się, pani, że muszę podziękować.

– Jak sobie chcesz – stwierdziła Ana i wsadziła sobie rybę do ust. – Co tam jeszcze Nuis miała do powiedzenia? Coś przydatnego o Jolgalgan może?

– Powiedziałbym, że nawet bardzo przydatnego, pani.

Położyłem przyniesione pergaminy na kolanie Any, która usiadła i zaczęła je przeglądać, nie przejmując się tym, że zostawia na nich tłuste smugi i plamy.

– No gadaj, chłopcze, galopkiem!

Zrelacjonowałem słowo w słowo rozmowę z apotekarką, a w miarę mojego mówienia oczy Stroviego robiły się coraz większe i większe, zaś

gorączkowe tempo, z jakim Ana przeglądała papiery, rosło.

Ostatnie zdanie wybrzmiało w absolutnej ciszy.

– A więc macie ją! – wykrzyknął kapitan. – Znaleźliście ją, tak? Ta Jolgalgan to na pewno nasza sprawczyni! Wspaniała robota!

Usztyniony, skinąłem głową. Nigdy wcześniej nie otrzymałem pochwały od funkcjonariusza wyższego stopnia z innego jaletu, a już na pewno nie z Legionu, więc nie bardzo wiedziałem, jak zareagować.

– Wiesz – zaczęła Ana z namysłem. – Skłaniam się ku temu, żeby zgodzić się...

– Ale nadal nie potrafię zrozumieć dlaczego, pani – wszedłem jej w słowo. – Po co zabijać tylu inżynierów w tak szczególny sposób?

– Cóż, to inżynierowie razem z apotekarzami powinni byli powstrzymać skażenie plamiszklanką w Oypacie, prawda? – odpowiedziała. – I bez obraży wobec naszych nieobecnych kolegów, ale nie popisali się, biorąc pod uwagę, że cały pieprzony kanton jest martwy. Tak jak powiedziała Nuis, wielu Oypatczyków ma im to za złe. Niewiele trzeba, żeby wyobrazić sobie, do czego może być zdolna szalona oypacka apotekarka, rozgoryczona nieudolnym działaniem służb. Nie wiem do końca, co zyskiwała, mordując kilku niższych funkcjonariuszy, ale... nadaje się na doskonałego podejrzanego. – Ana pokręciła głową. – Jedyne pytanie, to dlaczego akurat teraz?

– To znaczy, pani? – zapytał Strovi.

– Przecież służy w Jalecie Apotekarskim już od wielu lat. Zastanawiam się, co było wyzwalaczem dla jej działań. I gdzie się ukrywa?

– Legion działa szybko – zapewnił Strovi. – Obserwujemy drogi i bramy. Znajdziemy ją wkrótce, jestem tego pewien.

– Możliwe – przytaknęła mu Ana. – Jednak jeśli to ona jest naszym zabójcą to jest sprytna i potrafi się ukrywać. Wykorzystała pastadermę, żeby zniekształcić rysy twarzy, i umie się szybko przemieszczać. Nie mam pojęcia, gdzie może być teraz. Ale wygląda na to, że nareszcie posuwamy się w dobrym kierunku, chłopcy! Prawdopodobnie mamy już „kto”. Niewykluczone, że mamy też „jak”, bo najprawdopodobniej Jolgalgan przyszła na jedno z tych tajnych spotkań i skaziła inżynierów właśnie tam. A dzięki twojej, Din, i Miljina wczorajszej pracy mamy również „kiedy”. Inżynierowie zostali skażeni na osiem dni przed zawaleniem się muru, jest to data ich ostatniego spotkania i przypada na szóste go kyuza. Teraz potrzebujemy tylko „gdzie”. A Strovi przyniósł nam materiały, dzięki którym dojdziemy

i do tego! – Odwróciła ku kapitanowi przepasane oczy. – To zamówienia ze wszystkich papierni znajdujących się na terenie Talagray, tak? – upewniła się jeszcze.

– Tak, pani. Wszystkie, jakie znaleźliśmy.

– Szukamy dużych zamówień. Złożonych na około osiem dni przed katastrofą na murach. – Zacisnęła usta i przez chwilę przeżuwała jakąś ość. – Myślę, że są cztery opcje – oznajmiła.

– Ale... kiedy zdążyłaś przejrzeć listy, pani? – zapytał oszołomiony Strovi.

– Nasza konwersacja była niezwykle interesująca, kapitanie, ale nie aż tak, by przykuć całą moją uwagę.

Wyciągnęła po omacku z pliku cztery strony, podczołgała się w stronę Stroviego, pomacała wokół, a gdy natrafiła na niego, położyła mu je na kolanach. Potem przesuwiała palcem po jednej z nich, aż natrafiła na właściwą linię.

– Ta tu, papiernia Ostroka. Widzicie? Zamówienie na cztery panele, dziewięć dni przed powstaniem wyłomu.

Strovi czuł się wyraźnie nieswojo w obecnej pozycji, Ana bowiem, klęcząc tuż przy nim, pukała palcem przez papier w jego krocze.

– Umm... Tak, pani. Yyy... widzę.

– A drugi to ten! – Strovi aż drgnął, gdy Ana dziabnęła mocno w linijkę tekstu. – Rakmon. Sześć paneli, zamówiono pięć dni przed wyłomem, dziewiątego kyuza.

– T-ttak, i...

– I to! – Kolejne stuknięcie, mocne.

Strovi aż jęknął.

– Ano! – zawołałem.

– Tak, Din? O co chodzi?

– Myślę, że on ci wierzy, prawda, kapitanie?

– Tak, tak, tak. – Strovi energicznie pokiwał głową. – Bardzo wierzę. Absolutnie wierzę, pani.

– Ach – skwitowała i cofnęła się, zabierając papiery z jego kolan. – To dobrze. – Ziewnęła. – W każdym razie to trzy zamówienia wpisujące się w interesujące nas okno czasowe, które Din zdołał określić. Ale wydaje mi się, że żadne z nich nie jest tym, którego szukamy.

– Ale jak to? – zdziwił się Strovi, który jeszcze do siebie nie doszedł. – Sugerujesz, pani, że zapamiętałaś wszystkie wpisy z list, które ci dałem?

I możesz sobie przypomnieć na zawołanie każdy, kiedy tylko zechcesz?

– Potrafię przeanalizować i zapamiętać wszystko, co jest interesujące, kapitanie. A to budzi we mnie zainteresowanie. Chwilowo, w każdym razie.

Uśmiechnąłem się pod nosem, słysząc znajomą frazę, ale w głowie pojawiło mi się pytanie, czy może Ana jest mnemorytownikiem. Czy posiadała takie wzmocnienie? Czy rzeczywiście przywoływała teraz wszystko, co za pomocą palców przeczytała, leżąc na podłodze? Jednak nie wydało się to prawdopodobne. Rzeczywiście rytownicy mogli przyswoić i przytoczyć ogromne ilości informacji, ale charakterystyczne dla Any dzikie, nagłe wybuchy intuicji nie leżały w zakresie naszych możliwości.

– Powiem więcej – podjęła Ana. – Bardziej interesuje mnie to, czego na tych listach nie ma, niż to, co się na nich znajduje. Kilka papierni nie odpowiedziało na twoje zapytania, Strovi, i to mimo tego, że wysłałeś do nich legionistów. W tym ten skład. – Palec Any uderzył z impetem w jeden z pergaminów, które na szczęście leżały już na podłodze. – Papiernik paprociowy Yonas Suberek nie przysłał informacji i został oznaczony jako nieobecny podczas wizyty u niego.

– Uh, nie byłem przy tym, pani – rzekł Strovi wyraźnie zdezorientowany – więc muszę wierzyć na słowo. Chodzi o to, że nie możemy przymuszać ludzi do obecności ani odpowia...

– A jednak! – przerwała mu Ana, wyrwała kolejny pergamin z pliku i klepnęła go wierzchem dłoni. – Jego sąsiad, niejaki Linz Kestip, również papiernik, sumiennie dostarczył ci wszystkie swoje ostatnie zamówienia na paprociowy papier... W tym jedno, które w rzeczywistości pochodziło od jego sąsiada, nieobecnego Subereka! To w zasadzie odsprzedaż. Kestip przekazał odpłatnie Suberekowi sześć paneli paprociowego papieru! Całkiem sporo. To jest właśnie to czwarte zamówienie, o którym wspomniałam. I zarazem nasz najlepszy trop.

Strovi, przytłoczony tą lawiną nazwisk i danych, spojrzał na mnie, niemo prosząc o pomoc.

Westchnąłem, ale włączyłem się do rozmowy.

– I co w tym takiego znaczącego, pani?

– Otóż znacząca, Din, jest wielkość tego zamówienia – odparła. – Kestip sprzedał temu teraz zaginionemu Suberekowi dużo paprociowego papieru, i to za wysoką cenę. Jakby Suberek dostał jakieś wielkie zamówienie, na ilość przekraczającą jego własne zapasy magazynowe, zamówienie, które musiał szybko zrealizować. – Ana odwróciła się do mnie z uśmiechem. –

Plus jeszcze ta data. Otóż transakcja ta miała miejsce siedem dni przed zawałem!

W mój umysł zaczęło się wkradać zrozumienie.

– Tego samego dnia, którego, według naszych ustaleń, doszło do skażenia inżynierów... – powiedziałem.

– Tak. Tuż po otruciu inżynierów Suberek najwyraźniej dostał bardzo duże, bardzo pilne zamówienie na papier paprociowy od jakiegoś tajemniczego klienta. Tak duże, że żeby je zrealizować, musiał odkupić kilka paneli od swojego sąsiada! To nieco podobne do tej sytuacji, kiedy dozorca musiał pośpiesznie wymienić drzwi po skażeniu prefekta Blasa, tyle, że zniszczenia musiały mieć znacznie większą skalę. A teraz, no cóż... Suberek nie otwiera, nawet gdy do jego drzwi pukają legioniści...

Zaalarmowany Strovi wyprostował się gwałtownie.

– Uważasz, pani, że ten Suberek może znajdować się w niebezpieczeństwie? – zapytałem.

– Nie wiem, ale chciałabym się dowiedzieć, gdzie się podziewa. Oraz, co ważniejsze, komu dostarczył to szczególne zamówienie. Albowiem ten adres jest pewnie miejscem, w które Jolgalgan przyniosła plamisklanę, albo miejscem, gdzie dokonano skażenia. – Ana obróciła twarz w stronę Stroviego. – Już po południu. Większość dnia strawiliśmy na grzebanie w papierach. Muszę zawiadomić teraz resztę zespołu o naszych odkryciach, ale z tego, co pamiętam, obowiązek zachowania ciszy nocnej dotyczy wszystkich poza personelem Legionu, tak?

– Tak, pani.

– A więc proszę cię, kapitanie, żebyś eskortował Dina do papierni tego Suberka, żeby sprawdzić, co się dzieje z właścicielem. I zabierz od razu klucze reagentowe inżynierów, na wypadek, gdybyś od razu ustalił miejsce dostarczenia paneli. – Podniosła palec. – Ale zanim pójdziecie, Din, chciałabym zamienić z tobą słówko.

* * *

Odczekałem, aż drzwi za Strovim się zamkną.

– Jak wyglądało to dzisiaj, pani?

– Tak sobie – westchnęła. – Miljin znalazł trupa. I pieniądze. I przepustkę. Był zszokowany i wielce oburzony. Zaniósł to wszystko do Uhada, który zareagował podobnym szokiem i oburzeniem. Uhad pokazał znalezi-

ska Kaliście, która, jak poprzednicy, była zszokowana i ogromnie oburzona. Potem Miljin poszedł sprowadzić Nuis, pewnie był w drodze do niej, kiedy na niego wpadłeś. Podejrzewam, że jej reakcją również były odpowiednio dużo szok i oburzenie. Sama też odegrałam dzisiaj dużo scenek, Din, ale nie udało mi się jeszcze odkryć, czy nasi współpracownicy również udawali, czy też nie. Wszyscy zareagowali tak, jak powinni.

– A więc już możesz im ufać?

– Och nie. Nadal coś mi się w tym wszystkim nie zgadza. I nadal nie wiem co. Ale dzisiaj, Din, bądź czujny i ostrożny. Musimy odnaleźć miejsce zbrodni, a z pewnością ktoś nie zechce do tego dopuścić. Strovi wydaje się wiarygodny, ale... Trzymaj rękę blisko miecza.

– Mój miecz, pani, nadal jest drewniany.

Zasepiła się, przekrzywiając głowę.

– No tak. Wobec tego zawiąż porządnie buty, żebyś w razie czego mógł biegusiem uciekać.

Rozdział dwudziesty

Wyszliśmy ze Strovim, gdy umilkły dzwonki na ciszę. Powygaszano wszystkie latarnie, a wyludnione ulice oświetlał częściowo zasnuty chmurami księżyc. Jedyne sztuczne światło dawał kołyszący się w ręce Strowiego lampion oraz te noszone przez patrolę Legionu.

Gdyby nie Strovi, zamknęliby mnie, zanim uszedłbym dwadzieścia kroków od wieży. Za każdym razem, gdy jakiś legionista nas zauważał, ruszał w naszym kierunku biegiem i nagle zatrzymywał się na widok szarży kapitana, a potem kłaniał się, salutował i pozwalał nam przejść. Strovi często rzucał podkomendnym słowo zachęty, klepał po plecach czy odchodził, żegnając się uśmiechem. W ciemności nocy wydawał się znacznie starszy i bardziej pewny siebie niż ja. Musiałem sobie przypominać, że jesteśmy niemal w tym samym wieku.

– To przez dezterterów – rzucił prawie przeprasząco na jakimś zakręcie.

– Słucham, panie?

– To przez nich jest tyle patroli. Nocą na ulicach robi się niebezpiecznie. Wielu buntowników i dezterterów ucieka z murów i próbują się przedostać poza granice kantonu. Kapitan Miljin może i wyglądał jak wariat, tak wymachując mieczem, ale nie mylił się, wspominając o zagrożeniu. Za dnia ukrywają się w domach, a nocą ruszają w drogę.

Nie udało mi się stłumić ziewnięcia, choć próbowałem.

– Rooo...zumiem, panie. Będę to miał na uwadze.

– Zmęczony. – Uśmiechnął się współczująco.

– Trochę, panie. Nie przywykłem do spania wysoko na wieży. Szczególnie takiej, którą porusza wiatr.

– Zatrzymajmy się zatem przy bazie. I mnie przydałaby się kapka pali-buta.

Odbiliśmy w bok, a za zakrętem ujrzałem ustawiony na ulicy ogromny namiot z czarnego płótna. Kręcili się przed nim legionieści, w różnym stopniu uzbrojeni, odpoczywając, przegrupowując się lub odbierając rozkazy. Choć byłem wysoki, większość z nich przewyższała mnie wzrostem, masą i najpewniej siłą – napakowane wzmocnieniami byczki, każdy zdolny przeciąć mnie wpół jednym machnięciem topora. Ale Strowiemu, który prowa-

dził mnie na tyły, salutował każdy, pochylając z szacunkiem głowę i waląc się w obojczyk.

W głębi namiotu stał gliniany piecyk, w którym wesoło buzował ogień. Uwijało się przy nim trzech chłopaków, dorzucając drewno i doglądając gotującej się wody. Strovi pokazał im dwa palce, a oni nalali do dwóch kubków naparu, a potem z glinianej baryłki do każdego chlusnęli od serca opiwina.

Strovi podał mi kubek.

– Palibut. Klarbata z grzańcem. Będziemy po tym płaść do białego rana. No, do dna, Kol.

Przechylił swój kubek, a ja zrobiłem to samo. Napitek był gorący, cierpki i słodkawy, całkiem przyjemny w smaku. Natychmiast poczułem rozchodzące się po ciele ciepło, a potem dziwne bulgotanie w głowie, jakby gotowało się w garnku.

Strovi uśmiechnął się, widząc moją minę.

– Apotekarze dokonali wielu niesamowitych modyfikacji, ale ten gatunek klarbaty to mój ulubiony.

Grzaliśmy się w ciepłe bijącym od pieca, sącząc resztę herbatki.

– Ostatni haust można w zasadzie pogryźć – rzucił ze śmiechem Strovi.

Wypytywał mnie uprzejmie o pracę w Jurysie, w Daretanie i pod zwierzchnictwem Any. Dzwonne to było dla mnie uczucie, bo od miesięcy nie rozmawiałem z nikim tak swobodnie. Z Aną to było oczywiście nie do pomyślenia, a nie znałem nikogo takiego jak Strovi, który uosabiał kwiat imperialnego Jaletu. Pewny siebie, poruszał się z gracją, a z przystojnej, szlachetnej twarzy nie schodził uśmiech rozjaśniający zielone oczy.

– Miło posmakować odrobiny wielkomiejskiej rozrywki, nie? – zakończył. – Jedyne, czego brakuje nam do szczęścia, to dobry dymek.

– Ach, chwileczkę, panie. – Sięgnąłem do kieszeni po połówkę cygarnika ze strzelisłomki, którą dał mi Miljin.

– Normalnie magia! – roześmiał się Strovi. – Aż mam ochotę spytać, co tam jeszcze ukrywasz. – Przywołał gestem chłopaka, który przyniósł rozgrzane żelazo z ognia. Strovi przyłożył je do cygarnika i zaciągał się, póki koniec się nie rozżarzył. Potem wciągnął dym głęboko do płuc i rozkoszował się aromatem, wypuszczając powoli przez nos. – Całe lata nie miałem w ustach tak wybornego zioła. Skąd je masz?

– Od Miljina. Hm, a raczej od signuma Vartasa, który z radością podzielił się nim z Miljinem tuż po tym, jak ten groził mu kastracją i rozczłonkowaniem.

Strovi zaśmiał się donośnie.

– Ach, stary nie zmienił się ani na jotę. Żelazna pięść w żelaznej rękawicy, subtelny jak sześć grzmotnień młotem.

– I tak można go opisać, panie.

– Nie musisz mi tak panować, Kol. No bo w sumie to ja jestem jakby pod twoim dowodzeniem w tej sprawie.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Wizja, że miałbym dowodzić tak doświadczonym, wysokiej rangi funkcjonariuszem, całkiem mnie ogłuszyła.

Podał mi cygarnik.

– Dalej, jest twój, nie powinienem cię opalać.

Przyjąłem cienką strzelisłomkę, wziąłem do ust w miejscu, gdzie dotykały jej jego wargi, i zaciągnąłem się mocno. Nigdy wcześniej nie paliłem, nie mogłem sobie pozwolić na tak kosztowny nawyk, ale rozkoszowałem się aromatem i łaskotaniem, kiedy dym zdawał się kręcić w moim brzuchu niczym tancerka.

– Och, mógłbym do tego przywyknąć – stwierdziłem.

– Wyglądasz teraz jak miejscowy, w tym kapeluszu i z cygarnikiem – zaśmiał się Strovi.

– Ale tylko wyglądałam. Nie spodziewałem się nigdy wylądować w takim miejscu. W zeszłym miesiącu zarabiałem głównie tropiąc oszustwa finansowe.

– To nie takie rzadkie. – Strovi potoczył wzrokiem po legionistach kręcących się w pobliżu pieca. – Wielu z nich przeszło różne drogi, zawarło różne umowy i podpisało różne kontrakty, przehandlowując część swego życia za sakiewkę talintów. Ale gdy stoją tutaj, pośród innych, zdają sobie sprawę z tego, co nie takie oczywiste. Wtedy to widzą...

– Co widzą, panie?

– To, czym naprawdę jest Imperium. – Uśmiechnął się szeroko. – Te mury tam, niektóre ich fragmenty mają czterysta lat. Zostały wzniesione za czasów, gdy ziemie te ubijały stopami setki Khanów. Zaprojektowały i zbudowały je starożytne ludy, niektóre jeszcze dziwniejsze niż to, w co potrafia nas zmienić dzisiaj apotekarze. A odkąd ułożono pierwsze podwaliny murów, żaden lewiatan nie przebył Szlaku Tytanów i nie dostał się w głąb lądu. I żaden nigdy nie zbliżył się do Doliny Khanów. A to wszystko dzięki naszemu znojowi, naszej pracy i naszej służbie. – Na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. – Imperium to ci ludzie przed tobą i za tobą. Te

ciała, obute, które stoją na tych samych posterunkach zajmowanych przedtem przez starożytnych. Jesteśmy fundamentem, na którym stoi całe Imperium. I wszyscy jesteśmy w tej służbie równi i wspólnie tworzymy jej historię. Choć może przemawia przeze mnie tylko sentyment – dodał trzeźwo.

– Moim zdaniem w Talagray przydałoby się trochę tego sentymentu – powiedziałem. – Szczególnie po tym, co tu odkryliśmy, panie.

– Ha, mówiłem ci, żebyś porzucił te zbędne formalizmy. W końcu do swojej immunisy zwracasz się po imieniu.

– Ana... to co innego, panie. Sam miałeś okazję się przekonać.

– Tak, ale... – Spowaźniał. – Nie służysz w moim jalecie. Ja również mógłbym być inny. Mógłbyś zwracać się do mnie Kepheusie, jeśli byś chciał.

Wydał się naraz taki otwarty, szczery, gdy zajął mi w oczy. Mimo tych wszystkich wcześniejszych żarliwych słów sprawiał wrażenie takiego osamotnionego, stojąc w blasku ognia, z tymi lokami rozsyanymi na czole. Napomniałem się w duchu i powściągnąłem rozpasane myśli.

– Zresztą nieważne – powiedział nagle. – Może pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Wybacz. Pójdziemy dalej?

Skinąłem i podążyłem za nim w ciemną noc.

* * *

Było już całkiem ciemno, gdy dotarliśmy do dzielnicy, gdzie Suberek miał swoją papiernię. Zgodnie z tym, co sugerowała Ana, jego zakład był jednym z wielu w tej przemysłowej części miasta, gdzie wysokie, wąskie, drewniane budowle ustawione przy kanałach wykorzystywały nurt do napędzania licznych kół i mechanizmów. Papiernie były do siebie podobne, posiadały stajnie, a z tyłu duże wrota do załadunku wozów. Ogromne koła młyńskie tkwiły teraz nieruchomo, błękitnawe w świetle gwiazd. Za dnia musiał być to radosny widok, ale tej nocy wszystko wyglądało dziwnie i upiornie.

– To ten na końcu. – Strovi wskazał budynek.

Przyjrzałem się papierni Subereka. Budynek, stabilna konstrukcja ze słupów z kamiennego drewna i paneli grubego papieru, zdolna wytrzymać nawet poważniejsze wstrząsy, był cichy i ciemny.

– Zapukam – zaproponował Strovi, gdy podchodziliśmy. – Ale w razie czego, jako funkcjonariusz Legionu mam prawo wejść siłą do budynku,

jeśli nie otrzymam odpowiedzi. Jeśli więc nikt nam nie otworzy, wyważę drzwi, żeby sprawdzić, czy właścicielowi nic jest. Może tak być?

– Tak jest, kapitanie.

Olśnił mnie uśmiechem.

– To ekscytujące, prawda? Pewnie nigdy nigdzie się nie włamywałeś.

Uznałem, że lepiej przemilczeć tę uwagę.

Strovi podszedł do drzwi Subereka, wysoko unosząc latarnię. Idąc za nim, zobaczyłem wyraźniej stajnie. Cienie za ogrodzeniem migotały i drżały, jakby ciemność się poruszała. Być może był to efekt klarbaty krążącej w moich żyłach, ale wcale mi się to nie podobało.

Nadal wpatrzony w tamtą stronę, gdy Strovi unosił rękę, by zapukać, nagle coś zauważyłem. Chwyciłem go za przegub, zanim jego knykcie uderzyły w drzwi.

– Co robisz? – zdziwił się.

Wskazałem głową na stajnie. Wrota kołysały się, lekko uchylone, mimo że pozostałe budynki wokół były porządnie pozamykane.

– Otwarte drzwi? – wyszeptałem. – To dziwne.

Strovi przytaknął skinieniem, dobył miecza i razem ruszyliśmy w tamtą stronę.

Zagroda była pusta, żadnego kucyka, muła czy świni, które można by zaprząć do wozu. Kilka kopek odchodów, rozmokłych od deszczu, a w rogu siano. Zgniłe, jak się okazało, kiedy go dotknąłem. Powąchałem je i poczułem zapach pleśni. Musiało tak leżeć przynajmniej parę dni.

Pokazałem Strowiemu, żeby opuścił latarnię, i przyjrzałem się ziemi pod stopami. W błotku odcisnęło się mnóstwo śladów butów, wiele z nich większych niż moje, ale żadnych odcisków podków czy racic. A padało dzisiaj, o czym nieprzyjemnie przypominało mi wilgotne ubranie.

Spojrzałem w zastanowieniu na papiernię, przyjrzałem się oknom, poszukując jakichkolwiek oznak ruchu wewnątrz.

Wtedy wiatr zadał mocniej, zmieniając kierunek, a ja poczułem słaby, ale wyraźny zapach. Poryw ustał, ale rozpoznałem tę woń, smród rozkładu i zgnilizny.

Wpatrywałem się w dom, szumiało mi w uszach, a pot spływał po plecach. Drewniany miecz u boku ciążył.

– Coś jest nie tak – szepnął Strovi, blady w świetle lampionu.

Nie było to pytanie, ale przytaknąłem skinieniem. Potem podszedłem do bocznych drzwi, klęknąłem przy szczelinie i wciągnąłem nosem powietrze.

Smród był przemożny, znajomy, taki jak w domu Aristan. Oczy zaczęły mi łzawić i z trudem opanowałem odruch wymiotny.

Podniosłem się i podszedłem w róg zagrody. Strovi deptał mi po piętach, oświecając drogę.

– Co to? – szepnął.

– W środku jest coś nieżywego – odszepnąłem.

– Na Sanktuarium, jesteś pewien?

– Tak, panie. I od wielu dni w tej zagrodzie nie było żadnego zwierzęcia. Ale śladów butów jest mnóstwo. A deszcz padał zaledwie parę godzin temu. Czyli ślady są świeże. W przeciwieństwie do trupa w domu.

Strovi popatrzył na dom, odstawił latarnię i zasunął klapkę, gasząc światło.

– Są w środku, tak? – zapytał, a kiedy nie odpowiedziałem, mówił dalej.

– Pójdę sprowadzić patrol. Jak przyjdą, będziemy mogli ich otoczyć.

Spojrzałem w zamyśleniu na ciemną latarnię. Panika zaczęła mnie opuszczać.

– Zaczekaj. Zaświeć latarnię z powrotem.

– Co? Oszalałeś? Przecież zobaczą światło!

– Z pewnością już je widzieli, kiedy podchodziliśmy od frontu. Wiedzą o nas.

– I co?

– I to, że światło nagle zgasło, a oni nie widzieli, jak odchodzimy. Zaczną się zastanawiać i...

Boczne drzwi otworzyły się gwałtownie i wysypały się z nich postaci.

* * *

Naliczyłem pięciu wielkich chłopców w lekkich pancerzach. Sprzączki i ćwieki na zbroi połyskiwały w nikłym blasku, podobnie jak ich miecze.

Długie miecze. Broń cesarskich oddziałów. Jasne, lśniące, doskonale wykonane miecze do szybkiego, skutecznego zabijania. Ciemne postaci nie wydały żadnego okrzyku czy ostrzeżenia. Zbliżały się z obnażonymi ostrzami.

Strovi zareagował o wiele szybciej niż ja, błyskawicznie unosząc swój miecz do obrony. Jeden z napastników zamachnął się znad głowy, ale kapitan sparował cios, zrobił wyrok, gotów kontynuować walkę. Kiedy gapi-

łem się na dzielnego młodego legionistę, przyskoczył do mnie drugi bandyta.

Zamarłem, wpatrzony w zbliżające się ku mnie ostrze, kompletnie nie pojmując, co się właściwie dzieje. Nagle poczułem znajomy trzepot za oczami.

Wszystko zwolniło.

Naraz wszystkie kawałki obrazu, klingi, ustawienie stóp, ramion, postawy przeciwników, złożyły się w całość. Nachylenie nadgarstków, ustawienie bioder. Chwyty, jelce, kąt nachylenia ostrza. Wszystkie te informacje wryły się w mój umysł.

I nagle moje ciało zaczęło działać.

Nie dało się tego inaczej określić, bo mięśnie poruszały kończynami jakby bez udziału mojej woli, ustawiając szkielet, popychając poszczególne części.

Odskokczyłem, uważając, żeby nie wpaść na ścianę za mną. Potem wyciągnąłem mój drewniany miecz, dźwignąłem go oburącz i unosząc w górę łokieć, zablokowałem opadającą klingę przeciwnika.

Gdyby ostrze przeciwnika trafiło prostopadle, rozłupałoby drewnianą klingę, ale wcięło się pod skosem i zaklinowało. Bandyta stęknął zaskoczony.

Wspomnienia napłynęły falą do mego umysłu, wnikając w mięśnie.

W głowie rozbrzmiało mi echo porykiwań starego fechmistrza, princepsa Trofa: Zatrzymajcie zamach w odpowiedniej chwili, a otworzycie sobie drogę do ciała przeciwnika! I pamiętajcie, walka na miecze to nie walka samym mieczem!

Stary Trof pokazał nam, co robić.

A ja to zapamiętałem.

I znów się poruszałem.

Wykrok, wypchnięcie łokcia z całej siły. Celowałem w miejsce, gdzie, jak się spodziewałem, znajdowała się szyja bandyty. Źle oszacowałem. Łokieć uderzył w coś, co chrupnęło głośno. Trysnęła gorąca krew. Trafiłem go w nos.

Ciemność przede mną zawyła, ale nie zatrzymałem się. Mięśnie sterowały mną, powtarzając ruchy wykonywane podczas niezliczonych treningów szermierczych wiele miesięcy temu. Lewa ręka wystrzeliła, chwytając przegub, a drewniana laga dociążona ołowiem wyszarpnęła mu miecz z dłoni.

Puścił rękojeść, a kiedy się cofnął, chwyciłem głowicę jego broni, wyrwałem brzeszczot z mojej drewnianej klingi i przyjąłem pozycję do walki dwoma ostrzami.

Po raz pierwszy w swojej karierze trzymałem w ręku prawdziwy, cesarski, ostry miecz.

Popatrzyłem na pole bitwy.

Strovi walczył z dwoma, ale trzymał się na nogach. Napastnik, którego rozbroiłem, leżał zwinięty w kłębek na ziemi. Czwarty bandyta nadchodził z lewej, warcząc i wymachując mieczem to w jedną, to w drugą stronę na wysokości moich barków i szyi.

Bulgotanie w głowie i pamięć do widoku jego pozycji dopasowała ripostę.

Zdecydował się na fatalne posunięcie.

W szermierce wszystko opiera się na odsłonie i dźwigni! Który zamach, cięcie, sztych robi dla przeciwnika lukę i daje dostęp? W jakim miejscu i momencie najlepiej zatrzymać ruch? Gdzie powinna zaczynać się i kończyć krzywa, po jakiej porusza się klinga? To właśnie język mieczy, moje dzieci!

Mięśnie znów przejęły kontrolę nad moim ciałem, które zrobiło wyrok z ostrzem uniesionym pionowo w górę, aby zatrzymać wraźą klingę w pół zamachu.

Stal uderzyła o stal, a drgania spływały aż do mojego nadgarstka. A ponieważ zablokowałem ruch przeciwnika na samym początku, zyskałem pełny dostęp do jego korpusu. Trzy minispany! – wrzeszczał Trof w moich wspomnieniach. Trzy minispany, dzieci! Na tyle sztych musi się wbić w tułów lub szyję, żeby unieszkodliwić i zabić przeciwnika! Nie wkładajcie w to więcej wysiłku, niż trzeba!

Przechyliłem ostrze pod kątem, więżąc na jelcu wraźą klingę w miejscu mocy, a potem pchnąłem, wbijając sztych w jego gardło.

Rozległo się krztuszenie. Obryzgała mnie ciepła krew, poczułem na języku słonawy posmak, zapiekły mnie oczy. Zamrugąłem, a postać osunęła się w tył, znikając w mroku.

Nie miałem czasu na myślenie, bo już z prawej zbliżał się kolejny przeciwnik, z wrzaskiem, szarżował mieczem niczym piką. Gdybym był odrobinę wolniejszy, nadziałbym się na sztych, ale z refleksem ożywionym pali-
butem rozpoznałem ten rodzaj ofensywy, a pamięć podsunęła mi unik i ripostę, którą kazał mi ćwiczyć Trof.

Uskoczyłem w bok, uchodząc ostrzu, grzmotnąłem mocno w krawędź klingi, tak żeby głownia przekreśliła się, obracając rękojeść i rozluźniając jego chwyt. Chwyt, dzieciaki! – pokrzykiwało wspomnienie Trofa. Chwyt to najsłabszy punkt wszystkich starć! Potem parłem naprzód, uderzając ponownie, tym razem w zastawę, licząc, że mocny cios uniemożliwi mu reakcję.

Coś chrupnęło, być może trafiwszy wyżej, odciąłem mu kciuk. Zatoczył się z wrzaskiem i chciał chwycić broń sprawną ręką, ale było za późno. Mięśnie wypchnęły moje ramię, które wbiło mu sztych w bark, a potem szybko się cofnęło i gdy się obrócił, cięło w bok kolana. Runął w błoto, jęcząc i skrzecząc z bólu.

Usłyszałem stęknienie. Mężczyzna z rozwalonym nosem otrząsnął się i dźwignął, a następnie rzucił się na mnie z rykiem. Błyskawicznie poderwałem ostrze, a wtedy nadział się na nie. Trafiło w tułów, przy szyi. Cofnął się, zatoczył i próbował jeszcze obrócić, żeby na mnie spojrzeć, ale wpadł na lampion, odkopując go dalej. Podczas upadku klapka się otworzyła i błękitny blask zamigotał, oświetlając mężczyznę. Trzydziesto-, może czterdziestolatek, krwawił z rozbitego nosa i głębokiego rozcięcia pod obojczykiem.

Wbił we mnie wzrok i poruszył ustami, z których jednak nie wydobył się żaden dźwięk. Zamrugał, jakby budził się z kosmaru, a potem runął na bok.

I znów moje ciało się poruszało, pchane naprzód, nogi unosiły się i ubijały błoto w zagrodzie. Strovi nadal walczył z dwoma przeciwnikami, obaj byli zwrócenii tyłem do mnie.

I znów usłyszałem echo pokrzykiwań Trofa. Kawaleria Rathraska, ścigając uciekających wrogów, dźga ich włóczniami pod kolana! Powalić przeciwnika, a potem go wykończyć!

Obserwowałem bezsilnie, jak mój miecz wysuwa się naprzód i zatacza łuk, by przeciąć ścięgna podkolanowe jednego z przeciwników Stroviego. Ale zamiast oporu pod ostrzem poczułem, jak piętą trafiam na śliską grudę błota, moja stopa sunie gwałtownie po mokrej ziemi, a po chwili gruchnąłem pod nogi tego, którego chciałem podciąć.

Określił się, unosząc miecz, i już zaczął opuszczać go w dół, prosto w moją pierś, gdy z nasady jego szyi chlusnęła krew. Twarz zaalała mi ciepła ciecz, a kiedy otarłem oczy, zobaczyłem, jak raniony bezskutecznie usiłuje

zatomować krwotok, zaś zza niego wyłania się Strovi z pociemniałym, ociekającym mieczem.

Nie widziałem, jak kapitan pokonał przedostatniego przeciwnika, bo oszołomiony upadkiem gramoliłem się niezdarnie z błota, usiłując otrzeć oczy. Ale gdy wreszcie udało mi się usiąść, dostrzegłem tylko, że Strovi stoi w zagrodzie, dysząc ciężko, lecz o własnych siłach, a gdzieś w tle rozlegały się pojękiwania.

Dźwignąłem się i rozejrzałem wokół. Wspomnienia treningów odpłynęły z mego ciała, jakby ktoś zdjął z niego zasłonę.

– Kim... Kim są ci ludzie? – wyjąkałem.

– Ci ludzie? – odezwał się Strovi. – Lepiej powiedz, kim ty jesteś?

– Ja? Ale...?

– Gdzie, na jaja lewiatana, nauczyłeś się tak walczyć? – zapytał wyraźnie zdumiony. – Zabiłeś dwóch i unieruchomiłeś trzeciego!

– Ja... ja tylko przypominałem sobie swoje treningi – wymamrotałem.

– Przypomniłeś sobie? Podstawowe szkolenie?

– No tak. A co?

Potrząsnął głową, jakby sobie w niej coś układał.

– To dezerterzy, legionieści. Widać po strojach. Musieli się zaszyć w domu papiernika. Nie sądziłem, że kiedykolwiek dożyję dnia, kiedy jurysta pokona legionistę, a co dopiero trzech naraz... – Znów potrząsnął głową. – Niech to lewiatan. Skoczę po patrol, a ty się nie ruszaj, rozumiesz?

Kiedy skinąłem na potwierdzenie, ruszył biegiem i zniknął w uliczce.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Patrol legionistów przybył, żeby rozprawić się z dezerterami, ja zaś wszedłem do cuchnącej rozkładem papierni. W tym ciemnym, przestronnym miejscu wpadający przez świetliki zimny blask gwiazd oświeślał przycupnięte w kątach szkielety maszyn i zwieszające się z belek wiechcie papierotnika. Całe to wnętrze przypominało grobowiec, ale byłem tak oszołomiony, że nie zwracałem na to uwagi. Opadłem na jakieś krzesło i siedziałem nieruchomo, wsłuchując się w dobiegające z zewnątrz nawoływania i pomruki żołnierzy.

Poczułem drganie gałek ocznych i napłynęły do mnie wspomnienia ciepłej krwi na policzku, słonawego posmaku w ustach, poruszających się niemo warg ranionego przeciwnika i te jego szeroko otwarte, przepełnione zaskoczeniem i bólem oczy. Ubrania na mnie sztywniały i cały się lepiłem od krzepnącej krwi. Jedyne, co mogłem zrobić, to się nie ruszać, żeby tego nie czuć. Strovi wszedł do środka, przyświecając sobie niesioną wysoko latarnią, którą odstawił na stół. Jego spocona twarz lśniła w błękitnawym świetle jak jasna plama.

– Widziałeś schody w dół, Kol? – zapytał.

– W dół? – Wykrzesalem z siebie odrobinę zdziwienia.

– Tak, do piwnicy. Nie sprawdzałeś tam?

Pokręciłem tylko głową.

– Rozmawiałem z nimi – powiedział Strovi, zapatrzone w mrok. – Mówili, że gdy się włamali, tak to już zastali. Uznali, że to miejsce jest opuszczone, weszli przez okno. A potem, gdy przeszukiwali dom, zeszli do piwnicy i... – Przełknął z trudem ślinę. – Posłałem legionistę do Jurysu, wkrótce powinien tu być cały zespół śledczy na czele z Uhadem, a na razie... – Otarł twarz drżącą ręką. – Powinieneś chyba wyryć sobie w pamięci wnętrze tego budynku. Pewnie twoja immunisa by tego chciała, prawda?

Gapilem się w przestrzeń. Słyszałem jego słowa, ale ich sens do mnie nie docierał.

– Din? – Popatrzył na mnie. – Din!

– Co? – wyszeptalem.

– Musisz wstać i obejść tu wszystko! To miejsce zbrodni! Wstawaj i...
A niech to szlag...

Chwycił mnie za gors i postawił na nogi. A potem spojrzał mi w twarz, współczująco, żarliwie, i wyciągnął chusteczkę.

– To była twoja pierwsza walka, tak?

Nie odpowiedziałem. Odpowiadanie na to wydawało mi się bez sensu.

– Na lewiatana, wyglądasz jak siedem nieszczęść. – Delikatnie otarł mi oczy, policzki, czoło i usta z krwi. A potem podał mi chustkę. – Masz, do miecza.

– Do czego?

– Miecza. Musisz go wytrzeć. Nie wolno chować do pochwy brudnego miecza. To niehonorowe.

Popatrzyłem w dół, na pokrytą krwią rękę, w której nadal ściskałem rękojeść miecza. Nie wiedziałem, że nadal go mam. Obserwowałem, jak Strovi ostrożnie ujmuje mnie za nadgarstek, a potem wyłuskuje głowicę z moich palców i wyciera.

– Masz – oddał mi broń. – Nie jest idealnie czysty, ale może być.

Machinalnie wsunąłem brzeszczot do pochwy, ale nie schował się cały. Była za krótka, zastawa wystawała na szerokość dłoni.

– Din, czy to twój miecz? – zainteresował się Strovi.

– Ja miałem drewniany. Straciłem go w walce.

– Dre...? Drewniany?!

– Jeszcze nie skończyłem terminu, panie. Jestem praktykantem.

Obaj wpatrywaliśmy się w niemieszczący się w pochwie miecz. A potem Strovi wybuchnął śmiechem.

– Na lewiatana! Nie mogę! No nie mogę!

Mimo okoliczności nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

* * *

Strovi zostawił mnie, sam poszedł zająć się trupami i rannymi, a ja w końcu wziąłem się w garść i zacząłem obchodzić pomieszczenia. Papiernia okazała się dziwnym, skomplikowanym miejscem, pełnym kadzi, pras, pasów i wszelkiego rodzaju maszyn, służących do warzenia, krochmalenia i prasowania pulpy papierotnikowej i formowania z niej tak powszechnie stosowanych w tym regionie paneli papierowych. Choć wiedziałem to wszystko, nie miałem pojęcia, jak właściwie działa taki zakład.

Ale najważniejsze dla nas było ustalenie, kto złożył tak duże zamówienie na papier tuż po tej nocy, kiedy prawdopodobnie wszyscy nieżyjący inżynierowie zostali skażeni, oraz sprawdzenie, co stało się z tym Suberekiem, właścicielem papierni.

Zerknąłem w mroczną gardziel korytarza na końcu pomieszczenia. To stamtąd bił smród, a wokół przejścia pełzały czarne muchy.

– Ciebie zostawię sobie na koniec – wyszeptałem do ciemności.

Przejrzałem wszelkie powierzchnie mebli i szafki, szukając dokumentów lub notatek, czegoś, gdzie Suberek mógł zapisać zamówienie, nazwisko, adres dostawy. Nie znalazłem jednak nic poza narzędziami i materiałami do wytwarzania papieru. Na środku warsztatu stał stary, wielki stół roboczy, o pokrytym rysami blacie, niestety pustym. Poza nim i maszynami nie było tu nic więcej.

Zabrałem się za boczne pomieszczenia. Stare posłanie, koc, chwiejny piecyk wypełniony zimnym popiołem. Przybory do golenia i naprawy ubrań. Wyglądało na to, że Suberek mieszkał w papierni, i to sam.

Znów spojrzałem w ciemny korytarz, rozbrzęczany i zionący fetorem rozkładu.

Ująłem latarnię, nabrałem tchu i zanurzyłem się w mrok.

Korytarzyk zwęzał się raptownie w małą klitkę z włazem, otwartym, o którego krawędź opierała się drabina. Kiedy jednak się do niej zbliżyłem, dostrzegłem w dole jakiś ruch.

Nie, nie ruch. Rozmigotane, drżące powietrze, od kotłujących się przy otworze czarnych much.

Przygotowałem się na najgorsze i zawiesiwszy latarnię na przedramieniu, zszedłem w dół, w ciemność.

Smród rozkładu zgęstniał tak, że łzy napłynęły mi do oczu. Wnętrze wrzało od owadów, wściekłych, że ktoś zakłóca im spokój. Kiedy zszedłem na sam dół, uniosłem latarnię wysoko i się rozejrzałem.

Piwnica okazała się niewielkim pomieszczeniem magazynowym, a raczej składzikiem, gdzie papiernik trzymał skrawki papieru do ponownego przetworzenia, drewniane ramy, części pras i innych maszyn. A na samym końcu siedziała postać zwrócona do mnie plecami.

Przez chwilę patrzyłem na tę figurę osłoniętą gęstą zasłoną much, aż w końcu zebrałem się w sobie i ruszyłem naprzód. Czarna zasłona niechętnie się przede mną rozstąpiła.

Przyjrzałem się ciału – mężczyzna, szeroki w barkach, masywny, w roboczym ubraniu. Kark i plecy pokrywała zakrzepła krew, choć rany na pierwszy rzut oka nie było widać. Przypomniałem sobie, że już widziałem coś podobnego.

Kucnąłem i zbliżyłem latarnię do głowy trupa. Tak jak przewidywałem, u nasady czaszki zauważyłem małą, ciemną dziurę. Dokładnie taką samą jak u Aristan.

Uważnie przypatrzyłem się twarzy nieżyjącego – duży nos, niejednokrotnie złamany w przeszłości, rzadka broda, krzaczaste brwi. Jeden sztuczny ząb, ciemnosrebrny. Domyślałem się, że mam przed sobą Yonasa Subereka, zaginionego papiernika. Nic więcej nie udało mi się wywnioskować z jego ciała.

Oglądałem dokładnie resztę piwnicy, rozgarniając przedmioty, ale niczego ciekawego nie znalazłem.

– Kol! – dobiegło mnie z góry chrapliwe, przytłumione wołanie Miljina.
– Jesteś tam, chłopcze?

– Tak, panie – odpowiedziałem, wstając.

W otworze wjazdu pojawiła się siwobroda twarz weterana.

– A niech to. Nie wleżę tam. Nie zmieszczę się. – Zamrugął i odgonił muchy. – A ty pewnie tam znalazłeś trupa, sądząc po smrodzie?

– Tak, panie. Myślę, że to Suberek. Właściciel papierni. Nie żyje.

– Jak zginął?

– Ma dziurę w czaszce, panie. Jakby mu ją ktoś wywiercił.

– Dziura w głowie... – wymamrotał Miljin. – Na tytana! To tak jak w tym ostatnim trupie.

– Tak, Aristan – przytaknąłem z poważną miną. – Ana mi mówiła.

Przyjrzał mi się spod oka.

– Strovi mówi, że to ty położyłeś tych trzech na górze. To prawda?

– Dwóch pokonał on, więc tych trzech pewnie przypada mnie.

Jego twarz ściągnęła się w dziwnej minie.

– To ciekawe, ciekawe. I powiedział, że zrobiłeś to, tylko przypominając sobie ruchy. Tak było?

– Tak, panie. Odtwarzałem z pamięci mój trening.

– To ciekawe, ciekawe – powtórzył. – Hm. No to wyłaż już stamtąd. Cały zespół śledczy jest już na miejscu. Na pewno będą się domagać odpowiedzi.

Rozdział dwudziesty drugi

– Zaczyna się tu zarysowywać raczej nieprzyjemny wzorzec – stwierdził Uhad ze znużeniem.

Słuchałem go, rozglądając się po piarni. Zebrał się tu cały zespół. Uhad, zwieszający głowę u szczytu stołu warsztatowego, znów przypominał wygłodniałego niebieskiego bociana, wpatrującego się smętnie w bezrybną rzekę. Ana z zawiązanymi oczami siedziała po jego prawej. Nachylona nad blatem, przesuwiała palcami po rysach i wgłębieniach na jego powierzchni. Naprzeciwko niej siedziała Nuis w swym nieskazitelnym, czerwonym płaszczu, znów pełna energii i radosna, nawet o tej później porze. Kalista z nieodłączną fajką w zębach, stanęła w głębi, pomiędzy pękami suszącego się papierotnika, mimo ponurego otoczenia nadal pełna blasku i uroku. Wyraźnie niezadowolona, że ją tu sprowadzono, wyglądała trochę jak synogarlica kameliowa bocząca się w swojej klatce.

– Możemy teraz z dużą dozą pewności stwierdzić, że ścigamy dwóch zabójców – ciągnął Uhad. – Jednego, który jako narzędzia mordu używa płamiszklanki, i drugiego, który wbija szpikulce w czaszkę. Zabójca płamiszklanowy najwyraźniej zniknął, ale ten drugi wciąż tu jest i... z zapalem zabija nadal. – Urwał z ponurą miną. – Zanim jednak przejdziemy do dalszych spekulacji, wolalbym, żeby to ostatnie ciało obejrzało bardziej doświadczone oko. – Odwrócił się do Nuis. – Ufam, iż jako apotekarka i immunisa nawykłaś do widoku zwłok...?

Pogodny uśmiech Nuis natychmiast zniknął, a apotekarka z westchnieniem zdjęła płaszcz, złożyła go porządnie i odłożyła na krzesło.

– Pójdę go obejrzyć – powiedziała, po czym zniknęła w cuchnącym korytarzyku.

– Nie potrzebujesz lampionu? – zawołał za nią Miljin.

– Nie, doskonale widzę w ciemności – dobiegło z głębi budynku.

Nie tylko ja byłem zaskoczony.

– A niech ich, tych całych apotekarzy – mruknął pod nosem Miljin.

– Mamy całkowitą pewność, że jest dwóch zabójców? – odezwała się Kalista. – Pierwsza ofiara zabita szpikulcem to asystentka Blasa, która wydaje się ściśle powiązana z korupcyjnymi działaniami zwierzchnika. Może więc chodzić o wyeliminowanie wszystkich mogących naprowadzić

na ślad większej afery. Ale skąd tu Suberek? Po co ktoś miałby mordować jakiegoś tam papiernika?

– Nie mam pojęcia... – przyznał Uhad. – No, chyba że Blas rozmawiał z nim? Ale to dość naciągane.

– A może nazbyt wąsko traktujemy to zacieranie śladów? – podsunęła Ana.

Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

– Co masz na myśli? – zapytał Uhad.

Ana wzruszyła ramionami.

– Możliwe, że ktoś bardzo nie chce, żebyśmy odkryli, jak, kiedy lub gdzie doszło do skażenia inżynierów, ponieważ to mogłoby prowadzić do ujawnienia jeszcze większej korupcji. Jeśli wyjdziemy z takiego założenia, a jednocześnie przyjmujemy, że Suberek dostarczył panele paprociowe, z pomocą których ukryto ślady... W takim przypadku zabicie go byłoby jak najbardziej rozsądnym posunięciem!

Cisza, która zapadła po jej wypowiedzi, była naładowana niepokojem.

– Jeśli tak – odezwał się Uhad – to musimy odnaleźć adres, pod który dostarczono zamówienie Subereka.

– Dokładnie! – przytaknęła Ana i zwróciła się do mnie. – Din, zanim dołączysz do poszukiwań, chciałabym zamienić z tobą słówko.

Pozostali ruszyli przeszukiwać papiernię, ja zaś podszedłem do zwierzchniczki.

– Tak, pani?

– Chciałabym, żebyś zaprowadził mnie do zagrody stajennej, to nie potrwa długo.

– Oczywiście. – Podałem jej ramię, którego się chwyciła, i wyszliśmy na zewnątrz.

* * *

Ciała martwych dezertków już zabrano. Zostało tylko błoto, krew i garstka funkcjonariuszy Legionu stojących pod ścianą.

Ana przystanęła pośrodku zagrody, nachyliła ku mnie twarz, trupioblądą w poświacie księżyca.

– Jak się czujesz? Dajesz jakoś radę?

– Tak, pani, czuję się dobrze.

– Co? Bzdura. Najpierw jacyś bandyci próbowali cię zabić, a potem ty najwyraźniej pozabijałeś ich. Jak po czymś takim możesz się czuć dobrze?

– To wszystko działo się tak szybko – powiedziałem cicho. – W ogóle nie myślałem podczas... gdy to się działo.

Przez chwilę było tylko słyszeć przyciszoną rozmowę legionistów.

– No cóż, nie utykasz – stwierdziła rzeczowo. – Puls na ręce jest silny i równy. Nie łapiesz z trudem oddechu. Więc nie jesteś ranny.

– Powiedziałbym, pani, gdybym był.

– Uhm, jasne. Należysz do tych nadobowiązkowych młodych chojraków, którzy ukrywają urazy z powodu poczucia dumy – warknęła. – Dlatego wołałam się upewnić.

Popatrzyłem na nią, zdziwiony gniewnymi nutami w jej głosie. Jej żyłaste palce wbijały się w moje ramię, jakby chciała mnie przytrzymać.

– Czy zrobiłem coś złego, pani?

– Miljin powiedział, że zabiłeś dwóch dezertków i jednego unieszkodliwiłeś. To prawda?

– Chyba tak... Właściwie to nie zostałem tu, żeby sprawdzić – odrzekłem sztywno.

– Powiedział też, że według Strowiego walczyłeś niezwykle sprawnie. I że twierdziłeś, że tylko odtwarzałeś zapamiętane ruchy, to też prawda?

– Tak, pani.

– Opisz to – zażądała ostro. – Opisz, jak to czułeś.

Tak też zrobiłem, zmagając się z objaśnieniem tego dziwnego uczucia, jakby moje mięśnie przypominały sobie właściwe gesty i poruszały mną jak meblem przesuwanym po pokoju.

Kiwnęła do siebie głową.

– A w Daretanie, kiedy parzyłeś mi herbatę, robiłeś to tak samo, identycznie za każdym razem. Łącznie z każdym ruchem tłuczka w moździerzu.

– Nie rozumiem, pani?

– I potem, gdy Uxos się na mnie rzucił. Zareagowałeś błyskawicznie i powstrzymałeś go, jakbyś zupełnie przy tym nie myślał.

Milczałem.

– I jeszcze to otwieranie zamków wytrychem. Nie znasz ogólnej koncepcji, ale pamiętasz poszczególne ruchy.

– Czy zrobiłem coś złego, pani? – powtórzyłem.

– Nie. Ale zrobiłeś coś interesującego! A szczerze mówiąc, Din, spodziewałam się tu zetknąć z różnymi interesującymi rzeczami, ale ciebie

pośród nich nie przewidywałam. I wcale nie chcę tego dla ciebie. Dzięki Sanktuarium, że to byli tylko dezterzy! Bo kiedy usłyszałam, że zostałeś zaatakowany w piarni Subereka... myślałam... że...

– Że co?

Potrząsnęła głową. Mimo połowy twarzy zasłoniętej opaską, i tak widziałem na niej strach. Po raz pierwszy widziałem, że się czegoś boi.

– Nic, nic – zbyła mnie.

– Nie wygląda na to, że to nic, pani.

– No niech ci będzie, do lewiatana! Jak o tym myślę, to jednak zrobiłeś coś złego, Din! Powinieneś dokładnie przeszukać cały ten cholerny budynek, zanim poszedłeś do tej cholernej piwnicy!

– Dlaczego?

– Bo skąd wiedziałeś, że jesteś sam? A przecież mógł tam być jeszcze ktoś, o kim nie wiedziałeś! Jeszcze jeden dezter albo... coś gorszego! Musisz być rozsądniejszy, chłopcze. Nie radzę sobie dobrze bez asystenta, sam o tym wiesz, i naprawdę nie mam ochoty cię teraz stracić! – Dźgnęła mnie palcem w pierś. – W tym mieście giną ludzie, którzy wiedzą znacznie mniej niż ty! Taki Suberek! Czy taka Aristan! Ty... Każdy wie, że twoja praca polega przecież na tym, żeby wiedzieć! Zachowuj się tak, żeby i ciebie nie sprzątnęli!

– Uważasz, pani, że ten nowy zabójca jest na tyle głupi, by wziąć na cel funkcjonariusza Jurysu?

– Oczywiście! Oczywiście, że jest!

I znów po jej twarzy przemknął ten skurcz lęku, a ja przypomniałem sobie słowa Miljina: Krążą plotki, że ostatni asystent Dolabry wpadł na niewłaściwy koniec miecza...

– Skup się, chłopcze! Chodźmy przeszukać, porządnie i właściwie, całą tę piarnię. I postaraj się nie utrudniać mi utrzymania cię przy życiu.

* * *

Przez godzinę wszyscy przepatrywaliśmy każdy kąt w zakładzie. Nie znaleźliśmy prawie żadnych zapisanych papierów, dokumentów, rachunków, ksiąg czy zamówień. Niczego. Jedyne godne uwagi odkrycie oznajmiła powracająca z dołu Nuis.

– Przedziurawienie nasady czaszki. Sądząc po wybromczynie w lewym oku, narzędzie zbrodni musiało sięgnąć aż do oczodołu. Ze względu na

gładkie krawędzie otworu przypuszczam, że to jakiś szpikulec.

– To sugerowałoby, że sprawca posiada jakieś wzmocnienie siły fizycznej, tak? – zapytał Uhad i skinął głową w stronę Miljina. – Podobne do tego, jakie posiada kapitan?

Zerknąłem na Miljina i ze zdziwieniem odkryłem, że przypatruje się z troską Anie.

– Tak, powiedziałabym, że tak – odparła Nusi. – Bardzo silna osoba, przy czym nieduża. Właz do piwnicy jest dość mały. Nie przecisnąłby się przezeń ani zmodyfikowany żołnierz, ani tym bardziej trzaskacz. Hm. To dziwne.

– Niepokojące – westchnął Uhad i potarł ze znużeniem oczy. – Cóż, nadal nie wiemy, gdzie dostarczono ostatnie zamówienie Subereka.

– Nie ma tu dosłownie nic – wycodziła Kalista. – To robota zawodowców, z całą pewnością. Usunęli każdy drobiazg, który mógłby nas naprowadzić na trop. Z tego, co tu widzę, zaczynam wątpić, że Suberek w ogóle potrafił pisać.

Ana pochyliła się, gładząc blat stołu.

– Nie – zaprzeczyła. – Potrafił pisać. I często to robił. Tutaj.

Wszyscy spojrzeli na nią, a potem na jej dłonie, które trzymała na stole jak wróżtrzcinka przepowiadająca przyszłość na jarmarku kantońskim.

– Chyba... – Kalista roześmiała się niedowierzająco. – Chyba nie sugerujesz, że potrafisz dotykiem odczytać, co pisał?

– Potrafię wiele rzeczy. A on, pisząc, mocno przyciskał popiołorys, bardzo mocno... Najtrudniej jest odgadnąć, co pisał ostatnio. – Jej palec zatrzymał się w jednym miejscu. – Data... któryś dzień hajnała. Chyba. Bo trudno odczytać...

– Czy to w ogóle możliwe? – zwrócił się Uhad do Nusi.

– Jak najbardziej – odpowiedziała apotekarka. – Sama znam kilka wszczepów uwrażliwiających, które pomagają rzeźbiarzom i chirurgom odnaleźć skazy w materiale czy tkance.

– Gdybyśmy mieli kawałek popiołorysu i cienki papier, mogłabym powiedzieć więcej.

Miljin i ja podaliśmy jej to, o co prosiła, a potem wszyscy w skupieniu obserwowali, jak Ana przesuwając popiołorys, pokrywając stół drobnym proszkiem.

– A teraz kartkę, proszę.

Na wzór sług nakrywających stół bogacza, rozłożyliśmy na blacie płachtę cienkiego papieru paprociowego. Następnie Ana wzięła rurkę strzelisłomki i turlała nią po papierze, dociskając go do drewna.

– Wystarczy. Teraz jeśli go zdejmujemy...

Podnieśliśmy z Miljinem płachtę i odwróciliśmy ją. Wszyscy aż jęknęli na widok płachty, która była pokryta szaroczarным proszkiem i niewyraźnymi, białymi napisami. Jak negatyw wydruku.

– Pewnie wygląda to jak byle jakie esy-floresy. Ale teraz należy odnaleźć najjaśniejsze zapisy, to one będą najnowsze. Ostatnie, co Suberek zapisał przed śmiercią, to zamówienie... Miejmy nadzieję, że powie nam to, gdzie je dostarczył.

W tym zadaniu byłem zupełnie bezużyteczny. Już normalne pismo odczytywałem z wielkim trudem, a to było znacznie gorsze. Na szczęście Miljin, Uhad, Nuis i Kalista pochylili się nad papierem, studiując go niczym święty tekst, aż Nuis, której wzrok był najlepszy, wskazała jeden róg.

– Tutaj... – powiedziała cicho. – To wygląda obiecująco. Spory fragment, jakby na wierzchu innych notek... Bardzo mocny i bardzo wyraźny. Jakby to, co pisał, było ważne.

Miljin zmrużył oczy.

– Tak... Ale to nie adres. Raczej jakby wskazówki.

– Tak! – Nuis przybliżyła latarnię. – Na północ na Ekipti... – odczytała. – Potem coś zupełnie nieczytelnego, a następnie... na zachód na Petros. Potem w prawo, jeszcze raz w prawo i... tyle.

Przywołałem w pamięci mapę Talagray i szybko odnalazłem pasującą ulicę.

– To wskazuje na długą drogę na zachodnim krańcu miasta, która biegnie wzdłuż osi północ-południe. Na mapach nie miała nazwy. Ale to tam Suberek musiał zawieźć ostatnie swoje zamówienie.

– Wiem, gdzie to – powiedział Uhad, głęboko zaszępiiony. – To dzielnica bogaczy.

– A Din jest w posiadaniu bardzo kosztownego klucza reagentowego. – Ana popatrzyła na mnie, ale nie ze zwykłym szerokim uśmiechem, a lekkim, przebiegłym uśmieszkiem. – Może powinni się tam udać z Miljinem i sprawdzić, do których drzwi pasuje?

Wyruszyliśmy z Miljinem w drogę, ale towarzyszył nam również Strovi, ponieważ nadal trwała noc i potrzebowaliśmy jego uprawnień. Podążając za wskazówkami, które wyryłem na pamięć, oddaliliśmy się od wschodnich umocnień miejskich, zostawiliśmy za sobą formobluszczowe wieże i zbliżyliśmy się do pagórków na zachodzie, na których rozpościerało się miasto.

– Ech, ech. – Miljin kręcił głową. – Akurat ziemiaństwo, niech to lewiantan porwie. Nie podoba mi się, że tacy ludzie są w to zamieszani.

– Dlaczego, panie? – zapytałem.

– Pewnie nie spotyka się takich wielu w Daretanie – rzekł – ale uwierz, to najpotężniejsi ludzie w Imperium. Kto posiada dużo ziemi, posiada też posłuch wśród tych, którzy się liczą. – Zerknął na Stroviego. – Nasz młody kapitan wie pewnie o tym więcej niż ja.

Strovi milczał, więc rzuciłem Miljinowi pytające spojrzenie.

– Strovi pochodzi z ziemiańskiego rodu – wyznał Miljin. – Trzęsą zachodnią częścią Tali.

Popatrzyłem zdziwiony na Stroviego, który łypnął na mnie z ukosa. Zauważyłem, że bez typowego dla niego uśmiechu.

– Przede wszystkim jestem legionistą, Miljinie – rzucił, chyba skrepowany. – Tak jak ty kiedyś. I jestem z tego dumny.

– I masz z czego. – Miljin skłonił mu się teatralnie. – Twoja odwaga i dokonania są niepodważalne. Ale właśnie dlatego nie masz zbyt wielu wzmocnień, prawda?

– Miljin... – Policzki Stroviego pokryły się rumieńcem.

– Zbyt wiele wzmocnień i trudniej mieć dzieci – kontynuował wiarus. – A klanowi Stroviego zależy na przedłużeniu rodu. – Niech cię lewiantan kopnie, Miljin! – fuknął Strovi. – Pilnuj własnego nosa!

Odchrząknąłem.

– Może jednak skupimy się na sprawie, która...

Miljin przerwał mi prychnięciem i potoczył wzrokiem po niewysokich wzgórzach przed nami.

– Sprawie, jasne. Choć mam złe przeczucia co do niej, Kol, skoro jest w nią zamieszane ziemiaństwo. Tylko patrzeć, aż wszystko skomplikuje się jeszcze bardziej.

Niebo na wschodzie pojaśniało od wyłaniającego się słońca, a ja zrozumiałem, co miał na myśli, mówiąc o dzielnicy bogaczy. Przed nami wznosiło się wiele ogromnych rezydencji – pięknych budowli o spadzistych dachach obwieszonych lampionami mai. Wszystkie otaczały mury z formo-

bluszczu, a przed niektórymi ustawiono wysokie, grzędowe bramy, ceremonialne konstrukcje wzniesione z drewna i pomalowane żywą czerwienią. Słyszałem o nich, wiedziałem, że są symbolem ziemiaństwa i łaski okazywanej mu przez cesarza. Były tak mocno związane z obszarnikami, że ich uproszczony wizerunek umieszczano często na ziemiańskich kontraktach – dwie pionowe linie przekreślone ukośnie dwiema łukowatymi. Bramy zrobiły na mnie ogromne wrażenie, podobnie jak same posiadłości.

Miljin splunął na ziemię.

– Aż czuć w powietrzu te pieniądze. Wysmarkaj nos, a znajdziesz na chustce talinty.

Szliśmy wzdłuż ziemiańskiej drogi. Po obu stronach ciągnęły się wysokie ogrodzenia otaczające tereny przed domami. W każdym znajdowały się dwie bramy, zwykła, żelazna, oraz druga, otwierana kluczami reagentowymi, która pozwalała służbie wychodzić i wchodzić o każdej porze. Podchodziłem ostrożnie do tych przejść z kluczem w dłoni. Bramy same w sobie były niesamowitymi konstrukcjami, często wykonanymi ze splecionych, powyginanych korzeni, kwitnących grzybów lub warkoczy pnączy, które tylko czekały na właściwy klucz, właściwy sygnał, by się rozstąpić.

Mój klucz najwyraźniej nie był tym właściwym, bo szliśmy tak długo, że słońce zdążyło oderwać się od horyzontu, a żadne z przejść się przede mną nie otworzyło.

– Może to dziwnie zabrzmieć, ale nasza porażka mnie cieszy – mruknął Miljin. – Mam nadzieję, że przejdziemy tą drogą do końca i niczego nie znajdziemy.

– Została jeszcze jedna brama – powiedział nagle Strovi dziwnie napiętym głosem.

Miljin spojrzał na niego zdziwiony.

– Na sraczkę tytana – wymamrotał. – To chyba nie jest...?

Zobaczyłem przed sobą przejście. Otwór w ogrodzeniu blokował wielki, dziwaczny, powykręcany korzeń, porośnięty jaskrawożółtym pnączem i upstrzony zielonymi naroślami. Kiedy zbliżyłem się doń powoli z kluczem reagentowym w ręce, pędy zaczęły się poruszać, więc, masywny korzeń zadrżał, a potem wszystko zaczęło się rozplątywać niczym żywy węzeł i rozsuwać, otwierając przejście. Przez dziurę ujrzałem w oddali zielone pagórki oraz wielką posiadłość o wielospadowym dachu. Ten nieomal pałac stał pośród wysokich drzew o białych pniach, które jaśniały w blasku wschodzącego słońca.

Skojarzyło mi się to z dniem, kiedy w Daretanie szedłem na oględziny ciała Blasa.

Dostrzegłem też bramę grzędową przed domem i namalowane na niej godło: pióro pomiędzy dwoma wysokimi, białymi drzewami.

Poczułem trzepot za oczami. Wyryłem ten widok w pamięci zaledwie kilka tygodni temu.

Uświadomiłem sobie, że skojarzenie przyszło dlatego, że to miejsce było pod wieloma względami takie samo.

– Na skazę – wyszeptał Stovi. – To rezydencja Hazów... Inżynierowie spotykali się tutaj?

– Ze wszystkich pokalanych miejsc to oczywiście musiało być to! – pomstował Miljin ponuro. – W tym przeklętym domiszczu bywa więcej ważniaków niż w samym Senacie Sanktuarium. – Splunął ze złością. – No, chłopaki, chłopaki, wygląda na to, że będziemy się grzebać w gównie bogaczy.

O ile jednak moi towarzysze byli zaskoczeni, ja nie. Teraz wydało mi się to oczywiste.

Przypomniałem sobie, co Ana powiedziała po aresztowaniu Uxosa: Blas był uwikłany w układ z Hazami, a Hazowie z całą pewnością mają przyczółek w stolicy Tali, Talagray. Jeśli pójdziemy tym tropem, właśnie tam może nas zaprowadzić.

– Wiedziała – powiedziałem.

– Co? – zdziwił się Stovi.

– Ana wiedziała, gdzie to się stało – powiedziałem, odwróciłem się i zacząłem oddalać się od bramy reagentowej, która powoli się za mną zamykała. – Wiedziała od samego początku.

Rozdział dwudziesty trzeci

Pokój śledczy w wieży Jurysu nie był ani trochę czystszy niż na początku. Jeśli już, to w ciągu tych paru dni bałagan tylko się powiększył. Było brudniej i smrodliwiej za sprawą dymu fajkowego i gęstego oparu klarbaty. Kiedy wszedłem do środka, poczułem się nie lepiej niż w ciemnej papierni spowitej trupim fetorem.

Uhad, Nuis i Kalista podnieśli głowy, ale Ana siedziała rozparta na swoim krześle, z pucharkiem wina w dłoni, a jej twarz promieniała źle skrywaną satysfakcją. Miałem nadzieję, że poczuła, gdy spiorunowałem ją wzrokiem.

– No i, signumie? – westchnął ciężko Uhad. – Znaleźliście coś? – Jego rozbiegane oczy przesunęły się badawczo po naszych twarzach. – Wygląda na to, że tak...

– Chciałbyś, panie, wysłuchać pełnego raportu? – zapytałem, kłaniając się.

– Oczywiście.

Zacząłem relacjonować, przywołując każde wspomnienie, każdy zakręt, jaki pokonailiśmy, każde przejście, jakie badaliśmy. Robiłem to powoli, bo nie zakotwiczylem tych doświadczeń za pomocą zapachu.

Ostatnie zdanie wywołało reakcję całej trójki immunisów w błękitach, czerwieni i fiolecie.

Zwykle przyjazny uśmiech Nuis zadrżał, a potem został zmieciony miną tak poważną, jakby właśnie wysłuchiwała własnego wyroku śmierci. Uhad odstawił swoją filiżankę klarbaty zbyt gwałtownie, ochlapując parującym czarnym płynem stosik papierów leżących przed Kalistą. Ta ostatnia zakrztusiła się dymem z fajki i w spazmatycznych wstrząsach wysypała żarzące się ziele na stół, gdzie zgasło z sykiem w rozlanej klarbacie.

Potem wszyscy znieruchomieli, a ciszę przerywało tylko kapanie czarnych kropel na podłogę. Tryumfalny uśmieszek Any również zgasł, gdy z wolna obracała głowę, kierując przysłonięte oczy na współpracowników.

Naraz na jej twarzy odbił się niepokój. Wobec tego i mnie ogarnął niepokój.

– Uważasz... Uważasz, że do skażenia inżynierów doszło w domu Hazów? – wydukał Uhad.

Był tak pobladły ze grozy, że wahalem się, co odpowiedzieć. Spodzie-
wałem się, że kiepsko przyjmą nowiny, ale nie, że aż tak fatalnie.

– I jesteście pewni, że miało to miejsce osiem dni przed zawaleniem się
murów? – wydusiła Kalista, równie przerażona co śledczy Jurysu. – Że
morderca był tam w tym czasie? Tego dnia? Na tym przyjęciu?

– Umm, jakim przyjęciu, pani? – spytałem skonfundowany.

– Spokojnie, Kalisto – zwróciła się do niej cicho Nuis.

Zerknałem na Stroviego, którego zdziwienie dorównywało chyba
mojemu, za to Miljin wyglądał na ponuro rozbawionego.

Kalista zerwała się z miejsca.

– Może... Może powinnam się przebadać?! – wykrzyknęła. – Jest na to
jakieś badanie?! Znaczy się... Czy mam w sobie nasiona, które we mnie
rosną?!

– Kalisto! Gdybyś została skażona na tym przyjęciu, już byśmy o tym
wiedzieli! – usiłowała otrzeźwić ją apotekarka.

– Czyli że już bym nie żyła, tak?! – jęknęła Kalista.

– No cóż... oczywiście, że tak!

– Ale przecież nie wiemy, jak to działa! – pisnęła Kalista. Tak mocno
zaciskała palce na fajce, że cybuch pękł. – Nie wiemy dlaczego... Przecież
nie wiemy, skąd ten różny czas zakwitu u innych inżynierów! A, na Sanktu-
arium, ja też jestem inżynierem! Pewnie mnie też chcieli skazić, co?

Oczy Uhada zadrgały, a jego trzęsąca się ręka machinalnie sięgnęła po
filiżankę, którą uniosła do ust. Pustą filiżankę.

– Pamiętam... Pamiętam dobrze, że podczas przyjęcia nie widziałem
żadnych plam na panelach paprociowych... I nie było tam żadnej pary wod-
nej, z całą pewnością...

– Nie mogę oddychać! – jęknęła Kalista.

– Kalisto! – krzyknęła ostro Nuis. – Przestań histeryzować i słuchaj!

– Czu...czuję napięcie w płucach, czu...czu...czuję coś w środku...

Ana wstała i klasnęła głośno. Wszyscy zamarli. Potem spojrzała kolejno
na każdego z nich przez opaskę.

– Jak rozumiem, na osiem dni przed katastrofą w domu Hazów odby-
wało się jakieś wydarzenie towarzyskie? Przyjęcie, tak?

Pokiwali potakująco głowami.

Odchrząknąłem.

– Potaknęli, pani.

– Ach tak... I cała wasza trójka brała udział w owym przyjęciu? Dobrze rozumiem?

Roztrzęsiona Kalista tylko mamrotała coś bez sensu, więc Uhad westchnął i przejął inicjatywę.

– Tak. To prawda – odpowiedział niechętnie. – Ale byłem tam tylko przez chwilę.

– I nie widzieliśmy tam tych nieżyjących inżynierów! – zastrzegła pośpiesznie Nuis. – Przecież powiedzielibyśmy, gdyby tam byli.

– Jak najbardziej – poparł ją Uhad. – Na przyjęciu u Hazów było wielu znamienitych funkcjonariuszy jaletów, nie tylko my. Bywanie na tego rodzaju imprezach to nic niezwykłego. Ziemiaństwo wyprawia wiele przyjęć. Można się z części wymówić, ale nie ze wszystkich... No i na pewno nie z tych u Hazów.

– Szczegóły, proszę! – Głos Any chlasnął jak bicz. – Ile było ludzi na tym przyjęciu? Ile trwało?

– Ze sto, może więcej – powiedziała Kalista, która powoli dochodziła do siebie. – Trwało kilka godzin. Długo.

– Ale tamtych inżynierów tam nie było, jestem tego pewien – poświadczył ponownie Uhad.

– Skąd ta pewność? – zapytała Ana.

– Zajmujemy się tymi ludźmi codziennie od kilku dni! – uniósł się Uhad. – Wiedziałbym, gdyby tam byli!

– A czy wiesz, Uhadzie, jak w ogóle nasze ofiary wyglądały?! – zagrzmiała Ana.

– No... przecież pamiętam nazwiska! – przypomniał urażony Uhad. – Zawsze zapamiętuję nazwiska obecnych.

– A jeśli podali fałszywe? Co wtedy?

– Co to za ton, Ano? – nie wytrzymał stary rytownik. – Chyba nie myślisz, że to my dokonaliśmy skażenia ofiar?

– Nie wiem, co myśleć! Ale czy jesteście świadomy, wy wszyscy, że teraz jesteście świadkami, nie tylko skażenia i zabicia dziesięciorga inżynierów, ale również, jak wszystko wskazuje, aktu podżegania, który spowodował największą katastrofę naszych czasów? Nie zdajecie sobie sprawy, co to oznacza? W najlepszym przypadku – odpowiedziała sobie Ana, ponieważ milczeli, oszołomieni – musimy iść z tym do legatki Vashty i bezpośrednio zaangażować ją w sprawę.

Wszyscy, łącznie ze mną, byli wstrząśnięci tym, co powiedziała. Wydawało mi się, że jeszcze nie natrafiliśmy na wystarczająco poważne dowody, żeby zakłócać Vashcie pełnienie obowiązków seneszala kantonu.

– A niby czemu? – zapytał Uhad.

– Bo, jak mówiłam, jesteście świadkami! Nie możecie prowadzić śledztwa, które was dotyczy! Nie możecie siebie przesłuchiwać! Szczególnie że, jak się zdaje, pozostajecie w przyjaznych stosunkach z właścicielami domu, w którym skazono nasze ofiary! Miljin! – zawołała przez ramię.

– Tak, pani?

– Idź ze Strovim przekazać Vashcie nowiny. Musi się włączyć i zdecydować, co robimy dalej. Tylko szybko! Musimy pilnie nakreślić plan naszych kolejnych posunięć!

Rozdział dwudziesty czwarty

Legatka Vashta, pełniąca obecnie stanowisko seneszala kantonu, siedziała w sali arbitrażowej Jurysu, a jej szpakowate włosy połyskiwały w świetle latarni. Nie widziałem jej od tamtej nocy w Daretanie, ale wyglądała tak jak wtedy. Wysoka, w legionowej czerni, poważna, wręcz surowa, przypatrywała się nam z uwagą jastrzębia skrybnego studiującego mysz.

Ana zaczęła mówić. Mówiła i mówiła. Mówiła, podczas gdy Vashcie na moich oczach dodawało lat. Garbiła się coraz mocniej, a na jej twarzy wykwiwały coraz to nowe zmarszczki.

– Ach tak – skwitowała, gdy Ana zamilkła. – Dziękuję za raport, immuno Dolabro.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Legatka siedziała, mrugając sporadycznie, jakby przyswajała to, co właśnie usłyszała.

– To... – Vashta omiotła wzrokiem pozostałe siedziska, a potem spojrzała w okna, jakby szukała za nimi pomocy. – To... Muszę powiedzieć, to regularna, pieprzona katastrofa – oznajmiła.

Jej słowa odbiły się echem od formobluszczowych ścian i drewnianych ław. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie Jurys kantonu ogłaszał wyroki za zbrodnie, a choć ani ja, ani Miljin, ani Ana nie popełniliśmy żadnego przestępstwa, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że wszyscy troje zaraz zostaniemy skazani.

– Cztery wstrząsy – powiedziała Vashta ponuro. – W ciągu minionego tygodnia odnotowaliśmy cztery wstrząsy. Rozumiecie, co to oznacza? Nadciąga lewiatan. Dokładnie teraz toruje sobie drogę przez muł i piasek morskich głębin. Zaatakuje w ciągu najbliższych siedmiu dni, może wcześniej.

– To potworne. – Głowa Any kiwała się jak u glingołębia spacerującego po rynku. – Okropne.

– Aby przetrwać porę deszczową, potrzebujemy inżynierów, wszystkich dostępnych i wszystkich w pełni sił. Potrzebujemy silnego, stabilnego Tala-gray. Potrzebujemy wszystkich tych złożonych działań niezbędnych do utrzymania murów, potrzebujemy bombard i zwartego, gotowego Legionu. A wy mi mówicie, że nie tylko nie znajdujemy się bliżej ustalenia, kto zabił tych dziesięciu inżynierów, ale uczciwość niemal całego zespołu śledczego została narażona na szwank. Albowiem, jak się okazuje, do skażenia mogło

dojść w domu jednego z najpotężniejszych rodów w całym Imperium! I to dokładnie w momencie, gdy moi śledczy raczyli się obok opiwinem! – powiedziała Vashta pełna grozy. – Wydawało się mi, że... Podobno badaliście ruchy inżynierów pod kątem jakichś tajnych spotkań, Dolabro, lub innego lewiataństwa?

– Tak było, pani – potwierdziła Ana.

– Ale teraz uważacie, że spotkania te odbywały się w domu Hazów? W ich tutejszej rezydencji? A to ostatnie spotkanie mogło mieć miejsce podczas jakiegoś przyjęcia?

– Tak wynika z naszych ustaleń, pani. Ofiary posiadały klucze reagentowe do przejścia w ogrodzeniu posiadłości Hazów. Uważam, że cała dziesiątka była tam w dniu przyjęcia i że właśnie tam doszło do skażenia. Nie jestem jednak pewna ani jak to się odbyło, ani dlaczego.

Mięśnie na policzkach Vashty zafalowały, gdy legatka zgrzytnęła zębami.

– Miljin? Czuję się niezręcznie, zadając ci to pytanie, ale czy przynajmniej ty możesz przysiąc, że tam nie byłeś?

– Nie byłem, pani. Nie zapraszają mnie na wypasione imprezy. Może dlatego, że zapodziałem gdzieś moje baletki.

– Przynajmniej tyle dobrego w tym szambie. Wobec tego możesz nadal pracować przy tej sprawie. – Vashta przesunęła palcami po grawerze na swoim hełmie. – Sen sez imperiya – powiedziała cicho. – Działania Imperium muszą być uczciwe i przejrzyste. Bo jeśli Imperium źle działa dla jednego, źle działa dla wszystkich. A wtedy nie zdoła swymi działaniami powstrzymać lewiatanów. – Spojrzała ostro na Anę. – No cóż, immuniso, wykonałaś tu kawał dobrej roboty.

Ana zintensyfikowała kiwanie głową.

– Dziękuję, pani.

– Nie tylko ustaliłaś prawdopodobny czas i miejsce zbrodni, a to wszystko w ciągu zaledwie kilku dni, ale przy okazji zdołałaś całkowicie podważyć wiarę, jaką pokładałam w jałety tego kantonu – powiedziała Vashta gorzko. – Imponujące osiągnięcie. W związku z tym liczę, że będziesz nadal wykonywać swoje obowiązki z równie oszałamiającą skutecznością.

Dłoń Any, wpłątana w fałdy szaty, zadrżała, bowiem moja zwierzchniczka wiedziała, co się stanie.

– Oczywiście, pani. – Pokiwała gorliwie głową.

– Od teraz jako główna śledcza – dokończyła Vashta. – Musisz zacząć od przesłuchania Uhada i reszty. Zrób to natychmiast. Musimy jak najszybciej zebrać ich zeznania.

– Oczywiście, pani.

– Dobrze. Czy jest coś jeszcze, co chciałabyś mi powiedzieć? – spytała legatka. – Może masz jeszcze jakiś inne klucze reagentowe, które mogą otwierać... ja wiem? Cesarską szufladę z bielizną?

Jej pytanie zawisło w niezręcznej ciszy. Zerknąłem na Miljina, na którego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Cóż... – zaczęła Ana.

– Nie, nie mów, że masz? – jęknęła Vashta.

– Obawiam się, pani, że mamy jeszcze jeden.

– Żartowałam! – wykrzyknęła legatka. – Już nigdy w życiu tego nie zrobię, skoro bogowie biorą moje żarty za życzenia i je spełniają! Gdzie go znaleźliście?

Ana opisała wszystko, co znalazłem w kryjówce Rony Aristan. Z każdym jej słowem zdumienie Vashty rosło, a Miljin, najpierw wyraźnie oburzony, że byłem tam przed nim, potem poprzestał na spokojnej rezygnacji.

– Teraz już wiem, skąd te plotki, że praca dla Dolabry to pewne szaleństwo – mruknął, kręcąc głową.

– Czy wiemy, w jaki sposób Blas mógł wejść w posiadanie takiej sumy? – zapytała Vashta. – I jak się to łączy z jego zabójstwem oraz śmiercią reszty inżynierów?

– Jeszcze nie, pani.

– I jesteś pewna, że ten zgubny wpływ nie rozciąga się na żadnego z pozostałych śledczych?

– Obecnie wydaje się, że ich udział, choć pożałowania godny, był w tej sprawie przypadkowy.

– A co otwiera ten ostatni klucz reagentowy?

– Tego również jeszcze nie wiemy, pani. Wydaje się znacznie mniej wyszukany niż te do posiadłości Hazów, więc wątpię, by dawał dostęp do czegoś równie... kontrowersyjnego, jednak... przekazaliśmy go Nusis do zbadania. Nie wiem, czy miała dotąd czas, by to zrobić.

Vashta ponownie zmierzyła nas ponurym spojrzeniem.

– A więc uzyskaj od niej te informacje, kiedy będziesz ją przesłuchiwać. Przypominam, że sprawa jest pilna.

– Oczywiście, pani – zająknęła się Ana, jakby niepewna. – Tyle że najpierw musimy...

– Hazowie – westchnęła legatka. – Pewnie chcesz iść do ich domu?

– Tak, pani.

– I przeszukać posiadłość?

– Tak, pani.

– I uzyskać listę wszystkich gości oraz członków rodziny obecnych na przyjęciu?

– Tak, pani.

– I, jak miemam, przesłuchać również ich służbę oraz innych domowników? Jak byle wieśniaków?

– To byłoby niezwykle pożądane, pani.

Omiał nie parsknąłem śmiechem, obserwując ten pokaz pokory w wykonaniu Any. Nie znała umiaru.

– Walczę z tytanami już od pięciu pór deszczowych – rzekła Vashta. – Jednak one są przynajmniej prostolinijne. Ziemiaństwo zaś... to zupełnie co innego. Zrobię, co w mojej mocy, immuniso, ale musisz coś wiedzieć. – Legatka wbiła w Anę chłodne, twarde spojrzenie.

– Tak, pani?

– Jestem seneszalką, ale moja władza ogranicza się do tego kantonu. Hazowie natomiast posiadają najbardziej urodzajne ziemie w wielu kantonach w całym Imperium. Bez reagentów uprawianych na ich polach obrona Imperium stałaby się niemożliwa. Nie mielibyśmy wszczepów zapewniających nam kamienne drewno, nie mielibyśmy słozeni ani trzaskaczy. Zabrałoby wszczepów leczniczych, składników past szwowych i innych. Na lewiatana, przecież dwadzieścia procent naszych wszczepów formobluszczowych pochodzi z ich upraw! A więc dobrze, dam ci zgodę, ale bezwzględnie, ale to bezwzględnie zachowaj ostrożność!

– Oczywiście, pani.

– Szczególnie jeśli zdarzy ci się znaleźć w towarzystwie któregoś z członków rodu. To mało prawdopodobne, ponieważ Hazowie trzymają się na dystans, szczególnie tutaj, na Obrzeżach, gdzie jest tyle skażeń, niemniej jednak zaklinam cię, jeśli przypadkiem się z którymś zetkniesz, musisz być uprzejma, rozważna, uniżona...

Przerwało jej pukanie do drzwi.

– Niech to morze i lewiatani! – zagotowała się Vashta. – Co tam znowu!? Mówiłam przecież, żeby mi nie przeszkadzać!

Drzwi uchyliły się i przez szczelinę wsunęła się głowa Strowiego. Kapitan był bardzo zdenerwowany, ale to nie gniew zwierchniczki był tego powodem.

- Strovi? Czego chcesz?
- Jest tu ktoś, kto pilnie musi się z tobą zobaczyć, pani.
- Mówiłam, kapitanie, żeby mi nie przeszkadzać!
- Tak, pani, ale jestem pewien, że tego gościa przyjmiesz.
- Kto to jest, na tytana! Sam cesarz się do mnie pofatygował?
- Um... nie. To Fayazi Haza, pani.

Cała złość wyparowała z Vashty w mgnieniu oka. Legatka spojrzała na Strowiego, potem na Anę, a potem wstała. W przeraźliwej ciszy zagrzmiął churkot odsuwanego krzesła.

- Ach tak. Wprowadź ją wobec tego.
- Strovi skłonił się i otworzył szerzej drzwi.
I wtedy weszła ona.

* * *

Dziewczyna, mniej więcej w moim wieku i mojego wzrostu, miała długą szyję, wielkie, fioletowe oczy i srebrzyste, proste włosy, które gęstą, lśniąca falą opadały jej na plecy. Powieki, o rzęsach grubych jak pnie kamienio-drzewa, mieniły się błękitnym i fioletowym pyłem, a uszy okalała siateczka wzorów naniesiona czerwoną farbą. Szara wstążka, haftowana bladozieloną nicią, przepasywała czoło tak śnieżnobiało i nieskalane, że skóra dziewczyny zdawała się emanować blaskiem, prześwitując gdzieś w szczelinach okrywającej ją po szyję szaty niczym smugi eterycznej jasności. Dziewczyna sunęła z gracją mimo sandałów na wysokich platformach.

Z pewnością była to najpiękniejsza istota, jaką w życiu widziałem. Nie najpiękniejsza kobieta ani najpiękniejsza osoba, ale właśnie istota. Zdawało się, że idąc przez salę rozpraw, roztacza wokół srebrzystą poświatę. Za nią podążała świta sług i strażników, uzbrojonych i czujnych, jednak ja widziałem tylko ją.

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, zacząłem zauważać szczegóły jej twarzy, kształt nosa, rysy... Była Sazinką, tak samo jak Ana, jedyna znana mi osoba z ludu Sazi.

Popatrzyłem na Anę, żeby potwierdzić moje przypuszczenia. I rzeczywiście, jednak przy tej okazji zauważyłem, że Ana w ogóle nie zareagowała

na pojawienie się młodej kobiety. Wydawała się dziwnie zadumana, nieobecna, jakby nieświadoma tego, co dzieje się wokół niej.

Młoda ziemianka stanęła przed Vashtą w towarzystwie tylko dwóch sług, Sublimów, sądząc po dystynkcjach na ich gorsach, na których brakowało jednak insygniów cesarstwa. Poruszyło mnie to, ponieważ nigdy wcześniej nie spotkałem Sublimów zatrudnionych w prywatnej służbie. Sześciu strażników zatrzymało się ze szczękiem pancerzy niepodobnych do tych używanych w Legionie. Byli prawie tak wielcy jak trzaskacze, a ich zbroje, składające się z ułożonych w skomplikowany sposób płyt, musiały być robione na zamówienie, ponieważ pasowały do nich jak ulał. Całe ich odzienie wyglądało na bardzo kosztowne.

Fayazi Haza spojrzała na Vashtę i ukloniła się lekko, ledwie skinieniem głowy. Vashta odwzajemniła powitanie, co zauważyłem, niechętnie. Ostatecznie żaden legat nie jest zachwycony, gdy podważa się jego autorytet.

– Fayazi Hazo – odezwała się Vashta formalnym tonem – to zaszczyt gościć cię w moich skromnych progach, pani. Co sprowadza cię do tak odległej dzielnicy miasta?

Mieniając się powieki Fayazi zatrzepotały, a gęsta firana rzęs poruszyła się niczym skrzydła motyla. Gdy dziewczyna przemówiła, jej głos okazał się cichy, lekko chropawy, o dziwnie dziecinny brzmieniu.

– Przybyłam, by zgłosić rzecz straszną.

Zerknąłem na Anę i Miljina, zastanawiając się, czy Fayazi chce złożyć jakieś oskarżenie przeciwko nam. Kapitan wyglądał na oszołomionego, ale Ana zupełnie nie. Siedziała nieruchomo z wypraną z emocji, całkiem nieprzeniknioną twarzą, na wpół skrytą za opaską.

– A cóż to za nieszczęście, pani? – zapytała Vashta.

– Jestem tu – rzekła Fayazi dramatycznym tonem – by zgłosić morderstwo.

Wychyliłem się naprzód. Miljin i Vashta wyglądali na zdumionych. Ana nawet nie drgnęła.

– Morderstwo? – powtórzyła Vashta. – A kogo zabito?

– Ofiarą jest mój ojciec. Zginął trzynaście dni temu.

Wychyliłem się tak mocno, że omal nie spadłem z krzesła. Miałem co prawda mgliste pojęcie o tym, kim była ta dziewczyna i jej ojciec, ale wiedziałem jedno – trzynaście dni temu, osiem dni przed powstaniem wyłomu, skażono dziesięciu funkcjonariuszy Jaletu Inżynierskiego.

– K...Kaygi Haza? – wyjąkała Vashta. – Kaygi Haza nie żyje?!

Ametystowe oczy Fayazi zamigotały pod trzepoczącymi rzęsami, a na obliczu dziewczyny pojawił się cień smutku.

– Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że został zamordowany. Zginął w wyniku dziwnego skażenia. Ale w miarę upływu czasu, gdy próbowaliśmy zrozumieć, co się stało, zaczęłam podejrzewać, że padł ofiarą celowego skażenia. Że ktoś go zamordował. I dlatego potrzebuję twojej pomocy, pani, w odnalezieniu zbrodniarza.

Vashta spojrzała bezradnie na Anę i Miljina, który zdawał się jeszcze bardziej zagubiony niż przed chwilą. Nagle jednak na policzku Any drgnął mięsień.

Usłyszałam prychnięcie i ciche mamrotanie mojej zwierzchniczki:

– Zarozumiała, mała suka. No to zaczyna się jebaniutki cyrk.

CZĘŚĆ CZWARTA

Ziemiaństwo i lewiataństwo

Rozdział dwudziesty piąty

Biała włócznia światła przebiła się przez wysokie okna, rozlewając się w chłodną, jasną plamę wokół siedzącej na krześle dziewczyny. Jej srebrzyste włosy były zebrane elegancko na ramionach, a blade palce splotła na podolku. Kolana i stopy trzymała razem, tworząc doskonałe wcielenie skromności i żałoby. Scena ta przypominała jakieś wielkie malowidło pod tytułem „Piękna dziewczica oplakująca śmierć ojca”.

– Przyszłabym wcześniej – Fayazi powachlowała się długimi rękami – ale nie miałam pojęcia, że śmierć mego ojca była zbrodnią. Dopiero dzisiaj, gdy prefekt apotekarzy wspomniiał o tajemniczej śmierci kilku inżynierów, podobnej do tej, jaka spotkała mego ojca, oraz powiedział, że było to działanie zbrodnicze, postanowiłam poszukać pomocy.

Kąty sali tonęły w cieniach, ale zbroje strażników ustawionych pod ścianami świeciły jak oczy kotów z ciemności obserwujących ognisko. Sublimowie siedzieli po obu stronach Fayazi. Mnemorytownik, niski, blade, o delikatnych rysach, miał bardzo wysoki kołnierz i twarz pomalowaną koralową farbą. Wodził czujnymi, pełnymi niechęci oczyma jak prymus zaniepokojony, że ktoś go może prześcignąć. Wysoka, chuda jak szkielet aksjomka miała małe, ciemne, bystre oczy oraz szerokie, gładkie czoło, które nadawało jej twarzy upiorny wygląd. Nawet nie drgnęła, gdy Fayazi mówiła, ale bez mrugania wodziła oczyma po sali, a jej spojrzenie często zatrzymywało się na mnie i na Anie.

– Opisz, proszę, w jaki sposób zginął – rzuciła Ana ostro.

Ametystowe oczy Fayazi przeniosły się na nią, a drobne usteczka drgnęły w uśmiešku, może drwiącym.

– Znam legatkę, jednak ciebie widzę chyba po raz pierwszy?

– To immunisa Ana Dolabra z Jurysu – przedstawiła Anę Vashta. – Prowadzi dochodzenie w sprawie ostatnich morderstw, do których doszło w Talagray.

– Uhm, kojarzę nazwisko, jednak nie potrafię go umiejscowić. No cóż.

Twarc Any skurczyła się w niewesołym uśmiešku i natychmiast wygładziła.

– Mój ojciec... – Fayazi wykrzywiła usta w tragicznym grymasie. – Zginął od przerośnięcia czymś w rodzaju drzewa. Było to bardzo osobliwe.

Roślina wystrzeliła z jego ciała, przebijając się przez skórę na piersi. Potraktowaliśmy to jako skażenie, odcięliśmy całą posiadłość od świata zewnętrznego i próbowaliśmy na własną rękę dociec przyczyny. Żyjemy tutaj, na Obrzeżach, w odosobnieniu ze względu na liczne skażenia, które mogą występować w takiej bliskości ziem, na których giną lewiatany. Nie udało nam się jednak rozwiązać tej zagadki i nikt więcej z domowników nie miał podobnych objawów.

– Nie zgłosiliście tego tajemniczego skażenia apotekarzom? – zapytała Ana.

– Ależ to mogłoby przełamać naszą izolację, nieprawdaż? Oddech niosący światu wieść mógłby jednocześnie ponieść nań śmierć.

– Skąd więc przypuszczenie, że śmierć ojca mogła być wynikiem nikczemnych działań osób trzecich?

– Po siedmiu dniach bez kolejnych objawów skażenia odwołaliśmy kwarantannę, choć oczywiście nie ustawaliśmy w staraniach odkrycia natury śmierci ojca. Dzisiaj wczesnym rankiem otrzymaliśmy wieści od... – Zwróciła się do swojego rytownika, którego oczy zadrgały i po chwili nachylił się ku niej i coś wyszeptał. – Prefekta Hovanesa – podjęła – że w mieście były podobne wypadki, jednak informacje o nich utrzymuje się w sekrecie przed mieszkańcami Imperium. Dlatego o nich nie słyszeliśmy. – Mimo że nadal mówiła dziecinnym głosem, w ostatnich słowach słychać było ostre nuty.

Vashta zmrużyła oczy.

– Musimy tak postępować, by zapobiec panice. Bowiem jeśli wybuchnie panika, nie przetrwamy pory deszczowej, pani.

Fayazi skinęła, a tafla srebrzystych włosów zakołysała się z ruchem jej głowy.

– Wiele można wybaczyć, jeśli żyje się w cieniu takiego zagrożenia – przyznała.

Jednak nie było to przytaknięcie, jak zauważyłem.

– Zakończyliście izolację tydzień po śmierci waszego ojca – powiedziała Ana – czyli prawie tydzień temu. Ale i tak nie powiadomiliście apotekarzy o skażeniu?

– Nie, gdyż zaraz po zniesieniu kwarantanny powstał wyłom. Przygotowaliśmy się do natychmiastowej ewakuacji, nie myśleliśmy o bieganiu do miasta, żeby zawiadamiać jalety. W domu panował chaos, zamieszanie,

wszystkich dręczyła niepewność. Wypatrywaliśmy flar na niebie. Bałam się o życie swoje i całej służby.

Vashta wydawała się raczej usatysfakcjonowana tą odpowiedzią, ale Ana przechyliła głowę i zagryzła wargę.

– Śmierć twego ojca, pani, nastąpiła jednak tydzień po morderstwie prefekta Blasa w Daretanie.

Trupie spojrzenie aksjomki skupiło się na Anie. Zacząłem się zastanawiać, czy ta kobieta w ogóle mruga.

– Prefekta Blasa? – Fayazi zdawała się zaskoczona. – A jakie to ma znaczenie?

– Nie wiesz, pani, że prefekt zginął w ten sam sposób, co twój ojciec? – zapytała Ana.

– Zostałam poinformowana, że uległ śmiertelnemu skażeniu, owszem, ale nie na czym ono polegało – wyjaśniła wstrząśnięta Fayazi.

– Wasza ochmistrzyni, pani Gennadios, nie poinformowała was o szczegółach zajścia? – dopytywała Ana. – A o tym, że wasz dozorca współpracował ze skrytobójcą, że miał udział w zbrodni?

Mina Fayazi ucieleśniała modelowe oszołomienie.

– Takie informacje zostałyby przekazane mojemu ojcu, ale z pewnością nie mnie. Nawet nie wiem, kim jest ta Gennadios.

– I nikt w całym waszym domu, żaden z zarządców klanu nie poinformował cię, że twój ojciec zmarł dokładnie w ten sam sposób co prefekt Blas?

– Znajdowaliśmy się w kwarantannie. A ja byłam pogrążona w głębokim smutku. Nie posiadałam wiedzy, ani może umiejętności, by odpowiednio zareagować.

Zauważyłem, że Ana tak mocno zaciska pięści, że pobierały jej knykie, a paznokcie wbijały się w dłonie.

– Uhm. – Skinęła szybko głową. – A w jakim stanie obecnie jest ciało twego ojca?

– Został skremowany zgodnie z naszym obyczajem. Jego prochy czekają na przewiezienie i złożenie w domu naszych przodków w pierwszym pierścieniu. W ciągu tygodnia wyruszę z nimi na rytuały pogrzebowe.

– Bardzo szybko go skremowaliście.

– Oczywiście – dziewczyna zamrugała z żalem – to był mój przywilej i obowiązek jako jego potomkini.

Pięści Any drżały.

– Rozumiem, że teraz jesteś świadoma, że kilku inżynierów zginęło w ten sam sposób?

– Wydaje mi się, że to właśnie sugerował prefekt Hovanes...

– A czy jesteś świadoma, że dowody wskazują, iż do skażenia tych osób doszło w twojej posiadłości? Najprawdopodobniej stało się to tej samej nocy, kiedy uległ mu twój ojciec? Przypuszczalnie w tym samym czasie?

– Tej nocy odbywało się u nas spotkanie towarzyskie – rzekła Fayazi. – Przyszło bardzo dużo gości. Ale nie słyszałam, żeby któryś z nich uległ tej samej skazie. Nie wiem nic o żadnych innych skażeniach. – Wskazała na Vashtë. – Jako że informacja ta była trzymana w sekrecie, by zapobiec zamieszaniu.

– Czy wśród waszych gości znajdowali się również signuma Misik Jilki? – zapytała Ana. – Lub signuma Ginklas Loveh?

I znów rytownik pochylił się do jej ucha.

– Nie, te nazwiska nie są nam znajome – orzekła Fayazi.

Ana wyliczyła resztę ofiar, ale rytownik Hazówny za każdym razem kręcił głową, również przy Jolgalgan.

– A więc może powiesz mi, pani, dlaczego kilku ze skażonych inżynierów posiadało klucz reagentowy umożliwiający wejście na teren waszej rezydencji? – zapytała.

– Nie mam pojęcia! – Fayazi była przerażona. – Być może je ukradli. Czy zbadaliście, jak to się stało? Może to oni wkradli się do naszego domu i zabili mojego ojca?

Na częściowo widocznej twarzy Any malował się wyraz ponurej frustracji. Fayazi patrzyła zaś na nią beznamietnie.

– Podsumujmy więc – odezwała się Ana po chwili milczenia. – Twierdzisz, pani, że nie wiedziałaś o zabójstwie dowódcy Blasa w jednej z waszych posiadłości, więc gdy twój ojciec zmarł z powodu tego samego strasznego skażenia, nie miałaś, pani, świadomości, że to już druga śmierć, a raczej morderstwo, tego rodzaju. Skremowałaś, pani, jego szczątki i objęłaś dom kwarantanną, i z powodu izolacji oraz chaosu, jaki wybuchł po uszkodzeniu murów, aż do teraz nie zawiadomiłaś żadnego z funkcjonariuszy Imperium o podejrzanej śmierci ojca. Nie posiadasz też, pani, żadnej wiedzy o inżynierach, którzy zostali prawdopodobnie skażeni na terenie waszej posiadłości tej samej nocy co ojciec, ani o tym, w jaki sposób weszli w posiadanie kluczy reagentowych umożliwiających wejście do rezydencji. Czy dobrze to ujęłam?

Sublimowie Hazów patrzyli na Anę zimno, zaś Fayazi milczała przez chwilę, rozważając słowa Any.

– Chyba... Chyba tak.

– Ach tak! Wobec tego mam jeszcze jedno pytanie!

– Słucham.

– Jakiego koloru była glina?

– Glina? – Fayazi załopotana rzęsami, skonfundowana. – Jaka glina?

– Glina, którą musiałaś sobie zasłonić oczy i zatkać uszy, żeby pozostać tak jebaniutko nieświadoma tego, co się wokół ciebie dzieje? – Ana wyszczerzyła się w uśmiechu.

Fayazi otworzyła nieco szerzej oczy, ale to była jej jedyna reakcja. Za to Vashta skoczyła na równe nogi.

– Immuniso! – zagrziała.

– Tak, pani? – zapytała Ana uprzejmie.

– Tam! – Legatka wskazała drzwi do zaplecza arbitra. – Już!

– Oczywiście, pani.

Chwyciła mnie pod ramię i razem wstaliśmy.

* * *

Kiedy drzwi się za nami zamknęły, Vashta sobie nie żałowała. Miała doskonale zdrowe płuca oraz najwyraźniej właściwą dawkę talentu i entuzjazmu. Byłem przekonany, że ryczała tak głośno tylko dlatego, by siedząca w sali obok Fayazi słyszała ochrzan, jaki dostaje Ana.

Wreszcie zaczęła kończyć.

– Czy nie wyraziłam się jasno, immuniso, że Talagray jest zależne od tych ludzi? Że potrzebujemy ich tak bardzo, jak oni nas?

– Wyraziłaś się jasno, pani – potwierdziła Ana. – Ale ona kłamie. Kłamie bez mrugnięcia okiem. Kłamie w żywe oczy. Aż te oczy bolą. A gdy ktoś okłamuje Jurys, Jurys musi się temu przyjrzeć.

– Czy naprawdę sądzisz, immuniso, że Fayazi Haza zabiła swego ojca, prefekta Blasa i tych inżynierów?

– To... To mało prawdopodobne, pani.

– I nadal uważasz, że to ta Jolgalgan jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą?

– W tej chwili tak, pani.

– Ale żeby to udowodnić, musielibyśmy uzyskać dostęp do posiadłości Hazów, aby sprawdzić, czy Jolgalgan była tam obecna, i w nadziei, że jest tam coś, co mogłoby wskazać jej obecne miejsce pobytu. Tak?

Ana nie odpowiedziała.

– Nie wiem, dlaczego Fayazi kłamie – rzekła Vashta. – Nie znam jej pobudek. Ale wiem, że jest ktoś, kto zabił wielu inżynierów i naraził na niebezpieczeństwo całe Talagray, oraz że może wyrządzić jeszcze więcej szkód. Priorytetem jest odnalezienie go, a nie odkopywanie uraz do dawnych wrogów!

Ana nadal milczała.

– Zostańcie tu, a ja spróbuję załagodzić sytuację oraz znaleźć sposób na umożliwienie ci kontynuowania tego śledztwa.

– Rozumiem, pani – powiedziała Ana.

Vashta spiorunowała ją na odchodnym wzrokiem, gwałtownie otworzyła drzwi, wymaszerowała przez nie, a potem równie gwałtownie je zamknęła.

* * *

– Ech, Din – westchnęła Ana. – Muszę przyznać, że nie idzie to w dobrą stronę.

– Zgadza się, pani.

– Bez wątpienia poradziłbyś mi, żebym trzymała paszczę na kłódkę.

– To prawda, pani.

– Ale nie mogłam tego znieść! Po prostu nie mogłam. Ta ilość bredni, która piętrzyła się u naszych stóp, po prostu mnie przerosła.

Zamrugalem, przypominając sobie wypowiedzi Fayazi.

– Jej wyjaśnienia zdawały się... dość przekonujące, prawda?

Ana powoli obróciła ku mnie twarz wykrzywioną w wyrazie oburzenia.

– Czyś ty w głowę oberwał podczas tej walki?! Bo mnie się wydaje, że jednak kiedy pierś twojego ojca eksploduje i wyrasta z niej roślina, to chyba raczej bierzesz dupę w troki i lecisz po pomoc? A na pewno nie siedzisz na tejże dupie, no, chyba że liczysz po cichu, że nikt się nie dowie, że twój ojciec zginął dokładnie w ten sam sposób co ten sukinsyn w sąsiednim kantonie! Z całą pewnością miała nadzieję, że żadne tropy nie doprowadzą nas do jej domu i nie odkryjemy, że to tam właśnie dokonano skażenia. Ale któraś z osób powiązanych ze śledztwem musiała się pożalić swojemu kumpłowi, „Ja pierdykam, stary, omal nie kipnąłem na tej bibie u Hazów”.

I w ten oto sposób wieść dotarła do Hazów, więc się dowiedzieli, że my wiemy. A skoro nie można ominąć dochodzenia, to się próbuje na nie wpłynąć. I oto proszę. Szlachetny ziemianoklan Hazów przyznaje się, ale tylko po to, by zmacić wodę.

– To co teraz, pani?

– Nie mam jebaniutkiego pojęcia. Ale mam niejaką satysfakcję. Ostatecznie przewidziałam, że doszło tu do innego morderstwa, jeszcze zanim przyjechaliśmy do miasta. Pamiętasz to, rytowniku?

Poczułem trzepotanie i przywołałem we wspomnieniach pierwszą noc tutaj i Anę mówiącą: A co, jeśli zamordował kogoś poza inżynierami, tyle że nikt tego nie zauważył?

– Tak, ale czy przewidywałaś, pani, że będzie to jeden z Hazów?

– Na lewiatana, nie! Zakładałam, że skaziciel zabije kogoś, kto łączy inżynierów z Blasem, ale nie spodziewałam się, że tym kimś będzie jeden z synów tego pierniczonego klanu Hazów!

– A czemu by nie? – Łypnąłem na nią ponuro. – Wiedziałaś przecież, pani, gdzie doszło do skażenia. Wiedziałaś od samego początku.

– Ach. Więc zauważyłaś.

– Owszem, pani.

Z westchnieniem klapnęła na podłogę.

– To nie tak, że wiedziałam, gdzie zostali skażeni inżynierowie, Din. Raczej z dużą pewnością przewidywałam, że tropy ostatecznie doprowadzą do Hazów. Jeśli szukasz miejsca, skąd wszyscy złapali pchły, wystarczy popatrzeć na największe stado dzikich kotów. Nawet jeśli te koty siedzą za wysokimi murami i wymyślnymi bramami.

Przez chwilę wsłuchiwałem się w cichą rozmowę toczącą się za drzwiami. Wyglądało na to, że Vashta wynegocjowała lepszą pozycję.

– Co wiesz o Kaygi Hazie, pani?

– Dużo. Może za dużo. Wiem, że był trzeci w kolejce do pozycji pierwszego w klanie. Pierworodny w swojej linii rodu. Poza tym nie ma, albo raczej nie było, niczego, co wyróżniałoby go spośród reszty tych tłustych kotów. Bogaty, przebiegły, ambitny i wpływowy. I stary. Naprawdę stary. Jak wielu Hazów miał dostęp do bardzo drogich życiodajnych nasyczeń. Musiał mieć ze sto trzydzieści lat. Fayazi również nie oszczędza na tych wzmocnieniach. Według moich obliczeń powinna mieć teraz koło sześćdziesiątki.

– Ile?! Ta dziewczyna? Sześćdziesiąt lat?!

– Dziewczyna. Ha. Ha. Widzę, że cię oczadziła. Nic dziwnego. Chyba nie ma w jej ciele ani jednej niezmodyfikowanej cząstki, a plotki mówią, że niektórzy Hazowie mają nawet wszczepy feromonowe. Nie tak ostentacyjne jak przyjemnicznice, ale tuż na granicy legalności. Zapach Hazów odurza umysły tych znajdujących się w pobliżu, nawet jeśli robi to subtelnie. Kiedy Fayazi wchodzi do pokoju, prawie słyszy się szelest spodni wypychanych przez twardniejące fajfusy. W ogóle dziwię się, szczerze mówiąc, że to ona się tu pojawiła. Jest córką trzeciego w kolejności dziedzica, więc nie zajmuje szczególnie wysokiej pozycji w tym, że tak powiem, skażonym klanie. No, ale teraz będziemy musieli z nią współpracować, aby dowiedzieć się, dlaczego Jolgalgan zadała sobie trud, by zabić jej ojca, a wraz z nim dziesięciu inżynierów, których, jak twierdzi, w ogóle tam nie było! – parsknęła Ana. – Z pewnością czeka nas trudne zadanie. Jeśli to faktycznie Jolgalgan, to nie należy ona do elitarnego klubu. Ludzi żywiących urazę do Hazów trudno zliczyć.

– Czy i ty się do nich zaliczasz, pani?

– No, no. – Uniosła brwi aż nad opaskę. – Czyż to nie zakrawa na bezczelność?

– Vashta przecież wspomniała o jakichś zadawnionych urazach.

– Zwykle plotki.

– I raz powiedziałaś, pani, „Nie miałabym nic przeciwko, żeby zobaczyć, jak ten ich cały parszywy pomiot gnije w ziemi jak zdechłe psy”. A coś takiego, zdaje mi się, mówi się o swoich wrogach.

– A tak. No cóż. – Wzruszyła ramionami. – To dlatego ludzie nie znoszą rozmawiać z rytownikami... Nigdy nie zapomną ci żadnego słowa! Kiedyś, Din, kiedy to wszystko się skończy, może opowiem ci o tym, co zaszło między mną a Hazami w wewnętrznych pierścieniach. Mogłeś słyszeć jakieś plotki tu i tam. Ale dzisiaj nie mam nastroju na wspominki.

Przez chwilę patrzyłem na nią spode łba, aż naraz przyszło mi coś do głowy.

– Czy to przez nich, pani, zostałeś wygnana do Daretany?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie do końca, Din.

– Czy to oni zabili twojego poprzedniego asystenta?

Ku memu zaskoczeniu jej uśmiech nawet nie drgnął.

– To również nie do końca prawda.

– A z którego końca, pani? Że to nie Hazowie czy że nie został zabity?

– Skup się, Din. Jesteśmy tu, by dowiedzieć się, jak doszło do tej katastrofy i kto jest za nią odpowiedzialny. Trzymaj się tego i tylko tego, a odniesiemy sukces. – Naraz przekrzywiła głowę, uklękła i położyła dłoń na podłodze z formobluszczu. – Och, Vashta wraca. Czuję jej kroki. O, i chyba Strovi i Miljin idą razem z nią. Dobra, teraz udawajmy, że jesteśmy profesjonalistami, bo zaraz posypie się nam na głowy całe lewiataństwo naszego ziemiaństwa.

* * *

– Oto co udało mi się wytargować – zaczęła legatka. – Po pierwsze, Fayazi Haza nie życzy sobie przebywać z tobą, immuniso, w jednym pokoju. Bowiem ten twój atak na pogrążoną w żałobie osobę był niedopuszczalny. Czy to jasne?

Ana wzruszyła ramionami.

– Jasne, pani, nawet jeśli niemiłe widziane.

– Po drugie... Fayazi Haza zezwoli na lustrację swej posiadłości. Tylko i wyłącznie w celu wyjaśnienia okoliczności śmierci jej ojca. Poza tym nie wolno się nam mieszać w ich sprawy. Oględziny muszą się odbyć dzisiaj, zaraz, teraz. Co oznacza, że musimy odłożyć przesłuchania pozostałych śledczych z zespołu w temacie ich powiązań z... tym przyjęciem.

– To nic – stwierdziła Ana. – I na nich przyjdzie czas.

– I po trzecie... Fayazi nie życzy sobie, aby po jej domu kręciła się liczna kompania z Jurysu. Dlatego zgodziła się, by wszedł do jej domu tylko jeden funkcjonariusz. – Wzrok Vashty padł na mnie. – I będziesz nim ty, signumie.

Wpatrzyłem się w nią szeroko otwartymi oczami, potem spojrzałam na Miljina – wyraźnie zdeglustowanego, a potem na Stroviego – przerażonego.

– Ja? – wydusiłem w końcu. – Ale jak to? Sam? W domu Hazów? Pani?

– Dokładnie tak, signumie – potwierdziła legatka.

– Nie wydaje mi się, że Hazowie powinni dyktować, kto może, a kto nie wykonywać czynności śledcze w sprawie mordu, który miał miejsce na terenie ich posiadłości – prychnęła Ana. – Mamy szczęście, że zgodzili się na jednego! – usadziła ją Vashta. – Owszem, istnieją sposoby, żeby zmusić Hazów do otwarcia swych podwojów dla Jurysu, ale to by potrwało, a wstrząsy się nasilają. Musimy jak najszybciej rozwiązać tę sprawę. Rozumiem, że signum Kol był twoim jedynym asystentem w Daretanie, tak?

A więc i tym razem powinien wystarczyć. Fayazi jest nawet skłonna zabrać go do domu natychmiast swoim powozem.

Po tych słowach gniew Any przerodził się w troskę. Przekrzywiła głowę, jakby nasłuchiwała bicia mego serca.

– Zgadza się – powiedziała po chwili namysłu. – Ale wcześniej chcę porozmawiać z nim i z Miljinem.

– Jak sobie życzysz. – Vashta skinęła jej głową i wyszła.

Strovi, podążając za nią, rzucił mi spojrzenie. Wydawał się tak zdenerwowany, jakby to jego wyznaczono do tego zadania, a nie mnie.

– Uważaj na siebie, Kol – rzucił mi na odchodnym. – Ten dom to niebezpieczne miejsce. Nie wszyscy, którzy tam weszli, wyszli. – Po tym ostrzeżeniu zamknął za sobą drzwi.

* * *

– Ale czemu ja? Czemu to mnie wybrała? – dopytywałem. – Przecież, no... miała do wyboru cały jalet!

– Może im się wydaje, że będą cię mogli tam rozstawiać po kątach, chłopcze – powiedział Miljin i zwrócił się do Any. – Młody. Świeżak. Ładny. Pewnie wyobraża sobie, że urobi go jak zechce. – Splunął. – Normalnie miałbym do ciebie żal za kombinowanie przy ciebie Aristan, chłopcze, ale biorąc pod uwagę to, co cię czeka, tylko ci współczuję.

– Ale co, na lewiatana, Fayazi zyskałaby, manipulując Dinem? Chłopak gównie wie o czymkolwiek istotnym!

– Ja tu jestem – przypominałem.

Ana mnie zignorowała.

– Im więcej o tym myślę – rzekła, bębniąc palcami o udo – tym bardziej mi się wydaje, że chcą znaleźć mordercę przed nami.

– Że niby chce się zemścić? – zastanawiał się Miljin.

– Niezupełnie. Podejrzewam, że Jolgalgan wie coś na tematów Hazów i Blasa. Coś, co było na tyle warte zachodu, by zabić obu w tak specyficzny sposób. Coś, co Hazowie bardzo chcą utrzymać w sekrecie. A do tego jeszcze te morderstwa Aristan i Subereka... – Zadumała się ponuro. – To właśnie to będzie chciała z ciebie wydobyć Fayazi, Din. Informacje, które pomogą jej dopaść mordercę przed nami i pozbyć się go, zanim się do czegoś dogrzebiemy.

– Jak niby zamierza to zrobić? Jej strażnicy przystawią mi ostrze do gardła?

– Och nie – prychnęła Ana i zdmuchnęła opadające na policzek pasmo włosów. – Stawiam, że będzie ci chciała przystawić co innego w zupełnie innym miejscu.

Oniemiałem.

– Yyy – wykrztusiłem. – Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, pani?

– Nie byłbyś pierwszym, Din. Jesteś młodym chłopcem, a ci zawsze tracą głowę w takich sytuacjach. A ona ma do dyspozycji tysiące talintów w urodzie, nie wspominając o wszczepach feromonowych. Poza tym wszem i wobec wiadomo, że Hazowie chętnie i powszechnie wykorzystują amory i szantaż, żeby dostać to, czego chcą. Fayazi prawdopodobnie chce cię wsadzić pod pantofel. Albo pod coś innego. Swojego lub czyjegoś, kogoś z domowników...

– Te metafory są coraz bardziej naciągane – warknąłem.

– Tak, tak. Ale! Może się zdziwić. Nie jesteś bowiem tylko niezwykle skupionym na celu młodym człowiekiem, ale też najbardziej wycofanym emocjonalnie człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. Jeśli żyje na świecie ktoś zdolny oprzeć się Hazom, to jesteś nim ty, chłopcze. A przynajmniej mam taką nadzieję.

– A poza oganianiem się od niechcianych zalotów, pani, to co właściwie mam tam robić? – zapytałem sfrustrowany.

– Hm... Korespondencja! – wykrzyknęła.

– Nie rozumiem?

– Korespondencja. Wieści. Listy. Tego nam trzeba. Informacja o zabójstwie Blasa z pewnością dotarła do jej ojca natychmiast, gdy zaczęliśmy dochodzenie w Daretanie. Z kim kontaktował się po śmierci Blasa? Komu wysłał wiadomości? I co zawierały te wiadomości? Tego musisz się dowiedzieć.

– A jak mam to niby zrobić, pani?

– Wiadomo, że Hazowie posiadają małą armię jastrzębi skrybnych. Wystarczy, że dostaniesz się do ich jastrzębiarni i poszukasz czegoś przydatnego.

Oczywiście znałem jastrzębie skrybne, bo jalety korzystały z nich do przesyłania pilnych wiadomości na duże odległości. Ptaki te latały po całym Imperium, z zawrotną prędkością pokonując odcinek pomiędzy dwoma

lokalizacjami. Ale myśl, że ktoś miałby nawet niewielkie ich stadko, nie mieściła mi się w głowie.

– A jak miałbym się dostać do tej jastrzębiarni, pani?

– Masz szukać skażenia w tym jebaniutkim miejscu zbrodni! To daje ci wstęp do każdego pomieszczenia! Odstaw jakąś cholerną szopkę, zaimprovizuj, wymyśl coś, dziecko!

– Odstaw jakąś cholerną szopkę – powtórzyłem kwaśno. – To zaiste klarowny rozkaz. Coś jeszcze, pani?

– Dochodź! W sensie prowadź śledztwo. Idź, patrz, wypytuj. I panuj nad sobą. Zachowaj chłodną głowę. Znajdź dowody na to, jak morderca dokonał zbrodni, pogawędz z ludźmi, połyp groźnie oczyskami. W końcu to twoja specjalność, nie? I pamiętaj, to drugi raz, kiedy morderca uderzył w domu Hazów. Podejrzewam, że wykorzystał podobne metody. Jasne?

– Jak słońce, pani – burknąłem.

– Dobrze. – Złapała mnie za ramię. – Tylko pamiętaj, nie jedz niczego, co ci będą podsuwali, Din. Niczego nie pij. Uważaj na dym, opary. Nie oddawaj moczu ani kału na terenie posiadłości i staraj się zostawić jak najmniej włosów. I najważniejsze, trzymaj się jak najdalej od Fayazi. I za nic w świecie nie daj jej gołą ręką dotknąć swojej twarzy. Zrozumiano?

– Um. Pewnie nie mogę zrezygnować z pracy?

– Zrezygnować? Jak to?

– Nie jestem pewien, czy jakakolwiek gaża jest tego warta, pani...

– Może i tak. – Wyszczrzyła się do mnie. – Ale pamiętaj, Hazowie znają twoje nazwisko. Jeślibyś teraz rzucił pracę, zaczęliby się zastanawiać, dlaczego to zrobiłeś, zaczęliby cię nachodzić i wypytywać, a uwierz, rozmowy z nimi nie byłyby tak ciekawe i rozrywkowe jak ze mną. Jedyne sposoby, żeby mieć to za sobą, to przez to przejść. A teraz ogarnij się i zabieraj dupę w troki.

Rozdział dwudziesty szósty

Jazda powozem Legionu, a jazda powozem Hazów okazały się jak ziemia i niebo. Zamiast w kolebiącym się, trzęsącym, podskakującym na każdym wyboju pudle siedziałem w pięknym, wymoszczonym błękitnymi poduchami wnętrzu karocy, która sunęła lekko, miękko po drodze.

Nie oznacza to, że podróż była przyjemna. Siedziałem pomiędzy strażnikami Hazów, wielkimi chłopami o przegubach jak moja szyja i dwa razy ode mnie szerszych w barkach. Ani na moment nie spuszczała ze mnie wzroku zimnych, martwych oczu. Urodzili się chyba z mieczami w dłoniach.

Naprzeciwko mnie siedziała Fayazi z dwoma Sublimami. Rytownik patrzył na mnie jak chirurg na kończynę toczoną gangreną. Aksjomka o kamiennej twarzy świdrowała mnie tymi swoimi ciemnymi, szparkowatymi ślepkami. Im dłużej się gapiła, tym silniejsze miałem ciarki.

Siedząca między nimi kobieta rozpierała się swobodnie na poduszkach, w pozie przypominającej niedbale rzucone futro. Przyglądała mi się uważnie nieprzeniknionym spojrzeniem wielkich, ametystowych oczu, zagadkowych i urzekających. Czułem się, jakby obserwowała mnie wielka lalka.

Mimo to ciągnęło mnie do niej. Kusila ta świetlista bladość skóry, delikatna szyja. Nigdy wcześniej nie pociągała mnie taka kobieta i wiedziałem, że to nie jest naturalne upodobanie. Ale i tak czułem się okropnie głupio, siedząc przed nią w moim ubłoconym płaszczu Jurysu i przekrzywionym stożkowym kapeluszu słomkowym.

– Jesteś, signumie – przemówiła Fayazi – bardzo wysoki. – Powiedziała to tonem lekko ganiącym, jakbym założył strój nieodpowiedni do okazji.

Czekałem na kolejne słowa, ale ponieważ nie nastąpiły, skłoniłem się i odpowiedziałem:

- Dziękuję, pani.
- To wrodzone?
- Mój wzrost? Tak.
- A twarz? Rysy? Też są naturalne?
- Eghm. Tak, pani.
- Hm... Zuchwałe.
- Obawiam się, pani, że nie miałem na to wpływu.

Fayazi nie przestawała mi się przypatrywać tym zagadkowym wzrokiem lalki.

– Masz do mnie pytania, signumie – stwierdziła.

Spojrzałem w prawo i w lewo, na strażników, a potem na Sublimów siedzących u jej boku. Wszyscy wpatrywali się we mnie w milczeniu. Nie tak wyobrażałem sobie to przesłuchanie. – Tak, pani. Zakładałem, że zadam ci je w domu, pani.

Machnęła ze znudzeniem ręką.

– Zrób to teraz.

Zerknąłem jeszcze raz na naszą publikę, a potem z torby rytownika wyciągnąłem fiolkę i powąchałem – tym razem był to zapach mięty.

– Proszę opowiedzieć mi o dniu przed śmiercią ojca, pani.

– Uhm. – Lekko zmrużyła oczy. – Wydawaliśmy przyjęcie. Duże. Planowaliśmy je już od pewnego czasu. Nasze bankiety gromadzą wielu gości. Jedni przychodzą na nie z przyjemnością, inni uważają, że tak trzeba. Jak zapewne wiesz, pojawili się na nim również wasi współpracownicy.

– Ilu było gości?

Machnęła ręką na rytownika, którego gałki oczne zadrżały, po czym wyrecytował:

– Ze stu czterdziestu dwóch przyszło stu dwunastu.

– Czy mógłbym dostać listę obecnych na przyjęciu?

– Oczywiście – odrzekła Fayazi. – Ale nie w tej chwili. Nie zamierzam spędzić całego dnia na przysłuchiwaniu się dwóm rytownikom klepiącym i zapamiętującym ponad sto nazwisk. Dopilnuję jednak, by taka lista została stworzona i przekazana. – Zauważyłem, że jej głos stracił tę dziecinną, niewinną chropawość. – To było wyjątkowe wydarzenie. Zwykle wyprawialiśmy huczne spotkania co najmniej raz w miesiącu, bywało, że częściej, ale skażenia położyły temu kres. Tyle tego teraz ludzie znoszą z Równin Szlaku, że aż strach oddychać w centrum Talagray.

– Z jakiej okazji te przyjęcia?

– Okazji? Nie rozumiem?

– Zwykle coś się w ten sposób świętuje, pani. Urodziny, zaręczyny, święta.

– Ach nie. Te dni narodzin znanych ludzi lub daty ich śmierci to jedynie wymówki do świętowania. Ludzie zbierają się i razem bawią, bo desperacko pragną potwierdzić wspólnotę i przypomnieć sobie, czym jest życie. Na moje przyjęcia może przyjść każdy funkcjonariusz z Talagray, żeby

posłuchać, jak śpiewacy snują opowieści o pierwszych Khanach, którzy przybyli do Doliny Tytanów. Albo o Primo Sublimach, pierwszych, których umysły zostały wzmocnione. Albo o Trzecim Cesarzu, Ejelgi Daavirze, i o jego marszu Szlakiem Tytana. – Jej oczy błyszczały osobliwą energią, która nie wydawała mi się zdrowa. – Mój prapradziad szedł w jego szeregach. Był wśród Legionów, które wymordowały bestie i jako pierwsze oczyściły drogę do morza. Za to przyznano naszemu klanowi pierwsze lenno. To było jeszcze przed utworzeniem kantonów. Przed budową trzeciego pierścienia murów.

Zapadła niezręczna cisza.

– To imponujące, pani. Czy możesz mi, pani, opowiedzieć, co robił twój ojciec podczas przyjęcia?

Jej oczy zabłyśły urazą, a potem znów ze znudzeniem machnęła ręką.

– Robił to co zawsze podczas takich wydarzeń.

– Czy mogłabyś to opisać, pani?

– Sześciu ludzi wniosło go w palankinie. Pozdrawiał z niego gości, a potem zaniecono go do prywatnych komnat – opisywała ten ostentacyjny wielkopański ceremoniał, jakby odpowiadała na pytanie o rozmiar buta.

– Rozumiem. Czy podczas przejścia... przeniesienia rozmawiał z wieloma gośćmi?

– Nie, tylko z paroma. Jego czas jest cenny... A raczej był. Był bardzo stary i kruchy. Rozważnie wybierał sposób spędzania dni i godzin i rozmawiał jedynie z najważniejszymi ludźmi. Prefektami i wyżej postawionymi funkcjonariuszami. Chyba wymienił kilka słów z jednym czy dwoma apotekarzami... ale żadnym inżynierem. Nie tym razem.

– A z kimś z Legionów? Z Jurysu?

– Raczej rzadko ich widzimy. – Uśmiechnęła się zimno. – Jeśli składają nam wizyty, trwają one krótko i są ściśle ograniczone do konkretów. Ci funkcjonariusze są ponad tego rodzaju prośby. Rządzą tym światem. Ale to apotekarze i inżynierowie go tworzą.

Poczułem trzepot za oczami i na wierzch pamięci wypłynął obraz princepsy Topirak, poranionej, posiniaczonej w leczniczej kadzi: To inżynierowie tworzą świat. Wszyscy inni tylko w nim zamieszkują.

– Coś sobie właśnie przypomniałeś – stwierdziła aksjomka.

Przemówiła po raz pierwszy. Miała miękki, głęboki głos. Zaskoczyło mnie to z jakiegoś powodu.

– Słucham?

Aksjomka wpatrywała się teraz we mnie z najwyższą uwagą.

– Miałeś przeblýsk wspomnienia, tak? Co to było?

Postanowiłem nie odpowiadać i zwróciłem się znów do Fayazi.

– Powiedz mi, pani, co robił twój ojciec po przybyciu na przyjęcie. Czy miał styczność z parą albo gorącą wodą podczas spotkania?

Jeśli moje lekceważenie dotknęło aksjomkę, nie dało się tego poznać po jej minie.

– Nie, podczas nie, ale po, owszem. Wziął swoją kąpiel parową tuż po przyjęciu, które skończyło się popołudniu. Te kąpiele pomagały mu na stawy.

– Czy ktoś mógł manipulować przy jego kąpieli?

– Przygotowują ją pielęgniarki i sługi, ale powiedzieliby, gdyby zauważyli, że coś jest nie tak.

– A potem?

– Poszedł spać. Mówiłam już, że jest bardzo stary i delikatnego zdrowia.

Zadałem jej jeszcze kilka pytań o przyjęcie, o posiadłość i zabezpieczenia przy bramach – jej rytownik powiedział, że zrobiono je z roślin tarsy oraz pnączy tkaninasion, które ostrzegłyby domowników o obecności jakiegoś skażenia, czy to gazowego, czy roślinnego – o przyjścia i wyjścia uczestników („Mieliśmy na początku trzysta dzbanów grzanego opiwina, a po zostało szesnaście, więc sprawy się nieco zagmatwały”, stwierdziła Fayazi z przekąsem), i tak dalej, i tak dalej. Kiedy uzyskałem wszystkie odpowiedzi, zapytałem, czy podczas przyjęcia wydarzyło się coś podejrzanego.

– Nie, nic takiego. – Wzruszyła ramionami. – Niczego takiego sobie nie przypominam.

Rytownik jednak drgnął.

– Był pożar, pani. – Kaszlnął.

– Pożar? – podchwyciłem.

– Ach to. – Fayazi machnęła lekceważąco ręką. Najwyraźniej był to jej ulubiony gest. – To chyba nic takiego.

– W kominkach paliły się polana czarnodrzewu z dodatkiem srebrnego pyłu, barwiącego płomień na srebrzysto i zielono – wyjaśnił rytownik. – Jedno strzeliło i iskra padła na dywan.

– I co? – zapytałem.

– Dywan się zajął – odpowiedział. – Nic poważnego. Trochę dymu i niewielkie poruszenie wśród gości. Zajęliśmy się tym z panią i problem został

szybko rozwiązany.

– Już większe poruszenie wywołało moje pojawienie się ze sługami i strażnikami, co wzbudziło plotki.

– O której to było?

Błysk w oku rytownika.

– O drugiej.

– Sprawdziliście, czy wszyscy goście zostali po tym wydarzeniu?

– Wszystko to trwało, ale tak – odpowiedziała Fayazi.

– Ile trwało?

– Może godzinę. – Jej twarz się zmieniła, pod wpływem jakiejś myśli, a nagły smutek przepełnił jej oczy. Był to prawdziwy żal, prawdziwy smutek. – Uważasz, że... że to się stało wtedy, tak? Że wtedy... dokonali skażenia?

Zaskoczył mnie ten przejaw emocji, więc przyjrzałem się jej baczniej.

– Czy byłaś, pani, blisko z ojcem?

– Och, chyba nie myślisz, że miałam coś wspólnego z tą intrygą?

– Moje stanowisko obliguje mnie do uzyskiwania wszelkich informacji, również na temat relacji.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Jesteś taki młody... Pewnie niedawno poddałeś się modyfikacji. Założę się, że zrobiłeś to dla pieniędzy i teraz wysyłasz każdą gaź do domu, jak wielu funkcjonariuszy, tak?

Nie odpowiedziałem.

– A mimo to wdałeś się w walkę – ciągnęła – w której zabiłeś dwóch ludzi, jak mi powiedziano, a dwóch innych zostało poważnie rannych, może nawet śmiertelnie. I to wszystko stało się kilka godzin temu.

Nadal milczałem, ale nie podobało mi się, jak szybko docierają do niej wieści. Ciekaw byłem, z którego jaletu wyszły.

– Cóż, wobec tego znasz to wszystko. – Spojrzała w okno, za którym rozpościerały się posiadłości ziemiańskie. – Każdy z nas rodzi się w systemie pozostającym poza naszą kontrolą, życie wciąga nas w relacje i organizacje, które wymuszają w nas zmiany, a wszystko po to, by nasze rodziny mogły prosperować... Takie właśnie jest Imperium, czyż nie? Nosisz płaszcz w barwach swego jaletu, a ja okrywam się pozorami przypisanymi do mojej pozycji, ale oboje jesteśmy zmuszeni robić rzeczy, które ledwie pojmujemy.

– Nie mów tak, pani – szepnęła aksjomka. – Nie jest to przecież takie złe.

Fayazi wzdrygnęła się, jakby słowa kobiety ją zaniepokoiły, ale szybko stłamsiła emocje, a jej twarz znów zmieniła się w zimną, jasną maskę jak z polerowanego srebra.

– Mój ojciec wiedział, czym jest Imperium. Wiedział to doskonale. – Usiadła prosto. – Jesteśmy na miejscu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wysiedliśmy z powozu na pełne słońce. Wysokie, jasne drzewa porastały pobocza drogi i pagórki, a ich białe gałęzie drżały, jakby nasłuchiwały jakichś sekretnych myśli. Trawa pod nimi była ciemna, prawie czarna, ciemna zieleń pojawiała się w niej, tylko gdy pojedyncze promienie ciepłego światła słonecznego przedarły się przez gęste korony i padły na kępy. Ziemie Haza rozciągały się wokół mnie na wszystkie strony, choć na wschodzie koniec tego gobelinu sielankowego piękna wyznaczała ciemna wstęga formobluszczowego muru, odgradzającego nas od reszty świata.

Przystanąłem, podziwiając ten uderzający widok. Było to najpiękniejsze miejsce, jakie miałem okazję widzieć w całym Imperium. Nawet lekki wiatr w tym miejscu pachniał słodko. Dopiero gdy Fayazi przy pomocy strażników wysiadała z powozu, a ja dostrzegłem mignięcie jej śnieżnobiałej kostki, pomyślałem, że każde źdźbło trawy w tym zamkniętym świecie mogło być tak samo zmodyfikowane jak pani tych włosów.

– Podoba ci się, signumie? – zapytała Fayazi.

– Jest pięknie, pani – powiedziałem szczerze. – Jak rozległa jest posiadłość, jeśli mogę spytać?

Spojrzałem na aksjomkę, spodziewając się wyliczeń, ale to rytownik odpowiedział.

– Dwadzieścia trzy staje kwadratowe – wyrecytował.

– A mimo to te ziemie są warte ułamek tego co te, które posiadamy w wewnętrznych pierścieniach – powiedziała Fayazi. – Dziwne, prawda?

Ruszyliśmy kamiennymi schodami po zboczu pagórka, ku budowli wiszącej nad nami niczym burzowa chmura. Wysoka, rozległa, skomplikowana konstrukcja migotała ogromnymi połaciami witraży, pomiędzy którymi, niczym żebra, bieleły szeregi kolumn, owiniętych miedzianymi rynkami jak węzami drzewnymi. Na każdym poziomie poza granicę bryły wystawały balkony. Zatrzymałem wzrok na panelach papierowych, z których zbudowano wyższe kondygnacje, zastanawiając się, czy któreś z nich pochodziły z papierni Subereka.

Podążyłem za świtą Fayazi na szczyt schodów, gdzie przystanąłem zaciekawiony. Nad najwyższym podestem schodów, przed wejściem, wisiała rzeźba, ogromna, długa i wąska, zawieszona na linach umocowa-

nych do szpaleru wysokich słupów. Gdy jednak przyjrzałem się bliżej i dostrzegłem tę szczególną szarawą barwę, uświadomiłem sobie, że to nie rzeźba, a kość.

Szpon. Gigantyczny szpon.

– Ma dwieście lat – wyjaśniła Fayazi. – Odcięty od jednego z ostatnich lewiatanów, które swobodnie przemierzały Szlak Tytanów. Wtedy były znacznie mniejsze.

Gapilem się na szpon, przynajmniej trzykrotnie większy ode mnie, i nie potrafiłem sobie wyobrazić istoty, do której musiał należeć.

– Ile mierzyły takie lewiatany? – zapytałem.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Nie mam pojęcia – odrzekła wreszcie Fayazi znudzonym tonem. – Co chciałbyś zobaczyć najpierw?

Przyjrzałem się jej. Spokojna, chłodna. Opanowana i pewna siebie.

Przypomniało mi się polecenie Any: Wystarczy, że dostaniesz się do ich jastrzębiarni i poszukasz czegoś przydatnego. Podejrzewałem jednak, że prośba o wskazanie tego miejsca wzbudziłaby podejrzenia.

Nakazałem sobie cierpliwość. Postanowiłem nadszarpnąć tę jej pewność siebie i zaczekać na odpowiedniejszą okazję.

Odchrząknąłem.

– Może miejsce, gdzie zginął twój ojciec, pani.

* * *

Świta Fayazi poprowadziła mnie przez przepastne, sklepione łukowato korytarze o ścianach tak doskonale splecionych z formobluszczu, że z pewnością oparłyby się bombardom Legionu. Fayazi sunęła przez te rozległe przestrzenie niczym blady duch nawiedzający ruiny, a ja podążałem za nią, co jakiś czas wachając zapach z fiołki. W zalegającej w korytarzach ciszy pobrzękiwały i szczękały głośno zbroje nie odstępujących nas na krok strażników.

Ściany pokrywała jedwabna tapiseria tworząca obraz ciągnący się przez całą długość budynku. Tu i ówdzie, przez jakieś niewidoczne na pierwszy rzut oka okno, wpadała smuga słońca, podświetlając postać wojownika z włócznią walczącego z gigantyczną, pokrytą chityną, śliniącą się bestią.

– W tym jedwabiu wyhaftowane jest moje dziedzictwo – rzekła, wskazując na tapiserię. – Jeśli jesteś ciekaw, mój rytownik wszystko ci opowie.

Rozglądałem się na wszystkie strony, po części po to, by wszystko dokładnie zapamiętać, ale też by odnaleźć wyjścia z tego dziwnego miejsca na wypadek najgorszego.

Fayazi skręciła w boczny korytarz prowadzący do krętych schodów, po których wspinaliśmy się w rozmigotanym świetle przesianym przez witraże aż na czwartą kondygnację. Pokonaliśmy jeszcze niedługi fragment kolejnego korytarza i w końcu Fayazi zatrzymała się przed wysokimi drzwiami z kamiennego drewna.

– To tutaj – powiedziała cicho, wyraźnie poruszona. – Nie mogę znów na to patrzeć.

Żaden z członków świty nie kwapił się, by otworzyć drzwi, więc sam nacisnąłem klamkę i pchnąłem je.

Ciemne pomieszczenie wypełniał przytłaczający odór krwi. Odczekałem, aż oczy przywykną do mroku, i w końcu ujrzałem przed sobą jedno z najwspanialszych pomieszczeń, jakie dane mi było oglądać. Ogromną, przestronną komnatę wypełniały skarby i kosztowności, jednak wszystko to bledło w obliczu ogromnej powykręcanej rośliny wyrastającej z jednej strony pomieszczenia.

Podszedłem do niej ostrożnie, natychmiast rozpoznając, że mam do czynienia z plamiszklanką. Widziałem już te powykręcane korzenie, gęste kępy liści i malutkie, mdląco pachnące kwiatki. Podobnie jak w Daretanie pędy przebiły sufit, a korzenie wgryzły się w podłogę, która wokół nich ciemniała się od plam. Tu i ówdzie widziałem fragmenty drewnianej ramy i kępy ciemnego mchu materaca. Roślina prawdopodobnie wyrosła ze starego Kaygiego Hazy, gdy spoczywał w łóżku, a jej części poszarpały pościel, mech, podłogę pod meblem, a następnie przebiły się przez sufit.

– Nie możemy tego usunąć – dobiegł mnie z korytarza głos Fayazi. – Wrosło w konstrukcję domu i wyłuskanie go oznaczałoby rozebranie tego pomieszczenia.

Zapytałem, jak to się stało, a ona, stojąc za progiem, przedstawiła mi przebieg wydarzeń. Wczesnym rankiem siódmego dnia miesiąca jej ojciec spał spokojnie, jednak tuż przed wschodem słońca obudził się i zaczął wzywać pomocy. Mówił, że cierpi na straszny ból. Służba po dotarciu stała się świadkami katastrofy. Spod obojczyka pana domu wystrzeliła kolumna zieleni. Rosła tak szybko, że pochłonęła Kaygiego żywcem. A więc zginął dokładnie tak jak prefekt Blas.

Powąchałem miętę z fiolki i rozejrzałem się po pomieszczeniu, zapamiętując wszystkie szczegóły. Książki, jedwabie, gobeliny i obrazy, różne beczułki i baryłki wina oraz srebrne dzbany. Jeden przyciągnął moją uwagę wyjątkowym lśnieniem. Ozdobiony szmaragdami, miał wygrawerowany herb Hazów, pióro pomiędzy dwoma drzewami.

– Znalazłeś coś ciekawego, signumie? – zapytała Fayazi, kiedy wyszedłem na korytarz.

– Widziałem wiele, ale jeszcze nie wiem, czy cokolwiek z tego jest istotne dla tej sprawy.

Jej twarz skurczyła się w dziwnym grymasie.

– Nie prosił, żebym przyszła – wyznała.

– Słucham?

– Gdy umierał. Gdy cierpiał. Wołał służbę, ale... ale nie kazał mnie sprowadzić. O jego śmierci dowiedziałam się dopiero rankiem, kiedy się obudziłam. Pozwolili mi spać spokojnie, a potem przebudziłam się w to... wszystko. Może... Może nadal śnię? Może to tylko koszmar?

Aksjomka dotknęła ramienia Fayazi.

– Nie trzeba tak mówić, pani. Bardzo cierpiał, nie był sobą. – Spiorunowała mnie wzrokiem, jakbym to ja sprowokował słowa jej pani. – Nie należy wyciągać wniosków z tej śmierci, pani.

Fayazi potaknęła, a jej twarz wygładziła się, znów zmieniając w kamienną maskę.

– Co teraz, signumie? – zwróciła się do mnie.

– Chciałbym zobaczyć jego pokój kąpielowy.

* * *

Wyszliśmy na dach tarasowy głównego budynku, gdzie znajdowała się wysoka, biała łaźnia. Przyjrzałem mu się uważnie, zwracając szczególną uwagę na grube rury ze strzelisłomki, biegnące wzdłuż ścian głównego budynku, którymi płynęła woda skądś z góry. Pewnie ze zbiornika zamontowanego na dachu.

Ale najważniejsze, że łaźnię zbudowano z paneli papierowych. Około dwudziestu. I wszystkie były nieskazitelne i białe jak śnieg.

Tym razem strażnicy otworzyli mi drzwi do domku łaźnienego, więc wszedłem do środka. Większą część wnętrza zajmowała skomplikowana aparatura zbudowana z rur z brązu i mosiądzu. Gorącą wodę doprowadzano

z góry, a następnie spływała ona i była rozprowadzana do wysokich kranów z małą korbką. Gdy się ją obracało, mechanizm zasysał wodę do góry przez krany, by lała się do ogromnej, wyłożonej białymi kaflami niecki.

– To pokój parowy – wyjaśniła Fayazi, stojąc w drzwiach. – Przynosiło to ulgę jego stawom. Miał wiele wszczepów ułatwiających życie w jego wieku, wszczepów dokonywanych podczas okropnej procedury prosto do kości ud, ale zawsze powtarzał, że najbardziej pomaga mu gorąca woda.

Zamyślony, dotknąłem rączki z brązu.

– Rozważaliśmy zakupienie bardziej ekstremalnych nasyczeń witalności – kontynuowała Fayazi za moimi plecami. – Na przykład takich, jakich używają imperialni konsulowie. Ale skutki uboczne wydawały się trudne do zniesienia. – Obserwowała mnie uważnie. – Wiesz, jak wygląda życie konsułów, signumie?

Wiedziałem, kim są konsulowie. Stali o rangę wyżej od pretorów i zarządzali jaletami, ale to wszystko. Pokręciłem więc głową. – Konsulowie nigdy się nie starzeją i nigdy nie przestają rosnać – rzekła Fayazi cicho. –

Rosną i rosna, aż niektórzy stają się tacy wielcy jak domy. I tak ruchliwi jak one. W końcu, gdy zostają zwolnieni ze służby, dostają miecz. Biorąc to pod uwagę, kąpiele parowe wydawały się lepszą opcją. – Na moment zawiesiła głos. – Nie sądzisz chyba, że powietrze tutaj jest nadal skażone? Nie odpowiedziałwszy, zacząłem obchodzić wannę, przyglądając się czerwonym i żółtym, okrągłym plamom na krawędziach. Doszedłem do wniosku, że powstały w wyniku stawiania licznych dzbanów, kubków czy beczulek wina, które miało umilić długie kąpiele. Obwiodłem jeden z kręgów palcem.

– To jak? – ponagliła mnie Fayazi.

Podszedłem do ściany, żeby z bliska zobaczyć połączenie między panelami papieru. Szczelina została wypełniona ciemną pastą, która jeszcze nie stwardniała.

– Może być niebezpiecznie – powiedziałem, spoglądając na nią przez ramię. – Chyba że pomieszczenie zostało przewietrzone i zarodniki wydostały się wraz z powietrzem.

Fayazi milczała.

– Czy panele zostały niedawno wymienione, pani?

– Nie. Z tego, co wiem, nic takiego ostatnio nie miało miejsca.

– Jesteś pewna, pani? Bo to połączenie jest świeże. A w trakcie wymiany paneli pomieszczenie z pewnością zostałoby przewietrzone.

– Pani odpowiedziała na twoje pytanie – stwierdziła ostro aksjomka. – Zaprzeczyła. Wiesz więcej o tym skażeniu niż my. Czy powinniśmy wiedzieć coś więcej o tym, jak działa?

– Pewien papiernik otrzymał spore zamówienie na panele papierowe – powiedziałem. – Suberek, tak się nazywał. Wszystko wskazuje na to, że zamówienie od niego dostarczono tutaj.

– Nic o tym nie wiemy – powiedziała aksjomka.

– To byłoby duże zamówienie, pani – zignorowałem Sublimkę, zwracając się bezpośrednio do Fayazi. – Zastanawia mnie ten zbieg okoliczności, bo wygląda na to, że te panele są nowe.

Fayazi zerknęła niepewnie na aksjomkę, a potem wzruszyła ramionami.

– Ten dom jest wielki i pracuje tu cała armia służących. Nie wiem o wszystkim, co się tu dzieje. Może rzeczywiście ktoś złożył takie zamówienie. A jeśli, to nie wiem, co się z nim stało. A ty wiesz o wszystkim, co dzieje się w Jurysie? Albo całym Imperium?

– I nadal zaprzeczasz, pani, że inżynierowie tu przebywali?

– Nie zapraszamy na przyjęcia młodszej kadry – stwierdziła aksjomka. – Chyba że w szczególnych okolicznościach.

Przyjrzałem się tej trójce – bogata ziemianka, aksjomka i rytownik. Odczytanie emocji na ich twarzach przypominało czytanie ich z kawałka szkła. Uważałem, że to ja potrafię powściągać i ukrywać uczucia, ale ta trójka osiągnęła w tym mistrzostwo. – Czy do skażenia doszło tutaj, signumie? – zapytała Fayazi.

– Owszem. Ale czynnika skażeniowego nie dostarczono bezpośrednio tutaj. Bo woda nie jest podgrzewana w tym pomieszczeniu, prawda?

– Nie, nie podgrzewamy jej tu.

– A więc proszę zaprowadzić mnie tam, gdzie się ją podgrzewa.

* * *

Musiałem wspiąć się po drabinie na wyższą sekcję dachu, gdzie znajdował się zbiornik. Wielkie urządzenie z brązu, większe niż trzaskacz czy słoleń, lśniło niczym miniaturowe słońce. Świta Fayazi obserwowała z dołu, gdy przybliżyłem wzrok do rury strzelisłomkowej, która biegła do łaźni.

– Skąd bierze się tu woda? – zapytałem.

– Służba przynosi ją w wiadrach, a jak inaczej? – zdziwiła się Fayazi. – Potem rozpalają pod nim ogień z kamiennego drewna i puszczają wodę do

łazni.

– Tak właśnie odbyło się to po przyjęciu, pani?

– Tak, oczywiście.

Otworzyłem pokrywę zbiornika i zajrzałem do środka. Wnętrze było szerokie, okrągłe, a na środku widniał mały ruszt. Zaś na ruszcie leżało coś małego, podłużnego i ciemnego. Choć wewnątrz było dość ciemno, nie miałem wątpliwości, na co patrzę. Poczułem drżenie za oczami i naraz nie pochylałem się do zbiornika, tylko stałem w Daretanie, patrząc, jak princeps Otirios rozkłada dłonie na szerokość ośmiu minispanów.

Malutki. Aż dziw, że coś tak małego mogło zabić człowieka w tak potworny sposób.

Wspomnienie odeszło, a ja z trudem przełknąłem ślinę.

– Jest – wychrypiałem. – Nadal tu jest.

* * *

Wróciłem na dół i powiedziałem czekającej na mnie grupie, co znalazłem.

– Nie używajcie i w żaden sposób nie manipulujcie mechanizmem kąpielowym. Nawet go nie dotykajcie – pouczyłem ich. – W zasadzie ja też nie powinienem tam zaglądać. Po powrocie do jaletu poinformuję o znalezisku apotekarzy, a oni odpowiednio zabezpieczą skażenie.

Fayazi po raz pierwszy wyglądała na wstrząśniętą.

– Ale... Ale jak w ogóle się to tam dostało? Przecież wszędzie mamy strażę, w każdym korytarzu i... Na Sanktuarium! Mamy przecież wskaźniki przy wejściach do posiadłości! Każdy gość musiał obok nich przejść! Tak zabezpieczamy się przed skażeniem!

– Spokojnie – mówiła cicho aksjomka. – Uspokój się, pani... – Znow położyła dłoń na ramieniu Fayazi i je ścisnęła.

Zastanowiłem się nad sytuacją. Posiadłość była olbrzymia. I mimo tego, co właśnie powiedziała Fayazi, nie ulegało wątpliwości, że w tak rozległym miejscu musiało istnieć wiele wejść. Tylko od czego zacząć?

Przypomniałem sobie, co powiedziała mi Ana po schwytaniu Uxosa: Próby odgadywania motywów to daremny wysiłek. Ale sposób to co innego, to kwestia materii, ruchu obiektów w przestrzeni rzeczywistej.

– Jak służba wchodzi na górę? – zapytałem. – Tą samą drogą co my?

– Korzystają z przejść dla służby – odparł rytownik, wskazując na ścianę po wschodniej stronie domu. – Przejście jest tam, stąd go nie widać, ale jest

zamknięte.

Podszedłem we wskazane miejsce i znalazłem małe, niepozorne drzwi, wstawione tak, by stapiały się ze ścianą. Chwyciłem za klamkę, ale okazały się zamknięte.

– Były zamknięte w dniu przyjęcia? – zapytałem.

– Tak – potwierdził.

– I otwarto je dopiero przed kąpielą Kaygiego?

– Zgadza się.

– To jedyne drzwi dla służby prowadzące do tej części domu?

– Jest jeszcze jedno przejście dla służby, w środku – powiedział powoli.

– Zaraz za tym, którym weszliśmy. Ale rzadko się z niego korzysta.

Wróciliśmy z dachu na korytarz i po chwili dotarliśmy do małych drzwi, również sprytnie zamaskowanych. Pociągnąłem za klamkę – otworzyły się od razu, ukazując wąski, ciemny korytarz.

Przyjrzałem się drzwiom. Zasuwka została wyłamana, jakby ktoś podważył ją kawałkiem żelaza.

Aksjomka wpatrywała się przez moment w uszkodzony zamek, po czym odwróciła się do rytownika.

– Jakim cudem tego nie zauważyłeś? – syknęła.

Uprzedziłem jego tłumaczenia.

– Możliwe, że truciiciel wiedział, że te drzwi są rzadko używane – podsunąłem. – Ale to wtedy musiał się dostać. Czy to przejście daje dostęp do komnat, gdzie odbywało się przyjęcie?

– Oczywiście! – warknęła aksjomka. – A jak inaczej służba miałaby poruszać się po domu niezauważona?

– Ale większość tych korytarzy jest nieoświetlona – zaznaczył rytownik.

– Służba i tragarze zazwyczaj noszą latarnie podczas wykonywania obowiązków. Jestem pewien, że zauważyliby, gdyby ktoś z gości biegał po przejściach dla służby z latarnią.

Spojrzałem w mrok korytarza.

– Chciałbym sam zobaczyć, jak to wygląda.

Korytarze były wąskie i klaustrofobiczne. Trudno mi sobie było wyobrazić, jak służba Hazów przechodziła tędy z naręczami pościeli czy tacami z jedzeniem. Jednak choć poruszałem się powoli, kierując się zawsze w dół, tam, gdzie odbywała się uczta, nie zauważyłem żadnego wyraźnego śladu włamania, a przynajmniej niczego, co wyróżniałoby się spośród zwykłych śladów użytkowania korytarzy zostawianych przez służbę.

W końcu dotarłem do przestronnych pomieszczeń na parterze, gdzie czekała już na mnie Fayazi i jej świta.

– No i? – Uniosła brew. – Znalazłeś jakiś dowód wskazujący, jak to zrobiono? Albo jak to przeklęte skażenie przeniknęło do naszego domu?

Otrzeptałem się i zastanowiłem. Wydawało się mało prawdopodobne, że truciiciel pokonał tę trasę przez korytarze, nie znając jej wcześniej, a to oznaczało, że musiał po pierwsze wiedzieć o ich istnieniu, a po drugie znać ich rozkład.

– Signumie? – odezwała się Fayazi. – Słuchasz mnie?

– Wciąż badam trop, pani – odparłem. – Powiedz mi... czy te drzwi podczas przyjęcia były zamknięte?

– Nie, te na dole nie. Byłoby to ogromnie niewygodne, gdyby służba musiała je ciągle zamykać i otwierać.

– Czyli każdy mógł się przez nie prześlizgnąć?

– Tak – potwierdził rytownik. – Ale w salach porozstawialiśmy strażników, a jak już wcześniej mówiliśmy, służący zauważyliby obcego kręcącego się z latarnią po przejściach.

Zmarszczyłem brwi, tocząc wzrokiem po długich, przepastnych salach przypominających wielkie groty i przyglądając się drzwiom dla służby, ledwo widocznym w płaszczyznach ścian.

– Wspomnieliście, że podczas przyjęcia wybuchł pożar – powiedziałem. – Chciałbym zobaczyć, gdzie to się stało.

Zaprowadzili mnie do jednej z wielu sal, w której znajdował się ogromny kominek z kamiennego drewna. Wciąż unosił się w nim zapach starej sadzy. Spłonął spory kawałek dywanu przed kominkiem, a czarna plama chrzęściła pod podeszwami, gdy na nią nastąpiłem.

Uklęknąłem i zacząłem badać palenisko oraz pokrywę popielnika. W lewym tylnym rogu paleniska zauważyłem jakieś białe ślady. Tworzyły dziwny wzór bladego kwiatu. Kiedy dotknąłem plamek, okazało się, że to nie osad, a przypalona cegła.

Doszedł mnie słaby zapach, gryzący i nieprzyjemny. Przypominał koński mocz albo coś równie odrażającego. Nachyliłem się i powąchałem ponownie. Tym razem woń była wyraźniejsza.

– Co to takiego? – zapytała Fayazi.

– Nie jestem pewien, pani – odparłem. Wyczołgałem się z kominka i powąchałem swoją fioletkę, by dobrze zapamiętać zapach. – Ale nie sądzę, by pożar spowodowała iskra z drewna.

– Czyli ktoś wrzucił do kominka... jakieś urządzenie? – zapytał rytownik.

– Tak. W celu dywersji. Rozniecił pożar, strażnicy przybiegli, wy również, a tymczasem ktoś wślizgnął się do korytarzy dla służby, przedostał się do łaźni i wrócił niezauważony.

Fayazi wpatrywała się we mnie, oniemiała.

– Ale jak mógł przejść niezauważony korytarzami służby? – wykrztusiła.

– Nie wiem, pani.

– I jak w ogóle wnieśli to przekłute skażenie do mojej posiadłości?

– Spokojnie, pani – powiedziała cicho aksjomka.

– Nie wiem, pani – powtórzyłem.

– Przecież jakoś musieli to zrobić! – zdenerwowała się nagle Fayazi. – A mówią, że ludzie z Jurysu są podobno tacy bystrzy!

– Musisz zachować spokój, pani! – szepnęła aksjomka. – Czerp powietrze i wydychaj, wdychaj spokój!

Ponownie chwyciła swoją panią za ramię, tym razem tak mocno, że jej palce zniknęły w szatach Fayazi. Nie potrafiłem wyobrazić sobie nikogo, kto działałby mniej uspokajająco od tej istoty o oczach jak szpilki. Ale dostrzegłem okazję.

– Nie sądzę, by truciznę przyniesiono tu na przyjęcie, pani – stwierdziłem, gorączkowo myśląc.

– Więc jak? – zażądała odpowiedzi Fayazi.

– Sądzę, że zrobiono to wcześniej. Podejrzewam, że znajdowała się na terenie posiadłości, czekając na wykorzystanie. Potem morderca wszedł z innymi, obchodząc zabezpieczenia, odnalazł ją i zaniósł w odpowiednie miejsce. A przemyślenie czegoś wielkości żdźbła trawy na tak wielką posiadłość nie nastroczałoby większych trudności.

Zawahałem się. Dotąd mówiłem tylko to, w co naprawdę wierzyłem, teraz jednak musiałem skłamać. A to nigdy nie było moją mocną stroną.

– Jak? – powtórzyła Fayazi, coraz bardziej zirytowana.

– Mogła zostać przerzucona przez ogrodzenie – powiedziałem powoli – lub być może przeniesiona przez jakieś niewielkie zwierzę.

– Zwierzę? – powątpiewał rytownik. – Sugerujesz, że zabójca wytresował mysz, by przemyciła żdźbło trawy do kotłowni?

– Albo oswojonego ptaka – podsunąłem. – W posiadłości znajduje się przecież ptaszarnia, prawda? Dla jastrzębi?

Fayazi milczała, rozważając moje słowa.

- Tam na pewno nie wejdiesz – zaznaczyła aksjomka.
- Naprawdę uważasz – odezwał się rytownik – że ktoś... przesłał skażenie do domu pani? Jastrzębiem skrybnym?
- Niewykluczone. Zakładam, że ptaki często kursują tu z pocztą. Lekkie żdźbło nie byłoby dla nich wyzwaniem. Czy jastrzębie skrybne sprawdzacie tak samo dokładnie jak gości przed przyjęciem?
- I uważasz, że gdy ptak dostarczył tu tę przesyłkę, jakiś służący ot tak zabrał ją i gdzieś tu zostawił? Tak na widoku? – nie dowierzał rytownik.
- Zwykle uznalibyśmy to za mało prawdopodobne – oznajmiłem chłodno. – Ale równie mało prawdopodobne wydawałoby mi się, że ktoś swobodnie poruszał się korytarzami dla służby i sforsował drzwi na górze, a wy tego nie zauważyliście. A jednak najwyraźniej tak właśnie się stało.
- W lodowatej ciszy troje ludzi wpatrywało się we mnie z niechęcią.
- Do ptaszarni ma dostęp bardzo wąskie grono – rzekła Fayazi. – Nawet ja do niedawna nie miałam tam wstępu. Wchodzili tam tylko mój ojciec i jego najbardziej zaufani słudzy.
- Muszę zbadać wszystkie możliwości przeniesienia skażenia na teren rezydencji – wyjaśniłem. – Jastrzębiarnię, ogrodenie... wszystko.
- A nadal upierałbyś się przy ptaszarni, gdybym ci powiedziała, że po śmierci cała jego korespondencja została spalona? – zapytała aksjomka.
- Pilnowałem się, żeby frustracja nie odbiła się na mojej twarzy. To oczywiste, że spalili korespondencję. Z powodu skażenia, to jedno, ale przede wszystkim, by pozbyć się wszelkich dowodów. Ale Ana kazała mi iść do jastrzębiarni, więc rzeczywiście mogło się tam znajdować coś cennego.
- Ależ jak najbardziej – skłamałem gładko.
- Wobec tego zezwolę ci na to – orzekła Fayazi po chwili zastanowienia.
- Ale nie ma tam nic do oglądania, pani – zaprotestowała aksjomka. – Nie możemy pozwo...
- Ponoć to ten chłopiec rozwikłał zagadkę śmierci Blasa – przerwała jej Fayazi ostro, obrzucając służącą gniewnym spojrzeniem. – Niech więc idzie. Masz pięć minut, signumie, i ani sekundy więcej.
- Obróciła się i ruszyła przed siebie, a za nią jej świta.

Rozdział dwudziesty ósmy

Po drodze wypytywałem Fayazi i jej Sublimów o przesyłki do starego Haza. Czy przyszło coś nietypowego? Jakaś paczka, którą odłożono na bok? Robiłem to po części, by podtrzymać moją historię, na podstawie której poprosiłem o wstęp do ptaszarni, ale chciałem się dowiedzieć też czegoś więcej o korespondencji Kaygiego, nawet jeśli już nie istniała.

Odpowiadali jednak krótko, oszczędnie i nie pozostawiając miejsca na drażnienie. „Tak”, „nie”, „nie przypominam sobie”. Nic użytecznego się nie dowiedziałem, a aksjomka szybko w ogóle przestała się odzywać.

W końcu dotarliśmy do jastrzębiarni. Znajdowała się w wysokiej, okrągłej wieży w północno-zachodniej części posiadłości. Wyczułem to miejsce, jeszcze zanim Sublim Fayazi otworzył drzwi – piżmowy zapach słomy, duszna wilgoć i oczywiście gryzący odór ptasich odchodów.

Rytownik gestem zaprosił mnie do środka. Spojrzałem w górę, w cieniłą otchłań wieży nad głową, którą rozpraszało jedynie światło wpadające przez umieszczone wysoko pod dachem szczeliny wlotowe dla ptaków. Półmrok odzywał się trzepotem skrzydeł i postukiwaniem jastrzębi, które siedziały w drewnianych skrzynkach przytwierdzonych do ścian w spiralnym układzie.

– Tam jest biurko. – Rytownik wskazał kąt, gdzie pod zielonym daszkiem z tkaniny, chroniącym zapewne przed obsraniem, stał bogato zdobiony mebel z białego drewna. – Tutaj pan czytał i odpisywał na najpilniejsze wiadomości. Ale usunęliśmy wszystko. Zastanawialiśmy się też, czy nie spalić biurka, ale...

– To pamiątka – wyręczyła go Fayazi. – Zabytek, jeszcze z czasów Khanum. Jest starsze niż cały ten kanton.

Spojrzałem w zadumie na mebel. Skoro nie było tu listów, co mógłbym oglądać?

Zadarłem głowę na gniazda ptaków. Samych jastrzębi nie widziałem, ale od czasu do czasu pomiędzy prętami drzwiczek błyskało bursztynowe oko. Skrzynki były zawieszane po dwie obok siebie, a pod spodem połyskiwały niewielkie plakietki z brązu. Ciekawe.

– Jak to działa? – zapytałem.

– Działa? Są zmodyfikowane i tyle.

– Tak, ale w jaki sposób przenoszą listy? Chciałbym poznać metodę, jeśli to możliwe.

Sublim westchnął cierpiennie.

– Są trenowane parami, każdy jeden w innym miejscu. Jeden przynosi pocztę, drugi zabiera. Każdy z ptaków został nasycony wzmocnieniami na wytrzymałość oraz szybkość, a także zdolność zapamiętywania map. Latają tylko w jedno miejsce, wte i wewte.

– A w jaki sposób uczy się je tego?

– Każdemu z nich brakuje pewnego związku w organizmie niezbędnego do życia. Parę uczy się, że mogą go przyjąć tylko w dwóch miejscach, na końcach trasy, do której się je przyucza. Zwykle dostają je w kawałkach melona sukka. Po przelocie ptak dostaje melon jako nagrodę. Po pewnym czasie wyrabia się w nich mechanizm.

Wysłuchałem się w odgłosy dobiegające z budek.

– Czy na tych tabliczkach pod spodem umieszczono nazwy miejsc docelowych? – zapytałem.

– Tak.

– Ptaki przypisane do tej posiadłości...

– Zawsze mieszkają w lewej budce.

– A więc te przylatujące z drugiej lokalizacji, przynoszące wiadomości, siedzą w tej po prawej, dopóki nie wylecą z powrotem?

– Dokładnie.

– Czyli skoro oba są tutaj, oznacza to, że niedawno dostaliście jakąś wiadomość, a jeśli nie ma żadnego, że właśnie ją wysłaliście? – Hm... No tak, tak by to wyglądało. – Rytownik wydawał się lekko zaniepokojony.

– A więc skoro odizolowaliście posiadłość po śmierci Kaygi Hazy, nie powinno być żadnych wiadomości, które dotarły bądź zaginęły.

– Tak...?

Przyuważyłem lekki skurcz mięśni na twarzy mężczyzny. Być może skłamał.

– Wobec tego poszukam śladów jakiejś manipulacji. – Ruszyłem w stronę krętych schodów. – Zaraz wracam. To potrwa krótką chwilę.

Na każdym stopniu pod moimi podeszwami chrzęściło guano.

– Pośpiesz się, signumie – głos Fayazi dobiegł mnie, kiedy dotarłem do pierwszej pary budek. – Dałam ci pięć minut, ani sekundy więcej. Chciałeś obejrzeć nasze tereny, a są bardzo rozległe, ja zaś nie pozwolę ci tu nocować...

– Rozumiem, pani! – zawołałem.

* * *

Z budek błysnęła na mnie para bursztynowych ślepi. W ciemnym wnętrzu trudno było dostrzec szczegóły, ale jastrząb skrybny wewnątrz, piękny, smukły ptak o ciemnym upierzeniu, siedział w słomianym gnieździe wśród skórek melona. Zatrąkotał na mnie, kiedy uklęknąłem przed jego budką, jakby zdziwiony i zaintrygowany.

Sąsiednie pomieszczenie było puste, co oznaczało, że do tej lokalizacji ani nie wysłano, ani nie odbierano stamtąd żadnych wiadomości.

Spojrzałem na tabliczkę pod spodem. Napis był wyryty pochyłym pismem z zawijasami, od którego aż bolały mnie oczy. Zmarszczyłem brwi, zmuszając się do skupienia wzroku na tańczących, rozedrganych literach, aż w końcu udało mi się rozpoznać napis:

Llitda ñan yadāaqñu urkuquna ñanlana yunpaypniyuq kay.

Wpatrywałem się w ten skomplikowany ciąg znaczków, kompletnie zbity z tropu, rozpaczliwie usiłując nadać wyrazom jakiś sens.

Wystarczyło, że na moment oderwałem od nich wzrok, a gdy spojrzałem ponownie, litery rozmyły się znów w bezsensowne bazgroły. Znów musiałem się skoncentrować, żeby rozróżnić napis.

– Ummm, w jakim języku zapisano miejsca na tabliczkach? – zapytałem głośno.

– W sazi – odpowiedział mi głos Fayazi. – W języku mojego ludu, z pierwszego pierścienia Imperium. Znasz go, signumie? Ach, wątpię... Z tego, co wiem, jest niezwykle trudny do opanowania...

Wpatrywałem się w ciemność przepastnego pomieszczenia, starając się nie oddychać nadbyt głęboko.

Oczywiście, że nie znałem tego języka. Ledwie mogłem rozróżnić litery, a niektóre z nich widziałem pierwszy raz w życiu. To oznaczało, że nie mogę odczytać tekstu na głos, czyli nie byłem w stanie wyryć ich w pamięci i przekazać Anie.

Zacisnąłem powieki, próbując przywołać z pamięci wyrazy, które właśnie widziałem, jednak umysł podsunął mi tylko obraz rysy i zadrapania na

gładkiej powierzchni tabliczki, bezsensowne wzorki w miejsce ciągów znaków.

– Cholera – szepnąłem, otwierając oczy.

– Czy coś nie porządku, signumie? – wycedziła Fayazi drwiąco. – Znalazłeś coś?

Oblałem się zimnym potem, ale wstałem i kontynuowałem wspinaczkę, gorączkowo myśląc, co robić. Przyszedłem tu, licząc, że dowiem się czegoś na temat korespondencji Hazów. Choć okazało się, że nie znajdę tego, na co miałem nadzieję, myślałem, że przynajmniej informacje, gdzie oraz kiedy wysyłali listy, coś nam powiedzą.

Okazało się to jednak niemożliwe, bo nie mogłem odczytać napisów z tabliczek, a wszystko przez moje przekłute oczy i głupi mózg, który nie mógł się nauczyć, jak zachować w pamięci słowo pisane.

Z bijącym sercem wspinałem się wyżej. Minąwszy dwa zestawy budek z pojedynczymi mieszkańcami, dotarłem do pustych. Czyli wysłano jakąś wiadomość. Na plakietce znajdowało się miejsce, do której ptak ją zabrał. Zmrużyłem oczy, wpatrując się w skupieniu w litery. W końcu przestały falować i odczytałem:

Altıntı yardaaqñu urkuquna t'iqramkandkiaqñu chaika.

Wlepiąłem w nie wzrok, czując, jak drgają mi napięte mięśnie twarzy, a serce trzepoce się w piersi. Za oczami błysnęła błyskawica bólu. Fayazi na dole coś mówiła, ale nie słuchałem, ze wszystkich sił starając się zapisać w pamięci wyrazy, zachować je, wrysować w duszę.

Zamknąłem oczy. Znaki natychmiast rozmyły się niczym piana morska na piasku.

– Cholera, cholera, cholera – przeklinałem pod nosem.

Rozchyliłem powieki i próbowałem wyszeptać słowa na głos, brnąc przez szalony zbiór spółgłosek.

– Co tam mówisz?! – krzyknęła Fayazi. – Co tam robisz tak długo, signumie? Czas ci się kończy!

– Już idę! – rzuciłem przez zaciśnięte gardło.

Miałem świadomość, że mi się nie uda i że jeśli zaraz nie zejdem, wyrzucą mnie z posiadłości. Zrozpaczony, gapiłem się w tabliczkę.

Nie byłem w stanie wypowiedzieć słów, ale przyszło mi do głowy, że może potrafiłbym je odrysować.

Porządnie niuchnąłem zawartość flaszeczki z miętą, by jak najlepiej zakotwiczyć tę chwilę w pamięci, a potem wbijając paznokiec w wyżłobione linie, zacząłem wodzić po znakach palcem. – Signumie! – krzyknęła Fayazi gniewnie.

Przesunąłem palcem po jednej, drugiej i kolejnej literze.

– Signumie Kolu! – usłyszałem jeszcze bardziej poirytowany głos Fayazi. – Proszę natychmiast zejść!

Skończyłem przesuwając palcem po wgłębieniach linii, licząc, że kształt utrwalił mi się w pamięci, i ruszyłem do kolejnych budek.

– Prawie skończyłem! Jeszcze tylko kilka!

Zostały cztery pary. Trzy puste, czyli wysłano tam wiadomości, i jedna z oboma ptakami, czyli ktoś przysłał list. Przy każdej przystawałem, wahałem miętę i wodziłem palcem po literach, modląc się, by mięśnie zapamiętały gesty.

Gdy skończyłem z ostatnią tabliczką, poczułem na ramieniu rękę i zaciśnięte na moim ciele, żelazne palce. Zaskoczony, ujrzałem za sobą kościstą twarz aksjomki.

– Wystarczy – powiedziała cicho. – Pani coś powiedziała.

Roztrzęsiony, podniosłem się i otrzepałem, a potem zszedłem na dół. Przerazająca kobieta podążała za mną krok w krok.

Niesłychane! – myślałem, schodząc na dół. Że też musiałem zakodować to w pamięci w tak dziwaczny sposób, przemycić w sobie zaszyfrowane w ruchy. Choć przecież nie wiedziałem nawet, czy to się uda. Liczyłem, że po powrocie zdołam odtworzyć zapamiętane kształty linii tak, żeby nie wyszły z tego jakieś brednie.

Bo inaczej... inaczej się dowie. Odkryje moją przypadłość, moje kłamstwa, zdemaskuje mnie i wyrzuci ze służby, o ile nie wtrąci do więzienia!

Żołądek zwinął się w supeł. W co ja się wpakowałem?

Dotarłem do podnóża schodów i mokry, wykończony wysiłkami czytelniczymi, ruszyłem ku drzwiom. Fayazi i jej Sublimowie spojrzeli na mnie z odrazą wypisaną na twarzach.

– Wszystko w porządku? – zapytała dziedziczka. – Czy może natknąłeś się na jakieś skażenie tam na górze?

– Nie, nie znalazłem niczego nietypowego, pani – wychrypiałem. – To teraz... ogrodzenie?

Przypatrywała mi się jeszcze przez moment wnikliwie, tymi swoimi ametystowymi oczyma.

– Tak – przystała. – Idź za nami, poprowadzimy cię.

Tak też zrobiłem, podążyłem za Sublimami, ale Fayazi odczekała i ruszyła dopiero za mną. Za każdym razem, gdy zerkąłem na nią przez ramię, napotykałem jej baczne, świdrujące spojrzenie.

* * *

Za posiadłością rozciągało się wielkie patio wyłożone białym kamieniem. Choć było mi słabo, oszołomił mnie widok. Gęste korony posadzonych wokół drzew tworzyły jaskrawopomarańczowy baldachim, a ruch liści sprawiał, że zdawało się, jakby stał w ogniu. Wzdłuż krawędzi tarasu stały ogromne, smukłe, zakrzywione, jasnozielone rzeźby. Musiały mieć ze czterdzieści spanów, prawie przewyższały dom. Poczułem trzepot za oczami i rozpoznałem, co to. Widziałem coś takiego na Równinie Szlaku Tytana.

– To... też kości – zająknąłem się. – Żebra.

– Tak – potwierdziła Fayazi. – Z małego okazji. Trudno w dzisiejszych czasach transportować większe fragmenty, przynajmniej drogą lądową. Powiedz, signumie, co spodziewasz się znaleźć w moim ogrodzeniu?

Przesunąłem wzrokiem po szpalerze zakrzywionych, lśniących kości, uznając je za makabryczny element wystroju.

– Nie wiem, pani. Możliwe, że morderca ma jakiś swój sposób. Uprzednio wszystko przygotowuje, przychodzi zawczasu. W waszym domu w Daretanie używał żółtej piłki do komunikacji ze służbą, przerzucał ją przez ogrodzenie. Ale w tym wypadku raczej nie wchodzi to w grę, biorąc pod uwagę wysokość tego tutaj. No, ale to chyba to pierwsze zabezpieczenie, które należy pokonać.

– Fascynujące – stwierdziła Fayazi i kiwnęła na switę sług. – Ta inspekcja trochę potrwa, więc powinienes się najpierw posilić, signumie.

Podeszła do nas służąca z wielką miedzianą tacą, pełną kandyzowanych owoców, orzechów i suszonego mięsa, misternie splecionego w kunsztowne warkocze przez jakiegoś adepta sztuki rzeźniczej.

Mój żołądek natychmiast odezwał się w odpowiedzi na ten widok. Nie jadłem od wielu godzin i rozpaczliwie pragnąłem skosztować tych wspaniałości. Ale pamiętałem, że Ana zakazała mi jeść i pić w tym domu.

– Ach, bardzo dziękuję, pani, ale nie. – Skłoniłem się grzecznie. – Bardzo doceniam wysiłek, ale nie skorzystam.

– Zdajesz sobie sprawę, signumie, że to wielka nieuprzejmość? – Zmierzyła mnie zimnym wzrokiem.

– Już samo przebywanie tutaj jest wielką nieuprzejmością z mojej strony. Mogę tylko docenić życzliwość, że mnie tu wpuszczono, i prosić o wybaczenie.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę. Przez moment wydało mi się, że dostrzegłem na jej twarzy dziwny wyraz: coś na kształt skoncentrowanej, oszalałej trwogi. Zerknęła ukradkiem na swoich dwóch Sublimów, którzy stali za nią, obserwując mnie pilnie.

Zdałem sobie sprawę, że Fayazi Haza bardzo się czegoś boi. Ale raczej nie mnie.

Ale grymas ten przemknął szybko, a Fayazi zaśmiała się wysoko, perliście.

– Skoro tak, signumie... Acz podejrzewam, że później będziesz potrzebował sił. Idź więc na te swoje przespiegi. Jestem niezwykle ciekawa, co też znajdziesz.

Ukloniłem się ponownie i odszedłem w stronę ogrodzenia, ale jej słowa dźwięczały mi w uszach. Byłem pewien, że z Fayazi Hazą jest coś bardzo nie w porządku. Nie miałem jednak pojęcia co.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przez całe popołudnie, prawie aż do wieczora, chodziłem po terenie rezydencji Hazów, wachając od czasu do czasu miętę z fiolki. Strażnicy podążali za mną krok w krok, jak za jakimś ziemianinem skazanym na areszt domowy, ale starałem się nie zwracać na nich uwagi i skupiać na formo-bluszczowym ogrodzeniu.

Sięgało wysokością prawie do dachów domu, więc trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógł się na nie wspiąć. Jedyne, co znalazłem ciekawego, to strumień, który w pewnym miejscu przepływał pod parkanem. Zabezpieczała go śluza, skomplikowana konstrukcja z kamienia i stali, która poruszała się po metalowych szynach. Dolna połowa z kraty pozwalała swobodnie przepływać wodzie. Kucnąłem i przyjrzałem się, jak pręty nikną w mulistym dnie.

Obróciłem głowę, spoglądając na najbliższego stojącego strażnika. Łypał na mnie spod zmarszczonych brwi z pobliskiego pagórka.

– Hej! – Pomachałem do niego i gwizdnąłem.

Wykrzywił się jeszcze bardziej.

– Hej, mam do ciebie pytanie!

Nie ruszył się nawet.

– Możesz tam stać i patrzeć jeszcze chwilę, jak gwizdzę, albo przejdziesz tu od razu i będziemy mieli to z głowy.

Łypał jeszcze przez moment, ale w końcu podszedł ostrożnie, żeby nie zamoczyć sobie swoich pięknych butów.

– No?

– Po co ta śluza? – zapytałem.

– Żeby przepuszczać wodę po burzach.

– Zawsze jest w tej pozycji?

– Nie. Podnoszą ją, żeby przepuścić wodę, a potem opuszczają, jak poziom strumienia opada.

Popatrzyłem w górę na masywne wrota śluzy.

– A jak je podnoszą?

– Na szczycie jest blok. Przekładają przezeń linę, przywiązują do słoenia, a on ciągnie i wrota się podnoszą.

– A kiedy robili to ostatnio?

– A niby skąd mam wiedzieć? – odwarknął. – Parę tygodni, może parę miesięcy temu. Skończyłeś?

– Nie. – Odwróciłem się i ruszyłem na wschód, a on, przeklinając pod nosem, podążył za mną.

* * *

Kiedy dotarłem do wschodniego przepustu, było już niemal ciemno. Wyglądał prawie tak samo jak poprzedni, z tą różnicą, że z mulastego dnia potoku wystawały kamienie, niczym grzbiety chrząszczy śpiących w ziemi.

Zwróciłem uwagę, że kamienie zostały przewrócone, a ich wierzchnią stronę pokrywało błoto.

– Hm – mruknąłem do siebie zamyślony, a potem zacząłem iść w stronę domu, szukając innych śladów naruszenia terenu.

I rzeczywiście, po chwili dostrzegłem coś pod jednym z jasnych drzew, plamę żółtawej zieleni, owalną, długości około pięciu spanów, czyli mniej więcej wzrostu człowieka.

Przyklękąłem, żeby przyjrzeć się jej z bliska, dotknąłem jej w środku, a potem wcisnąłem palce i poczułem pod nimi coś twardego. Wybadałem krawędzie przedmiotu, chwyciłem i wydłubałem z ziemi.

Okazało się, że to kawał drewna kamiennego, przykryty warstwą darni, która obumarła. Pod nim znajdowało się płytkie, podługowate wgłębienie, na około pięć spanów długie i na dwa głębokie. Ziemia na dnie wydawała się mocno ubita, a kiedy ją obmacałem, niczego pod nią nie znalazłem.

Najwyraźniej coś tu leżało, coś, co stąd wyciągnięto. Bo przecież mało prawdopodobne, by ktoś zadał sobie trud wygrzebania takiej dziury i zakrycia jej drewnem całkiem bez powodu.

– Co to? – zainteresował się jeden ze strażników, którzy podeszli i zaglądali mi przez ramię.

– Z tego, co widać, dołek.

– Jak to znalazłeś?

– Chodziłem i przenosiłem wzrok z miejsca na miejsce.

Oddalili się, przeklinając pod nosem, a ja pomyślałem, że chyba zaczyna mi się udzielać zuchwałość Any.

Usiadłem na trawie i poczuwszy, że coś mnie uwiera, sięgnąłem do kieszeni. Wyjąłem z niej resztkę strzelisłomki tytoniowej, którą paliłem ze Strovim.

Obróciłem ją w dłoni, myśląc, że tamta chwila wydaje mi się teraz tak odległa. Włożyłem ją między zęby i zacząłem żuć, a moje usta wypełnił mrowiący, ciepły smak tytoniu. Ożywił moje myśli.

Nie bardzo wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Wizyta w ptaszarni okazała się prawie całkiem porażką. Sprawdzenie ogrodzenia skończyło się odnalezieniem paru wywróconych kamieni i tej dziwnej dziury. To nie wyjaśniało, w jaki sposób ta Jolgalgan, bo zakładałem, że to ona, wniosła do rezydencji skażenie. Nie potrafiłem sobie również wyjaśnić, w jaki sposób przeszła niezauważona korytarzami dla służby. Ani jak źdźbło w zbiorniku na wodę skaziło dziesięciu inżynierów prawie tydzień później. I w ogóle co ci inżynierowie mogli robić w posiadłości Hazów, skoro Fayazi stanowczo zaprzeczała, że tu byli.

Jednak mrok gęstniał, a ja nie chciałem pozostawać w tym miejscu dłużej, niż to konieczne, bo czułem się coraz bardziej nieswojo.

– Zaprowadźcie mnie z powrotem – powiedziałem do strażników.

* * *

Wracaliśmy przez dziwnie wypiełgnowany las, który pograżał się w coraz większej ciemności. Po drodze cały czas żułem moją tytoniową strzelisłomkę. Końcówkę już prawie całkiem pogryzłem, ale tylko to dawało mi pociechę w tym dziwnym miejscu, które mrok jeszcze bardziej udziwniało, a niskie, łagodne pagórki zaczynały rozbrzmiewać odgłosami istot, których nie rozpoznawałem.

Gdy zbliżyliśmy się do domu, wyszedł nam na spotkanie rytownik. Podszedł do strażnika, wyszeptał coś do niego, a potem po krótkiej, nerwowej wymianie zdań, strażnik wskazał łapskiem drogę naokoło domu.

– Tędy – burknął.

– Miałem wracać do domu – zauważyłem.

– Tam. – Powtórzył gest.

– Co jest „tam”?

– Pani życzy sobie z tobą porozmawiać w przyjemniejszym otoczeniu – wyjaśnił rytownik.

Spojrzałem na niego z niechęcią, ale ruszyłem we wskazanym kierunku, a on za mną.

Obeszliśmy prawie cały dom otoczony tańczącymi cieniami drzew obwieszonych latarniami mai. W końcu dotarliśmy do dużej sali, jakby

balowej, zbudowanej na tyłach domu. Niewielkie, okrągłe okienka w tej części, miały pozamykane okiennice, ale przez szczeliny w nich przesączało się złotawe światło. Przenikał przez nie również głos z wnętrza, podniesiony, jak w czasie sporu. Zwolniłem kroku, wsłuchując się weń.

Rozpoznałem ten głos, gniewny, przenikliwy, należał do Fayazi. Sprzeczała się z kimś, kto odpowiadał tak cicho, że nie słyszałem słów. Nawet to, co mówiła dziedziczka, zaczęło docierać do mnie lepiej, kiedy zbliżyłem się do nieco uchylonej okiennicy.

Ukradkiem wyciągnąłem z torby fiolkę z nieużywany dotąd zapachem i upuściłem ją w trawę. Potem obróciłem się do idącego z tyłu rytownika.

– Coś mi wypadło. – Udałem zmieszanie. – Jedna z fiolek wysunęła się z torby...

Pofukał, zirytowany, ale ostatecznie się schylił, żeby pomóc mi szukać.

Pod pozorem rozgarniania trawy przybliżyłem się do uchylonego okna i przystanąłem. Teraz wyraźniej słyszałem Fayazi, choć niestety drugiej osoby nadal nie rozumiałem.

– ...mam cokolwiek robić, jak nic mi nie mówisz. Trzeci? Jaki trzeci? Co mogą znaleźć? Czego szukają?... Och, ciągle to powtarzasz! Sama wiesz, że się o to nie prosiłam. Nie wiesz, jak się czułam, tkwiąc tutaj. Gdyby chciał, żebym stanęła na czele, to dałby mi jakąś wskazówkę. A siedzę tu jak jakiś spętany wściekły pies...

Mignęła nade mną dłoń i rytownik zatrzasnął okiennicę, a potem popatrzył na mnie gniewnie z góry i wyciągnął rękę, w której trzymał fiolkę.

– Proszę. Następnym razem lepiej zapinaj torbę.

Ukloniłem mu się, zabrałem buteleczkę i poszedłem za nim, ale zauważyłem wcześniej, że głosy w pomieszczeniu umilkły.

Weszliśmy od tyłu. Rytownik przytrzymał mi drzwi i czekał, aż wejść do długiej, niskiej komnaty, eleganckiej i oświetlonej latarenkami na rosnących w doniczkach drzewkach. Przy stoliku pośrodku, zastawionym jedzeniem, siedziała Fayazi, jedząc i popijając wino ze srebrnego kielicha. Przebrała się, zamiast obszernych szat miała teraz na sobie wiązaną na szyi suknię, która odsłaniała całe ramiona. Światło zdawało się zakrzywiać wokół niej, sprawiając, że wyglądała na półprzeźroczystą i nierzeczywistą.

Podniosła oczy i obdarzyła mnie lekkim smutnym uśmiechem.

– Jak poszukiwania przy ogrodzeniu, signumie?

Zawahałem się, bo to wszystko wcale mi się nie podobało. W pomieszczeniu nie zauważyłem nikogo prócz strażników i zastanawiałem się, z kim

rozmawiała.

Towarzyszący mi strażnik zbliżył się, napierając na mnie, żebym wszedł dalej. Zrobiłem kilka kroków do przodu, a z każdym Fayazi wydawała mi się piękniejsza, aż w końcu powietrze wokół niej zdawało się migotać.

– To jak? – zapytała znowu. – Znalazłeś coś?

Wyjąłem słomkę z ust i wbiłem wzrok w ziemię, starając się zachować trzeźwość umysłu.

– Niestety, pani, niewiele.

– Powiedziano mi, że spędziłeś sporo czasu przy przepustach. Było tam coś ciekawego?

– Nic poza wodą i kamieniami.

Zatrzepotała rzęsami, ale teraz wydawało mi się to wyuczone, nienaturalne, jak u aktorki, która jeszcze nie zna zbyt dobrze swojej roli. Coś tu było bardzo nie tak.

– Ale odkryłeś jakiś dół, czyż nie? Ukryty. Czyli ktoś musiał go wykopać na terenie posiadłości, tak?

– Możliwe. Wgłębienie było osłonięte. Ale nie wiem ani kto, ani po co mógł to zrobić. Żeby coś ustalić, muszę przekazać te informacje mojej zwierzchnicze.

Podniosłem oczy i wytrzymałem jej badawcze spojrzenie. To, co mówiłem, było prawdą, nawet jeśli nie całą. Wreszcie uwolniła mnie od swego wzroku, zsuwając do ust kęs mięsa z widelca.

– Siadaj. I jedz.

– Proszę wybaczyć, pani, ale muszę pilnie wracać do Talagr... – Nie bądź niemądry. Usiądź i zjedz coś.

Rozejrzałem się ponownie. Sublimowie siedzieli na krzesłach pod ścianami, spoglądając na mnie z zazdrością, jakbym celowo odmówił ich pani, by zyskać jej uwagę. Skąd się tam wzięli? Czyżby wzmocnienia Fayazi oczadziły mnie tak mocno, że nie zauważyłem, kiedy i jak weszli?

Usiadłem przy stole z twardym postanowieniem, że niczego nie tknę. Nie znałem żadnej z potraw ani owoców leżących na półmiskach, ale mój skurczony żołądek boleśnie domagał się jedzenia, które pachniało nęcąco. Włożyłem do ust strzelisłomkę i zacząłem ją żuć, a smak tytoniu nieco przytłumił głód.

Fayazi wzięła skrzydełko jakiegoś ptaka i sprawnie odkroiła pasek ciemnego mięsa.

– Wiesz, signumie, jestem przekonana, że znajdziesz tego mordercę. Naprawdę w to wierzę.

Nie odezwałem się.

– Nikt z moich ludzi nie połączył tak szybko faktów. Nikt nie wpadł na to, żeby sprawdzić korytarze dla służby. – Zerknęła potępiająco na swoich Sublimów. – Masz bystry umysł. Szkoda, że poświęcasz go na tak makabryczne sprawy. I szkoda, że masz okazję oglądać tylko nasz dom tutaj, w Talagray. – Przez moment piła duszkiem, a gdy odstawiła kielich, jej usta były karmazynowe, a zęby podbarwione na fioletowo. – W naszych posiadłościach w pierwszym pierścieniu mamy cały szkielet tytana. Wisi przed wejściem, górując na gościach, którzy przekraczają nasz próg. Widziałeś lewiatana, signumie Kolu?

– Nie, jedynie truchło z bardzo daleka, pani.

– Każdy z nich jest niepowtarzalny, wiesz? Różnią się strukturą kości, ilością odnóży. Kolorem. Wiele rozmawiałam o nich z apotekarzami. – Nachyliła się, a ja odrobinę się cofnąłem. – Wiedziałeś, że niektóre mają ludzkie twarze? Nie te osadzone na barkach, bo lewiatany nie posiadają barków, ale inne, ukryte na podbrzuszach. Ogromne oblicza spoglądające na świat wielkimi, ślepymi oczyma, poruszające niemo ustami. Jak jakieś przypadkowe rozrosty modyfikacji. Apotekarze nie potrafią tego wyjaśnić. Nikt nie potrafi. Podobnie jak tego, skąd pochodzą lewiatany lub po co wychodzą na brzeg. Zanim nastało Imperium, w czasie pory deszczowej przemieszczały się w głąb lądu, niszcząc wszystko wokół siebie, aż docierały do Doliny Khanum, gdzie kładły się i zdychały, a ich gnijące truchła przemieniały i wypaczały wszystko wokół... – Odstawiła kielich, splótła białe palce i oparła na nich ostro zarysowany podbródek jak na mostku. Wyćwiczony gest, pomyślałem, ale skuteczny, bo uznałem go za uroczy. –

I może i dzisiaj pragnę tego samego. I może powinniśmy im na to pozwolić. Zburzyć mury i wpuścić na ziemię... – Obserwowała mnie, ale uparcie milczałem. – Możliwe, że tak czy owak do tego dojdzie. Z każdym rokiem są większe. Każdego roku Imperium musi przebudowywać mury, projektować nowe bomby, wynajdywać nowe wszczepy i nasycenia, by je powstrzymać. I każdego roku jesteśmy o włos od katastrofy. A choć nikt o tym nie mówi, inżynierowie po cichu wzmacniają trzeci pierścień murów na zachodzie. Bo jeśli runą mury morskie, a potem Talagray i wschód, to cóż... Wtedy trzeci pierścień umocnień stanie się nowymi murami morskimi, nieprawdaż? – Uniosła głowę i znów napiła się wina. – A gdy do

tego dojdzie... Cóż, warto byłoby mieć miejsce wewnątrz trzeciego pierścienia, do którego można by uciec. Warto byłoby mieć przyjaciół posiadających żyzne ziemie. Albowiem wtedy jalety staną się pyłem na wietrze, a porządek przestanie istnieć.

Zawiesiła głos i odczekała na moją reakcję, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Czy to, co mówię, brzmi dla ciebie sensownie, signumie? – zapytała.

– Tak, pani – zgodziłem się, bo rzeczywiście była w tym logika. Nawet jeśli cyniczna.

– A więc może mi powiesz – rzekła powoli, ostrożnie. – Co dotychczas ustaliła twoja immunisa. Jak przebiega śledztwo. Bo przecież jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

Wpatrywałem się w jej fiołkowe oczy. Srebrzyste włosy opływające bieleńskie ramiona. Powietrze w pomieszczeniu wydało mi się dziwnie ciężkie, perfumowane, choć czułem tylko zapach jedzenia.

Z trudem oderwałem od niej wzrok i popatrzyłem na Sublimów, którzy obserwowali mnie jak ranną łanię, która zbłądziła na ich teren łowiecki.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, pani.

– A dlaczegoż to?

– Prawo zabrania omawiania śledztwa z osobami postronnymi, pani.

– Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi, tak, Kol?

Nie odpowiedziałem.

Wtedy jej spojrzenie nagle ostygło, zestaliło się, jakby podjęła jakąś decyzję. Uniosła palec i zagięła go, w geście dla mnie niezrozumiałym.

– Wstąpiłeś do jaletu dla pieniędzy, prawda? Zostałeś Sublimem, by wspierać rodzinę, czyż nie? By mogli się przenieść w głąb Imperium. Wielu właśnie dlatego wybiera służbę. Ale ile czasu minęło, odkąd widziałeś ich ostatnim razem? A od ostatniego listu od nich? Czy wiedzą, jak cierpisz? Co sobie zrobiłeś? Czym się stałeś?

Słyszałem łomot krwi w uszach. Mój oddech przyśpieszył, stał się gorący. Nagle poczułem, jakby wszystko wokół ściał mróz. Zacząłem się trząść jak w gorączce.

Sublimowie nie spuszczaali ze mnie oczu. Poruszyłem się, zaniepokojony. Coś było nie tak. Zastanawiałem się, czy nie otruli mnie jakoś, mimo że nie tknąłem jadła.

– Istnieje droga, dzięki której mógłbyś wrócić do domu, wolny, bez obciążeń, z fortuną mogącą ich ocalić. Mogłabym wskazać ci tę drogę.

Mógłbyś nią podążyć, wolny. Powiedz, czy teraz, tutaj, nie należy ci się chwila wytchnienia?

– Wytchnienia? – wyszeptalem chrapliwie.

– Tak. – Fayazi uśmiechnęła się tak współczująco, wyrozumiale. – Znoś upokorzenie za upokorzeniem... Czy nie należy ci się odrobina rozrywki? Radości? Imperium ma wiele do zaoferowania. Uwierz mi, wiem, co mówię.

Poczułem, jak w moim brzuchu rozlewa się żar. Chwyciłem się krawędzi stołu. Po skroniach ciekły mi stróżki potu. Lędźwie zaczęły pulsować, do tego głęboki, bolesny skurcz i nagle byłem pobudzony aż do bólu.

Zaskoczony, skrępowany, odwróciłem wzrok od Fayazi i ujrzałem cień na podłodze. Ktoś za mną stał. Spojrzałem przez ramię.

Dziewczyna – w każdym razie dla moich oczu. Patrzyła na mnie smutnym wzrokiem. Była mniej więcej w moim wieku, zadbana i ładna, bosa, o ciemnych oczach i krótkich włosach. Czerwony, jedwabny szal na jej szyi pasował do takiej samej sukni... Choć to może zbyt wiele powiedziane, bo były to w zasadzie dwa pasy tkaniny, po jednym z przodu i z tyłu, odkrywające boki, krągłe biodra i skraj piersi.

Zapraгнаłem jej tak mocno, nagle, niewytłumaczalnie i gwałtownie. Nie dorównywała urodą Fayazi, brakowało jej tej nieskalanej doskonałości, ale w jej postawie, spojrzeniu, w samej obecności było coś tak pociągającego, że zdawało mi się, że mogę umrzeć z pożądania.

Resztką przytomności dostrzegłem jednak coś dziwnego, zgrubienie pod jej pachą, niewielki, fioletowy guzek po modyfikacji. Podniosłem wzrok i na jej twarzy ujrzałem ten sam odcień pod uchem, tuż nad szalem.

Wtedy domyśliłem się, kim jest – przyjemniczną, dworską tancerką. Zmodyfikowaną feromonalnie ku uciechu innych. Ana wspominała mi o takich, ale nie sądziłem, że kiedykolwiek zetknę się z osobą z tego rodzaju wzmocnieniem.

Moje ciało rozdzierał ból pragnienia, chciałem ją chwycić, smakować, posiąść, poznać każdy zakamarek jej ciała.

Zacisnąłem zęby, a wtedy z przygryzionej słomki do gardła spłynął palący posmak tytoniu. Naraz jakbym wyrwał głowę z lepkiej pajęczyny. Zwróciłem spojrzenie z powrotem na Fayazi.

– Chciałbym już iść, pani.

– Nie podoba ci się? – zapytała Fayazi. – Mamy inne. Mężczyzn również, jeśli wolisz.

Milczałem, czując, jak krew we mnie wrze.

– Cóż to za świat, signumie, który każe ludziom zmieniać się, łamie ich, a wszystko to dla kilku monet. – Pochyliła się znowu, a jej zapach mnie oszołomił. – Czy nie należy ci się za to odrobina przyjemności?

Cień przyjemnicznicy zawisł nad moim ramieniem niczym ciężkie brzemie.

– W tak okrutnej krainie nic nie może być występkiem.

– Chcę odejść, pani – powtórzyłem.

Fayazi skinęła na przyjemnicznice, która podeszła bliżej. Odwróciłem twarz od dziewczyny.

– Myliłeś się, Diniosie Kolu – rzekła Fayazi. – Mam wielu przyjaciół, ale dotąd nie spotkałam nikogo tak wartego mojej przyjaźni jak ty.

Przyjemnicznica uniosła przód sukni i zaczęła nim wachlować, otaczając mnie swoim zapachem. Słodki, piżmowy aromat przywodził na myśl liście oranżu i przyprawy korzenne. Serce galopowało mi w piersi i ledwie powstrzymywałem się, żeby nie krzyczeć z bólu, który rozsadzał mi krocze.

– Znalazłeś coś? – zapytała Fayazi, wstając nieoczekiwanie. – Czy Dolabra coś znalazła?

Z trudem przełknąłem ślinę. W falującej przed twarzą jedwabnej czerwieni widziałem przebliski jasnej skóry, mignięcie kępki włosów łonowych tanecznicy.

Ze wszystkich sił starałem się utrzymać wzrok Fayazi. I wtedy dojrzałem na jej szacie smugę czegoś białego, jakby farby.

Rozedrgany, popatrzyłem na śnieżnobiałe ramiona dziedziczki. Czy tak naprawdę to farba? A spod niej prześwitujący siniak, ciemniejsza plamka, jakby odbicie palca? Nawet w takiej chwili robiłem wszystko, by zapamiętać ten obraz.

– Czy twoja immunisa wie o moim ojcu? Wie, co zrobił?

W jednej chwili aksjomka znalazła się przy niej.

– Uspokój się, pani – syknęła. – Spokojnie...

– Co wie o nim i Taqtasie Blasie? – wyrzucała z siebie Fayazi.

Naraz wszystko pogrążyło się w chaosie. Odcinałem się od niego, zaciśkając zęby na cygarniku, zdezorientowany i rozwścieczony, że pozbawiono mnie kontroli nad własnymi zmysłami.

Wtedy poczułem coś jeszcze, trzepot przebudzonego wspomnienia.

Znałem ten zapach, tę oranżowo-korzenną woń. Czuję ją na szalu nieżyjącej princepsy Misik Jilki, w jej kwaterach, drugiego dnia po przybyciu

do Talagray.

Czułem go również w Daretanie, wachając słoiczek z olejkiem znaleziony w rzeczach Blasa.

Trzy razy ten sam zapach.

Zacisnąłem szczęki i zwróciłem się do Fayazi Hazy.

– Ok...ła...mała...śśś mnie – wycedziłem z trudem.

– Co?! – Fayazi zmarszczyła brwi.

– Sss...ig...numa Mmmissik Jilki. Była ttu. Pachniała tak sssamo. Pamiętamm. Oranz i przyprawy korzenne. Ten olejek i perfumy zostawiła na niej twoja tanecznica. – Wyszczrzyłem zęby. – Dotykała ich. Była w tym ssamym pomieszczeniu. Razem z innymi.

Aksjomka cofnęła się zaalarmowana, jakbym dobył broni. – O czym ty bełkocesz?! – uniosła się Fayazi.

– Pppachnieli tak jak Blas. To on miał słabość do tej woni. Dlatego woził ze sobą wonny olejek. Nie mógł się jej oprzeć.

Fayazi gapiała się na mnie oszołomiona.

– Okkkłamałaśśś mnie – wyszeptalem. – Byli ttu. Zabawiali się z twoimi przyjemniczkami. Zniewoliłaś ich. Ale... co dostałaś od nich, pani? Co tobie dali ci wszyscy martwi inżynierowie?

Fayazi spojrzała na Sublimów, a nie doczekawszy się z ich strony reakcji, gestem odprawiła tanecznicę, a potem rzuciła:

– Zabierzcie go stąd. Zabierzcie! I niech zniknie.

Zostałem brutalnie szarpnięty w tył i zwleczony z krzesła.

* * *

Kręciło mi się w głowie, kiedy strażnicy wyprowadzali mnie na zewnątrz. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem siły wzmocnionej modyfikacją, ale w chwili, gdy zbrojni położyli na mnie ręce, poczułem się jak dziecko walczące z dorosłymi. Miotalem się, próbowałem wyrwać, ale moje wysiłki zdały się na nic. W wykręconej ręce zapłonął ból. Nie zważali na moje krzyki.

Puścili mnie dopiero na tarasie frontowym, przy szponie lewiatana.

– Na dół – warknął jeden ze strażników. – Na dół, a potem do powozu.

Zataczając się, pokonałem schody i wpelzłem do wnętrza karocy. Ktoś zatrzaskał za mną drzwiczki i klepnął w pudło.

– Wywieź go za bramę, ale nie dalej!

Szarpnęło i ruszyliśmy podjazdem. Przez okno widziałem wirujący mi przed oczyma, coraz mniejszy dom Hazów. Jednak mimo zawrotów głowy dojrzałem stojącą pod szponem postać, białą niczym zjawa.

Skrzyżowałem spojrzenie z Fayazi Hazą. W tamtej chwili wydawała się całkowicie odmieniona, miała szeroko otwarte oczy, przepełnione przerażeniem i rozpaczą, jakby była więźniem, którego porzucałem na pastwę losu w celi. A potem Sublimowie przypadli do niej, a aksjomka chwyciła ją za ramię i pociągnęła w mrok.

Brama otworzyła się, powóz zatrzymał, a drzwi znów otworzono.

– Wynocha – warknął woźnica.

Wytoczyłem się z pudła i ujrzałem, że na ulicy czeka na mnie grupka ludzi, dwóch legionistów z latarniami w rękach oraz, na ich czele kapitan Miljin.

– Już dobrze, chłopcze, już dobrze. – Podtrzymał mnie za ramię. – Żyjesz? Jesteś cały?

Rozdział trzydziesty

Siedzieliśmy w komnacie Any, a ona i Miljin słuchali z ponurymi minami mojej opowieści. Od czasu do czasu wahałem miętową fiolkę, żeby przywołać szczegóły tego, co widziałem i przeżyłem w domu Hazów. Zrelacjonowałem dokładnie wszystko, począwszy od momentu, kiedy wsiadłem do powozu. Pomiąłem tylko moje wysiłki zapamiętania napisów w ptaszarni – zostawiłem to sobie na koniec.

Po wszystkim przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, przerywanej jedynie westchnieniami i trzaskami kołyszącego się na wietrze budynku Jurysu.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze – odezwała się w końcu Ana. – Bacznie obserwowałeś, wiele widziałeś. I oparłeś się pokusom Fayazi. – Pokręciła głową z obrzydzeniem. – Cóż za cyniczna, manipulacyjna sugestia, że żyjemy w zepsutym świecie, a więc możemy sobie folgować, ile dusza zapagnie. Bo czymże jest jeszcze odrobina niesprawiedliwości w tym niesprawiedliwym świecie? Mądrze zrobiłeś, żeś jej nie posłuchał. – Ana zamarła na mgnienie. – Ale powtórz jeszcze raz te gniewne pytania, które ci zadawała na końcu.

Nabrałem powietrza i wyrecytowałem:

– Znalazłeś coś? Czy Dolabra coś znalazła?

– Acha. A potem?

– Czy twoja immunisa wie o moim ojcu? Wie, co zrobił? Co wie o nim i Taqtasie Blasie?

– Tak... A to zanim poszedłeś do ogrodzenia? Gdy częstowała cię jedzeniem, którego odmówiłeś? Wtedy...?

– Wydawała się przerażona. Jakby się bała, że zrobiła coś niewłaściwie. Ale nie wiem, co by to mogło być, pani. Choć na sam koniec, gdy odjeżdżałem, stojąc u szczytu schodów, parzyła na mnie tak samo.

Ana zamilkła tym razem na dłużej.

– I jeszcze te słowa, które podsłuchałeś. Gdy mówiła do tego tajemniczego rozmówcy, zanim zaczęła cię kusić?

Wykrzesalem z siebie resztki energii i powtórzyłem wszystko, zachowując tonację wypowiedzi.

– ...mam cokolwiek robić, jak nic mi nie mówisz. Trzeci? Jaki trzeci? Co mogą znaleźć? Czego szukają?... Och, ciągle to powtarzasz! Sama

wiesz, że się o to nie prosiłam. Nie wiesz, jak się czułam, tkwiąc tutaj. Gdyby chciał, żebym stanęła na czele, to dałby mi jakąś wskazówkę. A siedzę tu jak jakiś spętany wściekły pies...

Miljin zarżał ponuro.

– Doskonale odgrywasz tę upiorną babkę, naprawdę...

– Trzeci? Trzeci? – zastanawiała się Ana, mnąc w palcach spódnicę. – Co? Zgon? Trzeci morderca? Zbyt mało wiemy, by zgadywać. Ale jedno staje się pewne... Choć Fayazi też raczej tego nie wie.

Siedziałem sflaczały, nie mając sił na reakcję. Ale Miljin marszczył brwi i marszczył, aż omal nie przysłoniły mu oczu.

– Nie wie? Ale czego?

– Najwyraźniej niczego! – odrzekła Ana. – Choć uznanie jej za pajaka w tej sieci byłoby dogodne, uważam, że Fayazi Haza nie ma bladego pojęcia, jakie sprawy mieli jej ojciec i Blas. W zasadzie może wiedzieć nawet tyle co my.

– Naprawdę, pani? – zdziwiłem się. – To wydaje się... niedorzeczne. W końcu jest Haza.

– Jest. Ale kim? Córką trzeciego w kolejności dziedzica. A to, genealogicznie mówiąc, niezbyt silna pozycja w klanie. Do tego tkwiła tutaj, na Obrzeżach, zamknięta w pokojach, odsunięta od wszystkiego, podczas gdy jej ojciec robił swoje i nie dzielił się z nią niczym. Prawdopodobnie mylnie zakłada, że odkryliśmy jego sekrety. A tak nie jest. Na razie. Dziwne to wszystko... Jej poczynania są takie nieudolne, chaotyczne... Jakby oczekiwano od niej, że coś znajdzie, ale nie dano jej informacji, by mogła pojąć, co znalazła. – Ana przygryzła w zamyśleniu wargę. – Myślę, że Fayazi to marionetka.

– Czyja? – zapytał Miljin.

– Rodu, oczywiście.

– Innych Hazów? A czy to nie jedno i to samo?

– Ach nie. Hazowie to rozległa organizacja, tu w Talagray to tylko mała jej część, a Fayazi zajmuje w niej słabiutką pozycję. Ojciec zmarł, a ona nagle została wepchnięta na jego pozycję. Pewnie szybko się zorientowała, że zajmował się jakimiś brudnymi interesami dla rodu, interesami, o których nic nie wie. A co gorsza, zaczęły do niej napływać listy od trzonu rodziny zamieszkującej w głębi Imperium. Rozkazy. Wytyczne. Polecenia. Polecenia, które prawdopodobnie nie pozwalają się jej zorientować w sytuacji. Ma tylko je wykonywać i nie zadawać pytań, i... szukać czegoś, tutaj,

w tym kantonie. Czegoś istotnego, co, jak się obawiają Hazowie, my już odkryliśmy. Może to coś jest tym czymś zagadkowym trzecim. Pewnie Fayazi poci się teraz pod tymi swoimi srebrnymi szatami i zamartwia się, że jeśli wszystko się posypie, to ona zawiśnie, a jej znamienici krewniacy umyją ręce.

Dała nam chwilę na przyswojenie tego wszystkiego.

– To oczywiście tylko domysły – zastrzegła. – Ale po tym, co nam tu powiedziałaś, Din, wydają się bliskie prawdy. Hazowie poszukują czegoś, przedmiotu, może dowodu. Może tego trzeciego. Ale mam wrażenie, że nie powiedzieli Fayazi, co to jest. Fascynujące!

– Może to coś jest związane z tymi martwymi inżynierami? – podsunął Miljin. – Skoro Fayazi okłamała w tej sprawie Kola... A on musiał zmierzyć się z tą cholerną przyjemniczną, żeby odkryć jej krętactwa.

Otarłem czoło z potu, usiłując pozbyć się tego wspomnienia.

– Ale nadal nie rozumiem, po co ci inżynierowie w ogóle tam poszli – przyznałem. – Dlaczego taki Kaygi Haza miałby zapraszać do swojej posiadłości funkcjonariuszy tak niskiego szczebla?

Ana zaśmiała się perliście.

– Och, to proste. Odpowiedź brzmi: protekcja.

– Protekcja? – zdziwiłem się. – To znaczy dawał im dary?

– Uhm – mruknął Miljin. – Zdaje mi się, że dostawali od niego znacznie więcej niż „dary”...

– Trafnie powiedziane – zgodziła się Ana. – Musiał działać tu całe lata. Wyłuskiwał bystrych, ambitnych funkcjonariuszy, którzy przybyli do Tala-gray po uznanie i prestiż, a stary Haza im to zapewniał, otwierając drogę do lepszych stanowisk, lepszych projektów. W zamian musieli tylko przekazywać mu informacje i wyświadczać niewielkie przysługi... albo jedną większą... – Zawiesiła głos, jakby uderzona jakąś myślą.

– Jak w przypadku Blasa, pani? – zapytałem.

– Co, proszę? – zapytała, wyrywając się z zadumy.

– To wszystko brzmi jak w wypadku Blasa. Tylko że był starszy i wydaje się, że Hazowie traktowali go szczególnie.

– Hm. Tak... – przyznała cicho. – Rzeczywiście, tak.

– Ale wciąż brakuje nam wielu elementów tej układanki – zauważył Miljin. – Protekcja nie jest w zasadzie nielegalna. Ostatecznie ziemiaństwo ma duży wpływ na to, jak wygląda nasze prawo. Nadal nie wiemy dokładnie, czym zajmował się Kaygi Haza ani jak Jolgalgan do niego dotarła. Może

Uhad, Nuis i Kalista coś nam powiedzą w tej sprawie, choć osobiście w to wątpię.

– Uhm – mruknęła Ana i zwróciła się do mnie. – Ale jeszcze jedno, Din, powiedz, nie udało ci się dostać do ptaszarni Hazów?

Zawahałem się, poczułem w piersi lodowaty ciężar. Ale nie było od tego ucieczki.

– Udało, pani... Ale Hazowie spalili całą korespondencję. Twierdzili, że przez wzgląd na skażenie.

– A niech to... – wymamrotał Miljin z rozczarowaniem, ale Ana wyprostowała się jak sprężyna.

– Powiedz, Din, że cię to nie powstrzymało? Na pewno nie.

Odetchnąłem, starając się pozbyć dławiącego mnie lęku.

– Nie. Poszedłem tam. Sprawdziłem wszystkie jastrzębie skrybne Hazów, starając się ustalić, skąd i dokąd latały, a także czy robiły to ostatnio.

Miljin osłupiał na moment.

– Na lewiatana! Chłopcze! – zachichotał. – Dowiedziałeś się, z kim Hazowie utrzymują kontakt! To nie byle co!

Ana przekrzywiła głowę, najwyraźniej wychwytyjąc nutę wahania w moim głosie.

– Ale problem w tym, że...?

– Problem w tym, że lokalizacje zapisano w języku Sazi.

– Sazi? – zdumiała się Ana. A potem odchyliła się, zaciskając zęby. – Ach...

– Ach? – nie zrozumiał Miljin. – Czemu „ach”?

– Ponieważ sazi, kapitanie, jest jednym z najtrudniejszych języków. Szczególnie pisanie i czytanie w nim. Sama jestem Sazi i znam ten język, znam litery, ale poza Sublimami, lingwami nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby się go nauczyć.

– Ale... skoro jesteś Sazi, pani, a Kol jest rytownikiem, może napisać to, co widział, a ty to odczytasz i przetłumaczysz, tak?

W powietrzu zawisła ciężka cisza.

Zaniepokojony obserwowałem Anę. Minę, na części twarzy bez opaski, miała nieodgadnioną, ale ciało napięte jak u kota przed susem.

– Prawda? – zapytał Miljin.

– Kapitanie – rzekła gwałtownie. – Chciałabym przez chwilę porozmawiać z Dinem sam na sam.

Miljin znów zmarszczył brew, łypnął na mnie spod oka, ale skinął głową i wyszedł.

* * *

Ana odczekała, aż zamknęły się za nim drzwi.

– Co zdobyłeś? – zaatakowała mnie.

– P-proszę? – wyjąkałem.

– Co zdobyłeś, Din? Wiem, że coś masz. Ale nie potrafię wywnioskować co. Więc mów.

Nabrałem powietrza, żeby zyskać chwilę.

– A... tak... Odkryłem, że wysłano cztery wiadomości i otrzymano jedną, pani.

– I?

– I... tak, jak mówiłaś, pani, nie poszło mi z napisami w sazi. – Bardzo starałem się zapanować nad drżeniem głosu. – Dlatego próbowałem zapamiętać poszczególne litery, niż odczytać na głos wyrazy, i... i wodziłem po nich palcem, żeby zapamiętać ruchy i odtworzyć je dla ciebie.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Czekałem. Wiedziałem, że lada moment Ana zażąda wyjaśnień, dlatego zdecydowałem się na tak dziwną metodę, a wtedy pozna prawdę o mojej przypadłości związanej z czytaniem, dowie się o wszystkich krętowniach, jakie pozwalały mi ukryć ten sekret, i każe mnie wydalić z jaletu, odsyłając do domu bez grosza przy duszy.

– Ach tak – powiedziała wesoło. – To powinno zdać egzamin, prawda?

– P... Słucham, pani? – Aż zamrugalem.

– Zapamiętanie gestów powinno się sprawdzić. – Zdjęła opaskę i zaczęła krzątać się po pokoju. – Potrzebujemy tylko atramentu i papieru. To powinno być łatwe.

Poczułem żar na policzkach.

– Ale... pani, nie jestem pewien, czy zdołam dokładnie napisać to, co...

– Tak, mój drogi, ale nie będziesz pisał. Przecież tam też nie pisałeś, prawda? Musisz tylko dokładnie odtworzyć tamte ruchy. Wodziłeś po liniach palcem i teraz zrobisz to samo.

Postawiła przede mną kałamarz i podsunęła papier.

– Dobrze. Zanurz w nim palec – poleciła. – Tylko czubek. A teraz powąchaj swoją fiolkę, zamknij oczy i poruszaj palcem, tak jak robiłeś to w pta-szarni. Zobaczymy, co odtworzysz.

Nie poruszyłem się, bo nie do końca docierało do mnie, co się właściwie dzieje. Nie mogłem uwierzyć, że mnie nie wypytuje. Że nie podejrzewa nic dziwnego.

– No, wsadź ten paluch do kałamarza, Din! Nie mamy całej nocy. Już, już!

Nadal oszołomiony i niepewny, zanurzyłem koniuszek palca w atramencie, zamknąłem oczy i powąchałem miętę.

Wspomnienia rozwinęły się w moim umyśle.

Trzepot skrzydeł, zapach słomy, światło przesiane przez szpary wlotowe.

Poczułem, jak mięśnie reagują i zaczynają poruszać moją dłoń i palcem.

Było to równie dziwne jak wtedy, gdy walczyłem przed papiernią Subereka. Moje ciało poruszało się jakby za sprawą własnej woli, odtwarzając zapamiętane ruchy. Czułem się, jak bohater bajki nawiedzony przez ducha, z tym że nade mną przejęło kontrolę zachowane wspomnienie.

Gdy skończyłem pisać, otworzyłem oczy. Na pergaminie widniał niechlujny ciąg znaków, ale zaskakująco bliski temu, co widziałem kilka godzin wcześniej w wieży pod pierwszą z par budek jastrzębi skrybnych.

– Fascynujące. – Ana zaglądała mi przez ramię.

– Możesz to odczytać, pani?

– Chyba tak... Straszne gryzmoły, ale tu chyba napisałeś „Kwatera Główna Inżynierii Kantonu Mitral”.

– Naprawdę?! – Wytrzeszczyłem oczy na moje dzieło.

– Naprawdę! Spisałeś się, Din. Ale przed nami jeszcze trochę wysiłku. No, przywołaj wspomnienia i odtwórz wyrazy z innych tabliczek. Zaraz się dowiemy, z kim komunikowali się Hazowie po śmierci Blasa.

Zrobiłem to co wcześniej przenosząc wspomnienia za każdym razem na osobną kartkę. Napisy brzmiały: „Kwatera Główna Inżynierii Kantonu Bekinis”, „Kwatera Główna Apoteki Kantonu Qabirga” i „Kwatera Główna Inżynierii Kantonu Juldiz”.

Potem już razem przyglądaliśmy się uzyskanym nazwom, lekko zdezorientowani. Wtem coś wydało mi się znajome.

Poczułem trzepot napływających wspomnień.

– Bekinis – powtórzyłem. – I Juldiz...

– Tak, Din? – zaciekawiła się Ana.

– Te kantony odwiedzała asystentka Blasa. Były wymienione w jej przepustce, którą znaleźliśmy w schowku z pieniędzmi.

– Doskonale, Din! Czyż to nie fascynujące? – Uśmiechnęła się szeroko.
– I znaczące.

– Ale w jaki sposób, pani? Co oznacza? Po co Hazowie wysyłają tam listy?

– Och, mam parę pomysłów. Nawet więcej, niż parę. Ale wszystkie z nich wymagają dalszej weryfikacji.

– Może więcej wyjaśni nam lokalizacja, z której przysłano wiadomość do Kaygi Hazy?

– Uhm, raczej wątplię. Ale i tak sprawdzimy, co to za miejsce.

Znów z zamkniętymi oczyma odtworzyłem znaki.

– Tak, jak sądziłam – skwitowała Ana, mrużąc oczy, i odczytała: – Siedziba rodu Hazów, Pierwszy Pierścień, Ziemia Sazi. Innymi słowy, Hazówna otrzymała wiadomość od któregoś z wujów wkrótce po śmierci ojca. Czyli jej Sublim cię okłamał. Z pewnością mają sporo korespondencji, która przyszła od starszych klanu, odkąd ten sukinsyn kopnął w kalendarz. Nic zaskakującego.

– To co to oznacza?

– Czy to nie oczywiste? Cokolwiek ukrywał Kaygi, dla jego starszych było równie ważne, by nadal to ukrywać. – Uśmiechnęła się przebiegle. – A więc musi to być cholernie wielki sekret, co, Din? – Przekrzywiła swoim zwyczajem głowę. – Mitral, Bekinis, Qabirga i Juldiz... Ciekawe, co łączy te kantony z Hazami. Oraz z Blasem, Oypatem i wszystkimi tymi srebrnymi monetami, które znalazłeś.

* * *

Kiedy skończyliśmy, Ana znów przewiązała oczy, po czym zawołała Miljina, by podzielić się z nim naszymi odkryciami.

– Może ty widzisz w tym jakiś związek? – zapytała go na końcu. – Mitral, Bekinis, Qabirga, Juldiz?

– Kiedyś chyba przejeżdżałem przez Qabirgę – powiedział powoli kapitan. – Widziałem dużo gospodarstw. Pamiętam, że bardzo wtedy padało. To tyle, pani. – Wzruszył ramionami.

– Niezbyt to pomocne – odmruknęła.

– Muszę zauważyć, że nadal nie mamy żadnych wniosków dotyczących samego morderstwa, pani – odciął się Miljin. – Jak Jolgalgan udało się skażić kąpiel Kaygi Hazy i co z tymi dziesięcioma inżynierami... Do tego jesz-

cze ten pożar i dziura w ziemi na terenie posiadłości Hazów. Wiele niewiadomych, prawda?

– Mamy więcej, niż się wydaje – odparła Ana. – A przynajmniej jeden solidny trop. Zastanawialiśmy się, jak Jolgalgan przemyciła truciznę do pałacu Hazów, prawda? A co, jeśli... przemyciła tam również siebie? Wyobrażam sobie, że mogła dostać się na teren posiadłości Hazów i zakopać się w tej płytkiej dziurze na dzień, dwa, może więcej, i czekała na rozpoczęcie przyjęcia.

– To możliwe?! – zdumiał się Miljin.

Przywołałem wspomnienie zagłębienia pod trawą.

– Niewykłuczone – wyszeptałem. – Była wystarczająco duża. Potem, gdy Jolgalgan usłyszała odgłosy rozmów i muzykę, wstała, oczyściła się i wmieszała w tłum.

– A po przyjęciu wyszła z innymi – dokończyła Ana zadowolona.

– Ale w jaki sposób pokonała drogę na dach korytarzami dla służby? – zastanawiał się Miljin. – Są wąskie, małe...

– Cóż, jest apotekarką, a wiemy, że oni lubią samomodyfikacje. Pamiętacie, kiedy Nuis poszła obejrzyć ciało Subereka w piwnicy? Pytałeś wtedy, Din, czy potrzebuje latarni – zwróciła się do mnie Ana.

Znów sięgnąłem do pamięci i wyłowilem odpowiedni moment.

– Tak, odpowiedziała, że nie, bo doskonale widzi w ciemności.

– No właśnie. Doskonale w swej prostocie, czyż nie?

– To... ciekawe – przyznał Miljin. – Ale nie pewne. Nadal nie wiemy, jak Jolgalgan w ogóle dostała się na teren posiadłości, pani.

– Nie, nie wiemy! – powiedziała radośnie Ana. – Ale mam pewną teorię, choć wymaga ona sprawdzenia. I w tym momencie wkraczasz ty, kapitanie. Czy mógłbyś zdobyć najświeższą listę funkcjonariuszy Legionu Talagray? Szczególnie interesują mnie osoby ze wzmocnieniami. Konkretnie pod kątem siły, tak jak ty.

– Oczywiście, pani.

– Świetnie. Mamy sporo do przeanalizowania, ale najpierw, jutro, ty, Din, i ja, zdobędziemy więcej informacji. Musimy przesłuchać tych, których do niedawna nazywaliśmy współpracownikami, by dowiedzieć się, co działo się na tym przyjęciu. Być może widzieli naszego zabójcę w akcji i zapamiętali coś, co może nam się przydać. Ale... jeszcze jedno, Din.

– Tak, pani? – zapytałem, znużony.

– Gdy przybyłeś do rezydencji Hazów, zapytałeś, jak jest duża, prawda?

– Tak, pani.

– A potem zapytałeś, jak duży był tytan, którego szpon mieli przed domem.

– Tak, pani.

– Czy mam rację, jeśli powiem, że aksjomka nie odpowiedziała na żadne z tych pytań? Nie podała liczb, wymiarów?

– To prawda, pani, nie odezwała się wcale.

Palce Any zatańczyły na tkaninie sukni.

– A na ramieniu Fayazi zauważyłeś farbę, jakby zakrywała nią sińca? Jakby ktoś chwycił ją na tyle mocno, że zostawił ślad?

– Tak, pani.

– Interesujące... – wyszeptała Ana. – No dobrze. Po prostu chciałam się upewnić. To wszystko na dzisiaj. Możesz iść spać.

Pożegnaliśmy się z nią i rozeszliśmy się do swoich kwater.

Dopiero gdy rozebrałem się i położyłem, uświadomiłem sobie, że Ana nawet słowem nie skomentowała moich problemów z czytaniem. Nawet się nie zająknęła. Jednak zanim zdążyłem zagłębić się w tę kwestię, wieża zatrzeszczała, zakołysała się, moje powieki opadły i zasnąłem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

– Czy powiedziałam Hazom coś o dochodzeniu?! – powtórzyła Kalista, unosząc brwi pod linię włosów. – Oczywiście, że nie!

Ana przechyliła się na bok w swoim krześle w sali arbitrażowej, a pasmo porannego słońca padło na jej obwiązaną opaską przekrzywioną głowę. Stałem za nią, pilnie utrzymując na twarzy maskę obojętności.

– A czemu by nie? – zapytała Ana uprzejmie. – Dlaczego miałybyś tego nie zrobić?

Kalista zaśmiała się pusto, przytrzymując przy ustach swoją nową glinianą fajkę. Znów skojarzyła mi się z małą, okrągłutką synogarlicą purpurową, która tym razem ugładza nastroszone ze strachu piórka.

– No cóż, nie przyjaźnię się z Fayazi Hazą ani nic w tym stylu. Nie plotkujemy przy herbatce, który z legionistów ma najlepiej wyrzeźbione uda. – Jej uśmiech przygasł. – I raczej nie przypuszczam, żeby jeszcze się do mnie odezwali... Po tym wszystkim, co się stało.

Jej uśmiech przygasł. – I raczej nie przypuszczam, żeby jeszcze się do mnie odezwali... Po tym wszystkim, co się stało.

Zerknąłem na Anę, ale nie zareagowała. Wieść o śmierci Kaygi Hazy rozniosła się po mieście błyskawicznie. Nic dziwnego, że Kalista o tym słyszała.

– Ale komuś o tym wspomniałaś – rzekła Ana współczującym tonem. – Może na przyjęciu był ktoś, z kim chciałaś się skontaktować, żeby zapytać... o zdrowie.

Pokryte ostrygowym pyłem powieki Kalisty zadrżały.

– No cóż... Martwiłam się o prefekta Hovanesa. Z Apoteki.

Ana czekała cierpliwie na ciąg dalszy. Ja, stojąc za nią z rękami splecionymi za plecami, pilnie obserwowałem i słuchałem.

– Byłam jego osobą towarzyszącą tego wieczoru – przyznała Kalista. – I jest moim przyjacielem. Chciałam go zawiadomić, że... że odkryliśmy potencjalne zagrożenie dla jego zdrowia.

– A on znał się z Hazami?

– To ja poszłam z nim. Jego zaproszono. Więc tak, raczej ich znał w jakimś stopniu. W każdym razie większym niż ja.

Ana skinęła głową, wyraźnie zadowolona, że udało jej się ustalić, kto ostrzegł Hazów o naszych odkryciach.

– Ach tak. A czy możesz opowiedzieć nam o samym przyjęciu, Kalisto? Co robiłaś, kogo widziałaś i w jakiej sytuacji.

Kalista zaczęła mówić, a ja wdychałem miętowy zapach z fiołki, ryjąc w pamięci każde jej słowo.

Przybyła w południe i została przeszukana przy bramie przez strażników oraz wystawiona na działanie licznych roślin wskaźnikowych. Dowiódłszy, że jest nieuzbrojona i wolna od wszelkich skażeń, weszła wraz prefektem Hovanesem, a następnie zaprowadzono ich przez kręte ścieżki pomiędzy białymi drzewami, pod bramą grzędową, do sal, gdzie odbywało się przyjęcie.

– Jednak nazwać to „przyjęciem”, to jak określić wojnę sprzeczką – powiedziała z uśmiechem.

Opisała nie zwykłe spotkanie przy winie i małżach, lecz wystawną fetę na kształt cesarskiej ceremonii, niemal boską orkiestrację sztuki, jedzenia, muzyki i towarzystwa, jak uczyty, które odbywały się za dawnych czasów. Flecistów ustawionych na schodach frontowych i głębokie, zmysłowe nuty instrumentów spowijające okolicę. Sztandary i wstęgi łopoczące u wejść. Ognie w odcieniach zieleni i srebra migoczące w każdym palenisku.

– I to jedzenie – westchnęła. – I wino. I wonie... Bo niektóre z sal wypełniał zapach nastrójkwiecia. Wystarczyło przebywać przez chwilę w dymach tych roślin, by mieć poczucie, że czas przestał istnieć... Gdyby Khanowie wciąż stąpali po tej ziemi, mogliby spodziewać się podobnego powitania.

– To urocze – stwierdziła Ana sucho. – Ale do rzeczy, Kalisto. To znaczy, do ludzi. Byli tam ludzie?

– Ależ naturalnie!

Podawała nam imiona tych, których znała. Większość jej relacji składała się z zasłyszanych plotek, strumieni rozmów, ledwo zapamiętanych, ledwo trzeźwych i w połowie zagłuszonych przez flecistów. Nuis i Uhad widziała tylko przelotnie.

– Uhad był jak zawsze nieznośnie wyniosły – powiedziała Kalista. – Ale tylko przyszedł i wyszedł. Został na tyle długo, by zachować pozory uprzejmości, i ani sekundy dłużej. Nuis przyszła z jakimiś ludźmi z Apoteki. Jeśli dobrze pamiętam, kilku młodszych, dość podchmielonych mężczyzn, bo było to już dużo później, próbowało z nią rozmawiać, ale odprawiała ich, tłumacząc, że jest z kimś związana. – Złośliwy uśmieszek. – No pierwsze słyszę.

– I nie widziałas tam nikogo, kto by jakoś odstawał? Może wysokiej kobiety o surowych rysach i jasnych włosach?

– Chodzi ci o Jolgalgan? Nie, nie widziałam nikogo, kto by ją przypominał.

– A kogoś ubrudzonego, może z plamami ziemi na rękawach, czy gdzie indziej.

– Ubrudzonego? – powtórzyła Kalista. – Nie, nikt taki nie rzucił mi się w oczy.

– A może wydarzyło się coś godnego uwagi? – zapytała Ana z rosnącą niecierpliwością.

– Rzeczywiście, było jakieś zamieszanie, niedługo przed tym, jak wyszłam. Chyba pożar w jakim pomieszczeniu na piętrze. Ale niewielki. Iskra strzeliła na dywan, wzniecając ogień. Nie widziałam tego, ale przechodziłam w pobliżu i nie zauważyłam żadnych zniszczeń. Ale owszem, poczułam zapach.

– Jaki zapach?

– Hm, sama nie wiem, jak go opisać. – Zmarszczyła nos. – Coś jak siki capa. Silna woń. Pomyślałam, że to dziwne, ale wiecie. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Raczej nie mam często do czynienia z kozami.

– Och, oczywiście, nie śmiałabym niczego takiego sugerować. A może widziałas kogoś w pobliżu tego kominka?

– Nie. Jak już mówiłam, nikogo tam nie widziałam.

– I nie widziałas nikogo idącego na przyjęcie od strony ogrodu?

Kalista spojrzała na Anę spokojnie i mrugnęła.

– Obawiam się, że od wina i dymów wonnych byłam trochę zbyt oczadziała, żeby moje zeznania mogły być, hm... wiarygodne.

– Czyli byłaś tak zalana, że nie zauważyłabyś, gdybyś zsikała się w spodnie – podsunęła Ana.

– No, nie opisałabym tego w ten sposób... – zaczęła Kalista oburzona, ale Ana jej przerwała.

– Wiesz, że Kaygi Haza nie żyje, prawda?

Kalista porzuciła oburzenie i przytaknęła nerwowo.

– I pewnie wiesz również, w jaki sposób zginął?

– Tak, skażony plamiszklanką. On też.

– Czy wiesz, czy coś mogło łączyć Kaygiego i prefekta Blasa?

– Wiem, że się znali, może blisko, ale Blasa znali wszyscy, był bardzo...

– Towarzyski, tak, tak. Ale nie wiesz o żadnej szczególnej relacji między nimi?

– Nie, nie miałabym skąd o tym wiedzieć, z żadnym z nich nie byłam bliżej.

– A może kojarzysz jakieś powiązanie pomiędzy prefektem Blasem, Kaygim Hazą a kantonem Oypat?

Kalista zamilkła na dłuższą chwilę.

– Żadnego, poza tym... że ulegli skażeniu płamiszklanką?

– Tak, ale chodzi mi o coś poza tym.

– Nie. Blas chyba nawet nie służył nigdy w Oypacie.

Ana przytaknęła skinieniem głowy, a jej uśmiech nieco stężał.

– Rozumiem... A zatem bardzo dziękuję, to chyba wszystko.

* * *

Jako następny do sali wszedł immunis Uhad. Kroczył dostojnie swoim bocianim chodem, a niebieski płaszcz Jurysu falował wokół niego. Wyglądał jak zawsze na wyczerpanego i udręczonego, przypominał pergamin tak zużyty, że dało się przezeń dostrzec zamglone słońce. Usiadł na krześle, splótł palce i westchnął, po czym powiedział:

– A więc Kaygi Haza nie żyje.

– Właśnie! – potwierdziła Ana.

– A konkretnie nie żyje od dwóch tygodni – dorzucił ponuro.

– Na to wygląda.

– Zdajesz sobie sprawę, że cię dopadną, Ano?

– Słucham?

– Pracuję w Jurysie na tyle długo, że wiem, jak to wygląda. Hazowie znajdują sposób, by się do ciebie dostać. Może wydaje ci się, że to ich kluczowy ruch, ogłoszenie tego dotychczas skrywanego mordu, i jest wejściem do gry z pozycji negocjacyjnej, ale gwarantuję ci, że mają inne plany.

– Chyba mnie akurat nie musisz uświadamiać, Uhadzie, że Hazowie snują intrygi i podstępnie usuwają niedogodności na swojej drodze.

– Racja. No dobrze. Wobec tego chcesz... rzyg panoramiczny, jak to uroczo ujęłaś w przypadku Kola? Zastrzegam, że nie kotwiczylem tego doświadczenia żadnym aromatem, więc wszystko może być nieco poplątane.

– To nie ma znaczenia. Ucieszy nas każdy szczegół.

– Oczywiście.

Pociągnął nosem, usiadł prosto, a potem mięśnie na jego twarzy zadrgały i zaczął.

Z jego ust popłynął rwący, gorący potok słów, opisów, urywków zdań i eksplozji fraz, w których ujął zwyczajny akt przejścia przez bramy Hazów, wędrówkę ścieżkami i dotarcie na przyjęcie. Niektóre jego opisy były tak raptowne, tak surowe i oszczędne, że trudno było wyłować z nich znaczenie. Wyrzucał z siebie rzeczy typu: „Immunis Eskim, niski mężczyzna, na zachód od trzeciej kolumny, barwy apotekarzy, koszula rozwiązana z lewej”, albo: „Wino letnie, świeżo grzane, sześć strąków przypraw pływających przy krawędzi, łyżka brzęcząca w dzbanie”. Trzeba było się wysilić, by zrozumieć, co właściwie przekazuje.

A jeszcze dziwniejsze było jego zachowanie podczas tej tyrady: drżał, szarpał się, trząśł i wił, jakby jego wspomnienia wyrywały się z niego siłą. Palce mu drgały, kolana tańczyły. Oczy pląsały w nieskoordynowanym rytmie, jakby szarpane przez jakiś oszalały mięsień w czaszce. Wyglądał jak człowiek w transie ogarnięty boskim objawieniem.

Słuchałem wszystkiego, co mówił, wdychając zapach z fiołki i zapamiętując kolejne nazwiska, godziny i szczegóły – ale trudno było mi się skupić. Nigdy wcześniej nie widziałem innego rytownika zdającego tak szczegółową relację. Uświadomiłem sobie, że za każdym razem, gdy składałem raporty Anie, muszę wyglądać dokładnie tak samo i perspektywa ta wzbudziła we mnie przerażenie.

Stanowiliśmy jakąś osobliwą parę niczym dwa owady z jakiegoś niezwykłego gatunku, jeden brutalnie zapładniający drugiego, z tym że on wypełniał mój umysł faktami, danymi, informacjami. I niemal wszystkie wydawały się nieistotne, przynajmniej dla mnie, jakieś imiona, daty, godziny, ludzie, nic, co wydawałoby się naprawdę kluczowe.

W końcu zamilkł i bez sił osunął się na oparcie, dysząc ciężko. – Świetnie – podsumowała Ana. – Bardzo ci dziękuję. To niezwykle szczegółowy opis.

Wymamrotał coś w odpowiedzi.

– Z tego wnioskuję, że byłeś tam bardzo krótko!

– To prawda – odmruknął Uhad. Odsunął z czoła siwiejące włosy. – Nie jestem już najmłodszy. Muszę rozsądnie gospodarować czasem. Wydarzenia towarzyskie zmuszają mnie do pochłaniania ogromnej ilości informa-

cji... – Jego spojrzenie zatrzymało się na jej opasce na oczach. – Coś, co zapewne jest ci bliskie, Ano. Pokazałem się i wyszedłem.

Ana zadała mu wtedy te same pytania co poprzednim świadkom: jakie mogło istnieć powiązanie między Blasem, Kaygim Hazą a kantonem Oypat?

– Cóż. – Uhad uśmiechnął się blado. – Obaj zostali zamordowani. A kanton Oypat po prostu uległ zniszczeniu, prawda? Pochłonięty przez skażenie. Poza tym nie wiem nic więcej.

Ana zadała mu więcej pytań, o Hazów, rozkład organizowanych przez nich wydarzeń i przyjęć, o ich relacje z Jurysem, o Jolgalgan. Niestety nic więcej nie uzyskała. Podziękowała mu i pozwoliła odejść, a ja odprowadziłem go do drzwi.

– Czy odczułeś już przemieszczenia, signumie? – zapytał.

– Nie rozumiem, panie?

– Przemieszczenia – powtórzył. – To dolegliwość psychologiczna. Spoglądasz na jakiś przedmiot albo podchwytyjesz woń i nagle się przenosisz. Przypomina ci się coś i wspomnienie wypływa na powierzchnię albo sam przedmiot dosłownie przemawia do ciebie w twoim umyśle. Wspomnienie opisuje się samo, jakby było osobą żyjącą w twojej głowie. Doznałeś czegoś takiego?

– N-nie, panie – odrzekłem zaskoczony.

– Ale to przyjdzie z czasem – stwierdził ponuro. – Gdy się zaczną, najlepiej zacząć żyć ascetycznie. Absorbować mniej bodźców, które mogą ci o czymś przypominać, rozumiesz? Żałuję, że nikt mi tego nie powiedział, gdy byłem w twoim wieku.

Potem odwrócił się i wyszedł. Patrzyłem za nim oszołomiony, a potem spojrzałem na Anę, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

* * *

Jako ostatnia weszła immunisa Nusi.

– Obawiam się – rzekła, siadając – że nie poczyniłam dużych postępów w analizie klucza reagentowego, który mi dałaś, Dolabro.

Mimo niepewności widocznej w oczach, ciemnoczerwony płaszcz jaletowy miała jak zwykle czysty i wykrochmalony, a wokół szyi jasnomiedzianą apaszkę. Pomimo wszystkich ostatnich wydarzeń i trosk, nadal przypominała wesołego, małego dzieciędrozda.

– W czym tkwi problem? – zapytała Ana.

– Cóż, poddałam go działaniu powszechnych wskaźników feromonowych, roślin, które powinny wędnać lub reagować w jego pobliżu. To powinno mi pomóc określić, dla jakich reagentów został zaprojektowany klucz. Jednak jak dotąd nie miałam szczęścia. To zaiste niezwykle. – Kaszlnęła, zakrywając usta dłonią. – Ale oczywiście nie zamierzałam zaczynać od złych wieści... Hm, właściwie od czego mam zacząć?

Ana zadała jej te same pytania co innym: czy widziała na przyjęciu kogoś wyróżniającego się, brudnego, odstającego strojem, postawą albo kogoś kręcącego się podejrzenie w pobliżu kominka.

– Nie – odparła Nuis. – Niczego takiego nie widziałam. Z miejsca powiedziałabym wam o czymś tak nietypowym.

– Dziękuję... A więc chciałabym jeszcze zapytać o pewien wszczech – powiedziała Ana. – Czy wiesz, że na przyjęciu wybuchł pożar?

– Tak... słyszałam o tym. Coś z dywanem?

– Zgadza się. – Ana wskazała na mnie. – Din zauważył ślady białych przypaleń w kącie paleniska. Miały one osobliwy zapach, prawda, Din? Dość... urynową woń?

– Dokładnie tak, pani.

– Kalista mówiła, że zapach był silny, że po wybuchu ognia pomieszczenie śmierdziało sikami capa, tak brzmiały jej słowa. Chyba jest blisko obeznana z kozami. – Ana uśmiechnęła się szeroko. – Czy tego rodzaju woń nasuwa ci jakieś skojarzenia, immuniso?

Nuis wyprostowała się, jakby odzyskała nieco werwy, ucieszona, że wraca na znane sobie terytorium.

– Woń uryny... Brzmi jak grzyby czarnodrażkowe.

– A cóż to takiego?

– Były używane jako podpałka, ich nasycanie zostało dokonane przez apotekarzy w kantonie Rathras. W ich rdzeniach gromadziły się wysoce łatwopalne osady. Ostatecznie zarzucono ich stosowanie, ponieważ płomienie były zbyt nieprzewidywalne. Niektóre powodowały gwałtowne eksplozje ciepła. No i ten zapach... Był, rzecz jasna, wysoce niepożądany.

Ana zamarła.

– Ile potrzeba, by się zajęły od ognia?

– Niedługo. Wiele z nich wybuchło płomieniem w chwili zetknięcia z ogniem. To kolejny powód, dla którego nie były popularne. Ludzie przytykali je do żaru, a po chwili ich dłonie płonęły żywym ogniem.

– A więc natychmiastowo. Reakcja natychmiastowa, tak?

– Mniej więcej tak.

– Ach tak – skwitowała Ana niezwykle poważnym tonem, jakby Nuis właśnie przekazała jej straszną wiadomość.

– Czy ta... ta informacja nie była pożądana, immuniso? – zapytała Nuis.

– Raczej... niespodziewana, tak bym to ujęła.

– Rozumiem. No, ale to wszystko, co wiem. Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

– W zasadzie tak – Ana naraz się ożywiła. – Chciałam porozmawiać z tobą o Oypacie.

Nuis drgnęła, zaskoczona.

– O Oypacie? Mówiłam już o tym z signumem Kolem.

– Tak, tak. Chciałam tylko zadać ci jedno proste pytanie.

– Tak?

– Dlaczego ten kanton zginął od skażenia?

– Hm. No... przestał istnieć, ponieważ plamiszklanka rozprzestrzeniła się błyskawicznie, zbyt szybko, by apotekarze i inżynierowie zdążyli temu zapobiec. Ale przecież to powszechna wiedza.

– Zbyt szybko na co? – dążyła Ana. – Jakie środki wdrożyło Imperium, by temu zaradzić?

– Uhm, cóż. – Nuis chrząknęła, zbита z tropu. – Pamiętaj, że znam tę sprawę z drugiej ręki. Byłam wtedy bardzo młodą funkcjonariuszką. Z tego, co wiem, apotekarze usiłowali stworzyć remedium na rozprzestrzenianie się plamiszklanki, potraktować skażenie jak chorobę, zneutralizować jej umiejętność zakwitania w ciele i ziemi. Pracowaliśmy nad tym lekiem całymi tygodniami.

– To musiał być absurdalny wysiłek.

– Tak, po prawdzie sam pomysł był niedorzeczny. Ale nagle, istnym cudem, zdawało się, że osiągnęliśmy sukces.

Ana aż otworzyła usta, oszołomiona.

– Zaraz? Sukces? Chcesz powiedzieć, że udało wam się odkryć lek na plamiszklankę?

– Prawdopodobnie – przyznała Nuis niechętnie. – Ta kwestia do dziś budzi kontrowersje. Starsi apotekarze stworzyli wszczep, który wykazywał obiecujące właściwości neutralizujące skażenie. Mieliśmy dwadzieścia niewielkich flakoników gotowych do testów i oceny. Potrzebowaliśmy tylko

zgody, by wdrożyć specyfik na większą skalę i rozpocząć dystrybucję w Oypacie.

– I czemu tak się nie stało?

– Ponieważ, jak mówię, potrzebowaliśmy zatwierdzenia. Mianowicie zgody od wszystkich Komitetów Ochrony Środowiska. Pierwsza zasada Inżynierii i Apoteki, poza Talagray, oczywiście, to nie szkodzić. Interwencja na terenie Imperium wymaga wcześniejszego udowodnienia, że podjęte działania nie wyrządzą żadnych szkód gdzie indziej. I właśnie tutaj wkraczają Rady Zachowania, dbając o to, by status quo nie zostało zachwiane.

– I co Komitety zdecydowały w sprawie Oypatu?

– Przyśpieszyły procedury. A przynajmniej się starały. Jednakże kantony, w których znalazłyby się uprawy reagentów niezbędnych do leku... zgłosiły wiele zastrzeżeń. Protestowały, twierdząc, że stworzenie tych nowych reagentów mogłoby doprowadzić do problemów środowiskowych i zaburzyć inne ich zasoby oraz uprawy. Domagały się dokładniejszych testów i badań, udowadniających ponad wszelką wątpliwość, że nie dojdzie do żadnego krzyżowania czy mutacji.

– Ach tak. I co się stało?

– Proces trwał zbyt długo. Rozprzestrzenianie się plamiszklanki przekroczyło punkt krytyczny. Objęło tereny na zbyt wielką skalę, by udało się je ograniczyć i zneutralizować skażenie. Tak jak w przypadku guza kości czy serca, po prostu było już zbyt rozległe. Dlatego ewakuowaliśmy cały kanton i... i użyliśmy palnu.

– Który stosuje się zwykle do pozbywania się tytanów?

– Do spalania ich trucheł – doprecyzowała Nuis. – Spala się w tak wysokiej temperaturze, że niszczy każdą materię organiczną. Wypaliliśmy doszczętnie wszystko z półstajowym marginesem poza murami kantonu Oypat. Drzewa, pola uprawne, domy... wszystko. A potem zapieczętowaliśmy te tereny. Jak grobowiec. I zostawiliśmy odłogi. – Nerwowo przełknęła ślinę. – I to wszystko. Imperium zostało ocalone. Ale straciliśmy całe żyzne ziemie i miasteczka Oypatu.

Po chwili milczenia Nuis kontynuowała:

– Ale mogło do tego dojść tak czy inaczej. Kilka lat po katastrofie osobicie stanęłam na czele zespołu ponownie badającego dwadzieścia flakoników lekarstwa, które wyprodukowaliśmy. Na wypadek, gdyby plamiszklanka pojawiła się kiedyś w innej części Imperium. Trzy z nich uległy

degradacji, zamieniając się w wodę. Być może lekarstwo i tak okazałoby się nieskuteczne. Niestety, nigdy się tego nie dowiemy.

– Dziwne... Czy prefekt Blas brał udział w sprawie Oypatu? Pomagał w powstrzymywaniu zarazy albo pracował w którymś z Komitetów Ochrony Środowiska?

– Blas? – Nuis uniosła brwi. – Nie. Chyba nie. W każdym razie nic o tym nie wiem. A dlaczego pytasz?

– Dla porządku – wyjaśniła Ana ze znużeniem. – Ale jeszcze jedno mnie zastanawia... Wspomniałaś, że kilka kantonów błyskawicznie zaprotestowało przeciw wdrożeniu leku. Pamiętasz może które?

– Hm... Tak, tak, zaraz... – Nuis zmarszczyła brwi. – Chyba Juldiz, Bekinis, Qabirga i Mitral.

– Jesteś pewna? – zapytała Ana. – Na pewno te cztery?

– Tak sądzę, tak.

– Rozumiem – powiedziała cicho Ana. – W takim razie to wszystko, immuniso Nuis, możesz odejść. Informuj mnie, proszę, na bieżąco o postępach prac nad kluczem reagentowym.

* * *

– To te same cztery kantony! – wybuchnąłem, gdy tylko za apotekarką zamknęły się drzwi.

– Taaak.

– Te, do których jeździła asystentka Blasa! I z którymi korespondował Kaygi!

– Tak.

– Ale... co to oznacza, pani?

– Jeszcze nie jestem pewna, Din – odrzekła Ana, uśmiechając się marzytelnie. – Ale to interesujące, nieprawdaż? Niezwykle interesujące.

Rozdział trzydziesty drugi

Popołudnie zmieniło się w wieczór, gdy Ana, kapitan Miljin i ja wypoczywaliśmy na dziedzińcu przed siedzibą Jurysu, sącząc klarbatę i wsłuchując się w tupot maszerujących legionistów, których oddziały wlewały się i wylewały z miasta. Miljin dostarczył Anie listę funkcjonariuszy zmodyfikowanych w kierunku siły i podczas gdy ona ją studiowała, ja relacjonowałem kapitanowi przebieg przesłuchań.

– Biedny stary Uhad... – Pokręcił głową, gdy skończyłem. – Już lata temu powinni byli go stąd przenieść. Rytownicy źle znoszą zbyt wiele pór deszczowych jednym ciągiem. Fatalnie się starzeją. Ale w tym, co mi powiedziałaś, nie znajduję ani jednej rzeczy, która pomogłaby mi zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Tak, to wszystko jest bardzo zagmatwane – przyznała Ana. Siedziała, wystawiając twarz do zachmurzonego nieba. – Myślę, że mamy tu teraz trzy różne zbrodnie do zbadania. – Podniosła palec. – Skażenia, czyli Blas, Kaygi Haza i dziesięciu inżynierów. W tej sprawie mamy prawdopodobną podejrzaną, Jolgalgan, a choć mogła mieć współników, to jej schwytania jesteśmy najbliższej.

– Jesteśmy? – zdziwiłem się.

Zwróciła palec w moją stronę.

– Czeka! Czeka! Jeszcze nie skończyłam. – Odgięła drugi palec. – Druga sprawa to Kaygi Haza. Popelił jakiś występki, coś, co wiąże się z Blasem i Oypatem. Ale jeszcze nie widzę ani kształtu tej sprawy, ani jej motywów. Mam jedynie podejrzenia i bardzo niewiele dowodów. Nie pomaga fakt, że te wydarzenia miały miejsce ponad dziesięć lat temu.

– Ale chyba nie podejrzewamy Hazów o spowodowanie skażenia w Oypacie, prawda? – zapytałem. – O zatrucie kantonu tak, jakby można było otruć człowieka?

– To głównie z Oypatem jest dobrze udokumentowane. – Miljin pokręcił głową. – Idiota, który stworzył plamisklanę, aby produkować z niej papier, został wydalony z Jaletu Apotekarskiego i o włos uniknął wtrącenia do więzienia. Hazowie nie maczali w tym palców.

– Nie – potaknęła mu Ana. – Ale coś w tym jest. Coś, co chcą ukryć, a co łączy się z tymi morderstwami. – I w końcu wyprostowała trzeci palec.

– Wreszcie jest papiernik Suberek, oraz asystentka Blasa, Rona Aristan. Oboje z dziurami w głowach, a co coraz bardziej oczywiste, oboje powiązani z klanem Hazów. – Opuściła rękę. – Paradoksalnie w przypadku tych morderstw jestem najbardziej pewna zarówno motywu, jak i tożsamości zabójcy. Ale, niestety, sądzę, że mamy najmniejsze szanse, by go pojmać.

Patrzyłem to na nią, to na Miljina, który nie wydawał się zaskoczony, a choć oboje robili wrażenie zatroskanych, milczeli.

– Tak? Wiesz pani, kto zabił Aristan i Subereka? – spytałem.

– W pewnym sensie. Przypuszczam, że kapitan też to wie.

– A więc kto? – Spojrzałem na ponurego Miljina.

Odpowiedziała jednak Ana.

– To skomplikowane – westchnęła. – Zanim jednak do tego przejdziemy, chciałabym sprawdzić pewną teorię.

– Na temat czego, pani?

– Na temat ciebie, Din. Czy jesteś gotów, kapitanie? – zwróciła się do niego.

Miljin, w pierwszej chwili zdziwiony, westchnął z rezygnacją. – Jesteś tego pewna, pani?

– Jak najbardziej. Jestem niezwykle ciekawa wyników. To co, zaczynamy?

– A niech to. Niech będzie. Wstawaj, chłopcze. – Sam się podniósł i zaczął odpinać pas. – I weź mój miecz. – Podał mi go w pochwie.

– Myślałem, że chciałeś przetestować jego umiejętności w walce? – Ana uniosła brwi.

– Doszedłem do wniosku, że tak będzie bezpieczniej, pani – wyjaśnił. – Mniejsze ryzyko, że sobie przypadkiem poodrąbujemy łby. No bierz, chłopcze.

– Po co?

– Sprawdzimy, ile ci będzie trzeba czasu, żeby zapamiętać, jak wyciągnąć ten miecz.

Z wahaniem przyjąłem od niego pochwę. Była zaskakująco lekka. Ostrze w środku nie mogło ważyć więcej niż piórko.

Wyszczerzył się, widząc moją minę.

– Zrobiony z rdzenia kości tytana. Cholernie trudno obrobić ten materiał. Jest twardy, lecz lekki... To związane z ciśnieniem wody czy czymś takim. Ale krawędź trzyma ostrość dłużej niż najlepsza stal. – Popukał w zamek mechanizmu. – Jest na tyle wartościowy, że zamówiłem dla niego tę fanta-

zyną pochwę. Należy nim odpowiednio poruszyć, żeby go z niej wyjąć. Potrafię to zrobić błyskawicznie, ale długo się uczyłem. Zobaczmy, jak pójdziesz tobie. Chwyć rękojeść, zamknij oczy, a ja poprowadzę twoją rękę. Potem sprawdzimy, jak ci pójdzie samemu.

Ujął moją dłoń i przeprowadził przez skomplikowany ciąg gestów, pół-obrotów, ćwierćobrotów w jedną i drugą stronę. Za każdym ruchem czułem, jak mechanizm klika, gdy zapadki wskakują na miejsce. Było to potwornie skomplikowane. Nie do pojęcia, jak Miljin zdołał to zapamiętać.

– A teraz otwórz oczy. – Z powrotem zamknął mechanizm, a potem się cofnął. – Zobaczmy, czy zdołasz go wyjąć. No, Kol, tak szybko, jak dasz radę.

– Ale pokazałeś mi to tylko raz – zauważyłem.

– No i co? Spróbuj.

Zmarszczyłem brwi. Potem chwyciłem rękojeść prawą ręką i przytrzymałem pochwę lewą. Wtedy moje powieki zatrzepotały i poczułem, jakby ktoś tchnął powietrze przez mięśnie mojej dłoni. Obróciłem w jedną stronę, potem w drugą, a potem...

W następnej chwili stałem z obnażonym ostrzem o bladozielonej barwie młodych listków. Patrzyłem na niego, zszokowany własnym dokonaniem.

– Dobra robota – pochwalił mnie Miljin, acz nie wyglądał na uradowanego. – A więc ma to, pani – powiedział do Any.

– Na to wygląda – skwitowała.

– Ale co mam? O czym mówicie?

– Pamięć mięśniową – wyjaśnił Miljin. – Uczysz się ruchów i zapamiętujesz je, Kol, a potem odtwarzasz. Za każdym razem bezbłędnie.

Powiedział to jakby z podziwem, choć dla mnie było to tylko kolejne oblicze mojego wzmocnienia.

– No przecież jestem rytownikiem, to dlatego. Prawda?

– Bynajmniej – zaprzeczyła Ana energicznie. – Większość rytowników przechowuje doświadczenia, obrazy, dźwięki, zwłaszcza zapachy, ale nie ruchy. Mogą powtarzać mowę i słowa, ale nie potrafią sprawić, by ich ciała odtworzyły coś skomplikowanego. To o wiele trudniejsze. Natomiast w twoim wypadku, Din, wygląda na to, że kiedy raz nauczysz się pewnych gestów, możesz powtórzyć je dokładnie tak samo. Ruch po ruchu, bezbłędnie.

Przez chwilę czułem się jak rażony piorunem.

– To... to niemożliwe – wydukałem w końcu.

– Tak? – prychnęła Ana. – A jak nauczyłeś się otwierać zamki wytrychem? Jak odrysowałeś napisy w sazi? Jak pokonałeś trzech legionistów, nie mając żadnego doświadczenia w walce? Ano tak, że twoje mięśnie pamiętały poszczególne ruchy. Pamiętały to, co wykonywałeś podczas ćwiczeń dawno temu. W sytuacji zagrożenia zaczęły po prostu działać za ciebie.

Miljin odebrał ode mnie miecz i schował go do pochwy.

– Nie wiem, kto cię szkolił, chłopcze, ale zrobił cholernie dobrą robotę.

Słuchałem tego wszystkiego zszokowany. Napłynęły do mnie wspomnienia walki przed papiernią, jak moje kończyny poruszały się bez udziału woli, jak moje oczy odczytywały ruchy żołnierzy, jakby ktoś inny mną sterował. I uświadomiłem sobie, że w pewnym sensie tak właśnie było, moje ciało posłusznie wykonywało to, co inny Dinios Kol, ten sprzed wielu miesięcy, ćwiczył na treningach.

– Nikt nigdy nie sprawdzał mnie na tego rodzaju pamięć – wyznałem.

– Dlatego, że to bardzo rzadki dar – powiedziała Ana. – Tak rzadki, że sama nigdy chyba nie zetknęłam się z nikim, kto by go posiadał.

– A ja owszem. – Miljin zapatrzył się w przestrzeń. – Znałem kiedyś takiego. Był najdoskonalszym fechtmistrem od pojedynków, jakiego widziałem. Walczył i parował jak nikt inny. Miał twarde, potężne mięśnie, choć nie był trzaskaczem, i prawie nikt nie mógł go pokonać. Zawsze się zastanawiałem, jak się tego nauczył... Zauważyłem jednak, że czasem podczas walki jego oczy jakby migotały, jakby wibrowały w oczodołach. Był rytownikiem z takim talentem jak ty.

– A więc po co chcieliście potwierdzić to u mnie? – spytałem, wracając do stolika. – Mam zostać jakiś szermierzem, pani?

– Może nie szermierzem... – rzekła Ana, patrząc na Miljina – ale kimś, kto zdoła pokonać to, z czym teraz się mierzymy.

– Co?! Nie! – zaprotestował kapitan, otrząsnąwszy się z zaskoczenia. – Absolutnie nie. Nawet z jego darem nie uda się go wyszkolić w jeden dzień, pani.

– Nie? Dlaczego nie?

– Cóż... Nie chcę być niegrzeczny, pani, ale walka to nie wiejski taniec, w wypadku którego da się zapamiętać kroki. Chłopak mało nie zginął u papiernika, bo postawił stopę w nieodpowiednim miejscu i poślizgnął się na błocie! Jest masa rzeczy, których można się nauczyć, tylko nabywając doświadczenia. Ocena terenu placu, osąd przeciwnika, znajomość jego

bronii. To nie są ruchy, więc wątpię, by mógł to zapamiętać. Jeśli będzie trenował, szybko się nauczy, ale nie natychmiastowo.

– Niech cię, Miljin – warknęła. – To czego możesz nauczyć chłopaka w czasie, który mamy, tak, by zdołał zachować życie?

– Zaraz... – wtrąciłem się. – Jak to: zachować życie?

Oboje na mnie popatrzyli i w niezręcznej ciszy odwrócili twarze.

– Dlaczego tak się o mnie martwicie, pani? – Przypomniałem sobie, o czym rozmawialiśmy tuż przed ich testem. – Czy to ma jakiś związek z osobą, która zabiła Aristana i Subereka?

Ana zacisnęła usta i gestem zachęciła Miljina do mówienia. Ten się nie śpieszył.

– Słyszałeś kiedyś o drgaczach? – zapytał wreszcie.

– Drgaczach? Nie, panie.

– Hm. Nic dziwnego. To zmodyfikowana istota. Żołnierz z nasyceniem bitewnym. Kiedyś było ich wielu. – Nachylił się konspiracyjnie, a ławka skrzypnęła pod jego ciężarem. – Widzisz, drgacze byli wzmocnieni, by posiąść nadludzką... raptowność. Nie siłę, to co innego. Drgacze mogli poruszać się szybciej, niż przeciętni ludzie, robiąc susy jak modliszki polujące na owada siedzącego na kwiatku.

– A czemu „było” ich wielu? Już ich nie ma, panie?

– Co innego mieć siłę. – Miljin poklepał się po bicepsie. – Mięśnie i więzadła można do tego dość dobrze przystosować. Ale szybkość... szybkość wyzuwa człowieka. I to właśnie stało się z drgaczami. Im więcej się poruszali, tym bardziej zużywały się ich stawy i kości, a ciało rozpadało się jak lichy strach na wróble na wietrze. Apotekarze wstawiali im jakieś lecznicze wszczepy, żeby trzymali się w kupie, ale i z tym był problem...

– Skażenia – włączyła się Ana. – Większość wzmocnień leczniczych, jak na ironię, jest podatna na skażenie. Aktywna krew ma wielki potencjał leczenia, ale jednocześnie roznosi po ciele grzyby.

– Ano właśnie – przytaknął kapitan. – W każdym razie apotekarze doszli do wniosku, że to nieopłacalne. Szczególnie że mogli mieć takich żołnierzy jak ja, których łatwiej było uzyskać i utrzymać. Ale... krążyły plotki, że Hazowie mieli w służbie jednego czy dwóch drgaczy. Takich, którzy wyglądali jak zwyczajni ludzie, ale byli na każde zawołanie, gdy pojawiał się problem, który trzeba było rozwiązać.

– Problem... rozwiązać... – powtórzyłem. – To znaczy kogoś zabić.

– Można i tak to ująć.

– Chcecie powiedzieć, że... Naprawdę? Hazowie mają na usługach zmodyfikowanych skrytobójców? Którzy buszują po Imperium?

– Takie krążą plotki – powtórzył. – Jurys nigdy nie znalazł na to dowodu. A więc jak na razie to tylko plotki. – Miljin zerknął na Anę. – Ale według innych, które do mnie dotarły, w ostatnich miesiącach na ziemiach Sazi doszło do kilku zabójstw. I tak się składa, że ofiary miały w czaszkach okrągłutkie dziurki. I byli to ludzie, którzy narazili się Hazom. Nie udało się ustalić, w jaki sposób człowiek mógł popełnić taki czyn i tak szybko zbiec z miejsca zbrodni... Chyba że był drgaczem.

Również spojrzałem na Anę. Nadal wystawiała twarz do nieba i milczała.

– I dlatego chcesz, by kapitan mnie uczył? – zapytałem wprost. – W razie gdybym natknął się na drgacza?

– Jak wpadniesz na drgacza, chłopcze, to ci żadne szkolenie nie pomoże... Nawet gdybyśmy ćwiczyli całymi latami – stwierdził Miljin. – Stworzono ich tak, żeby byli niepokonani w walce. W każdym razie przez jakąś minutę dziennie. Potem siła ich mięśni się wyczerpuje i muszą się zregenerować... – Wzruszył ramionami. – Jeśli tyle przetrwasz, może masz szansę. Ale radzę ci, najlepiej trzymaj się od nich z daleka. Jeśli rzeczywiście mamy tu do czynienia z drgaczem.

– A podejrzewam, że owszem – przemówiła Ana. – Albowiem w Tala-gray jest wielu, których Hazowie woleliby widzieć martwych. To ci, którzy mogliby połączyć ich z zabójstwami Blasa i dziesięciu inżynierów oraz z wyłomem.

– Aha, jak Aristan – przytaknałem. – Ale Suberek? Czemu akurat on?

– Cóż, mam pewną hipotezę co do tego. Dość solidną, powiedziałabym. Moim zdaniem, kiedy Fayazi Haza przejęła władzę po ojcu, wpadła w panikę. Pierwsze, co zrobiła, to spróbowała pozbyć się dowodów. To oznaczało spalenie ciała ojca, ale także usunięcie całego pociemniałego w obecności plamisklanki papieru w łaźni. Zamówiła nowe panele od Subereka, a potem wszystkie wymieniła. Ale wkroczyła wierchuszka klanu, przysyłając twardziela od sprzątnięcia, czyli drgacza. Drgacz zidentyfikował Subereka jako wątek, który mógłby skierować podejrzenia w stronę Hazów, więc natychmiast się nim zajął.

– No... a gdzie ten drgacz? Jak on wygląda?

– Tego nie wie nikt – odpowiedział mi Miljin. – Może wyglądać jak zwyczajny gość. Nie widać u nich, że są zmodyfikowani.

Krew mi się ścięła w żyłach.

– Zaraz... Czy to znaczy, że taki drgacz mógł być w posiadłości Hazów, gdy ją przeszukiwałem?

– To całkiem możliwe – przyznała Ana.

– I wiedziałaś o tym, pani? Wiedziałaś, że mogę przebywać w jednym domu ze skrytobójcą? I mnie nie uprzedziłaś?

– Gdybym cię uprzedziła, zacząłbyś się zachowywać jak paranoik, co byłoby naturalne – wyjaśniła Ana. – A to mogłoby ściągnąć na ciebie niebezpieczeństwo. O ile drgacz tam był. Co do czego nie jestem całkowicie przekonana. – Zwróciła twarz ku wschodowi. – Może przebywać tutaj, w Talagray, niekoniecznie w ich domu. Może udawać legionistę albo zwykłego papiernika, jak Suberek. Trudno powiedzieć. Po prostu na wszelki wypadek chciałam zapewnić ci jakąś przewagę, Din, gdybyś natknął się na taką istotę. Ale być może samo to, że uświadomiłeś sobie, co potrafisz, wystarczy.

* * *

– Cała ta sprawa jest drastyczna, ale mnie najbardziej interesuje jedna rzecz, o której wspomniałaś, pani – powiedział Miljin. – Mianowicie, że jesteśmy blisko złapania Jolgalgan. A to, szczerze mówiąc, dla mnie nowość.

– A tak, tak, jesteśmy bliscy tego – westchnęła Ana, wracając do gładzenia opuszkami leżących przed nią dokumentów. – Brakuje mi już tylko jednego elementu układanki...

– I znajdziesz go, pani, na tej liście legionistów ze wzmocnieniami siły? – zapytałem spoglądając na papiery.

– Ależ oczywiście. Czy żaden z was na to nie wpadł? Przynajmniej kapitan powinien się zorientować. – Ana uśmiechnęła się do niego. – Biorąc pod uwagę, że to jego przesłuchanie naprowadziło mnie na ten trop. Nie pamiętasz, kapitanie?

– Nie... – Miljin gapił się na nią tępo.

– Podczas wypytywania pacjentów na oddziale medyckim dowiedziałeś się, że nieżyjący kapitan Kilem Terez martwił się, że śledzi go bardzo szczególne indywiduum.

– A... tak – przyznał Miljin. – Ponoć trzaskacz. Tak mi mówił.

– Wtedy uznałeś, że to szalony pomysł, ale co, jeśli naprawdę tak było?

Ze zdziwienia otworzyłem usta, ale Miljin pozostał nieporuszony.

– Że niby po Talagray chodził za nim mężczyzna wysoki na dziesięć spanów? Jak coś takiego traktować poważnie?

– Po prostu. – Ana wzruszyła ramionami. – Jolgalgan dostała się na teren rezydencji, wygrzebała dziurę, w której ukryła się aż do przyjęcia. Ale jak przedostała się przez ogrodzenie? Raport Dina i przesłuchania świadków nasunęły mi wniosek, że musiała wejść przez służbę. To jedyny sposób.

– Ale wrota są bardzo ciężkie... – Kiwałem do siebie głową, bo zaczynałem rozumieć jej tok myślenia.

– Właśnie! Ale ktoś bardzo, bardzo silny mógłby je unieść na tyle, żeby dało się pod nimi prześlizgnąć. Miljinie, powiedziano ci, że kapitan Terez skarżył się na podejrzanego trzaskacza, który za nim chodzi. Trzaskacza o złotych włosach. A kto jeszcze ma złote włosy?

– Jolgalgan – odpowiedziałem. – Ma jasnożółte włosy.

– Dokładnie! Ponieważ pochodzi z Oypatu. A zatem możemy śmiało założyć, że tajemniczy trzaskacz, jej współnik, również pochodzi stamtąd. Dwoje Oypatczyków w Talagray podgryzających korzenie Imperium... Teoria działania z zemsty za zniszczenie rodzinnego kantonu staje się coraz bardziej prawdopodobna. – Ana przewróciła stronę. – Dlatego właśnie przeglądam listę osób, które zostały zmodyfikowane pod kątem siły. Jeśli znajdziemy trzaskacza z Oypatu, znajdziemy Jolgalgan. – Na moment zawiesiła głos. – A także innych ewentualnych współników jej zbrodni. Potrzebuję tylko jednego nazwiska. Jednego punktu zaczepienia, tropu, który można by podjąć... – Skrzywiła się, gdy jej żołądek głośno zaburczał. – Na wszystkie lewiatany, któraż to godzina? Jestem tak cholernie głodna, że ledwo myślę!

Przywołałem na migi strażnika, który pełnił wartę przy wejściu.

– Chcielibyśmy coś zjeść – zwróciłem się do niego.

– A co by to miało być?

– Mięso. Może być wołowina albo ryba, jak najświeższe. Nie musi być ugotowane, wystarczy cienko pokrojone, doprawione i skropione olejem.

Ana przestała na moment wodzić po dokumentach i uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Widzę, że coraz lepiej mnie znasz, chłopcze. Ale każ im zanieść to jedzenie do mojego pokoju. Muszę przestudiować tę listę w miejscu mniej narażonym na nadmiar bodźców...

Wsunąłem w dłoń funkcjonariusza kilka talintów, a on uklonił się i oddalił.

Ana zaczęła niedbale zbierać swoje papiery.

– Skończę moją pracę i znajdę to nazwisko. Ale wytropienie tego trzaskacza nie będzie proste. Apotekarka taka jak Jolgalgan potrafiłaby zabić na wiele podstępnych sposobów, może nawet bardziej skomplikowanych niż ten z plamiszklanką. Dlatego gdy tylko będę miała to nazwisko, skontaktuję się z Apoteką, żeby zorganizowali ekipę od skażeń.

– Ekipę od skażeń... – Twarz Miljina pociemniała. – Na Żniwiarza, praca z nimi to ostatnie, czego bym chciał...

– Nie mamy wyboru. Nie pozwolę, byś ty albo Din utopili się we własnej krwi z powodu jakiejś pułapki wszczepowej zastawionej przez Jolgalgan. – Ana wstała. – Przyjdźcie do mnie rano po rozkazy. Być może już jutro uda nam się rozwikłać jedną z trzech naszych zagadek. Ale jeszcze jedno, Miljin... – Uniosła osłonięte opaską oczy ku niebu. – O ile się nie mylę, została jeszcze co najmniej godzina dnia...

Kapitan przewrócił oczami.

– Pokażę chłopakowi kilka sztuczek, pani.

– Świetnie. Dziękuję. Jeszcze jedna sprawa... Din? Chodź no tu.

Podszedłem, wyciągając do niej ramię, jak miałem w zwyczaju. Jednak jej palce powędrowały po moim ramieniu w górę, aż na moją głowę. Bez uprzedzenia wyrwała mi z niej kilka włosów.

– Auć! – Skrzywiłem się. – Czemu to zro...

– Ach, uspokój się. Potrzebuję kilku czarnych włosów, a moje i Miljina są za jasne. Tylko twoje się nadadzą.

– Ale do czego, pani?

– Żeby ochronić moje życie, oczywiście. Albowiem jestem prawie pewna, że ktoś spróbuje mnie go pozbawić z pomocą skażenia, i to już bardzo niedługo. Te parę włosów jednak mnie ocali. – Uśmiechnęła się szeroko. – No to dobrej nocy.

* * *

Zmierzchało, a Miljin uczył mnie swoich zagrywek – nie tyle technik walki, co podstępnych sztuczek na unieruchomienie lub przechytrzenie przeciwnika. Najbardziej podobała mi się ta, gdy miało się czas na rozpoznanie rodzaju ataku, można go było sparować, a potem przekreślić ostrze tak, by

zaklinować klingę przeciwnika jalcem, a wtedy sam nadziewał się barkiem na własny sztych. Wyuczyłem się tego tak doskonale, że Miljin musiał się bardzo starać, żeby nie zrobić sobie krzywdy.

– Dość już tej na dzisiaj – zawołał, odskakując nerwowo.

Gdy przeprowadzał mnie przez kolejne sekwencje ruchów, zacząłem dostrzegać to, o czym mi mówili. Każdy gest, każda pozycja, każdy zwrot i obrót zapisywały się piętnem w kościach, ryły się w pamięci mięśni, ciała. Ale talent ten miał tyle zalet, co ograniczeń, ponieważ potrafiłem dzięki niemu jedynie odtwarzać. Jeśli walka wymagałaby czegoś nieprzewidzianego, z czym nie miałbym wcześniej styczności, rzeczywiście stawałem się natychmiast bezbronny.

– Dobrze – ocenił Miljin. Po kilku minutach sparingu spływał potem. – Ale nie pozwól zaślepić się samozadowoleniu. Żadna z tych sztuczek nie pomoże ci przeciwko trzaskaczowi czy drgaczowi. Zmierz się z którymś z nich, a rozerwą cię na strzępy. A teraz jedźmy i do łóżek. W tym kantonie jest wiele szybkich dróg do grobu, a łączenie głodu ze zmęczeniem to jedna z nich.

Postanowił odprowadzić mnie do wieży Jurysu, nad którą wysoko na niebie migotał Hak Rybaka.

– Myślisz, kapitanie, że mówiła poważnie? O tym, że spróbują ją otruć?

– W tej chwili, gdyby twoja immunisa twierdziła, że świat to apliot, którego pożre lewiatan, uwierzyłbym jej na słowo. – Zadarł głowę, patrząc w górę wieży. – Zastanawiam się nawet, czy już wcześniej nie wiedziała, co się tu wyrabia. I czy może nie zaplanowała pojawienia się tutaj.

– Nie rozumiem, panie?

– Funkcjonariuszka Jurysu z taką historią z Hazami naraz pojawia się w miejscu, gdzie zamordowano Kaygiego? Myślę, że wie więcej, niż mówi. Pytanie brzmi, kiedy to wyjawি.

– I czy zdołamy do tego czasu przeżyć – zauważyłem. – Osobiście to pytanie jest dla mnie żywotniejsze w tej chwili.

– No tak, tak. Ale widzisz, tak to już jest w Talagray. Tutejsze ziemie spłynęły już krwią tylu funkcjonariuszy, a choć wciąż mamy nadzieję, że Imperium stanie się bardziej cywilizowane, nagle pojawia się ktoś, kto nie chce do tego dopuścić, bo woli brutalną grę. Ale ty masz przewagę, Kol.

– Ja? Przez ten talent?

– Nie. Dzięki temu, że Dolabra postanowiła się o ciebie zatroszczyć. Może i jest szalona, ale uznaj się za szczęśliwca, że możesz skryć się bez-

piecznie w jej cieniu.

– Jej cień to raczej strefa zagrożenia, panie. To przez to grozi mi niebezpieczeństwo.

– Ha, ha! Trafna uwaga, chłopcze – roześmiał się Miljin.

Szliśmy dalej. Dziwne się czułem z nowo nabytą wiedzą o moim nietypowym talencie. Podekscytowanie tym faktem tonęło w strachu przed tym, co nas czeka. Nazbyt łatwo przychodziło mi wyobrazić sobie, jak jakaś mroczna postać unosi sztylet nad moim karkiem i wierci nim za uchem otwór, z którego wycieka ciemna stróżka krwi.

– To zarówno dar, jak i przekleństwo – rzekł, gdy dotarliśmy pod wejście. – W każdym razie tak mówią.

– Nie rozumiem?

– Pamięć mięśniowa – sprecyzował. – Ponoć mają ją rytownicy, którym zbywa czegoś innego. Ten szermierz, którego znałem, nie był w stanie zapamiętać ani nuty z jakiejś melodii. Muzyka brzmiała dla niego jak pustka. Nie potrafił ani wybijać rytmu, ani gwizdać. Myślę, że to jak wszystko w Imperium, każdy zysk to zarówno koszt.

Chyba czekał, aż coś powiem, ale milczałem.

– Ale wydajesz się bystry, chłopcze – podjął. – Może po prostu miałeś szczęście.

Życzył mi dobrej nocy i ciężkim krokiem oddalił się do swoich kwater.

Rozdział trzydziesty trzeci

Nazajutrz wraz z Miljinem spotkaliśmy się przy stajniach z grupą antyskażeniową. Apotekarzy była szóstka, cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie osobliwe pancerze ze skóry i kleistej trawy, która zdawała się uszczelniać ich stroje nawet od powietrza. Jedynie głów nie mieli nimi zakrytych. Dowódczyni ekipy, wysoka kobieta o twardym spojrzeniu, przedstawiła się, witając z kapitanem uściskiem ręki.

– Signuma Kitlan. Powiedziano nam, że mamy zająć się skażeniem, do którego doszło prawdopodobnie na Równinach Szlaku, tak?

– Tak, signumo – potwierdził Miljin.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej, kapitanie?

– To roślina użyta przez apotekarkę i trzaskacza. Zarodnik, jak mi przekazano. Przenosi się w powietrzu. Podobny do plamiszklanki.

Żadne z nich nie wydawało się ani zaskoczone, ani wystraszone. Pokiwali głowami, ale miny mieli kamienne. Byli tak mocno zmodyfikowani, że ich skóra była bardziej fioletowa niż szara, u niektórych poprzecinana dziwnymi liniami na twarzach i szyjach, białymi, pomarszczonymi, jak blizny po ranach. Wyglądali na zahartowanych, doświadczonych funkcjonariuszy.

– Gdzie zaczniemy? – zapytała Kitlan.

Miljin wskazał na mnie, a ja przywołałem do wspomnień poranną odprawę Any.

Jeden! W całym Legionie stacjonującym w Talagray jest tylko jeden trzaskacz pochodzący z Oypatu. Militis Drolis Ditelus, stacjonujący w wysuniętym posterunku blisko murów. A ostatnio nazbierał sobie całkiem sporo nagan. Zgadniecie, za co?

Pewnie nie za uśmiercanie obywateli Imperium za pomocą skażenia plamiszklanką? – odparłem.

Nie bądź taki przemądrzały – zbeształa mnie. – Otóż masz rację. Nie za to. Najwyraźniej ten typ, zamiast siedzieć dupą na murach, wymyka się w jakichś ciemnych sprawkach na Równiny Szlaku. Gość siedzi po uszy w gównie! To musi być on!

Przekazałem te informacje apotekarzom, gdy szykowaliśmy się do wyruszenia. Dodałem też opis działania tej odmiany plamiszklanki, że jest niezwykle żywotna, roznosi się po połączeniu z parą wodną, ale po koszmar-

nym zakwicie wewnątrz człowieka przestaje być groźna. Znów nie okazali żadnych żywszych emocji. – A więc odnajdujemy tego trzaskacza, tego Drolisa Ditelusa, on prowadzi nas do tej zdrajczynie apotekarki, namierzamy skażenie i je niszczymy, czy tak, kapitanie? – podsumowała Kitlan.

– Będę wniebowzięty, jeśli to okaże się tak proste – powiedział Miljin powątpiewająco. – Ale w skrócie, tak.

– Zrobimy tak, żeby było proste. – Dowódczyni splunęła tak obficie na ziemię, że wywarła ogromne wrażenie na legionście. Wsiedliśmy na konie i ruszyliśmy przez Równiny Szlaku, tą samą drogą, którą jechaliśmy ledwie kilka dni temu do obozu pod murami, żeby przesłuchać ofiary zawалу muru. Szybko jednak spowolniły nas ciągnące drogą zwierzęta, konie, woły i ogromne słonienie, które z mozołem wlekły coś w stronę wybrzeża. A raczej fragmenty czegoś większego. Czegoś gigantycznego.

Na początku wydawało się mi, że ciągnięte przez nie platformy są wyladowane jakimiś wielkimi, zakrzywionymi rurami, ale przyjrawszy się dokładniej, zrozumiałem, że to części bombardy. Tak olbrzymiej i skomplikowanej, że nie byłem jej sobie w stanie wyobrazić.

– O! To zabójca tytanów, o którym mówił Strovi! – wykrzyknąłem.

– Ciężko będzie dostać się do tego trzaskacza przez to wszystko – skwitował Miljin. – Musimy pojechać na przełaj. Za mną.

Nasze konie nie były zachwycone zmianą trudności terenu, więc robiliśmy wolniejsze postępy, ale koło południa dojechaliśmy wreszcie do wysuniętego posterunku Legionu, który podobnie jak trakt kipiał ruchem.

Podjeżdżając, obserwowałem, co się tam dzieje. W powietrzu wisiała atmosfera paniki, a legionści krzatali się nerwowo, jak ludzie gotujący się do rozpaczliwej ucieczki. Zostawiliśmy konie przed bramą i weszliśmy do środka, a po kilku chwilach pokrzykiwań Miljina, przyszła do nas w końcu princepsa zawiadująca posterunkiem.

– Ditelus, panie? Szukacie go? To ustawcie się, cholera, w kolejce. Sama bym go chętnie dopadła.

– Zniknął?

– Tak! I to nie pierwszy raz! A tu ziemia trzęsie się tak, że błoto tańczy nam pod stopami, a zabójca tytanów orze trakt obok. Jak go znajdę, to mu łeb utnę. – Princepsa zmierzyła nas spojrzeniem. – Ale skoro Jurys go szuka, to widać nawywijał coś grubszego... – Zerknęła na Kitlan i jej ludzi, którzy zniecierpliwieni, przestępowali z nogi na nogę. – I macie ze sobą ekipę od skażeń?

– Musimy pilnie wiedzieć, gdzie jest – powiedział Miljin. – Może ktoś, z kim pracował, będzie coś wiedział?

– Wszyscy trzaskacze poszli pomagać przy transporcie bombardy. Inżynierowie twierdzą, że przybycie tytana to kwestia dni, może nawet godzin. Kohorta Ditelusa dawno już stąd wymaszerowała.

W zadumie patrzyłem na princepsę. Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio przesłuchiwałem osobę jej rangi – szyderczego Otiriosa, w Daretanie – ale teraz, gdy śmierć i szaleństwo było na horyzoncie, przyszło mi łatwiej, odezwać się do niej.

– Jesteś dowódczynią Ditelusa, pani?

– Dowodzę całym posterunkiem, więc tak.

– A więc to ty, pani, pisałaś jego nagany?

– Ach, więc Jurys zajmuje się teraz naganami?

– Chodziło o powtarzające się nieobecności, tak? Czy został przyłapany, kiedy wracał z jednego z tych samowolnych oddaleń?

– Owszem, sama zdybałam go ze dwa razy.

– A skąd wracał? Z której strony? Czy znajduje się tam coś szczególnego?

Wyciągnęła mapę i pokazała nam miejsce.

– Nadchodził od zachodu, od strony Talagray. Stoi tam stara twierdza Legionu, która została zniszczona podczas jednego z wyłomów. Tytana udało się zabić, padł dokładnie na umocnieniach. Za moich czasów niektórzy wymykali się tam na popijawy. Myślisz, panie, że tam siedzi?

– Bardzo dziękujemy, princepsie – rzekł Miljin lapidarnie.

Wróciliśmy do koni, wsiedliśmy i ruszyliśmy, ale wcześniej Miljin skinął mi, doceniając mój wkład.

* * *

– To paskudna okolica – uprzedziła nas Kitlan. – Jeśli zobaczycie coś, co się porusza, a nie jest trawą bądź liściem, trzymajcie się od tego z daleka. Równiny roją się od skażeń, nor pełnych robactwa, gniazd i uli na każdym kroku. Myślcie o tym miejscu, jakby chciało was pożreć.

– Może nie wolno tu przebywać? – rzuciłem w przestrzeń.

– Nie wolno? – prychnęła Kitlan. – Nikt tu nie stawia ogrodzeń, signumie. Jeśli ktoś jest na tyle głupi, by się tu włóczyć, to jego problem.

Już nie protestowałem. Wkroczyliśmy w najdziwniejszą część Równin. Wokół nas wznosiły się gigantyczne pagórki porośnięte gęstą, żółtą trawą – zapewne pozostałości lewiatanów zabitych przez Legion dekady, jeśli nie stulecia temu. Było ich tak wiele, że zacząłem się zastanawiać, dlaczego wciąż nazywamy to miejsce Równinami. Większość terenu wydawała się wyniesiona ponad inne rejony kantonu.

Jeszcze większy niepokój budziły we mnie rosnące wokół nas kwiaty. Każdy był inny, niektóre w kształcie kielichów, lejków, rozet i dzwonków; jedne ogromne i zwisłe, inne maleńkie niczym pchły. W głębszych partiach wzgórz, gdzie gromadziła się woda, rosły tak gęsto jak gwiazdy na niebie, o niepowtarzalnych kolorach, tworząc mieniące się barwami plamy różu, pomarańcza i fioletu.

Widok ten jednak nie budził we mnie zachwytu, bowiem wiedziałem, że ziemia tutaj od dawna nasiąkała niesamowitą krwią lewiatanów. Przy tym wszystkim plamiszklanka przestała wydawać się szczególnym zagrożeniem.

Co parę staj spoglądałem przez ramię na wschodnie niebo.

– Czego tam tak wypatrujesz, Kol? – zapytał Miljin.

– Flar, kapitanie. Na wypadek gdyby się pojawiły.

– Ostrzegawczych rac? – zaśmiał się niewesoło. – To i tak nie miałoby znaczenia.

– Nie rozumiem?

– Jeśli ujrzymy czerwoną czy żółtą lunę na niebie, i tak będzie za późno, by uciekać. Jesteśmy za blisko. Moment i bylibyśmy martwi. Lepiej patrzeć przed siebie, chłopcze, niż do tyłu.

Posłuchałem go i zacząłem liczyć mijane wzniesienia. Zapamiętałem mapę princepsy, ale okazała się niezbyt wierna, jeśli chodzi o ilość kurhanów. Mimo to wiedziałem, że zbliżamy się do fortu.

– Zapach! Mam trop! – krzyknął jeden z apotekarzy.

Kitlan zawróciła konia i podjechała do podwładnego.

– Co to za woń?

– Krwi, pani. – Apotekarz uniósł twarz i wciągnął powietrze wielkim, fioletowym nosem, a potem wskazał na południe. – Tam.

Podążyliśmy za wężyzycielem, który zatrzymał się w pozornie niewyróżnianym się niczym miejscu. Dopiero gdy wskazał na ziemię, dostrzegłem wielką plamę krwi między kamieniami.

– Mokra – ocenił Miljin. – Świeża. Ale czy to krew Ditelusa?

– Tego nie mogę stwierdzić, bo nie mamy próbki jego zapachu – odparł apotekarz i ponownie wskazał na południe. – Ale zapach prowadzi w tamtą stronę.

* * *

Znaleźliśmy go niecałą godzinę później.

Dostrzegliśmy go z łatwością. Sylwetka zataczającego się olbrzyma odcinała się wyraźnie na horyzoncie. Mimo sporego dystansu, jaki nas dzielił, nie ulegało wątpliwości, że coś mu jest.

Postać poruszała się chwiejnie, utykając, jakby miała połamane kości w stopach.

Nie uszło to również uwadze Miljina.

– Nie podoba mi się to – mruknął. – Coś jest nie tak. Czy to naprawdę on? Dokąd zmierza? I przed czym ucieka?

– Może ma wije? – zastanawiała się Kitlan.

– Wy, apotekarze, macie tylko glisty w głowach.

– To przez to, że masa ludzi je ma!

Kitlan i Miljin spięli konie i wszyscy ruszyliśmy w pogoń za postacią. Gdy dzieliła nas od niej już tylko ćwierć stai, Kitlan uniosła dłoń na znak, byśmy się zatrzymali. Następnie apotekarze wyciągnęli z juków dziwaczne, skomplikowane hełmy. Przez wydłużony do przodu, stożkowaty kształt i szklane bańki osłaniające oczy przypominały głowy os. Na końcu lejków znajdowała się mała, mosiężna kratka przesłonięta mchem.

– Hełmy ochronne? – zapytałem.

– Tak. Odpowiednio nasycony mech stanowi materiał filtrujący skażenie – wyjaśniła Kitlan. – Pozwolą nam bezpiecznie podejść do niego bliżej. – Rzuciła mi ustrojstwo. – Zapina się wokół szyi.

Wsadziłem hełm na głowę i zapiąłem. Od razu zrobiło mi się ciasno, duszno i mroczno. Musiałem mocno wyteżać wzrok, żeby zobaczyć coś przez szklane bańki. Miałem tylko nadzieję, że nie oddalę się przypadkiem od reszty i nie zgubię w tym strasznym miejscu.

Kitlan dała znak ręką i ruszyliśmy dalej, doganiając kulejącą postać, brnącą przez przekłętą okolicę. Im bliżej się znajdowaliśmy, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, jak potężny jest człowiek, którego ścigaliśmy. Trzaskacz był prawie półtora raza wyższy ode mnie, a przecież wzrostu mi nie brakowało, i szeroki jak trzech ludzi stojących obok siebie. Czarna tkanina

odzienia opinała się na plecach potężnych jak powóz, a ogromne buty grzmociły o ziemię, wzbijając fontanny trawy i błota.

Krwawił. Musiał mieć ranę gdzieś z przodu. Widziałem stróżkę krwi spływającą po udach i ciekącą między kolanami.

– Stój! Ditelusie! – ryknął Miljin, gdy byliśmy jakieś pięćdziesiąt spanów od niego.

Trzaskacz włókł się dalej.

– Zatrzymaj się, pieronie! W imieniu Jurysu nakazuję ci się zatrzymać!

Nie zatrzymał się.

– Militisie! – zawołała Kitlan ostrzegawczo. – Jesteśmy grupą z oddziału antyskażeniowego i jeśli nie będziesz współpracował i nie będziemy mogli ocenić twego stanu, będziemy zmuszeni cię podpalić. Od ciebie zależy, czy spalimy cię żywcem, czy po śmierci.

Nadal nie reagował.

Spojrzelśmy po sobie i pognaliśmy konie, dopóki się z nim nie zrównaliśmy, ale zachowując oczywiście bezpieczną odległość.

W przeciwieństwie do ciała, twarz trzaskacza była zaskakująco zwyczajna. Krótkie, jasnozłote włosy były przystryżone tuż przy ciemnej, opalonej skórze na czaszce, a małe oczy przepełniał smutek. Z ust po podbródku i szyi ściekała krew, wsiąkając w czarną koszulę i skapując z rąbka. Oddychał ciężko, świszcząc i rżąc, a jego olbrzymie płuca bulgotały z wysiłku. Za każdym razem, gdy przenosił ciężar na pogruchotaną stopę, jego twarz wykrzywiała się w grymasie bólu.

– Ditelusie! Gdzie jest kapitan Kiz Jolgalgan? – zapytał Miljin ostro. – Jest gdzieś w pobliżu?

Trzaskacz nie odpowiedział, tylko szedł dalej, a jego ogromne buty dudniły o ziemię.

– Gdzie byłeś? Co zrobiłeś?

Milczał.

– Pomogłeś jej włamać się do rezydencji Hazów?

Nadal nic.

– Ditelusie... – westchnął Miljin bezradnie. – Dokąd tak człapiasz, człowieku?

Ditelus nie przestał kuśtykać, ale po chwili dziwnym, cienkim głosem wyszeptał:

– D-do domu.

– Wracasz do domu?

– Tak – wychrypiał, plując krwią.
– W tę stronę nie ma nic prócz muru.
– I... idę do domu – wyszemrał trzaskacz, a jego twarz zmięła się z bólu.
– Do zielonych pól fasoli, do żółtych zbóż, jakie niegdyś znałem. – Zamru-
gał, a z oczu spłynęły mu łzy, mieszając się na podbródku z krwią. – Do
powietrza zamglonego od pyłków na wiosnę. I l-lasu, gęstego od liści,
a potem ciężkiego od ciemnych owoców. – Kuśtykał, ale zadrżał i załkał. –
Wkrótce tam będę.
– O czym on mówi, na lewiatana? – zapytała Kitlan.
– O Oypacie – odpowiedziałem cicho. – Wydaje mi się, że opisuje kan-
ton, w którym się urodził.
– T-tak. Dom. Oypat. Ale już go nie ma. Umarł. I ja też umrę – szeptał
Ditelus. – Będę siedł i siedł aż do innego świata. A tam będę szczęśliwy.
Stał. Ramiona zwisły mu bezwładnie, a ciałem szarpały drgawki.
– Proszę się odsunąć, kapitanie – powiedziała cicho Kitlan. – Szybko.
– Zabrali nam nasz dom – szlochał trzaskacz. – Pozwolili mu umrzeć.
Zabili go.
– Co ty mówisz? Kto go zabił? – dopytywał Miljin.
– A potem ją... To jego sprawka. On to... zrobił, prawda? – jęknął bez-
radnie Ditelus. – Zrobił, prawda?
– Kto? Komu? Jolgalgan? O niej mówisz? Co jej się stało?
– Miljin! – zawołała głośniejszym głosem dowódczyni apotekarzy. – Odsuń się.
Dzieje się coś niedobrego!
Miała rację. Coś się działo. Koszula na piersi trzaskacza poruszała się
i wybrzuszała, coś pod jego żebrami wiło się i drgało.
– Wy, juryści, twierdzicie, że pragniecie sprawiedliwości. Ciągłe to
powtarzacie! Bez przerwy!
Miljin już też zauważył, co się dzieje. Zawrócił raptownie konia i spoj-
rzał przez ramię na trzaskacza, który...
Zaczął kielkować.
– Widziałem te mury! – ryknął Ditelus. – Widziałem wielkie dzieło ludz-
kie! Wiedziałem, że mogli nas ocalić, lecz... lecz...
Rozległ się przeraźliwy dźwięk, przypominający rozdieraną grubą tka-
ninę, a potem nadeszło coś gorszego, odgłos pęknięcia i trzaskania. Nagle
niczym ćma wyrrywająca się z kokonu z jego ciała wystrzelił pęd płamisz-
klanki, gruby, pulsujący, lśniący pęk jaskrawej zieleni rozdarł jego ciało
i wspiął się ku niebu. Rozerwał go wzdłuż boku i wylał się kaskadą przez

żebra. Krew gwałtownie trysnęła z gardła Ditelusa, a jego twarz zniknęła w płataninie korzeni i drżących, ciemnych liści. Lecz trzaskanie nie ustało, roślina zdawała się łamać każdą z jego kości, miażdżąc je na pył. A potem dźwięki ustały, choć plamiszklanka wzrastała w ciszy, zmieniając się w kolumnę mieniającą się zieleni.

Patrzyłem, zdjęty zgrozą, jak roślina pochłania olbrzyma, aż wkrótce stał się kukłą zawieszoną w zielonym chaosie. W tle słyszałem krzyki apotekarzy, ale nie byłem zdolny się na nich skupić. W gąszczu dojrzałem fragment twarzy z szeroko otwartym smutnym okiem, które wpatrywało się w mrok.

– Musiało dojść do skażenia jakiś czasem temu, ale ciało trzaskacza opierało mu się, aż... – zająknęła się Kitlan.

Nie mogłem oderwać wzroku od łez, które ściekały po kawałku policzka, miesząc się z krwią i pęczniąc, aż staczały się na liście.

– Skąd?! – huknął nade mną Miljin.

– C...co? – odezwałem się półprzytomnie i oderwawszy spojrzenie od trzaskacza, napotkałem szklane bańki, a w nich wściekły wzrok kapitana.

– Skąd szedł?! Bo skądś na pewno!

Popatrzyłem na północ, poczułem trzepot w głowie i przywołałem mapę okolicy widzianą na posterunku.

– Z fortecy. Jest tam. – Wskazałem.

– To ruszamy! Szybko! – Kapitan zawrócił konia i ruszył.

– Musimy spalić skażenie! – darła się za nim dowódczyni apotekarzy. – Mamy protokoły!

– To zostaw ludzi, żeby dopilnowali pieprzonych protokołów, i jedźmy! – ryknął Miljin przez ramię.

* * *

Kitlan zostawiła dwóch apotekarzy przy ciele, a razem z resztą pognąła za nami. Galopowaliśmy, aż zobaczyliśmy fortecę, kilka budowli przytulonych do wielkiego wzgórza za rozległym spłachciem żółtej trawy.

Zbliżyliśmy się ostrożnie do ruin, bo tym właśnie były rozpadające się konstrukcje z formobluszczu i kamiennego drewna. Potrzaskane umocnienia o rozbitych i chylących się wieżach przypominały szczęki z wybitymi zębami. Wokół fortecy od wzgórza rozchodziły się kręgami dziwne wzniesienia. Domyśliłem się, że gdy lewiatan, umierając, runął, wzruszył grunt

w pobliżu, a następnie wszystko pochłonęła trawa i drzewa, podobnie jak inne truchła tytanów na Równinach.

Wjeżdżając w pozostałości po kompleksie obronnym, miałem wrażenie, jakbym poruszał się po zabałaganionym pokoju dziecka olbrzyma albo jechał po plaży zaśmieconej szczątkami statków wyrzuconych przez morze. Wszystko zdawało się poniszczone, poza jedną, wysoką, przekrzywioną wieżą, która stała pośrodku zabudowań.

Miljin podchwycił moje spojrzenie i skinął głową, a potem powiedliśmy Kitlan i pozostałą trójkę apotekarzy przez labirynt gruzów, aż do wieży. Wydawała się w niezłym stanie, a drzwi, w przeciwieństwie do wszystkiego innego w tym miejscu, wręcz w doskonałym. Solidne, ciemne drewno, uchwyt z nowego, białego sznura, lśniące zawiasy.

Gapilem się na nie, zachodząc w głowę, kto może się za nimi znajdować.

– Kitlan – odezwał się Miljin. – Kto otwiera, ty czy ja?

Apotekarka w odpowiedzi zsiadła z konia, rzuciła wodze jednemu z podwładnych, zbliżyła się do drzwi, chwyciła sznur i odetchnąwszy głęboko, pociągnęła.

Stojąc z tyłu, nic nie widziałem w panującym w wieży mroku, ale dowódczyni apotekarzy po chwili cofnęła się z wyrazem odrazy na twarzy.

Kiedy odsłoniła widok, zobaczyłem w środku gmatwaninę zielonych, smukłych liści i pędów usianych niewielkimi, biało-fioletowymi kwiatkami. Pomędzy nimi wisiało ciało kobiety w zaawansowanym stanie rozkładu. Padające z zewnątrz światło odbijało się w ciemnych oczach i rozjaśniało żółte włosy.

* * *

Obserwowaliśmy z Miljinem apotekarzy wchodzących i wychodzących z wieży. Z tego, co mówili, pobierali próbki oraz katalogowali znalezione w środku reagenty, okazy oraz przybory apotekarskie.

– Doskonale wyposażona pracownia – stwierdziła Kitlan. – Komora fermentacyjna. Kopuła oczyszczająca. Beczki z płynami zawiesinowymi. Zasoby do nasycen. Palm, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. I zbiorniki pełne roślin... Wszystkie tego samego rodzaju.

– Plamiszklanka – odgadłem.

– Wszystko odbywało się tutaj. Stworzyli to wszystko, zgromadzili sprzęt i warzyli tu swoje skażenia.

– Jesteśmy pewni, że to ona? – dopytywał Miljin. – To ciało należy do Jolgalgan?

Kitlan podeszła do sterty skatalogowanych materiałów, przeszukała je i wróciła z plikiem papierów. Była to przepustka, podobna do tej Aristan, pozwalająca posiadaczowi przedostać się z Obrzeży Imperium do trzeciego pierścienia. Choć moje oczy z trudem widziały coś przez te przekłete szklane bańki hełmu, zdołałem rozczytać imię JOLGALGAN zapisane w rogu.

– Jest tego więcej – stwierdziła Kitla. – Więcej dokumentów. Niektóre wystawione na jej nazwisko, inne podrobione i sfalszowane. Wygląda na to, że planowała ucieczkę. Ale tak, to ona.

– I tak po prostu... – Miljin urwał, wpatrując się w trupa zawieszonego na pędach.

– Wygląda na wypadek. Moim zdaniem coś okazało się nieszczelne. Na tyłach jest poczerniała butelka, jeszcze ciepła. Pewnie woda w niej się zagotowała i wyparowała, a wraz z nią zarodniki, którymi się skaziła. Jolgalgan zmarła dzień, może dwa dni temu. Podejrzewam, że trzaskacz przyszedł sprawdzić, co się z nią dzieje, i również w jego wypadku doszło do skażenia. Gdyby nie hełmy, my też bylibyśmy martwi.

Serce przestało mi bić, gdy uświadomiłem sobie, jak blisko znaleźliśmy się podzielenia losu Ditelusa.

– Ale jak... jak to możliwe, że doszło do tego wypadku? – zapytałem.

– To proste. To zaimprovizowane laboratorium i nie spełnia norm Apteki. A zajmowali się tutaj bardzo niebezpiecznym skażeniem. Ostatecznie nie bez powodu zbudowano mury wokół Oypatu.

– Ile tej plamiszklanki mogła tu przygotować? – Objąłem spojrzeniem wieżę.

– Bardzo dużo. – Wzruszyła ramionami Kitlan.

– Czy jest jakiś sposób, by to sprawdzić? Czy mogła posadzić ją gdzieś w kantonie i teraz trawa może w każdej chwili wykwitnąć?

– Nie, na pewno nie tutaj – odpowiedziała apotekarka i wróciła do wieży.

– A więc tuż przed tym, jak prawie ją mieliśmy, Jolgalgan popełnia głupi błąd i zabija siebie oraz swojego współnika... – powiedział cicho Miljin.

Fala wiatru przetoczyła się przez ruiny, a zwłoki w wieży zachybotały się na zielonych łodygach w wieży.

– Pasuje ci to? – zapytał mnie Miljin.

Nie odpowiedziałem.

CZEŚĆ PIĄTA

Cień lewiatana

Rozdział trzydziesty czwarty

Chrypiałem, kończąc mówić, a powieki bolały mnie od trzepotania. Ostatnie słowa wybrzmiały w sali arbitrażowej i ucichły.

Legatka spojrzała na nas z wysokiej ławki.

– A więc – powiedziała powoli – już po wszystkim?

Ana poprawiła się w fotelu, jakby usiadła na czymś mokrym.

– Możliwe – przyznała. – Po części.

Vashta zmarszczyła brwi. Choć jej kirys był jasny i lśniący, a płaszcz ciemny i czysty, to twarz legatki była tak wymięta i pobrużdżona od zmarwień, że zacząłem się niepokoić, w jakim stanie są morskie mury.

– Czy mogłabyś mi wyjaśnić, immuniso, co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć?

– To znaczy, możliwe, że sprawa została rozwiązana – wyjaśniła Ana. – Tudzież rozwiązana po części. Tudzież możliwe, że po części.

Zapadła długa cisza. Spojrzałem w dół na moje nowe buty, które teraz ubłocone po pościgach i poszukiwaniach na Równinach Szlaku nie wyglądały już na nowe. Siedzący obok mnie Miljin stłumił ziewnięcie. Współczułem mu, bo choć chwila była pełna napięcia, obaj mieliśmy za sobą długą jazdę i liczne rozmowy z Aną i Vashtą.

– Podsumowując, Dolabro, od dawna uważałaś, że to Jolgalgan jest sprawczynią skażenia.

– Tak, pani.

– A teraz Jolgalgan nie żyje.

– Tak właśnie jest, pani.

– A laboratorium, w którym wytwarzała tę straszliwą skazę, zostało zniszczone.

– Spalono je za pomocą palnu, pani, a jego żarowi nie oprą się nawet zarodniki plamiszklanki.

– Jej współnik również nie żyje? Zginął w wyniku tego samego wypadku?

– Tak. Ale w zasadzie wciąż niewiele tak naprawdę o niej wiemy. Czy Jolgalgan zamierzała zabić tych dziesięciu inżynierów? Jeśli tak, to nie wiemy, ani jak tego dokonała, ani dlaczego. Mamy powody, by wierzyć, że zabiła Kaygi Haza, ale też nie mamy pojęcia dlaczego. Bo jeśli to rzeczywi-

ście zemsta za Oypat, to po co zadawać sobie tyle zachodu, żeby zlikwidować jednego leciwego ziemianina?

– Hazowie to jeden z najpotężniejszych klanów Imperium – powiedziała Vashta. – Dostarczają niezliczonych reagentów, dzięki którym nasza cywilizacja istnieje i działa. Śmierć dziedzica takiego klanu z pewnością pociągnie za sobą wiele negatywnych skutków.

– Być może to jest takie proste. Ale jeśli tak, to po co Hazowie mieliby ukrywać zabójstwo Kyagi? Po co zaprzeczać odwiedzinom tych inżynierów u nich w domu? Po co wypierać się wiedzy o śmierci Blasa? Tego nie wiemy. Do tego zabójstwa Rony Aristan oraz Subereka, asystentki i papiernika. To nie dzieło Jolgalgan.

– Co sugerujesz?

– Że zginęli z ręki innego mordercy. A sądząc po sposobie, w jaki zadano im śmierć, mam na myśli to małe nakłucie czaszki u obojga, zabójca musiał być wybitnie zmodyfikowany.

Vashta zastanawiała się przez chwilę.

– Masz podejrzanego?

– Nie pewnego.

– Znacie motyw tych zabójstw?

– Nie jest jasny, pani, jeszcze nie. Ale wszystko, czego się dowiedzieliśmy, nadal wskazuje na Hazów.

– Słyszałaś, co powiedziałam o Hazach. Wprawdzie jestem seneszalem, ale jeśli sugerujesz, abym zagnała właścicieli najcenniejszych ziem w Imperium do tej wieży niczym stado szakali, to nie mogę tego zrobić w porze deszczowej, gdy lewiatan jest tak blisko, szczególnie w sytuacji gdy mamy tu wyłom.

Ana zacisnęła pięść, knykcie jej pobiełały, ręka drżała, zupełnie, jak kiedy przesłuchiwała Fayazi Hazę w tej komnacie.

– Jestem tu, by chronić Imperium, immuniso – powiedziała cicho Vashta. – A nie wymierzać sprawiedliwość. To nie należy do kompetencji mojego jaletu, a o sprawiedliwość nie zawsze jest łatwo, szczególnie, w takich czasach.

– Rozumiem, pani – powiedziała Ana. – Ale nurtuje mnie jeszcze jedna kwestia.

– Jaka?

– Grzyby czarnodrażkowe.

– Przepraszam... co? – Vashta zamrugała zaskoczona.

– Cóż, wydaje się, że Jolgalgan użyła czarnodrażkowców dla odwrócenia uwagi podczas przyjęcia w domu Hazów, wywołując ogień, co miało umożliwić jej wślizgnięcie się do korytarzy dla służby.

– I? – ponagliła ją Vashta.

– Nuis mówiła, że grzyby te zapalają się natychmiast po zetknięciu z ogniem. Co oznacza, że Jolgalgan musiałaby być przy kominku, gdy zaczął się pożar.

– Iii?

– Coś takiego nie zadziałałoby jak odwrócenie uwagi, raczej przeciwnie, ściągnęłaby ją na siebie.

– Czy możesz wyjaśnić, do czego zmierzasz, immuniso?

– Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem tego jest istnienie osoby trzeciej, trzeciego spiskowca, który wrzucił grzyby do ognia, podczas gdy Jolgalgan wślizgnęła się do korytarzy dla służby.

Vashta zmarszczyła brwi, wyraźnie zaniepokojona.

– Czy masz na to jakieś dowody lub zeznania?

– Powtórzę: to nic pewnego. Ale zastanawia mnie również, skąd Jolgalgan wiedziała tak wiele o tym, co, gdzie i kiedy robi prefekt Blas. Ani ona, ani Ditelus nie powinni posiadać takiej wiedzy. Nie jestem usatysfakcjonowana dotychczasowymi ustaleniami śledztwa i teraz skłaniam się ku konkluzji, że istnieje trzeci współnik tej zbrodni.

– A co mogłoby usatysfakcjonować cię w tym względzie?

– Dodatkowy tydzień dochodzenia na przejrzenie wszystkich dowodów i przeprowadzenie dodatkowych przesłuchań. Jolgalgan z pewnością widziało wiele osób przed jej pozornym zniknięciem. Podobnie jak Ditelusa i Blasa. Chcę porozmawiać z nimi wszystkimi, a następnie odnaleźć naszego „trzeciego”, o ile rzeczywiście istnieje.

Vashta rozważyła jej prośbę.

– Czy spodziewasz się kolejnych zgonów wśród inżynierów?

– Z powodu płamiszklanki? Raczej nie.

– I nie zawałą się kolejne fragmenty muru morskiego?

– Nie sądzę.

– A twoje dochodzenie nie będzie w żaden sposób kolidować z przygotowaniami do przybycia tytana?

– Nie, pani.

– Ja mogę ci dać ten twój tydzień. Ale nie gwarantuję, że będziesz go miała w całości.

– Z powodu lewiatana? – domyśliła się Ana.

Vashta wykrzywiła usta w niewesołym, znużonym uśmiechu.

– To Talagray, immuniso. Tutaj nigdy nic nie jest pewne. Moim zdaniem jednak wypełniłaś swój obowiązek. Nawet jeśli nie do końca rozumiemy tę zbrodnię, zidentyfikowałeś zabójców i znalazłaś ich w ciągu kilku dni, i to w czasie, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy. Dobrze się spisałaś.

– Dziękuję, pani. – Ana się skłoniła.

– I chociaż zgadzam się z tobą, że to zakończenie nie jest satysfakcjonujące, gratuluję ci. Wielu funkcjonariuszy będzie spać dziś o wiele spokojnie...

Ziemia pod naszymi stopami zadrżała gwałtownie. Tym razem wstrząs był silniejszy niż wcześniejsze. Wyjrzałem przez okno, wystraszony, że tym razem na pewno ujrzę na horyzoncie zielone flary ostrzegające nas przed zbliżającym się lewiatanem.

– Cóż – podjęła Vashta. – W każdym razie na tyle spokojnie, na ile to obecnie możliwe. – Przetarła zmęczone oczy i pociągnęła nosem. – Czy ty i twój signum będziecie dziś na bankiecie?

– Możliwe, pani – odpowiedziała Ana.

– Mocno was do tego zachęcam. Zakończenie śledztwa bez wątpienia zostanie zinterpretowane jako dobry omen, a twoja obecność podniesie morale. A tego niewątpliwie potrzebujemy. Bardzo.

– Rozumiem, pani.

Vashta westchnęła raz jeszcze.

– Kapitan Strovi zgłosił się na ochotnika do załogi naszej największej bombardy. Próbowałam mu to wyperswadować, ale nie chciał słuchać... Jest dzielny aż do przesady. Być może będziecie mu mogli udzielić błogosławieństwa podczas dzisiejszego bankietu.

– Ja oczywiście pójdę – powiedział Miljin i ziewnął po raz kolejny. – Choć najpierw wolałabym pójść do łóżka.

– Din będzie na pewno – zobowiązała się za mnie Ana. Pochyliła nisko głowę. – Dziękuję za dodatkowy czas, pani. Zostawimy cię, byś zajęła się ważniejszymi sprawami.

* * *

– Bankiet?! – zapytałem, gdy przecinaliśmy główny hol wieży Jurysu.

– Bankiet Błogosławieństw – odpowiedziała Ana, chwytając mnie za ramię. – To tradycyjna ceremonia organizowana przed starciem z tytaniem.

Nie odbywała się od lat. Zwykle wystarczały mury i nasza artyleria, ale tym razem jest inaczej. Legion musi poczekać, aż tytan podejdzie do wyłomu, dopiero wtedy można będzie wystrzelić z gigantycznej bombardy i zabić go jednym pociskiem, jednocześnie zatykając wyłom. Wszystkie ręce, które dotkną bombardy, muszą zostać pobłogosławione. To powinno być bardzo interesujące wydarzenie. Uroczysty rytuał. Dużo dymu kadzidlanego. Dużo zwierzęcej krwi, wina i inkantacji. Będziesz mnie reprezentował.

– Obawiam się, że po tym wszystkim nie mam ochoty na ucztowanie, pani – mruknąłem.

– Ach... ty też nie czujesz się usatysfakcjonowany, Din?

– Nie, pani – przyznałem.

Zaczęliśmy wspinać się po schodach. Wciąż miałem przed oczyma obraz zwłok Jolgalgan zawieszonych na rozkołysanych pędach płamiszklanki.

– Suberek i Aristan nie doczekali się sprawiedliwości – dodałem.

– Nie – zgodziła się ze mną. – Nie doczekali się sprawiedliwości.

– Dziesięciu inżynierów również.

– To prawda.

– Wygląda na to, że kantonowi na tym nie zależy. Nie w obliczu lewiantana. A ja nie mogę się z tym pogodzić.

– Nie możesz, bo to niewłaściwe, Din – oświadczyła twardo. – Cywilizacja to dzieło, które ledwo się udaje utrzymać. Ale zahartuj serce i ostudź krew. Wieże sprawiedliwości buduje się cegła po cegle. Mamy jeszcze przed sobą wiele cegieł do ułożenia.

Pomogłem jej pokonać ostatnie stopnie.

– Nie uważasz, pani, że to koniec, prawda?

– Nie, na pewno nie. Nie przypuszczam, by Jolgalgan chciała zaszkodzić Imperium. Myślę, że zabiła Blasa i Kaygiego Hazę z powodów osobistych. Jeszcze tylko nie wiem, co konkretnie nią powodowało. Plus mamy to, co powiedział Ditelus: „To jego sprawa. On to zrobił, prawda?”.

Otworzyłem przed nią drzwi.

– Rozumiem, że twoim zdaniem to nie drgacz skaził Jolgalgan?

– Naturalnie, że nie. Drgacz nie zabija płamiszklanką. A więc śmierć Jolgalgan albo naprawdę była wypadkiem, co uważam za mało prawdopodobne, albo zrobił to ktoś inny. Prawdopodobnie ten trzeci morderca, który mnie niepokoi. W obawie przed wykryciem sabotował laboratorium Jolgalgan, a gdy ta uruchomiła zestaw do warzenia, skaziła samą siebie. Potem to samo spotkało Ditelusa, który przyszedł sprawdzić, co się z nią dzieje. Oni

zginęli, a my dostaliśmy zgrabną historyjkę. – Ana usiadła przy otwartym oknie i przechyliła głowę, wsłuchując się w szum miasta poniżej. Po raz pierwszy widziałem, żeby wystawiała się na taką stymulację. – Miasto budzi się i pustoszeje... Część mieszkańców udaje się na wschód, by walczyć, ale wielu wyrusza na zachód, ucieka. Jednak ty i ja zostaniemy tutaj, Din. Zostaniemy, dopóki nie dokończymy naszej pracy. A to stanie się już wkrótce. Teraz jednak muszę pomyśleć. – Niezdarnie zamknęła okno i pokój ponownie pogrążył się w mroku. – Trzeci... – wyszeptała.

– Słucham?

– „Trzeci”, to mówiła Fayazi Haza, kiedy ją podsłuchałeś. Ktoś z jej rodu szukał trzeciego kogoś czy czegoś... Przez długi czas myślałam, że miał na myśli trzeciego sprawcę, tego, którego istnienie teraz podejrzewam. Ale nie jestem już taka pewna.

– Co w takim razie powinniśmy zrobić, pani?

– Ja... zrobię to, co potrafię najlepiej. – Usiadła na łóżku. – Pomyślę. A ty powinienesz iść na bankiet, Din.

– Wybacz, pani, ale nie jestem...

– Tak, tak, nie jesteś w nastroju na ucztę. Ale Bankiet Błogosławieństw jest niezwykle rzadkim wydarzeniem. Co więcej, Vashta wyraźnie zażądała naszej obecności. Ponieważ obecnie jest ona w zasadzie dyktatorem kantonu, rozsądnie byłoby mieć ją po naszej stronie. Wkrótce bardzo mi się przyda. A poza tym masz za sobą kilka okropnych dni i myślę, że przyda ci się przypomnienie, po co w ogóle powstało Imperium, czym jest.

Popatrzyłem na nią, nie rozumiejąc.

– Imperium to nie tylko to! – Machnęła ręką w stronę okna. – Nie tylko mury, śmierć i spiski! Ani też mozolne przygotowania na katastrofę i biurokracja! Nie bez powodu robimy te ponure, nudne rzeczy. Dzięki nim tworzymy przestrzeń, w której ludzie mogą żyć, świętować, doświadczać radości i miłości. A więc idź na bankiet, Diniosie. Bo inaczej znajdę ci jakieś naprawdę gówniane zajęcie.

Rozdział trzydziesty piąty

Słońce wisiało już nisko, kiedy zbliżałem się do wieży Legionu. Ulice wokół wieży wypełniły się funkcjonariuszami jaletów, większość miała na sobie czern Legionu, ale wielu nosiło purpurę Inżynierii i czerwień Apoteki, a gdzieś tam migał też błękit Jurysu. Gdy ustawiliśmy się w kolejce, by wejść na dziedziniec Legionu, z wnętrza dobiegł nas śpiew, podniosła, uroczysta pieśń w języku, którego nie rozpoznałem.

To oznaczało, że ceremonia już się rozpoczęła. Kolejka posuwała się szybciej i wkrótce przeszedłem pod łukami czarnych proporców, zająłem miejsce wśród tłumu zgromadzonego wewnątrz kolistych murów dziedzińca i rozejrzałem się wokół.

Pośrodku stały dwa szeregi ludzi oświetlone błękitnym blaskiem lampionów. Jedni, około dwóch tuzinów legionistów, klęczeli z pochylonymi głowami, zaś nad nimi stały postaci, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Pochodzili z różnych ras, Talowie, Sazi, Kurmini, Rathrasowie, Pithianowie, również odzienia mieli uderzająco różne, obleczeni w ciemne szaty, obwieszani delikatnymi złotymi łańcuchami, osłonięci srebrzystymi welonami lub w wysokich kapeluszach z daszkiem.

Duszpasterze, kapłani, klerycy i wikariusze, przedstawiciele wszystkich kultów imperialnych. Nie mogłem wyobrazić sobie ogromu Imperium, skoro mogło pomieścić tak wiele tak skrajnie różnych kultur. Wyglądało jednak na to, że wszyscy ci duchowni zamierzali przekazać tutaj swoje błogosławieństwa, wzywając swoje panteony, by pomogły powstrzymać wynurzające się z głębin tytany.

Rozejrzałem się po dziedzińcu raz jeszcze. Z przodu miejsca zajęli funkcjonariusze wysokiej rangi, w tym Vashta, której pierś obwieszona była tyłoma dystynkcjami i orderami, że cały jej gors migotał niczym nocne niebo. Kiedy nie obserwowała z powagą rytuału, przyglądała się tłumowi, jak przypuszczałem, sprawdzając, kto się zjawił, a kto nie. Kiedy jej przenikliwy wzrok padł na mnie, uśmiechnęła się lekko i skinęła mi głową. Odwzajemniłem ukłon.

Duszpasterze śpiewali i wymachiwali trybularzami przed klęczącymi legionistami, okadzając ich świętym dymem. Następnie okryli żołnierzy

świętymi szatami i namaścili im czoła farbami oraz krwią bażantów i cieląt, nakładając na nich modlitwy, życzenia, nadzieje i wezwania bogów.

Wśród tego morza dziwności zobaczyłem coś znajomego – umieszczoną wysoko nad duchownymi okrągłą, złotą podobiznę, przedstawiającą pociągłą, chudą twarz, jednocześnie współczującą i surową. Pod nią umieszczono słowa w starożytnym, na wpół zapomnianym języku: „Sen sez imperiya”.

Wpatrywałem się w oblicze Imperatora, chcąc poczuć w duszy te słowa, ich znaczenie, w konfrontacji z wiedzą, że choć drgacz i Hazowie zabili co najmniej dwie osoby, a być może również dziesięcioro inżynierów i setki innych, nie tylko mogą ująć sprawiedliwości, ale Ana i ja możemy nigdy nie zrozumieć, co tak naprawdę się tu wydarzyło. Blas, wyłom, przyjęcie, wszystko to mogło rozplynać się jak ślady stóp podczas ulewy.

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej chciałem opuścić ten święty rytuał. Wyglądało na to, że cesarz przeznaczył Legionowi wiele błogosławieństw, ale niewiele zapewnił ich Jurysowi. Jakże prosta wydawała się walka z tytanami wobec niemożliwości wymierzenia sprawiedliwości.

Ceremonia zdawała się dobiegać końca. Trzej duchowni dotknęli czoła klęczącego na przedzie legionisty, następnie wygłosili coś w starożytnym języku Khanum, pocałowali go w głowę, skłonili się i wycofali. Wszyscy legioniści wstali i ukłonili się w odpowiedzi. Wtedy dziedziniec wypełnił się pomrukami i cichymi rozmowami.

Zapach kadzideł wyparły aromaty tłuszczów, przypraw i opiwina. Pojawiło się jedzenie, a stoły nagle zapełniły się pokrojonym mięsem i marynowanymi warzywami, a także beczkami opiwina. Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym robić na takiej ceremonii, więc podszedłem do przodu, by napełnić swoją miskę.

– Miło widzieć, jak świętujesz sukces, signumie – usłyszałem głos za plecami.

Odwrociłem się. Immunis Uhad wynurzał się z tłumu sztywnym, bocianim krokiem, jego błękitny płaszcz Jurysu falował, a wychudła twarz była ponura jak zawsze.

– Dobry wieczór, panie. – Ukłoniłem się.

– Doszły mnie wieści i wszystkie szczegóły waszych osiągnięć. Ty i Ana poradziliście sobie wspaniale. Nie, nie, nie kłaniaj się więcej. Raduj się. W końcu to czas na wesele.

Napełniłem swój kubek i przepiłem do niego.

– Nigdy wcześniej nie byłem na takiej ceremonii, panie. Życzę im szczęścia i pomyślności. – Zauważyłem, że Uhad nie miał przy sobie ani trunku, ani miski.

– Ostatnio nie mogę sobie zbyt pobłażać, signumie – przyznał, widząc mój pytający wzrok. – Za dużo opiwina prowadzi do zbyt wielu dolegliwości. A świętowanie w towarzystwie powoduje niekończące się bóle głowy. – Uśmiechnął się ze znużeniem. – Ciesz się tym teraz, póki jeszcze możesz.

– Pozwolisz, panie, że zapytam... Kiedy zacząłeś cierpieć na tę przypadłość?

– Miałem jakieś piętnaście lub dwadzieścia lat więcej od ciebie. Masz więc jeszcze trochę czasu. Chociaż chwile takie jak te sprawiają, że warto cierpieć. Wyryj sobie zwycięstwo w pamięci, chłopcze. Zachowaj niczym skarb. – Po chwili podjął: – Podejrzewam, że prawdopodobnie nie jesteś zadowolony z takiego zakończenia. W końcu nie wszystkich, którzy dopuścili się nieprawości, spotkała sprawiedliwość.

– To prawda, panie, tak właśnie się stało.

– Niestety – westchnął – sprawiedliwość rzadko spotyka tych potężnych. Mają kluczowe znaczenie dla Imperium i wykorzystują swoją pozycję, by zdobywać coraz większą władzę i nietykalność. To frustrujące. Zawsze tak było. Ale nie pozwolę, by mnie to dłużej drażniło. – Uśmiechnął się smutno. – Moja służba jako Sublima dobiegła końca.

– Zostajesz zwolniony ze służby, panie? – zapytałem.

– O tak. To było moje ostatnie śledztwo. Posiadam kawałek ziemi w pierwszym pierścieniu Imperium, udam się tam i spędzę tę resztę moich dni, ciesząc się spokojem.

Byłem zaskoczony, że mógł sobie pozwolić na coś takiego. Najbardziej wewnętrzny pierścień Imperium był najbezpieczniejszą enklawą w całym Khanum. Zastanawiałem się, jakim sposobem Uhad zdołał kupić sobie skrawek tego raj.

– Chociaż, szczerze mówiąc, chciałbym móc dalej służyć – wyznał. – No, ale cóż... Ana wspominała, że potrafisz doskonale parzyć herbatę, to prawda?

– W pewnym stopniu, panie.

– Pewnie nie mieliście wielu okazji raczyć się nią w całym tym szaleństwie?

– Ani razu od jakiegoś czasu. Choć oczywiście zabraliśmy ze sobą imbryk.

– Wielka szkoda. Tobie i Anie należy się trochę wytchnienia. Mam nadzieję, że będę miał okazję skosztować twojego naparu, zanim odejdę na zasłużony odpoczynek. – Ukłonił się. – Nie będę ci dłużej zawracał głowy, signumie, lepiej, byś zdobywał przyjemniejsze doświadczenia do zachowania ich w pamięci. Przypuszczam, że wielu będzie chciało ci pogratulować. – Spojrzał ponad moim ramieniem. – A niektórzy już za chwilę.

W morzu ludzi płynęła legatka Vashta otoczona funkcjonariuszami tak wysokiej rangi, że na ich widok zacząłem sztywnieć, zmieniając się w słup soli.

– Oto i on. – Vashta wskazała mnie ręką i uśmiechała się, choć samymi wargami. – Nasz dzielny signum Jurysu, który pomógł powstrzymać falę tych strasznych skażeń. Signumie Kolu, wielu chciałoby się dowiedzieć, jak dokonaliście tego cudu!

Elita funkcjonariuszy patrzyła na mnie wyczekująco, a ja z kolei poszukiwałem wzrokiem Uhada, który, jak się okazało, już odszedł.

* * *

Noc mijała, ociekając wilgocią przesyconego korzennymi woniami powietrza. Vashta obnosiła się ze mną jak z talizmanem, przedstawiając mnie różnym wysokim stopniem inżynierom i legionistom. Rozgłaszając moje osiągnięcia, wyraźnie chciała rozwiać obawy nagromadzone po zniszczeniu muru. Wszyscy kłaniali się nisko i dziękowali, oferowali błogosławieństwa i opiwino, ściskali dłoń i powtarzali, że moje zwycięstwo to dobry omen. Niełatwo było mi wysłuchiwać tych pochwał i w końcu zacząłem kłaniać się nisko, by nie mogli dostrzec sztucznego uśmiechu na mojej twarzy.

W pewnej chwili do Vashty podszedł legionista i szeptem przekazał wieści z murów. Dopiero wtedy podziękowała mi za przyście i pozwoliła odejść. Było już późno. Tłum wokół mnie już się przerzedzał, a latarnie przygasły. Wyczerpał mnie ten bankiet, a po wszystkich gratulacjach czułem się jak oszust. Już miałem opuścić dziedziniec, ale zatrzymałem się w drodze do wyjścia.

Przed wizerunkiem cesarza stał samotnie legionista, ten, którego czoło zostało ucałowane przez trzech duchownych. Z poważnym wyrazem na

twarzy umazanej ofiarną krwią, olejami i farbami, dźwigając na ramionach kolorowe szarfy i wstęgi, wpatrywał się w wychodzących.

Kiedy zwrócił na mnie oczy, rozpoznałem kapitana Stroviego.

Zesztywniał na mój widok. Wpatrywałem się w niego i chyba dopiero w tej chwili, widząc go bez tej otoczki dystynkcji i rang, zorientowałem się, w jaki sposób na mnie patrzy. I być może patrzył od samego początku.

Uśmiechnąłem się do niego, a on odwzajemnił mój uśmiech z wyraźną ulgą. Potem wskazał na siebie z miną „Patrz, co ze mnie zrobili”.

Roześmiałem się szczerze. Rzuciłem jeszcze okiem na wychodzących, odstawiłem opiwino i podszedłem do niego.

– Wiesz – zaczął zawstydzony – mówią nam wcześniej, jak się dać ubrać w te świętości, ale zapominają poinstruować, jak się tego pozbyć.

Krew na jego twarzy zaschła już i się łuszczyła, ale to nie odbierało mu urody.

– Nieźle wyglądasz, panie – powiedziałem.

– Wierzę.

– Wiesz w ogóle, po co to wszystko? – Wskazałem na swoją twarz. – No, jakiemu celowi służy każda z tych rzeczy ?

– Niektóre. Ale w większości... cóż, nawet nie znam nazw tych wszystkich kultów, które właśnie mnie pobłogosławiły. To zwariowane.

– Słyszałem, że masz strzelać z tej wielkiej bombardy?

– Ha, to jakby przypisać zabicie lewiatana jednemu żołnierzowi. Ale tak, należę do oddziału, który będzie strzelał. Bo to potwornie skomplikowany proces.

– A więc niech ci cesarz błogosławi, a wszyscy bogowie ześlą na ciebie szczęście.

– Dziękuję ci. – Ukłonił się. – Ale przyznaję, że jestem tak samo zmęczony słuchaniem tego, jak ty prawdopodobnie jesteś zmęczony gratulacjami za rozwiązanie sprawy.

Nie zaprzeczyłem.

– Dobrze się bawisz? – zapytał.

– Nie – przyznałem po chwili zastanowienia.

– Nie? Wydawało mi się, że widziałem ze dwa tuziny wysokich funkcjonariuszy ściskających ci rękę. I chyba nawet ze trzech prefektów.

– Musiałeś mnie wobec tego pilnie obserwować, panie.

Skwitował to tylko uśmiechem.

– Czemu cię to wszystko nie cieszy?

– Te wszystkie gratulacje, uściski dłoni, jakbyśmy zwyciężyli. Ale to nieprawda. Wszystko się posypało, gdy byliśmy już blisko. I wielu odpowiedzialnych za śmierć tylu ludzi wciąż pozostaje na wolności. A wydaje się, że wszyscy są tego świadomi. Stary Uhad podszedł i rozmawiał ze mną o tym, jakbyśmy wymieniali uprzejmości przy obiedzie. A do tego wszystkiego ja mam dalej wykonywać swoje obowiązki i nie przejmować się tym.

Przyglądał mi się uważnie, jego twarz wyrażała współczucie.

– W Legionie każą nam zadawać sobie pytanie: „Czy mury nadal stoją? Czy Imperium nadal istnieje?”. I jeśli mogę odpowiedzieć twierdząco, to powinienem czuć się usatysfakcjonowany i uznać ten dzień za zwycięski. Myślę, że tak właśnie należy robić. W przeciwnym razie to cię zniszczy, Diniosie.

– Nie czuję satysfakcji, tylko... osamotnienie.

Ostatni funkcjonariusze zwlekali przy bramie, rozmawiając głośno, pijackim tonem.

– Nie musisz się czuć samotny.

Patrzyłem na niego długą chwilę, w milczeniu, a on znów spróbował się uśmiechnąć, lecz było w tym coś desperackiego. Wtedy uświadomiłem sobie, że cokolwiek mnie trapiło, troski Strowiego były o wiele większe. Zawstydzilem się na widok tego smutku na jego obliczu i zapragnąłem go zetrzeć, tak jak mógłbym zmyć te olejki i farby z jego czoła i policzków.

– W mojej komnacie jest misa i dzban z wodą – stwierdziłem. Zamrugął, zbity z tropu.

– Mógłbym pomóc ci to wszystko zmyć – wyjaśniłem. – Choć w niewielkiej części mógłbym spłacić dług, który zaciągnąłem u ciebie pod papiernią.

Ponownie zamrugął, tym razem zaskoczony.

– Och – wyrwało się mu.

Milczenie trwało i trwało, a ja nagle poczułem się śmiertelnie zażenowany, przekonany, że posunąłem się za daleko. Gdyby ziemia pękła teraz przede mną, bez wahania rzuciłbym się w przepaść, byle ukryć mój wstyd.

– Jesteś... pewien? – powiedział w końcu.

Z ulgą skinąłem głową, śmiejąc się cicho.

– Cóż, więc prowadź. I lepiej się pośpieszmy, zanim ktoś znowu cię zatrzyma, żeby uścisnąć ci dłoń...

Pijackie śmiechy ucichły, z ulicy dobiegł tupot butów, a po chwili na dziedziniec wmaszerowało kilku legionistów w hełmach, które połyskiwały,

gdy żołnierze rozglądali się, jakby czegoś szukając. Popatrzyłem na Stroviego, pewien, że to po niego przyszli.

– Och, co znowu. – Jęknął. – Co się stało?

Jeden z legionistów przyłożył dłoń do ust i zawołał:

– Signum Kol! Czy jest tu signum Kol?!

– Niech to szlag – zakląłem.

Strovi przymknął oczy i westchnął:

– Fakt. Szlag. Cholerny szlag.

– A więc innym razem? – rzuciłem pytająco.

– Jeśli los pozwoli, oczywiście.

Przeklinając w duchu cały ten dzień i cały ten wieczór, uniosłem rękę.

– Jestem. To ja.

Legioniści przytruchtali natychmiast.

– Musicie iść do wieży Apoteki, panie. Bezzwłocznie – wydyszał ich dowódca. – Twoja immunisa już tam na ciebie czeka.

– Ana Dolabra opuściła swoją kwaterę? – zdumiałem się. – Co się stało?

– Nie wiem. Chyba immunisa Nuis jest ranna. Nie reaguje. – Żołnierz dotknął hełmu. – Chyba otrzymała cios w głowę. Być może... nie żyje.

Spojrzałem zaalarmowany na Stroviego, który smętnie kiwnął mi głową na pożegnanie, a potem pobiegłem za legionistami.

Rozdział trzydziesty szósty

Wieża Apoteki roiała się od funkcjonariuszy. Legioniści torowali mi drogę, gdy wbiegałem po schodach, więc szybko znalazłem się w gabinecie Nuis. Tym razem w pomieszczeniu obstawionym zbiornikami, słojami, pełnym wijących się za szklanymi ściankami robaków unosił się miedziany odór krwi.

– Wejdz, wejdz, Din – dobiegł mnie z ciemności głos Any. – Musisz tu wszystko dla mnie obejrzeć.

Wziąwszy latarnię od jednego z legionistów, podszedłem bliżej. Ana z zawiązanymi oczami i pochyloną głową siedziała przed biurkiem Nuis, która tkwiła w swoim krześle po drugiej stronie. Głowa apotekarki leżała na blacie, a ręce spoczywały po obu stronach, jakby zmęczona pracą Nuis, postanowiła sobie uciąć drzemkę. U podstawy szyi lśniła ciemna, lustrzana kałuża krwi, z której krople spływały z krawędzi, kapiąc powoli kap-kap.

Twary Nuis nie widziałem, za co byłem wdzięczny losowi.

– Nie – wyszeptałem. – To... to nie może być prawda.

– Skup się, Din – przywołała mnie do porządku Ana. – Podstawa czaszki. Co widzisz?

Roztrzęsiony, obszedłem biurko. Niełatwo było odgarnąć gęste włosy, ale w końcu odkryłem tuż za uchem apotekarki niewielki, fioletowawy otwór, z którego wyciekała krew.

– Drgacz Hazów? – zapytałem. – On to zrobił?

– Czy rana wygląda identycznie jak u innych? A nie tylko podobnie? Bo jeśli tak, to wierzę, że to dzieło drgacza. Czy ma jakieś inne obrażenia?

– Nie, pani, żadnego nie widzę. Ale... po co drgacz miałby zabijać Nuis?

– Możesz sprawdzić, czy jej sejf jest zamknięty?

Sprawdziłem. Był.

– Tak, pani, jest zamknięty.

– Są na nim ślady krwi?

Przyjrzałem mu się, przyświecając sobie latarnią.

– Nie, pani, nie ma.

– Jakiś szczególny zapach?

Pochyliłem się, węsząc.

- Tak, pani. Ulotny. Chyba alkohol.
- Dobrze. Potwierdzimy to, gdy przybędą wężyciele...
- Wężyciele?

W tej chwili do gabinetu pewnym krokiem weszło troje apotekarzy. Natychmiast ich rozpoznałem. Princepsie Kitlan towarzyszyła dwójka wężycieli, którzy brali udział w poszukiwaniach Ditelusa.

Z niewzruszonymi minami popatrzyli na zwłoki, a potem ukłonili się Anie.

- Wzywałaś nas, pani?
- Owszem. To miejsce zbrodni, jak widać, princepsie, więc potrzebujemy waszych nosów. Być może uda się wam wychwycić i rozpoznać jakieś szczególne wonie w tym miejscu, jak również otworzyć sejf Nuisis. Zapewne jesteście w posiadaniu jakichś zaawansowanych substancji żrących...

– Tak, mamy takie. Używamy ich do niszczenia skażeń. Ale z radością zastosujemy je w tym wypadku. – Kitlan przywołała gestem jednego z wężycieli, który podszedł do sejfu i zsunął z ramienia plecak.

Obwąchał sejf i usiadł przed nim.

– Pachnie alkoholem, pani. Chyba zbożowym. Prawdopodobnie z zapasów immunisy. Ale... jest też woń krwi.

- Krwi? – upewniła się Ana.
- Tak, pani. – Wskazał Nuisis. – Jej krwi.
- Jesteś pewien?
- Tak. Jest jej tu wystarczająco dużo, by porównać zapachy. Są identyczne. Przypuszczam, że krew była na sejfie, a potem ją wyczyszczono alkoholem.

Ana złożyła palce w daszek.

– Rozumiem. Czy można zatem bezpiecznie powiedzieć, że zabójca manipulował lub dotykał sejfu po zabiciu Nuisis? Zakrwawionymi rękami? Prawdopodobnie nie została uśmiercona wcześniej, ponieważ w takim wypadku nie mogłaby otworzyć sejfu...

- To możliwe.
- No dobrze. W takim razie zajmijcie się drzwiami.

Kitlan wraz ze swoim człowiekiem ostrożnie nanieśli na zawiasy krople jakiegoś odczynnika. Robili to kilkukrotnie, po każdej aplikacji szarpiąc drzwiczki, aż w końcu rozległ się zgrzyt i drzwi odpadły.

– Teraz twoja kolej, Din. Spójrz do środka i przypomnij sobie wszystko. A teraz powiedz, czy czegoś tam brakuje?

Kucnąłem i przywołałem wspomnienia z ostatniego razu, gdy widziałem wnętrze sejfu. Były w nim wszczepy, dokumenty, a w rogu klucz reagentowy, który sam przyniosłem Nusi – mała fiolka osadzona w krążku z brązu. Wszystko wydawało się na miejscu.

– Klucz, Din. Jest w sejfie? – dopytywała Ana.

Popatrzyłem na klucz reagentowy, a potem poprosiłem apotekarza, żeby mi przyświecił.

– No i? – niecierpliwiła się Ana.

– Jakiś klucz jest.

– Ale?

Przyjrzałem mu się dokładniej.

– To chyba nie ten, który znalazłem w skrytce Aristan.

– Co?! – zdenerwowała się Ana.

– Mogę go bezpiecznie wziąć? – zapytałem wężyciela.

Zbliżył twarz do sejfu i przez moment pociągał nosem.

– Nie wyczułam zapachu żadnej pułapki wszczepowej – orzekł. – Tu woń krwi i alkoholu jest silniejsza, ale to wszystko.

– Czyli zabójca wyczyścił wnętrze sejfu alkoholem? – zapytała Ana.

– Na to wygląda, pani. Ale rzeczy można bezpiecznie przeglądać.

Wyjąłem klucz, uniosłem do latarni, a następnie obejrzałem z każdej strony.

– Jestem pewien, pani. To nie ten sam klucz. Krążek jest odbarwiony w tych miejscach. Brakuje kilku wgnieceń. Były cztery, jedno większe, trzy mniejsze. I waga się nie zgadza.

– Wszystko to zapamiętałeś? – zdumiał się wążacz.

– Chłopak jest mnemorytownikiem – parsknęła Kitlan. – To jego robota.

– Nie masz żadnych wątpliwości, Din? – upewniała się Ana.

Poczułem znajome trzepotanie i wyłowiłem ze wspomnień odpowiednie.

– Żadnych, pani. Jest podobny, ale to nie ten.

– Czy wobec tego możemy ustalić, do czego jest ten? – zapytała Ana.

Apotekarz wziął ode mnie klucz i obwąchał go dokładnie.

– Hm, to klucz reagentowy, pani. Czuję to. Wąchałem już takie. Ale nie wiem, jakiego rodzaju ani jakie przejście otwiera, choć... bardzo wyraźnie pachnie krwią, tak jak reszta. I też został wyczyszczony.

– Ale jesteś pewien, że to klucz reagentowy? Zwyczajny? I nic w nim nietypowego?

– Nic. To zwyczajny klucz reagentowy.

Ana zamilkła.

– Co się dzieje, pani? – zapytałem. – Dlaczego ktoś zabił Nuis?

– Zabierz mnie z powrotem do wieży Jurysu, Din. Szybko.

* * *

Miasto było pogrążone w ciemności, rozjaśnianej jedynie mdłym blaskiem księżyca oraz latarnią, którą niósł legionista idący nieco dalej przed nami.

– Jak myślisz, pani, co tam się stało? – zapytałem.

– Zło i szachrajstwo. Myślę, że drgacz przyszedł ukraść klucz reagentowy, który znalazłeś u Aristan, ale po zabójstwie Nuis z zaskoczeniem odkrył, że ten, którego szukał, został już skradziony, a na jego miejsce podrzuciono fałszywy. Ten, który wyjąłeś z sejfu.

– Co?! – wykrzyknąłem oszołomiony. – Myślisz, pani, że...

– Ciszej! – syknęła. – Stało się jasne, że w jaletach są szpiedzy. W tej sytuacji nie mogą poddać gry.

– Naprawdę uważasz, pani, że grasuje wśród nas jakiś złodziej?

– Tak. Ktoś musiał dowiedzieć się, co Nuis ma w sejfie, zakraść się, otworzyć sejf i zabrać to, zostawiając w jego miejsce inny klucz. Potem przyszedł ten drgacz, zmusił Nuis do otwarcia sejfu, a następnie ją zabił... ale gdy miał w ręce to, po co przyszedł, zorientował się, że to fałszywka. Ktoś go ubiegł. Wtedy pojął, że okradziono go z tego, czego szukał, i teraz obawia się, że odkryjemy, czym to było. Dlatego wszystko pozamykał i wytarł ślady alkoholem, licząc, że nie wpadniemy na to, co było na tyle ważne, by zabić biedną Nuis.

Usiłowałem poukładać sobie to wszystko w głowie, ale myśli krążyły zbyt szybko.

– Skąd pewność, że to nie drgacz podrzucił fałszywy klucz?

– Ponieważ po zabiciu Nuis zadał sobie trud wyczyszczenia sejfu zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. Jest metodyczny i ostrożny, zazwyczaj nie popełnia błędów wymagających usuwania śladów. Po co więc ktoś tak sprawny i bezbłędny miałby czyścić sejf po tym, jak już go okradł? Najprostszym wyjaśnieniem jest to, że nie zdobył tego, czego szukał, i chciał ukryć, że w ogóle tego szukał.

– Ale czemu Hazowie mieliby tak bardzo ryzykować dla tego klucza? I czemu jeszcze komuś innemu zależało na nim tak, że go ukradł?

– To zakłada, że oryginalny klucz znaleziony przez ciebie był kluczem. A teraz jestem pewna, że nim nie był. Było to coś innego, czego nawet Nuis nie mogła rozgryźć. Poprosiliśmy ją, by go zbadała, a żaden z jej testów w tym nie pomógł. A to dlatego, że to w ogóle nie był klucz.

– A co?

– Tajemniczy trzeci, o którym rozmawiała z kimś Fayazi! Coś niezwykle ważnego. Serce grzechu, który wisi nad tym kantonem, a być może nad całym Imperium. Zaprowadź mnie do Vashty, szybko. Już wiem, co muszę zrobić.

– Czyli co?

– Muszę jej powiedzieć, że ktoś będzie chciał zabić Fayazi Hazę.

* * *

– Zamach na życie Fayazi Hazy? – powiedziała legatka ze zgrozą. – Kolejny? Naprawdę?

– Obawiam się, że tak, pani – odrzekła Ana. – Istnieje trzeci zabójca i przewiduję, że uderzy w nocy. Jestem pewna, że ktoś dybie na jej życie.

Wstrząśnięta Vashta krążyła nerwowo po holu wieży Jurysu, a jej odznaczenia pobrzękiwały przy każdym kroku.

– Ktoś... Ten sam, który zabił Nuis?

– Tego jeszcze nie jestem pewna, pani. Ale myślę, że mogę go zidentyfikować. Ażeby to zrobić, muszę skonsultować się z panią Fayazi Hazą oraz jej rytownikiem, bowiem z pewnością przechowuje on wiele wspomnień, które mogą okazać się przydatne w naszych poszukiwaniach. Czy możemy rano wezwać ich do Jurysu? Im szybciej zadziałamy, tym większa szansa, że zdołamy zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Tak, immuniso Dolabro, oczywiście, mogę to zrobić. Ale moment jest wielce niedogodny. Nadciąga lewiatan i kanton lada moment pogrąży się w chaosie.

– A jednak to najdogodniejszy moment dla zabójcy – zauważyła Ana. – A jeśli Fayazi Haza zgodzi się przybyć, zalecam, by zapewniono jej najwyższą ochronę. Powinien pilnować jej tu każdy żołnierz, którego możesz oddelegować, pani, oraz oczywiście kapitan Miljin.

– Naturalnie. Ale czy możesz powiedzieć coś więcej? Kim jest ten morderca? I jakiego rodzaju jest to niebezpieczeństwo, które grozi Fayazi?

– Niestety nie jestem w stanie powiedzieć nic z całkowitą pewnością, pani. Ale moim zdaniem zeznania jej rytownika mogą rzucić na to światło. A teraz, za pani pozwoleniem, Din i ja musimy się przygotować do jutrzejszego przesłuchania.

– Tak, tak, idźcie.

Poprowadziłem Anę po schodach trzeszczącej, kołyszącej się na wietrze wieży.

– Chciałbym tylko zauważyć, pani – powiedziałem – że teraz zupełnie nie wiem, co się właściwie dzieje.

– Zastawimy pułapkę, Din. Przewiduję, że jedyne, co może teraz wyciągnąć Fayazi z domu, to informacja, że jej życie znajduje się w niebezpieczeństwie. I to właśnie powiedziałam legatce.

– Jak to, skłamałaś, pani?

– Owszem, tak. Ale nie w kwestii samego zagrożenia życia, bo takowe istnieje. Po prostu z innej strony, niż wszyscy się spodziewają.

– To w jakiej sprawie ją okłamałaś, pani?

– Cóż, po pierwsze w kwestii niewiedzy, kim jest trzeci zabójca dokonujący skażeń. Teraz już wiem również, jak zginęli inżynierowie. Wiem, czym w rzeczywistości jest klucz reagentowy... A także gdzie się obecnie znajduje. Trochę mi głupio, że ją tak oszukuję, ale cóż, ten kanton toczy taka korupcja, że jedno jej nieostrożne słowo mogłoby zrujnować mój plan.

Kiedy dotarliśmy pod drzwi, otworzyłem usta, żeby o coś zapytać, ale uniosła palec, nie pozwalając mi dojść do słowa.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, Din. Muszę przygotować moje kwatery na jutro, bo obawiam się, że to wszystko może jeszcze pójść nie tak. Ale posłuchaj, chłopcze... – Chwyciła mnie za ramię i mocno ścisnęła. – Teraz tam wejdę i gdy drzwi się za mną zamkną, nie możesz pod żadnym pozorem ich otworzyć, dopóki ci nie pozwolę, rozumiesz?

– Nie... Nie rozumiem, pani – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Dlaczego?

– A rozumiesz, dziecko, że nie wolno otworzyć ci tych drzwi, póki nie powiem, że możesz? Tak? – wysyczała. – Więc rób, jak ci każę. Gdybym ci powiedziała dlaczego, z pewnością chciałbyś mnie powstrzymać, a to naraziłoby na szwank życie wielu osób.

– Jestem twoim rytownikiem, pani – uniosłem się oburzeniem. – Czy nie powinienem znać twych planów?

– Masz rację, jesteś moim rytownikiem. Jesteś przy mnie, by patrzeć i widzieć. A więc bądź jutro rano na dole w holu, gotów patrzeć i widzieć! I weź ze sobą miecz. Jeśli bowiem moje przypuszczenia się potwierdzą, zdemaskujemy mordercę i ujawnimy znacznie większą prawdę. Tudzież wszyscy skończymy z podejrzniętymi gardłami... – Uśmiechnęła się szeroko. – Śpij dobrze, chłopcze. O ile zdołasz zasnąć.

Po tym zamknęła drzwi.

Rozdział trzydziesty siódmy

Świtało, kiedy stojąc przed salą arbitrażową, usłyszałem pierwsze kroki przy wejściu do wieży. Podniosłem głowę, kładąc rękę na rękojeści miecza, ale ulżyło mi na widok kapitana Miljina. Stary wiarus szedł ciężkim krokiem, a u jego boku kołysała się długa pochwa.

Przywitał mnie skinieniem głowy, a jego wzrok ześlizgnął się na moją dłoń, która zwlekała z odsunięciem się od broni.

– Nerwowo jesteś, Kol – zauważył. – Co się dzieje? Dostałem wezwanie od Dolabry, żeby się tu stawić. Myślałem, że chodzi o biedną Nuis, ale... ponoć chodzi o zamach na Fayazi Haze? – Zamierzony zamach – sprecyzowałem. – Ana jest co do tego pewna. Wkrótce przybędzie do Jurysu Fayazi Haza, by można ją było w tej sprawie przepytać.

– Ale Any jeszcze nie ma? – zauważył, spoglądając na schody.

– Nie, jeszcze nie zeszła. A uprzedzając pytanie, panie, nie, nie zdradziła mi swojego planu. Nie mam pojęcia, co knuje.

Parsknął.

– No, może dzisiaj w końcu się dowiemy, co się jej tam kłębi w głowie od jakiegoś czasu. – Spojrzał w stronę wejścia, gdzie pojawiło się sześciu legionistów. – Że też akurat to wszystko musiało się stać, gdy nadciąga lewiatan. Obyśmy wszyscy to przetrwali.

Weszliśmy do sali arbitrażowej. Legioniści zajęli pozycje przy drzwiach i oknach. Po jakimś czasie dobiegł nas turkot powozu, a niedługo później do sali weszła Vashta, a tuż za nią Fayazi Haza, znów odziana w swoje srebrzyste szaty i delikatny welon, w towarzystwie rytownika i aksjomki. Fayazi robiła wrażenie prawie tak samo przerażonej jak wtedy, gdy patrzyła ze szczytu schodów na wywożący mnie z jej posiadłości powóz. Jej Sublimowie jak zawsze mieli całkiem nieprzeniknione miny.

– Gdzie Dolabra? – zapytała Vashta. – Myślałam, że będzie na nas czekała!

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale wtedy usłyszałem trzask zamykanych gdzieś w głębi wieży drzwi, a potem ostrożne, drobne kroki. Ukłoniłem się, przeprosiłem i wyszedłem naprzeciw Anie, która z zawiązanymi oczami powoli schodziła po schodach, jedną dłonią sunąc po ścianie.

– Są już wszyscy, Din? – zapytała cicho, podchodząc do mnie. – Vashta, Fayazi oraz jej dwójka Sublimów?

– Tak, pani.

– Jak wyglądają?

– Na wstrząśniętych.

– Świetnie. – Uśmiechnęła się. – A więc wstrząśnijmy nimi jeszcze bardziej.

Wzięła mnie pod rękę, a ja przed wejściem do sali zerknąłem jeszcze w górę krętych schodów, ciekaw, co takiego robiła w swoim pokoju i dlaczego zakazała mi doń wchodzić.

Legioniści zamknęli za nami i zaryglowali drzwi. Przyjrzałem się ich rozstawieniu: dwóch żołnierzy po bokach Fayazi, po jednym przy każdym z dwóch okien i dwóch przy wejściu. Fayazi siedziała przy ławie oskarżyciela, z aksjomką po lewej i rytownikiem po prawej stronie. Vashta zajęła swoje zwykłe miejsce przy wysokim stole, a Miljin rozparł się na ławce za Fayazi, wspierając dłoń na mieczu. Poprowadziłem Anę do pierwszego rzędu ławek naprzeciwko Fayazi, która śledziła jej ruchy spod przymrużonych powiek.

– A więc przybyliśmy tu zgodnie z twoją prośbą, Dolabro... Twierdzisz, że moje życie znów znajduje się w niebezpieczeństwie, czy tak?

– Takie wnioski wypływają z dochodzenia – rzekła Ana. – I dziękuję, że przybyłaś, by je omówić.

– Myślałam, że Jolgalgan nie żyje. Jak również jej trzaskacz. Takie wieści do mnie dotarły.

– Owszem, tak jest. Jednak obawiam się, że spisek przeciwko tobie sięga głębiej. Zeszłej nocy w swoim gabinecie została zamordowana immunisa Apoteki, a więc zagrożenie nie minęło.

– Immunisa Dolabra pragnie zadać kilka pytań tobie i twoim ludziom, aby zidentyfikować to zagrożenie – wyjaśniła Fayazi legatka. – To jedynie środki ostrożności.

– Zanim jednak zadam jakiekolwiek pytania – włączyła się Ana – chciałabym przeanalizować wszystko, co dotąd wiemy o okolicznościach tej sprawy. O tym, gdzie byli i co robili Jolgalgan, twój ojciec, Kaygi Haza, a nawet prefekt Blas, ponieważ w ostatnich dniach odkryłam wiele nowych faktów. Dopiero gdy ustalimy charakter tych zbrodni, wyjaśnimy, co ci grozi, pani. Czy to byłoby do zaakceptowania?

Fayazi zerknęła na swych Sublimów, którzy skinęli głowami.

- Niech będzie – zgodziła się Fayazi.
- Doskonale – uśmiechnęła się Ana. – A więc zaczynajmy.

* * *

– Nie będę zawracać wam głowy ponownym omawianiem śmierci prefekta Blasa. Rozwiązałam tę sprawę tygodnie temu i wiemy, iż zamordowała go kapitan Apoteki Kiz Jolgalgan, która również zginęła. Przejdę od razu do dnia przyjęcia w rezydencji Hazów, bowiem to dla nas najważniejszy moment. Czy tak może być?

Fayazi ponownie skonsultowała się niemo z Sublimami, którzy wzruszyli ramionami.

– Nie widzimy w tym problemu – odpowiedziała.

– Bardzo dobrze! – Ana wstała i splotła ręce za plecami. – W tym czasie Jolgalgan przebywała już na terenie posiadłości. Trzaskacz Ditelus dźwignął wrota służby, umożliwiając jej prześlizgnięcie się pod nią, a następnie kapitan wygrzebała i ukryła się w płytkim dole kilkadziesiąt spanów od tylnego tarasu domu. Miała przy sobie plamiszklankę i zamierzała jej użyć. Gdy w końcu doczekała się rozpoczęcia przyjęcia, wyszła z kryjówki, zamaskowała ją na powrót i przez nikogo niezauważona wmieszała się w tłum. I w tym miejscu natykamy się na pierwszą niezwykłą rzecz dotyczącą Jolgalgan, a mianowicie to, że kapitan była już bardzo dobrze zaznajomiona z tymi terenami oraz rozkładem domu. Albowiem bywała tam wcześniej. I to wiele razy. – Jolgalgan? – prychnęła Fayazi. – W naszym domu? To niemożliwe...

– Obawiam się, że jak najbardziej możliwe. Wierzę, że o tym nie wiedziałas, pani, ale twój ojciec, nie jako jedyny, praktykował powszechną instytucję patronatu, polegającą na wybieraniu i wspieraniu kariery kluczowych funkcjonariuszy jaletów. – Fayazi otworzyła usta, by zaprotestować, ale Ana nie dała jej dojść do słowa. – To oczywiście nie jest niezgodne z prawem. Nie istnieją przepisy, które by wprost tego zabraniały. Jak wspomniałam, to bardzo powszechne, szczególnie tutaj, w Talagray. Spodziewam się, że nawet legatka nieraz spotkała się z uprzejmym zainteresowaniem ze strony ziemiaństwa...

– Owszem, dawniej, ale od wielu lat już nie – oświadczyła Vashta lodo-wato.

– Oczywiście. – Ana ukloniła się w jej stronę. – Kaygi Haza podobny jest pod tym względem do wielu właścicieli ziemskich. Miał niewielkie grono funkcjonariuszy, z którymi się spotykał, których wspierał i którym od czasu do czasu wręczał podarki. I do tego właśnie grona należała również Jolgalgan. Bo skąd inaczej mogłaby wiedzieć o jego łaźni? Jak inaczej tak swobodnie poruszałyby się po korytarzach dla służby i skąd wiedziałyby, które drzwi otworzyć? Odpowiedź jest prosta: Kaygi Haza sam ją tam przyprowadzał, zapewne wielokrotnie, jako znajomą. – Ospałym gestem zaakcentowała swoją wypowiedź. – W rezydencji Jolgalgan wykorzystała znajomość topografii oraz wzmocniony wzrok, by przejść bez lampy po korytarzach dla służby, aż na dach. Tam dokończyła swego zabójczego dzieła, wrzucając płamiszklanę do zbiornika z wodą nad łaźnią parową. Po wypełnieniu zadania Jolgalgan ponownie wmieszała się w tłum i opuściła przyjęcie razem z resztą gości. Kaygi Haza po przyjęciu zażył kąpieli w łaźni parowej i wtedy, niestety, został wystawiony na działanie skażenia, które zabiło go jeszcze przed świtem. Ale! To jeszcze nie koniec historii. Kaygi Haza miał bowiem tej nocy jeszcze jedno spotkanie, w ścisłym gronie. Prywatne przyjęcie dla funkcjonariuszy, których brał pod swoje skrzydła, tej samej grupy, do której należała niegdyś Jolgalgan. To elitarne grono to: princepsa Atha Lapfir, signuma Misik Jilki, princeps Keste Pisak, kapitan Atos Koris, kapitan Kilem Terez, princeps Donelek Sandik, princeps Kise Sira, princeps Alaus Vanduo, signum Suo Akmuo oraz signuma Ginklas Loveh – wyliczyła Ana. – Dziesięcioro nieżyjących inżynierów. Wszyscy oni przybyli do rezydencji Hazów, aby zakosztować... rozkoszy dostępnych w tym domu. A dom Hazów oferuje, oczywiście, niezrównane rozkosze.

Twarz Fayazi stężała, a liliowe oczy strzeliły ku mnie, zanim znów spoczęły na Anie. Widać było, że chciałyby zaprotestować, ale powstrzymała się, zapewne w obawie, że Ana mogłaby pociągnąć ten temat, a Hazównie nie w smak byłoby ujawnianie przed legatką, że jej ród posiada bardzo nielegalne kurtyzany.

– To fascynująca opowieść – skwitowała. – Ale nadal nie wspomniałaś nic o tym domniemanym niebezpieczeństwie. Jak również nie wyjaśniłaś, w jaki sposób ulegli skażeniu także ci inżynierowie, nawet jeśli przebywali w moim domu, ani jak cokolwiek z tego mogłoby grozić mnie.

– Świetnie, że o to pytasz – odparła z uśmiechem Ana. – Również i mnie przez jakiś czas nurtowało to pytanie. Aż w końcu pojęłam, jak to się

odbyło. Wiedzieliśmy, że skażenie inżynierów przebiegało inaczej niż w wypadku Kaygi Hazy i prefekta Blasa, ponieważ umierali później, w różnych odstępach czasu i różniły się również miejsca wykwitów na ich ciałach. To sugerowało, że zostali skażeni na inne sposoby. Din – zwróciła ku mnie twarz – miał przed sobą odpowiedź, tyle że o tym nie wiedział.

Wszyscy spojrzeli na mnie, a ja zmarszczyłem brwi, bo nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

– Czy dobrze pamiętam, pani – zwróciła się Ana do Fayazi – że twój ojciec posiadał wysadzaną klejnotami amforę, z której nalewał sobie opiwino?

– Owszem – przyznała Fayazi niechętnie. – Nawet niejedną.

– Ach tak. Ale lubił często raczyć się opiwinem, czyż nie? Szczególnie podczas kąpieli...

Wtedy jakby błyskawica prześlizgnęła się przez moje kości, a na wierzch umysłu wypłynęło wspomnienie: kamienna półka w łaźni, a na niej wiele wyblakłych czerwonych pierścieni po wielu stojących tam niegdyś kielichach z trunkiem.

– No... tak – przytaknęła Fayazi.

– Tak właśnie myślałam. A więc tej tragicznej nocy, Kaygi Haza zażywał kąpieli, racząc się opiwinem z ulubionej amfory, a w przesyconym parą powietrzu unosiły się zarodniki płamiszklanki. Dzban, z którego nalewał sobie opiwina, stał otwarty, a jego zawartość, wystawiona na działanie pary, została skażona. Z tej samej amfory, później, na elitarnym spotkaniu Kaygi Hazy z wybranymi inżynierami, nalewano trunek wszystkim tym młodym ludziom, którzy przyszli rozkoszować się uciechami ziemiańskiego domu. Tak więc pili. Pili, nieświadomi, że zawartość ich kielichów zatruta jest śmiercią. Śmiercią nieuchronną, bolesną i straszliwą.

* * *

W sali arbitrażowej zapadła gęsta od zgrozy cisza.

– Naprawdę? – przerwała ją legatka. – Naprawdę myślisz, pani, że to w ten sposób zaczęła się cała ta tragedia?

– Jestem tego prawie pewna – przytaknęła Ana. – To wyjaśnia, dlaczego skażenie potrzebowało tyle czasu, by... jak to się nazywa? Zakwitnąć. Inżynierowie prawdopodobnie przyjęli je w mniejszej ilości niż pan domu, a ci, którzy pili opiwina najwięcej, umarli najszybciej. Jednak żaden z nich

nie siedział i nie nasiąkał zarodnikami, nie wdychał ich, jak w przypadku gospodarza. Podejrzewam też, że zarodniki skuteczniej działają w płucach niż w żołądku. Mimo to ostatecznie, odniosły skutek. I cała dziesiątka zmarła.

Fayazi spojrzała na swoich Sublimów, którzy patrzyli na nią oniemiałymi. Ana pozwalała pęcznić ciszy, czekając na idealny moment, by ją przebić.

– I gdyby wszystko potoczyło się tylko odrobinę inaczej – rzekła wreszcie – zaledwie odrobinę inaczej, mielibyśmy po prostu dziesięciu martwych inżynierów i tyle. Tragedię, jak najbardziej, ale nie katastrofę. Niestety dwoje z tych inżynierów pechowo pracowało przy belce nośnej w murach, kwit plamiszklanki nastąpił w pechowym momencie i... nastąpił zawał, w wyniku którego powstał wyłom i zginęła masa ludzi. – Zawiesiła głos. – To zaiste niefortunny splot okoliczności, nieprawdaż, pani Hazo?

– To znaczy?

– To niefortunne, że odizolowałaś, pani, rezydencję po śmierci ojca i spaliłaś jego zwłoki, zamiast zawiadomić Apotekę o skażeniu. Gdybyś wszczęła alert, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Temperatura w sali uległa zmianie.

Obserwowałem Vashtë, na której obliczu z wolna kwitło zrozumienie, że siedząca przed nią bogaczka, jaka by nie była potężna, dopuściła się intrygi, w wyniku której doszło do zawalenia się fragmentu muru. Widziałem również odbicie tej samej świadomości w postawie Fayazi, sztywnieniu jej pleców, gdy docierało do niej, że legatka kantonu zaczyna wierzyć, że to jej czyny doprowadziły do wyłomu, stawiając Imperium w obliczu katastrofy.

– Ja... – zająknęła się Fayazi. – Myślałam, że to ma być przesłuchanie... w sprawie planowanego zamachu na mnie?

– Do tego zmierzam – rzekła Ana. – Ale aby to wyjaśnić, muszę najpierw przybliżyć niezwykle metodę zamordowania Jolgalgan, która, jak sądzę, zaintrygowała nas wszystkich. Po co w ogóle trudzić się manipulowaniem plamiszklanką? Po co wykorzystywać to samo skażenie, którego ofiarą padł jej kanton, jej dom rodzinny? Ostatecznie skaza plamiszklanki jest trudnym, kapryśnym i, jak widać, wysoce niebezpiecznym narzędziem mordu. Zdawało się, że to symboliczny wybór, który wskazywałby na motyw osobisty, na zemstę. Ale coś w tym się nie kleiło, w każdym razie dopóki nie porozmawialiśmy o tym, co stało się w Oypacie z nieżyjącą już immunisą Nuisis, która osobiście służyła tam w czasie zagłady kantonu. Nuisis opowiedziała nam niezwykle ciekawą historię. Otóż okazuje się, że

Apoteka stworzyła skuteczny wszczep przeciwko plamiszklance, innymi słowy lek, jednakże ostatecznie nie trafił on do produkcji na wielką skalę. A stało się tak dlatego, że gdy chcieli go wdrożyć, zbyt wiele kantonów złożyło protesty dotyczące produkcji nowych reagentów, a gdy zostały już rozpatrzone, skażenie rozprzestrzeniło się za bardzo i los Oypatu był przesądzony. Nuis przypomniła sobie, że szczególnie cztery kantony skutecznie utrudniały plan ratunku Oypatu, a były nimi Juldiz, Bekinis, Qabirga oraz Mitral.

Srebrzysty welon Fayazji falował mocno, co oznaczało przyśpieszony oddech.

– Dumałam nad znaczeniem tego wszystkiego – ciągnęła Ana. – Co łączy te elementy? Pieniądze, Kaygiego Haze, prefekta Blasa, zabitych przez Oypatów z pomocą tego samego skażenia, które zabiło Oypat, z tymi czterema kantonami, tak zaciekle blokującymi działania ratunkowe Apoteki? A potem zadałam sobie pytanie: co, jeśli to wszystko miało miejsce już wcześniej?

– Wcześniej? – przerwała jej Vashta. – Jak to: wcześniej?

– Cóż, ostatecznie Kaygi Haza był bardzo starym człowiekiem. Z tego, co pamiętam, w chwili śmierci miał około stu trzydziestu lat. Można śmiało założyć, że za życia, hm, jak by to nazwać... wypatronował kilka grup podobnych do tej, jaką tworzyli zmarli inżynierowie. Kilka pokoleń funkcjonariuszy różnych jaletów, którzy przy jego wsparciu otrzymali różne wysokie stanowiska w całym Imperium. Zostali na nich posadzeni, by doradzać, informować, wyświadczać przysługi, gdy zajdzie potrzeba. A co, jeśli prefekt Blas był jednym z takich podopiecznych skupionych pod patronatem Kaygiego? A inni z jego grupy otrzymali stołki w różnych miejscach, może w Juldiz, Bekinisie, Qabirdze i Mitralu? – Ana uśmiechnęła się drażnie. – A jeśli jedenaście lat temu Haza zażądał wielkiej przysługi od Blasa i jego kompanów?

Rytownik zerwał się na równe nogi.

– To niedorzeczne oszczerstwa! – zawołał. – Przybyliśmy tu z powodu zagrożenia życia, a nie by oczerniano nas w tak podły sposób! Legatko, nie dopuszczę, aby...

– Nie. – Vashta powiedziała jedno słowo, zimne, twarde i ostre jak cios lodowego ostrza, które sprawiło, że rytownik zamilkł, wpatrując się w nią oszołomiony.

Gdy się otrząsnął, spojrzał na Fayazi.

– Pani, to... to zniesławienie... ja...

Fayazi jakby wyrwała się ze stuporu i przypomniała sobie, kim jest.

– Chyba się przesłyszałam, legatko – rzuciła urażona. – Co powiedziałaś do moich ludzi?

– Nie – powtórzyła Vashta. – Powiedziałam „nie”. Słucham. I jeszcze nie skończyłam słuchać. A zatem usiadźmy i nie przeszkadzajmy.

Rytownik zawahał się na moment, potem spojrzał na aksjomkę, która obserwowała Anę swoimi zimnymi, szpilkowatymi oczami.

– Należymy do rodu Hazów – powiedziała. – I nikt nie będzie nas tak traktował.

Vashta pochyliła się nad stołem.

– A ja jestem seneszalką Talagray – odpowiedziała. – W moich rękach spoczywa serce Imperium, którego wasz klan jest tylko częścią. I jeśli pragniecie kiedyś powrócić na łono tegoż klanu, zamilkniecie. Natychmiast.

Dojrzałem poprzez welon, że Fayazi otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie, zasznurowała wargi i gestem nakazała rytownikowi usiąść.

Rozeźlona Vashta zwróciła się do Any.

– Kontynuuj, Dolabro.

Ana odchrząknęła, próbując ukryć uśmieszek satysfakcji, i podjęła:

– To właśnie ta mglista myśl zakradła się do mojego umysłu, że jedenaście lat temu, podczas kryzysu w Oypacie, Kaygi Haza i Taqtasa Blas dowiedzieli się o leku na plamiszklanę. A potem Blas, doskonale zaznajomiony z Komitetami Ochrony Środowiska w całym Imperium, nakłonił swych przyjaciół i sojuszników do cichego zablokowania użycia antidotum. To było jedyne wytłumaczenie powiązań między Kaygim Hazą a Blasem. Wyjaśniało również, dlaczego Oypatczycy, czyli Jolgalgan i Ditelus, mogli pragnąć tak specyficznej, symbolicznej śmierci dla tych dwóch ludzi. Wyjaśniało także, dlaczego sekretarka Blasa podróżowała między tamtymi czterema kantonami, przewożąc prawdziwą fortunę. Opłacała współników, kupując ich milczenie. A także tłumaczyło, dlaczego Kaygi Haza zaraz po śmierci prefekta Blasa wysłał jastrzębie skrybne do tych czterech kantonów. Ostrzegał swoich ludzi. Jeden członek ich kliku został zamordowany w sposób sugerujący, że zabójca wiedział o występku, którego się dopuścili. W korespondencji przekazywał pozostałym, że ich tajemnica wyszła na jaw, a zabójca może wkrótce przyjść również po nich. Pozostawało pytanie, po co w ogóle Blas i Haza mieliby zrobić coś takiego? Dlaczego mieliby

celowo dopuścić do zniszczenia całego kantonu? Co mogli zyskać na takiej katastrofie? I wtedy przypomniałam sobie, że Hazowie czerpią bogactwo z jednej konkretnej działalności: upraw. Ich majątek opiera się na ziemi.

– Ziemi? – powtórzyła cicho Vashta.

– Tak, pani, ziemi. Ziemi i tego, co na niej rośnie. Uprawy, produkcja reagentów, wszystkie plony i surowce rosną na ich polach. To one są źródłem ich pieniędzy i władzy. – Ana pociągnęła nosem. – A więc co by się stało z wartością ich ziem, gdyby nagle zniknął ogromny obszar żyznych gruntów, które do nich nie należały?

Gubiłem się w tych zawikłaniach, kręciło mi się od nich w głowie. Choć i podejrzewałem Hazów o wiele ciemnych sprawek i morderczych uczynków, nie przyszło mi do głowy, że przyłożenie ręki do czegoś tak okropnego mogło być motywowane czymś tak prostym, tak trywialnym i tak pożałowania godnym.

– Zrobili to wszystko dla pieniędzy?! – wyrwało mi się. – Dla pieniędzy, pani?

– Milcz, Din – warknęła na mnie Ana. – Miałeś obserwować, nie kłapać paszczą.

– Tak, ale ja jednak przyłączę się do tego, co powiedział chłopak – rzekła Vashta. – Twierdzisz, że Hazowie dopuścili się czegoś tak niewyobrażalnie ohydneho i okrutnego z powodu spekulacji gruntami? Aby zyskać trochę pieniędzy?

– Nie trochę, pani. Bardzo dużo. W zasadzie niewyobrażalną ilość. Wyeliminowanie upraw w Oypacie pozwoliło Hazom renegocjować niezliczone kontrakty z Imperium, co gwałtownie zwiększyło ich bogactwo i wpływy, do tego stopnia, że ich majątek zaczął zbliżać się do cesarskiego. Nie było we współczesnych czasach większej afery spekulacyjnej na gruntach. Ale jeśli pragniesz twardych liczb, pani – dodała, uśmiechając się obląkańczo – gorąco polecam „Zestawienie transferów dóbr ziemskich, Kanton Qabirga, w latach 1100–1120”. Między innymi. Wszystko jest tam spisane, od początku do końca, dostępne dla wszystkich. I to naprawdę fascynująca lektura.

– W kwestii spekulacji! – krzyknął rytownik – To tylko teorie i fantazje! Nie mieliśmy nic wspólnego z Oypatem ani ze wzrostem wartości naszych ziem! Wciąż nie usłyszałem o żadnych dowodach na ten wielki spisek poza brakiem kilku naszych jastrzębi, które nasz pan wysłał przed swoją śmiercią! Nie macie żadnego twardego dowodu na jego powiązania z Blasem,

jakaś tam asystentką czy jakimikolwiek... jakimikolwiek nielegalnymi kwotami przekazanymi ludziom w tych kantonach!

– Och, ale ja mam dowody – oświadczyła Ana spokojnie.

Wszyscy obecni zamarli.

– C...co, proszę? – Pierwszy z osłupienia wyrwał się rytownik.

– Mam dowody. Posiadam bowiem próbkę leku na plamiszklanę, dokładnie ten wszczep, który apotekarze stworzyli wiele lat temu, by ocalić Oypat. Ten, który ukradliście.

* * *

Na sali zaległa cisza. Zbłąkany obłok przesunął się po niebie, pozwalając słońcu cisnąć promienną włóczęgą w nasze okno.

– Co, przepraszam, masz, Dolabro? – ożywiła się Vashta.

– No cóż, immunisa Nuis wspomniała, że te cztery protestujące kantony posiadały zaskakująco rozległą wiedzę na temat dopiero co stworzonego leku. Potem jednak dodała, że w zasadzie nie wiadomo, czy lek by zadziałał, ponieważ w trzech flakonikach z dwudziestu przygotowanych antidotum zamieniło się w wodę. A gdyby jednak tak się nie stało? Gdyby ktoś wykradł je, by je zbadać, podkładając w ich miejsce takie same, jednak wypełnione wodą? I dokładnie to zrobili Hazowie. Przekupili lub opłacili swoich ludzi, by ci wykradli lek, tak aby prefekt Blas i jego klika mogli zbadać próbkę, przeanalizować reagenty i znaleźć sposób na uniemożliwienie jego użycia. Rozwiązanie było prostsze, niż sobie wyobrażali. Dowiedzieli się, gdzie uprawia się odpowiednie reagenty, i zwrócili się do Komitetów Ochrony Środowiska. To zaiste ironia losu, bowiem Komitety Ochrony Środowiska istnieją po to, by chronić lud Imperium. A jednak w rękach bogatych i dobrze poinformowanych z łatwością można je było wykorzystać do niecznych celów. – Ana zwróciła się gwałtownie w stronę Fayazi i jej Sublimów. – Niestety w tym momencie sprawy wymknęły się spod kontroli, prawda? Albowiem jeśli współpracuje się ze skorumpowanymi ludźmi, ci z czasem spróbują to wykorzystać. W ten właśnie sposób postąpił prefekt Blas. Zatrzymał jeden z flakoników. Jeden z trzech. Ten trzeci.

Znów poczułem, jak przeszywa mnie błyskawica, i przypomniałem sobie podsłuchaną rozmowę i słowa Fayazi Hazy: Trzeci? Trzeci co? Co oni mają znaleźć? Czego szukają?

– Zrobił to, planując szantaż. Chciał zachować kartę przetargową, dzięki której miał pewność, że Hazowie go nigdy nie wyeliminują. Wykorzystywał ją do wymuszania na was kolejnych kwot, które wraz ze swoją asystentką przemyślał do współspiskowców w innych kantonach. I przez długi czas łatwiej było mu zapłacić, niż go zabić. Ale w końcu zginął, nie z waszego polecenia, lecz z ręki kapitan Kiz Jolgalgan, która odkryła zbrodnię, jakiej się dopuściliście. I nagle odnalezienie tej próbki stało się kluczowe, ponieważ gdyby ktokolwiek inny ją znalazł i pojął, czym jest naprawdę, mógłby dowieść, że to wy za tym staliście. – Ana odwróciła się do mnie z uśmiechem. – Ale cały wasz wysiłek włożony w poszukiwanie próbki poszedł na marne, bo to Din się na nią natknął i zabrał ją wam sprzed nosa. Ukrycie jej pod postacią klucza reagentowego było niezwykle sprytnym posunięciem.

Zrobiło mi się słabo i ujrzałem mroczki przed oczami, gdy przypomniałem sobie wyprawę do tego małego domku o dziwnie pustym wnętrzu, dotyk chłodnego metalowego krążka, chlupot płynu w fiolce, płynu, który, jak już wiedziałem, był kluczem do ocalenia setek istnień...

Jednak wiedziałem przecież, że ten niby klucz został nam skradziony. W jaką grę grała teraz Ana?

Znów obróciła się na pięcie w stronę Fayazi i wyciągnęła szyję, zbliżając w jej kierunku przewiazaną przepaską twarz.

– O większości z tego nie wiedziałaś, pani, prawda? – zapytała. – Nie, nie mogłaś wiedzieć. To dzieło twego ojca. Te intrygi, spiski, nie dopuszczał cię do nich. Ba, nie pozwalał ci nawet wejść do ptaszarni.

Aksjomka położyła dłoń na ramieniu swojej pani i zacisnęła mocno palce.

– Nie zamierzam się do tego odnosić – oświadczyła Fayazi.

– Gdy jednak twój ojciec został zamordowany, musiałaś przejąć jego interesy tutaj, w Talagray. Wysłałaś więc list do starszych klanu z prośbą o pokierowanie, a oni kazali ci spalić ciało, wszystkie dowody i zabronili udzielać jakichkolwiek informacji w obawie, że cokolwiek naprowadzi na związek twego ojca z Blasem, naprowadzi również na ślad zbrodni w Oypacie. Zrobiłaś tak, jak ci kazali, ale przy tym doprowadziłaś do powstania wyłomu. A śmierć tych wszystkich żołnierzy i inżynierów, którzy zginęli w zawale, obciąża twoje sumienie.

– Nie – wyszeptała Fayazi.

– A potem zrobiło się jeszcze bardziej niebezpiecznie. Ponieważ starsi klanu przysłali tu swego człowieka, prawda? Straszego, przerażającego człowieka od brudnej roboty, który miał posprzątać cały ten bałagan, którego narobiłaś.

Fayazi zadrżała, ale się nie odezwała.

– Przysłali drgacza. Musiałaś siedzieć i patrzeć, jak ten skrytobójca ruszył szukać asystentki Blasa, by się jej pozbyć, i jak zabił tego biedaka, papiernika, od którego kupiłaś panele na wymianę do łaźni. Zabił ich i zostawił, by zgnili. A potem zamordował Nuisis.

– O czym ty mówisz, Dolabro! – Vashta wyprostowała się, zaalarmowana.

– Zastanawiam się, ile ten człowiek zabił ludzi na zlecenie twego klanu. – Ana nie odpowiedziała legatce. – Dziesiątki? Setki? Zdawałaś sobie sprawę, że następna możesz być ty sama, nielicząca się, nieistotna, daleko w kolejce za innymi Hazami. Drgacz przybył do Talagray upewnić się, że nie wyjdiesz przed szereg... A jeśli ich działalność tutaj ległaby w gruzach, to ciebie zamierzali o wszystko obwinić i porzucić, byś zawisła. Kolejne schludne odcięcie wątku okropnej historyjki.

Fayazi drgnęła jak spoliczkowana.

– Na pewno chodziło ci to po głowie – szeptała Ana. – Na pewno podejrzewałaś, co planują. Ale może sama go zapytasz, tego ich drgacza, tutaj, teraz? A raczej ją?

– Co ty... Dolabro! O czym ty...!? – dukała Vasha.

Ana zwróciła twarz ku aksjomce, która wbiła w nią spojrzenie zimnych, ciemnych oczu.

– Ponieważ to ty, prawda? Nie jesteś aksjomką. Jesteś drgaczką. I to ty stanowisz zagrożenie dla życia Fayazi Hazy. I to ty zamordowałaś w nocy Nuisis.

* * *

I znów nikt przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Aksjomka uśmiechnęła się, a potem zaśmiała zimno.

– Jesteś szalona, kobieto! Ona jest obłąkana! Kompletnie obłąkana!

– Jaki jest pierwiastek kwadratowy z dwudziestu jeden tysięcy trzystu szesnastu? – zapytała Ana ostro.

– C-co? – zająknęła się aksjomka, wyraźnie zaskoczona. – Niby czemu...?

– Odpowiedź to sto czterdzieści sześć – odpowiedziała sobie sama Ana. – A ile wynosi dziewięćdziesiąt osiem do potęgi czwartej?

Tym razem Sublimka się nie odezwała.

– Odpowiedź to dziewięćdziesiąt dwa miliony dwieście trzydzieści sześć tysięcy osiemset szesnaście – rzuciła Ana. – A ile wynosi dziewięćdziesiąt dwa miliony dwieście trzydzieści sześć tysięcy osiemset szesnaście podzielone przez dwadzieścia jeden tysięcy trzysta szesnaście? Potrafisz to obliczyć?

– No? Potrafisz? – zapytała Vashta. – Czy nie? – Spojrzała na Fayazi. – Potrafi czy nie?

Fayazi zaczęła się trząść. Chłodne, martwe oczy aksjomki złodowaciały jeszcze bardziej.

– Wynik chyba wynosi coś ponad cztery tysiące trzysta dwadzieścia siedem – znów odpowiedziała Ana. – Ale nie jestem na sto procent pewna. – Wyszczrzyła się w uśmiechu. – Nosisz insygnia aksjoma, ale nie potrafisz liczyć, prawda? Potrzebowałeś wymówki, by nie spuszczać z oka Fayazi, podczas gdy Din prowadził poszukiwania w domu, aby przypilnować, że Hazówna czegoś nie chlapnie. No a przecież wielka dama nie rusza się nigdzie bez swoich Sublimów. Nie mogłaś udawać rytowniczki, bo jednego już miała, ale aksjomkę... cóż. Niby po co ktoś miałby zadawać Fayazi Hazi skomplikowane pytania matematyczne? Przeoczyłabym to, gdyby Din nie zadał kilku prostych pytań o liczby, a ty na żadne z nich nie odpowiedziałaś. Milczałaś. I to pobudziło moją ciekawość. – Ana przestała się uśmiechać. – To ty. Ty zabiłaś Aristan. I Subereka. I Nuis. Te morderstwa to twoja sprawka.

Fałszywa aksjomka milczała. Ana zaczęła się cofać, ale podniosła głos, by wszyscy w sali ją usłyszeli.

– Hazowie przysłali cię tutaj, żebyś posprzątała. Ale najważniejsza twoja misja polegała na odzyskaniu tego przeklętego klucza reagentowego, tego, który zawierał lekarstwo na plamiszklanę. Dowiedziałaś się od jednego z wielu umoczonych informatorów Kaygiego, że Nuis jest w posiadaniu klucza reagentowego, który znaleziono w kryjówce Rony Aristan. Od razu skojarzyłaś, czym jest naprawdę. Ale nadciąga lewiatan, a tobie kurczył się czas, więc wpadłaś w desperację. Poszłaś do jej gabinetu, zmusiłaś do otwarcia sejfu i ją zabiłaś, nie wiedząc, że zdążyliśmy już podmienić klu-

cze i że prawdziwy mam w skrzyni w moim pokoju. W tej wieży, dosłownie kilka pięter wyżej.

Zamrugalem, kompletnie skołowany, bo przecież to było niemożliwe. Ale Ana nie przestawała mówić.

– Masz jaja, że tu przyszedłeś. Nie byłem pewna, czy to zrobisz. Specjalnie unikałam wspominania o tobie, żeby nie wzbudzić w tobie podejrzeń i cię nie spłoszyć. Ale twoja lojalność wobec Hazów jest niezwykła. Powiedziano ci, byś pilnowała ich siostrzyczki, więc to właśnie robisz.

Fayazi trzęsała się już bez przerwy. Miljin wstał, dobywając miecza.

Zerwałem się na równe nogi i zrobiłem to samo. Legionistki i legionisci wokół nas uznali to za sygnał i również sięgnęli po broń.

Mroczne, zimne oczy drgaczki omiotły salę nieprawdopodobnie szybko, licząc nas i oceniając rozkład sił.

– Fayazi? Odsuń się! Teraz! – poleciła jej Ana.

Z gardłowym okrzykiem Fayazi Haza zerwała się z ławki, wyszarpnęła drgaczce i ruszyła biegiem przez salę. Przyłgnęła plecami do najdalszego kąta i patrzyła na drgaczkę, szlochając histerycznie.

Vashta szybko otrząsnęła się z pierwszego szoku.

– Miljin?

– Tak, pani? – Miljin uniósł swój zielonkawy miecz.

– Aresztuj tę osobę – rozkazała Vashta. – Spętaj jej ręce i nogi. Natychmiast.

– Kol! – wrzasnął do mnie Miljin. – Dawaj tu swoje kajdany!

Trzęsącymi się rękoma odpiąłem od pasa kajdany rytownicze i rzuciłem kapitanowi. Wraz z legionistami ruszyli na drgaczkę, która nadal siedziała na ławie, nieporuszona, z dłońmi na kolanach. Tylko jej oczy wodziły wokół, oceniając sytuację.

– Mamy nad tobą przewagę liczebną – powiedział do niej Miljin i wręczył okowy legionistce, sam trzymając przeciwniczkę na sztychu. – Jest nas zbyt wiele, nawet jak dla ciebie.

– Wiem – powiedziała cicho, podnosząc ręce.

– No i dobrze – stwierdził Miljin, nie przestając się do niej zbliżać. – Wyżej, wyżej. Ale powoli, powoli...

Poczułem trzepotanie za oczami i przypomniałem sobie, co mówił mi Miljin: Jak wpadniesz na drgacza, chłopcze, to ci żadne szkolenie nie pomoże... Nawet gdybyśmy ćwiczili całymi latami – stwierdził Miljin. – Stworzono ich tak, żeby byli niepokonani w walce. W każdym razie przez

jakąs minutę dziennie. Potem siła ich mięśni się wyczerpuje i muszą się regenerować...

Nagle dotarło do mnie, ile osób zabiła – Aristan, Subereka, biedną Nuisis... Możliwe, że również poprzedniego asystenta Any.

– Powoli – powtarzał Miljin. – Teraz wyciągnij ręce przed siebie.

Drgaczka wyprostowała ramiona ku Miljinowi, a ten skinął na legionistkę z kajdanami, która podeszła i zamknęła jedno z okowów na przegubie kobiety.

A potem wszyscy zastygliśmy, bo zza okna dobiegł nas dźwięk, początkowo cichy, niski, ale z wolna narastał.

Dzwony. Kilka, kilkanaście, a po chwili dziesiątki, setki dzwonów. Ich wysokie, przenikliwe łomotanie rozlewało się fala za falą, pogrążając miasto w ogłuszającej kakofonii.

– Dzwony alarmowe – wychrypiała Vashta. – Dzwony... Ale przecież nie było jeszcze...

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeliśmy w okna.

Przez chwilę widać było za nimi jedynie kłębiące się chmury, ale zaraz w oddali błysnęła zielona gwiazda, jedna, potem druga i kolejna. Jedna po drugiej zielone race wznosiły się ku niebu, ciągnąc za sobą ogony dymu, aż wkrótce cały horyzont zaroił się od migoczących, zielonych świateł.

– Zielone race – powiedziała Vashta cicho. – Lewiatan przybył.

W tej właśnie chwili drgaczka się poruszyła.

Rozdział trzydziesty ósmy

Nie dostrzegłem, co zrobiła drgaczka. Ruch był tak szybki, tak ledwie dostrzegalny, jak trzepot skrzydła ćmy w cieniu. Potem w jednej chwili rozległ się krzyk, a gdy się obróciłem, ujrzałem krew.

Legionista po lewej stronie drgaczki osuwał się na ziemię z rozplatanym gardłem, a drugi nagle zacharczał, zakaszał, na jego piersi rozlała się ciemna plama, a on sam opadł na kolana. Przez krwawą mgłę rozbryzgu widziałem ją, ciemną postać o zimnych oczach, z kajdanami rytownika wiszącymi z nadgarstka i sztyletem o ostrzu tak cienkim, że zdawało się ledwie pasmem czarnych włosów. Nawet nie wiedziałem, skąd wzięła tę broń, bo ruszała się zbyt szybko, by oko to zarejestrowało.

Miljin opuścił swoje zielonkawe ostrze na drgaczkę, a klinga przecięła formobluszczową podłogę, jakby zrobiono ją ze słomy. Ale drgaczki w tym miejscu już nie było. Odskoczyła w wirze szat niczym akrobatka. Błysk i następna legionistka padała, a z jej podziurawionego torsu sikała krew niczym z ozdobnej fontanny. Rytownik Fayazi zatkał dłońmi uszy i z histerycznym wrzaskiem rzucił się do ucieczki.

Pozostali legioniści przyskoczyli do drgaczki, chcąc ją okrążyć. Przystała na moment, strzelając wokół oczyma, licząc miecze.

– Otoczyć ją! – ryknął Miljin. – Osaczyć! Nie dać jej uciec!

Spojrzała na okno. Na horyzoncie wykwitły pióropusze zielonych flar. Dzwony tłukły się bez ustanku.

– Powalić ją! – krzyknął Miljin. – Szybko!

Ale drgaczka pochyliła się i śmignęła ku oknu, przemknęła między legionistami i wyskoczyła.

Oniemiali wpatrywaliśmy w pusty prostokąt okna.

– Gdzie ona jest?! – krzyknęła Vashta. – Gdzie, na lewiatana...

Przypadliśmy z Miljinem do parapetu i wychyliliśmy się, spoglądając w dół. Dziedziniec falował błękitem płaszczy jurystów, ale drgaczki nigdzie nie było widać.

– Gdzie ona jest? Rozpłynęła się w powietrzu?

– Nie. – Ana zaczęła się podnosić. – Sądzę, że skoczyła, a raczej wspięła się w górę wieży.

– W górę? – denerwowała się Vashta. – A po co miałyby to robić?

– Żeby dostać się do mojej kwatery – odparła Ana. – Zjawiała się tu po klucz reagentowy. A ja przed chwilą powiedziałam, że leży schowany u mnie w kufrze. Oczywiście skłamałam. Ale w zamian zostawiłam jej niespodziankę.

– Biegniemy na górę! – zerwała się Vashata. – Musimy ją złapać!

– Nie trzeba – powstrzymała ją Ana. – Lada moment zejdzie na dół. A potem umrze. Chodźmy do holu, poczekamy tam na nią. Choć może nie przetrwamy do końca tego dnia, to przynajmniej pocieszymy się, że źli ludzie również nie ujrzą jutrzejszego ranka.

Oszołomieni, ogłuszeni dzwonami, opuściliśmy salę arbitrażową z Miljinem dzierżącym obnażony miecz na czele. Fayazi Haza zaczęła płakać, że chce do domu, ale Vashata kazała ją pilnować jednemu z legionistów.

Nagle w górze nad nami rozległ się krzyk, a potem trzaśnięcie drzwi. Na schodach pojawiła się postać, która szlochając z wściekłości, chwiejnie zaczęła schodzić w dół.

– Co... – wyjąkała drgaczka. – Co mi zrobiłaś?!

Vashata, dobywszy miecza, stanęła w szeregu z Miljinem i legionistami. Ja z mieczem w dłoni stanąłem przed Aną. A potem rozbłysły kolejne race, wewnątrz wieży rozjaśniło się na zielono i w tym blasku zobaczyliśmy drgaczkę.

Zataczała się, a z jej nosa i ust buchała krew. Dławiła się nią, krztusiła, a fale czerwieni zalewały jej gors.

– Co... mi... zrobiłaś? – wydusiła.

Ja jednak już wiedziałem, co się stało. Byłem świadkiem czegoś podobnego, gdy z Miljinem złapaliśmy Ditelusa na Równinach Szlaku.

– Plamiszklanka – wyrwało mi się cicho.

– Tak – potwierdziła Ana. – Mówiłam ci, Din, o moich obawach, że ktoś spróbuje mnie zabić. Dlatego wyrwałam ci kilka włosów i na wszelki wypadek umieściłam je pod pokrywką imbryka. Wczoraj wieczorem, gdy byłeś na bankiecie, okazało się, że zniknęły, za to do ścianki czajniczka przyklejono maleńki listek. Kawalek plamiszklanki, oczywiście.

Drgaczka stoczyła się z ostatnich stopni, jej oczy też już krwawiły.

– Zeszłej nocy wymościłam kufer skórą, uszczelniając go – ciągnęła Ana – a rano wzięłam szczątek listka z imbryka i postawiłam na wolnym ogniu, a całość umieściłam w skrzyni, gdzie z wolna parowała. Była to drobinka dosłownie, ale dla drgacza wystarczy. Są bardzo podatni na skażenia...

Drgaczka, z twarzą zalaną krwią, uniosła wysoko swój sztylet.

– Ale ta jeszcze żyje i jeszcze jest groźna – dokończyła Ana.

– Już wcześniej chciałam cię zabić, suko – wykrztusiła skrytobójczyni, bryzgając krwią z ust. – Nie u...dało mi się, dorwałam tego twojego pomagiera.

– Tak ci się wydaje – prychnęła Ana. – No, ale i ty, i twoi panowie zawsze byliście głupcami.

Ciemne oczy drgaczki błysnęły.

– Tym razem cię zabiję... Ciebie i tego twojego... smarkacza. Na... Nawet, jeśli przy tym zginę...

Miljin z legionistami ustawili się w szereg, tworząc przed nami mur.

– Tylko spróbuj – syknął kapitan. – Spróbuj, a z radością wezmę odwet za Nusi...

Drgaczka skoczyła.

Myślałem, że plamiszklanka ją spowolni, ale się przeliczyłem, bo przesadziła przegrodę ostrych mieczy legionowych i wylądowawszy, runęła w naszą stronę.

Odepchnąłem Anę, zasłaniając ją sobą. Drgaczka gnała prosto na mnie. Uświadomiłem sobie jednak, że teraz dostrzegam jej poruszenia. To oznaczało, że jednak zwalniała. Zbyt długo korzystała ze swego wzmocnienia i jej siły się wyczerpywały.

Wyszedłem jej naprzeciw, analizując postawę, układ ramion, kąt przygięcia nadgarstka. Pchnęła, celując w mój brzuch, ale tego się spodziewałem, bo przy tego rodzaju orężu pchnięcie było jedyną opcją.

Poczułem trzepot powiek, a moje mięśnie, przebudziwszy się, pokierowały mną, poprzez szczególny ciąg gestów...

Wykonałem trik, którego nauczył mnie Miljin, jego tajny podstęp.

Zsunąłem ostrze po klindze sztyletu, związałem je przy rękojęści i przekręciłem w jej stronę, blokując w moim jelcu. Ujrzałem, jak jej zakrwawiona twarz się zmienia, z satysfakcji przeradza w niepokój. Poruszała się zbyt szybko, by zmienić kierunek.

Poczułem uderzenie, gdy nadziała się na mój sztych. Krzyknęła, a wtedy pchnąłem mocniej, przebijając się przez tkanki poniżej obojczyka, tnąc ścięgna, czyniąc jej rękę niezdatną do użytku.

Sztylet z brzękiem upadł na posadzkę.

– Ty mały sukinsynu! – wycharczała. – Ty mały...

Moje ciało znów zaczęło się poruszać.

Wyszarpnąłem z niej ostrze, a potem uniosłem i zamachnąłem się z całej mocy.

Nie był to elegancki cios, nie rozplątał jej gardła, jak zamierzałem, ale czubek rąbnął w skroń, strzaskał oczodół i wgryzł się w gałkę oczną. Patrzyłem, osłupiały ze zgrozy, jak galaretowa substancja wypływa, ściekając po jej policzku. Mrugnęła po raz ostatni ocalałym okiem i runęła na ziemię, pociągając ze sobą mój miecz i wyrrywając mi go z ręki.

Fayazi poddała się hysterii i zaczęła wrzeszczeć jak opętana. Dzwony waliły, tłukły się, wzywając wszystkich do ucieczki, do biegu, do paniki, do modlitwy. Vashta coś krzyczała, ale nic z tego do mnie nie docierało.

Przez tę mgłę w mózgu przebił się dopiero głos Any.

– To nie koniec! Cholera, Din, zakwit! Uciekaj! Uciekaj!

Miljin skoczył ku nam, dźwignął mnie i Anę, jakbyśmy byli szmacianymi lalkami, i zaczął taszczyć ku wyjściu.

A potem dobiegł mnie znajomy chrzęszcząco-rozdzierający dźwięk. Wykręciłem głowę i zobaczyłem, jak u nasady szyi drgaczki pęcznieje narośl, która pęka, a z niej w fontannie krwi wystrzeliwują zielone pędy. Wkrótce skrytobójczyni zniknęła, pochłonięta przez gmatwaninę liści.

– Na Sanktuarium – jęknęła Vashta. – Na święte Sanktuarium...

Rytownik usiłował uspokoić wydzierającą się Fayazi, ale bezskutecznie.

– Na przekłete skażenie tytana – mamrotał Miljin. – Na przekłete skażenie pierniczonego tytana...

Vashta zdołała oderwać wzrok od porozrywanego ciała zawieszonego w kępie zieleni.

– Jeśli twoja kwatera jest skażona, musimy ewakuować wieżę! – krzyknęła do Any.

– Zostawiłam otwarte okno, a spory szybko tracą żywotność – mówiła Ana spokojnie. – Do tej pory zdążyło się przewietrzyć i wszelkie zagrożenie powinno już...

– Milcz, Dolabro – przerwała jej legatka. – Na jaja lewiatana, kobieto, choć raz przestań gadać! Miljin, mam na głowie ewakuację całego miasta i będę potrzebować twojej pomocy. Ale na razie zabierz tego wrzeszczącego upiora do wieży Legionu! – Wskazała na Fayazi. – I zamknij ją tam porządnie! Reszta legionistów, za mną!

Vashta z żołnierzami popędzili w stronę miasta, gdzie dzwony wciąż biły, a ulice kipiały od tłumów próbujących uciec. Miljin chwycił Fayazi i jej rytownika, ale rzucił mi przez ramię:

– Zabierz Dolabrę do konwoju wozów! Natychmiast!

Nie otrząsnąłem się po wszystkim, co się wydarzyło, i nie kojarzyłem jeszcze.

– Kon...woju? – wybełkotałem.

– Tak! Trzeba się stąd zbierać! Na krew cesarza, zaraz wyląduje tu pieprzony lewiatan! Idźcie!

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Ewakuacja, o której wspomniała Vasha, okazała się katastroficznym chaosem.

Po wyjściu z wieży ujrzelśmy miasto pogrążone w zamęcie, ulice zakorkowane wozami, ładunkami, bydłem, ludźmi. Wszyscy usiłowali pchać się na zachód, walcząc o każdy fragment przestrzeni na drodze, przeklinając i przekrzykując bicie dzwonów, pytali, która ulica jest jeszcze przejezdna. Tylko wozy Jurysu prezentowały się w uporządkowany sposób, ustawione w szeregu pod Tryfekturą, pod łopoczącymi, czarnymi sztandarami Legionu, gotowe wywieźć wyższych stopniem funkcjonariuszy. Było jednak jasne, że ucieczka nimi jest niemożliwa, ponieważ nie miały którejś przejechać. Mieszkańcy nie zamierzali pozostać i dać się zaskoczyć kolejnemu wyłomowi.

Powinienem się bać, ale byłem zbyt odrętwiały, by czuć cokolwiek. Tępo wpatrywałem się w kłębiącą się tłuszcę.

– Mam wrażenie, pani – odezwałem się, gdy odzyskałem zdolność mowy – że nigdzie się stąd nie ruszymy. I niewiele możemy zrobić.

– Masz rację, Din – powiedziała cicho. – Spójrz jednak, to wszystko, czego dokonaliśmy i przeżyliśmy, to nic wobec tego, co dzieje się na murach.

– To co... zrobimy?

– Cóż, możemy tu zostać i łudzić się, że wydarzy się cud, ale... wydaje się, Din, że to strata takiej okazji. Nigdy nie widziałam żywego lewiatana... I bardzo chciałabym go ujrzeć. Albo żebyś ty zobaczył go dla mnie.

– Słucham... słucham? – zagapiłem się na nią bezmyślnie.

– To niesamowita szansa, Din. Jedyna taka w życiu. Gdyby udało się nam dotrzeć w odpowiednie miejsce, zdobyć lunetę od jakiegoś legionisty, będziemy mieli okazję nie tylko ujrzeć tytana u brzegów Imperium Khanum, ale być również świadkami chwili, w której okaże się, czy Imperium nadal będzie istnieć. Ilu mogłoby poszczycić się czymś takim! – Chwyciła mnie za ramię. – Chodź. Dowiedzmy się, czy przetrwamy ten dzień. A jeśli nie, to będziemy mieli aż nadto czasu, by pogodzić się z tym, kto nas stworzył.

* * *

Zdobyłem lunetę od jednego z legionistów i ruszyliśmy na wschód, w stronę dzielnic opuszczonych już przez uchodźców. Wdrapaliśmy się na wysoki wał ziemny, z którego rozciągał się widok na bezkresne, jasne, czyste niebo, przecięte w oddali cienką, czarną linią murów.

– Co widzisz? – wyszeptała Ana.

Przyłożyłem lunetę do oka.

Zobaczyłem mury, wysokie i czarne, otoczone ziemnymi fortyfikacjami. Jakby ktoś rozgrzebał cały krajobraz i zepchnął go, piętrząc, na brzeg morza. A na południu, rysowała się wąska, poszarpana wyrwa, otoczona gruzami i zwałami ziemi. Ale to było wszystko, co byłem w stanie dostrzec.

– Jeszcze go nie ma, pani.

– Hmm, najgorsze jest czekanie. Wiele razy gotowałam się na śmierć. Wczoraj, gdy zastawiałam moją pułapkę, dzisiaj rano, gdy wypełniałam skażeniem własny pokój. Może to mądre, każdego dnia być gotowym na śmierć, tak, jak Imperium każdej pory deszczowej gotuje się na koniec.

– Mogłaś mi powiedzieć, pani, o drgaczce.

– Mogłam – przyznała Ana. – Ale obawiałam się, że zechcesz zrobić coś rycerskiego i głupiego. Wolałam, by zajęli się nią legionieści. Wydawało mi się, że jest ich wystarczająco wielu. Gdyby tylko dzwony nie zaczęły bić, dając jej szansę na ucieczkę...

– A wtedy i tak musiałem zrobić coś rycerskiego i głupiego – zauważyłem.

– Tak. Utrzymanie cię przy życiu to niełatwe zadanie. Szkoda, że możemy dzisiaj zginąć, bo jesteś honorowym funkcjonariuszem, Diniosie Kolu. Cudownie byłoby nadal móc na tobie polegać w pracy. Razem mogliśmy dokonać wielu wspaniałych rzeczy.

Ze wschodu potoczył się grzmot. Huk bombardy.

Nasunęła mi się pewna myśl. Wcale nie przypadła mi do gustu, ale czułem, że powinienem pójść za jej podszeptem.

– Czy to dobry czas na chwilę prawdy, pani? – Przełknąłem z trudem ślinę.

– Pewnie tak. A skąd ci to przyszło do głowy?

Nie mogłem się zdobyć na wyznanie.

– Czy chciałbyś mi coś powiedzieć, Din?

– Tak, pani.

- A cóż by to mogło być?
- Chcę wyznać, że... że nie jestem honorowym funkcjonariuszem.
- To znaczy?

Zacisnąłem powieki.

– Nie powinienem być twoim asystentem, pani. Ponieważ... nie zdobyłem oceny na egzaminie w uczciwy sposób. Oszukiwałem.

W ciszy, która nastała, słysząc było wystrzały bombard.

– Nie zdałem żadnego testu jaletowego – powiedziałem. – Mam wielkie problemy z czytaniem i pisanem. Stanowisko przy tobie było ostatnim, na jakie mogłem liczyć. To dlatego nauczyłem się otwierać zamki, pani. Tylko z tego powodu. Potrzebowałem włamać się do Apoteki nocą, żeby ukraść kwestionariusze egzaminacyjne do Jurysu. Musiałem zdobyć wszystkie, bo nie wiedziałem, który dostanę. Gdy odczytałem je w taki sposób, w jaki zwykle to robię, znałem odpowiedzi, ale musiałem się nauczyć je pisać. Dlatego przez trzy dni ćwiczyłem pisanie liter, tworzenie z nich słów i zdań. Zapamiętując gesty. W ten sposób uzyskałem najwyższe noty. Mój nauczyciel wiedział o tym i wymierzył mi baty. Zasłużyłem na nie. I od tamtej pory codziennie czuję się jak oszust, bo... bo jestem oszustem i włamywaczem. Nie jestem honorowym funkcjonariuszem, pani. I bardzo żałuję, że cię oszukałem, pani. Jeśli przeżyjemy ten dzień, przyjmę każdą karę, jaką mi wymierzysz. Ponieważ jestem zmęczony ukrywaniem przed tobą, pani, mojej natury. Nie chcę już nosić w sobie tego grzechu.

Podniosłem powieki. Ana zwracała ku mnie przepasane oczy, a jej mina była po części rozbawiona, po części poirytowana.

– No, teraz dopiero zastanawiam się, czy powinienem być moim asystentem! – warknęła. – I to nie z powodu twojej nieszczerości, ale dlatego, że mogłeś pomyśleć, że jestem taką pierniczoną idiotką!

– Ja... nie rozumiem, pani.

– Jesteś śmieszny, chłopcze! Po prostu śmieszny! Jak mogłeś sądzić, że nie wiedziałam, że oszukiwałeś? Przecież wiedziałam o tym od samego początku!

– Ale... jak to? Naprawdę?

– Din! – uniosła się oburzeniem. – Czy to nie oczywiste? Przecież byłeś świadkiem, jak rozwiązuję znacznie bardziej złożone zagadki niż ta „jak to się stało, że ten chłopak, który dotychczas zawalał wszystkie egzaminy, naraz otrzymał najwyższe wyniki?”. Na skazę tytana! Przecież właśnie dlatego nie drążyli tej sprawy, bo cię wybrałam i kazałam im to zostawić!

– Ale... – Zatkąło mnie. – Ale zaraz... To nie wybrałaś mnie, pani, ze względu na wyniki?

– Uchowaj Żniwiarzu! To chyba jasne, że wybrałam cię właśnie dlatego, że oszukiwałeś! Nie wiedziałam, jak dokładnie to zrobiłeś, w każdym razie do momentu, kiedy przyznałeś się, że potrafisz posługiwać się wytrychem. Wtedy wszystko się wyjaśniło.

– Jak to? Wybrałaś mnie przez wzgląd na moją nieuczciwość? – obruszyłem się.

– Nie! Hm, w sumie to tak. W pewnym sensie.

– Co to znaczy?

Dumała przez chwilę przy akompaniamencie huku bombard.

– Wybrałam ciebie, bo potrzebowałam asystenta zaradnego, przebiegłego, gotowego, by w razie konieczności złamać reguły. Oddanego i zdeteminowanego. A ty nie tylko włamałeś się do jaletu i godzinami uczyłeś się do egzaminu, ale też przeszedłeś szkolenia rytownika pomimo ogromnych trudności z czytaniem i pisanem! To świadczy o wielkiej determinacji i wyjątkowym uporze.

Zrobiło mi się gorąco.

– To znaczy... znaczy wie... wiedziałaś, pani...

– Czy muszę wyliczyć wszystkie oczywistości, których jestem świadoma?

– Ale pani... Myślałam, że byłem bardzo...

– Mam doskonały słuch. Słyszałam, jak odcytujesz na głos teksty. Widziałam też, jak piszesz. Wydawało mi się oczywiste, kiedy kopiowałeś tekst sazi, że doskonale zdajesz sobie sprawę z twojej słabości.

Poczułem, że się czerwienię. Poczułem się jak głupiec. Jak mogłem choć przez chwilę myśleć, że uda mi się ukryć moją ułomność?

– Ale dlaczego to tolerowałaś, pani? Po co ci ktoś taki, jak ja jako asystent?

Zaśmiała się, wysoko, okrutnie.

– Chciałbyś wiedzieć, jakie mam modyfikacje, które czynią mnie nadwrażliwą na bodźce i sprawiają, że tak niechętnie opuszczam dom?

Zaskoczyło mnie, że tak beztróska proponowała wyjaśnienie tego, nad czym głowiłem się od miesięcy.

– No cóż... – zająknąłem się, zdezorientowany.

– Żadnej.

– Słucham?!

– Nie posiadam żadnego wzmocnienia, które byłoby temu winne. Zawsze taka byłam. Taka się urodziłam.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Nigdy nie przepadałam za licznym towarzystwem, Din. Od kontaktów społecznych wołałam wzory i gromadzenie informacji. Zawsze wołałam i zawsze będę wołała pozostawać w domu, i za wszelką cenę będę unikała nadmiernej stymulacji. Taka po prostu jestem.

– Ale twoje umiejętności, pani. To jak...

– Mój stan – ciągnęła – uczynił mnie podatną na pewien... eksperyment.
– Obrała jakąś myśl w głowie, zanim podjęła: – Modyfikację. Nie powinienś zastanawiać się nad jej naturą, gdyż nie jesteś w stanie jej pojąć. Jednakże gdybym nie była taka, jaka jestem, wzmocnienie to nie udałoby się. To był mój wybór. Zmieniłam się, stworzyłam się, stałam się tym, kim jestem, dzięki sobie. Podobnie jak ty. Sen sez imperiya. Imperium jest silne, bo uznaje wartość wszystkich swoich ludzi. Również ciebie, Diniosie Kolu. Gdy Imperium słabnie, to dlatego, że garstka potężnych odmawia bogactwa różnorodności innym. I to właśnie stało się w Talagray. A ja zostałam wyznaczona, by to naprawić. I zamierzam to uczynić.

Oparłem się o blanki, oszołomiony. W zasadzie nic z tego, co powiedziała, nie było komplementem, a jednak wrzały we mnie emocje. Dotychczas nikt nigdy nie rozumiał mnie takim, jakim byłem, i nikt nie powiedział mi, że Imperium może pragnąć moich usług. Przypomniałem sobie jednak, co powiedziała na koniec.

– Zaraz... Wyznaczona? Jak to? Przez kogo...?

Ziemią wstrząsnął potężny grzmot, a zaraz potem rozległ się huk bombardy. Przez okolice przetoczył się tak gwałtowny, tak silny poryw wiatru, że formobluszczowe wieże miasta aż jęknęły.

– Nadchodzi ta chwila – rzekła Ana. – Patrz, Din! Patrz! Zaraz się przekonamy, czy przeżyjemy!

Przystawiłem lunetę do oka i patrzyłem.

* * *

I znów zobaczyłem mury i ziejącą wyrwę wyłomu.

Przez nią prześwitywało morze pokryte białymi pianami fal pod miękkimi, skłębionymi obłokami. Naraz jednak pojawił się cień sunący z północy, z wolna rósł i wypełniał przerwę w murach.

Powietrze w tym miejscu drgało, jakby wielki żar wstrząsał atmosferą. Utrudniało to dostrzeżenie czegokolwiek, ale...

Coś tam było. Jakiś kształt.

Wpatrywałem się weń i wpatrywałem, wyężając wzrok.

Szerszy, niż wyższy, przypominał ogromną, pancerną kopułę o lśniącej, szarej powierzchni, tu i ówdzie pokrytą naroślami i pąkami głębinowych stworzeń, które wybrały ją na swój dom. Bestia kroczyła powoli, jej niezliczone nogi poruszały się w niespokojnym, nerwowym tańcu, a ja w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że przez wyrwę widzę tylko jej fragment, maleńki ułamek tej ogromnej istoty chwiejnie pełznącej po wybrzeżu.

Poczułem, że skóra mi cierpie na ten niepojęty widok. Jakbym patrzył w pochmurny dzień na szczelinę w pokrywie obłoków i zobaczył w niej spoglądające na mnie oko.

Lewiatan z wolna zbliżył się do wyłomu. Wydawało mi się, że w drżącym powietrzu wylania się jakiś rozmazany twór wiszący pod kopułą i że w tej masie dostrzegam parę błyszczących oczu, a poniżej paszczę otwierającą się i zamykającą głupawo, konwulsyjnie, w bezmyślnej próbie uformowania ciemnymi wargami jakichś słów.

Zacząłem krzyczeć. Luneta wbijała mi się w oczodół, a ja wywrzaskiwałem jak najwierniejsze opisy tego, co mam przed oczyma. Przerwał mi błysk rozświetlający horyzont, salwa z bombard, setki machin artyleryjskich wystrzeliły jednocześnie w stronę istoty, skrywając ją w kłębach dymu, a na samym końcu tej kanonady, rozległ się potężny, wstrząsający ziemią huk, grzmot, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem i jakiego nie potrafiłem sobie wyobrazić; a potem nastąpiła eksplozja, niska i dudniąca, zdająca się trwać wieczność.

Bombarda, pomyślałem. Zabójca tytanów. Ale czy spełniła swoje zadanie, tego nie potrafiłem stwierdzić.

Wkrótce dotarł do nas kolosalny łomot, jakby sam księżyc spadł z nieba. W powietrze uniosła się burza pyłu, a ja zastanawiałem się, czy bestia nie przewróciła właśnie murów, nie zwała ich jak drozd rozkopujący ściółkę. Czekałem, serce waliło mi w piersi, skóra lepiała się od potu, a luneta wciśnięta w oczodółomal nie wyłupiała mi oka.

W końcu dym i kurz zaczęły się rozwiewać, opadać, a zza zasłony wyłoniły się mury. Wciąż stały, a przed wyrwą leżało cielsko lewiatana, z rozpękniętą skorupą i ohydą twarzą zagrzebaną w piaskach.

Horyzont rozświeciły fontanny rac, błękitnych ogni. Gapiłem się na nie, a mój umysł dryfował w oszołomieniu.

– Kolor, Din! – odezwała się Ana. – Jaki kolor?

– Niebieski, pani. Flary są niebieskie.

– A więc po wszystkim – wyszeptała. – Bestia nie żyje. Imperium trwało.

Rozdział czterdziesty

W ciągu kolejnych dwóch dni rzadko widywałem Anę, bowiem wraz z resztą niższych funkcjonariuszy przywracaliśmy porządek w mieście. Panika i masowa ucieczka wyrządziły prawie tyle samo szkód co furia lewiatana. W wielu budziło to frustrację i niedowierzanie, bo przecież Legion ostrzegał o sytuacji z dużym wyprzedzeniem.

– Ludzie często nie widzą tego, co mają przed oczami – stwierdził pewien princeps, gdy usuwaliśmy razem truchło konia z ulicy. – Nie, żeby lepiej dostrzegali to, co mają za plecami. To cud, że w ogóle jesteśmy w stanie cokolwiek zrobić.

Pod koniec drugiego dnia przyszedł po mnie militis z Jurysu z wezwaniem do wieży Legionu.

We wskazanym pokoju za długim, czarnym biurkiem siedziała Vashta, a przed nią Ana i Uhad.

– ...zajęliśmy ich wszystkie majątki w kantonie Talagray – mówiła legatka. – Fayazi i jej świta są tymczasowo zatrzymani. Jednak dalsze postępy będą wymagały większego wysiłku... – Podniosła wzrok na mnie, stojącego w progu. – Ach, Kol. Wejdz, proszę.

Stałem za krzesłem Any, licząc, że nie capię zanadto koniem.

– Powinniśmy cię wprowadzić w sprawę, signumie – podjęła Vashta – ale wszystko aktualnie jest w toku i sytuacja zmienia się na bieżąco, więc to może być trudne. Rozesłaliśmy jastrzębie skrybne po całym Imperium z wiadomościami o pokonaniu lewiatana, naprawieniu wyłomu oraz wynikach waszego śledztwa.

– Majątki Hazów w trzecim pierścieniu również zostały przejęte – wyjaśnił mi Uhad. Promieniał z radości. Pierwszy raz widziałem go uśmiechniętego. – I rozpoczęto już zajmowanie ich dóbr w drugim. Ze swojej strony opóźniłem przejście na emeryturę, aby pomóc w tych szlachetnych działaniach.

– Niestety to potrwa i nie obejdzie się bez wielu batalii prawnych i politycznych – westchnęła Vashta. – Obecnie wygląda na to, że wszyscy starsi synowie rodu Hazów zostaną pozbawieni swoich majątków... a w zamian za współpracę Fayazi Haza może zająć ich miejsce.

– Fayazi? – zdumiałem się. – Fayazi stanie na czele klanu?

Vashta z ponurą miną wzruszyła ramionami.

– Przekazała nam całą korespondencję od swoich starszych krewnych, dowodzącą ich winy. A ziemie Hazów są zbyt cenne, by je zostawić odłogiem. Ktoś musi zarządzać uprawami. Lepiej, żeby robił to ktoś, kogo mamy w garści. Czas pokaże, jak to się potoczy. Wygląda na to, że nasze zwycięstwo przy wyłomie przemieniło się w znacznie dłuższą rozgrywkę. Szkoda tylko, że nie dowiedzieliśmy się, kto ukradł lekarstwo na plamiszklankę. Mając je, moglibyśmy udowodnić winę i znacznie szybciej pociągnąć naszych wrogów do odpowiedzialności. Nie ustaniemy w poszukiwaniach, ale uważam, że mamy marne szanse na sukces. Jednak z Sanktuarium docierają do nas pogłoski, że niewykluczone, że cesarz może cofnąć część błogosławieństw i przywilejów nadanych Hazom. A reperkusje być może dotkną całego ziemiaństwa.

Zerknałem ukradkiem na Anę, dotąd milczącą. Siedziała swobodnie na swym krześle, z pochyloną głową i nieprzeniknioną miną.

– Instytucję patronatu niełatwo będzie wytepić – powiedziała Vashta – ale ostatecznie się z nią uporamy. Być może wśród nas jest więcej takich ludzi, jak Blas. Otrzymałam informację, że na znak cesarskiej przychylności do kantonu niedługo zawita konsul Jurysu. Pierwszy raz od pół wieku Talagray dostąpi takiego błogosławieństwa. Nie wydał jeszcze żadnych rozkazów, ale krążą sugestie, że zamierza zbadać, jak głęboko Hazowie wrosli w struktury jaletów.

Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia. Konsulowie byli w Imperium prawie bogami. Tak jak mówiła Fayazi, nie starzeli się, a jedynie rośli bez końca, aż większość stawała się gigantyczna, choć gabaryty uniemożliwiały im poruszanie się. Niektórzy mieli po sto lat. Myśl, że jeden z nich może znaleźć się tak niedaleko, zupełnie mnie ogłuszyła.

– Dokonałeś wielkich czynów dla Imperium, signumie Kolu – rzekła legatka. – W związku z tym kończę twój staż. Od teraz jesteś oficjalnie Asystentem Śledczego Jurysu. Noś z dumą dystynkcje oraz miecz u boku. Oczywiście twoje uposażenie również ulegnie zmianie. Gratuluję.

Ogrom tego wszystkiego mnie zaskoczył. Jedyne, na co zdobyłem się w obliczu tak oszałamiających wieści, to ukłon.

– Dziękuję, pani – wydusiłem.

– Tak – westchnęła Vashta. – Niestety nie sędzę, żebyś mógł wrócić do domu, signumie, biorąc pod uwagę, że twoja immunisa uważa, że nie

schwytiliśmy jeszcze trzeciego truciela. Chyba że zmieniłaś zdanie, Dola-
bro?

– Nie, pani – odezwała się Ana.

– I pewnie nie zdołałaś podczas tego całego zamieszania wyciągnąć
wniosków, które pomogłyby nam ostatecznie rozwiązać tę sprawę?

– W zasadzie, pani... – Ana wyszczerzyła się w uśmiechu. – Może nie
podczas, ale zanim rozpętał się ten chaos, owszem.

Wszyscy spojrzeli na nią oniemiałi. Jako pierwsza otrząsnęła się legatka.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Znam prawdziwą tożsamość plamiszklankowego mordercy już od
czasu śmierci Nusi – odrzekła Ana spokojnie. – Wiem, kto uknuł i zapla-
nował cały ten koszmar, który rozegrał się w ostatnich tygodniach.

– Chyba nie sugerujesz, że nie była to Jolgalgan?

– A nie, Jolgalgan była winna ponad wszelką wątpliwość, ale nie działa
sama. To nasuwało się od samego początku. Po pierwsze jak na apotekarkę,
nawet w stopniu kapitana, dysponowała zbyt rozległą i szczegółową wiedzą
na temat nawyków prefekta Blasa. Do tego ta kwestia logistyczna z grzy-
bami czarnoszczebłowymi, którą wyjaśniałam ci wcześniej, pani.

– Tak, mówiłaś, że na przyjęciu u Hazów musiała być druga osoba
powiązana ze sprawą, która mogłaby wrzucić w odpowiednim momencie
podpałkę, aby odwrócić uwagę wszystkich.

– Właśnie – przytaknęła Ana. – Od dawna czułam, że jest w to zamie-
szany ktoś trzeci. Ale w miarę rozwoju śledztwa doszłam do wniosku, że
osoba ta ma zaskakująco dokładny wgląd w sprawy jaletu, więc musi to być
ktoś z Tryfektury. Funkcjonariusz wysokiego szczebla.

– Niemożliwe! Naprawdę?! – Na twarzy Vashty odmalowała się zgroza.
– Naprawdę uważasz, że w naszych szeregach działa spiskowiec?

– Tak. Powiem więcej. Siedzi tu obok mnie. – Ana zwróciła się do
Uhada. – Bo to ty stoisz za tym wszystkim, prawda, Tuweyu?

* * *

Spojrzeliliśmy na rytownika, który już się nie uśmiechał, ale wpatrywał się
w przestrzeń z dziwnie odległym, błogim wyrazem twarzy.

W końcu odchrząknął.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Ano.

– Och, nie udawaj. Wiedziałaś, że to ty, odkąd zginęła Nuis. Wiesz, że jej sejf miał niezwykle skomplikowany zamek. Din przekonał się o tym tego dnia, kiedy przyszedł do niej po wszczepy.

– Powiedziałem jej, że nie powinienem patrzeć, jak go otwiera, bo jako rytownik mogę zapamiętać sekwencję – powiedziałem cicho.

– Tak – przytaknęła Ana. – Jedyne rytownik potrafiłby zapamiętać, jak to zrobić. A ty, Uhadzie, mówiłeś, że często chodzisz do gabinetu Nuis po wszczepy na bóle głowy. Miałeś wiele okazji, by zapamiętać sekwencję. Do tego ta uwaga, którą uczyniłeś do Dina podczas bankietu... Że powinniśmy napić się herbaty. Co wymagało użycia imbryka. W którym wtedy znajdowało się już skażenie.

Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że Uhad próbował zabić nie tylko Anę, ale i mnie w ten swój makabrycznie niewyobrażalny sposób.

– Ale po co miałbym brać lek na skażenie plamiszklanką? – zapytał Uhad niezmiennie spokojnym, opanowanym tonem. – Nawet jeśli, co jest bzdurą, byłbym tym twoim mordercą?

– Ponieważ jeszcze nie skończyłeś swego dzieła. Mówiłeś, że odchodzisz na emeryturę. Do pierwszego pierścienia, jak mniemam? A kto tam rezyduje? Klan Hazów, oczywiście. Nienawidzisz ich, prawda? Od blisko wieku łamali tu, w Talagray, prawo, sabotując, szantażując, korumpując. A ty nic nie mogłeś z tym robić. Ale pewnego razu usłyszałeś coś od kogoś. Jolgalgan mówiła o wielkiej zbrodni, jaką popełnili.

Uhad słuchał w milczeniu.

– Była jedną z wybranych Kaygiego Hazy. Przypuszczam, że podczas jednego z przyjęć usłyszała coś, co ją poruszyło. Może jakiś rzucony od niechcenia komentarz o antidotum. Coś, co skłoniło ją do drażenia sprawy w swoim jalecie. Szukała, zadawała pytania aż w końcu poskładała elementy w całość. I przyszła z tym do ciebie, starszego funkcjonariusza. Ale ty nic nie mogłeś z tym zrobić. Gdybyś próbował wszcząć śledztwo, Hazowie zepchnęliby cię na boczny tor albo pozbyli w jeszcze gorszy sposób. Ale dopadła cię starość, nękały dolegliwości, zostało ci niewiele czasu. A na co lepiej poświęcić ostatnie chwile życia, jak nie na zemstę na łotrach, którzy na twoich oczach panoszą się i rujnują twój kanton? Ty byłeś mózgiem tej operacji. Zaplanowałeś to z Jolgalgan, wciągnęliście Ditelusa, kolejnego Oypatczyka. Niestety Jojgalgan naciskała na poetycką sprawiedliwość, chciała, by zginęli od tego skażenia, które zabiło Oypat. Ale dokonałeś tego. Wykorzystałeś swoje kontakty i zasoby, aby śledzić Blasa,

i pokierowałaś Jolgalgan, by go zgładziła. Jednak z Kaygi Hazą było trudniej, prawda? Lecz i w tym wypadku pomogłeś. Na przyjęciu pojawiłeś się tylko na chwilę, ale wystarczyło, by wrzucić czarnodrażkowca do ognia, umożliwiając Jolgalgan przedostanie się do łaźni i skażenie zbiornika. –

Ana wykrzywiła twarz w szaleńczym uśmiechu. – Wtedy jednak doszło do wyłomu. Zmarło dziesięciu inżynierów. Zdałeś sobie sprawę, że coś w twoim planie poszło bardzo nie tak. Ale naraz łut szczęścia obrócił los, zostałeś wyznaczony do poprowadzenia śledztwa we własnej zbrodni! Łatwo było mylić tropy i odsuwać od siebie podejrzenia, kierować działania na sprawę wyłomu, na zabójstwo inżynierów, wszędzie, byle ślady nie prowadziły do rezydencji Hazów i twojego przelotnego pobytu na przyjęciu.

Uhad westchnął cicho.

– A potem ty się tu zjawiłaś – szepnęła.

– Tak. Usiłowałaś mnie spowolnić. Z początku myślałam, że masz na sumieniu korupcję. Nawet sprawdzałam cię, przy udziale Dina. Ale nie byłeś przekupny. Nie, wprost przeciwnie, jesteś fanatycznie uczciwy, gotowy znosić i zadawać ból w imię swego celu. Denerwowała cię moja obecność. Czułeś, że zbliżam się do rozwiązania. Dlatego poszedłeś do kryjówki Jolgalgan, w ruinach fortu i sabotowałaś jej sprzęt. Potem kazałeś jej stworzyć następną porcję skażenia, a gdy nad nim pracowała, wciągnęła do płuc zarodniki. Po jakimś czasie wysłałeś do niej Ditelusa. I on również został wystawiony na działanie skażenia.

Poczułem trzepot i przypomniałem sobie ostatnie słowa trzaskacza: Wy, juryści, twierdzicie, że pragniecie sprawiedliwości. Ciągłe to powtarzacie! Bez przerwy!

– Liczyłeś, że to zakończy dochodzenie. Ale wciągnąłeś się w to bez reszty, a twoja misja nie została zwieńczona sukcesem. Nadal posiadałeś plamiszklankę od Jolgalgan, a Hazowie wymykali się sprawiedliwości. Musiałeś dostać się do pierwszego pierścienia i kontynuować zbrodniczą działalność. Ale usłyszałeś o kluczu reagentowym w sejfie Nuis i zdałeś sobie sprawę, czym naprawdę jest. Nie byłeś ekspertem apotekarstwa jak Jolgalgan, nie byłeś znawcą plamiszklanki. Z łatwością mogło dojść do przypadkowego skażenia, potrzebowaleś więc na wszelki wypadek leku. Musiałeś tylko zorganizować wszystko tak, żebym cię zawczasu nie złapała. Stąd skażenie w imbryku.

Uhad przymknął oczy.

– Chciałbyś powiedzieć coś na swoją obronę? – zapytała Ana. – Czy wolisz, by Din poszedł do twojej kwatery, gdzie z pewnością znajdzie tak antidotum, jak i resztę tego plugawego skażenia?

– Nawet nie próbował tego ukryć, uwierzycie? – wyszeptał Uhad.

– Kto? Czego? – dopytywała Ana.

– Kaygi Haza. Gdy Jolgalgan wspomniała, że pochodzi z Oypatu, staruch, mocno wtedy wstawiony, rzucił beztrasko: „Ach, Oypat. No cóż, Blas nieźle spieprzył sprawę, nie? Zawalił z tym lekiem”. A potem nawet zapomniał, że to powiedział. Ponieważ... to nie miało dla niego znaczenia. Ale co innego dla Jolgalgan. I dla mnie. Dla mnie też miało znaczenie. – Na chwilę zawiesił głos, ale nikt z nas się nie odzywał. – Macie pojęcie, jak to jest? Jak to jest mieć w głowie te wszystkie wspomnienia? Wiecznie trwające, nieustające, żywe wspomnienia korupcji, przekupstw, wyzysku? A wszystko to robią, podczas gdy tylu funkcjonariuszy haruje i ginie, by powstrzymać grozę przed dostaniem się na nasze wybrzeża.

W głowie rozbrzmiało mi echo słów Miljina: Rytownicy źle znoszą zbyt wiele pór deszczowych jednym ciągiem. Fatalnie się starzeją.

– Kiedyś myślałem, że to mury trzymają lewiatany z dala od nas – mówił Uhad. – Ale im dłużej wykonywałem swoje obowiązki, tym bardziej czułem, że więżą nas w swoim wnętrzu razem z ziemiaństwem. I nikt nawet nie próbował tego zmienić. Nikt nie zamierzał naprawiać tego, co się psuło. Nikogo to nie obchodziło. Każdy tylko przymykał oczy, byle wszystko jakoś się toczyło jak dawniej.

– Dlatego ty podjąłeś tę próbę. Chciałeś naprawić wszystko sam, zabijając przy tym setki ludzi! – wycedziła Ana, trzęsąc się z gniewu.

– Musiałem coś zrobić! – warknął Uhad. – Nie mogłem stać z założonymi rękami i patrzeć. A Imperium nawet palcem nie kiwnęło! Podobnie jak Jurys! Ty też nie mogłaś nic na to poradzić, Ano! Sama próbowałaś powstrzymać Hazów, i co? Zostałaś w nagrodę zesłana do Daretany!

– Jesteś pewny, że tak było, Uhadzie? – Ana zerwała się na równe nogi.

– Słucham? Co masz na myśli? – Uhad spojrzał na nią całkiem skołowany.

– Nie dziwi cię w ogóle, że to właśnie mnie umieszczono tutaj, na progu Talagray? Nie sądzisz, że to dogodny zbieg okoliczności, że to mnie spośród wszystkich śledczych Jurysu z całego Imperium przydzielono do kantonu, gdzie ziemiaństwo nieomal jawnie korumpuje funkcjonariuszy imperialnych?

– Chcesz... chcesz powiedzieć, że zostałaś przysłana do Daretany, by... pilnować Hazów? – wydukał oszołomiony.

– I nie minęły cztery miesiące, a sami wpadli mi w ręce – syknęła. – Ale to wszystko przez ciebie. Przez to, że jalety nie wykonują swoich obowiązków. Ponieważ ty ich nie wykonujesz!

– Nie! To niemożliwe! Zamordowali twojego asystenta! Nawet Hazowie o tym wiedzą!

– A widziałeś ciało? Widziałeś je na własne oczy? Nie wydało ci się podejrzanе, jak wygodne było to, że Hazowie wierzyli w moje zesłanie? Aby poczuli się pewnie i zrobili coś głupiego i tak oczywistego? Coś, co dałoby Jurysowi pretekst, by ich dopaść? Ale nie, ty musiałeś sam podjąć tę grę, sam chciałeś bawić się w wymierzanie sprawiedliwości. I jak się to skończyło? Śmiercią setek ludzi! Jesteś głupcem, Uhadzie! Potwornym głupcem! Din – zwróciła się do mnie. – Sięgnij po swoje kajdany rytownicze. Rozkazuję ci skuć tego człowieka. Pragnąłeś sprawiedliwości, Tuweyu Uhadzie, oto twoja sprawiedliwość. Dostaniesz ją na stryczku.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Pod wieczór zebraliśmy się w Tryfekturze, pomiędzy wieżami Legionu i Inżynierii oraz, obecnej zamkniętej, Jurysu. Wzniesiono tam konstrukcję przykrytą zdobnym baldachimem, a pod nim ułożono cztery stosy nasączonego olejem czarnodrzewu, a na każdej położono drewnianą kukłę naznaczoną czarną, fioletową, czerwoną i błękitną barwą, symbolizującą cztery jalety, których funkcjonariusze zginęli.

Gdy słońce zaszło, święci mężowie imperialnych kultów zapalili trybularze i okadzili stosy świętym dymem, śpiewając o Khanum, o marszu ku morzu, o budowie murów i o Imperium, które czekało na nas po drugiej stronie tego życia. Gdy skończyli, wystąpił utykający, wspierający się na kuli legionista, który zapalił pochodnię i przytknął ją do drewna. Gdy ogień zapłonął, stałem pośród płaczącego tłumu i również dziękowałem funkcjonariuszom, zarówno tym, którzy polegli w brutalnej rzezi na murach, jak i tym, którzy zginęli z ręki drgacza, w mieście, które wydawało nam się ostoją cywilizacji.

Gdy wszyscy się rozeszli, ja pozostałem, pogrążony w myślach, mrocznych i mętnych od cierpienia, którego byłem świadkiem, i od wspomnień, o których wiedziałem, że nigdy nie zdołam ich wymazać z duszy. Nagle zorientowałem się, że nie jestem sam. Na skraju placu stał wpatrzony w migoczące płomienie kapitan Miljin.

Podszedłem do niego. Żar od ognia był tak potężny, że czułem, jak włoski na twarzy mi się skręcają. Zadumany kapitan nie od razu zwrócił na mnie uwagę. W pewnej chwili jednak popatrzył na mnie i aż drgnął, jakby zaskoczony moją obecnością.

– A, to ty, Kol.

– Dobry wieczór, panie. – Ukłoniłem się mu.

Znów zapatrzył się w ogień.

– Jak się miewasz, panie? – To było głupie pytanie, ale chciałem rozproszyć ciszę.

– Powiedz mi – zaczął.

– Tak?

– Byłeś tam? W biurze legatki, kiedy twoja zwierzchniczka zdemaskowała Uhada?

Skinąłem potakująco po chwili wahania. Nie powiedziałem mu, że to ja założyłem kajdany na ręce immunisa i odprowadziłem go do celi.

– Podejrzewałeś go choć przez chwilę? – wychrypiał. – Przyszło ci do głowy, że przez cały ten czas oplatał nas swoją siecią zła?

– Nie, panie, nie miałem pojęcia. Myślę, że Ana też nie wiedziała, aż do śmierci Nuisis.

– Która została zabita na mojej warcie. W moim mieście.

Drobinki popiołów unosiły się wokół nas jak pyłki na wietrze. – Nikt z nas się nie domyślał. Ty też, panie, nie mogłeś...

– Daj spokój – przerwał mi ostro.

Zamilknąłem i odwróciłem wzrok.

– Ale co do jednego się nie myliłem – podjął. – Imperium coraz mniej potrzebuje dzielnych wojowników i ich siły, a więcej spiskowców i intrygantów, takich jak twoja Ana. I być może również ty.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

– Słyszałem, że niedługo stąd wyjedziesz, Kolu?

– Tak, panie, myślę, że za kilka dni.

– Czy wyświadczysz przysługę staremu człowiekowi?

– Jeśli tylko zdołam, panie.

Postępując, odpiął pochwę od pasa i przez moment przypatrywał się jej, a potem wyciągnął ją ku mnie.

– Czy zabierzesz go ze sobą, tam, gdzie się wybierasz?

Utkwiłem wzrok w pochwie o mechanicznym zamku, który lśnił w dogasającym blasku stosów.

– Nie zostanę w Jurysie, Kolu. To już nie moje miejsce. Wracam do Legionu, do żołnierki, na tym znam się najlepiej. Do murów, tytanów, bombard i morza.

– Ale, panie, ja...

– A ja ci powiedziałem – nie słuchał mnie – miecze nie zdadzą się na nic przeciwko lewiatanom. Lepiej wykorzystać je przeciwko tym, którzy utrudniają walkę z tytanami. A ten tu więcej uczyni dla Imperium, jeśli będzie ci towarzyszył tam, dokąd poprowadzi twoja droga.

Oszołomiony, przyjąłem broń i znów zaskoczyła mnie jej lekkość i ciepło skórzanej pochwy, którym nasiąkała od ognia.

– Mam go zabrać do Daretany, panie? – zapytałem.

– Sądzisz, że wracasz do Daretany, chłopcze? Aleś ty naiwny!

Nie zrozumiałem, co miał na myśli, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, bo usłyszałem za plecami czyjś głos.

– Jesteś cały!

Obejrzałem się przez ramię. Zbliżał się do nas, wspierając na kulach, legionista. Jego głowę otaczała aureola zachodzącego słońca, więc w pierwszej chwili nie rozpoznałem w tej wynędzniałej, lecz roześmianej twarzy rysów Stroviego.

– Pamiętasz, jak go odblokować, Kol? – zapytał jeszcze Miljin.

– Tak, panie – potwierdziłem rozproszony, zwracając się ku niemu. – Ale...

– To dobrze. – Skinął mi głową na pożegnanie. – Szczęśliwych podróży, signumie. Obyś zdobywał honory i odnosił zwycięstwa.

Z tymi słowy odwrócił się i odmaszerował, oddalając się od dziedzińca Tryfektury na wschód.

* * *

Szliśmy z Kepheusem uliczkami Talagray noga za nogą, ze względu na jego uraz – pamiętkę po salwie z zabójcy tytanów.

– Zmiotło mnie z platformy – powiedział zakłopotany. – Skręciłem kostkę. To pestka, da się naprawić w dzień, ale medykerzy mają teraz poważniejsze przypadki.

– Widziałem go z daleka, z umocnień – powiedziałem. – Jak zbliża się do wyłomu... Miał twarz...? Ruszał ustami, jakby próbował mówić...

– Zabiliśmy go – uciął szorstko. – Powstrzymaliśmy. Więcej nie trzeba nad tym myśleć.

Już więcej nie rozmawialiśmy ani o tym, co ja widziałem w mieście, ani o tym, czego on doświadczył na murach. Wszystko to wydawało się zbyt wielkie, by pomieściło się w słowach. Milczenie wyrażało to znacznie lepiej. Opowiedziałem mu za to o rozmowie z Miljinem.

– Tak – westchnął Strovi. – Przeniesienie z Legionu do Jurysu musi być trudne.

– Dlaczego?

– Cóż, w Legionie po każdej porze deszczowej wiesz, czy zwyciężyłeś, czy poniosłeś porażkę. A w Jurysie twoja służba nie ma końca. Można wypełnić wszystkie obowiązki, złapać łotra, a i tak nie naprawi się zła, które zostało wyrządzone.

Pomyślałem o Uhadzie i o tym, jak te wszystkie wspomnienia niesprawiedliwości go zmieniały. I po raz pierwszy zastanawiałem się, czy podzielię jego los.

– Wyjeżdżasz – odezwał się Strovi.

– Chyba tak – potwierdziłem. – Zakończyliśmy dochodzenie. A ty?

– Zostanę tutaj. Rodzina nalega, żebym wracał, ale... Tyle tu trzeba zrobić. I zamierzam robić to, dopóki nie skończę.

– Jesteśmy fundamentem, na którym stoi całe Imperium – zacytowałem.

– Ha, zapamiętałeś!

Spojrzałem na niego, unosząc brew.

– Och, no tak – zaśmiał się. – Nie ma się czemu dziwić. Ale czekaj. Mam coś dla ciebie, Diniosie. Prezent.

– Nie trzeba...

Wręczył mi paczkę. Nie musiałem pytać, co jest środkiem. Gdy tylko ścisnąłem ją w dłoni wydobył się z niej aromat tytoniu. – Cygarniki! – ucieszyłem się. – Cygarniki ze strzelisłomki! Musiałeś wydać na nie fortunę!

– Bez przesady – uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że będą smakować ci tak dobrze, jak ta, którą się podzieliśmy.

– Nie wiem, czy to możliwe – odpowiedziałem mu uśmiechem. – Tamta była wyjątkowa.

Zapatrzyliśmy się na wschód. Może poczułem nagle ciężar zgromadzonych wspomnień, bo moje oczy wypełniły się łzami. Uniosłem rękę, żeby je obetrzeć.

– Będę tu jeszcze tylko przez parę dni – powiedziałem. – Tak krótko...

Pochylił się i pocałował mnie. Pachniał skórzanym pancerzem, olejem i delikatnymi splotami liści formobluszcza.

– To Talagray – powiedział. – Nic tu nie jest pewne.

Ująłem go za rękę i razem wróciliśmy do miasta, by odnaleźć w tych paru dniach tyle słodczy, ile się dało.

Rozdział czterdziesty drugi

Patrzyłem za siebie na oddalające się wieże Talagray. Powóz unosił nas, turkocąc po drodze, a Równiny Szlaku i potężne mury morskie z wolna znikwały w porannej mgle. Odliczałem pozostałe miesiące pory deszczowej, mierząc się z myślą, że ledwie kilka zostało do kolejnej.

– Wytrzymają? – zapytała Ana cicho.

Odwróciłem się do niej. Siedziała naprzeciwnie, z opasanymi oczyma i rękami złożonymi na podolku.

– Słucham, pani?

– To o tym teraz myślisz, prawda? Czy wytrzymają.

– To teraz czytasz w myślach, pani?

– Och nie. To po prostu oczywista myśl, jaka nasuwa się, gdy ktoś opuszcza, jak również przybywa do Talagray. Czy wszystkie te cuda i konstrukcje, okupione krwią i znojem tak wielu, zaplanowane przez tak błyskotliwe umysły... Czy wytrzymają w zderzeniu z tym, co nadchodzi? – Przechyliła głowę, uśmiechając się. – Chciałabym móc czytać w twoich myślach, Din. Ale nie, zamiast tego muszę zadawać głupie pytania.

– Masz resztę podróży, by mnie dręczyć, pani. Nie musisz zaczynać tak wcześnie.

– Uhm. A jednak ciekawi mnie twoja odpowiedź na jedno konkretne pytanie.

– Tak? Jak ono brzmi?

– Czym jest Imperium, Din?

Zamrugalem i skrzywiłem się, gdy powóz podskoczył na wyboju.

– Um... Nie rozumiem, pani?

– Wysłuchiwałam twoich raportów. Zauważyłam, że wiele osób mówiło ci, że Imperium to to czy tamto albo że działa w taki czy inny sposób... To dziwne, nieprawdaż? Może te filozoficzne stwierdzenia prowokuje egzystencjalna natura tego kantonu, ale jestem ciekawa twoich wniosków. Jak myślisz, czym jest Imperium. Czy mógłbyś je opisać?

– Chyba nie oczekujesz, pani, że odpowiem na to pytanie?

– Nadal jestem twoją zwierzchniczką, Din. Mogłabym ci rozkazać, żebyś odpowiedział. Ale to takie nudne.

– Hm... – zastanowiłem się nad odpowiedzią. – Cóż, zanim tu przyjechaliśmy, pani...

– Tak?

– Powiedziałbym, że Imperium to potęga, wielkość, siła, ogrom.

– A teraz?

– Teraz wydaje mi się kruche, niedoskonałe, prowizoryczne i... i przypadkowe. Mam wrażenie, że gdyby go nieustannie nie pielęgnować, wystarczyłby poryw wiatru, by rozsypało się w proch.

– Celne. I w pewnym sensie się z tym zgadzam. Ale mnie zawsze jawiło się jako ukształtowane na podobieństwo tego, z czym przyszło mu się mierzyć.

– Tytana, pani?

– O tak. Imperium bowiem jest olbrzymie jak on. Złożone. Często niezgrabne i powolne. A w wielu miejscach słabe. To kolos, obejmujący wszystkie kantony, olbrzym, w którego cieniu wszyscy żyjemy... a jednak jest podatne na zranienia, infekcje, gorączki i złe fomy. Ale najdziwniejsze w nim jest to, że im bardziej obywatele czują jego słabość, tym bardziej słabnie. Spójrz tylko na Uhada. Trzeba je pielęgnować, jak powiedziałeś. Bo bez tej troski Imperium upadnie. A jednak trudno jest troszczyć się o coś od wewnątrz, prawda?

– A jaka jest twoja rola, pani, w pielęgnowaniu tego kolosa?

– Och, mówiłam ci już, Din – odparła, uśmiechając się sennie. – Mówiłam, gdy ostatnio jechaliśmy tą samą drogą. To ludzie od napraw podtrzymują działanie Imperium. Ostatecznie ktoś musi wykonywać tę niewdzięczną pracę, aby wielkie dzieła naszej epoki nie runęły. Ja zajmuję się naprawianiem na swoją, małą skalę. A ty, oczywiście, dzielnie mi w tym pomagasz.

– Powiedziałaś mi, pani, że kiedyś wyjawisz mi prawdę.

– Uhm.

– Czy to ta chwila?

– Teraz? Tutaj? – Przyłożyła dłoń do pudła, żeby poczuć drgania powozu. – Teraz Din jest chwila na niektóre z nich. A potem sam zdecydujesz, czy chcesz usłyszeć więcej.

– Nie jesteś zwyczajną śledczą Jurysu, prawda?

– Owszem, nie jestem.

– Nie zostałaś, pani, wysłana do Daretany, by obserwować Hazów w ramach części wielkiego spisku?

– To prawda.

– Hm, to co teraz będziesz robiła w Daretanie, pani?

– Och, nie wracam do Daretany, Din. Posterunek Jurysu w Daretanie zostanie zamknięty. To doskonałe miejsce na wygnanie, ale spełniło swoją rolę. Teraz naszym pierwszym przystankiem będzie niewielkie miasteczko na granicy Tali. Tam omówię szczegóły wydarzeń z ostatnich tygodni z konsulem, który na mnie czeka.

– Ko...konsulem? Konsulem Jurysu? Czeka na ciebie, pani?

– Od wczoraj. Bardzo chcę się z nią spotkać. To ona wpadła na pomysł intrygi z moim wygnaniem.

– A twój wcześniejszy asystent, pani? Drgaczka go zabiła czy to tylko zmyślona historyjka na rzecz Hazów, a mój poprzednik nadal żyje?

– Asystentka. I nie znasz jej, i to jej sprawa, gdzie jest i co robi. Masz wiele zalet, Din, ale nie zdradzę ci, jaki spotkał ją los.

Przez chwilę usiłowałem poukładać w głowie to, co usłyszałem. Nie mieściła mi się w niej myśl, że jeden z konsuli, wielkich, bezwiecznych istot, drugich w hierarchii władzy po cesarzu, czeka teraz na Anę.

– Co stanie się po twojej rozmowie z konsulem, pani?

– Cóż, najprawdopodobniej wyznaczy mi nowe zadanie. Ponieważ jestem śledczą, lecz szczególnej jednostki. Otrzymuję sprawy zarówno drażliwej natury, jak i wybitnie trudne do rozwikłania. Innymi słowy, wykonuję swoją pracę, tak jak setki innych obywateli wielkiego, niebiańskiego Imperium Khanum. Dbam, by rzeczy działały bez przeszkód, aby z kolei stały mury morskie. Przypuszczam, że podczas rozmowy z konsulem dowiem się, jakie będzie moje następne zadanie. Kolejna zbrodnia, kolejne morderstwo, kolejna zdrada.

Obserwowałem przesuwający się za oknem krajobraz.

– Ale zanim udam się na miejsce przydziału, konsul z pewnością będzie chciał porozmawiać również z tobą, Din. Ponieważ nadal będę potrzebowała asystenta – dodała, gdy się nie odezwałem. – A w Talagray spisałeś się naprawdę doskonale. – Urwała na chwilę. – No cóż, mógłbyś być nieco weselszy i częściej się uśmiechać, ale i tak jesteś świetny w tym, co robisz. Chciałabym, żebyś nadal pracował dla mnie.

Nie odwróciłem wzroku od okna, za którym znów pojawiła się migotliwa zasłona dżungli, pogrążając nasz powóz w mroku. Myślałem o niewielkiej, błotnistej Daretanie i nikłych możliwościach, jakie to miejsce mi oferowało. Popatrzyłem na swoje buty, teraz już noszące ślady zużycia

i przykurzone, lecz nadal porządne, i pomyślałem, że jeśli jeszcze trochę je ponoszę, może nabiorą więcej charakteru.

– Mam coś dla ciebie, pani. Prezent.

– Prezent? A z jakiej to okazji?

Wręczyłem jej niewielkie, drewniane pudełko.

– W ramach podziękowania. Za wszystko.

Otworzyła pudełko, pociągnęła nosem i wyprostowała się gwałtownie, drżąc z ekscytacji.

– Nastrojniki! Wszczepy nastroju! – stwierdziła zachwycona. – I to te...

– Halucynogenne, pani. Te, o których ciągle mówisz. Musiałem odwiedzić bardzo szemrany sklepik, żeby je zdobyć. Tylko błagam, pani, nie bierz ich teraz. Podejrzewam, że ta podróż stałaby się przez nie jeszcze bardziej uciążliwa.

Zachichotała z uciechy.

– Nie, nie, i nie mogłabym stawiać się do raportu w stanie upojenia, Din. Dziękuję. Naprawdę to doceniam.

Uśmiechnąłem się znużony.

– Choć to chyba nietypowy początek kariery oficjalnego asystenta śledczego? Łamanie prawa, jeszcze zanim podejmie się obowiązki?

– Tak myślisz? – Schowała pudełko, a potem uśmiechnęła się tym swoim przerażającym, drapieżnym uśmiechem, odsłaniającym zbyt wiele, zbyt białych zębów. – Osobiście uważam, że to doskonała wróżba na przyszłość.

Opuściłem słomkowy kapelusz na oczy, wyciągnąłem nogi, wygodnie układając miecz u boku, i zapadłem w drzemkę.

Podziękowania

Chciałbym podziękować mojemu redaktorowi, Julianowi Pavii, za pomoc w dopracowaniu tego potwora. Od jakiegoś czasu nosiłem się z zamiarem napisania lekkiej powieści kryminalnej, po czym usiadłem i wyprodukowałem coś, co zdecydowanie nią nie było, a Julian pomógł mi to sobie uświadomić. Musiałem wtedy przejść przez dość burzliwy proces wyrzucenia wszystkiego do kosza i rozpoczęcia od nowa. To dziwny psychologiczny taniec, ale konieczny, bo lepiej pozbyć się słów, których nie chciało się napisać, niż je zachować, nawet jeśli wyprodukowało się ich bardzo dużo. I doceniam go za to, że mi w tym towarzyszył.

Chciałbym również podziękować mojej rodzinie. Często to robię w moich książkach, ale szczególnie w przypadku tej jest to dla mnie ważne. Pisanie kryminałów to w dużej mierze proces logistyczny, pilnowanie, żeby zgadzały się linie czasowe, a właściwe dowody znajdowały się we właściwych miejscach we właściwym czasie. To w gruncie rzeczy wejście w rolę Jeffa Bezosa w zabijaniu ludzi, których samemu się wymyśliło. To wszystko zajmuje sporą część mózgu w zasadzie na okrągło, więc chciałbym przeprosić moją rodzinę za zadawanie bardzo głupich pytań, na przykład: „Które dziecko dziś idzie na piłkę?”, „Pakujemy się? A gdzie jedziemy”, albo nawet „Zaraz, ile to ja lat kończę w tym roku?”. A tym bardziej proszę o wybaczenie, bo naprawdę świetnie mi się pisało i planuję stworzyć kolejne kryminały, więc prawdopodobnie nadal będę się zachowywał głupio. Takie życie, frajerzy.

Dziękuję mamie za to, że podarowała mi w prezencie książki o Nero Wolfe, który zainspirował postać Any, nawet jeśli ostatecznie uznałem, że moja bohaterka będzie bardziej jak Hannibal Lecter niż Wolfe. Jestem też wdzięczny mojej babci, Marilyn Shaw, w której pralni było mnóstwo starych książek, głównie kryminałów. Pochłaniałem je tonami. Lubię sobie wyobrażać, że ta powieść by jej się spodobała, choć może za wyjątkiem języka bohaterów. Wybacz, babciu.

Chciałbym również podziękować Jesse’emu Jenkinsowi i Jerusalemovi Demsasowi, którzy poświęcają się frustrującemu, jak mniemam, dokumentowaniu tego, jak Ameryka boi się obecnie cokolwiek budować. Ich praca nad tym zagadnieniem oraz walka o zmianę, którą toczą oni i wielu innych,

znalazła odzwierciedlenie w tej opowieści w wątku Komisji Ochrony Środowiska. Regulacje są zasadne, ale nie możemy pozwolić, by stały się słoikiem, w którym ostatecznie zostaniemy zamknięci i będziemy się kisić we własnym sosie. To z tego powodu chciałem napisać o urzędnikach i odważnych budowniczych. Nie przestawajcie walczyć!

Robert